

**Sidney Sheldon**

# **Mistrzynie gry**

*Master of the Game*

*Przekład Krzysztof Jendzejczak*

*Wydanie oryginalne: 1982*

*Wydanie polskie: 1998*

**iMN**

*Mojemu bratu,  
Ryszardowi Lwie Serce*

*Pragnę wyrazić podziękowanie pannie Geraldine  
Hunter za jej niewyczerpaną cierpliwość i pomoc  
w przygotowaniu tego rękopisu.*

*Stąd wielka namiętność pierś rozpalająca jest  
jak wąż Aarona wszystko pochłaniająca.*

Alexander Pope  
„Esej o człowieku”, List II

*Diamenty są odporne na uderzenia do tego  
stopnia, iż żelazny młot może rozpaść się na  
dwoje, a nawet samo kowadło może zostać naruszone.*

*Ował niezwykła siła, opierająca się  
dwóm najgwałtowniejszym żywiołom Natury -  
żelazu i ogniowi, może wszelako zostać złamana  
krwią barania, ale musi być zamoczona we krwi  
świeżej i cieplej, a wówczas potrzebnych jest  
wiele uderzeń.*

Pliniusz Starszy

PROLOG

Kate

1982

Wielką salę balową wypełniały tłumnie duchy bliskich, przybyłe, by świętować jej urodziny. Kate Blackwell obserwowała, jak mieszają się z ludźmi z krwi i kości, i miała wrażenie, jakby granica między rzeczywistością a fantazją zatarła się. Przybysze z innych czasów i miejsc sunęli lekko po parkiecie obok niczego nie podejrzewających gości w czarnych smokingach i długich, błyszczących sukniach wieczorowych.

Na przyjęciu w Cedar Hill House w Dark Harbor w stanie Maine było sto osób. „Nie licząc duchów” - pomyślała Kate.

Była szczupłą, drobną kobietą o królewskiej postawie, która sprawiała, że wydawała się wyższa niż w rzeczywistości. Miała twarz, której się nie zapomina: odziedziczone po szkockich i holenderskich przodkach dumne rysy, jasnoszare oczy i ostro zarysowany podbródek znamionujący upór. Jej skóra miała tę lekką przezroczystość, jaką czasem przynosi starość, a siwe włosy - niegdyś opadające bujną i ciemną kaskadą - były nadal piękne.

„Nie czuję swoich dziewięćdziesięciu lat - myślała Kate. - Gdzie podziały się te wszystkie lata?” Spojrzała na tańczące duchy. „One wiedzą. Były ze mną. Były częścią tych lat, częścią mojego życia”. Zobaczyła Bandę; jego dumną, czarną twarz rozjaśnioną w uśmiechu. I zobaczyła też Davida, kochanego Davida; wysokiego, młodego i przystojnego - wyglądającego tak jak wtedy, gdy się w nim zakochała. Uśmiechał się do niej. „Już wkrótce, kochanie, już wkrótce” - pomyślała. Ogarnął ją smutek, że David nie dożył tych dni, by móc cieszyć się swoim prawnukiem.

Kate przebiegła wzrokiem po wielkiej sali i spostrzegła go. Stał przy orkiestrze, obserwując muzyków. Był uderzająco ładnym, jasnowłosym, prawie już ośmioletnim chłopcem, ubranym w aksamitną marynarkę i spodnie w szkocką kratę. Robert był wierną kopią swojego pradziadka Jamiego McGregora, którego portret wisiał nad marmurowym kominkiem. Jakby czując na sobie jej wzrok, chłopiec odwrócił się i Kate przywołała go do siebie skinieniem ręki. W tym samym momencie wspaniały, dwudziestokaratowy diament, który sto lat temu wygrzebał z piaszczystej plaży jej ojciec, rozbłysnął w blasku kryształowego żyrandola. Kate z przyjemnością patrzyła, jak Robert zbliża się do niej, zręcznie omijając tancerzy.

„Jestem przeszłością - pomyślała. - On jest przyszłością. Mój prawnuk przejmie kiedyś firmę Kruger-Brent”. Kiedy stanął przy niej, zrobiła mu miejsce obok siebie.

- Czy dobrze się bawisz, babciu? - spytał.

- Tak. Dziękuję, Robercie.

- Orkiestra jest wspaniała, a dyrygent naprawdę obłądny.

Przez chwilę patrzyła na niego skonfundowana, a potem jej twarz się rozjaśniła.

- Ach, domyślam się, iż chodzi ci o to, że jest dobry.

Robert uśmiechnął się do niej szeroko.

- Jasne - odparł, po czym dodał: - Wiesz, babciu, nie wyglądasz na dziewięćdziesiątkę.  
Kate Blackwell roześmiała się.

- To tylko wtedy, gdy jestem z tobą, nie czuję, że mam tyle lat.

Niepostrzeżenie wsunął w jej dłoń swoją i siedzieli teraz w błogim milczeniu; różnica osiemdziesięciu dwu lat dawała im poczucie bez troskiej przyjaźni. Kate odwróciła się, by spojrzeć na tańczącą właśnie wnuczkę. Ona i jej mąż stanowili bez wątpienia najładniejszą parę na parkiecie.

Matka Roberta zobaczyła syna i babcię siedzących obok siebie i pomyślała: „Co za zdumiewająca kobieta. Ona w ogóle się nie starzeje. Nikt by nie zgadł, ile naprawdę przeżyła”.

Muzyka ucichła i dyrygent zapowiedział występ Roberta:

- Panie i panowie! Z przyjemnością przedstawiam wam młodego mistrza Roberta.

Chłopiec puścił rękę prababci, wstał i podszedł do fortepianu. Gdy usiadł, jego twarz przybrała poważny i skupiony wyraz. Po chwili dotknął palcami klawiatury i zaczął grać Skriabina, a było to tak, jakby światło księżyca kołysało się na wodzie.

„Jest geniuszem - pomyślała jego matka. - Wyrośnie na wielkiego muzyka”. Nie był już jej dzieckiem; należał do świata. Gdy Robert skończył, rozległy się gorące i szczerze oklaski.

Obiad na świeżym powietrzu podano wcześniej. Ogromny i pięknie zadbany ogród został uroczystie udekorowany kolorowymi lampionami, wstążkami i balonikami. Muzycy grali na tarasie, podczas gdy służące i lokaje uwijali się wokół stołów sprawnie i dyskretnie, dbając o to, aby kieliszki typu Baccarat i talerze z zastawy Limoges nie były puste. Odczytano telegram od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Sędzia Sądu Najwyższego wznosił toast na cześć Kate. Gubernator wygłosił mowę pochwalną:

- Jedna z najwybitniejszych kobiet w historii tego narodu. Dotacje Kate Blackwell dla setek instytucji charytatywnych na całym świecie owiane są już legendą. Fundacja Blackwell przyczyniała się i przyczynia do poprawy warunków bytu ludzi w ponad pięćdziesięciu krajach. Parafrazując świętej pamięci sir Winstona Churchilla, można powiedzieć, że nigdy jeszcze tak wielu nie zawdzięczało tak wiele jednej osobie. Miałem i mam zaszczyt znać Kate Blackwell...

„Do diabła! - pomyślała Kate. - Nikt mnie nie zna. Brzmi to tak, jakby mówił o kimś świętym. Co by ci wszyscy ludzie powiedzieli, gdyby znali prawdziwą Kate Blackwell?”

Spłodzoną przez złodzieja, porwaną przed ukończeniem pierwszego roku życia. Co by pomyśleli, gdyby pokazała im na swoim ciele te wszystkie blizny po kulach?”

Odwróciła głowę i spojrzała na mężczyznę, który kiedyś usiłował ją zabić. A potem jej wzrok spoczął na postaci trzymającej się w cieniu, z twarzą zakrytą woalką. Poprzez napływające z oddali odgłosy burzy Kate usłyszała, jak gubernator kończy swą mowę i zapowiada jej wystąpienie. Wstała więc i objęła wzrokiem zgromadzonych gości. Gdy zaczęła mówić, jej głos zabrzmiał stanowczo i dobitnie.

- Żyłam dłużej niż każde z was. Jak powiedzieliby dziś młodzi: „Nie jest to aż tak wielka sprawa”. Ale ja cieszę się, że dożyłam tego wieku, ponieważ w innym wypadku nie mogłabym spotkać się tutaj z wami wszystkimi, drodzy przyjaciele. Wiem, że niektórzy z was przybyli z dalekich krajów, by tego wieczoru być ze mną, i zapewne czują się zmęczeni podróżą. Byłoby nieuczciwe, gdybym od każdego z was wymagała mojej energii.

Rozległ się gromki, serdeczny śmiech i oklaski.

- Dziękuję wam za ten piękny wieczór, który na zawsze zachowam w pamięci. Dla tych, którzy chcieliby już odpocząć, pokoje są przygotowane. Pozostałych zapraszam na tańce do sali balowej. - Zagrzmiało. Odgłosy burzy stawały się coraz donośniejsze. - Proponuję, abyśmy przenieśli się do domu, zanim nabawimy się kataru podczas jednej z tych naszych słynnych burz w Maine.

Kiedy przyjęcie się skończyło i goście udali się na spoczynek, Kate pozostała sama ze swoimi duchami. Siedząc w bibliotece i wracając pamięcią do przeszłości, poczuła nagłe przygnębienie. „Nie ma już nikogo, kto by mnie nazywał Kate - myślała. - Wszyscy odeszli”. Jej świat skurczył się. Czy to nie Longfellow powiedział: „Liście pamięci posępnie szeleszczą w ciemności”? Niebawem będzie wchodzić do świata ciemności, ale jeszcze nie teraz. „Nadal nie zrobiłam najważniejszej rzeczy w moim życiu - pomyślała. - Bądź cierpliwy, Davidzie. Wkrótce będę już z tobą”.

- Babciu...

Kate otworzyła oczy. Jej rodzina znajdowała się w pokoju. Patrzyła teraz na wszystkich po kolei oczyma, które jak bezlitosna kamera nie pomijały żadnego szczegółu. „Moja rodzina - pomyślała Kate. - Moja nieśmiertelność. Morderczyni - postać groteskowa i umysłowo chory. Ponure tajemnice Blackwellów. Czy tak miałyby się skończyć te wszystkie lata nadziei, bólu i cierpienia?”

Obok niej stanęła wnuczka.

- Nic ci nie jest, babciu? - spytała.



- Czuję się trochę zmęczona, moje dziecko - odparła Kate. - Sądzę, że już czas, abym poszła do łóżka. - Wstała i skierowała się ku schodom, a wtedy rozległ się gwałtowny huk gromu i burza rozszalała się na dobre. Strugi deszczu z wściekłością uderzały o szyby.

Cała rodzina patrzyła, jak starsza pani wchodzi po schodach, dumna i wyprostowana. Gdy była już na górze, błyskawica przeszła niebo i w kilka sekund później rozległ się znów gwałtowny huk. Kate Blackwell odwróciła się.

- W Afryce Południowej nazywaliśmy to *donderstorm* - powiedziała głosem, w którym słychać było akcent jej przodków.

Przeszłość i teraźniejszość zaczęły ponownie zlewać się w jedną całość, gdy szła korytarzem do sypialni, otoczona znajomymi, dobrymi duchami.

KSIĘGA PIERWSZA

Jamie

1883-1906

## Rozdział 1

- Chryste Panie! To prawdziwy *donderstorm!* - powiedział Jamie McGregor.

Wzrastał na Pogórze Szkockim wśród dzikich burz, ale nigdy nie był świadkiem czegoś równie gwałtownego. Popołudniowe niebo pokryło się ogromnymi chmurami piasku, które w jednej chwili zamieniły dzień w noc. Ciemności rozświetlił ogień błyskawicy - *weerling*, jak mawiają Afrykanerzy, który rozżarzył powietrze, a zaraz potem rozległ się *donderslang* - grzmot i nastąpił istny potop. Strugi deszczu runęły na rzędy namiotów i blaszanych baraków, zamieniając brudne ulice Klipdrift w rwące błotniste potoki. Niebo - niczym artyleria w jakimś apokaliptycznym boju - huczało od toczących się jeden za drugim gromów.

Jamie McGregor szybko uskoczył, gdy dom zbudowany z surowej cegły rozpadł się tuż obok niego, znikając natychmiast w błocie, i pomyślał, że Klipdrift chyba nie przetrwa tej nawałnicy.

Klipdrift nie było prawdziwym miastem. Była to raczej osada, składająca się z setek namiotów, baraków i wozów z budami, ustawionych niedbale obok siebie po obu stronach rzeki Vaal, a zamieszkaną przez marzycieli o dzikim wzroku, którzy do Afryki Południowej ściągali z różnych stron świata gnani tą samą obsesją - diamentami.

Jamie McGregor był jednym z tych marzycieli. Miał zaledwie osiemnaście lat. Był wysokim, ładnym chłopcem o jasnych włosach i niezwykle błyszczących, szarych oczach. Miał w sobie jakąś pociągającą szczerą i chęć podobania się, które wzbudzały sympatię. Miał też bez troskie usposobienie i duszę pełną optymizmu.

Przebył do Klipdrift z farmy ojca na Pogórze Szkockim, poprzez Edynburg, Londyn, Kapsztad, prawie ośmiotysięcznomilową drogę. Zrezygnował ze swych praw do ziemi, którą on i bracia uprawiali z ojcem, ale nie żałował tego. Wiedział, że zostanie tysiącrotnie wynagrodzony. Pozostawił za sobą spokój, jaki zapewniało życie na farmie, jedyne życie, jakie znał, i przybył do tego odległego, zagubionego miejsca, ponieważ marzył o bogactwie. Jamie nie bał się ciężkiej pracy, lecz zyski, jakie przynosiła uprawa twardej jak skała ziemi, były niewielkie. On i jego bracia, siostra Mary, ojciec i matka harowali od świtu do nocy, ale niewiele z tego mieli. Kiedyś, gdy pojechał na targ do Edynburga, ujrzał rzeczy niespotykanej piękności, które można było mieć za pieniądze. Zrozumiał wówczas, że pieniądze są po to, by uczynić życie jeszcze łatwiejszym, gdy człowiekowi powodzi się dobrze, oraz by pomóc, gdy znajdzie się w potrzebie. Jamie widział zbyt wielu przyjaciół i sąsiadów, którzy żyli i umierali

w nędzy.

Zapamiętał uczucie podniecenia, jakie go ogarnęło na wieść o szczęśliwym znalezieniu diamentu w Afryce Południowej, największego diamentu świata, który leżał sobie po prostu w piasku. Zapamiętał te pogłoski, według których cała okolica, gdzie to się wydarzyło, miała być jedną wielką skrzynią skarbów czekającą na otwarcie.

Podzielił się tą nowiną w późny sobotni wieczór, po kolacji, gdy cała rodzina siedziała w kuchni wokół nie uprzątniętego jeszcze stołu.

- Mam zamiar - powiedział cichym, a jednocześnie stanowczym głosem - jechać do Afryki Południowej, by szukać diamentów. W przyszłym tygodniu wyruszam w drogę.

Pięć par oczu spojrzało na niego tak, jakby oszalał.

- Masz zamiar wydobywać diamenty? - spytał ojciec. - Chyba pomieszało ci się w głowie, mój chłopcze. To wszystko bajki, kuszenie diabła, by odciągnąć mężczyzn od uczciwej pracy.

- Czemu nie powiesz nam, skąd wezmiesz pieniądze na podróż? - odezwał się drwiąco jego brat Ian. - To kawał drogi, a ty nie śmiesz groszem.

- Gdybym miał pieniądze - odciął się Jamie - nie musiałbym wyjeżdżać, by szukać diamentów. Tam nikt nie ma pieniędzy. Będę równy innym. Mam głowę nie od parady i mocny kark. Poradzę sobie.

- Annie Cord będzie zawiedziona - wtrąciła jego siostra Mary. - Ona myśli, że któregoś dnia zostanie twoją żoną.

Jamie uwielbiał siostrę. Była starsza od niego. Miała dwadzieścia cztery lata, a wyglądała na czterdzieści. W swoim życiu nigdy nie posiadała żadnej pięknej rzeczy i Jamie przyrzekł sobie, że to zmieni.

Jego matka podniosła w milczeniu dymiący jeszcze półmisek z resztkami haggis\* [\* Haggis - szkoc., serce, płuca i wątroba owcy ugotowane w żołądku z sadłem, mąką owsianą i innymi dodatkami.] i podeszła do żelaznego zlewu. Później, tego samego wieczoru usiadła na brzegu jego łóżka, łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu i wtedy poczuł, jak jej siła spływa na niego.

- Zrobisz to, co musisz, synu - powiedziała. - Nie wiem, czy są tam diamenty, ale jeśli są - znajdziesz je. - Wyjęła zza pazuchy starą sakiewkę z garbowanej skóry. - Zaoszczędziłam parę funtów. Nie musisz innym nic mówić. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Jamie.

Kiedy wyruszał w drogę do Edynburga, miał pięćdziesiąt funtów w sakiewce.

Marzenie o dotarciu do Afryki Południowej nieprędko miało się spełnić. Jamie

potrzebował prawie roku, by odbyć podróż. W Edynburgu dostał pracę kelnera w kantine robotniczej i gdy dorzucił kolejne pięćdziesiąt funtów do swej sakiewki, udał się do Londynu. Był oszołomiony wielkością miasta, ogromnymi tłumami, hałasem i dużymi, ciągniętymi przez konie omnibusami, pokonującymi odległość pięciu mil w ciągu jednej godziny. Wszędzie można było ujrzeć dwukołowe kabriolety wiozące piękne kobiety w kapeluszach o szerokich rondach, spódnicach z falbanami i w wyszukanych bucikach zapinanych na guziki. Patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak damy wysiadają z dorożek i powozów, by zrobić zakupy na Burlington Arcade, olśniewającym rogu obfitości ze srebrami, naczyniami, strojami, futrami, ceramiką i sklepami aptecznymi, wypełnionymi tajemniczymi butelkami i słojami.

Jamie wynajął małeńki pokój przy Fitzroy Street 32. Kosztował dziesięć szylingów za tydzień, ale i tak był najtańszy, jaki udało mu się znaleźć. Swoje dni spędzał w dokach, szukając statku, który zabrałby go do Afryki Południowej, a wieczorami podziwiał piękne widoki Londynu. Pewnego wieczoru zobaczył księcia Walii, Edwarda, wchodzącego bocznymi drzwiami do restauracji w pobliżu Covent Garden. Trzymał pod rękę piękną młodą damę w przyozdobionym kwiatami kapeluszu z szerokim rondem i Jamie pomyślał, jak ładnie wyglądałaby w nim jego siostra.

Poszedł też na koncert do Crystal Palace, wybudowanego z okazji Wielkiej Wystawy w 1841 roku, zwiedził Drury Lane i udało mu się przemknąć chyłkiem do Savoy Theatre podczas antraktu. Teatr był pierwszym brytyjskim gmachem publicznym, w którym zainstalowano oświetlenie elektryczne. Niektóre ulice były już zelektryfikowane. Jamie dowiedział się, że można rozmawiać z kimś na odległość dzięki nowemu, wspaniałemu urządzeniu, jakim jest telefon.

Pomimo całego postępu technicznego Anglia przeżywała tej zimy głęboki kryzys gospodarczy. Ulice zapępniały tłumy bezrobotnych i głodujących. Odbywały się masowe manifestacje i dochodziło do rozruchów. „Muszę się stąd wydostać - myślał Jamie. - Muszę wydobyć się z nędzy”. Niebawem zaciągnął się, jako steward, na „Walmer Castle”, statek wyruszający w rejs do Kapsztadu w Afryce Południowej.

Podróż morską, wraz z postojami na Maderze i Świętej Helenie dla uzupełnienia zapasów węgla, trwała trzy tygodnie. Była to ciężka, burzliwa podróż w samym środku zimy. Od chwili gdy statek wypłynął z portu, Jamie cierpiał na chorobę morską. Nie tracił jednak optymizmu, ponieważ każdy dzień przybliżał go do celu. Klimat zmieniał się, w miarę jak statek posuwał się w kierunku równika. Jak w cudownej baśni zima łagodniała i zamieniała

się w lato, a gdy statek znalazł się u wybrzeży Afryki, dni i noce stały się gorące i parne.

„Walmer Castle” dotarł do Kapsztadu wczesnym świtem. Ostrożnie przepłynął przez wąski kanał, oddzielający wielką kolonię trędowatych na Robben Island od kontynentu, i zarzucił kotwicę w Zatoce Stołowej.

Jamie był już na pokładzie przed wschodem słońca. Niczym zahipnotyzowany patrzył, jak poranna mgła opada, odsłaniając wspaniały widok na Górę Stołową, wznoszącą się wysoko ponad miastem.

A więc był już na miejscu.

W chwili gdy statek przybił do brzegu, na pokład wdarła się gromada najdziwaczniejszych ludzi, jakich Jamie kiedykolwiek widział. Ze wszystkich stron dały się słyszeć nagabywania czarnych, żółtych, brązowych i czerwonoskórych mężczyzn, którzy jak szaleni walczyli o pierwszeństwo w noszeniu bagaży. Mali chłopcy biegali tam i z powrotem z gazetami, cukierkami i owocami. Woźnice powozów dwukołowych, będący najczęściej mieszaićami, tubylcami, Parsami lub Murzynami, przekrzykiwali się nawzajem oferując swoje usługi. Sprzedawcy pchający wózki zachwalali znajdujące się w nich towary. W powietrzu było gęsto od ogromnych, czarnych much. Marynarze i tragarze rozpychali się w tłumie pokrzykując bez przerwy, podczas gdy pasażerowie próbowali utrzymać swoje bagaże w zasięgu wzroku i ręki. Była to istna wieża Babel. Ludzie posługiwali się językiem, którego Jamie nigdy nie słyszał:

- *Yulle kom van de Kaap, neh?*

- *Het julle mine papa zyn wagen gezien?*

- *Wat bedui 'di?*

- *Huistoe!*

Nie rozumiał ani słowa.

Kapsztad nie kojarzył się Jamiemu z niczym. Nie było tu nawet dwóch podobnych do siebie domów. Obok dużego, trzypiętrowego magazynu, zbudowanego z cegły czy kamienia, mieściła się niewielka kantyna z blachy cynkowej, a dalej sklep jubilerski z szybami ze szkła taftowego i przylegający do niego sklep warzywniczy, a jeszcze dalej rozpadający się sklepik tytoniowy.

Jamie z osłupieniem przyglądał się tłumom mężczyzn, kobiet i dzieci. Zobaczył Kafra, mającego na sobie stare spodnie szkockie z tartanu, a zamiast kaftana worek z rozcięciami na głowę i rękę. Kafr szedł za dwoma Chińczykami w niebieskich kitlach roboczych i słomkowych stożkowatych kapeluszach, spod których wystawały zaplecione warkoczyki. Na

wozach obładowanych ziemniakami, kukurydzą i jarzynami liściastymi jechali krzepcy Burowie o czerwonych twarzach i włosach spłowiałych od słońca. Mężczyźni w aksamitnych brązowych spodniach i marynarkach, w kapeluszach o szerokich i zaokrąglonych rondach oraz z fajkami w zębach szli zamasyżcie przed swoimi *vraaws* przystrojonymi w czerń, w ciemne woalki i równie ciemne, jedwabne kapelusze z wystającymi rondami. Parsyjskie pomywaczki niosły na głowach tobołki z brudną bielizną i opędzały się od żołnierzy w czerwonych uniformach i hełmach. Był to fascynujący spektakl.

Najpierw Jamie odszukał tani pensjonat polecony mu na statku przez jednego z marynarzy. Właścicielką okazała się przysadzista wdowa w średnim wieku o bujnych piersiach. Przyglądała się Jamiemu z uśmiechem.

- *Zoek yulle goud?*

- Przepraszam, ale nie rozumiem. - Jamie się zarumienił.

- Anglik, tak? Przyjechałeś, by szukać złota? Diamentów?

- Tak, diamentów, proszę pani.

- Spodoba ci się tutaj. - Pchnęła go do środka. - Mam tu wszelkie atrakcje dla takich młodzieńców jak ty.

Jamie zastanawiał się przez chwilę, czy to aby nie ona jest jedną z nich. Miał nadzieję, że nie.

- Jestem pani Venster - oznajmiła. - Ale przyjaciele mówią na mnie Dzi-Dzi - dodała skromnie i uśmiechnęła się błyskając złotym zębem na przodzie. - Mam wrażenie, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Możesz prosić mnie, o co tylko zechcesz.

- To bardzo uprzejmie z pani strony - powiedział Jamie. - Czy nie wie pani, gdzie mógłbym dostać plan miasta i okolic?

Z mapą w ręce Jamie udał się na zwiedzanie miasta. Po jednej stronie znajdowały się - zwrócone w stronę lądu - dzielnice Rondebosh, Claremont i Wynberg, ciągnące się dziesięć mil wzdłuż rzędniejących plantacji i winnic. Po drugiej zaś - dzielnice nabrzeżne: Sea Point i Green Point. Jamie poszedł do dzielnicy bogatych mieszkań. Spacerował po Strand Street i Bree Street, podziwiając duże dwupiętrowe domy z płaskimi dachami, wystającymi stiukowymi frontonami i stromymi tarasami, schodzącymi w kierunku ulicy. Spacerował, dopóki muchy nie zmusiły go do powrotu. Wydawały się pałac żądzą wendety właśnie wobec niego. Były wielkie i czarne. Atakowały całymi chmarami. Gdy Jamie wrócił do pensjonatu, cały jego pokój był nimi wypełniony. Obsiadły ściany, stół i łóżko.

Poszedł do gospodyni.

- Pani Venster, czy może pani coś zrobić z tymi muchami w moim pokoju? - zapytał. -

One są...

Pani Venster zarechotała i uszczypnęła go w policzek.

- *Myn magting*. Przyzwyczaisz się do nich. Zobaczysz.

Urządzenia sanitarne w Kapsztadzie były prymitywne i niewystarczające, a kiedy słońce zachodziło, cuchnąca para spowijała miasto jak niezdrowa powłoka. To było nie do wytrzymania. Ale Jamie wiedział, że wytrzyma. Potrzebował więcej pieniędzy, by wyruszyć w dalszą drogę.

- Bez pieniędzy nie przeżyjesz na polach diamentowych - ostrzegano go. - Będą tam żądać ich od ciebie nawet za to, że oddychasz.

Drugiego dnia pobytu w Kapsztadzie Jamie dostał pracę w firmie przewozowej: miał powozić zaprzęgiem. Trzeciego dnia zaczął wieczorami pracować w restauracji przy myciu talerzy. Odżywiał się resztkami jedzenia, które chował i zabierał do pensjonatu, ale miały dla niego dziwny smak. Tęsknił za rosółami z koguta z porami, plackami owsianymi i ciepłymi, rumianymi bochenkami chleba, które piekła matka. Nie użalał się jednak nad sobą, ponieważ oszczędzając na jedzeniu i wygodach zwiększał swoje zasoby pieniężne. Dokonał już wyboru i nic nie mogło go powstrzymać: ani wyczerpująca praca, ani stęchłe powietrze, którym musiał oddychać, ani muchy, które prawie przez całe noce nie dawały mu spokoju. Czuł się rozpaczliwie samotny. Nie znał nikogo w tym obcym miejscu i tęsknił za przyjaciółmi i rodziną. O ile dotychczas znajdował nawet pewne upodobanie w przebywaniu z dala od najbliższych, to teraz stała samotność mu doskwierała.

W końcu nadszedł ten cudowny dzień. Jego sakiewka zawierała okrągłą sumę dwustu funtów. Był gotów. Następnego dnia rano mógł wyruszać w drogę do pól diamentowych.

Rezerwacją miejsc w wozach jadących do pól diamentowych w Klipdrift zajmowało się Towarzystwo Transportu Wewnętrznego, którego siedziba mieściła się w małym drewnianym baraku w pobliżu doków. Kiedy Jamie zjawił się tam o siódmej rano, barak i teren wokół były tak zatłoczone, że nie sposób było się tam dostać. Setki poszukiwaczy fortuny walczyło o miejsca w wozach. Przybyli z najodleglejszych zakątków świata: z Rosji, Ameryki, Australii, Niemiec i Anglii. Krzyczeli w najprzeróżniejszych językach, błagając - kasjerów, by znaleźli dla nich miejsca. W pewnej chwili Jamie zauważył krzepkiego Irlandczyka, gniewnie rozpychającego się łokciami i torującego sobie drogę z oblężonego biura.



- Przepraszam - zagadnął, gdy ten przedarł się przez tłum - co się tu dzieje?

- Nic - odburknął z odrazą Irlandczyk. - Bilety na te cholerne wozy zostały już wyprzedane na sześć tygodni naprzód. - Zobaczył przestach w oczach Jamiego. - To jeszcze nie najgorsze z tego wszystkiego - dodał. - Te pogańskie bękarty zdzierają pięćdziesiąt funtów od łba.

To było niewiarygodne!

- Musi być jakiś inny sposób, by dostać się do pól diamentowych - powiedział Jamie.

- Są dwa sposoby. Można jechać holenderskim ekspresem albo iść na piechotę.

- Co to jest holenderski ekspres?

- Wóz ciągnięty przez muły. Takim wozem jedzie się z prędkością dwóch mil na godzinę. Zanim dotrzesz na miejsce, te wszystkie pieprzone diamenty będą już dawno sprzątnięte.

Jamie McGregor nie miał zamiaru się spóźnić i całe przedpołudnie spędził na poszukiwaniu innego środka lokomocji. Tuż przed dwunastą znalazł go. Przechodził właśnie obok przedsiębiorstwa wynajmującego konie i pojazdy, gdy dostrzegł napis na froncie: SKŁAD POCZTOWY. Nie namyślając się długo wszedł do środka, gdzie najchudszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widział, ładował na dwukołowy powozik ogromne worki pocztowe. Jamie przez chwilę przyglądał mu się z zaciekawieniem, po czym powiedział:

- Przepraszam. Czy pan wozi pocztę do Klipdrift?

- Zgadza się. Właśnie ładuję.

Jamie poczuł nagły przyływ nadziei.

- Czy zabiera pan pasażerów?

- Czasami - odparł mężczyzna, taksując go fachowym wzrokiem. - Ile masz lat?

„Dziwaczne pytanie” - pomyślał Jamie.

- Osiemnaście. Nie rozumiem.

- Nie zabieramy nikogo powyżej dwudziestu jeden, dwudziestu dwóch lat. Zdrowie masz dobre?

„Jeszcze dziwaczniejsze pytanie”.

- Tak, proszę pana.

- Założmy, że się nadajesz. Odjeżdżam za godzinę. Opłata za przejazd wynosi dwadzieścia funtów.

Jamie nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

- To wspaniale! Wezmę tylko swoją walizkę i...

- Żadnych walizek - oznajmił stanowczo chudy mężczyzna. - Wszystko, co się tu

pomieści, to jedna koszula i szczoteczka do zębów.

Jamie uważnie spojrział na powozik. Był nieduży i prymitywnie sklecony. W nadwoziu znajdowała się swego rodzaju studnia, do której wrzucało się pocztę, a nad nią niewielka drewniana powierzchnia, na której można było usiąść plecami do woźnicy. Zanosiło się na niezbyt wygodną podróż.

- Zgoda - powiedział Jamie. - Skoczę po koszulę i szczoteczkę do zębów.

Kiedy wrócił, woźnica zaprzęgał konia do powozu, obok którego stali dwaj szerocy w ramionach młodzi mężczyźni. Jeden niski i ciemnowłosy, drugi wysoki o jasnych włosach.

- Chwileczkę! - zawołał Jamie do woźnicy. - Pan mówił, że to ja jadę.

- Wszyscy jedziecie - odparł woźnica. - Wskakujcie.

- Wszyscy trzej?

- Zgadza się.

Jamie nie miał pojęcia, w jaki sposób woźnica chce ich pomieścić w tak małym powozie, ale wiedział, że musi się w nim znaleźć, zanim pojazd ruszy.

- Nazywam się Jamie McGregor - przedstawił się współtowarzyszom podróży.

- Wallach - powiedział niski mężczyzna.

- Pederson - odparł wysoki blondyn.

- Czyż nie jesteśmy szczęśliwcami, że to odkryliśmy? Dobrze, że nie wszyscy o tym wiedzą, co? - zauważył Jamie.

- Ależ dobrze wiedzą, McGregor. Nie ma tylko tak wielu, którzy by się nadawali albo byli dostatecznie głupi, by tak podróżować.

Zanim Jamie zdążył zapytać swego współtowarzysza, co ma na myśli, woźnica powiedział: - Jedziemy.

Mężczyźni z trudem wgramolili się na siedzenie. Mieli teraz mocno ściśnięte i podkurczone nogi, a za ich plecami, wbitymi w drewniane oparcie, siedział woźnica. Nie było miejsca, aby się poruszyć czy swobodnie oddychać.

„Nie jest źle” - pocieszał się Jamie.

- Trzymajcie się! - zawołał woźnica i w chwilę później pędzili już ulicami Kapsztadu w kierunku pól diamentowych w Klipdrift.

Podróż wozem ciągniętym przez woły lub konie była stosunkowo wygodna. Wozy przewożące pasażerów z Kapsztadu do pól diamentowych były duże, przestronne i miały brezentowe budy, chroniące przed palącymi promieniami zimowego słońca. Każdy wóz mógł pomieścić tuzin pasażerów. W czasie regularnych postojów można było dostać przekąski i napoje orzeźwiające, a podróż trwała dziesięć dni.

Powozik pocztowy był czymś odmiennym. Nigdy nie zatrzymywał się, a jeżeli już, to po to, by można było wymienić woźnicę i konia. Jazda po nierównych drogach, polach i wyjeżdżonych szlakach odbywała się pełnym galopem. Powozik nie miał resorów i każdy podskok odczuwało się niczym uderzenie końskiego kopyta. „Wytrzymam do nocy - myślał Jamie zaciskając mocno zęby. - Wtedy będzie postój, zjem coś, prześpię się i rano już będę czuł się świetnie”. Ale kiedy nadeszła pora nocna, postój trwał tylko dziesięć minut. Akurat tyle, by wymienić konia i woźnicę.

- Kiedy zatrzymamy się, by coś zjeść? - spytał Jamie, gdy byli znów w drodze.

- Nie zatrzymamy się - mruknął pod nosem nowy woźnica. - Jedziemy prosto do celu. Wieziemy pocztę, proszę pana.

Pędzili przez długą noc przy świetle księżycy po zakurzonych i wyboistych drogach. Mały powóz podskakiwał na wzniesieniach, zanurzał się w doliny i przelatywał nad równinami. Jamie miał wrażenie, jakby każda cząstka jego ciała była poobijana i zmiażdżona od ciągłych wstrząsów. Był wyczerpany, ale sen w tych warunkach był rzeczą niemożliwą. Ilekroć zapadał w drzemkę, kolejny gwałtowny wstrząs wyrывał go z niej. Nie mógł się nawet przeciągnąć, gdyż nie było miejsca. Odczuwał potworny głód, miał zawroty głowy i wymioty. Była to sześciusetmilowa podróż i Jamie McGregor nie był pewien, czy ją przeżyje. Nie był też pewien, czy chce tego.

Pod koniec drugiej doby cierpienie zamieniło się w agonię. Współtowarzysze Jamiego znajdowali się w takim samym opłakanym stanie, nie mieli już nawet siły narzekać. Jamie rozumiał teraz, dlaczego Towarzystwo wymagało, by jego pasażerowie byli młodzi i silni.

O świcie następnego dnia wjechali w kotlinę Wielkie Karru, gdzie zaczęło się prawdziwe pustkowie: ciągnący się w nieskończoność gładki i monotony veld strzeżony przez bezlitosne słońce. Pasażerowie dławili się żarem, kurzem i muchami.

Poprzez miazmatyczną mgłę Jamie widział niekiedy grupy mężczyzn idących twardo przed siebie; samotnych jeźdźców na koniach i tuziny wozów ciągniętych przez osiemnaście lub dwadzieścia wołów, a także woźniców i *voorloperów* z batogami z długich rzemieni z garbowanej skóry, którzy pokrzykiwali: - Trek! Trek!

Ogromne wozy ugiwały się pod ciężarem tysięcy funtów najprzeróżniejszych produktów i towarów: namiotów i narzędzi górniczych, piecyków opalanych drewnem, mąki, węgla i lamp naftowych. Były też wypełnione kawą, ryżem, cukrem, winem, whisky, butami, świecami belfasckimi i kocami. Dla poszukiwaczy fortuny z Klipdrift stanowiły niezbędne życiodajne zaopatrzenie.

Gdy powozik pocztowy przejechał przez rzekę Oranje, potworna monotonia wzdłu zaczęła powoli zanikać. Krzewy były coraz wyższe i zazielenione. Gleba stawała się coraz bardziej brunatna, a kępki traw falowały na łagodnym wietrze. Gdzieś można też było dojrzeć małe, kolczaste drzewka.

„Uda mi się. Uda mi się” - powtarzał z uporem Jamie, aż w swoim umęczonym ciele poczuł przyływ nadziei.

Byli w drodze bez przerwy cztery dni i noce, nim w końcu dotarli na przedmieścia Klipdrift.

Młody Jamie McGregor był przygotowany na wszystko, ale widok, jaki ujrzeli jego zmęczone, przekrwione oczy, przeszedł wszelkie wyobrażenia. Panoramę Klipdrift stanowiły setki namiotów i wozów, stojących obok siebie na głównych ulicach i nad brzegami rzeki Vaal. Brudna droga roiała się od jaskrawo odzianych Kafrów, brodatych poszukiwaczy, rzeźników, piekarzy, złodziei i nauczycieli. W centrum stały rzędy drewnianych, prymitywnych bud służących za sklepy, kantyny, salony bilardowe, gospody, kantory skupu diamentów i biura prawnicze. Na rogu znajdował się zniszczony „Hotel pod Łukiem Królewskim”; długi rząd klitek bez okien.

Jamie wygramolił się z powozu i prawie natychmiast zwałił na ziemię; zdrętwiałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

W głowie mu się kręciło i leżał tak długo, aż zebrał w sobie wystarczająco dużo siły, by się podnieść. A potem kulejąc i zataczając się, przepychając z trudem przez hałaśliwy tłum zalegający ulicę i chodniki, poszedł w stronę hotelu. Pokój, jaki otrzymał, był mały, duszny i pełen much. Ale było w nim lekkie łóżko polowe i Jamie padł na nie w ubraniu. Spał nieprzerwanie przez osiemnaście godzin.

Gdy Jamie się obudził, jego ciało było wciąż obolałe i zdrętwiałe, lecz mimo to poczuł szaloną radość. „Jestem tu! Udało się!” Wściekle głodny ruszył na poszukiwanie jedzenia. W hotelu nic nie oferowano, ale po drugiej stronie ulicy znajdowała się nieduża, zatłoczona gospoda, w której pożał belonę, wielką smażoną rybę przypominającą szczupaka, *carbonaatje* - cienko pokrajaną baraninę z rożna, udziec antylopy, a na deser *koeksister* - dobrze przypieczone i nasączone syropem ciasto. Żołądek, tak długo obywający się bez jedzenia, zaczął nadawać niepokojące sygnały. Jamie postanowił więc dać mu odpocząć i skierował swoją uwagę na najbliższe otoczenie. Przy wszystkich stołach poszukiwacze rozprawiali o jednym i tym samym, o rzeczy najważniejszej - diamentach.

- ...Wciąż jeszcze można znaleźć trochę diamentów koło Hoptown, ale główna żyła

jest w New Rush...

- ...Kimberley ma większe zaludnienie niż Joburg...

- ...A co z odkryciem w Dutoitspan w zeszłym tygodniu? Mówią, że jest tam więcej diamentów, niż można udźwignąć...

- ...Słyszeliście o nowym odkryciu w Christianie? Jutro się tam wybieram...

A więc to prawda. Diamenty są wszędzie! Młodego Jamiego ogarnęło tak wielkie podniecenie, że z trudem dopił blaszankę kawy. Otrzeźwiła go nieco wysokość rachunku. Dwa funty i trzy szylingi za jeden posiłek! „Muszę być ostrożniejszy” - pomyślał wychodząc na zatłoczoną i hałaśliwą ulicę.

- Nadal zamierzasz się wzbogacić, McGregor? - odezwał się za nim czyjś głos.

Jamie obrócił się i zobaczył Pedersona, Szweda, z którym podróżował powozem pocztowym.

- Ma się rozumieć, że tak - odparł.

- A więc chodźmy tam, gdzie są diamenty. Tą drogą idzie się nad rzekę Vaal - powiedział Pederson wskazując ręką.

Poszli razem w tamtą stronę.

Klipdrift leżało w kotlinie otoczonej wzgórzami, a wszystko - jak okiem sięgnąć - było nagie, bez źdźbła trawy lub krzewu. Gęsty czerwony kurz unosił się w powietrzu, prawie że uniemożliwiając oddychanie. Gdy przeszli ćwierć mili i znaleźli się w pobliżu rzeki, powietrze stało się chłodniejsze. Na obu brzegach roіło się od poszukiwaczy; jedni kopali, inni wypłukiwali piasek i żwir w płuczkach, a jeszcze inni sortowali kamienie na koślawych, prowizorycznych stołach. Używano bardzo zróżnicowanych narzędzi, począwszy od zwykłych balii i wiader, a skończywszy na skomplikowanych urządzeniach do wypłukiwania piasku i żwiru. Mężczyźni byli ogorzali, nie ogoleni i ubrani niedbale w najdziwaczniej dobrane kolorowe pasiaste bluzy, sztruksowe spodnie i gumki, albo bryczesy i sznurowane buty, i filcowe kapelusze o szerokich rondach lub hełmy tropikalne. Wszyscy nosili szerokie pasy z garbowanej skóry z kieszeniami na diamenty lub pieniądze.

Jamie i Pederson podeszli do brzegu. Uwagę ich zwrócili chłopiec i starszy mężczyzna, usiłujący przesunąć ogromny głaz, by dostać się do piasku pod nim. Ich koszule były lepkie od potu. Obok inna grupa wsypywała na wózek piasek, który miał być przesiany przez sito. Jeden z poszukiwaczy poruszał płuczką, podczas gdy inny wylewał na nią kubły wody, by zmyć osad. Duże kamienie przesypywano potem na prowizorycznie przygotowany stół sortowniczy.

- Nie wydaje się to trudne - stwierdził beztrąsko Jamie.

- Nie licz na to, McGregor - odparł Pederson. - Rozmawiałem z paroma poszukiwaczami, którzy są tu już jakiś czas, i myślę, że kupiliśmy kota w worku.

- Co przez to rozumiesz?

- Czy wiesz, ilu jest poszukiwaczy w tych stronach, gdzie wszyscy mają nadzieję się wzbogacić? Dwadzieścia przeklętych tysięcy! A wokoło nie ma aż tylu diamentów, kolego. Nawet gdyby były, to zaczynam się zastanawiać, czy to wszystko ma sens. Zimą smażyysz się, latem marzniesz, a podczas tych przeklętych *donderstormów* mokniesz do suchej nitki i bez przerwy walczysz z kurzem, muchami i smrodem. Nie możesz wziąć kąpieli lub dostać porządnego łóżka, bo w tym przeklętym mieście nie ma urządzeń sanitarnych. Każdego tygodnia ktoś się topi w rzece. Niekiedy są to wypadki, ale - jak mi powiedziano - większość utonięć to jedyne wyjście, jedyna możliwość ucieczki z tej piekielnej dziury. Nie wiem, co tych ludzi tu trzyma.

- Ja wiem - powiedział Jamie, patrząc na pełnego nadziei chłopca w brudnej, przepoconej koszuli. - Następna łopata pełna brudu.

Kiedy jednak wracali do miasta, Jamie musiał przyznać, że słowa Pedersona nie były pozbawione sensu. Przechodzili obok rozkładającego się mięsa zabitych wołów, owiec i kóz, pozostawionego na zewnątrz namiotów, leżącego tuż przy szerokich rowach będących po prostu latrynami. To miejsce wołało o pomstę do nieba!

- Co teraz zamierzasz? - spytał Pederson, patrząc uważnie na Jamiego.

- Zdobyć narzędzia do poszukiwań - brzmiała stanowcza odpowiedź.

W centrum mieścił się sklep, nad którym wisiał zardzewiały szyld z napisem: SALOMON VAN DER MERWE. SKŁAD TOWAROWY. Czarnoskóry mężczyzna w wieku Jamiego rozładowywał wóz stojący przed sklepem. Miał szerokie ramiona i twarde jak stal mięśnie, żarzące się niczym węgle oczy, orli nos i dumny podbródek. Emanowała z niego duma, szlachetna powściągliwość. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Jamie kiedykolwiek widział. Zarzucił właśnie na ramię ciężką drewnianą skrzynię z bronią i obracając się zawadził nogą o kamień. Jamie instynktownie wyciągnął rękę, by pomóc mu utrzymać równowagę, ale czarnoskóry mężczyzna nawet nie zareagował. Zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na obecność Jamiego. Odwrócił się i wszedł do sklepu. Przechodzący obok Bur-poszukiwacz, który poganiał swego muła, splunął i powiedział:

- To Banda z plemienia Barolong. Pracuje u pana van der Merwego. Nie wiem, po co on trzyma tego zadzierającego nosa czarnucha. Tym pieprzonym Bantu wydaje się, że cały świat należy do nich.

Sklep był chłodny i ciemny; dawał upragnione wytchnienie po rozpalonej słońcem ulicy. Wypełniały go egzotyczne zapachy i Jamie w zadziwieniu przyglądał się bogactwu towarów. Było tu wszystko: narzędzia rolnicze, puszki z mlekiem, gliniane dzbanki z masłem, klej, lonty i dynamit, proch i naczynia gliniane, broń palna i meble, wyroby galanteryjne i uprzęż, rozczyny dla owiec, mydło, alkohol, papier i przybory do pisania, cukier i tytoń, tabaka i cygara... Całe rzędy półek wypełnionych od góry do dołu koszulami, kocami, butami, kapeluszami i siodłami. „Ten, kto posiada to wszystko - pomyślał Jamie - musi być bogaty”.

- Czym mogę panu służyć? - usłyszał za sobą miękki głos.

Odwrócił się i zobaczył młodą dziewczynę wyglądającą na piętnaście lat. Miała pociągającą subtelną twarz w kształcie serca, jedną z tych twarzy, jakie widzi się na kartach pocztowych przesyłanych w dniu św. Walentego: zadarty nos, żywe, zielone oczy i ciemne, kręcone włosy. Przyjrząwszy się jej figurze, Jamie uznał, że musi mieć już szesnaście lat.

- Jestem poszukiwaczem - oznajmił. - Chciałbym kupić narzędzia.

- Jakich narzędzi pan potrzebuje? - spytała.

Z jakichś powodów Jamie czuł, że musi na niej wywrzeć dobre wrażenie.

- Ja... e... tych, co zwykle.

- Co to znaczy: tych, co zwykle? - Uśmiechnęła się i Jamie zauważył figlarne iskierki w jej oczach.

- To znaczy... - zawahał się. - Łopate.

- Czy to wszystko, proszę pana? - spytała i Jamie zdał sobie sprawę, że żartuje z niego.

- Prawdę mówiąc - przyznał z rozbijającym uśmiechem - nie znam się na tym. Nie wiem, czego mi potrzeba.

- To zależy od tego, gdzie pan ma zamiar prowadzić poszukiwania, panie...?

- McGregor. Jamie McGregor.

- Ja nazywam się Margaret van der Merwe - przedstawiła się, rzucając nerwowe spojrzenie przez ramię na tylną część sklepu.

- Miło mi panią poznać, panno van der Merwe.

- Czy pan dopiero przyjechał?

- Tak. Wczoraj. Poczta dwukółką.

- Ktoś powinien był pana ostrzec przed tą podróżą. - W jej oczach pojawiło się oburzenie. - Pasażerowie umierali podczas niej.

Jamie roześmiał się.

- Nie mogę mieć do nikogo pretensji - powiedział. - Jestem, jak widać, cały i zdrow.

- I zamierza pan szukać *mooi klippe*?

- *Mooi klippe?*

- Ładnych kamyków. To nasza holenderska nazwa diamentów.

- Pani jest Holenderką?

- Moja rodzina pochodzi z Holandii.

- Ja jestem Szkotem.

- Tak myślałam - rzekła Margaret, rzucając znów czujne spojrzenie na tylną część sklepu. - Diamenty są wszędzie, panie McGregor, ale szukając ich należy być ostrożnym. Większość poszukiwaczy marnuje czas, deptając sobie po piętach. Gdy ktoś dokona odkrycia, inni oczyszczają resztki. Jeśli chce się pan wzbogacić, musi pan znaleźć swoją własną złotą żyłę.

- Jak mam to zrobić?

- Być może mój ojciec mógłby panu pomóc. On wie wszystko. Za godzinę będzie wolny.

- W takim razie wrócę tu - zapewnił ją Jamie. - Dziękuję, panno van der Merwe.

Wyszedł na słońce przepelniony uczuciem euforii, zapominając o swoim bólu i cierpieniach. Gdyby dowiedział się od Salomona van der Merwego, gdzie można znaleźć diamenty, żadna siła nie mogłaby mu w tym przeszkodzić. On, Jamie, sprzątnąłby je wszystkie. I na myśl o tym zaczął się głośno śmiać zdrowym, wesołym śmiechem, szczęśliwy, że jest młody, silny i że droga do bogactwa stoi przed nim otworem.

Jamie szedł główną ulicą, mijając kowala, salon bilardowy i szereg innych salonów. Uwagę jego zwrócił napis na froncie starego, zniszczonego domu wyglądającego na hotel. Zatrzymał się i przeczytał:

R-D MILLER. GORĄCE I ZIMNE KĄPIELE  
OTWARTE CODZIENNIE OD 6.00 DO 20.00.  
WYGODNA GARDEROBA

„Kiedy ostatni raz brałem kąpiel? - myślał, idąc dalej. - Na statku, gdy polewałem się kubłem wody. To było...” Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo musi cuchnąć. Pomyślał o cotygodniowych kąpielach w domu, o balii, która stała w kuchni, i usłyszał głos matki mówiącej: „Pamiętaj, Jamie, abyś mył się od góry do dołu”.

Jamie zawrócił i wszedł do łaźni. Wewnątrz znajdowały się dwa wejścia, jedno dla kobiet, a drugie dla mężczyzn. Jamie wszedł do części męskiej i zwrócił się do sędziwego



kąpielowego:

- Ile kosztuje kąpiel?

- Dziesięć szylingów zimna, piętnaście gorąca.

- Wezmę zimną - zdecydował po chwili namysłu. Chęć gorącej kąpieli po długiej podróży była nieodparta, ale z drugiej strony nie mógł sobie pozwolić, aby wydawać pieniądze na luksusy. Musiał przecież kupić narzędzia.

- Tędy, młodzieńcze. - Kąpielowy podał mu kawałek żółtego mydła ługowego i dziurawy ręcznik. Po chwili Jamie wszedł za nim do małego pomieszczenia, w którym znajdowały się tylko wielka blaszana balia i kilka kołków w ścianie. Kąpielowy nalał wody cebrowym wiadrem i powiedział: - Wszystko gotowe. Niech pan powiesi ubranie na tych kołkach.

Jamie poczekał, aż zostanie sam, i wtedy rozebrał się. Spojrzał na swoje ciało, na brud wżarty głęboko w skórę, i wsadził jedną nogę do wody. Była zimna, tak jak głosił napis. Szczękając zębami i gwałtownie namydlając się od stóp do głów, zanurzył się w niej. Kiedy w końcu wyszedł z balii, woda była czarna. Wytarł się mocno zniszczonym, lnianym ręcznikiem i zaczął ubierać. Jego koszula i spodnie były tak brudne, że ze wstrętem wkładał je na siebie. Pomyślał, że powinien sobie sprawić jakieś ubranie na zmianę, ale to raz jeszcze przypomniało mu o tym, jak mało ma pieniędzy. I znów poczuł głód.

Jamie wyszedł z łaźni i przeciskając się przez tłum na ulicy dotarł do saloonu o nazwie „Sundowner”. Zamówił piwo i obiad. Kotlety jagnięce z pomidorami, kielbasę, sałatkę ziemniaczaną i kiszone ogórki. Jedząc przysłuchiwał się interesującym rozmowom.

- ...Słyszałem, że koło Colesberg znaleziono kamień ważący dwadzieścia dwa karaty. Pomyśl, jeśli znaleziono jeden diament, to musi tam być dużo więcej...

- ...W Hebron natrafiono na nową żyłę. Chyba się tam wybiorę...

- Jesteś głupcem, największe diamenty są w rzece Oranje. Brodaty mężczyzna przy barze, ubrany we flanelową pasiastą bluzę i sztruksowe spodnie, wolno popijał z wielkiego kufla shandygaff, zwykle piwo z dodatkiem piwa imbirowego.

- Spłukałem się w Hebron - wyznał barmanowi. - Potrzeba mi forsy.

Barman był dużym, grubawym i łysym jegomościem o chytrych oczach i złamanym, krzywym nosie.

- Kto jej nie potrzebuje? - parsknął śmiechem. - Człowieku, jak sądzisz, dlaczego prowadzę ten interes? Gdy któregoś dnia będę miał już wystarczającą ilość pieniędzy, rzucę to wszystko w diabły i wyruszę w górę rzeki Oranje. - Wytarł kontuar brudną szmatą. - Ale powiem ci, co możesz zrobić - dodał po chwili. - Spójrz na Salomona van der Merwego.

Posiada skład towarowy i połowę miasta.

- I na co mi się to przyda? - spytał ze zdziwieniem brodaty mężczyzna.

- Na to, że jeśli mu się spodobaś, to wyposaży cię w narzędzia.

- Czy naprawdę pan sądzi, że mógłby? - Gość spojrzał niedowierzająco na barmana.

- Wiem, że zrobił to już dla kilku facetów. Ty dajesz swoją pracę, a on swoje pieniądze. Dzielicie się po równo.

Jamie wybiegł myślami naprzód. Dotąd był przekonany, że sto dwadzieścia funtów, które sobie odłożył, wystarczy na zakup narzędzi i przeżycie, ale ceny w Klipdrift były oszałamiające. W sklepie van der Merwego zauważył, że stufuntowy worek mąki australijskiej kosztuje pięć funtów. Funt cukru - szylinga. Butelka piwa - pięć szylingów. Funt biskwitów - trzy szylingi, a tuzin świeżych jaj - siedem. „Mój Boże - pomyślał. - W domu mogliśmy przez cały rok żyć za pieniądze, które tutaj starczą ledwo na trzy posiłki”. Gdyby jednak otrzymał wsparcie ze strony kogoś bogatego, na przykład pana van der Merwego... Jamie pospiesznie zapłacił rachunek i szybkim krokiem wrócił do sklepu.

Salomon van der Merwe stał za ladą. Wyjmował karabiny z drewnianej skrzyni. Był niskim człowiekiem o brzydkiej, wychudłej twarzy okolonej bokobrodami. Miał rudawe włosy, małe, ciemne oczy i zaciśnięte usta. „Jego córka musiała wdać się w matkę” - pomyślał Jamie i odezwał się:

- Przepraszam pana...

- *Ja?* - mruknął pod nosem van der Merwe, podnosząc na niego wzrok.

- Pan van der Merwe? - zaczął Jamie. - Nazywam się Jamie McGregor, sir. Jestem Szkotem. Przyjechałem tu, by szukać diamentów.

- *Ja?* I co?

- Słyszałem, że czasem pomaga pan poszukiwaczom.

Van der Merwe skrzywił się.

- *Myn magtig!* Kto rozsiewa te pogłoski? Pomogłem kilku poszukiwaczom i wszyscy zaraz myślą, że jestem świętym Mikołajem.

- Zaoszczędziłem - oznajmił poważnie Jamie - sto dwadzieścia funtów. Ale, jak widzę, nie na długo mi one tu starczą. Jeśli będzie trzeba, pójdę do buszu z jedną tylko łopatą, ale myślę, że moje szanse byłyby większe, gdybym miał muła i trochę odpowiedniego sprzętu.

Van der Merwe przypatrywał mu się uważnie swoimi małymi, ciemnymi oczami.

- *Wat denk ye?* Co każe ci sądzić, że znajdziesz diamenty?

- Przebyłem pół świata, panie van der Merwe, i nie zamierzam stąd się ruszyć, dopóki nie stanę się bogaty. Jeżeli są tu gdzieś diamenty, ja je znajdę. Jeśli pan mi pomoże, uczynię

nas obu bogatymi.

Van der Merwe chrząknął głośno, odwrócił się plecami do Jamiego i zabrał z powrotem do wyjmowania karabinów. Jamie stał nieruchomo, nie wiedząc, co powiedzieć. Następne pytanie zaskoczyło Jamiego.

- Przyjechałeś tu wozem, *ja!*

- Nie. Poczta dwukółką.

Starszy człowiek odwrócił się, by raz jeszcze przyjrzeć się chłopcu.

- Porozmawiamy o tym - powiedział w końcu.

Rozmawiali o tym jeszcze tego wieczoru przy kolacji, w pokoju na tyłach sklepu, który był mieszkaniem van der Merwego. Był to mały pokój - będący jednocześnie kuchnią, jadalnią i sypialnią - z kotarą oddzielającą dwa połowe łóżka. Dolna połowa ścian była zbudowana z gliny i kamienia, a górną tworzyły kartony po prowiantach. W ścianie został wycięty mały otwór na okno, który w dni deszczowe można było zasłonić długą deską, służącą normalnie za stół jadalny i opierającą się na dwóch drewnianych skrzyniach. Przewrócone zaś na bok pudło zastępowało kredens kuchenny. Jamie musiał przyznać, że van der Merwe nie należy do ludzi, którzy łatwo pozbywają się swoich pieniędzy.

Córka van der Merwego w milczeniu krzątała się przy kolacji. Od czasu do czasu rzucała uważne spojrzenia na ojca, ale ani razu nie zerknęła w stronę Jamiego, który nie mógł zrozumieć, dlaczego jest taka wystraszona.

Kiedy usiedli do stołu, van der Merwe powiedział:

- A teraz odmówmy modlitwę. Dziękujemy Ci, Panie, za ten posiłek i wszystkie dary Twojej dobroci. Dziękujemy Ci za odpuszczenie nam grzechów i wskazanie właściwej drogi. Dziękujemy za uwolnienie od wszelkich pokus. Dziękujemy Ci za długie i owocne życie i za ukaranie śmiercią tych, którzy zgrzeszą przeciwko Tobie. Amen. - I jednym tchem dodał: - Podaj mi jedzenie, córko.

Kolacja była skromna: kawałek pieczonej wieprzowiny, trzy gotowane ziemniaki i miska surówki z rzepy. Obaj mężczyźni niewiele mówili podczas posiłku, a Margaret nie odzywała się wcale.

- To było wyśmienite, córko - powiedział van der Merwe, gdy skończyli jeść, a z jego głosu przebijała duma. Potem zwrócił się do Jamiego: - Porozmawiajmy o interesach, *ja?*

- Tak, proszę pana - odparł Jamie.

Van der Merwe nabił długą glinianą fajkę tytoniem o słodkim zapachu i zapalił ją. Poprzez kłęby dymu Jamie widział jego chytre oczy przyglądające się mu uważnie.

- Poszukiwacze w Klipdrift są głupcami. Zbyt mało diamentów, zbyt wielu poszukiwaczy. Człowiek może tutaj przez rok wypruć sobie żyły i nie znaleźć nic, oprócz *schlenters*.

- Ja... ja obawiam się, że nie jestem obeznany z tym słowem, sir.

- Fałszywe diamenty. Bezwartościowe. Rozumiesz, chłopcze?

- Ja? Tak, sir. Tak sądzę. Ale jakie jest wyjście, sir?

- Khoi-Khoin.

Jamie spojrział na niego z zakłopotaniem.

- To afrykańskie plemię z północy. Oni znajdują diamenty, duże diamenty, i czasem przynoszą je do mnie, aby wymienić na towary. - Holender zniżył głos do poufnego szeptu. - Ja wiem, gdzie je znajdują.

- Więc dlaczego pan sam nie uda się po nie, panie van der Merwe?

- Nie mogę - westchnął van der Merwe. - Nie mogę opuszczać sklepu. Ludzie zaraz by go doszczętnie okradli. Potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać, o kim bym wiedział, że pójdzie tam i przyniesie diamenty. Gdy znajdę właściwego człowieka, zaopatrzę go we wszystko, co potrzeba. - Przerwał na chwilę, by rozpaść fajkę. - I powiem mu, gdzie są diamenty.

Jamie poderwał się z mocno bijącym sercem.

- Panie van der Merwe, ja jestem tym człowiekiem, którego pan szuka. Niech pan mi uwierzy, sir, będę pracował dniami i nocami. - Głos drżał mu z podniecenia. - Przyniosę panu więcej diamentów, niż mógłby pan zliczyć.

Van der Merwe przyglądał mu się uważnie przez chwilę, która wydawała się Jamiemu wiecznością. Kiedy w końcu otworzył usta, wypowiedział tylko jedno słowo: - *Ja*.

Nazajutrz Jamie podpisał umowę. Była napisana w języku afrikaans.

- Muszę ci ją wyjaśnić - rzekł van der Merwe. - Tu jest powiedziane, że jesteśmy równoprawnymi współnikami. Ja wnoszę kapitał, a ty wnosisz swoją pracę. Dzielimy się wszystkim po równo.

Jamie spojrział na umowę, którą van der Merwe trzymał w ręce. W gąszczu niezrozumiałych słów odczytał jedynie sumę: dwa funty.

- Co ona oznacza, panie van der Merwe? - spytał wskazując palcem.

- Oznacza, że oprócz swojej połowy diamentów otrzymasz jeszcze dodatkowe dwa funty za każdy tydzień pracy. Chociaż ja wiem, że tam są diamenty, biorę pod uwagę i tę możliwość, że możesz ich wcale nie znaleźć, chłopcze. W takim wypadku będziesz

przynajmniej coś miał za swoją pracę.

Ten człowiek zdawał się postępować bardziej niż uczciwie.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję, sir. - Jamie miał ochotę go uściskać.

- A teraz wyekwipujemy ciebie - powiedział van der Merwe.

Wybranie rzeczy, jakie Jamie miał zabrać ze sobą do buszu, zajęło dwie godziny. Było tego sporo: mały namiot, koce, przybory kuchenne, dwa sita, płuczka, kilof, dwie łopaty, trzy wiadra, jedna para skarpet na zmianę i bielizna. Była też siekiera, latarnia na świecę, olej parafinowy, zapałki i mydło arsenowe. Ponadto: puszki z jedzeniem, suszone mięso w płatach, cukier, owoce, kawa i sól. W końcu wszystko było gotowe. Czarnoskóry służący, Banda, w milczeniu pomagał Jamiemu pakować rzeczy. Potężny mężczyzna ani razu nie spojrzał na Jamiego, ani też słowem się nie odezwał. „Nie zna angielskiego” - uznał Jamie. Margaret była w sklepie, czekała na klientów. Nawet jeśli wiedziała, że Jamie jest w pobliżu, nie dawała tego po sobie poznać.

Van der Merwe podszedł do Jamiego.

- Twój muł stoi przed sklepem - powiedział. - Banda pomoże ci to wszystko załadować.

- Dziękuję panu, panie van der Merwe.

Van der Merwe patrzył uważnie na wypełnioną cyframi kartkę papieru, którą trzymał w ręce.

- To będzie w sumie sto dwadzieścia funtów. Jamie spojrzał na niego z zakłopotaniem.

- Ja... nie rozumiem... Przecież uzgodniliśmy, że to jest częścią naszej umowy. Jesteśmy...

- *Wat bedui'di?* - przerwał van der Merwe, a jego twarz poczerwieniała. - Czy spodziewasz się, że ja dam ci to wszystko i wspaniałego muła, że zrobię cię swoim współnikiem i dam ci jeszcze dwa funty tygodniowo? Jeśli chcesz mieć coś za nic, to źle trafiłeś, chłopcze. - Van der Merwe chwycił za jeden z tobołków.

- Nie! - odparł pospiesznie Jamie. - Proszę, panie van der Merwe. Ja po prostu nie zrozumiałem. Wszystko jest tak, jak być powinno. Mam przy sobie pieniądze. - Sięgnął po sakiewkę i wyłożył swoje ostatnie oszczędności na kontuarze.

Van der Merwe zawahał się, po czym rzucił z udaną obojętnością:

- Niech będzie. Powiedzmy, że było to nieporozumienie. W tym mieście roi się od oszustów. Muszę uważać, z kim robię interesy.

- Tak, sir. Oczywiście, że pan musi - zgodził się Jamie. W swoim podnieceniu nie

zrozumiał transakcji. „Jestem szczęściarzem - pomyślał - że daje mi jeszcze jedną szansę”.

Van der Merwe wyjął z kieszeni małą pomiętą, ręcznie narysowaną mapę.

- Tutaj jest to miejsce, gdzie znajdziesz *mooi klippe*. Na północ stąd w Magerdam, na prawym brzegu rzeki Vaal.

Jamie uważnie spojrzął na mapę, a serce znów zaczęło mu bić mocniej.

- Ile to mil stąd? - spytał.

- Tutaj - wyjaśnił van der Merwe - mierzymy odległość czasem. Mając muła odbędziesz tę podróż w cztery lub pięć dni. Powrót będzie trwał dłużej, a to z powodu ciężaru diamentów.

- *Ja* - uśmiechnął się szeroko Jamie.

Kiedy Jamie McGregor znalazł się ponownie na ulicach Klipdrift, nie był już turystą. Był poszukiwaczem. Na drodze do zdobycia fortuny. Banda skończył ładować rzeczy na grzbiet mizernie wyglądającego muła przywiązanego do słupka przed sklepem.

- Dziękuję - uśmiechnął się Jamie.

Banda odwrócił się i spojrzął mu w oczy, a potem bez słowa się oddalił. Jamie odwiązał lejce i powiedział do muła:

- Ruszamy, współniku. Nadszedł czas *mooi klippe*.

Ruszyli w drogę na północ.

O zmierzchu Jamie rozbił obóz nad strumieniem, rozładował muła, napił go i nakarmił, a potem zaserwował sobie sporą porcję wołowiny, suszone morele i kawę. Noc wypełniały dziwne odgłosy. Słyszał pomruki, wycia i stąpania dzikich zwierząt spieszących do wodopoju. Był całkiem bezbronny w tej obcej, pierwotnej krainie, otoczony najniebezpieczniejszymi bestiami świata. Wydawało mu się, że zaraz wyskoczą z ciemności i wbiją w niego swoje kły i pazury. Podrywał się na każdy dźwięk. Zaczął wracać pamięcią do rodzinnego domu. Myślał o ciepłym łóżku, o spokoju i bezpieczeństwie. Spał niespokojnie, dręczony koszmarami. Śniły mu się lwy, słonie i brodaci mężczyźni usiłujący odebrać mu ogromny diament.

Kiedy się obudził, muł był martwy.

## Rozdział 2

Nie mógł w to uwierzyć. Szukał jakiejś rany sądząc, że muł został w nocy zaatakowany przez dzikie zwierzę, ale nic takiego nie znalazł. Muł zdechł we śnie. „Pan van der Merwe - pomyślał - obciąży mnie za to, ale kiedy przyniosę mu diamenty, nie będzie to miało znaczenia”.

Nie było już odwrotu. Musiał dotrzeć do Magerdam bez muła. Usłyszał jakiś dźwięk nad sobą i spojrzał w górę. Olbrzymie czarne sępy zaczynały krążyć wysoko. Jamie wzdrygnął się. Czym prędzej zwinął w tobolek najniezbędniejsze rzeczy i ruszył w dalszą drogę. Gdy w pięć minut później spojrzał za siebie, zobaczył tylko długie ucho zwierzęcia, gdyż całą resztę ciała pokryły wielkie sępy. Jamie przyspieszył kroku.

Był grudzień, pora letnia w Afryce Południowej, i wędrówka przez veld w piekielnym blasku ogromnego, pomarańczowego słońca była czymś przerażającym. Jamie wyruszył z Klipdrift żwawym krokiem i z lekkim sercem, ale w miarę jak minuty zmieniały się w godziny, a godziny w dni, jego krok stawał się wolniejszy, a serce cięższe. Jak okiem sięgnąć, lśnił monotony veld, a szare, kamieniste, pogrążone w smutku pustkowia zdawały się rozciągać w nieskończoność. Jamie rozbijał obóz, gdy tylko dochodził do jakiejś kałuży w wyschniętym korycie rzeki, i zasypiał wśród pełnych grozy nocnych odgłosów. Odgłosy te nie napawały go już niepokojem. Były dowodem, że w tym nagim piekle istnieje życie.

Któregoś dnia o świcie natknął się na lwią rodzinę. Obserwował z oddali, jak lwica zbliżyła się do swego towarzysza i ich małych, trzymając w szczękach upolowaną impalę. Położyła ją przed samcem. Kiedy zaczął się pożywiać, jedno z lekkomyślnych lwiątek skoczyło na impalę, wbijając się w nią zębami. Lew zabił je niedbałym machnięciem łapy. Gdy skończył jeść, do resztek została dopuszczona pozostała część rodziny. Jamie ostrożnie wycofał się i ruszył w dalszą drogę.

Przejście przez Karru zajęło mu prawie dwa tygodnie. Niejeden raz był już bliski załamania. Nie był pewien, czy uda mu się skończyć tę wędrówkę. „Jestem głupcem. Powinienem był wrócić do Klipdrift i poprosić pana van der Merwego o nowego muła. Ale co by było, gdyby van der Merwe zerwał umowę? Nie, postąpiłem właściwie”.

I Jamie szedł dalej, krok za krokiem. Pewnego dnia zauważył w oddali cztery postacie idące w jego kierunku. „Muszę chyba majaczyć - pomyślał. - To miraż”. Ale postacie wciąż się zbliżały i serce zaczęło mu walić jak młotem. „Ludzie. Tutaj są istoty ludzkie!” Nie był pewien, czy nie zapomniał mówić. Sprawdził swój głos, ale zabrzmiał on tak, jakby należał

do kogoś już od dawna nieżyjącego. Zbliżyło się czterech mężczyzn. Byli to poszukiwacze powracający do Klipdrift, zmęczeni i zrezygnowani.

- Dzień dobry - odezwał się Jamie.

Skinęli głowami, a jeden z nich powiedział:

- Tam nic nie ma, chłopcze. Sprawdzaliśmy. Marnujesz tylko czas. Lepiej zrobisz, jak wrócisz.

Po chwili już ich nie było.

Jamie nie myślał teraz o niczym; widział przed sobą jedynie nieskończone pustkowie. Przez cały czas nękało go słońce i muchy, przed którymi nie miał się gdzie schować, gdyż małe kolczaste drzewka, które rosły tu i ówdzie, były stratowane przez słońce. Jamie był prawie zupełnie oślepiiony słońcem. Jego jasna skóra wyglądała jak wypalona cegła, wciąż miał zawroty głowy. Przy każdym oddechu zdawało mu się, że płuca zaraz eksplodują. Nie szedł już, lecz potykał się, stawiając jedną nogę przed drugą, bezładnie przechylając się do przodu. Pewnego popołudnia, gdy słońce świeciło wyjątkowo mocno, Jamie zrzucił z pleców tobołek i upadł na ziemię, zbyt wyczerpany, by zrobić następny krok. Zamknął oczy i przyśniło mu się, że jest w wielkim tyglu, że słońce - ogromny i błyszczący diament - spala go i roztopia. Obudził się w środku nocy, cały drżący z zimna. Wmusił w siebie kilka kawałków mięsa i parę łyków letniej wody. Wiedział, że musi się podnieść i zacząć iść, zanim wszędzie słońce, dopóki ziemia i niebo są chłodne. Usiłował to uczynić, ale bez skutku. Najprostszą rzeczą byłoby leżeć tutaj i nigdy już nie zrobić kroku. „Jeszcze trochę się prześpię” - pomyślał, ale jakiś wewnętrzny głos ostrzegł go, że nigdy by już nie wstał. Znalaziono by jego ciało, tak jak znalaziono setki innych. Przypomniał sobie sępy i pomyślał: „Nie, nie moje ciało, lecz moje kości”. Z wielkim trudem podniósł się. Czuł ból w każdym mięśniu. Tobolek stał się nagle tak ciężki, że nie mógł go unieść. Zaczął powoli iść, ciągnąc go za sobą. Bez przerwy przewracał się i podnosił.

- Jestem Jamie McGregor - zaczął w pewnej chwili krzyczeć patrząc na słońce. - I dokonam tego. Będę żył. Czy słyszysz mnie, Boże? Będę żył... - W głowie huczało mu od różnych głosów.

„- Masz zamiar wydobywać diamenty? Chyba pomieszało ci się w głowie, mój chłopcze. To wszystko bajki, kuszenie diabła, by odciągnąć mężczyzn od uczciwej pracy.

- Czemu nie powiesz nam, skąd weźmiesz pieniądze na podróż? To kawał drogi, a ty nie śmierdzisz groszem.

- Panie van der Merwe, ja jestem tym człowiekiem, którego pan szuka. Niech pan mi



uwierzy, sir, będę pracował dniami i nocami. Przyniosę panu więcej diamentów, niż mógłby pan zliczyć”.

Teraz Jamie czuł się zupełnie wykończony. Miał dość, zanim naprawdę zaczął. „Masz dwie rzeczy do wyboru - mówił do siebie. - Możesz iść lub zostać tutaj i umrzeć... i umrzeć... i umrzeć...” Słowa odbijały się nieskończonym echem w jego głowie. „Jeszcze możesz zrobić jeden krok - myślał. - No dalej, chłopcze. Jeszcze jeden krok. Jeszcze jeden krok...”

W dwa dni później Jamie McGregor, zataczając się i potykając, dotarł wreszcie do Magerdam. Jego ciało było pokryte ranami oparzeniowymi powstałymi na skutek długiego działania piekielnego słońca. Rany uległy zakażeniu i teraz sączyły się z nich krew i płyn surowiczny. Miał tak zapuchnięte oczy, że prawie nic nie widział. Na środku drogi, nie wytrzymując już ciężaru tobołka, upadł na plecy. Jacyś życzliwi poszukiwacze chcieli uwolnić go od ciężaru, ale odepchnął ich resztkami sił.

- Nie! - zaczął bredzić w gorączce. - Zostawcie moje diamenty. Zostawcie moje diamenty...

Obudził się w małym, pustym pokoju, trzy dni później. Był cały owinięty bandażami. Gdy otworzył oczy, zobaczył okazałą kobietę w średnim wieku siedzącą na brzegu łóżka.

- G-g-g? - zacharczał. Nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Spokojnie, kochany. Byłeś chory. - Delikatnie uniosła jego obandażowaną głowę i dała mu mały łyk wody z blaszanki. Jamie zdołał oprzeć się na łokciu.

- Gdzie? - Pociągnął kolejny łyk. - Gdzie ja jestem?

- Jesteś w Magerdam - powiedziała kobieta. - Nazywam się Alice Jardin. To jest mój pensjonat. Wszystko będzie dobrze. Musisz tylko porządnie odpocząć. A teraz połóż się na plecach.

Jamie przypomniał sobie obcych ludzi, którzy chcieli wziąć jego tobolek, i ogarnął go nagły, niepohamowany strach.

- Moje rzeczy. Gdzie są...? - Usiłował wstać z łóżka, ale łagodny głos kobiety powstrzymał go.

- Wszystko jest w bezpiecznym miejscu. Nie musisz się martwić, synku. - Wskazała na tobolek spoczywający w kącie pokoju.

Jamie położył się na plecach w czystej pościeli. „Dotarłem tutaj. Udało mi się. Teraz już wszystko się ułoży”.

Alice Jardin była darem boskim nie tylko dla Jamiego McGregora, ale i połowy Magerdam. W tym górniczym miasteczku, pełnym awanturników opętanych tym samym

pragnieniem, Alice Jardin karmiła ich, pielęgnowała i dodawała otuchy. Była Angielką. Przyjechała do Afryki Południowej wraz ze swym mężem, który porzucił pracę nauczyciela w Leeds, aby dołączyć do poszukiwaczy diamentów. Umarł na malarię trzy tygodnie po ich przyjeździe, ale ona zdecydowała się pozostać. Górnicy stali się jej dziećmi, których nigdy nie miała.

Przez cztery kolejne dni trzymała Jamiego w łóżku, karmiąc go, zmieniając bandażę i pomagając odzyskać siły. Piątego dnia Jamie mógł już wstać.

- Chciałbym - powiedział - aby pani wiedziała, jak bardzo jestem jej wdzięczny. Nie mogę się niczym zrewanżować. Jeszcze nie mogę. Ale pewnego dnia, już niedługo, przyniosę pani wielki diament. Jamie McGregor obiecuje to pani.

Roześmiała się na te słowa wypowiedziane przez przystojnego, młodego chłopca z niezachwianym przekonaniem. Ważył o dwadzieścia funtów za mało, a jego szare oczy przepelniał koszmar, jaki przeszedł, ale była w nim jakaś siła, determinacja, która zniewalała. „Jest inny niż wszyscy” - pomyślała pani Jardin.

W świeżo upranym ubraniu Jamie poszedł rozejrzeć się po miasteczku. Było to Klipdrift na mniejszą skalę. Znajdowały się tu takie same namioty, wozy, zakurzone ulice, nędzne sklepiki i tłumy poszukiwaczy. Przechodząc obok saloonu usłyszał wesoły gwar. Przystanął, a potem wszedł do środka. Hałaśliwy tłumek otaczał Irlandczyka w czerwonej bluzie.

- Co się tu dzieje? - spytał Jamie.

- On zamierza oblać swoje odkrycie.

- Co zamierza?

- Dzisiaj wzbogacił się, więc stawia wszystkim. Płaci za tyle wódki, ile ci wszyscy spragnieni faceci w barze mogą wlać w siebie.

Jamie wdał się w rozmowę z kilkoma markotnymi poszukiwaczami siedzącymi przy okrągłym stoliku.

- Skąd jesteś, McGregor? - zagadnął jeden z nich.

- Ze Szkocji.

- Hm, nie wiem, jakie gówniane historie opowiadali ci Szkoci, ale wiem, że tutaj w tym pieprzonym kraju nie ma dość diamentów, by pokryć wszystkie wydatki.

Potem rozmawiali o różnych obozach: Gong Gong, Forlorn Hope, Delports, Poormans Kopje, Sixpenny Rush...

Wszyscy poszukiwacze opowiadali jedną i tę samą historię - o miesiącach

wyczerpującej pracy przy usuwaniu gładów, wkopywaniu się w twardą ziemię, siedzeniu w kucki nad brzegiem rzeki i przesiewaniu piasku i żwiru. Każdego dnia znajdowano kilka diamentów, nie na tyle dużo, by uczynić człowieka bogatym, ale dostatecznie dużo, by podtrzymać jego złudzenia. Atmosfera panująca w miasteczku przypominała dziwną mieszaninę optymizmu i pesymizmu. Optymiści przyjeżdżali, a pesymiści wyjeżdżali.

Jamie wiedział, po czyjej jest stronie.

Podszedł do Irlandczyka w czerwonej bluzie, którego oczy były już mętne od alkoholu, i pokazał mu mapę van der Merwego. Mężczyzna zerknął na mapę i odsunął ją z powrotem do Jamiego.

- Nic niewarta. Cała ta okolica została już dokładnie przetrząśnięta. Na twoim miejscu spróbowałbym w Bad Hope.

Jamie nie mógł w to uwierzyć. Mapa van der Merwego była przecież tym, co przyprowadziło go tutaj, była gwiazdą przewodnią mającą uczynić go bogatym.

- Udaj się do Colesberg. Tam właśnie znajduje się diamenty, synu - powiedział inny poszukiwacz.

- Gilfillans Kop - to jest miejsce, gdzie należy szukać diamentów - dodał jeszcze inny.

- Spróbuj w Moonlight Rush, jeśli chcesz znać moje zdanie - wtrącił się kolejny.

Tego wieczoru przy kolacji Alice Jardin powiedziała:

- Jamie, każde miejsce jest takim samym wielkim hazardem jak inne. Znajdź więc coś dla siebie, rozbijaj ziemię kilofem i módl się. Tak właśnie robią ci wszyscy „eksperci”.

Po bezsennej nocy spędzonej na rozważaniach Jamie postanowił, że zapomni o mapie van der Merwego. Wbrew wszelkim radom zdecydował się pójść na wschód wzdłuż rzeki Modder. Nazajutrz pożegnał się z panią Jardin i wyruszył w drogę. Szedł trzy dni i dwie noce, aż dotarł do zachęcająco wyglądającego miejsca, gdzie postawił swój mały namiot. Ogromne głązy stały po obu stronach rzeki i Jamie - za pomocą grubych gałęzi, które posłużyły mu za dźwignie - usunął je, by dostać się do piasku pod spodem.

Kopał od świtu do nocy, szukając żółtawej gliny lub niebieskawej gleby diamentonośnej, które świadczyłyby, że trafił na komin diamentowy. Ale ziemia była jałowa. Kopał prawie przez siedem dni. Lecz nie znalazł nawet jednego kamienia. Pod koniec tygodnia opuścił to miejsce.

Któregoś dnia, idąc w górę rzeki, zobaczył w oddali coś, co wyglądało na srebrny dom, co lśniło w słońcu oślepiającym blaskiem. „Tracę chyba wzrok” - pomyślał, ale kiedy

podszedł bliżej, zobaczył wioskę, w której wszystkie domki zdawały się być zbudowane ze srebra. Tłumy hinduskich mężczyzn, kobiet i dzieci ubranych w łachmany kłębiły się na zewnątrz. Jamie przyglądał się temu obrazowi w oszołomieniu. Srebrne domki lśniące w słońcu były zbudowane z blaszanych puszek po dzemie, wyklepanych, połączonych ze sobą i przybitych do prymitywnych bud. Jamie ruszył dalej i gdy w godzinę później obejrzał się za siebie, ujrzał ponownie ten sam blask bijący od wioski. Był to widok, którego nigdy miał nie zapomnieć.

Przez cały czas szedł na północ, trzymając się brzegu rzeki, gdyż tu mogły być diamenty. Rozbijał ziemię, dopóki jego ręce mogły utrzymać ciężki kilof, a potem przesiewał mokry piasek przez ręczne sito. Gdy zapadał zmierzch, zasypiał jak odurzony.

Pod koniec drugiego tygodnia przeniósł się znów w górę rzeki, na północ od małej osady zwanej Paardspan. Zatrzymał się przy zakolu rzeki, pożywił kawałkiem mięsa *carbonaatje*, które popił ciepłą herbatą. Potem usiadł przed namiotem i patrzył na migocące gwiazdy na bezkresnym niebie. Od dwu tygodni nie widział istoty ludzkiej i zaczynał odczuwać nostalgię za domem. „Co ja, u diabła, tu robię? - zastanawiał się. - Siedzę w tej przeklętej dziczy jak ostatni głupiec, wypruwam z siebie flaki, rozbijając kamienie i wydobywając błoto. Czy nie lepiej było zostać na farmie? Jeśli do soboty nie znajdę choćby jednego diamentu, wracam do domu”. Spojrzał w górę na obojętne niebo.

- Czy słyszysz mnie ty przeklęty? - Z gardła wydobył mu się przeraźliwy pisk. „Chryste Panie - pomyślał zaraz potem. - Tracę chyba rozum”.

Siedział w kucki bezwiednie przesypując piasek przez palce, które nagle zacisnęły się na dużym kamieniu. Zerknął w dół i niemal natychmiast go wyrzucił. W ciągu ostatnich tygodni widział setki takich jak ten bezwartościowych kamieni. *Schlenters*, jak by powiedział van der Merwe. A jednak coś go po chwili zaintrygowało. Poszedł więc po kamień. Był znacznie większy od innych i miał dziwny kształt. Otarł go o nogawkę spodni i przyjrzał się uważniej. Wyglądał jak diament. Jediną rzeczą, która budziła wątpliwości, była jego wielkość. Był prawie tak duży jak kurze jajo. „O Boże, a jeśli to jest diament...” Jamie wstrzymał oddech, a potem chwycił latarnię i zaczął przeszukiwać ziemię wokoło. W ciągu piętnastu minut znalazł jeszcze cztery podobne kamienie. Żaden nie był tak duży jak ten pierwszy, ale wszystkie były wystarczająco duże, aby wprawić go w podniecenie.

Wstał już przed świtem. Kopał jak szalony i do południa znalazł sześć dalszych diamentów. Następny tydzień spędził na gorączkowym wykopywaniu drogocennych kamieni i zakopywaniu ich o zmroku w bezpiecznym miejscu. Każdego dnia przybywało nowych

diamentów i Jamie czuł niewypowiedzianą radość widząc, jak pomnaża się jego majątek. Tylko połowa tego skarbu należała do niego, ale wystarczy, by stał się tak bogatym, jak mu się nawet nie śniło.

Pod koniec tygodnia Jamie zaznaczył na mapie to miejsce, wyznaczył granice swej działki, uważnie zakreślając linie kilofem i stawiając na nich kołki. Wykopał też swój ukryty skarb, starannie zawiązał w tobołek i udał się z powrotem do Magerdam.

Napis na zewnątrz małego budynku głosił: DIAMANT KOOPER. Jamie wszedł do biura, małego, dusznego pokoju, i nagle ogarnął go niepokój. Słyszał już mnóstwo historii o poszukiwaczach znajdujących diamenty, które okazywały się bezwartościowymi kamieniami. „A jeśli się mylę? A jeśli...?”

Taksator siedział za zawalonym biurkiem.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Tak, sir. - Jamie wstrzymał oddech. - Chciałbym, aby pan to oszacował.

Pod uważnym spojrzeniem taksatora Jamie zaczął wyjmować kamienie i kłaść je na biurku. Było ich w sumie dwadzieścia siedem i taksator patrzył jak oniemiały.

- Gdzie... - spytał po chwili drżącym głosem - gdzie je znalazłeś?

- Najpierw niech pan mi powie, czy to są diamenty? Taksator podniósł największy kamień i zaczął badać go pod lupą jubilerską.

- Mój Boże! - powiedział w końcu. - To największy diament, jaki kiedykolwiek widziałem! - Jamie poczuł, że zapiera mu dech. Miał ochotę krzyczeć z radości. - Gdzie... - mówił błagalnym głosem mężczyzna - gdzie je pan znalazł?

- Spotkajmy się za piętnaście minut w kantynie - wyszczerzył zęby Jamie. - Wówczas się pan dowie. - Zebrał diamenty, wypchał nimi kieszenie i wyszedł szybkim krokiem.

Udał się do biura rejestracyjnego mieszczącego się o dwa domy dalej na tej samej ulicy.

- Chciałbym zarejestrować działkę - oświadczył. - Na dwa nazwiska. Salomona van der Merwego i Jamiego McGregora.

Wszedł do biura jako ubogi chłopiec z farmy, a wyszedł jako multimilioner.

Gdy Jamie McGregor zjawił się w kantynie, taksator czekał na niego. Musiał już z pewnością puścić w obieg wiadomość, gdyż kiedy Jamie wchodził, rozległ się nagły szmer uznania. Każdemu cisnęło się na usta jedno i to samo pytanie. Jamie podszedł do baru i zwrócił się do barmana:

- Przyszedłem, by oblać swoje odkrycie. - Potem odwrócił się i powiedział do

wszystkich: - Paardspan.

Alice Jardin piła właśnie herbatę, gdy Jamie wszedł do kuchni. Jej twarz rozjaśniła się na jego widok.

- Jamie! Och, dzięki Bogu, że wróciłeś cało! - Objęła wzrokiem jego potargane włosy i rozgorączkowane oczy. - Nie poszło najlepiej, prawda? Nie martw się. Filiżanka mocnej herbaty dobrze ci zrobi.

Jamie bez słowa sięgnął do kieszeni i wyjął duży diament, a potem włożył go do ręki pani Jardin.

- Dotrzymałem obietnicy - powiedział.

Przez dłuższy czas patrzyła na kamień, a jej niebieskie oczy napelniły się łzami.

- Nie, Jamie. Nie. - Jej głos był bardzo miękki. - Nie chcę go. Nie rozumiesz, dziecko? To by wszystko popsulo.

Jamie powrócił do Klipdrift z fasonem. Wymienił jeden z mniejszych diamentów na konia i powóz, skrupulatnie odnotowując tę transakcję, by przy rozliczeniu nie oszukać swego wspólnika. Podróż powrotna do Klipdrift była spokojna i wygodna. Kiedy Jamie przypomniał sobie piekło, przez które musiał przejść podczas tej samej drogi, ogarnęło go zdumienie. „Taka jest różnica między biednymi a bogatymi - pomyślał - że biedni muszą chodzić, a bogaci jeżdżą powozami”.

Podciął konia batem i zadowolony jechał dalej przez ciemniejący veld.

### Rozdział 3

Klipdrift nie zmieniło się, ale Jamie McGregor - tak. Ludzie wytrzeszczali oczy ze zdumienia, gdy wjeżdżał do miasta i zatrzymywał się przed składem towarowym van der Merwego. To nie tylko kosztowny koń i powóz przykuwały uwagę przechodniów, lecz również aureola triumfu otaczająca młodego człowieka. Widzieli już ją u innych poszukiwaczy, którym się powiodło, i zawsze napęłniała ich nadzieją. Cofnęli się z szacunkiem patrząc, jak Jamie zeskakuje z powozu.

W pobliżu stał ten sam potężny, czarnoskóry mężczyzna i Jamie uśmiechnął się szeroko do niego.

- Witaj! Jestem z powrotem.

Banda bez słowa przywiązała konia do słupka i wszedł do sklepu, a Jamie za nim.

Salomon van der Merwe załatwiał właśnie klienta. Mały Holender z uśmiechem podniósł wzrok i Jamie domyślił się, że w jakiś sposób musiał się już o wszystkim dowiedzieć. Nikt tego nie potrafił wyjaśnić, ale wiadomości o odkryciu diamentów obiegały kontynent lotem błyskawicy.

Po odprawieniu klienta van der Merwe skinął głową w kierunku tylnej części sklepu i powiedział:

- Proszę, panie McGregor.

Jamie wszedł za nim. Córka van der Merwego stała przy piecu, przygotowując obiad.

- Witaj, Margaret - rzekł Jamie. Margaret zarumieniła się i odwróciła wzrok.

- No, no! - promieniał van der Merwe. - Słyszałem dobrą nowinę. - Usiadł przy stole i odsunął talerze.

- Zgadza się, sir - odparł z dumą Jamie.

Wyjął z kieszeni marynarki dużą skórzaną sakiewkę i rozrzucił wszystkie diamenty na stole. Van der Merwe, jak zahipnotyzowany, długo się im przyglądał, a następnie powoli zaczął je brać do ręki, delektując się każdym z osobna i zachowując największy na koniec. Potem zgarnął je wszystkie razem i wrzucił do irchowej torby, którą wsadził do żelaznego sejfego stojącego w rogu.

- Dobrze się pan spisał, panie McGregor - powiedział głosem pełnym zadowolenia, gdy zamknął sejf. - W rzeczy samej, bardzo dobrze.

- Dziękuję, sir - odparł Jamie. - To dopiero początek. Są tam jeszcze setki innych. Nawet nie śmiem myśleć, ile są warte.

- A ogrodziłeś działkę prawidłowo?

- Tak, sir. - Jamie sięgnął do kieszeni i wyjął dowód rejestracji. - Jest zarejestrowana na oba nasze nazwiska.

Van der Merwe uważnie spojrział na dokument i schował go do kieszeni.

- Należy ci się premia, chłopcze. Poczekaj tu chwilę. - Skierował się w stronę drzwi prowadzących do sklepu. - Chodź, Margaret.

Poszła potulnie za nim, a Jamie pomyślał, że dziewczyna zachowuje się jak zaszczute zwierzątko.

Kilka minut później van der Merwe wrócił sam, trzymając w ręku woreczek na pieniądze.

- Oto twoja premia - powiedział otwierając go. Uważnie odliczył, pięćdziesiąt funtów.

- A to po co, sir? - Jamie spojrział na niego ze zdumieniem.

- Dla ciebie, synu. To wszystko.

- Ja... nie rozumiem...

- Nie było cię przez dwadzieścia cztery tygodnie. Przy stawce dwa funty na tydzień wypada w sumie czterdzieści osiem funtów, a ja daję ci jeszcze dodatkowe dwa funty jako premię.

Jamie parsknął śmiechem.

- Nie potrzebuję premii. Wystarczy mi mój udział w diamentach.

- Twój udział w diamentach?

- Tak, oczywiście, sir. Moje pięćdziesiąt procent. Jesteśmy wspólnikami.

Van der Merwe obrzucił go pełnym zdziwienia spojrzeniem.

- Wspólnikami? Skąd ci przyszedł do głowy ten pomysł?

- Skąd mi...? - Jamie poczuł się zbity z tropu. - Podpisaliśmy umowę.

- To się zgadza. Czy przeczytałeś ją?:

- No, nie, sir. Jest w języku afrikaans, ale pan powiedział, że jesteśmy równoprawnymi wspólnikami.

- Źle mnie pan zrozumiał, panie McGregor. - Starszy człowiek potrząsnął głową. - Ja nie potrzebuję wspólników. Wyposażyłem cię i posłałem po diamenty dla siebie.

Jamie poczuł w sobie wzrastający gniew.

- Pan mi nic nie dał. Zapłaciłem panu sto dwadzieścia funtów za ekwipunek.

Holender wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam tracić swego cennego czasu na dyskusje. Powiem ci, co zrobię. Dam ci dodatkowe pięć funtów i będziemy kwita. Myślę, że jest to bardzo wspaniałomyślne.



- Nie będziemy kwita - wybuchnął Jamie. - Mam prawo do połowy tej działki. Zarejestrowałem ją na oba nasze nazwiska.

- W takim razie próbowałeś mnie oszukać - powiedział van der Merwe z lekkim uśmiechem. - Mógłbym cię za to kazać aresztować. - Wcisnął Jamiemu pieniądze do ręki. - A teraz zabieraj swoje funty i wynoś się.

- Odpowiesz mi za to! - krzyknął Jamie.

- Czy stać cię na adwokata? W tych stronach wszyscy należą do mnie, chłopcze.

„To niemożliwe - myślał Jamie. - To jakiś koszmarny sen”. Śmiertelna udręka, przez którą przeszedł, tygodnie i miesiące zięjącej żarem pustyni, wyczerpującej pracy od świtu do nocy - to wszystko znów w nim odżyło. Był bliski śmierci, a teraz ten człowiek próbuje mu zabrać to, co należy do niego.

Spojrzał van der Merwemu prosto w oczy.

- Nie uda ci się to. Nie odjadę z Klipdrift. Opowiem każdemu, co zrobiłeś, i odzyskam swój udział.

Van der Merwe zaczął odwracać wzrok, nie mogąc wytrzymać spojrzenia szarych, płonących wściekłością oczu Jamiego.

- Najlepiej byś zrobił, chłopcze, gdybyś znalazł sobie doktora - mruknął. - Sądzę, że słońce odebrało ci rozum.

W jednej chwili Jamie chwycił i podniósł van der Merwego na wysokość swoich oczu.

- Sprawię, że będziesz jeszcze żałować tej chwili, kiedy mnie ujrzałeś - powiedział, a potem puścił go, rzucił pieniądze na stół i wybiegł jak oszalały.

Saloon „Sundowner” był prawie pusty, kiedy wszedł tam Jamie McGregor, gdyż większość poszukiwaczy była w drodze do Paardspan. Jamiego wypełniało uczucie gniewu i rozpacz. „To niewiarygodne - pomyślał. - W jednej chwili jestem bogaty jak Krezus, a w następnej kompletnie zrujnowany. Van der Merwe jest złodziejem i muszę znaleźć jakiś sposób, by go ukarać. Ale jak to zrobić?” Van der Merwe miał rację. Jamie nie mógł sobie nawet pozwolić na adwokata, który by się zajął jego sprawą. Był obcym w tych stronach, zaś van der Merwe ogólnie szanowanym członkiem tutejszej społeczności. Jediną bronią, jaką posiadał, była prawda. Mógł więc opowiadać w całej Afryce Południowej o tym, co zrobił van der Merwe.

Witam ponownie - pozdrowił go barman Smit. - Dziś kolejka dla wszystkich. Czego pan sobie życzy, panie McGregor?

- Whisky - odparł krótko Jamie.

Smit nalał podwójną i postawił przed Jamiem. Jamie wypił ją jednym haustem. Nie był przyzwyczajony do picia i mocny alkohol palił go w język i gardło.

- Następną proszę.

- Zwiększamy tempo. Zawsze mówiłem, że Szkoci przepiją każdego.

Druga kolejka poszła już łatwiej. Jamie przypomniał sobie, że jest to ten sam barman, który swego czasu poradził brodatemu poszukiwaczowi, by zwrócił się o pomoc do van der Merwego.

- Czy wie pan, że ten starzec van der Merwe jest oszustem? - powiedział. - Zamierza zagarnąć moją część diamentów.

Smit wydawał się życzliwy.

- Co takiego? To straszne. Przykro mi to słyszeć.

- Ale nie uda mu się to - bełkotał już Jamie. - Połowa diamentów należy do mnie. On jest złodziejem i nie spoczne, zanim się wszyscy o tym nie dowiedzą.

- Ostrożnie - ostrzegł barman. - Van der Merwe jest wpływową figurą w tym mieście. Jeśli zamierza pan wystąpić przeciw niemu, ktoś powinien panu pomóc. Prawdę mówiąc znam kogoś takiego. Jest to osoba, która tak samo jak pan nienawidzi van der Merwego. - Smit rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy nikt go nie słyszy. - Na końcu ulicy znajduje się stara stajnia. Załatwię wszystko, co potrzeba, a pan niech tam przyjdzie o dziesiątej wieczorem.

- Serdeczne dzięki - powiedział z wdzięcznością Jamie. - Nigdy panu tego nie zapomnę.

- O dziesiątej. W starej stajni - powtórzył barman.

Stajnia była niedbale skleconym budynkiem pokrytym blachą falistą i znajdowała się na peryferiach miasta, z dala od głównej ulicy. Jamie zjawił się tam punktualnie o dziesiątej. Było ciemno, więc stąpał ostrożnie. Nie mógł dojrzeć nikogo w pobliżu. Wszedł do środka.

- Czy jest tu kto? - zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział.

Ruszył powoli do przodu. Dojrzał niewyraźne kształty koni niespokojnie poruszających się w swoich boksach. W tej samej chwili usłyszał jakiś szelest za sobą i, gdy zamierzał się odwrócić, żelazny pręt wylądował na jego plecach, powalając go na ziemię, a zaraz potem poczuł mocne uderzenie kolbą w głowę. Później jakaś olbrzymia czarna łapa podniosła go i trzymała, a pięści i buty zaczęły masakrować jego ciało. Jamiemu wydawało się, że to bicie nigdy się już nie skończy. Gdy zaczął tracić przytomność, bo ból stawał się nie

do wytrzymania, ocucono go chlustając zimną wodą w twarz. Uniósł ciężkie powieki i odniósł wrażenie, że wśród napastników dostrzegł Bandę, służącego van der Merwego, i wówczas znowu posypały się razy. Poczuł, jak na skutek uderzeń pękają mu żebra. Ktoś walił go też w gołeń i kolano. Usłyszał chrzęst łamanych kości i ponownie stracił przytomność.

Ciało miał jak w ogniu. Ktoś szorował po jego twarzy papierem ściernym i zdołał tylko podnieść rękę, by zaprotestować. Usiłował otworzyć oczy, ale były tak opuchnięte, że nie mógł tego uczynić. Leżał więc, próbując przypomnieć sobie, co się stało, ale nie był w stanie - czuł ból w każdej części swego ciała.

Gdy poruszył się, ktoś znowu zaczął szorować po jego twarzy. Wyciągnął na oślep rękę i uzmysłowił sobie, że to piasek. Leżał poranioną twarzą w gorącym piasku. Powoli, a każdy ruch stanowił śmiertelną udrękę, zdołał podnieść się na kolana.

Jego opuchniętym oczom ukazywały się jedynie jakieś zamglone obrazy. Znajdował się gdzieś pośrodku Karru, na obszarze nie tkniętym ludzką stopą. Leżał całkiem nagi. Mimo poranka czuł już palące promienie słońca przenikające ciało. Po omacku zaczął szukać czegoś do jedzenia lub menażki z wodą, ale jego palce nie natrafiły na nic takiego. Pozostawili go na pastwę losu. „Salomon van der Merwe i, oczywiście, ten barman, Smit”.

Jamie nastraszył van der Merwego i ten ukarał go z taką łatwością, z jaką karze się małe dzieci.

„Przekona się jednak - przyrzekł sobie Jamie - że nie jestem dzieckiem. Już nie. Pomszczę swoją krzywdę. Zapłacą mi za to. Zapłacą”. Nienawiść, jaką w sobie poczuł, dodała mu nagle siły. Udało mu się nawet usiąść, lecz oddychanie stanowiło torturę. Ile żeber ma połamanych? Musi uważać, by nie przebiły płuc. Próbował wstać, ale upadł z krzykiem. Miał złamaną prawą nogę, wygiętą pod nienaturalnym kątem. Nie był w stanie iść, ale mógł się czołgać.

Jamie McGregor nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Mogli go zostawić z dala od uczęszczanych szlaków, na pastwę pustynnych czyścicieli: hien, sekretarzy i sępów. Pustynia była nieogarnioną kostnicą. Widział już kości oczyszczonych ciał ludzkich. Na szkieletach nie było nawet kawałka mięsa. I właśnie gdy tak myślał o tym, usłyszał nad sobą trzepot skrzydeł i ostry pisk sępów. Ogarnęło go przerażenie. Był ślepy, nie mógł ich zobaczyć, ale czuł ich zapach. Zaczął się czołgać.

Całą uwagę miał skoncentrowaną na bólu, który przeszywał mu ciało. Każdy, nawet najmniejszy ruch gwałtownie go nasilał. Gdy próbował przesunąć się w jakimś kierunku,

złamana noga wywoływała fale kłującego bólu. Gdy próbował nieznacznie zmienić pozycję, czuł, jak chrzęszczą mu żebra. Nie mógł znieść tortury leżenia w bezruchu, nie mógł też znieść męczarni poruszania.

Słyszał, jak sępy zataczają nad nim kręgi, czekając z tą swoją odwieczną, nie kończącą się cierpliwością. Zaczął majaczyć. Był w chłodnym kościele w Aberdeen, ubrany w czyste, odświętne ubranie. Siedział wśród swoich dwóch braci. Jego siostra Mary i Annie Cord miały na sobie piękne białe letnie sukienki. Próbował się podnieść z ławki, by podejść do Annie Cord, ale bracia go powstrzymali i zaczęli szczypać. Szczypanie przerodziło się w paroksyzm bólu i Jamie znów zaczął się czołgać po piasku, nagi, z połamanymi członkami.

Krzyki sępów stały się głośniejsze, bardziej złowrogie. Nie wiedział, w jakiej odległości są już od niego; nie widział nic oprócz szybko przesuwających się i niewyraźnych kształtów, które jego pobudzona wyobraźnia przekształcała w drapieżne hieny i szakale. Powietrze stało się od nich gorące, a cuchnący zapach pieścił mu twarz.

Czołgał się, wiedząc, że gdy przestanie, natychmiast obsiadą jego ciało. Trawiły go ból i gorączka, a piasek zdierał mu skórę. Nie chciał jednak dać za wygraną. Nie mógł. Salomon van der Merwe nadal żył i nie został ukarany.

Stracił poczucie czasu i przestrzeni. Wydawało mu się, że przebył milę, a tymczasem pokonał nie więcej niż dziesięć jardów, czołgając się w kółko. Nie był w stanie zobaczyć, w jakim miejscu się znajduje ani w jakim kierunku się posuwa. Myślał tylko o jednym: o Salomonie van der Merwem. Poczul, że pogrąża się w jakiejś bezdennej otchłani. Z tego stanu wyrwał go nagły ból. Ktoś wbijał mu nóż w nogę i minęła dobra chwila, nim przypomniał sobie, gdzie się znajduje i co się wokół niego dzieje. Z najwyższym trudem otworzył zapuchnięte oko. Olbrzymi, czarnoczubaty sęp atakował jego nogę, pożerał go żywcem, z wściekłością wyszarpując mięso swym ostrym dziobem. Jamie czuł jego ohydny zapach, chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Jak oszalały zaczął posuwać się naprzód, czując ciepły strumień krwi wypływający ze zranionej nogi. Mógł dojrzeć cienie ogromnych ptaków, krążących nad nim coraz niżej i niżej, szykujących się do uczt. Wiedział, że następnym razem, gdy straci przytomność, będzie ostatnim razem, że w chwili gdy się zatrzyma, obrzydliwe ptaki dopadną go. Czołgał się więc nadal, słysząc trzepot ich skrzydeł, gdy się zbliżały. Coraz bardziej majaczył. Był zbyt słaby, by je odpędzić, nie miał już siły, by stawiać opór, aż w końcu zastygł w bezruchu na gorącym piasku.

Ogromne ptaki zaczęły zabierać się do swej uczt.

## Rozdział 4

Sobota była dniem targowym w Kapsztadzie i ulice już od wczesnych godzin rannych zapelniały się ludźmi, którzy targowali się ze sprzedawcami, ale także spotykali z przyjaciółmi. Burowie i Francuzi, żołnierze w kolorowych uniformach oraz angielskie damy w spódnicach z falbanami i w bluzkach z żabotami mieszały się na bazarach zajmujących miejskie place w dzielnicach Braameonstein, Park Town i Burgersdorp. Wszystko było na sprzedaż: meble i konie, powozy i świeże owoce. Można też było kupić ubrania i szachownice, mięso oraz książki w przeróżnych językach. W soboty Kapsztad stawał się hałaśliwym, pełnym rozgardiaszu targowiskiem.

Banda powoli szedł w tłumie uważając, by nie zwrócić na siebie uwagi białych. To mogłoby się dla niego źle skończyć. Ulice roiły się od czarnych, Hindusów i mieszanców, ale biała mniejszość rządziła. Banda nienawidził jej. To była jego ziemia, a biali byli na niej *uitlanderami*, obcymi. W Afryce Południowej żyło wiele ludów: Basuto, Zulusi, Szona, Matabele - a wszystkie należały do Bantu. *Abantu* to w języku luba ludzie. Barolongowie - plemię Bandy - byli jednak arystokracją. Banda pamiętał historie, które opowiadała mu babka: o wielkim królestwie czarnych w Afryce Południowej. To było ich królestwo, ich kraj. A teraz garstka białych szakali uczyniła z nich niewolników. Biali spychali ich na coraz mniejsze terytoria, aż w końcu odebrali im wolność. Czarni mogli obecnie egzystować jedynie dzięki przebiegłości, nieujawnianiu swych prawdziwych uczuć i myśli.

Banda nie wiedział, ile ma lat, ponieważ tubylcy nie posiadali świadectw urodzenia. Ich lata liczono na podstawie wiedzy plemiennej: według urodzin i śmierci wielkich wodzów, wojen i bitew, komet i nawałnic, trzęsień ziemi, trekku Adama Koka, śmierci Czaki i powstania przeciwko Burom i Anglikom. Żadna metryka nie była potrzebna. Banda wiedział, że jest synem wodza i że został powołany, by uczynić coś dla swego ludu. Wierzył, że dzięki niemu lud Bantu odzyska dawną świetność i władzę. Na myśl o swej misji wyprężył się dumnie, ale trwało to tylko chwilę, gdyż zaraz poczuł na sobie wzrok białego człowieka.

Banda przyspieszył kroku i skierował się w stronę przedmieścia, rejonu przeznaczonego dla czarnych. Duże domy i atrakcyjne sklepy powoli ustępowały teraz miejsca nędznym przybudówkom i chatom. Szedł brudną ulicą, spoglądając co jakiś czas za siebie, by upewnić się, czy nie jest śledzony. Doszedł do drewnianej chaty, raz jeszcze rozejrzał się dookoła, po czym zapukał dwa razy do drzwi i wszedł do środka. Chuda Murzynka siedziała w kącie na krześle, przyszywając guziki do ubrania. Banda skinął głową

na powitanie i przeszedł do pokoiku w głębi. Opuścił wzrok na człowieka leżącego w małym łóżku.

Sześć tygodni temu Jamie McGregor odzyskał przytomność w tym dziwnym miejscu. Piekło, przez które przeszedł, odżyło w nim na nowo. Znow był w Karru, bezbronny i połamany. I znow czuł zapach sępów...

Ujrzawszy wówczas Bandę, Jamie pomyślał, że ten czarnoskóry mężczyzna przyszedł po to, by go zabić. Van der Merwe musiał się w jakiś sposób dowiedzieć, że nadal żyje, i wysłał swojego służącego, by go wykończył.

- Dlaczego twój pan sam tu nie przyszedł? - wydusił charczącym głosem Jamie.

- Nie mam pana - odparł Banda.

- Van der Merwe. Czy to nie on cię przysłał?

- Nie. Gdyby wiedział, zabiłby nas obu.

To wszystko nie układało się w żadną logiczną całość.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Jamie. - Chcę wiedzieć, gdzie jestem.

- W Kapsztadzie.

- To niemożliwe. W jaki sposób się tu dostałem?

- Przywiozłem pana tutaj.

Jamie przez dłuższą chwilę patrzył na niego ze zdziwieniem, a potem zapytał:

- Dlaczego?

- Potrzebuję pana - rzekł Banda. - Chcę się zemścić.

- Chcesz się...?

- Nie za siebie. - Banda podszedł bliżej. - Nie chodzi mi o siebie. Van der Merwe zgwałcił moją siostrę. Umarła przy porodzie. Moja siostra miała jedenaście lat.

- Mój Boże! - Jamie oszołomiony opadł na łóżko.

- Od dnia, kiedy umarła - ciągnął Banda - szukałem białego człowieka, który by mi pomógł. Znalazłem go tamtego wieczoru w stajni. Pomagałem tam pana bić, panie McGregor, a potem wyrzuciliśmy pana w Karru. Kazano mi pana dobić. Powiedziałem innym, że zrobiłem, co mi kazano, a gdy tylko było to możliwe, wróciłem, aby pana stamtąd zabrać. Omal się nie spóźniłem.

Jamie poczuł w całym ciele drzenie, którego nie mógł opanować. I poczuł też ohydny zapach padlinożernego ptaka, szarpiącego jego nogę.

- Ptaki rozpoczęły już swoją ucztę. Zaniósłem pana do wozu i ukryłem w domu moich ludzi. Jeden z naszych lekarzy obwiązał panu żebra, nastawił nogę i opatrzył rany.

- A potem?

- Wóz pełen moich krewnych odjeżdżał do Kapsztadu. Wzięliśmy pana ze sobą. Prawie przez cały czas był pan nieprzytomny. Za każdym razem, kiedy pan zasypiał, obawiałem się, że już się pan nie obudzi.

Jamie spojrział w oczy człowiekowi, który miał go zamordować. Nie ufał Bandzie, choć ten uratował mu życie. Banda chciał się nim posłużyć, aby się dobrać van der Merwemu do skóry. „Ale on również może być narzędziem w moich rękach” - uznał Jamie. Niczego bardziej nie pragnął, jak tylko tego, aby van der Merwe zapłacił za to, co uczynił.

- W porządku - powiedział Jamie do Bandy. - Znajdę sposób, aby van der Merwe zapłacił nam obydwu.

Po raz pierwszy na twarzy Bandy pojawił się uśmiech.

- Czy on zginie? - spytał.

- Nie - odrzekł Jamie. - Będzie żył.

Tego sobotniego popołudnia Jamie po raz pierwszy wstał z łóżka. Czuł się nadal bardzo słaby i miał zawroty głowy. Noga nie była jeszcze sprawna i utykał. Banda chciał mu pomóc, ale Jamie zaprotestował stanowczo:

- Zostaw mnie. Dam sobie radę.

Banda przyglądał się, jak Jamie ostrożnie przemierza pokój.

- Podaj mi lusterko - powiedział Jamie. „Muszę wyglądać koszmarnie - pomyślał. - Ile to już dni minęło od czasu, gdy ostatni raz się goliłem?”

Banda przyniósł lusterko i Jamie zobaczył w nim kogoś zupełnie obcego. Jego włosy nabrały śnieżnobiałej barwy. Miał długą, potarganą siwą brodę, złamany i przekrzywiony nos. Twarz postarzała się o dwadzieścia lat. Głębokie bruzdy przecinały zapadnięte policzki i siną bliznę wzdłuż podbródka. Ale najbardziej zmieniły się oczy. Były to oczy człowieka, który zbyt wiele wycierpiał, zbyt wiele widział i zbyt mocno nienawidził. Powoli odłożył lusterko.

- Pójdę na mały spacer - powiedział.

- Przykro mi, panie McGregor, ale to niemożliwe - odparł Banda.

- Dlaczego niemożliwe?

- Biali nie przychodzą do tej części miasta, tak jak czarni nigdy nie pojawiają się w miejscach przeznaczonych dla białych. Moi sąsiedzi nie wiedzą, że pan jest tutaj. Przywieźliśmy pana nocą.

- Jak więc się wydostanę stąd?

- Wieczorem pomogę panu.

Po raz pierwszy Jamie zaczął sobie uświadamiać, jak wiele Banda ryzykuje dla niego.

- Nie mam pieniędzy - stwierdził z zakłopotaniem. - Muszę znaleźć jakąś pracę.

- Podjąłem pracę w stoczni. Tam zawsze potrzebują mężczyzn - powiedział Banda i wyjął z kieszeni trochę pieniędzy. - Proszę...

- Zwrócę ci je - rzekł Jamie.

- Nie trzeba - odparł Banda. - Wystarczy, że odpłaci się pan van der Merwemu za moją siostrę.

O północy Banda wyprowadził Jamiego z chaty. Jamie rozejrzał się dookoła. Znajdował się w ubogiej dzielnicy, w dżungli zardzewiałych chat i przybudówek pokrytych blachą falistą i zbudowanych ze spróchniałych desek i dziurawych materiałów na worki. Ziemia, błotnista od niedawnego deszczu, wydzielala nieprzyjemny zapach. Jamie dziwił się, dlaczego ludzie tak dumni jak Banda mogą żyć w takich warunkach.

- Czy nie ma tutaj...?

- Proszę nic nie mówić - szepnął Banda. - Moi sąsiedzi są bardzo wścibscy. - Wyprowadził Jamiego poza obręb osiedla. - Do centrum idzie się tędy - powiedział wskazując drogę. - Spotkamy się w stoczni.

Jamie wszedł do tego samego pensjonatu, w którym zatrzymał się po przyjeździe z Anglii. Pani Venster siedziała w recepcji.

- Chciałbym wynająć pokój - rzekł.

- Bardzo proszę, sir - uśmiechnęła się odsłaniając złoty ząb na przodzie. - Nazywam się pani Venster.

- Wiem o tym.

- Ach, skąd możesz to wiedzieć? - spytała z udaną skromnością. - Czyżby twoi kołesie opowiadali ci jakieś pieprzne historyjki?

- Pani Venster, czy nie pamięta mnie pani? Mieszkałem tutaj w zeszłym roku.

Spojrzała uważnie na jego pokrytą bliznami twarz, złamany nos i siwą brodę, ale najwyraźniej nie rozpoznawała go.

- Nigdy nie zapominam twarzy, kochanie. I nigdy nie widziałam twojej. Ale to wcale nie znaczy, że nie mielibyśmy zostać dobrymi przyjaciółmi, prawda? Moi przyjaciele mówią do mnie Dzi-Dzi. A jak ty się nazywasz, słonko?

Jamie usłyszał siebie mówiącego: - Travis. Ian Travis.



Nazajutrz Jamie poszedł rozejrzeć się za jakąś pracą w stoczni. Zapracowany brygadzysta powiedział:

- Potrzebujemy silnych rąk. Kłopot w tym, że byłbyś chyba trochę za stary na tę robotę.

- Mam zaledwie... - zaczął Jamie, ale przerwał, gdyż przypomniał sobie twarz w lusterku. - Sprawdźcie mnie.

Dostał pracę robotnika portowego za dziesięć szylingów dziennie, przy załadowywaniu i rozładowywaniu statków. Dowiedział się, że Banda i inni czarni robotnicy otrzymują sześć szylingów dziennie.

Przy pierwszej sposobności Jamie wziął Bandę na stronę i szepnął:

- Musimy porozmawiać.

- Nie tutaj - odparł Banda. - Na końcu doków znajduje się stary, nie używany magazyn. Spotkajmy się tam po pracy.

Kiedy Jamie wszedł do opuszczonego magazynu, Banda już tam czekał.

- Opowiedz mi o Salomonie van der Merwem - zażądał Jamie.

- Co chce pan wiedzieć?

- Wszystko.

Banda splunął i zaczął mówić.

- Przyjechał do Afryki Południowej z Holandii. Z tego, co słyszałem, jego żona była brzydka, ale bogata. Umarła nie wiadomo na co. Van der Merwe wziął jej pieniądze i przybył do Klipdrift, gdzie otworzył swój skład towarowy. Wzbogacił się na oszukiwaniu poszukiwaczy.

- Czy w taki sposób, w jaki mnie oszukał?

- To tylko jeden z jego sposobów. Poszukiwacze, którzy mieli szczęście, zwracają się do niego z prośbą o pieniądze, które umożliwiłyby im uregulowanie kwestii prawnej działek, i ani się spostrzegają, jak van der Merwe ma ich w swoich rękach.

- Czy nikt nie próbował się nigdy temu przeciwstawić?

- W jaki sposób? Sekretarz miejski jest na jego usługach. Prawo mówi, że jeśli po upływie czterdziestu pięciu dni nie uregulują swoich roszczeń, sprawa jest otwarta. Sekretarz udziela poufnej informacji van der Merwemu i ten zagrabia działkę. Jest jeszcze inna sztuczka, którą stosuje van der Merwe. Działki powinny być ogrodzone na każdej linii granicznej kółkami stojącymi prosto. Jeśli kółki przewrócą się, kontroler może rościć sobie prawo do takiej działki. Gdy van der Merwe coś sobie upatrzy, wysyła kogoś nocą i rano kółki leżą na ziemi.

- Mój Boże!

- Van der Merwe jest w zмовie ze Smitem, barmanem. Smit odsyła do niego kandydatów na poszukiwaczy i oni podpisują z nim umowy partnerskie. Jeśli znajdują diamenty, van der Merwe zgarnia wszystko dla siebie, a jeśli stają się niewygodni, ma wielu ludzi, którzy gotowi są spełnić każde jego polecenie.

- Wiem coś o tym - stwierdził ponuro Jamie. - Co jeszcze?

- Jest fanatykiem religijnym. Bezustannie modli się za dusze grzeszników.

- A jego córka? Musi być chyba w to wszystko wmieszana?

- Panna Margaret? Ona śmiertelnie boi się swego ojca. Gdyby choć raz spojrzała na jakiegoś mężczyznę, van der Merwe pewnie zabiłby ich oboje.

Jamie odwrócił się i podszedł do drzwi. Przez chwilę stał nieruchomo, patrząc na port. Miał wiele do przemyślenia.

- Porozmawiamy jeszcze jutro - powiedział.

To właśnie w Kapsztadzie Jamie zaczął sobie uświadamiać ogromną przepaść, dzielącą czarnych od białych. Czarni nie mieli żadnych praw, z wyjątkiem kilku, które otrzymali od swych władców. Zostali zmuszeni do życia w gettach, które mogli opuszczać jedynie po to, by pracować dla białych.

- Jak ty to znosisz? - któregoś dnia zapytał Jamie Bandę.

- Głodny lew nie pokazuje swoich pazurów - odparł Banda. - Pewnego dnia zmienimy to wszystko. Biali ludzie widzą w nas tylko woły robocze, ale będą musieli także dostrzec w nas istoty myślące. Im bardziej zaganiają nas w kozi róg, tym bardziej się nas boją, ponieważ wiedzą, że pewnego dnia odplacimy im tym samym: dyskryminacją i upokorzeniem. Nie mogą znieść tej myśli. Ale my przeżyjemy dzięki *isiko*.

- Kto to jest *isiko*?

- Nie kto, ale co. - Banda potrząsnął przecząco głową. - Trudno to wyjaśnić, panie McGregor. *Isiko* to nasze korzenie. To poczucie przynależności do ludu, od którego pochodzi nazwa wielkiej rzeki Zambezi. Przed wieloma wiekami moi przodkowie weszli bezbronni do wód Zambezi, chcąc przeprowadzić przez nie swoje stada. Najslabsi zginęli, wchłonięci przez wir rzeczny lub pożarci przez wygłodniałe krokodyle, ale ci, którzy przeżyli, wyszli z wód silniejsi i bardziej nieustraszeni. Kiedy umiera Bantu, *isiko* żąda, aby członkowie jego rodziny odeszli do lasu po to, aby pozostała część społeczności nie musiała dzielić ich bólu. *Isiko* to pogarda wobec niewolnika, który kuli się ze strachu, przekonanie, że każdy człowiek może patrzeć drugiemu prosto w oczy, że żaden nie jest ani lepszy ani gorszy od drugiego. Czy

słyszał pan o Johnie Tengo Javabu? - zapytał po chwili Banda, wymawiając z szacunkiem to nazwisko.

- Nie.

- Usłyszysz pan, panie McGregor. Jeszcze pan usłyszysz - stwierdził Banda i zmienił temat.

Jamie czuł wzrastający podziw dla Bandy. Na początku obaj odnosili się do siebie z dużą rezerwą. Jamie musiał nauczyć się ufać mężczyźnie, który omal go nie zabił. A Banda musiał nauczyć się ufać odwiecznemu wrogowi - białemu człowiekowi. W przeciwieństwie do innych czarnych, z którymi Jamie się zetknął, Banda był wykształcony.

- Gdzie chodziłeś do szkoły? - zapytał go kiedyś.

- Nigdzie - odrzekł Banda. - Pracuję od najmłodszych lat. Moja babka mnie uczyła. Pracowała u burskiej nauczycielki, która nauczyła ją czytać i pisać. To babce wszystko zawdzięczam.

Pewnego późnego sobotniego popołudnia, po pracy, Jamie po raz pierwszy usłyszał o pustyni Namib na wyżynie Nama. On i Banda znajdowali się w starym magazynie portowym, jedli gulasz z impali, który ugotowała matka Bandy. Był dobry, choć może nieco zbyt twardy jak na gust Jamiego, ale i tak jego miska szybko opustoszała. Po posiłku wyciągnął się na starych deskach i znów zaczął wypytywać Bandę.

- Kiedy po raz pierwszy spotkałeś van der Merwego?

- Gdy pracowałem na plaży diamentowej na pustyni Namib. Ta plaża należy do niego i jego dwóch wspólników. Van der Merwe ukradł jakiemuś biednemu poszukiwaczowi jego udział i przyjechał ją obejrzyć.

- Jeśli van der Merwe jest tak bogaty, to dlaczego nadal prowadzi sklep?

- Sklep jest czymś w rodzaju przynęty, zwabiającej coraz to nowych poszukiwaczy. Dzięki niemu van der Merwe może się wciąż bogacić.

Jamie pomyślał o tym, jak łatwo sam dał się oszukać. Jakże ufny był ten naiwny miodny chłopak! Ponownie ujrzał owalny zarys twarzy Margaret mówiącej: „Być może mój ojciec mógłby panu pomóc”. Myślał, że jest dzieckiem, nim zauważył jej piersi i...

Jamie nagle poderwał się na nogi, a pogardliwy uśmiech na jego twarzy i wydęte usta sprawiły, że sina blizna wzdłuż podbródka zmarszczyła się.

- Opowiedz mi, jak to się stało, że zacząłeś pracować u van der Merwego.

- Tego dnia przyszedł na plażę ze swoją córką, miała wtedy około jedenastu lat.

Myślę, że się znudziła siedzeniem na piasku, więc weszła do wody i po chwili wciągnęła ją fala. Rzuciłem się na ratunek i wyciągnąłem ją. Byłem jeszcze młodym chłopakiem, ale myślałem, że van der Merwe mnie zabije.

- Dlaczego? - spytał Jamie ze zdziwieniem.

- Ponieważ objąłem ją swoimi rękami. Nie dlatego chciał mnie zabić, że jestem czarny, ale dlatego, że jestem samcem. Ktoś w końcu go powstrzymał i uzmysłowił, że uratowałem jej życie. Zabrał mnie ze sobą do Klipdrift jako swojego służącego. - Banda przerwał na chwilę, a potem ciągnął dalej: - Dwa miesiące później przyjechała do mnie w odwiedziny siostra. - Jego głos był bardzo spokojny. - Była w tym samym wieku, co córka van der Merwego.

Jamie milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Powinienem być zostać na pustyni - przerwał w końcu milczenie Banda. - To była prosta robota. Czołgało się po plaży i zbierało diamenty do małych puszek po dżemie.

- Niewiarygodne! Czyżbyś twierdził, że diamenty leżą tam, ot tak sobie, na piasku?

- Tak właśnie twierdzą, panie McGregor. Ale niech pan zapomni o tym. Nikt nie zdoła się nawet zbliżyć do tego pola. Nawet nie jest strzeżone. Znajduje się nad samym oceanem, a fale osiągają wysokość trzydziestu stóp. Wielu ludzi próbowało się tam zakraść morzem. Wszyscy zginęli z powodu fal i raf.

- Musi być więc jakiś inny sposób, aby się tam dostać.

- Nie. Pustynia Namib łączy się bezpośrednio z oceanem.

- A wejście na pole diamentowe?

- Jest tam wieża strażnicza i ogrodzenie z drutu kolczastego. Za ogrodzeniem chodzą strażnicy z karabinami i psami, które są gotowe rozszarpać człowieka. I jest tam też nowy rodzaj ładunków wybuchowych, zwanych minami lądowymi. Znajdują się na całym polu. Jeśli nie ma się mapy ich rozmieszczenia, z człowieka zostają tylko strzępy.

- Jak duże jest to pole diamentowe?

- Ma prawie trzydzieści pięć mil długości.

„Trzydzieści pięć mil diamentów leżących na piasku...”

- Mój Boże!

- Nie jest pan pierwszym ani ostatnim, którego podnieca myśl o polach diamentowych na pustyni Namib. Zbierałem szczątki ludzi, którzy próbowali się tam dostać morzem i zostali rozpruci przez rafy. Widziałem, co zostaje z człowieka, gdy zrobi niewłaściwy krok na polu minowym, i widziałem psy rozszarpujące gardła. Niech pan zapomni o tym, panie McGregor. Znam to miejsce. Nie ma sposobu, aby się tam dostać lub stamtąd wydostać - żywym, rzecz

jasna.

Tej nocy Jamie nie mógł zasnąć. Oczyma wyobraźni widział owe trzydzieści pięć mil piasku usianego ogromnymi diamentami, należącymi do van der Merwego. Myślał o morzu i ostrych rafach, o krwiożerczych psach, strażnikach i minach lądowych. Nie bał się niebezpieczeństwa, nie bał się też umierania. Bał się tylko jednego, że może umrzeć, nie odpłaciwszy się Salomonowi van der Merwemu.

W najbliższy poniedziałek Jamie udał się do sklepu kartograficznego i kupił mapę wyżyny Nama. Plaża była na niej naniesiona, nad Oceanem Atlantyckim, między Luderitz na północy a ujściem rzeki Oranje na południu. Obszar był zaznaczony na czerwono: SPERRGEBIET - Strefa zamknięta.

Jamie uważnie studiował każdy szczegół. Trzy tysiące mil oceanu falującego od Ameryki Południowej do Afryki Południowej i nic, co by mogło powstrzymać impet fal z wściekłością rozbryzgujących się o śmiercionośne rafy nad brzegiem południowego Atlantyku. Czterdzieści mil na południe od ujścia rzeki Oranje rozciągała się odsłonięta plaża.

„To zapewne z tego miejsca - pomyślał Jamie - ci wszyscy biedni szaleńcy wyruszali łodziami do *Sperrgebiet*”. Patrząc teraz na mapę rozumiał, dlaczego pole diamentowe nie jest strzeżone od strony wybrzeża. Rafy uniemożliwiały lądowanie. Jamie skupił więc uwagę na dojściu od strony lądu. Według Bandy cały teren był ogrodzony drutami kolczastymi i patrolowany przez uzbrojonych strażników dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przy samym wejściu stała przekłeta wieża. Nawet jeśli komuś udałoby się w jakiś sposób prześlizgnąć, to i tak czekałyby jeszcze na niego miny lądowe i psy.

- Mówiłeś, że istnieje mapa rozmieszczenia min lądowych na polu diamentowym? - spytał Jamie Bandę, gdy spotkali się następnego dnia.

- Na pustyni Namib? Nadzorcy mają takie mapy i oni prowadzą robotników do pracy. Jeden idzie za drugim, aby nie wylecieć w powietrze. - Oczy Bandy zaszyły mgłą wspomnień.  
- Któregoś dnia mój wuj szedł przede mną i nagle potknął się o coś, i wpadł na minę. Nie było nawet co zbierać.

Jamie wzdrygnął się.

- Jest tam jeszcze morska *mis*, panie McGregor. Jeśli ktoś nie był na pustyni Namib, nie ma pojęcia o prawdziwej *mis*, która wtacza się z oceanu i zasłania wszystko od pustyni do gór. Jeśli człowiek wpadnie w coś takiego, nie ma nawet odwagi się poruszyć. Mapy nie zdają się wówczas na nic, bo droga jest niewidoczna. Wszyscy siedzą więc jak trusie.

- Jak długo to trwa?

- Czasem kilka godzin, a czasem kilka dni - odparł - Banda wzruszając ramionami.

- Banda, czy widziałeś kiedyś taką mapę?

- Są ściśle tajne. - Banda spojrzał na Jamiego ze współczuciem. - Powtarzam panu, nikt nie zdoła się nigdy wydostać z tym, o czym pan myśli. Od czasu do czasu robotnicy próbują przemycić jakiś diament. Jest tam specjalne drzewo do wieszania. Przestroga dla każdego, by nie próbował nic wynosić.

Cała rzecz wydawała się nierealna. Nawet gdyby się udało wkraść na pole diamentowe van der Merwego, to i tak nie było sposobu, aby się stamtąd wydostać. „Banda ma rację - pomyślał Jamie. - Powinienem zapomnieć o tym”.

Następnego dnia zapytał Bandę:

- W jaki sposób van der Merwe uniemożliwia robotnikom wynoszenie diamentów?

- Są przeszukiwani - odrzekł Banda. - Rozbiera się ich do naga i zagląda do każdego otworu. Widziałem robotników zadających sobie głębokie rany, by przeszmyglować w nich diamenty. Niektórzy robili sobie nawet dziury w tylnych zębach. Próbowano już wszelkich możliwych sztuczek. - Banda spojrzał na Jamiego. - Jeśli nie chce pan umierać za młodu, niech pan sobie wybije z głowy te mrzonki.

Jamie próbował, ale wizja wciąż powracała, kusiła go. Diamenty van der Merwego leżące na piasku i czekające... Czekające na niego.

Jeszcze tej nocy wpadł Jamiemu do głowy pewien pomysł. Nie mógł opanować podniecenia, dopóki znów nie zobaczył Bandy.

- Powiedz mi o łodziach, które próbowały wylądować na plaży - zaczął bez zbędnych wstępów.

- Co chciałby pan o nich wiedzieć? - spytał Banda.

- Co to były za łodzie?

- Wszelkie możliwe. Szkuner. Holownik. Duża łódź motorowa. Łódź żaglowa. Czterech śmiałków próbowało nawet na łodzi wiosłowej. Kiedy tam pracowałem, naliczyłem sześć takich prób. Łodzie rozbiły się o rafy na kawałki. Wszyscy utonęli.

Jamie zaczerpnął głęboko powietrza.

- Czy ktokolwiek próbował się tam dostać tratwą?

- Tratwą? - Banda wytrzeszczył na niego oczy.

- Tak. - Jamiego ogarnęło znów podniecenie. - Pomysł, nikomu nigdy nie udało się dotrzeć do brzegu, ponieważ rafy rozpruwały dna łodzi! Ale tratwa z łatwością prześlizgnie

się po nich!

Banda długo patrzył na Jamiego. Gdy otworzył usta, w jego głosie zabrzmiała jakby nowa nuta.

- Wie pan, panie McGregor, być może jest to właśnie sposób...

Zaczął się jak gra, poszukiwanie rozwiązania pozornie niemożliwej do złożenia układanki. Im więcej jednak Jamie i Banda dyskutowali na ten temat, tym bardziej się ekscytowali. To, co było najpierw tylko zwykłą rozmową, teraz zaczęło przybierać konkretny kształt jako plan akcji. Ponieważ diamenty leżały na piasku, żadne narzędzia nie były potrzebne. Mogli więc zacząć budować swoją tratwę z żaglem na plaży oddalonej czterdzieści mil na południe od tej, która była zaznaczona na mapie jako *Sperrgebiet*. I mogli tam popłynąć pod osłoną nocy.

Na nie strzeżonym brzegu nie było min lądowych, a patrole i straże operowały w głębi lądu. Dwaj mężczyźni mogli więc spokojnie chodzić po plaży i zbierać tyle diamentów, ile tylko zdołają unieść.

- Przed świtem - oznajmił Jamie - opuścimy to miejsce z kieszeniami wypchanymi diamentami.

- W jaki sposób wydostaniemy się stamtąd? - spytał Banda.

- W ten sam, w jaki się dostaniemy. Spokojnie powiosłujemy sobie nad rafami na otwarte morze, rozwiniemy żagiel i szczęśliwie wrócimy do domu.

Wobec przekonywających argumentów Jamiego wątpliwości Bandy zaczynały powoli się rozwiewać. Próbował doszukać się jakichś uchybień w planie, ale na każde pytanie otrzymywał logiczną odpowiedź. Plan mógł się więc powieść. Jego wspaniałą zaletą była prostota i to, że nie wymagał żadnych wydatków, a tylko stalowych nerwów.

- Wszystko, czego nam potrzeba - oświadczył Jamie - to duża torba.

Jego entuzjazm był zaraźliwy.

- Czemu nie mielibyśmy wziąć dwóch? - spytał Banda odsłaniając wszystkie zęby w szerokim uśmiechu.

Następnego tygodnia porzucili pracę i pojechali wozem ciągniętym przez woły do Port Nolloth, nadbrzeżnej osady leżącej w odległości czterdziestu mil na południe od obszaru, do którego mieli zamiar się udać.

Była to mała i uboga osada z chałupami i blaszanymi chatami, kilkoma sklepikami na

krzyż i rozległą, dziewiczą plażą. Nie było tu raf i fale łagodnie muskały brzeg. Miejsce idealnie nadawało się do spuszczenia tratwy.

W osadzie nie było hotelu i Jamie wynajął pokój na tyłach małego bazaru, a Banda znalazł sobie kątek do spania w części zamieszkałej przez czarnych.

- Musimy znaleźć miejsce - powiedział Jamie do Bandy - gdzie moglibyśmy spokojnie zbudować naszą tratwę. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś doniósł na nas władzom.

Tego popołudnia wypatrzyli stary, nie używany magazyn.

- To jest idealne miejsce - stwierdził Jamie. - Zabierzmy się więc do pracy.

- Jeszcze nie teraz - odparł Banda. - Poczekajmy z tym trochę. Kupmy najpierw butelkę whisky.

- A to po co?

- Przekona się pan już wkrótce.

Nazajutrz rano odwiedził Jamiego miejscowy konstabl, rumiany, przysadzisty jegomość z wielkim zaczerwienionym nosem, świadczącym, że jego właściciel nie należy do tych, którzy wylewają za kołnierz.

- Dzień dobry - rzekł na powitanie. - Słyszałem, że ktoś nas odwiedził, więc przechodząc obok pomyślałem sobie, że wstąpię i przywitam się. Jestem konstabl Mundy.

- Ian Travis - odparł Jamie.

- Jedzie pan na północ, panie Travis?

- Na południe. Mój służący i ja jesteśmy w drodze do Kapsztadu.

- Ach, Kapsztad. Byłem tam kiedyś. Cholernie duży i cholernie hałaśliwy. Za bardzo, jak dla mnie.

- Zgadza się. Czy mogę zaproponować panu drinka, panie konstablu?

- Nigdy nie piję na służbie. - Konstabl Mundy przerwał, by rozważyć propozycję. - Jednakże ten jeden jedyny raz mógłbym chyba zrobić wyjątek, jak sądzę.

- To świetnie - przyznał Jamie i wyciągnął butelkę dziwiąc się, jakim cudem Banda mógł to przewidzieć. A potem do brudnego kubka nalał whisky na dwa palce i podał konstablowi.

- Dziękuję, panie Travis. A pan nie pije?

- Nie mogę pić - odrzekł Jamie z udanym zafrasowaniem. - Malaria. Dlatego właśnie jadę do Kapsztadu. Potrzebuję opieki medycznej. Zatrzymałem się tu na parę dni, by odpocząć. Bardzo źle znoszę tę podróż.

Konstabl Mundy spojrział uważnie na Jamiego.



- Wygląda pan całkiem zdrowo.

- Powinien mnie pan zobaczyć, gdy zaczynają się dreszcze.

Kubek konstabla był już pusty i Jamie napełnił go ponownie.

- Dziękuję. Niech pan się nie przejmuj. - Konstabl jednym haustem opróżnił zawartość kubka i wstał. - No to na mnie już chyba czas - oznajmił. - Powiedział pan, że za jeden lub dwa dni wyruszacie stąd?

- Gdy tylko poczuję się silniejszy.

- Wrócę więc w piątek i sprawdzę.

Wieczorem Jamie i Banda udali się do starego magazynu.

- Banda, czy budowałeś kiedyś tratwę? - spytał Jamie.

- Prawdę mówiąc, to nie, panie McGregor.

- Ja również. - Dwaj mężczyźni wytrzeszczyli na siebie oczy. - Ciekawe, jak trudną jest to rzeczą?

Na tyłach bazaru ukradli cztery puste, pięćdziesięciogalonowe, drewniane beczki po oliwie, przydźwigali je do magazynu i ułożyli w czworobok. Potem przynieśli cztery skrzynie i ustawili po jednej na każdej z beczek.

Banda zdawał się mieć pewne wątpliwości.

- Nie wygląda mi to na tratwę - stwierdził.

- Jeszcze nie skończyliśmy - zapewnił go Jamie.

Nie mieli żadnych desek, więc górną warstwę pokryli wszystkim, co było pod ręką: gałęziami cuchnącego drzewa, patykami z plaży, wielkimi liśćmi maruli. Następnie ścisnęli wszystko grubym powrozem, z ogromną starannością zawiązując każdy węzeł. Gdy skończyli, Banda popatrzył uważnie na konstrukcję.

- Nadal nie wygląda mi to na tratwę - orzekł kręcąc głową.

- Będzie wyglądać lepiej, gdy postawimy maszt i wciągniemy żagiel. Ze zwałonego żółtego drzewka zrobili maszt i znaleźli dwie gałęzie na wiosła.

- Potrzeba nam jeszcze tylko żagla - powiedział Jamie. - I to jak najszybciej. Chciałbym wynieść się stąd w nocy. Na jutro rano zapowiedział się konstabl Mundy.

Nie kto inny jak Banda znalazł żagiel. Wrócił późnym wieczorem z ogromnym płatem grubego płótna.

- Co pan na to, panie McGregor?

- Wspaniale. Skąd go wytrzasnąłeś?

Banda wyszczerzył zęby.

- Niech pan nie pyta. I tak mamy już dość zmartwień.

Sklecieli naprędce żagiel w kształcie czworoboku z bomem i reją.

- Wypływamy o drugiej w nocy, kiedy wszyscy będą jeszcze spali - rzekł Jamie do Bandy. - Lepiej prześpijmy się do tego czasu.

Żaden z nich nie mógł jednak zasnąć. Myśl o czekającej przygodzie napełniała ich zbyt silnym podnieceniem.

Punktualnie o drugiej spotkali się w magazynie. Z jednej strony obaj rwali się do tej podróży, a z drugiej odczuwali niewypowiedziany lęk. Pakowali się w coś, co mogło uczynić ich bogatymi lub przynieść śmierć. Innej możliwości nie było.

- Już czas - oznajmił Jamie.

Wyszli na zewnątrz. Noc była cicha i spokojna. Nic nie migotało w górze. Wysoko na niebie widać było tylko skrawek księżyca.

„Bardzo dobrze - myślał Jamie. - Niełatwo będzie nas dostrzec”. Ich plan komplikowało to, że musieli opuścić osadę w nocy, nie zauważeni przez nikogo, dotrzeć do plaży następnej nocy, by móc zakraść się na pole diamentowe, i jeszcze przed świtem znaleźć się na pełnym morzu.

- Prąd Benguelski powinien zanieść nas do pól diamentowych mniej więcej późnym popołudniem - oświadczył Jamie. - Ale nie możemy się tam zjawić przy świetle dziennym. Będziemy musieli poczekać na pełnym morzu, aż się ściemni.

Banda skinął głową.

- Możemy się ukryć - powiedział - na jednej z tych małych wysp w pobliżu wybrzeża.

- Jakich wysp?

- Jest ich mnóstwo: Merkury, Ichabod, Plum Pudding...

Jamie spojrzał uważnie na Bandę.

- Plum Pudding?

- Jest także wyspa Roast Beef\* [\* Plum Pudding - ang., śliwkowy pudding. Roast Beef - ang., pieczona wołowina.].

Jamie wyjął z kieszeni pogniecioną mapę i zaczął ją studiować.

- Żadnej z nich tu nie ma - zauważył.

- Są to wyspy guana. Anglicy używają ptasich odchodów jako nawozu.

- Czy ktoś mieszka na tych wyspach?

- To niemożliwe. Zapach jest zbyt przykry. W niektórych miejscach grubość guana dochodzi do stu stóp. Rząd wykorzystuje grupy dezertów i więźniów, by je zbierali.

Niektórzy umierają i ich ciała pozostają tam.

- Tam właśnie się ukryjemy - zdecydował Jamie.

Nie mówiąc już nic, wrócili do magazynu i zabrali się do przesuwania tratwy. Okazała się jednak zbyt ciężka, aby można ją było ruszyć z miejsca, więc tylko spocili się nadaremnie.

- Niech pan tu poczeka - powiedział Banda i wyszedł pośpiesznie.

Wrócił po półgodzinie z dużą okrągłą kłodą.

- Użyjemy tego. Podniosę jeden koniec tratwy, a pan wsadzi pod nią to drzewo.

Siła Bandy, dźwigającego tratwę, zrobiła na Jamiem ogromne wrażenie. Szybko wsunął kłodę, a potem razem podnieśli drugi koniec tratwy i z łatwością przesunęli ją po kłodzie. Gdy się wytoczyła, musieli powtórzyć całą operację. Była to męcząca praca i pot lał się z nich strumieniami. Dotarcie na plażę zajęło więcej czasu, niż Jamie przypuszczał. Prawie świtało. Powinni być na morzu, nim mieszkańcy osady nakryją ich i doniosą, co robią. Jamie umocował więc pośpiesznie żagiel i sprawdził, czy wszystko jest na miejscu. Dręczyła go jednak myśl, że o czymś zapomniał. I nagle uświadomiwszy sobie przyczynę swego niepokoju, roześmiał się głośno.

Banda spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Coś śmiesznego? - spytał.

- Za pierwszym razem - odparł Jamie - kiedy wyruszałem po diamenty, mój ekwipunek ważył chyba z tonę. Teraz mam tylko kompas. Wydaje się to zbyt proste - dodał w zamyśleniu.

- Nie sądzę - zauważył roztropnie Banda - abyśmy akurat tym musieli się martwić, panie McGregor.

- Czas już, abyś mówił do mnie Jamie.

Banda potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Rzeczywiście przybył pan z dalekiego kraju. - Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając nieskazitelnie białe zęby. - Ale co tam, u diabła. Raz kozie śmierć. - Najpierw po cichu, niesłyszalnym szeptem, a dopiero potem na głos wymówił imię: - Jamie.

- Ruszajmy więc po te diamenty - zakomenderował Jamie.

Spuścili tratwę na wodę, wskoczyli na nią i zaczęli wiosłować. Minęło kilka dobrych chwil, zanim przywykli do poprzecznego i wzdłużnego kołysania ich dziwnej łodzi. Wyglądało to trochę tak, jak sterowanie tańczącym korkiem, ale z minuty na minutę szło im coraz lepiej. Tratwa, niesiona wartkim prądem na północ, stawała się bardziej posłuszna. Jamie rozwinął żagiel i niebawem wypłynęli na pełne morze. Zanim mieszkańcy osady wstali,

by oddać się swoim codziennym zajęciom, tratwa znajdowała się już daleko za linią horyzontu.

- Udało się! - powiedział Jamie.

Banda pokręcił powątpiewająco głową.

- To jeszcze nie koniec - stwierdził zanurzając rękę w zimnym Prądzie Benguelskim. - To zaledwie początek.

Żeglowali dalej, prosto na północ, mijając Zatokę Aleksandra i ujście rzeki Oranje, nie natrafiając na żadne ślady życia, z wyjątkiem stada kormoranów z Przylądka, zmierzających do domu, i kolorowych flamingów. Zabrali ze sobą puszki z mięsem wołowym, ryż, owoce i dwie menażki wody, ale byli zbyt zdenerwowani, by coś przełknąć. Jamie starał się trzymać na wodzy swoją wyobraźnię; nie myśleć o czekającym niebezpieczeństwie, ale Banda nie mógł odpędzić od siebie ponurych myśli. Był już tam. Aż nadto dobrze pamiętał brutalnych strażników z bronią i psami, straszliwe miny rozrywające człowieka na strzępy. Dziwił się samemu sobie, że dał się wciągnąć w to szalone przedsięwzięcie. Zerknął na swego współtowarzysza i pomyślał: „On jest jeszcze większym głupcem. Jeśli ja zginę, to zginę za swoją siostrzyczkę. A on? Za kogo albo za co on zginie?”

Około południa pojawiły się rekiny. Było ich z pół tuzina. Przecinały płetwami wodę, sunąc w ich kierunku.

- Ciemno grzbietowe rekiny - oznajmił Banda. - Żarłacz ludojady.

Jamie obserwował, jak zgarniają płetwami pianę, coraz bliżej i bliżej.

- Co teraz zrobimy? - spytał.

- Prawdę mówiąc, Jamie - odparł Banda, przełykając nerwowo ślinę - jest to moje pierwsze doświadczenie tego rodzaju.

Jeden z rekinów trącił grzbietem tratwę, omal jej nie wywracając. Mężczyźni musieli chwycić się kurczowo masztu, żeby nie wypaść za burtę. Po chwili Jamie podniósł wiosło i pchnął żarłacza. W tym samym momencie wiosło zostało przegryzione na dwie części. Rekiny otoczyły teraz tratwę i płynąc w leniwych kręgach, ocierały się o nią. Nawet najmniejsze trącenie powodowało niebezpieczny przechył. W każdej chwili tratwa mogła zostać wywrócona.

- Musimy się ich pozbyć, zanim nas rozszarpia - powiedział Jamie.

- Jak mielibyśmy to zrobić? - spytał Banda.

- Podaj mi puszkę z mięsem.

- Chyba żartujesz, Jamie. Myślisz, że zadowolili ich puszka z mięsem? One chcą nas.

Nastąpił kolejny wstrząs i przechył.

- Puszka! - krzyknął Jamie. - Weź ją!

Banda szybko chwycił puszkę. Tratwa pochylała się w sposób przerażający.

- Otwórz ją do połowy. Prędkiej!

Banda wyjął z kieszeni scyzoryk, rozciął i podważył przykrywkę do połowy. Jamie chwycił puszkę, czując w palcach ostre krawędzie metalu.

- Trzymaj mocno! - krzyknął znów do Bandy. Ukłękł na krawędzi tratwy i czekał. Prawie natychmiast pojawił się rekin. Rozwarł szeroko swoją ogromną paszczę i Jamie ujrzał długi rząd diabelsko wyszczerzonych zębów. Za cel obrał sobie jego oczy. Wyciągnął ręce i z całej siły przejechał krawędziami oderwanego metalu po oku rekina, rozpruwając je zupełnie. Ogromna ryba uniosła swe cielsko i przez chwilę tratwa stała niemal pionowo. Rekiny podpłynęły do zranionego członka stada, młócąc wściekle płetwami i zapominając o ludziach.

Jamie i Banda obserwowali, jak żarłacz rozszarpują swą bezbronną ofiarę, podczas gdy tratwa oddalała się coraz bardziej i bardziej, aż w końcu stracili je z oczu.

Banda odetchnął z ulgą i powiedział spokojnie:

- Pewnego dnia opowiem o tym swym wnukom. Myślisz, że mi uwierzą?

Obaj mężczyźni wybuchnęli głośnym śmiechem. Śmiali się tak długo, że aż łzy popłynęły im z oczu.

Późnym popołudniem Jamie spojrzął na zegarek kieszonkowy.

- Około północy - stwierdził - powinniśmy dotrzeć do plaży diamentowej. Słońce wschodzi o szóstej piętnaście. To znaczy, że będziemy mieli cztery godziny, by zbierać diamenty, i dwie godziny, by wypłynąć w morze i zniknąć z widoku. Banda, czy cztery godziny nam wystarczą?

- Stu ludzi - odparł Banda - przez całe swe życie nie zdołaloby wydać tego, co ty zbierzesz przez cztery godziny.

„Mam tylko nadzieję - pomyślał zaraz potem - że będziemy dostatecznie długo żyli, by je zebrać...”

Przez dalszą część dnia żeglowali jednostajnie na północ, unoszeni przez wiatr i fale. Pod wieczór ujrzeni przed sobą zarysy małej wyspy. Zdawała się mieć nie więcej niż dwieście jardów obwodu. W miarę jak zbliżali się do wyspy, czuli coraz wyraźniej ostry zapach amoniaku sprawiający, że oczy zaszyły im łzami. Jamie rozumiał teraz, dlaczego nikt tutaj nie mógł mieszkać. Fetor był nie do wytrzymania. Ale wyspa da im wspaniałą kryjówkę do zmroku. Jamie ustawił żagiel i mała tratwa uderzyła o niski kamienisty brzeg. Mężczyźni

wyskoczyli na ląd. Całą wyspę pokrywały miliardy ptaków: kormoranów, pelikanów, białych głuptaków, pingwinów i flamingów. Gęste powietrze było tak ohydne, że prawie nie mogli oddychać. Ledwo zrobili parę kroków, a już byli po kolana umazani guanem.

- Wracajmy na tratwę - powiedział krztusząc się Jamie.

Banda skwapliwie przystał na tę propozycję.

Kiedy się odwracali, stado pelikanów poderwało się do lotu, odsłaniając kawałek ziemi, na której leżały zwłoki trzech mężczyzn. Trudno było stwierdzić, jak dawno umarli, gdyż ich ciała doskonale zakonserwował unoszący się w powietrzu amoniak, a włosy nabrały jasnoczerwonej barwy.

Po minucie Jamie i Banda znaleźli się z powrotem na tratwie i wypłynęli w morze. W pewnej odległości od brzegu zwinęli żagiel.

- Zostaniemy tu do północy - zdecydował Jamie. - Potem pozeglujemy na plażę.

Usiedli w milczeniu i każdy na swój własny sposób zaczął się przygotowywać do tego, co ich czeka. Słońce chowało się za horyzont, malując gasnące niebo wściekłymi barwami obłąkanego artysty. A potem nagle zapadł mrok.

Czekali jeszcze dwie godziny, po czym Jamie rozwinął żagiel i skierował tratwę na wschód, w kierunku niewidocznego brzegu. Chmury nad nimi przeredziły się i cienka blada poświata księżycy spłynęła na dół. Tratwa nabrała szybkości. Obaj mężczyźni mogli już dojrzeć majaczące w oddali plamy wybrzeża. Wiatr przybierał na sile, napinając żagiel, pchając tratwę w kierunku brzegu z coraz większą prędkością. Niebawem dojrzeli zarys lądu, gigantyczne przedpiersie skalne. Już z tej odległości mogli zobaczyć i usłyszeć potężne fale eksplodujące nad rafami, huczące jak grzmoty. Był to przerażający widok nawet z daleka i Jamie zastanawiał się, co będzie, gdy podpłyną bliżej.

Przyłapał się na tym, że odruchowo ścisza głos:

- Jesteś pewien, że plaża nie jest od tej strony strzeżona?

Banda nie odpowiedział. Wskazał tylko na skały znajdujące się przed nimi. Jamie zrozumiał, co miał na myśli. Rify były o wiele groźniejsze niż najwymyślniejsze pułapki, jakie może wymyślić człowiek. Były strażnikami morza, którzy nigdy nie odpoczywają, nigdy nie śpią. Stały tam, spokojnie czekając na swoje ofiary. „Ale my przechytrzymy was - pomyślał Jamie. - Prześlizgniemy się po was”. Tratwa sama unosiła ich do tej pory. Mogliby tak płynąć przez pozostałą część drogi, ale brzeg zdawał się teraz pędzić im na spotkanie. Zaczęli odczuwać coraz większe pęcznienie grzywaczy. Banda trzymał się mocno masztu.

- Poruszamy się całkiem szybko - stwierdził.

- Nie przejmuj się - uspokoił go Jamie. - Gdy podejmiemy bliżej, zwinę żagiel, a wówczas zmniejszy się prędkość. Prześlizgniemy się po tych rafach z dziecinną łatwością.

Pęd wiatru i fal przybierał na sile, pchając tratwę ku śmiertelnie niebezpiecznym skałom. Jamie szybko ocenił pozostałą do przebycia odległość i zdecydował, że morze samo doniesie ich do brzegu. Pospieszenie zwinął więc żagiel, ale prędkość wcale nie zmalała. Tratwa była teraz pojmana przez ogromne fale, miotana między jednym olbrzymim grzbietem a drugim, tak że nie sposób już było nad nią panować. Kołysała się tak gwałtownie, że obaj mężczyźni musieli mocno przywrzeć do niej obiema rękami. Jamie spodziewał się, że wejście będzie trudne, ale nie przypuszczał, że wpadną w tak gwałtowny wir wodny i powietrzny. Przed nimi, z niepokojącą wyrazistością, wylaniały się groźne kształty raf. Mogli teraz zobaczyć fale wpadające na strzępiaste skały i wybuchające niczym potężne, gniewne gejzery. Powodzenie całego planu zależało od tego, czy tratwa wyląduje nietknięta na brzegu, czy będą mogli skorzystać z niej podczas ucieczki. W przeciwnym razie będą zgubieni.

Pędzili teraz wprost na rafy, popychani wiatrem i napędzani przez budzącą grozę siłę morza. Ryk wichru był ogłuszający. Przeogromna fala nagle podniosła wysoko tratwę i cisnęła w stronę brzegu.

- Trzymaj się, Banda! - krzyknął Jamie. - Wchodzimy na nie!

Ogromny bałwan chwycił tratwę niczym zapalkę i zaczął unosić ją do brzegu, nad rafą.

Dwaj mężczyźni rozpaczliwie walczyli o swoje życie, stawiając czoło rozszalałemu żywiołowi, który chciał ich pochłoniąć. Jamie opuścił wzrok i zobaczył ostre występy skalne. Pomyślał, że zaraz przepłyną przez nie i znajdą się bezpieczni na plaży. W tej samej chwili nastąpiło nagłe szarpnięcie. To rafa dosięgła jednej z beczek u spodu i wyrwała ją. Tratwa gwałtownie się pochyliła. Zaraz potem skała rozerwała drugą beczkę, a potem jeszcze jedną i jeszcze jedną. Wiatr, dudniące fale i nienasycona rafa bawiły się tratwą jak piłeczką, rzucając ją do przodu i do tyłu, zakręcając szaleńczo w powietrzu. Jamie i Banda poczuli, jak cienkie drzewo pęka pod nimi.

- Skaczemy! - wrzasnął Jamie.

Runął do wody. Gigantyczna fala podniosła go i cisnęła w stronę brzegu z siłą katapulty. Miał do czynienia z żywiołem tak potężnym, jakiego nie można sobie nawet wyobrazić. Nie miał żadnego wpływu na to, co się dzieje. Był częścią fali, która była nad nim, w nim i pod nim. Jego ciało skręcało się i obracało, a płuca rozrywały się. W błysku świadomości pomyślał, że tonie. I wówczas jego ciało zostało wyrzucone na piaszczysty brzeg. Przez kilka dobrych chwil leżał tam krztusząc się, próbując złapać oddech, wchłaniając

w płuca chłodne, świeże morskie powietrze. Piasek zdarł mu do krwi skórę na klatce piersiowej i nogach, a całe ubranie było w strzępach. Powoli usiadł i rozejrzał się dookoła. Mniej więcej dziesięć jardów od niego Banda, skuliwszy się, wymiotował morską wodą. Jamie wstał i podszedł do niego.

- Wszystko w porządku?

Banda skinął głową i wziął głęboki oddech, wzdrygając się przy tym. Spojrzawszy na Jamiego powiedział:

- Nie umiem pływać.

Jamie pomógł mu się podnieść. Dwaj mężczyźni odwrócili się, by spojrzeć na rafę. Po tratwie nie został żaden ślad. Rozpadła się na kawałki w dzikim oceanie. Dostali się na pole diamentowe. Nie było jednak sposobu, aby się z niego wydostać.



## Rozdział 5

Za nimi pozostał szalejący ocean. Przed nimi rozpościerała się bezludna pustynia, od morza do podnóża odległych, dzikich, purpurowych gór urwiska Richterveld: krainy wąwozów, kanionów i wykrzywionych szczytów oświetlonych teraz bladą poświatą księżyca. U stóp gór leżała dolina Hexenkessel - „kocioł czarownic” - pułapka zimnego wiatru. Były to pierwotne, niegościnne obszary, które zdawały się trwać w nie zmienionej formie od początków życia na ziemi. Jedynym śladem, że noga ludzka stanęła tu kiedyś, była wciśnięta mocno w piasek tablica z niezdarnie wykonanym napisem. Przy świetle księżyca przeczytali:

### VERBODE GEBIED SPERRGEBIET

Wstęp wzbroniony.

Nie mogli już uciec w morze. Pozostała im tylko pustynia Namib.

- Spróbujmy skorzystać z tej szansy i przejść przez nią - powiedział Jamie.

Banda pokręcił głową.

- Strażnicy zastrzelą nas lub powieszą przy pierwszej lepszej okazji. Nawet jeśli jakimś cudem uda nam się ominąć strażników i psy, to i tak pozostają jeszcze miny lądowe. Jesteśmy zgubieni.

Nie widać było po nim lęku, a tylko spokojne pogodzenie się z własnym losem.

Jamie zerknął na niego i poczuł głęboki żal, że wciągnął go w to wszystko, mimo iż Banda ani razu się nie uskarżał. Nawet teraz, wiedząc, że nie ma dla nich ratunku, ten czarnoskóry mężczyzna nie wypowiedział słowa skargi.

Jamie raz jeszcze spojrzał na złowrogie wały wodne rozbryzgujące się o brzeg i pomyślał, że to cud sprawił, iż udało im się dotrzeć tak daleko. Była druga w nocy, cztery godziny przed świtem i ostatecznym rozwiązaniem, a oni nadal byli cali. „Niech mnie piekło pochłonie - pomyślał - jeśli się poddam”.

- Bierzmy się do roboty, Banda - powiedział.

- Co takiego? - Banda zamrugał oczami udając, że nie dosłyszał.

- O ile się nie mylę, przyплыliśmy tu po diamenty.

Banda wytrzeszczył oczy na tego człowieka o dziko błyszczących oczach, siwych włosach przyklepionych do czoła i w mokrym postrzępionym ubraniu.

- O czym ty mówisz? - spytał.

- Powiedziałeś, że zabijają nas przy pierwszej okazji, prawda? Mogą zabić zarówno bogatych, jak i biednych. Cud przywiódł nas tutaj i cud stąd wydestanie. A jeśli się wydestaniemy, nigdy bym sobie nie darował, że zrobiliśmy to z pustymi rękoma.

- Jesteś pomyłony - stwierdził łagodnie Banda.

- W przeciwnym razie nie byłoby nas tutaj.

- Do diabła - Banda wzruszył ramionami - w końcu do czasu, nim nas znajdą, i tak nie mam nic lepszego do roboty.

Jamie ściągnął z siebie postrzępioną koszulę. Banda domyślił się, w jakim celu, i zrobił to samo.

- A więc, gdzie są te wszystkie ogromne diamenty, o których mówiłeś?

- Są wszędzie - zapewnił Banda i zaraz potem dodał: - Tak jak strażnicy i psy.

- Później będziemy się nimi martwić. Kiedy przychodzą na plażę?

- Kiedy zaczyna się przejaśniać.

- Czy jest jakaś część plaży, do której nie zagląдают? Jakies miejsce, gdzie moglibyśmy się ukryć? - zapytał Jamie po chwili namysłu.

- Nie ma takiej części plaży, do której by nie przychodzili - odparł Banda - i nie ma takiego miejsca, gdzie by nawet mucha mogła się ukryć.

Jamie poklepał Bandę po ramieniu.

- No dobrze - powiedział. - Idziemy.

Banda położył się na brzuchu i zaczął powoli czołgać, dokładnie przesiewając piasek przez palce. Po dwóch minutach zatrzymał się i zawołał:

- Mam już jeden!

Jamie również zaczął się czołgać. Dwa pierwsze kamienie, które znalazł, nie były duże. Ale trzeci musiał ważyć ponad dwanaście karatów. Usiadł i przyglądał się mu przez dłuższą chwilę. Było dla niego rzeczą niewiarygodną, że taką fortunę można tak łatwo zdobyć. I to wszystko należało do Salomona van der Merwego i jego współników. Jamie zaczął znów posuwać się naprzód. W ciągu następnych trzech godzin dwaj mężczyźni zebrali ponad czterdzieści diamentów ważących od dwu do trzydziestu karatów.

Niebo na wschodzie zaczęło się przejaśniać. Według planu Jamiego był to czas, aby opuścić plażę, wskoczyć z powrotem na tratwę, przepłynąć przez rafy i zniknąć z pola widzenia. Ale teraz myślenie o tym nie miało sensu.

- Wkrótce będzie świt - powiedział Jamie. - Ciekawe, ile jeszcze diamentów uda nam się zebrać.

- Nie pożyjemy nawet tyle, by chociaż z jednego z nich skorzystać - stwierdził Banda i dodał: - Zamierzasz umrzeć bardzo bogaty, co?

- W ogóle nie mam zamiaru umierać - odparł Jamie.

Zabrali się na nowo do poszukiwań. Bezmyślnie, jak w amoku, zbierali teraz diamenty jeden za drugim. W końcu w strzępach koszuli mieli sześćdziesiąt kamieni wartych bajeczną fortunę.

- Chcesz, żebym je niósł? - spytał Banda.

- Nie. Możemy obaj... - Jamie przerwał w pół zdania, uświadomiwszy sobie, co Banda miał na myśli. Ten, przy którym znajdą diamenty, będzie miał dłuższą i bardziej bolesną śmierć. - Wezmę je - rzekł. Wrzucił diamenty do szmaty, jaka pozostała z koszuli, a następnie starannie zawiązał ją na supeł. Horyzont był teraz jasnoszary i nabierał barw wschodzącego słońca.

Co dalej? Oto pytanie. A jaka była na nie odpowiedź? Mogli zostać i zginąć albo skierować się w głąb lądu, w stronę pustyni i też zginąć.

- Zabierajmy się stąd - powiedział Jamie.

Zaczęli powoli oddalać się od morza, idąc jeden obok drugiego.

- Gdzie zaczynają się miny lądowe?

- Około stu jardów przed nami. - Gdzieś daleko rozległo się szczekanie psa. - Ale nie sądzę, abyśmy musieli się martwić akurat minami. Niedługo będą tu psy. Ranna zmiana przyszła do pracy.

- Jak szybko dojdą do nas?

- Za piętnaście, może za dziesięć minut.

Było już prawie widno. Mające do tej pory kształty przeobraziły się w małe diuny i odległe góry. Nie było tu miejsca, gdzie by można się ukryć.

- Ilu strażników jest na zmianie?

- Około dziesięciu - odparł Banda po chwili namysłu.

- Dziesięciu strażników to niewielu jak na tak wielką plażę.

- Jeden strażnik to już dużo. Oni mają broń i psy. Nie są ślepi, a my nie jesteśmy niewidzialni. - Szczekanie stało się teraz głośniejsze.

- Przykro mi, Banda - powiedział Jamie. - Nie powinienem był cię w to wciągać.

- To nie ty - odparł spokojnie Banda.

Jamie zrozumiał, co ma na myśli.

Z oddali dochodziły już głosy ludzkie. Jamie i Banda doszli do niewielkiej diuny.

- A gdybyśmy zakopali się w piasku? - zaproponował Jamie.

- Tego też próbowano. Psy znalazłyby nas i rozszarpały na strzępy. Chcę mieć szybką śmierć. Pokażę się strażnikom i zacznę biec. Wówczas zastrzelą mnie. To lepsze, niż gdyby psy miały się do mnie dobrać.

- Możemy zginąć - Jamie chwycił Bandę za ramię - ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli mielibyśmy sami przyłożyć do tego rękę. Niech się trochę pomęczą.

Głosy były już tak blisko, że mogli odróżnić poszczególne słowa.

- Ruszajcie się, wy leniwe sukinsyny - wrzeszczał jeden ze strażników. - Za mną... Nie wychodzić z rzędu... Mieliście całą noc do spania... Czas już wreszcie wziąć się do roboty... No, dalej...

Pomimo okazywanej odwagi Jamiego zaczęły ogarniać wątpliwości. Odwrócił się, by spojrzeć raz jeszcze na morze. „Czy utonięcie nie było lepszym sposobem na umieranie?” Spoglądał na rafy złośliwie rozpruwające demoniczne fale i nagle zobaczył coś jeszcze, coś poza falami. Nie miał pojęcia, co to może być.

- Spójrz, Banda - powiedział.

Daleko na morzu pojawiła się nieprzenikniona szara ściana, która zbliżała się do nich, popychana przez silny zachodni wiatr.

- To mgła morską, *mis* - zawołał Banda. - Nadchodzi tu dwa albo trzy razy w tygodniu.

Gdy rozmawiali, mgła znacznie się przybliżyła. Wyglądała teraz jak gigantyczna szara kurtyna; rozciągała się wzdłuż całego horyzontu, zasnuwając każdy kawałek nieba. Przybliżyły się również głosy ludzkie.

- *Den dousant*. Szlag by trafił *mis*. Znowu będzie przestój. Nasi bossowie nie będą z tego zadowoleni...

- Mamy szansę! - powiedział szeptem Jamie.

- Jaką szansę? - spytał ze zdziwieniem Banda.

- *Mis*. Teraz nie będą mogli nas dojrzeć.

- To i tak nic nie pomoże. Mgła w końcu opadnie, a my wciąż będziemy tkwić w tym miejscu. Jeśli strażnicy nie mogą przejść przez miny, to my tym bardziej nie przejdziemy. Spróbuj iść przez pustynię w tej mgle. Założę się, że nie ujdiesz dziesięciu jardów, a miny rozerwą cię na kawałki. Znów liczysz na jeden z tych swoich cudów.

- Masz cholerną rację, Banda - powiedział Jamie.

Niebo nad ich głowami ciemniało. Mgła była już bardzo blisko, zakrywała morze, gotowa, by pochłonąć brzeg. Miała w sobie coś budzącego grozę, gdy toczyła się tak w ich

kierunku. Jednak Jamiego ogarnęło dziwnie radosne przecucie, że ona właśnie ich uratuje. Nagle rozległ się donośny głos:

- Ej! Wy dwaj! Co tam, u diabła, robicie?

Jamie i Banda odwrócili się. Na szczycie diuny stał umundurowany strażnik z karabinem. Jamie spojrzął przez ramię. Mgła szybko posuwała się w ich kierunku.

- Tak, wy! - wrzasnął znów strażnik. - Wy dwaj! Podejdźcie tu. Skierował karabin w ich stronę. Jamie podniósł ręce do góry.

- Skręciłem nogę! - zawołał. - Nie mogę iść.

- Nie ruszać się - rozkazał strażnik. - Przyjdę po was. - Opuścił karabin i zaczął iść do nich.

Jamie rzucił za siebie krótkie spojrzenie i zauważył, że mgła dotarła już do brzegu i wciąż szybko posuwa się dalej.

- Biegnij! - szepnął do Bandy.

Obrócił się i zaczął pędzić w stronę plaży, a Banda tuż za nim.

- Stać! - krzyknął za nimi strażnik i w chwilę później rozległ się ostry huk wystrzału. Piasek przed nimi rozprysł się. Nie zatrzymali się, pędzili na spotkanie ciemnej ściany mgły. I znów rozległ się odgłos wystrzału, tym razem bliżej nich, a potem jeszcze jeden, a potem obaj mężczyźni znaleźli się w całkowitej ciemności. Mgła morska lizała ich, ochładzała i okrywała. Mieli wrażenie, jakby owijano ich wilgotnym kocem. Nic nie było widać. Głosy były teraz przytłumione, dochodziły z różnych stron, odbijały się od mgły.

- Kruger!... Tu Brent... Czy mnie słyszysz?

- Słyszę cię, Kruger...

- Jest ich dwóch! - krzyczał pierwszy głos. - Biały i Murzyn. Są na plaży. Roześlij swoich ludzi. *Skiet hom!* Strzelaj, aż padną trupem.

- Trzymaj się mnie - wyszeptał Jamie.

- Gdzie idziesz? - Banda chwycił go za rękę.

- Musimy się stąd wydostać.

Jamie wyjął swój kompas i przybliżył do oczu. Prawie go nie widział. Gdy kompas wskazał kierunek wschodni, Jamie obrócił się do Bandy.

- Tędy - powiedział znów szeptem.

- Zaczekaj! Nie możemy iść. Nawet jeśli nie wpadniemy na strażników lub psy, to i tak pozostają jeszcze miny.

- Powiedziałeś, że miny zaczynają się sto jardów stąd. Wydostaniemy się z tej plaży.

Zaczęli iść w stronę pustyni, powoli i niepewnie, jak ślepcy po nieznanym terenie.

Jamie odmierzał krokami jardy. Co chwila padali na miękki piasek, podnosili się i szli dalej. Co kilka stóp Jamie przystawał, aby spojrzeć na kompas. Stwierdziwszy, że przebyli prawie sto jardów, zatrzymał się.

- Tu powinny zaczynać się miny - oświadczył. - Czy istnieje jakiś schemat, według którego zostały rozmieszczone? Czy nie przychodzi ci do głowy nic, co mogłoby nam pomóc?

- Tak - odrzekł Banda. - Modlitwa. Nikomu jeszcze nie udało się przejść przez te miny, Jamie. Są rozrzucone po całym polu i zakopane na głębokości sześciu cali. Pozostaniemy tu, aż *mis* opadnie i nas zdradzi.

Jamie usłyszał przytłumione głosy dochodzące z różnych stron.

- Kruger! Bądź ze mną w kontakcie...

- Dobrze, Brent...

- Kruger...

- Brent...

Uwolnione od powłoki cielesnej nawołujące się głosy w nieprzeniknionej mgle. Jamie myślał intensywnie, rozpaczliwie próbując znaleźć jakieś wyjście z tej beznadziejnej sytuacji. Gdyby tu nadal tkwili, zostaliby zabici przez strażników z chwilą opadnięcia mgły. Gdyby spróbowali iść przez pole minowe, zostaliby rozerwani na strzępy.

- Czy widziałeś już miny lądowe? - zapytał szeptem Jamie.

- Tak. Pomagałem zakopywać kilka.

- Co powoduje, że wybuchają?

- Ciężar ludzkiego ciała. Wszystko, co waży powyżej osiemdziesięciu funtów, powoduje ich wybuch. Dlatego właśnie nie zabijają psów.

Jamie zaczerpnął głęboko powietrza.

- Banda, chyba już wiem, jak się stąd wydostać. Mój plan może się nie powieść, ale czy chcesz ze mną zaryzykować?

- Co masz na myśli?

- Przejdziemy przez pole minowe na brzuchach. W ten sposób rozłożymy nasz ciężar na piasku.

- Chryste Panie!

- Co o tym myślisz?

- Myślę, że zupełnie zwariowałem wyjeżdżając z Kapsztadu.

- Czy jesteś ze mną? - Jamie ledwo mógł dojrzeć twarz Bandy, który stał tuż obok niego.

- Nie pozostawiasz człowiekowi zbyt wielkiego wyboru.

- Chodźmy więc.

Jamie ostrożnie rozciągnął się na piasku. Banda patrzył przez chwilę na niego, po czym westchnął ciężko i uczynił to samo. Dwaj mężczyźni zaczęli powoli pełznąć po piasku w stronę pola minowego.

- Gdy się poruszasz - powiedział szeptem Jamie - nie wbijaj się rękami lub nogami w piasek. Pracuj całym ciałem.

Banda nic nie odpowiedział. Myślał tylko o jednym - żeby przeżyć.

Znajdowali się w gęstej, szarej próżni, uniemożliwiającej dojrzenie czegokolwiek. W każdej chwili mogli wpaść na strażnika, psa lub jedną z min. Jamie starał się jednak nie myśleć o tym. Posuwali się w zasmucająco wolnym tempie, cal za cal. Nie mieli na sobie koszul i piasek ocierał im brzuchy aż do krwi. Jamie był świadom, jak nikłe mają szansę. Nawet jeśliby jakimś cudem udało im się przebyć przez pustynię, nawet jeśliby nie zostali zabici przez strażników lub rozszarpani przez psy albo rozerwani przez miny, to i tak mieliby jeszcze przed sobą ogrodzenie z drutu kolczastego i uzbrojonych wartowników na wieży przy wejściu. Nie było też wiadomo, jak długo utrzyma się mgła. W każdej chwili mogła się przerzedzić i ich odsłonić.

Nadal posuwali się odruchowo naprzód, aż zatarcili poczucie czasu i przestrzeni. Cale stawały się teraz dla nich stopami, stopy jardami, a jardy milami. Nie mieli pojęcia, od jak dawna są w drodze. Nie mogli odrywać rąk od ziemi, a ich oczy, uszy i nosy wypełniał piasek. Oddychanie sprawiało im ogromną trudność.

W oddali słychać było uporczywe echo głosów strażników:

- Kruger... Brent... Kruger... Brent...

Co kilka minut zatrzymywali się, by odsapnąć i zerknąć na kompas, a potem powoli ruszali dalej, zaczynając na nowo nie kończące się pełzanie. Odczuwali potrzebę szybszego poruszania się, ale to oznaczałoby wywieranie większego nacisku. Jamie mógł sobie wyobrazić odłamki metalu wybuchające pod nim i przeszywające mu brzuch. Utrzymywał więc wolne tempo. Od czasu do czasu słyszeli wokół siebie inne głosy, ale słowa ginęły we mgle i trudno było stwierdzić, skąd pochodzą.

„To wielka pustynia - myślał Jamie z nadzieją. - Nie natkniemy się na nikogo”.

W tym momencie jakieś ogromne włochate cielsko zważyło się na niego nie wiadomo skąd. Stało się to tak nagle, że był zupełnie zaskoczony. Poczł, jak ogromne kły wilczura zagłębiają się w jego ręce. Puścił tobolek z diamentami i wolną ręką usiłował rozewrzeć

mocno zaciśniętą szczękę psa, ale okazało się to niemożliwe. Czuł, jak ciepła krew spływa mu po ramieniu, a pies coraz głębiej wbija swe kły. Chwył był cichy i śmiertelny. Jamie zaczynał już słabnąć, gdy usłyszał głuchoe odgłosy. Zobaczył niewyraźnie Bandę, walącego psa w łeb tobołkiem z diamentami, i zachodzące mgłą oczy zwierzęcia, którego szczęki rozluźniały się, aż w końcu puściły. Wilczur zaskowyczał i znieruchomiał.

- Nic ci nie jest? - spytał Banda z niepokojem.

Jamie nie mógł wydobyć z siebie głosu. Leżał w bezruchu czekając, aż ból zelżeje. Banda oderwał kawałek materiału ze spodni i obwiązał mu mocno ranę.

- Musimy się posuwać dalej - ostrzegł. - Jeśli był tutaj jeden, to musi być ich więcej.

Jamie skinął głową. Powoli zaczął posuwać się do przodu, walcząc z potwornym bólem. Nie wiedział już, dokąd zmierza, jaki jest cel ich trekku. Był prawie nieprzytomny z bólu. Jakaś nieznana siła kierowała jego ruchami. „Ręce do przodu, ciągnij ciało... Ręce do przodu, ciągnij ciało... Ręce do przodu, ciągnij ciało...” Była to nie kończąca się odyseja agonii. Teraz z kolei Banda posługiwał się kompasem. Gdy Jamie zaczynał posuwać się w złym kierunku, delikatnie obracał go. Ze wszystkich stron otaczali ich strażnicy, psy i miny ładowe. Tylko mgła zapewniała im bezpieczeństwo. Nie zatrzymywali się, czołgali się po swoje życie, aż w końcu nadszedł moment, że żaden z nich nie miał już siły, aby zrobić choćby najmniejszy ruch.

Zasnęli.

Kiedy Jamie otworzył oczy, od razu się zorientował, że coś się zmieniło. Leżał na piasku, zdrętwiały i obolały, usiłując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Dojrzał Bandę, który spał w odległości sześciu stóp od niego, i nagle wszystko znów w nim odżyło. Tratwa rozbijająca się o rafy... *mis*... Ale coś tu było nie w porządku.

Jamie usiadł, intensywnie nad tym myśląc. I nagle serce podskoczyło mu do gardła: zobaczył Bandę! A więc to właśnie się zmieniło, mgła się rozpraszająca. Jamie usłyszał głosy w pobliżu. Spojrzał badawczo przez cienkie pasma mgły i dostrzegł wysoką wieżę strażniczą oraz ogrodzenie z drutu kolczastego, o których mówił Banda. Gromada około sześćdziesięciu czarnoskórych robotników opuszczała pole diamentowe, idąc w kierunku bramy. Skończyli właśnie pracę, a na ich miejsce przychodziła teraz kolejna zmiana. Jamie podczołgał się do Bandy i potrząsnął nim. Banda natychmiast się obudził. Zwrócił wzrok w stronę wieży i bramy.

- Szlag by to trafił! - powiedział z niedowierzaniem. - Prawie się nam udało.

- Na pewno się udało! - sprostował Jamie. - Daj mi tylko te diamenty!

- Co chcesz...? - Banda podał mu zwiniętą koszulę.



- Idź za mną.

- Ci strażnicy przy bramie - wyszeptał Banda. - Domyślą się, że nie jesteśmy stąd.

- I na to właśnie liczę - odparł Jamie.

Dwaj mężczyźni ruszyli w stronę strażników, przemykając między szeregiem robotników kończących zmianę a szeregiem tych, którzy zaczynali kolejną. Robotnicy głośno wymieniali między sobą przyjacielskie złośliwości:

- Wy, chłopy, będziecie mieli tyle roboty, że wam nogi do tyłków powłażą. A my nieźle się wypaliliśmy we mgle...

- Jak wam się udało zamówić mgłę, wy szczęśliwe bękarty...?

- Bóg nas wysłuchał, ale wy jesteście zbyt wielkimi świntuchami, żeby wam dopomógł.

Jamie i Banda zbliżyli się do bramy, przy której stali dwaj potężni i uzbrojeni strażnicy, zaganiający wychodzących robotników do niewielkiej blaszanej budy, gdzie poddawano ich dokładnej rewizji. „Rozbierają ich do naga i zagłądają do każdego otworu”. Jamie jeszcze mocniej zacisnął palce na tobołku i podszedł do strażnika.

- Przepraszam, sir - zwrócił się do niego. - Z kim moglibyśmy tu porozmawiać w sprawie pracy?

Banda wytrzeszczył oczy w osłupieniu. Strażnik odwrócił się w stronę Jamiego.

- Co wy, u diabła, robicie wewnątrz ogrodzenia?

- Weszliśmy, by rozejrzeć się za pracą. Słyszałem, że jest nie obsadzone stanowisko strażnika, a mój służący mógłby zbierać diamenty, więc pomyślałem sobie...

Strażnik zmierzył wzrokiem te dwa obdarte, nie wzbudzające zbytniego zaufania indywidua.

- Wynoście się stąd - rozkazał.

- Nie chcemy wychodzić na zewnątrz - zaprotestował Jamie. - Szukamy pracy i powiedziano mi...

- Tu jest wstęp wzbroniony, mister. Czy nie widziałeś napisów? A teraz wynoście się do diabła! - Wskazał na duży wóz zaprzęgnięty w woły, wypełniony robotnikami, którzy skończyli zmianę. - Ten wóz zawiezie was do Port Nolloth. Jeśli chcecie dostać pracę, musicie się tam najpierw zgłosić do biura spółki.

- Och, dziękuję, sir - odparł Jamie. Skinął na Bandę i dwaj mężczyźni wyszli przez bramę wolności.

- Przeklęci idioci - powiedział strażnik rzucając w ich stronę wściekłe spojrzenie.

Dziesięć minut później Jamie i Banda byli już w drodze do Port Nolloth. Wieźli ze sobą diamenty warte pół miliona funtów.

## Rozdział 6

Wytworny powóz, zaprzężony w parę pięknych gniadoszy, wjechał na zakurzoną główną ulicę Klipdrift. Powoził wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna o siwych włosach, siwej brodzie i siwych wąsach. Ubrany był w modnie skrojony szary surdut, koszulę z krezą, a w jego ciemny krawat była wpięta szpilka z diamentem. Na głowie miał ciemny cylinder, a na małym palcu błyskał mu duży pierścion z brylantem. Zdawał się być nowicjuszem w tym mieście, ale nim nie był.

Klipdrift znacznie zmieniło się od czasu, gdy rok temu Jamie McGregor musiał je opuścić. Był teraz 1884 rok i Klipdrift przekształciło się z obozu w okręg przemysłowy. Ukończono budowę linii kolejowej, prowadzącej z Kapsztadu do Hopetown, z odgałęzieniem do Klipdrift, co spowodowało napływ całej fali nowych imigrantów. Miasto nie było o wiele bardziej zatłoczone niż rok temu, lecz ludzie wydawali się inni. Owszem, wciąż było tu wielu poszukiwaczy, ale byli też mężczyźni w służbowych ubraniach i dobrze ubrane, stateczne matrony robiące zakupy. Klipdrift nabierało zacnego wyglądu.

Jamie minął nowe sale balowe i sześć nowych saloonów. Przejechał też obok niedawno wybudowanego kościoła, salonu fryzjerskiego i hotelu o nazwie „Grand”. Zatrzymał się przed bankiem i wyskoczywszy z powozu rzucił niedbale lejce stojącemu obok czarnoskóremu chłopcu.

- Napój konie - powiedział do niego, po czym wszedł do banku.

- Chciałbym zdeponować sto tysięcy funtów w pańskim banku - zwrócił się do bankiera donośnym głosem.

Wieść rozeszła się błyskawicznie, tak zresztą jak Jamie przewidywał. Zanim zdążył wyjść z banku i wstąpić do saloonu „Sundowner”, był już głównym obiektem zainteresowania. Wnętrze saloonu nie zmieniło się.

Było zatłoczone i gdy Jamie podchodził do baru, mnóstwo par oczu patrzyło na niego z zaciekawieniem. Smit skinął z szacunkiem głową.

- Czego pan sobie życzy, sir? - spytał. Nic nie wskazywało na to, że go rozpoznał.

- Whisky - odparł Jamie. - Najlepszą, jaką tu macie.

- Tak, sir. - Smit nalał drinka. - Pan pierwszy raz u nas?

- Tak.

- Zapewne tylko przejazdem?

- Nie. Słyszałem, że jest to dobre miejsce, by zainwestować pieniądze.

- Nie mógł pan lepiej trafić! - Oczy barmana zabłyśły. - Człowiek z pieniędzmi może się tu naprawdę dobrze urządzać. Prawdę mówiąc, mógłbym panu służyć pewną pomocą, sir.

- Naprawdę? W jaki sposób?

Smit pochylił się w stronę Jamiego.

- Znam człowieka - szepnął porozumiewawczym tonem - który rządzi tym miastem. Jest przewodniczącym Rady Miejskiej i stoi na czele Komitetu Obywatelskiego. To najważniejsza osobistość w tych stronach. Nazywa się Salomon van der Merwe.

- Nigdy o nim nie słyszałem. - Jamie pociągnął łyk.

- Jest właścicielem tego dużego składu towarowego po drugiej stronie ulicy. Mógłby panu poradzić, jak zrobić tu wielki interes. Nie straci pan nic ze swego cennego czasu, jeśli się pan z nim spotka.

- Niech przyjdzie tutaj. - Jamie pociągnął kolejny łyk.

- Tak, sir - powiedział barman, zerkając na pierścień z brylantem i szpilkę z diamentem. - Czy mogę mu podać pana nazwisko?

- Travis. Ian Travis.

- Dobrze, panie Travis. Jestem pewien, że pan van der Merwe będzie chciał pana poznać. - Smit nalał kolejnego drinka. - Tymczasem niech pan wypije jeszcze jednego. Na koszt firmy.

Jamie siedział przy barze popijając whisky, świadom, że wszyscy w saloonie go obserwują. Z Klipdrift wyjeżdżali ludzie bogaci, ale jeszcze nigdy nie przyjechał tu ktoś tak majątny. To było coś nowego.

Piętnaście minut później barman powrócił w towarzystwie Salomona van der Merwego. Holender podszedł do siwobrodego i siwowłosego przybysza, wyciągnął rękę i uśmiechając się powiedział:

- Pan Travis, prawda? Nazywam się Salomon van der Merwe.

- Ian Travis.

Jamie sądził, że jeśli van der Merwe go nawet nie rozpozna, to znajdzie w nim coś znajomego, lecz nic takiego się nie zdarzyło. „Ale niby dlaczego miałyby się zdarzyć?” - pomyślał. Nic nie pozostało już z tego naiwnego, idealistycznego, osiemnastoletniego chłopca, jakim był kiedyś. Smit usłużnie zaprowadził obu mężczyzn do narożnego stołu.

- Domyślam się - zaczął van der Merwe bez ogródek, gdy tylko usiedli - że chciałby pan zainwestować w Klipdrift, panie Travis.

- Niewykluczone - odparł Jamie.

- Być może mógłbym w jakiś sposób panu pomóc. Tutaj należy być ostrożnym. Wokoło aż się roi od nieuczciwych ludzi.

- Jestem tego pewien - powiedział Jamie spojrzawszy na niego.

Było w tym coś nierealnego: siedzieć przy jednym stole i prowadzić miłą rozmowę z człowiekiem, który zabrał mu fortunę, oszukał go, a potem próbował zabić. Przez ostatni rok żywił się nienawiścią do tego człowieka i tylko żądza zemsty podtrzymywała go na duchu, nadawała sens życiu. A teraz van der Merwe był przy nim, a on nie odczuwał nienawiści.

- Jeśli nie miałby pan nic przeciwko, panie Travis, chciałbym zapytać, ile pieniędzy zamierza pan zainwestować?

- Około stu tysięcy funtów na początek - odparł od niechcienia Jamie i zauważył, jak van der Merwemu ślina napływa do ust. - A potem może trzysta lub czterysta tysięcy.

- Z tym wszystkim powinien pan daleko zajść, bardzo daleko, w rzeczy samej. Przy stosowaniu się do dobrych rad, oczywiście. Czy ma pan już coś na oku?

- Na razie chciałbym się rozejrzeć i sprawdzić, jakie są możliwości.

- To bardzo rozsądnie - przytaknął ze zrozumieniem van der Merwe. - Może zjedlibyśmy dziś razem kolację? Co pan na to? Moglibyśmy wówczas spokojnie porozmawiać. Moja córka wspaniale gotuje. Byłby to zaszczyt gościć pana.

Jamie uśmiechnął się.

- Z przyjemnością, panie van der Merwe, z przyjemnością - odparł.

„Nie masz pojęcia, z jak wielką” - pomyślał.

A więc zaczęło się...

Podróż z pól diamentowych pustyni Namib do Kapsztadu upłynęła bez żadnych przygód. Jamie i Banda powędrowali w głąb lądu do małej wsi, gdzie miejscowy lekarz opatrzył Jamiemu rękę, a potem udało im się zabrać wozem do Kapsztadu. Była to długa i wyczerpująca jazda, ale nie myśleli o tym. W Kapsztadzie Jamie zameldował się w eleganckim - „Pod patronatem Jego Królewskiej Wysokości Księcia Edynburga” - hotelu „Royal” na Plein Street. Zaprowadzono go do Apartamentu Królewskiego.

- Chciałbym, aby przysłano mi najlepszego fryzjera w mieście - powiedział hotelarzowi - potem krawca i szewca.

- Zaraz tu będą, sir - odparł tamten.

„To wspaniale, co potrafią zdziałać pieniądze” - pomyślał Jamie.

Kąpiel w Apartamencie Królewskim była czymś niebiańskim. Jamie leżał na plecach

w ciepłej wodzie, odzyskując świeżość i wracając myślami do minionych, niewiarygodnych wydarzeń. Czy naprawdę upłynęły tylko tygodnie od czasu, gdy on i Banda zbudowali tratwę? Wydawały się całymi latami. Jamie myślał o tym, jak żeglowali w kierunku *Sperrgebiet*; myślał o rekinach i demonicznych falach, o rafach rozrywających tratwę na drobne kawałki. Myślał również o mgle morskiej, o tym, jak czołgali się mając pod sobą miny lądowe, i o ogromnym psie, który leżał na nim... Słyszał złowieszcze i przytłumione nawoływania: „Kruger... Brent... Kruger... Brent...”, które już zawsze miały mu dźwięczeć w uszach.

Przede wszystkim jednak myślał o Bandzie. Swoim przyjacielu. Gdy dojechali do Kapsztadu, Jamie nalegał, by z nim został.

- Życie z tobą, Jamie - odpowiedział Banda z szerokim uśmiechem - jest zbyt nudne. Muszę poszukać sobie czegoś, co byłoby choć trochę podniecające.

- Co będziesz teraz robił?

- Dzięki twojemu wspaniałemu planowi przepłynięcia tratwą przez rafy zamierzam kupić sobie farmę, znaleźć żonę i mieć z nią całą chmarę dzieciaków.

- No dobrze. Chodźmy więc do *diamant koopera*, abym mógł ci dać twój udział.

- Nie - odparł Banda. - Nie chcę go.

- Co się z tobą dzieje? - Jamie zmarszczył brwi. - Połowa diamentów należy do ciebie. Jesteś milionerem.

- Nie - powtórzył z naciskiem Banda. - Spójrz na moją skórę. Gdybym stał się milionerem, moje życie nie byłoby warte więcej niż *tickey*\* [\*Tickey - moneta trzypensowa w Afryce Południowej].

- Możesz ukryć część diamentów. Możesz...

- Potrzebuję tylko tyle, by nabyć morgę ziemi oraz dwa woły, które wymienię na żonę.

Wystarczą mi dwa lub trzy niewielkie diamenty. Reszta jest twoja.

- To wykluczone. Nie możesz mi oddać swego udziału.

- Tak, Jamie, mogę. Ponieważ ty mi dasz Salomona van der Merwego.

Jamie patrzył przez dłuższą chwilę na Bandę.

- Obiecuję ci.

- A więc, bywaj zdrow, mój przyjacielu. Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Spotkamy się jeszcze - powiedział Banda. - Następnym razem pomyśl o czymś naprawdę podniecającym.

Banda oddalił się z trzema małymi diamentami, starannie ukrytymi w kieszeni.

Jamie wysłał swoim rodzicom przekaz na sumę dwudziestu tysięcy funtów, kupił najwspanialszy powóz i zaprzęg, jakie tylko mógł znaleźć, i udał się z powrotem do Klipdrift. Nadszedł czas zemsty...

Tego wieczoru, gdy Jamie wszedł do składu towarowego van der Merwego, ogarnęło go tak nieprzyjemne i gwałtowne uczucie, że musiał przystanąć na chwilę, by odzyskać panowanie nad sobą. Van der Merwe wyszedł pośpiesznie z tylnej części sklepu i, gdy zobaczył Jamiego, jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- Ach, pan Travis! Witam, witam pana.

- Dziękuję panu, panie... e... przepraszam... zapomniałem pańskiego nazwiska...

- Van der Merwe. Salomon van der Merwe. Nic nie szkodzi. Holenderskie nazwiska są trudne do zapamiętania. Kolacja jest już gotowa. Margaret! - zawołał wprowadzając Jamiego do pokoju na tyłach składu.

Nic tu się nie zmieniło. Margaret stała przy piecu nad patelnią, odwrócona tyłem.

- Margaret, to jest nasz gość, o którym ci mówiłem. Pan Travis.

Margaret się odwróciła.

- Miło mi pana poznać - powiedziała. Nic nie wskazywało na to, że go rozpoznała.

- Mnie również. - Jamie skinął głową.

Zadzwieczył dzwonek sklepowy.

- Przepraszam - rzekł van der Merwe. - Zaraz wrócę. Niech pan się czuje jak u siebie w domu, panie Travis. - Wyszedł pośpiesznie.

Margaret postawiła na stole dymiącą misę z jarzynami i mięsem, po czym podeszła do pieca, by wyjąć chleb. Jamie przyglądał się jej w milczeniu. Od czasu gdy widział ją po raz ostatni, a było to rok temu, zmieniła się, dojrzała. Stała się kobietą, w której tliło się pożądanie.

- Ojciec mówił mi, że umie pani wspaniale gotować.

- Ja... Mam nadzieję, że tak, sir - odpowiedziała rumieniąc się.

- Od dawna już nie miałem w ustach domowego jedzenia. Nie mogę się wprost doczekać.

Jamie wziął od niej gliniany garnek z masłem i postawił na stole. Margaret była tym tak zaskoczona, że omal nie wypuściła z rąk talerza. Nigdy jeszcze nie słyszała, aby jakiś mężczyzna pomagał kobiecie w jej obowiązkach. Podniosła wzrok na Jamiego. Złamany nos i blizna zniekształcały nieco twarz, która w przeciwnym razie byłaby może nazbyt ładna. Jasnoszare oczy błyszczały inteligencją i jakąś obezwładniającą siłą, siwe włosy wskazywały, że nie jest już młodym mężczyzną, a jednak miał w sobie coś bardzo młodzieńczego. Był

wysoki i silny, i... Margaret odwróciła wzrok, zmieszana jego spojrzeniem.

Van der Merwe wrócił po chwili do pokoju, zacierając ręce.

- Zamknąłem sklep - powiedział. - Usiądźmy i zabierzmy się do uczyty.

Jamie otrzymał honorowe miejsce przy stole.

- Odmówmy modlitwę - rzekł van der Merwe.

Zamknęli oczy. Margaret chytrze przymrużyła swoje, by móc bliżej przyjrzeć się temu eleganckiemu, nieznanemu mężczyźnie, podczas gdy jej ojciec monotonnym głosem zaczął odmawiać słowa modlitwy: „Jesteśmy wszyscy grzesznikami w Twoich oczach, Panie, musimy zostać przeto ukarani. Daj nam, Panie, siłę, byśmy oparli się pokusom na ziemi, aby móc potem cieszyć się owocami niebios, gdy zostaniemy wezwani. Dzięki Ci, Panie, za tych, którzy doświadczą Twego błogosławieństwa. Amen”.

Salomon van der Merwe zaczął podawać talerze z jedzeniem. Tym razem porcje, jakie otrzymał Jamie, były więcej niż szczodre. Przy jedzeniu zaczęli rozmowę.

- Czy jest to pana pierwsza podróż tego rodzaju? - spytał van der Merwe.

- Tak - odparł Jamie. - Pierwsza.

- Domyślam się, że nie zabrał pan pani Travis?

- Nie ma żadnej pani Travis - uśmiechnął się Jamie. - Nie znalazłem jeszcze żadnej, która by mnie chciała.

„Czy to możliwe, żeby jakaś kobieta mogła mu odmówić?” - pomyślała ze zdziwieniem Margaret. Opuściła wzrok, obawiając się, że nieznanomy mógłby w jej oczach odczytać grzeszne myśli.

- Klipdrift jest miastem o wyjątkowych możliwościach, panie Travis, naprawdę wyjątkowych.

- Bardzo chciałbym się o tym przekonać. - Jamie spojrział na Margaret, która znów się zarumieniła.

- Pozwoli pan, panie Travis, że zapytam, w jaki sposób zdobył pan tak ogromną fortunę?

Margaret czuła się zażenowana bezceremonialnymi pytaniami ojca, ale nieznanomy zdawał się nimi nie przejmować.

- Odziedziczyłem ją po ojcu - odparł gładko Jamie.

- Ach, tak - powiedział van der Merwe. - Ale jestem pewien, że ma pan duże doświadczenie w interesach.

- Obawiam się, że niewielkie. Potrzebuję wielu wskazówek.

- Panie Travis - ożywił się Holender - to przeznaczenie, że się spotkaliśmy. Mam



wiele bardzo znaczących koneksji. Bardzo znaczących, w rzeczy samej. Mogę panu niemal zagwarantować, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy podwoję pańską fortunę. - Pochylił się w stronę Jamiego i poklepał go po ramieniu. - Mam wrażenie, że jest to wielki dzień dla nas obu.

Jamie nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się.

- Przypuszczam, że zatrzymał się pan w hotelu „Grand”?

- Zgadza się.

- Jest zabójczo drogi, ale jak sądzę, dla człowieka dysponującego takimi zasobami... -

Van der Merwe spojrział rozpromieniony na Jamiego.

- Mówiono mi - oświadczył Jamie - że okolica jest tu interesująca. Czy nie byłoby zbyt nietaktem prosić o to, aby pozwolił pan córce pokazać mi jutro te strony?

Margaret zamarła na chwilę, a jej ojciec zmarszczył brwi.

- Sam nie wiem. Ona...

Van der Merwe już dawno poprzysiągł sobie, że nigdy nie dopuści, aby jakikolwiek mężczyzna znalazł się sam na sam z jego córką. W wypadku pana Trávisa szybko jednak uznał, że nic złego się nie stanie, jeśli zrobi wyjątek. Mając w perspektywie tak wielki interes, nie chciał wydawać się niegościnnym.

- Zwolnię na krótko Margaret - powiedział więc do Jamiego, a potem zwrócił się do córki: - Pokażesz naszemu gościowi okolicę, Margaret?

- Jeśli tego sobie życzysz, ojczy - odparła cicho Margaret.

- A więc ustalone - uśmiechnął się Jamie. - Powiedzmy - o dziesiątej rano?

Po wyjściu wysokiego, eleganckiego gościa Margaret sprzątała ze stołu i zmywała naczynia w zupełnym oszołomieniu. „Musiał pomyśleć, że jestem idiotką”. Przez cały czas rozpamiętywała to, co powiedziała. Właściwie nic nie mówiła. Słowa więzły jej w gardle. Dlaczego tak się działo? Czy nie obsługiwała w sklepie setek mężczyzn, nie tracąc przy tym głowy? Oczywiście, ale oni nie patrzyli na nią tak jak Ian Travis. „Wszyscy mężczyźni noszą w sobie diabła, Margaret. Nie pozwolę nikomu, by zbecześcił twoją niewinność”. Głos ojca odbijał się echem w jej głowie. Czy to się już stało? Słabość i drzenie, jakie poczuła, gdy nieznajomy spojrział na nią? Czy wtedy zbecześcił jej niewinność? Na myśl o tym spojrzeniu przeniknęła ją dreszcz rozkoszy. Opuściła wzrok na talerz, który wycierała trzeci raz z rzędu, i usiadła przy stole. I zapragnęła, aby matka była przy niej.

Matka by ją zrozumiała. Margaret kochała ojca, ale czasem dręczyła ją myśl, że jest jego więźniem. Dziwiło ją to, że nie dopuszczał do niej żadnego mężczyzny. „Nigdy nie

wyjde za mąż - pomyślała. - Przynajmniej dopóki on żyje”. Te buntownicze myśli napełniły ją poczuciem winy. Pospiesznie wyszła z pokoju i zajrzała do sklepu. Ojciec siedział za biurkiem, sprawdzając rachunki.

- Dobranoc, ojczy - powiedziała.

Van der Merwe zdjął okulary w złotej oprawie i nim wyciągnął do niej ręce, przetarł oczy. Margaret, sama nie wiedząc dlaczego, cofnęła się.

Będąc już w oddzielonej kotarą alkowie służącej za sypialnię, spojrzała na swoje odbicie w małym, okrągłym lustrze wiszącym na ścianie. Nie miała złudzeń co do swej urody. Nie była piękna. Co najwyżej interesująca. Miała ładne oczy. Wystające kości policzkowe. Niezłą figurę. Podeszła bliżej do lustra. Co takiego ujrzał w niej Ian Travis, gdy się tak jej przyglądał? Zaczęła się rozbierać, a Ian Travis był przy niej, patrzył na nią gorącymi oczyma. Ściągnęła muślinowe majtki i stanik i stanęła przed nim naga. Powoli i delikatnie dotknęła palcami jędrnych piersi, czując twardnienie brodawek, a potem jej dłoń ześlizgnęła się po płaskim brzuchu i splotła z jego dłonią, i teraz już obie posuwały się wolno w dół, aż znalazły się między udami, najpierw delikatnie ich dotykając, głaszcząc i pocierając, a potem coraz mocniej i coraz szybciej, i szybciej, aż w końcu ogarnął ją jakiś obłędny wir namiętności, który nagle wybuchnął, i wówczas, z trudem łapiąc oddech, wyszeptwała ukochane imię i padła na łóżko.

Pojechali jego powozem. Zmiany, jakie zaszły w ciągu ostatniego roku, wprawiły Jamiego ponownie w zdumienie. Tam gdzie kiedyś było tylko morze namiotów, stały teraz solidne, drewniane domy z dachami pokrytymi blachą falistą lub strzechą.

- Wygląda na to, że Klipdrift rozwija się pomyślnie - stwierdził Jamie, gdy jechali główną ulicą.

- Przypuszczam, że dla przybyszów musi być interesujące - odparła Margaret i zaraz pomyślała, że do tej pory nienawidziła tego miejsca.

Wyjechali z miasta kierując się w stronę obozów górniczych ciągnących się wzdłuż rzeki Vaal. Pora deszczowa zamieniła okolicę - Karru i Rhenoster - w ogromny, kolorowy ogród wypełniony obficie rozprzestrzeniającymi się krzewami, jak również wrzościami i roślinnością nie spotykaną w żadnym zakątku ziemi. Kiedy przejeżdżali obok grupy poszukiwaczy, Jamie zapytał:

- Czy ostatnio były tu jakieś duże odkrycia diamentów?

- O, tak - odparła Margaret - nawet kilka. I za każdym razem, kiedy rozchodziła się wieść o tym, napływały setki nowych poszukiwaczy. Większość z nich nie miała szczęścia;

wracali biedni i załamani. - Margaret czuła, że musi go ostrzec przed niebezpieczeństwem. - Ojcu nie podobałoby się to, co powiem, ale ja myślę, że jest to potworne zajęcie, panie Travis.

- Dla niektórych być może - przyznał Jamie. - Dla niektórych.

- Czy zamierza się pan tu zatrzymać na dłużej?

- Tak.

Margaret poczuła, jak serce zaczyna jej bić radością.

- To dobrze - powiedziała, po czym dodała szybko: - Ojciec będzie bardzo zadowolony.

Przez całe przedpołudnie jeździli po okolicy. Czasem zatrzymywali się i Jamie gawędził wtedy z poszukiwaczami. Wielu z nich rozpoznawało Margaret i odnosiło się do niej z szacunkiem, a jednocześnie z serdecznością i życzliwością, jakich nigdy nie doświadczała, gdy ojciec był w pobliżu. Później, podczas jazdy, Jamie stwierdził:

- Wydaje się, jakby wszyscy tu panią znali.

Margaret zarumieniła się.

- To dlatego, że łączą ich interesy z moim ojcem. On zaopatruje większość poszukiwaczy.

Jamie nic nie odpowiedział. Był ogromnie zainteresowany tym, co widział wokół siebie. Wybudowanie linii kolejowej spowodowało wielkie zmiany. Nowy kartel, nazwany De Beers, od imienia farmera, na którego polu znaleziono pierwsze diamenty, wykupił udziały swego głównego rywala, przedsiębiorcy o nazwisku Barney Barnato, postaci niezwykle barwnej, i De Beers zaczął skrzętnie łączyć setki małych działek w jedną całość. Niedaleko Kimberley odkryto niedawno złoża złota wraz z magnezem i cynkiem. Jamie był przekonany, że to dopiero początek, że Afryka Południowa jest prawdziwą skarbnicą bogactw mineralnych. Dla ludzi przedsiębiorczych otwierały się tu nieograniczone możliwości.

Jamie i Margaret wrócili późnym popołudniem. Jamie zatrzymał powóz przed składem van der Merwego i powiedział:

- Czułbym się zaszczycony, gdybyście, pani i jej ojciec, zjedli dziś ze mną kolację.

- Zapytam ojca - odparła Margaret z wypiekami na twarzy. - Mam nadzieję, że nie odmówi. Dziękuję za uroczy dzień, panie Travis.

Wbiegła do domu.

Na kolację udali się do dużej restauracji w nowo wybudowanym hotelu „Grand”. Kwadratowa sala była zatłoczona.

- Nie rozumiem - mruknął van der Merwe - skąd ci ludzie mają pieniądze, żeby tu przychodzić.

Jamie wziął do ręki menu i zaczął je przeglądać. Befszyk kosztował jednego funta i cztery szylingi, ziemniaki - cztery szylingi, a kawałek szarlotki - dziesięć szylingów.

- Co za zdzierstwo - utyskiwał van der Merwe. - Kilka posiłków tutaj i człowiek mógłby skończyć w przytułku.

Jamie zastanawiał się przez chwilę, co też takiego mogłoby sprawić, aby van der Merwe się tam znalazł. Postanowił przemyśleć to później. Zaczęli zamawiać i Jamie zauważył, że van der Merwe wybiera sobie najdroższe potrawy. Margaret zaś zamówiła samą zupę. Była zbyt podekscytowana, by mieć na coś apetyt. Spojrzała na swoje ręce, przypominając sobie, co zrobiły zeszłej nocy, i doznała poczucia winy.

- Stać mnie na kolację - zachęcał ją, nie bez pewnej złośliwości, Jamie. - Proszę się nie krępować.

- Dziękuję - rzekła rumieniąc się - ale ja... naprawdę nie jestem głodna.

Van der Merwe zauważył rumieniec na twarzy córki i ostrym wzrokiem przeszył najpierw Margaret, a potem Jamiego.

- Moja córka - powiedział - to wyjątkowa dziewczyna, panie Travis.

- Zgadzam się z panem całkowicie, panie van der Merwe. - Jamie skinął głową.

Słowa te napęliły Margaret taką radością, że gdy podano kolację, nie mogła zjeść nawet zupy. Wrażenie, jakie wywierał na niej Ian Travis, było piorunujące. Margaret doszukiwała się ukrytych znaczeń w każdym jego słowie i geście. Kiedy uśmiechał się do niej, oznaczało to, że ją bardzo lubi, kiedy marszczył brwi, myślała, że jej nienawidzi. Przeżywała prawdziwą huśtawkę nastrojów.

- Czy widział pan dziś coś interesującego? - spytał Jamiego van der Merwe.

- Nie, nic szczególnego - mruknął zdawkowo Jamie.

- Niech pan zważy na moje słowa, sir. - Holender pochylił się w jego stronę. - To będzie najszybciej rozwijający się okręg na całym świecie. Nowa linia kolejowa zamieni to miejsce w drugi Kapsztad.

- Czy ja wiem? - odparł sceptycznie Jamie. - Słyszałem już o tylu wspaniałe rozwijających się miastach, które w końcu upadały. Nie chcę lokować swoich pieniędzy w niepewny interes.

- Z Klipdrift tak nie będzie - zapewniał go van der Merwe. - W tej okolicy stale znajduje się coraz więcej diamentów. I złota.

Jamie wzruszył ramionami.

- Jak długo to potrwa? - zapytał.

- No cóż, nikt oczywiście nie może tego przewidzieć, ale...

- Dokładnie, ile?

- Niech pan nie podejmuje żadnych pochopnych decyzji - przekonywał van der Merwe. - Nie chciałbym, aby stracił pan tak wspaniałą okazję.

- Możliwe, że jestem zbyt niecierpliwy - powiedział Jamie, a potem zwrócił się do Margaret: - Czy jutro również mogłaby mi pani towarzyszyć?

Van der Merwe otworzył usta, by zaprotestować, ale zaraz je zamknął. Przypomniał sobie słowa bankiera Thorensona: „Wszedł tutaj i zdeponował sto tysięcy funtów, a przez cały czas był, za przeproszeniem, zimny jak ty, Salomonie, i powiedział, że ma jeszcze znacznie więcej”.

Chciwość przeważała nad zasadami i van der Merwe skinął głową.

- Oczywiście, że mogłaby.

Nazajutrz Margaret ubrała się odświętnie i czekała na Jamiego. Ujrawszy córkę, van der Merwe poczerwieniał z wściekłości.

- Czy chcesz, żeby ten człowiek pomyślał, że jesteś jedną z tych upadłych kobiet, i że ubrałaś się w taki sposób, by zwrócić jego uwagę? To tylko interesy, moja panno. Zdejmij te fatalaszki i włóż to co zwykle.

- Ależ, papo...

- Zrób, co ci każę!

- Tak, papo - odpowiedziała Margaret. Nigdy nie sprzeciwiała się swemu ojcu.

W dwadzieścia minut później van der Merwe patrzył, jak Margaret i Jamie odjeżdżają, i zastanawiał się, czy nie popełnia jakiegoś błędu...

Tym razem Jamie skierował powóz w innym kierunku. Na każdym kroku widać było oznaki niebywałego postępu; nowe budynki wyrastały jak grzyby po deszczu. „Jeśli wydobyć minerałów - myślał Jamie - utrzyma się na tym poziomie, a wszystko wskazuje, że tak, to więcej pieniędzy można będzie zarobić na nieruchomościach niż na diamentach lub złocie. Klipdrift będzie potrzebować nowych banków, hoteli, saloonów, sklepów, domów publicznych...” Lista była nieograniczona. Podobnie jak możliwości.

Jamie był świadom zainteresowania, jakie wzbudza w Margaret. Od początku drogi czuł na sobie jej zaciekawione spojrzenie.

- Czy coś się stało? - spytał ją niespodziewanie.

- Och, nie - szepnęła zmieszana i odwróciła wzrok.

Teraz z kolei Jamie zaczął się jej uważnie przyglądać. Emanowała z niej kobiecość. Margaret odczuwała jego bliskość, jego męskość. Domyślał się, co czuje; była kobietą potrzebującą mężczyzny.

Po południu zjechali z głównej drogi i niebawem znaleźli się na zadrzewionym terenie. Zatrzymali się pod ogromnym baobabem, w pobliżu rzeki. Jamie otrzymał w hotelu suchy prowiant na drogę i Margaret rozłożyła na ziemi obrus i zaczęła wyjmować jedzenie z koszyka: pieczone mięso z jagnięcia, pieczonego kurczaka, żółty szafranowy ryż, konfitury z pigwy, mandarynki, brzoskwinie i *soetekoekjes*, ciastka drożdżowe z migdałami i przyprawami korzennymi.

- To prawdziwy bankiet! - zawołała. - Nie wiem, czy zasługuję na to wszystko.

- Zasługujesz na wiele więcej - zapewnił ją Jamie.

Margaret zamierzała z powrotem zająć się przygotowaniem posiłku. Jamie ujął w dłoń jej twarz.

- Margaret... - rzekł. - Spójrz na mnie.

- Och, proszę. - Dziewczyna drżała. - Ja...

- Spójrz na mnie - powtórzył Jamie.

Margaret powoli podniosła wzrok. Wtedy objął ją i zaczął całować, najpierw delikatnie, a potem coraz bardziej pożądliwie. Po kilku chwilach wyrwała mu się i potrząsając głową powiedziała:

- Och, mój Boże. Nie możemy. Och, nie możemy. Pójdziemy za to do piekła.

- Do nieba - zaśmiał się Jamie.

- Boję się.

- Nie musisz się niczego bać, Margaret. Spójrz mi w oczy. One dokładnie widzą, co jest w tobie. I ty wiesz, co ja widzę, prawda? Chcesz, abym cię kochał. I zrobię to. I nie musisz się niczego bać, ponieważ należysz do mnie. Wiesz o tym, czyż nie jest tak? Należysz do mnie, Margaret. Powiedz to. Należę do Iana. No, śmiało. Ja - należę - do - Iana.

- Ja należę... do Iana - powtórzyła cicho Margaret.

Jamie znowu przywarł do niej ustami i zaczął ją rozbierać. Po chwili stała naga na łagodnym wietrze i wtedy delikatnie położył ją na ziemi. Przeobrażenie w kobietę stało się dla niej podniecającym, wzniosłym doświadczeniem, sprawiło, iż rozbudziły się w niej siły, których nigdy dotąd nie czuła. „Zawsze będę pamiętać tę chwilę - pomyślała. - Wyścietaną liśćmi ziemię, ciepły, pieszczący nagą skórę wietrzyk i cień baobabu falujący na naszych ciałach”. Po chwili znów zaczęli się kochać i było to jeszcze cudowniejsze. „Żadna kobieta

nigdy tak nie kochała, jak ja Kocham tego mężczyznę”.

Leżeli obok siebie wyczerpani miłością i upałem. Margaret oparła głowę o jego ramię i przytuliła się do niego całym ciałem.

- O czym myślisz? - wyszeptowała podnosząc wzrok na Jamiego.

Roześmiał się i szepnął:

- O tym, że jestem diabelnie głodny.

Margaret zawtórowała mu śmiechem i oboje wstali. Zjedli obiad pod osłoną drzew, a potem kąpali się w rzece i leżeli nadzy, pozwalając słońcu, by ich osuszyło. Jamie raz jeszcze posiadał Margaret.

„Chcę, aby ten dzień - pomyślała - nigdy się nie skończył”.

Wieczorem Jamie i van der Merwe siedzieli w saloonie „Sundowner” przy narożnym stole.

- Miał pan rację - oznajmił Jamie. - Możliwości mogą tu być większe, niż przypuszczałem.

- Wiedziałem, panie Travis - rozpromienił się van der Merwe - że jest pan zbyt inteligentnym człowiekiem, by tego nie zauważyć.

- Co, według pana, powinienem teraz zrobić? - spytał Jamie.

Van der Merwe spojrział dookoła siebie i powiedział ściszym głosem:

- Właśnie dziś otrzymałem informację o wielkim odkryciu diamentów na północ od Pniel. Można tam jeszcze nabyć dziesięć działek. Proponuję uczciwy podział. Ja wykupię pięć działek za pięćdziesiąt tysięcy funtów, a pan pięć pozostałych po tej samej cenie. Są tam buszle diamentów, panie Travis. Z dnia na dzień możemy zarobić miliony. Co pan o tym sądzi?

Jamie dobrze wiedział, co o tym sądzić. Van der Merwe wszedłby w posiadanie pięciu działek, które są rentowne, a on skończyłby jak inni. Ponadto, gotów był się założyć, nawet o własne życie, że Holender nie wyłożyłby nawet szylinga.

- To brzmi interesująco - przyznał. - Ilu poszukiwaczy jest w to włączonych?

- Tylko dwóch.

- Dlaczego trzeba wyłożyć aż tyle pieniędzy?

- Ach, to bardzo inteligentne pytanie. - Van der Merwe pochylił się w stronę Jamiego.

- Oni znają wartość swojej działki, ale nie mają pieniędzy, by ją eksploatować. I w tym momencie my wchodzimy do interesu. Dajemy im sto tysięcy funtów i pozwalamy zatrzymać dwadzieścia procent ich terenów.

Te dwadzieścia procent wymówił bez zająknięcia. Jamie był przekonany, że poszukiwacze zostaną oszukani, pozbawieni swoich pieniędzy i diamentów. Wszystko spłynie do kieszeni van der Merwego.

- Musimy działać szybko - ostrzegł van der Merwe. - Kiedy rozejdzie się wieść o tym...

- A więc pospieszmy się - powiedział ponagłajaco Jamie.

- Niech pan się nie martwi. - Holender uśmiechnął się. - Będę miał zaraz przygotowane umowy.

„W afrikaans” - pomyślał Jamie.

- Jest jeszcze parę innych spraw, które wydają się bardzo interesujące, Ian.

Van der Merwe życzył sobie, aby jego nowy wspólnik był zadowolony. Dlatego nie sprzeciwiał się, kiedy znowu Jamie prosił, aby Margaret pokazała mu okolicę. Dziewczyna z każdym dniem czuła się coraz bardziej zakochana. Myślała o Jamiem tuż przed zaśnięciem i zaraz po przebudzeniu; wyzwolił w niej zmysłowość, której istnienia nigdy w sobie nie podejrzewała. To było tak, jakby nagle odkryła, po co zostało stworzone jej ciało. I te wszystkie rzeczy, których - jak wpajano w nią - powinna się wstydzić, stały się wspaniałymi darami, dającymi przyjemność Jamiemu. I jej samej. Miłość okazała się cudowną, nową krainą czekającą na odkrycie, zmysłowym światem ukrytych i podniecających dolin górskich i rozkosznych źródeł. Czowała się wciąż nienasycona.

Jeżdżąc po rozległej okolicy z łatwością znajdowali miejsca, gdzie mogli się kochać, i za każdym razem Margaret odczuwała to samo podniecenie co na początku.

Dręczyło ją tylko poczucie winy wobec ojca. Salomon van der Merwe był starszym holenderskiego Kościoła reformowanego i Margaret wiedziała, że gdyby dowiedział się o wszystkim, nigdy by jej nie wybaczył. Nawet w tej grubiańskiej, pogranicznej społeczności, wśród której żyła, gdzie mężczyźni korzystali z przyjemności życia, gdy tylko nadarzała im się po temu sposobność, nie mogłaby liczyć na zrozumienie. W tym świecie istniały dwa rodzaje kobiet: porządne panienki i dziwki, a porządna panienka nigdy nie pozwoliłaby się dotknąć mężczyźnie przed ślubem. Tak więc ona zostałaby uznana za dziwkę. „To niesprawiedliwe - myślała. - Dawanie miłości i czerpanie z niej jest zbyt piękne, aby było grzechem”. Ale wzrastający niepokój sprawił, iż Margaret poruszyła w końcu temat małżeństwa.

Jechali właśnie wzdłuż rzeki Vaal, gdy powiedziała:

- Ian, wiesz, jak bardzo... - Nie wiedziała, co dalej mówić. - To znaczy ty i ja... Co



sądzisz o małżeństwie? - wypaliła w przypiływie desperacji.

Jamie roześmiał się.

- W pełni popieram, Margaret. W pełni popieram.

Przyłączyła się do niego w tym śmiechu. Była to najszczęśliwsza chwila w jej życiu.

W niedzielę rano Salomon van der Merwe zaprosił Jamiego, by wraz z nim i Margaret poszedł do kościoła. Nederduits Hervormde Kerk był monumentalną, wywołującą wrażenie budowlą w stylu pseudo-gotyckim, z amboną mieszczącą się w jednym końcu i ogromnymi organami stojącymi w drugim. Kiedy przekroczyli bramę kościoła, van der Merwego powitano z wielkim szacunkiem.

- Pomogłem zbudować ten kościół - oznajmił z dumą Jamie. - Jestem tutaj diakonem.

Kazanie było płomienne. Van der Merwe, ogarnięty zachwytem, przytakiwał gorliwie, chłonał każde słowo pastora.

„W niedzielę jest człowiekiem Bożym - pomyślał Jamie - a w pozostałe dni należy do diabła”.

Van der Merwe siedział pomiędzy dwojgiem młodych ludzi, ale Margaret odczuwała bliskość Jamiego przez całe nabożeństwo. „To dobrze - uśmiechnęła się nerwowo do siebie - że pastor nie wie, o czym ja myślę”.

Tego wieczoru Jamie wstąpił do saloonu „Sundowner”. Smit stał za barem, serwując drinki. Kiedy zobaczył Jamiego, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Dobry wieczór, panie Travis - powiedział. - Czego pan sobie życzy, sir? To co zwykle?

- Nie dziś, Smit - odparł Jamie. - Dziś chcę z tobą porozmawiać. Na osobności.

- Oczywiście, sir. - Smit zaczął wietrzyć jakiś dobry interes. - Zajmij się barem - zwrócił się do swego pomocnika.

Pokój na zapleczu saloonu nie był niczym innym niż garderobą, ale dawał poczucie prywatności. Stał w nim okrągły stół z czterema krzesłami, a pośrodku stołu latarnia. Smit zapalił ją.

- Usiądź - rzekł Jamie.

Smit odsunął krzesło i usiadł.

- Tak, sir? - spytał. - W czym mogę panu pomóc?

- To nie ty mi możesz pomóc, Smit, ale ja tobie - odparł Jamie.

- Naprawdę, sir? - rozpromienił się Smit.

- Tak. - Jamie wyjął długie, cienkie cygaro i zapalił je. - Postanowiłem darować ci życie.

- Ja... nie rozumiem, panie Travis. - Twarz Smita przybrała niepewny wyraz.

- Nie Travis, ale McGregor. Jamie McGregor. Pamiętasz? Rok temu posłałeś mnie na śmierć. Do stajni. Na polecenie van der Merwego.

Smit zrobił niezadowoloną minę.

- Nie wiem, o czym...

- Zamknij się i posłuchaj mnie. - Głos Jamiego zabrzmiał jak ostry trzask z bicia.

Smit wyglądał teraz na zupełnie oszołomionego. Najwyraźniej usiłował połączyć twarz człowieka o siwych włosach z pełnym entuzjazmem młodzieńcem, którego widział rok temu.

- Jak widzisz, wciąż żyję - ciągnął Jamie. - I jestem bogaty, wystarczająco bogaty, żeby wynająć ludzi, aby spalili tę budę razem z tobą. Czy to już do ciebie dotarło, Smit?

Smit chciał zaprotestować, ale widząc groźne błyski w oczach Jamiego, odpowiedział rozważnie:

- Tak, sir...

- Van der Merwe płaci tobie, abyś kierował do niego poszukiwaczy i aby mógł ich potem oszukiwać na tym, co znajdują. Taka interesująca mała spółka. Ile dostajesz od niego?

Zapanowało milczenie. Smit znalazł się pomiędzy dwiema potężnymi siłami. Nie wiedział, w którą stronę uciec.

- Ile? - powtórzył Jamie.

- Dwa procent - odparł niechętnie barman.

- Dam ci pięć. Od tej chwili, kiedy przyjdzie do ciebie jakiś poszukiwacz, będziesz kierował go do mnie. Ja go będę finansował. Różnica polegać będzie na tym, że on dostanie swój udział, a ty swój. Czy naprawdę sądziłeś, że van der Merwe płaci tobie dwa procent od tego, co zarobi? Jesteś głupcem.

- Tak, panie Trav... panie McGregor. - Smit skinął głową. - Rozumiem.

Jamie wstał.

- Niezupełnie - powiedział pochylając się nad stołem w stronę Smita. - Myślisz o tym, aby pójść do van der Merwego i powiedzieć mu o naszej pogawędce. W ten sposób mógłbyś zgarnąć pieniądze od nas obu. Jest tylko pewien problem, Smit. - Głos Jamiego przeszedł w szept. - Jeśli to zrobisz, będziesz trupem.

## Rozdział 7

Jamie ubierał się, gdy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. Wyteżył słuch i pukanie znów się rozległo. Podeszedł do drzwi i otworzył je. Na progu stała Margaret.

- Wejdz, Maggie - powiedział. - Coś się stało?

Po raz pierwszy była u niego w hotelu. Weszła do pokoju i będąc sam na sam, nie wiedziała, od czego zacząć. Przez całą noc nie zmrużyła oczu, zastanawiając się, jak mu o tym powiedzieć. Żywiła obawy, że gdy się dowie, nigdy już nie będzie chciał się z nią spotkać.

- Ian - wykrztusiła - jestem w ciąży. - Spojrzała mu w oczy.

Przyjął to z tak kamiennym spokojem, że przeraziła się, iż straciła go na zawsze, ale nagle na jego twarzy odmalowała się taka radość, że wszelkie jej wątpliwości rozwiały się. Jamie objął ją i odparł po chwili:

- To cudownie, Maggie! Cudownie! Czy powiedziałaś już ojcu?

Margaret cofnęła się przerażona.

- Och, nie! On... - Podeszła do wiktoriańskiej sofy z zielonego pluszu i opadła na nią. - Nie znasz ojca. On... nigdy by tego nie zrozumiał.

Jamie pospiesznie włożył na siebie koszulę.

- Nie bój się - uspokoił ją. - No, chodź. Powiemy mu o tym razem.

- Czy jesteś pewien, że wszystko będzie dobrze, Ian?

- Nigdy dotąd nie byłem niczego tak pewien.

Salomon van der Merwe wydzieliał właśnie płyty suszonego mięsa dla jakiegoś poszukiwacza, gdy Jamie i Margaret wkroczyli do sklepu.

- Ach, Ian! - powiedział uśmiechając się. - Zaraz do ciebie przyjdę. - Pospiesznie obsłużył swego klienta i podeszedł do Jamiego. - Jak ci minął ten piękny dzień? - spytał.

- Nie mógł lepiej - odparł z zadowoleniem Jamie. - Pańska Maggie będzie miała dziecko.

W pomieszczeniu zaległa cisza.

- To niemożliwe - wymamrotał po chwili van der Merwe. - Jak... to się mogło stać?

- To proste. Z moją pomocą zaszła w ciążę.

Van der Merwe pobladł nagle, spoglądając z wściekłością raz na Jamiego, raz na Margaret.

- To... to... nieprawda. To... nieprawda.

Miotaly nim sprzeczne uczucia; straszliwy szok... jego ukochana córka pozbawiona dziewictwa... w ciąży... On, Salomon van der Merwe, stanie się pośmiewiskiem całego miasta. Ale z drugiej strony Ian Travis jest bogatym człowiekiem, więc gdyby szybko się pobrali...

- Oczywiście ożeni się pan natychmiast? - Van der Merwe zwrócił się do Jamiego.

- Ożenić się? - Jamie spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Czy pozwoliłbyś Margaret poślubić tego głupiego chłopaka, który dał się tak łatwo przez ciebie oszukać? Który dał sobie odebrać to, co należało do niego?

Van der Merwemu zakręciło się w głowie.

- O czym ty mówisz, Ian? Ja nigdy...

- Nie mam na imię Ian - odparł szorstko Jamie. - Nazywam się Jamie McGregor. Nie poznajesz mnie? - Van der Merwe wyglądał na zupełnie zdezorientowanego. - Oczywiście, że nie. Tamten chłopak nie żyje. Ty go zabiłeś. Ale ja nie jestem człowiekiem, który by mógł długo żywić do kogoś urazę. Dlatego ofiarowuję ci prezent. Moje nasienie w brzuchu twojej córki.

Jamie odwrócił się i wyszedł, pozostawiając ich oszołomionych, patrzących za nim zdumionymi oczyma.

Margaret nie mogła w to wszystko uwierzyć. On nie mógł przecież tak myśleć. On ją kochał. On...

Van der Merwe spojrzał z wściekłością na córkę.

- Ty dziwko! - krzyknął. - Dziwka! Wynos się! Wynos się stąd!

Margaret stała w bezruchu, nie rozumiejąc, co się wokół niej dzieje. Ian oskarżał ją o coś, co zrobił ojciec. Ian uważał, że była wmieszana w coś niedobrego. „Kim jest Jamie McGregor? Kim...?”

- Precz! - Van der Merwe uderzył ją mocno w twarz. - Nigdy już nie pokazuj mi się na oczy!

Margaret nadal stała czując, jak mocno bije jej serce, i z trudem łapiąc oddech. Twarz ojca przypominała twarz szaleńca. W końcu odwróciła się i wybiegła ze sklepu, nie oglądając się za siebie.

Pogrążony w rozpacz Salomon van der Merwe patrzył za odchodzącą córką. Widział już, jaka kara spotykała córki innych ojców, które zhańbiły siebie i swoje rodziny. Kazano im stać na środku kościoła; napiętnowano je publicznie, a potem wydalano ze społeczności. Była

to odpowiednia i sprawiedliwa kara, miały dokładnie to, na co zasłużyły. Ale jego Margaret otrzymała przecież staranne, bogobojne wychowanie. „Jak mogła go tak oszukać?” Van der Merwe wyobraził sobie swą córkę nagą, kopulującą z tym mężczyzną, wyobraził sobie, jak dyszą z podniecenia niczym zwierzęta, i nagle poczuł, że ma erekcję.

Na drzwiach frontowych umieścił wywieszkę: „Zamknięte” i rzucił się na łóżko, nie mając siły ani ochoty, by się nawet poruszyć. Gdyby wieść o tym rozeszła się po mieście, wszyscy wytykaliby go palcami. Litowano by się albo potępiano za deprawację córki. Zarówno jedno, jak i drugie byłoby nie do zniesienia. Musi więc sprawić, aby nikt się o tym nie dowiedział. Powinien pozbyć się tej dziwki raz na zawsze, powinien jej kazać wynieść się z miasta. Van der Merwe ukląkł i zaczął się modlić:

- O, Boże! Jakże mogłeś uczynić coś takiego! Twemu wiernemu słudze? Dlaczego mnie opuściłeś? Spraw, aby ona umarła, o Panie. Spraw, aby oboje umarli...

Saloon „Sundowner” wypełniała popołudniowa klientela. Jamie podszedł do baru, a potem odwrócił się do sali.

- Proszę o uwagę! - powiedział donośnym głosem i gwar natychmiast ucichł. - Dziś kolejka dla wszystkich.

- Co się stało? - spytał Smit. - Jakies nowe odkrycie?

- W pewnym sensie, mój przyjacielu - zaśmiał się Jamie. - Niezamężna córka van der Merwego jest w ciąży. Pan van der Merwe pragnie, aby każdy wraz z nim świętował to wydarzenie.

- O, Boże! - wyszeptał Smit.

- Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Tylko Jamie McGregor.

W ciągu godziny całe Klipdrift znało tę nowinę. Wszyscy już wiedzieli, że Ian Travis nie jest wcale Ianem Travisem, tylko Jamiem McGregorem. Wiedzieli o tym, iż uwiódł Margaret i że zaszła w ciążę. Uznali, że Margaret van der Merwe wystrychnęła na dudka całe miasto.

- Nie wyglądała na taką, prawda?

- Powiadają, że cicha woda brzegi rwie...

- Ciekawe, ilu innych facetów zanurzyło swego knota w tej szparce?

- To całkiem ponętna panienka. Może i ja mógłbym mieć coś z tego?

- Czemu nie? Musisz ją tylko o to poprosić. Na pewno nie odmówi.

Ludzie się śmieli.

Kiedy tego popołudnia Salomon van der Merwe wyszedł z domu, był już pogodzony ze straszliwym nieszczęściem, jakie go spotkało. Postanowił wysłać Margaret do Kapsztadu najbliższym dylizanssem. Niech tam sobie mieszka ze swym bękartem. Z jakiej racji całe Klipdrift ma wiedzieć o jego hańbie. Van der Merwe szedł ulicą, ukrywając swoją tajemnicę za przyklejonym do twarzy uśmiechem, gdy nagle zaczęły się drwiny:

- Dzień dobry, panie van der Merwe. Słyszałem, że teraz będzie pan miał na składzie jakieś nadzwyczajne ubranka dla maluchów.

- Jak się masz, Salomonie. Słyszałem, że już wkrótce będziesz miał w sklepie małego pomocnika.

- Hej tam, Salomonie... czy to prawda, że jakiś bocian ma ci przynieść ślicznego dzidziusia...?

Salomon van der Merwe zawrócił. Po omacku, jak ślepiec, wrócił do sklepu i zarygłował za sobą drzwi.

Tymczasem Jamie popijał whisky w saloonie „Sundowner” i przysłuchiwał się fali plotek. To był największy skandal w dziejach Klipdrift i przyjemność, jaką znajdowali w nim jego mieszkańcy, była przeogromna. „Szkoda - myślał Jamie - że nie ma tu ze mną Bandy”. To była zapłata za to, co Salomon van der Merwe zrobił siostrze Bandy, za to, co zrobił Jamiemu i Bóg wie, ilu jeszcze ludziom. Była to jednak tylko część zapłaty za to wszystko, co zrobił Salomon van der Merwe; za ledwie początek. Zemsta Jamiego nie dopełniła się jeszcze, ponieważ van der Merwe nie był całkiem zniszczony. Dla Margaret też nie miał współczucia. Brała udział w tym wszystkim. Co takiego powiedziała pierwszego dnia, gdy ją poznał? „Być może mój ojciec mógłby panu pomóc. On wie wszystko”. Ona również nazywa się van der Merwe. Jamie postanowił zniszczyć ich oboje.

Smit podszedł do stolika, przy którym siedział Jamie.

- Czy mogę z panem porozmawiać przez chwilę, panie McGregor? - spytał.

- O co chodzi? - mruknął Jamie.

Smit chrząknął nieśmiało.

- Znam kilku poszukiwaczy - zaczął - którzy mają dziesięć działek w pobliżu górnego biegu rzeki Pniel. Są tam diamenty, ale tych facetów nie stać na odpowiednie narzędzia, by mogli eksploatować te działki. Szukają więc współnika. Pomyślałem, że może to pana zainteresuje.

Jamie spojrzał na niego uważnie.

- To ci ludzie, o których mówiłeś van der Merwemu, zgadza się?

Smit przytaknął zdumiony.

- Tak, sir. Ale ja przemyślałem pańską propozycję i wolałbym raczej z panem robić interesy.

Jamie wyjął długie, cienkie cygaro i Smit usłużnie podał mu ogień.

- Mów dalej - powiedział Jamie i Smit mówił dalej.

Na początku prostytutka w Klipdrift była zajęciem dorywczym. Nierządnicami były głównie czarne kobiety, które uprawiały swój proceder w nędznych lupanarach, mieszczących się w cichych uliczkach. Pierwsze białe prostytutki, które tu przybyły, pracowały jako kelnerki w niepełnym wymiarze godzin. W miarę jednak jak odkrywano nowe złoża diamentów, zaczęło się pojawiać coraz więcej białych prostytutek.

Na przedmieściach Klipdrift znajdowało się teraz pół tuzina domów publicznych, chałup z dachami pokrytymi blachą, zbudowanych z drewnianych podkładów kolejowych. Wyjątkiem był dom Madam Agnes. Solidnie wyglądający dwupiętrowy budynek na Bree Street przy Loop Street, głównej arterii, obok którego żony mieszkańców Klipdrift mogły spokojnie przechodzić, nie narażając się na zaczepki. Przybytek ten chętnie odwiedzali mężowie owych żon i nieznajomi przybysze, których było na to stać. Nie należał do tanich, ale zatrudnione w nim kobiety były młode i pozbawione zahamowań. Mężczyźni mieli więc poczucie, że nie wyrzucają pieniędzy w błoto. Drinki podawano w całkiem gustownie urządzonym salonie, a regułą domu Madam Agnes stało się, że żaden z klientów nigdy nie wyszedł z niego okradziony lub oszukany. Sama Madam Agnes była wesołą, krzepką, rudowłosą trzydziestoparolatką, która przedtem pracowała w jednym z domów publicznych Londynu. Do Afryki Południowej zwabiły ją opowieści o tym, jak łatwo można zarobić w takich górniczych miasteczkach jak Klipdrift. Zaoszczędziła wystarczająco dużo, by móc założyć własne przedsiębiorstwo, i interes kwitł już od samego początku.

Madam Agnes szczyciła się swoją znajomością psychiki mężczyzn, ale Jamie McGregor stanowił dla niej zagadkę. Często przychodził, nie szczędził pieniędzy, był zawsze uprzejmy wobec dziewcząt, lecz sprawiał wrażenie człowieka zamkniętego w sobie, będącego myślami gdzie indziej. Madam Agnes najbardziej fascynowały jego oczy: blade, zimne, niezgłębione jeziora. W przeciwieństwie do innych klientów nigdy nie mówił o sobie ani o swojej przeszłości. Kiedy Madam Agnes dowiedziała się, że Jamie McGregor rozmyślnie zrobił córce Salomona van der Merwego dziecko, a potem odmówił poślubienia jej, pomyślała, że to drań. Ale patrząc, jak schodzi po schodach wyłożonych czerwonym

dywanem, uprzejmie mówi: „Dobranoc” i znika za drzwiami, musiała przyznać, że jest wcale pociągającym draniem.

Po powrocie do hotelu Jamie zastał w pokoju Margaret; stała przy oknie ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Gdy wszedł, odwróciła się.

- Witaj, Jamie - powiedziała drżącym głosem.

- Co tu robisz? - spytał szorstko.

- Chciałam z tobą porozmawiać.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- Wiem, dlaczego tak postępujesz. Nienawidzisz mego ojca. - Margaret podeszła bliżej do Jamiego. - Ale musisz wiedzieć, że cokolwiek on ci zrobił, ja nie mam z tym nic wspólnego. Proszę... Błagam cię... uwierz mi. Nie czuj do mnie nienawiści. Tak bardzo cię kocham.

Jamie spojrzał na nią chłodno.

- To twój problem, prawda?

- Proszę, nie patrz na mnie w ten sposób. Przecież mnie kochasz...

Nie słuchał jej. Przypomniawszy sobie znów tę straszliwą wyprawę do Paardspan, której omal nie przypłacił życiem. Przypomniawszy sobie, jak przesuwając głazy nad rzeką i jak w pewnej chwili chciał się już poddać... i jak wreszcie, jakimś cudem, znalazł diamenty... I przypomniał sobie, jak przyniósł je van der Merwemu, i ten jego zimny głos mówiący: „Nie zrozumiałeś mnie, chłopcze. Ja nie potrzebuję współników. Pracowałeś dla mnie... Daję ci dwadzieścia cztery godziny na to, abyś wyniósł się z miasta”. Przypomniawszy sobie też, jak go potem katowano... I znów czuł zapach sępów, ich ostre dzioby wbijające się w ciało...

Głos Margaret zdawał się napływać z oddali:

- Pamiętasz? Ja należę do ciebie... Kocham cię.

Ocknął się z zadumy i spojrzał na nią. Miłość. Nie miał już pojęcia, co to słowo oznacza. Van der Merwe pozbawił go wszelkich uczuć, z wyjątkiem nienawiści. Nienawiść stała się treścią jego życia. To właśnie ona pozwoliła mu przetrwać, gdy walczył z rekinami, gdy płynął przez rafy i czołgał się po minach na polach diamentowych pustyni Namib. Poeci piszą o miłości, a śpiewacy śpiewają o niej... i być może ona jest naprawdę, być może istnieje. Ale miłość jest dla innych ludzi. Nie dla Jamiego McGregora.

- Jesteś córką Salomona van der Merwego - powiedział. - W swoim brzuchu nosisz jego wnuka. Wynoś się.



Margaret nie miała dokąd pójść. Kochała ojca, pragnęła, by jej przebaczył, ale wiedziała, że nigdy tego nie zrobi, że jej życie stanie się prawdziwym piekłem. Nie miała jednak wyboru. Musiała przecież gdzieś pójść. Po wyjściu z hotelu Margaret skierowała kroki w kierunku sklepu ojca. Czuła, że ludzie wytykają ją palcami. Niektórzy mężczyźni uśmiechali się dwuznacznie, lecz ona szła z podniesioną głową. Przed sklepem zatrzymała się i długo wahała, nim w końcu weszła. W środku nie było nikogo.

Van der Merwe wyszedł po chwili z zaplecza.

- Ojciec... - zaczęła Margaret.

- To ty! - Pogarda, z jaką się do niej zwrócił, była jak uderzenie w policzek. Podszedł bliżej i wtedy w jego oddechu poczuła zapach whisky. - Chcę, abyś wyniosła się z miasta. Natychmiast! Wieczorem! I nigdy już się tu nie pokazuj! - Wyjął z kieszeni kilka banknotów i cisnął je na podłogę. - Weź je i wynoś się.

- Noszę twojego wnuka, ojciec.

- Nosisz diabelskie nasienie! - Mocno zacisnął pięści. - Ilekroć ludzie zobaczą, jak obnosisz się ze swoim brzuchem, niczym dziwka, będą myśleli o mojej hańbie. Kiedy wyjedziesz, zapomną.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem jak w transie odwróciła się i wyszła.

- Pieniądze, pieniądze! - wrzeszczał. - Zapomniałaś wziąć pieniądze, dziwko!

Na przedmieściach znajdował się tani pensjonat i Margaret, której huczało w głowie, tam właśnie skierowała swe kroki. Właścicielką była zażywna kobieta po pięćdziesiątce, o miłej twarzy. Przyjechała do Klipdrift wraz z mężem, który zaraz potem ją porzucił. Niejedna na jej miejscu by się załamała, ale ona przetrwała to. W tym mieście widziała wielu ludzi, którzy martwili się i cierpieli, ale jeszcze nigdy nie spotkała kogoś tak załamane, jak ta siedemnastoletnia dziewczyna, która teraz stała przed nią.

- Czy masz do mnie jakąś sprawę?

- Tak. Myślałam, czy... nie znajdzie się tu dla mnie jakaś praca.

- Praca? A co byś chciała robić?

- Wszystko. Umiem gotować. Mogę usługiwać przy stole. Mogę ścielić łóżka. Mogę... Mogę... - W jej głosie była desperacja. - Och, proszę - błagała. - Mogę wszystko.

Pani Owens spojrzała na tę drżącą dziewczynę i coś chwyciło ją za serce.

- Sądzę - powiedziała po chwili - że przyda mi się jakaś dodatkowa para rąk do pracy.

- Zauważyła wyraz ulgi na twarzy dziewczyny. - Od kiedy mogłabyś zacząć?

- Od zaraz!

- Mogę ci dać tylko - pomyślała o sumie i zaraz ją zwiększyła - jednego funta, dwa

szylingi i jedenaście pensów miesięcznie oraz wikt i opierunek.

- To wspaniale. - Margaret miała ochotę ją wycalować.

Salomon van der Merwe rzadko pojawiał się teraz na ulicach Klipdrift. Coraz częściej jego klienci przez cały dzień widzieli na drzwiach frontowych wywieszkę z napisem: „Zamknięte”. Niebawem zaczęli zaopatrywać się gdzie indziej.

Salomon van der Merwe nadal chodził do kościoła w każdą niedzielę. Nie przychodził tam jednak po to, by się modlić, lecz żeby domagać się od Boga, aby naprawił tę straszliwą krzywdę, jaką wyrządził swemu wiernemu słudze. Inni parafianie odnosili się zawsze z respektem do Salomona van der Merwego ze względu na to, że był człowiekiem bogatym i bardzo wpływowym, ale teraz czuł na sobie ich drwiące spojrzenia i słyszał poszeptywania za plecami. Rodzina, która zajmowała tę samą ławkę, przeniosła się na inną. Tak więc stał się pariasem.

Którejś niedzieli pastor wygłosił grzmiącym głosem kazanie, które go zupełnie pograżyło. Duchowny zręcznie połączył wersety z Księgi Wyjścia, Ezechiela i Kapłańskiej: „Ja, Pan, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia. Dlatego, nierządniczo, słuchaj słowa Pańskiego! Tak mówi Pan Bóg: Za to, że odsłaniałaś swą sromotę i odkrywałaś swoją nagość, uprawiając nierząd ze wszystkimi swoimi ohydnyymi bożkami... I Pan powiedział do Mojżesza: Nie wydawaj swej córki na hańbę, czyniąc ją nierządnicą, aby kraj nie uległ nierządowi...”

Po tej niedzieli noga Salomona van der Merwego już nigdy nie powstała w kościele.

Im bardziej podupadały interesy van der Merwego, tym lepiej prosperował Jamie McGregor. W miarę jak kopano coraz głębiej, wzrastały koszty wydobycia diamentów i górnicy zdawali sobie sprawę, że bez odpowiednich narzędzi nie będzie ich stać na dalsze eksploataowanie działek. Wiadomość, że Jamie McGregor jest kimś, kto może ich dofinansowywać w zamian za udział w kopalniach, szybko się rozeszła. Jamie wykupywał coraz to nowe udziały. Inwestował w nieruchomości, przedsiębiorstwa i złoto. Był drobiazgowo uczciwy w swych transakcjach i dzięki temu zyskał sobie dobre imię. Krąg ludzi, którzy chcieli z nim robić interesy, stale się poszerzał.

W mieście działały dwa banki, a kiedy jeden z nich podupadł z powodu złego zarządzania, Jamie, nie ujawniając swego nazwiska, wykupił go i zatrudnił swoich ludzi. Wszystko, czego się tknął, zamieniało się w złoty interes. Nawet w swych chłopięcych marzeniach nie wyobrażał sobie, że będzie kiedyś tak znany i bogaty, a jednak teraz miało to

dla niego niewielkie znaczenie. Swoje sukcesy mierzył miarą niepowodzeń Salomona van der Merwego. Uważał, że nadal jest to dopiero początek jego zemsty.

Od czasu do czasu Jamie mijał Margaret na ulicy, ale nie zwracał na nią uwagi. Nie miał pojęcia, co znaczą dla niej te przypadkowe spotkania. Margaret przystawała z zapartym tchem i dopiero po dłuższej chwili dochodziła do siebie. Nadal go kochała; bez granic, bez pamięci. I nic nie mogło już tego zmienić. Posłużył się jej ciałem, by ukarać ojca, ale wiedziała, że to może być broń obosieczna. Niebawem urodzi dziecko Jamiego i kiedy on je zobaczy, krew z krwi jego, da mu nazwisko i ożeni się z nią. Margaret zostanie panią McGregor. Niczego więcej nie pragnęła w życiu. Wieczorem, przed zaśnięciem, dotykała wyдутego brzucha i szeptała: „Nasz syn”. Być może jest niedorzecznością sądzić, że ma się wpływ na płeć dziecka, ale Margaret wierzyła w to. „Każdy mężczyzna chce mieć syna” - myślała.

W miarę jak powiększał się jej brzuch, Margaret odczuwała coraz większy lęk; nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Miejskowe kobiety nie chciały z nią rozmawiać. Religia, którą wyznawały, uczyła karać, a nie przebaczać. Margaret była samotna, otoczona obcymi ludźmi i wieczorami płakała nad sobą i nad swoim nie narodzonym dzieckiem.

Jamie McGregor nabył dwupiętrowy dom w centrum Klipdrift, przeznaczając go na siedzibę swoich rozwijających się przedsiębiorstw. Pewnego dnia główny księgowy Jamiego, Harry McMillan, powiedział:

- Dokonujemy właśnie fuzji pańskich przedsiębiorstw i potrzebujemy nazwy dla spółki. Czy ma pan jakieś propozycje?

- Pomyślę nad tym.

Jamie zaczął się zastanawiać. W pamięci zachował echa nawoływań, przebijających się przez mgłę morską, *mis*, na polu diamentowym pustyni Namib, i nie miał wątpliwości, jaka może być nazwa.

- Nową spółkę - oznajmił - nazwiemy Kruger-Brent. Kruger-Brent Ltd.

Tego samego dnia przyjął swojego bankiera, Alvina Cory'ego.

- Chciałbym porozmawiać z panem na temat pożyczek van der Merwego - powiedział Alvin Cory. - Znacznie zalega nam z ich spłatą. W przeszłości ryzyko było niewielkie, ale teraz jego sytuacja gwałtownie się zmieniła, panie McGregor. Sądzę, że powinniśmy cofnąć mu kredyt.

- Nie - odparł krótko Jamie.

Cory spojrział pytająco na Jamiego.

- Dziś rano przyszedł i próbował pożyczyć większą sumę pieniędzy, aby...
- Daj mu je. Daj mu tyle, ile zechce. Bankier wstał i rzekł:
- Jak pan sobie życzy, panie McGregor. Powiem mu, że pan...
- Nic mu nie mów - przerwał Jamie. - Daj mu tylko pieniądze.

Margaret wstawiała codziennie o piątej rano, by piec duże bochenki cudownie pachnącego chleba i wyrabiać zaczyn biskwitów, a kiedy pensjonariusze całą gromadą schodzili do jadalni na śniadanie, podawała im owsiankę, jajka smażone na szynce, placki gryczane, słodkie różki oraz gorącą kawę i *naartje*. Większość gości pensjonatu stanowili poszukiwacze, którzy byli w drodze na swoje działki, bądź też wracali z nich. Zatrzymywali się w Klipdrift po to, by sprzedać diamenty, zmyć brud po podróży, upić się i zająć do jednego z miejscowych lupanarów. Zazwyczaj odbywało się to właśnie w tej kolejności. Większość z nich była nieokrzesanymi, nie umiejącymi czytać ani pisać awanturnikami.

W Klipdrift obowiązywało niepisane prawo, że nie można molestować porządnych kobiet. Jeśli mężczyzna pragnął sobie użyć, brał dziwkę. Margaret van der Merwe była jednak wyzwaniem, ponieważ nie pasowała do żadnej kategorii kobiet. Porządne kobiety, które były pannami, nie zachodziły w ciążę. Powstała teoria, która głosiła, że skoro Margaret raz uległa pokusie, to prawdopodobnie ma ochotę sypiać ze wszystkimi. Należało ją tylko o to poprosić. I tak też czyniono.

Niektórzy poszukiwacze robili to w sposób bezceremonialny i wulgarny, inni rzucali w jej stronę pożądliwe spojrzenia i próbowali różnych podstępów. Margaret odprawiała zarówno jednych, jak i drugich z niezmienną godnością. Ale pewnego wieczoru pani Owens, gdy zamierzała już udać się na spoczynek, usłyszała krzyki dochodzące z pokoju Margaret, mieszczącego się w tylnej części domu. W jednej chwili była już tam, gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i wpadła jak bomba do środka. Jeden z gości, pijany poszukiwacz, zdarł z Margaret koszulę nocną i przyparłszy ją do łóżka, usiłował zgwałcić.

Pani Owens chwyciła znajdujące się akurat pod ręką żelazko i skoczywszy na draba jak tygrysica, zaczęła go okładać. Przepelniona potężnym gniewem pozbawiła mężczyznę przytomności, wyciągnęła go na korytarz, a potem na ulicę. Następnie pospieszyła z powrotem do pokoju Margaret, która teraz ocierała drżącymi rękami krew z ust.

- Nic ci nie jest, Maggie? - spytała.
- Nie. Ja... Dziękuję, pani Owens.

Oczy Margaret napelniły się nagle łzami. W tym mieście, gdzie niewiele osób odzywało się do niej, znalazł się ktoś, kto okazał jej życzliwość.

„Biedna marzycielka - pomyślała pani Owens, spoglądając na wydęty brzuch Margaret. - Jamie McGregor nigdy się z nią nie ożeni”.

Zbliżał się termin rozwiązania. Margaret łatwo się teraz męczyła; schyłanie i podnoszenie się stanowiło dla niej wielki wysiłek. Jedyną radością były chwile, gdy czuła w sobie ruchy dziecka. Ona i jej syn byli zupełnie sami na tym świecie, więc Margaret godzinami mówiła do niego, opowiadała o wspaniałych rzeczach, jakie czekają go w życiu.

Któregoś wieczoru, zaraz po kolacji, zjawił się w pensjonacie mały czarnoskóry chłopiec i podał Margaret zapieczętowaną kopertę.

- Mam tu poczekać na odpowiedź - oznajmił.

Margaret przeczytała list, najpierw szybko, a potem uważnie.

- Tak - odparła w końcu. - Powiedz, że tak.

Nazajutrz, punktualnie o dwunastej w południe, Margaret zjawiła się przed burdelem Madam Agnes. Na drzwiach frontowych wisiała wywieszka z napisem: „Zamknięte”. Margaret zapukała nieśmiało do drzwi, nie zwracając uwagi na spojrzenia zaskoczonych przechodniów. Nie była przekonana, czy powinna tutaj przyjść. To była trudna decyzja. Do przyjęcia zaproszenia skłoniła ją straszliwa samotność. Treść listu brzmiała:

*Szanowna Panno van der Merwe!*

*To nie mój interes, ale wraz z dziewczętami omawiałyśmy Pani nieszczęśliwe i niesprawiedliwe położenie, i wszystkie sądzimy, że to cholerny wstyd, że tak jest. Pragnęłybyśmy więc pomóc Pani i jej dziecku. Jeśli to nie sprawiło Pani kłopotu, czułybyśmy się zaszczycone, gdyby przyszła Pani do nas na obiad. Czy odpowiada Pani piątek po południu?*

*Proszę przyjąć wyrazy szacunku,*

*Madam Agnes*

*P.S. Będziemy bardzo dyskretne.*

Margaret zastanawiała się już, czy nie odejść, gdy drzwi otworzyła Madam Agnes.

- Wejdz, kochanie - powiedziała biorąc Margaret pod ramię. - Trzeba wy dostać cię z tego cholernego piekła.

Zaprowadziła ją do salonu, umeblowanego obitymi czerwonym pluszem wiktoriańskimi kanapami, fotelami i stołami. Pokój został ozdobiony wstążkami, serpentynami i Bóg wie skąd wziętymi, jaskrawo kolorowymi balonikami. Z sufitu zwisały tekturowe tabliczki z niezręcznie wykaligrafowanymi napisami: WITAJ, KOCHANIE... TO BĘDZIE CHŁOPIEC... WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO...

W salonie zebrało się sześć dziewcząt Madam Agnes, w całej różnorodności wymiarów, lat i koloru skóry. Na tę okazję ubrały się pod czujnym okiem szefowej. Włożyły na siebie gustowne suknie i zrezygnowały ze szminki i makijażu. „Wyglądają - pomyślała Margaret ze zdziwieniem - nobliwiej niż większość tutejszych matron”.

Patrzyła z oszołomieniem na pokój pełen prostytutek i nie wiedziała, jak ma się zachować w tej sytuacji. Niektóre twarze były znajome. Margaret obsługiwała te dziewczęta, gdy pracowała jeszcze w sklepie ojca. Niektóre były młode i całkiem ładne, inne zaś starsze i tłuste, z wyraźnie ufarbowanymi włosami. Ale wszystkie miały jedną cechę wspólną - martwiły się o nią. Były przyjaźnie nastawione, życzliwe i miłe. Pragnęły, aby czuła się wśród nich dobrze.

Kręciły się wokół niej nieśmiało, bojąc się zrobić lub powiedzieć coś niestosownego. Nieważne było, co mówią ludzie w mieście, dla nich i tak pozostawała damą. Były świadome różnicy, jaka dzieli je od Margaret, i czuły się zaszczycone, że do nich przyszła. Bardzo zważały na to, by nie zrobić niczego, co mogłoby zepsuć przyjęcie przygotowane specjalnie dla niej.

- Przyrządziliśmy dla ciebie smaczny obiad, skarbie - powiedziała Madam Agnes. - Mam nadzieję, że jesteś głodna.

Zaprowadziły Margaret do pokoju jadalnego, w którym stał uroczyście zastawiony stół z butelką szampana przy miejscu przeznaczonym dla niej. Kiedy szły korytarzem, Margaret spojrzała na schody prowadzące do sypialni na drugim piętrze. Wiedziała, że Jamie przychodzi tutaj, i zastanawiała się, którą z dziewcząt sobie wybrał. Być może wszystkie. I jeszcze raz zaczęła się im uważnie przyglądać i zastanawiać, co też takiego pociąga w nich Jamiego, a czego ona nie ma.

Obiad okazał się wystawnym przyjęciem. Zaczął się od wyśmienitego chłodnika i sałaty, po których został podany świeży karp. A potem była pieczeń barania i kaczka z ziemniakami i jarzynami. Były również ciastka ponczowe, ser, owoce i kawa. Margaret jadła to wszystko z apetytem i czuła się naprawdę dobrze. Siedziała na honorowym miejscu, mając po prawej stronie Madam Agnes, a po lewej Maggie: śliczną jasnowłosą dziewczynę, która nie mogła liczyć więcej niż szesnaście lat. Dziewczęta znały mnóstwo zabawnych, sprośnych

historyjek, ale uważały, że w obecności Margaret nie wypada ich opowiadać. Rozmawiały więc o pogodzie, o tym, jak rozwija się Klipdrift i o przyszłości Afryki Południowej. Miały wiele do powiedzenia na temat polityki, gospodarki i diamentów, ponieważ swoje informacje czerpały z pierwszej ręki, od znawców.

W pewnym momencie Maggie, owa śliczna blondynka, powiedziała:

- Jamie właśnie odkrył nowe pole diamentowe w... - W pokoju zapanowała cisza i Maggie zorientowała się, że popełniła gafę. - To znaczy mój wuj Jamie - dodała nerwowo. - On... jest mężem mojej cioci.

Margaret zdziwił nagły przypływ zazdrości, jaki poczuła w sobie. Madam Agnes pospiesznie zmieniła temat rozmowy.

Po skończonym posiłku Madam Agnes wstała i zwróciła się do Margaret:

- Chodź, kochanie. Chciałybyśmy ci coś pokazać.

Margaret i dziewczęta przeszły za nią do drugiego salonu. Był wypełniony niezliczoną ilością pięknie opakowanych prezentów. Margaret nie wierzyła własnym oczom.

- Nie wiem... Nie wiem, jak mam wam za to podziękować.

- Nie dziękuj, ale otwórz je - powiedziała do niej Madam Agnes.

Wśród prezentów była kołyska, ręcznie uszyte pieluszki, czapeczki, długi kaszmirowy szlafroczek. Znalazły się również butelki dla niemowląt i buciki z francuskiej skóry koźłej zapinane na guziki, srebrny kubeczek ze złotymi wzorami, szczotka i grzebień z niezawodnymi srebrnymi rączkami oraz celuloidowe grzechotki, gryzaki gumowe i koń na biegunach w szare cętki, ołowiane żołnierzyki, drewniane jasne klocki i chyba najpiękniejsza rzecz ze wszystkich: białe ubranko do chrztu.

To było jak Boże Narodzenie. Margaret zupełnie oniemiała. Nie wyobrażała sobie, że spotka ją takie szczęście. I nagle wszystkie cierpienia minionych miesięcy, cierpienia, które tłumiała w sobie tak długo, wybuchły i z oczu popłynęły jej łzy. Madam Agnes objęła ją i zawołała do swoich dziewcząt:

- No, jazda stąd.

Posłusznie wyszły z pokoju. Madam Agnes usiadła z Margaret na kanapie i przytulała ją tak długo, aż się trochę uspokoiła.

- Tak mi... tak mi przykro - powiedziała zająkując się Margaret. - Ja nie... nie wiem, co się ze mną stało.

- Nie przejmuj się, kochanie. Ten pokój był świadkiem wielu problemów, które przychodziły i odchodziły. I wiesz, czego się nauczyłam? Że z czasem wszystko się jakoś układa. Ty i twoje dziecko będziecie jeszcze szczęśliwi.

- Dziękuję - odparła szeptem Margaret. Wskazała ręką na stos prezentów. - Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się za to odwdziaczyć.

Madam Agnes uścisnęła dłoń Margaret.

- Nie trzeba - powiedziała. - Nie masz pojęcia, jak wiele radości sprawiło nam zebranie tego wszystkiego. Nieczęsto mamy okazję, by robić takie rzeczy. Gdy któraś z nas zachodzi w ciążę, to jest to kurewskie nieszczęście. - Szybko zakryła dłonią usta. - Och, przepraszam!

- Chciałabym - uśmiechnęła się Margaret - abyście wiedziały, że jest to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu.

- Czujemy się naprawdę zaszczycone, że do nas przyszedłeś, kochanie. Jeżeli o mnie chodzi, to myślę, że te wszystkie kobiety w mieście razem wzięte nie umywają się nawet do ciebie. Cholerne suki! Zabiłabym je z powodu tego, jak ciebie traktują. I nie obrażaj się za to, co ci powiem, ale myślę, że Jamie McGregor jest cholernym głupcem. - Gwałtownie podniosła się z kanapy. - Mężczyźni! Jaki świat byłby piękny bez tych drani! Chociaż, może nie... Kto to wie?

Margaret odzyskała już spokój. Wstała i ujęła dłonie Madam Agnes.

- Nigdy pani tego nie zapomnę - powiedziała. - Kiedyś, kiedy mój syn będzie dostatecznie duży, opowiem mu o tym dniu.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Czy naprawdę uważasz, że powinnaś? - spytała.

- Naprawdę. - Margaret się uśmiechnęła.

Madam Agnes odprowadziła dziewczynę do drzwi.

- Zamówię woźnicę, by przewiózł ci te wszystkie rzeczy do pensjonatu. Życzę ci wszystkiego dobrego.

- Dziękuję pani. Bardzo dziękuję.

Madam Agnes stała przez chwilę w drzwiach patrząc, jak Margaret idzie niezdarnie ulicą. Potem zamknęła drzwi, klasnęła w dłonie i powiedziała:

- Koniec tego dobrego, moje panie. Czas już zabrać się do pracy.

Godzinę później dom Madam Agnes był już jak zwykle otwarty dla klientów.



## Rozdział 8

Nadszedł czas, by zatrzaskać pułapkę. Przez ostatnie sześć miesięcy Jamie McGregor wykupywał po cichu udziały wspólników van der Merwego w jego różnych przedsiębiorstwach, tak że teraz miał nad nim pełną kontrolę. Ale jego obsesją było posiadanie pól diamentowych na pustyni Namib. Zapłacił za nie setki razy więcej, niż były warte - swoją krwią i niemal życiem. Wykorzystał diamenty, które ukradł wraz z Bandą, by zbudować imperium zdolne zmiążdżyć Salomona van der Merwego. Zadanie to nie zostało jeszcze w pełni wykonane. Teraz jednak Jamie był gotów to zrobić.

Van der Merwe coraz głębiej i głębiej brnął w długi. Wszyscy odmawiali mu pożyczek, z wyjątkiem banku, którego Jamie był cichym właścicielem. Jego bankier otrzymywał niezmienną instrukcję, wedle której Salomon van der Merwe miał dostawać tyle, ile zechce.

Skład towarowy nie był już prawie nigdy otwarty. Van der Merwe zaczynał pić od wczesnych godzin rannych, a po południu chodził do domu Madam Agnes i czasem zostawał tam na noc.

Pewnego ranka Margaret, czekając u rzeźnika na dostawę świeżych kurczaków zamówionych przez panią Owens, spojrzała przez okno i zobaczyła, jak z domu publicznego wychodzi ojciec. Ledwo go rozpoznała w tym starym, zaniedbanym człowieku, który szedł ulicą powłócząc nogami. „To wszystko przeze mnie - pomyślała. - Och, Boże, przebac mi. To moja wina!”

Salomon van der Merwe nie miał pojęcia, dlaczego jego los tak się odmienił. Wiedział tylko, że w jakiś dziwny sposób, bez widomej przyczyny, życie jego zostało zrujnowane. Bóg wybrał go, tak jak kiedyś wybrał Hioba, aby poddać próbie jego wiarę. Van der Merwe był przekonany, że w końcu zwycięży swych niewidzialnych wrogów. Potrzebował na to tylko trochę czasu, trochę czasu i więcej pieniędzy. Oddał już w zastaw swój skład towarowy, udziały, jakie miał w sześciu małych polach diamentowych, nawet konia i wóz. W końcu pozostało mu tylko pole diamentowe na pustyni Namib. W dniu, w którym je oddał, jako dodatkową gwarancję spłaty swoich długów, Jamie miał go w garści.

- Ściągnij z niego pieniądze - nakazał swemu bankierowi. - Daj mu dwadzieścia cztery godziny na spłatę długów lub dokonaj konfiskaty jego całego majątku.

- Panie McGregor, on zapewne nie będzie w stanie dostarczyć tyle pieniędzy. On...

- Dwadzieścia cztery godziny.

Punktualnie o piątej następnego dnia w składzie towarowym pojawili się wicedyrektor banku i komornik z nakazem sądowym, upoważniającym do skonfiskowania całego majątku ziemskiego van der Merwego. Ze swego biura, mieszczącego się po drugiej stronie ulicy, Jamie obserwował, jak van der Merwe zostaje wyeksmitowany. Stary człowiek bezradnie stanął na środku ulicy, mrugając w słońcu oczyma, nie wiedząc, co zrobić ani dokąd pójść. Został pozbawiony wszystkiego. Zemsta się dokonała. „Jak to jest - myślał ze zdziwieniem Jamie - że teraz, kiedy odniosłem już pełny triumf, nie odczuwam żadnej radości”. Czuł tylko wewnętrzną pustkę. Człowiek, którego zniszczył, najpierw zniszczył jego.

Kiedy tego wieczoru Jamie odwiedził Madam Agnes, usłyszał od niej:

- Czy znasz już, Jamie, najświeższą nowinę? Salomon van der Merwe palnął sobie w łeb godzinę temu.

Pogrzeb odbył się na pępym, wietrznym cmentarzu poza miastem. Oprócz grabarzy brało w nim udział tylko dwoje ludzi: Margaret i Jamie McGregor. Margaret włożyła szeroką, ciemną suknię, by zasłonić swoją nabrzmiałą figurę. Była blada, wyglądała bardzo niedobrze. Jamie natomiast stał wyprostowany, elegancki, nieobecny i niewzruszony. Stali naprzeciw siebie patrząc na nędzną, sosnową skrzynię spuszczaną do dołu, a potem zasypywaną. Margaret miała wrażenie, że grudki ziemi uderzające o trumnę wołają: „Dziwka!... Dziwka!...”

W pewnej chwili spojrzała na Jamiego i wówczas spotkali się wzrokiem. Oczy Jamiego były zimne i bez wyrazu, tak jakby była dla niego kimś obcym. Ogarnęła ją nienawiść.

„Stoisz tutaj - pomyślała - i nic nie czujesz, a jesteś tak samo winien jak ja. To my oboje go zabiliśmy. W oczach Boga jestem twoją żoną”.

Spojrzała na grób; ostatnia łopata ziemi zakryła sosnową skrzynię.

- Spoczywaj - wyszeptała. - Spoczywaj w pokoju.

Kiedy podniosła wzrok, Jamiego już nie było.

W Klipdrift stały dwa identyczne drewniane budynki, które służyły za szpitale, ale były tak brudne i na dodatek pozbawione podstawowych urządzeń sanitarnych, że większość pacjentów prędzej tam umierała, niż powracała do zdrowia. Dzieci rodziły się w domach. Gdy nadszedł termin porodu, pani Owens posłała po czarnoskórą akuszerkę, Hannah. Poród zaczął się o trzeciej nad ranem.

- Teraz musisz tylko przeć - poinstruowała Hannah. - Resztę zrobi już natura.

Pierwszy ból wywołał uśmiech na ustach Margaret. Wydawała syna na świat; syna, który będzie miał nazwisko. Wierzyła, że Jamie McGregor uzna swoje dziecko, że jej syn nie będzie ukarany.

Poród przeciągał się; od czasu do czasu do sypialni Margaret zaglądali zaciekawieni goście pensjonatu, ale Hannah natychmiast ich przepędzała.

- To sprawa osobista - mówiła do Margaret. - Między tobą a Bogiem. I diabłem, który cię wpędził w te tarapaty.

- Czy to będzie chłopiec? - spytała Margaret z trudem łapiąc oddech.

Hannah otarła jej czoło mokrą szmatką.

- Powiem ci po skończonej robocie. Teraz przyj. Mocno! Mocniej! Jeszcze mocniej!

Skurcze zaczęły się nasilać i potworny ból przeszywał ciało Margaret. „Och, mój Boże - pomyślała - coś jest nie tak”.

- Przyj! - powtórzyła Hannah i nagle krzyknęła z przerażeniem: - Jest odwrócone! Nie mogę! Nie mogę go wyciągnąć!

Jak przez czerwoną mgłę Margaret zobaczyła Hannah pochylającą się nad nią i obracającą jej ciało, i wtedy pokój zaczął się zamazywać, i nagle ból minął. Szybowała w przestrzeni i widziała jasne światło w oddali, ktoś dawał jej znaki ręką, przywoływał ją do siebie i to był Jamie. „Jestem tutaj, Maggie, kochanie. Dasz mi wspaniałego syna”. Jamie wrócił do niej. Nie czuła już do niego nienawiści. Wiedziała, że tak naprawdę nigdy nie mogłaby go znienawidzić. Usłyszała czyjś głos mówiący: „Już prawie po wszystkim”. I znów poczuła rozrywający ból, a z jej gardła wydobył się przeraźliwy krzyk, który rozdarł powietrze.

- Teraz! - zawołała Hannah. - Już wychodzi!

Zaraz potem Margaret poczuła coś mokrego między nogami i usłyszała radosny okrzyk Hannah, która podniosła do góry siny kłębuszek i powiedziała:

- Witaj w Klipdrift. Urodziłaś syna, kochanie.

Margaret dała mu na imię Jamie.

Margaret wiedziała, że wiadomość o urodzeniu dziecka szybko dotrze do Jamiego, i czekała na sygnał od niego. Kiedy jednak minęły tygodnie i nic takiego nie nastąpiło, posłała do niego wiadomość. Z niecierpliwością czekała na odpowiedź. Wreszcie po trzydziestu minutach zjawił się posłaniec.

- Czy zastałeś pana McGregora?

- Tak, psze pani.

- I przekazałeś mu wiadomość?

- Tak, psze pani.

- I co on powiedział?

Na twarzy chłopca odmalowało się zakłopotanie.

- On... on powiedział, że nie ma syna, panno van der Merwe.

Margaret zamknęła się wraz z dzieckiem na cały dzień i całą noc w swoim pokoju i nie chciała wychodzić. „Twój ojciec, Jamie, jest tylko teraz tak zdenerwowany. Sądzi, że twoja matka zrobiła mu coś złego. Ale ty jesteś jego synem i kiedy zobaczy ciebie, weźmie nas do swego domu i będzie nas bardzo kochał. Zobaczysz, mój mały. Wszystko się jakoś ułoży”.

Nazajutrz, gdy pani Owens zapukała do drzwi, Margaret otworzyła je. Wydawała się dziwnie spokojna.

- Nic ci nie jest, Maggie? - spytała zaniepokojona gospodyni.

- Nie - odparła Margaret. - Czuję się świetnie. - Ubierała dziecko w jeden z jego nowych kompletów. - Wezmę wózek i pójdę z Jamiem na spacer.

Wózek od Madam Agnes i jej dziewcząt był prawdziwym cudem. Zrobiony z trzciny najlepszego gatunku, miał mocny, wyplatany spód, solidne, drewniane pałaki i był wyściełany importowanym brokatem, przetykanym złotą nitką. Miał też budę, zawieszoną z tyłu na hakach i ozdobioną szeroką kryzą.

Margaret pchała przed sobą wózek po wąskich chodnikach Loop Street. Czasem jakiś nieznajomy zatrzymywał się, by uśmiechnąć się do dziecka, ale miejscowe kobiety odwracały oczy albo ostentacyjnie przechodziły na drugą stronę ulicy.

Margaret nawet tego nie zauważała. Wypatrywała tylko jednej osoby. Każdego dnia, gdy tylko dopisywała pogoda, ubierała dziecko w jedno z najładniejszych ubranek i zabierała wózkem na spacer. Po upływie tygodnia, podczas którego ani razu nie spotkała Jamiego, zrozumiała, że świadomie jej unika. „No dobrze - postanowiła. - Skoro nie chce zobaczyć się ze swoim synem, jego syn zobaczy się z nim”.

Następnego ranka Margaret znalazła panią Owens w salonie.

- Wybieram się w małą podróż, pani Owens - oznajmiła. - Wrócę za tydzień.

- Ależ, Maggie, dziecko jest jeszcze za małe, by podróżować...

- Dziecko zostanie w mieście.

- Chyba nie tutaj? - Pani Owens zmarszczyła brwi.

- Nie, pani Owens. Nie tutaj.

Jamie McGregor wybudował sobie dom na jednym ze wzgórz wznoszących się nad Klipdrift. Był to niski bungalow ze stromym dachem, z dwoma dużymi skrzydłami, połączonymi z głównym budynkiem szerokimi werandami. Dom otaczały zielone gazony i bujny ogród różany. Na tyłach znajdowała się powozownia i osobne pomieszczenia dla służby. Obowiązek prowadzenia domu spoczywał na Eugonii Talley, groźnej wdowie w średnim wieku, matce sześciorga dorosłych dzieci, mieszkających na stałe w Anglii.

O dziesiątej rano Margaret zjawiła się przed domem, trzymając dziecko na rękach. Wiedziała, że o tej porze Jamie będzie przebywał w biurze. Drzwi otworzyła pani Talley. Ze zdziwieniem spojrzała na Margaret i niemowlę. Tak jak wszyscy w promieniu stu mil, pani Talley wiedziała, kim są.

- Przykro mi, ale pana McGregora nie ma w domu - powiedziała i zaczęła zamykać drzwi, ale Margaret ją powstrzymała.

- Nie przyszedł tu po to, by zobaczyć się z panem McGregorem. Przyniosłam mu syna.

- Proszę wybaczyć, ale nic mi nie wiadomo w tej sprawie.

- Nie będzie mnie przez tydzień w Klipdrift. Potem wrócę po niego. - Margaret wyciągnęła ręce z maleństwem do oniemiałej i przerażonej pani Talley. - Ma na imię Jamie.

- Nie może go pani tutaj zostawić - próbowała zaprotestować pani Talley. - Po co pan McGregor miałby się...

- Ma pani do wyboru - oznajmiła Margaret. - Może je pani wziąć do domu albo zmusi mnie pani do pozostawienia go tutaj pod drzwiami. To również nie spodobałoby się panu McGregorowi.

Nie mówiąc już nic więcej, wepchnęła pani Talley dziecko i odeszła.

- Stać! - zawołała za nią gospodyni. - Nie może pani... Proszę natychmiast tu wrócić! Panno...

Margaret nie odwróciła się ani razu. Pani Talley stała w drzwiach, trzymając na rękach zawiniątko. „Och, mój Boże! - myślała. - Pan McGregor dostanie szału!”

Nigdy nie widziała go w takim stanie.

- Jak mogła być pani taka głupia?! - wrzeszczał jak opętany. - Wystarczyło tylko zatrzaskać jej drzwi przed nosem!

- Nie pozwoliła mi na to, panie McGregor - próbowała się bronić pani Talley. - Ona...

- Nie chcę jej dziecka w moim domu!

W podnieceniu chodził po pokoju w tę i z powrotem, zatrzymując się co chwila przed

nieszczęsną gospodynią.

- Powinienem wyrzucić panią za to.

- Za tydzień wróci po nie. Ja...

- Nie obchodzi mnie, kiedy ona wróci! - krzyczał Jamie. - Niech pani weźmie stąd to dziecko. Natychmiast! Niech pani się go pozbędzie!

- W jaki sposób miałabym to zrobić według pana? - spytała hardo.

- Niech pani gdzieś odda. W tym mieście musi być jakieś miejsce, gdzie można by je zostawić.

- Jakie?

- A skąd, u licha, mam o tym wiedzieć?! - huknął Jamie.

Pani Talley spojrzała na niemowlę, które trzymała na rękach. Krzyk sprawił, że zaczęło płakać.

- W Klipdrift nie ma sierocińców - powiedziała kołysząc je na rękach, ale płacz stawał się głośniejszy. - Ktoś musi się nim zająć.

Jamie podrapał się nerwowo po głowie.

- Niech to diabli! W porządku. Pani jest osobą, która tak wspaniałomyślnie przyjęła to dziecko. Niech więc pani się nim zajmie.

- Tak, sir.

- I niech pani coś zrobi z tym potwornym wrzaskiem. Zrozumiano? I niech pani je trzyma z dala od moich oczu. Nie chcę wiedzieć, że jest w domu. A kiedy jego matka przyjdzie po nie za tydzień, nie chcę jej widzieć. Czy jasno się wyrażam?

Dziecko zaczęło płakać z jeszcze większym wigorem.

- Bardzo jasno, panie McGregor - odpowiedziała pani Talley i pospiesznie wyszła z pokoju.

Jamie McGregor pozostał sam w swojej jaskini. Nalał sobie brandy i zapalił cygaro. „Głupia kobieta - pomyślał. - Sądzi, że widok jej dziecka zmiękczy moje serce, że zaraz popędzę do niej i powiem: Kocham cię. Kocham dziecko. Chcę się z tobą ożenić”. Nawet nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na nie. Nie spłodził go z miłości ani nawet z pożądania. Zostało spłodzone z nienawiści. Na zawsze zapamiętał twarz Salomona van der Merwego, gdy mu oznajmił, że Margaret jest w ciąży. To był początek. Grabarze zasypujący drewnianą trumnę - to był koniec. Musi teraz odszukać Bandę i powiedzieć mu, że ich misja dobiegła końca.

Jamie czuł pustkę. „Powinienem wyznaczyć sobie nowe cele” - myślał. Był

człowiekiem, który doszedł do niebywałej fortuny. Posiadał setki akrów ziemi, zawierającej niezliczone bogactwa. Nabył je z myślą o diamentach, a okazało się, że oprócz nich jest tam jeszcze złoto, platyna i mnóstwo innych cennych minerałów. Właściciele połowy nieruchomości w Klipdrift mieli w jego banku długi na hipotece. Jego grunty rozciągały się od pustyni Namib po Kapsztad. Owszem, znajdował w tym zadowolenie, ale to mu nie wystarczało. Napisał do rodziców, by sprowadzili się do niego na stałe, lecz oni nie chcieli opuszczać Szkocji. Jego bracia i siostry założyli rodziny. Jamie wysyłał rodzicom duże sumy pieniędzy i sprawiało mu to przyjemność, a jednak jego życie stało się bezbarwne. Jeszcze kilka lat temu składało się z podniecających wzlotów i upadków. Czuł wtedy, że żyje. Był pełen życia, gdy wraz z Bandą płynął tratwą przez rafy *Sperrgebiet*. Czuł w sobie życie, gdy czołgał się po minach pustyni Namib. A teraz miał wrażenie, jakby już od dawna był kimś martwym. Nie chciał się przyznać wobec siebie, że jest samotny.

Sięgnął znów po karafkę z brandy, ale była pusta. Musiał wypić więcej, niż przypuszczał, albo pani Talley zaczęła zaniedbywać się w swoich obowiązkach. Podniósł się z fotela i ciężkim krokiem ruszył w stronę kuchni, gdzie przechowywano trunki. Otwierał właśnie butelkę, gdy usłyszał gaworzenie niemowlęcia. „A niech to... - mruknął do siebie z wściekłością. - Pani Talley musi trzymać je w swojej służbowce, w pobliżu kuchni”. Gospodyni wypełniła jego polecenie co do joty. Od dwu dni w domu panował spokój. Teraz jednak usłyszał ją mówiącą tym śpiewnym głosem, jakim kobiety zwykły zwracać się do niemowląt.

- Czy wiesz, że jesteś ślicznym, małym chłopczykiem, Jamie? Jesteś po prostu aniołkiem. Tak, aniołkiem.

Dziecko zaczęło znów gaworzyć. Jamie podszedł do otwartych drzwi sypialni pani Talley i zajrzał do środka. Gospodyni zdobyła skądś kołyskę i niemowlę leżało w niej teraz. Kobieta pochylała się, a dziecko mocno zaciskało piąstkę na jej palcu.

- Jesteś mocnym małym diabłem, Jamie. Wyrośniesz na wielkiego... - Przerwała nagle, gdyż zauważyła swego pracodawcę stojącego w drzwiach. - Och... Ja... Czy mogę w czymś pomóc, panie McGregor?

- Nie. - Jamie podszedł do kołyski. - Zdenerwował mnie ten hałas tutaj.

Po raz pierwszy spojrzął na swego syna. Niemowlę było większe, niż przypuszczał, dobrze zbudowane. Zdawało się uśmiechać do niego.

- Och, tak mi przykro, panie McGregor - powiedziała ze skrucą pani Talley. - To naprawdę takie dobre dziecko. I zdrowe. Niech pan mu poda swój palec, a przekona się pan, jakie jest silne.

Jamie bez słowa odwrócił się i wyszedł.

W swoich rozmaitych przedsiębiorstwach Jamie zatrudniał ponad pięćdziesięciu stałych pracowników. W Kruger-Brent nie było nikogo, począwszy od zwykłego gońca, a skończywszy na pracowniku na najwyższym stanowisku, kto by nie wiedział, skąd się wzięła nazwa firmy, i wszyscy byli niezmiernie dumni, że pracują dla Jamiego McGregora. Jamie zatrudnił ostatnio Davida Blackwella, szesnastoletniego syna jednego ze swych sztygarów - Amerykanina z Oregonu, który przybył do Afryki Południowej w poszukiwaniu diamentów. Gdy Blackwellowi rozeszły się pieniądze, najął go do sprawowania nadzoru nad jedną ze swych kopalń. Wkrótce najął też jego syna. Młody Blackwell okazał się tak świetnym pracownikiem, że Jamie szybko zaproponował mu stałą pracę. David Blackwell był inteligentny, sympatyczny i pełen inicjatywy. Jamie wiedział również, że potrafi trzymać język za zębami, i dlatego właśnie jego wybrał do tego szczególnego zadania.

- Davidzie - oświadczył mu. - Chciałbym, abyś poszedł do pensjonatu pani Owens. Mieszka tam kobieta o nazwisku Margaret van der Merwe.

- Tak, sir - odparł David. Nawet jeśli już słyszał to nazwisko lub wiedział, kim jest ta kobieta, nie dał tego po sobie poznać. - Masz jej coś powiedzieć, ale tylko jej. Ta kobieta zostawiła mojej gospodyni swoje dziecko. Powiedz jej, że chcę, aby je dziś zabrała z mego domu.

- Tak, panie McGregor.

David Blackwell powrócił po półgodzinie. Jamie podniósł wzrok znad biurka.

- Sir, przykro mi, ale nie udało mi się spełnić pańskiego polecenia.

- Dlaczego? - Jamie wstał. - Nie było to chyba zbyt trudne zadanie?

- Niestety, sir, ale nie zastałem tam panny van der Merwe.

- A więc odszukaj ją.

- Dwa dni temu wyjechała z Klipdrift. Ma wrócić za pięć dni. Gdyby pan zechciał, abym się czegoś bliżej dowiedział...

- Nie - odparł Jamie. To była ostatnia rzecz, jakiej by pragnął. - Mniejsza o to. To wszystko, Davidzie.

- Tak, sir. - Chłopiec wyszedł z biura.

„Do diabła z tą kobietą! Kiedy wróci, spotka ją mila niespodzianka. Dostanie z powrotem swojego dzieciaka”.

Tego wieczoru Jamie samotnie zjadł w swoim domu kolację. Popijał potem brandy w



gabinecie, gdy weszła pani Talley, aby omówić sprawy domowe. W połowie zdania przerwała, wyteńczyła słuch i powiedziała:

- Przepraszam, panie McGregor. Słyszę płacz Jamiego. - Wyszła pospiesznie z pokoju.

Jamie odstawił z trzaskiem kieliszek, wylewając brandy. „Cholerny bachor! I Margaret miała czelność nazwać go Jamiem. Nie jest wcale podobny do mnie. Nie jest podobny do nikogo”.

Pani Talley wróciła po dziesięciu minutach. Spojrzała na rozlaną brandy.

- Czy nalać panu nowego drinka? - zapytała.

- To nie jest konieczne - odparł chłodno Jamie. - Konieczne jest tylko to, aby pani pamiętała, dla kogo pracuje. Nie pozwolę, aby jakiś bękart mi przerywał. Czy jasno się wyraziłem, pani Talley?

- Tak, sir.

- Im szybciej to niemowlę, które przyniosła pani do tego domu, zniknie z niego, tym lepiej będzie dla nas obojga. Czy zrozumiała pani?

- Tak, sir - odpowiedziała zaciskając usta. - Czy coś jeszcze?

- Nie.

Odwróciła się, by wyjść.

- Pani Talley...

- Tak, panie McGregor?

- Powiedziała pani, że ono płacze. Czy nie jest chore?

- Nie, sir. Było mokre. Musiałam je tylko przewinąć.

Uznał to wytłumaczenie za oburzające.

- To wszystko.

Jamie wpadłby w szal, gdyby dowiedział się, że jego służący godzinami rozmawiają o nim i jego synu. Wszyscy zgadzali się co do tego, że ich pan postępuje bezsensownie, ale napomknięcie mu o tym oznaczałoby natychmiastowe zwolnienie. Jamie McGregor nie należał do ludzi, którzy chętnie słuchają czyichś rad.

Następnego wieczoru Jamie miał spotkanie służbowe. Zainwestował w nową linię kolejową. Była to mała linia, biegnąca od kopalń na pustyni Namib do De Aar, łącząca się z linią Kapsztad-Kimberley, ale dzięki niej przewożenie diamentów i złota do portu stało się tańsze. Pierwsza południowoafrykańska linia kolejowa została otwarta w 1860 roku i łączyła Dunbar z Przylądkiem. Od tego czasu budowano coraz to nowe linie łączące Kapsztad z Wellington. Koleje stawały się żelaznymi żyłami, umożliwiającymi swobodny przepływ

towarów i ludzi przez serce Afryki Południowej. Jamie chciał w tym brać udział. To był zaledwie początek jego planu. „A potem - myślał - statki. Moje własne statki przewożące minerały przez ocean”.

Do domu wrócił po północy, rozebrał się i położył do łóżka. Miał ogromną sypialnię, urządzonej przez dekoratora według wzoru londyńskiego, z olbrzymim rzeźbionym w Kapsztadzie łóżkiem. W jednym rogu stała stara hiszpańska komoda i dwie wielkie szafy z ponad pięćdziesięcioma garniturami i trzydziestoma parami butów. Jamie nie przywiązywał większej wagi do ubioru, ale szafy musiały być pełne. Zbyt wiele dni i nocy spędził w łachmanach.

Właśnie zapadał w sen, gdy wydało mu się, że usłyszał płacz. Usiadł na łóżku i nadstawił uszu. Cisza. Czy był to płacz dziecka? Mogło wypaść z kołyski. Wiedział, że pani Talley ma twardy sen. To byłoby okropne, gdyby coś mu się tu stało. Odpowiedzialność mogłaby wtedy spaść na niego. „Do diabła z tą kobietą!” - pomyślał Jamie.

Szybko włożył na siebie szlafrok i pantofle. Przeszedł przez całe mieszkanie do pokoju pani Talley. Stanął przed drzwiami i znów natężył słuch. Tym razem usłyszał jakieś świszczące, charkotliwe dźwięki. Po cichu uchylił drzwi. Pani Talley, opatulona kocami, chrapała mocno. Podszedł do kołyski. Dziecko leżało na plecach z szeroko otwartymi oczami. Pochylił się nad nim. „Ono jest podobne, na Boga!” Bez wątpienia ma te same usta i ten sam podbródek. Jego oczy są jeszcze niebieskie, ale wszystkie dzieci rodzą się z niebieskimi oczami. Jamie patrząc na nie mógł przysiąc, że będzie miało szare oczy. Niemowlę zatrzepotało swymi małymi rączkami i wydało jakieś dziwne dźwięki, będące załączkiem mowy artykułowanej, a potem uśmiechnęło się do niego. „No, no - pomyślał Jamie. - Oto prawdziwy chwyt. Leży sobie tutaj, nie robiąc żadnego hałasu, nie wrzeszcząc, jak by to robiły inne dzieci na jego miejscu”. Spojrzał jeszcze raz badawczo. „Tak, to jest McGregor, nic mu nie brakuje.” Jakby chcąc się o tym przekonać, Jamie wyciągnął palec. Niemowlę chwyciło go obiema rączkami i mocno je zacisnęło. „Jest silny jak byk” - pomyślał Jamie. W tym momencie twarz niemowlęcia przybrała dziwny wyraz i Jamie poczuł kwaśny zapach.

- Pani Talley!

- Co to... co się stało? - Pani Talley poderwała się przerażona.

- Dziecko potrzebuje opieki. Czy ja mam tu wszystko przy nim robić? - I Jamie dumnym krokiem wyszedł z pokoju.

Davidzie, czy znasz się trochę na dzieciach?

- W jakim sensie, sir? - spytał David Blackwell.

- Hm, no wiesz. Czym lubią się bawić i tak dalej.

- Sądzę - odpowiedział młody Amerykanin - że kiedy są jeszcze bardzo małe, lubią bawić się grzechotkami, panie McGregor.

- Kup z tuzin - polecił Jamie.

- Tak, sir.

Żadnych zbędnych pytań. Jamie to lubił. David Blackwell zajdzie daleko.

Tego wieczoru, gdy Jamie wrócił do domu z małą brązową paczką, pani Talley powiedziała:

- Chciałabym przeprosić, panie McGregor, za dzisiejszą noc. Nie wiem, jak mogłam tak zasnąć. Dziecko musiało strasznie krzyczeć, skoro usłyszał je pan aż w swoim pokoju.

- Nic się nie stało - odparł wspaniałomyślnie Jamie. - Ważne, że chociaż jedno z nas usłyszało. - Podał jej paczkę. - Niech pani mu to da. Trochę grzechotek do zabawy. Nie jest to chyba dla niego zbyt zabawne być przez cały czas więzionym w tej kołysce.

- Ależ on nie jest więziony. Wynoszę go.

- Gdzie go pani wynosi?

- Tylko do ogrodu. Nie spuszczam go wtedy z oka.

Jamie zmarszczył brwi.

- Nie wyglądał mi on najlepiej tej nocy.

- Naprawdę?

- Tak. Wydał mi się bardzo blady. Byłoby niedobrze, gdyby zachorował przed powrotem matki. Być może powinienem jeszcze raz spojrzeć na niego.

- Tak, sir. Czy mam go tu przynieść?

- Niech pani to zrobi, pani Talley.

- W tej chwili, panie McGregor.

Kilka minut później pani Talley wróciła z małym Jamiem na rękach. Dziecko ścisnęło w rączkach niebieską grzechotkę.

- Nie wydaje mi się blady - powiedziała.

- Hm - odrzekł Jamie. - Widocznie mi się zdawało. Niech mi go pani da na chwilę.

Ostrożnie podała dziecko Jamiemu. Po raz pierwszy wziął swego syna na rękę. Uczucie, jakie go ogarnęło, było zadziwiające. Poczul się tak, jakby długo czekał na tę chwilę, jakby żył dla niej, nawet nie wiedząc o tym.

To małe zawiniątko, które trzymał na rękach, było jego synem, Jamiem McGregorem, krwią z krwi jego. Jaki sens miałyby tworzenie imperium, dynastii; posiadanie diamentów,

złota i kolei, gdyby nie było nikogo, komu można by to wszystko przekazać? Jakim cholernym byłem głupcem!” - pomyślał. Do tej pory nie uświadamiał sobie, czego mu brakuje. Był nazbyt zaślepiony nienawiścią. Patrząc teraz na tę małą twarzyczkę poczuł coś zdumiewającego: obojętność i niechęć nagle minęły!

- Niech pani przeniesie kołyskę Jamiego do mojej sypialni, pani Talley.

Trzy dni później, kiedy Margaret zjawiała się przed drzwiami frontowymi domu Jamiego, pani Talley powiedziała:

- Pan McGregor jest teraz w biurze, ale prosił, aby posłać po niego, gdy przyjdzie pani po dziecko. Chciałby z panią porozmawiać.

Margaret czekała na niego w pokoju mieszkalnym, trzymając małego Jamiego na rękach. Ogromnie stęskniła się za nim. Kilka razy podczas minionego tygodnia była bliska zarzucenia swego planu; kilka razy chciała pędzić z powrotem do Klipdrift, bojąc się, że coś mogło się przytrafić dziecku, że mogło zachorować lub mieć wypadek. Ale zmusiła się do pozostania i jej plan się powiódł! Jamie chciał z nią porozmawiać! Wszystko zaczynało się więc cudownie układać. Będą teraz razem, we troje.

Gdy Jamie wszedł do pokoju, Margaret poczuła ów dobrze sobie znany przyływ uczuć. „Och, Boże - pomyślała. - Tak bardzo go kocham”.

- Dzień dobry, Maggie.

- Dzień dobry, Jamie. - Uśmiechnęła się do niego ciepło i radośnie.

- Chcę mego syna.

Serce Margaret zabiło z radości.

- Oczywiście, że chcesz swego syna, Jamie. Nigdy w to nie wątpiłam.

- Będę dbał o niego. Będzie miał wszystko, co trzeba, i naturalnie dopilnuję, abyś i ty nie była pokrzywdzona.

Margaret spojrzała na niego zmieszana.

- Ja... Ja nie rozumiem.

- Powiedziałem, że chcę mego syna.

- Myślałam... że... ty i ja...

- Nie. Chcę tylko chłopca.

Margaret ogarnęło nagłe oburzenie.

- Rozumiem. Ale nie pozwolę ci go sobie zabrać.

Jamie spojrzał na nią uważnie.

- No dobrze. Pójdźmy więc na kompromis. Możesz tu pozostać z Jamiem. Możesz być

jego... guwernantką. - Dostrzegł grymas na jej twarzy. - Czego więc chcesz?

- Chcę, aby mój syn miał nazwisko - powiedziała gniewnie. - Nazwisko swego ojca.

- W porządku. Zaadoptuję go. Margaret spojrzała na niego z pogardą.

- Zaadoptować moje dziecko? O nie. Nie oddam ci mojego syna. Żal mi ciebie, Wielki Jamie McGregor. Mimo tych wszystkich pieniędzy i całej tej władzy nie masz nic. Jesteś żaloszny.

Jamie stał nieruchomo patrząc, jak Margaret odwraca się i wychodzi z domu, trzymając jego syna na rękach.

Nazajutrz Margaret rozpoczęła przygotowania do podróży do Ameryki.

Ucieczka niczego nie rozwiąże - próbowała ją przekonywać pani Owens.

- Wcale nie uciekam - odparła Margaret. - Po prostu jadę gdzieś, gdzie ja i moje dziecko będziemy mogli zacząć nowe życie.

Nie mogła już znieść dłużej ponizenia, na jakie narażał ich Jamie McGregor.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Najszybciej, jak tylko można. Pojedziemy dyliżansem do Worcester, a stamtąd pociągiem do Kapsztadu. Zaoszczędziłam wystarczająco dużo, by opłacić podróż do Nowego Jorku.

- To daleka podróż, Maggie.

- Ale warta tego. Czyż Ameryki nie nazywają Ziemią Obiecaną? Tego nam właśnie potrzeba.

Jamie zawsze szczycił się tym, że potrafi zachować spokój, nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Teraz jednak nie mógł usiedzieć w miejscu i grzmiał na każdego, kto mu się nawinął pod rękę. W jego biurze rozlegał się nieustanny wrzask. Nic go nie zadowalało. Ryczał z wściekłości i narzekał na wszystko, nie mogąc się opanować. Nie spał trzy noce z rzędu i wciąż myślał o rozmowie z Margaret. „Szlag by trafił tę kobietę”. Powinien był przewidzieć, że będzie chciała wplątać go w małżeństwo. Jest tak samo podstępna jak jej ojciec. Trochę źle poprowadził negocjacje. Powiedział, że zatroszczy się o nią, ale nie był konkretny. „Pieniądze, oczywiście!” Powinien był zaproponować jej jakąś okrągłą sumkę. Tysiąc funtów... Dziesięć tysięcy funtów... więcej...

- Mam dla ciebie delikatne zadanie - zwrócił się do Davida Blackwella.

- Słucham, sir.

- Chcę, abyś porozmawiał z panną van der Merwe. Powiedz, że oferuję jej

dwadzieścia tysięcy funtów. Ona będzie wiedziała, co chcę w zamian. - Jamie wypisał czek. Dawno temu przekonał się, jaką niezwykłą siłę mają pieniądze. - Zanieś jej to.

- Tak, sir - odparł David Blackwell i odszedł.

Powrócił po piętnastu minutach. Oddał swemu pracodawcy przedarty na pół czek.

Jamie poczuł, jak krew napływa mu do głowy.

- Dziękuję, Davidzie. To wszystko.

„Margaret wyciąga więc rękę po więcej pieniędzy. Świetnie. Dostanie je. Tym razem jednak on sam jej zanieś”.

Jeszcze tego dnia, późnym popołudniem, poszedł do pensjonatu pani Owens.

- Chciałbym się zobaczyć z panną van der Merwe - powiedział.

- Obawiam się, że będzie to niemożliwe - oświadczyła pani Owens. - Jest w drodze do Ameryki.

Jamie poczuł się tak, jakby go ktoś z całej siły uderzył w żołądek.

- To niemożliwe! Kiedy wyjechała?

- Ona i jej syn pojechali popołudniowym dyliżansem do Worcester.

Pociąg stojący na stacji w Worcester był przepelniony, przedziały i przejścia roily się od hałaśliwych podróżnych udających się do Kapsztadu. Byli wśród nich kupcy ze swymi żonami, komiwojażerowie, poszukiwacze, Kafrowie, żołnierze i marynarze. Margaret udało się zdobyć miejsce przy oknie, gdzie Jamiemu nie groziło, że zostanie zgnieciony przez tłum. Siedziała, mocno go przytulając, nie zwracając na nic uwagi. Myślała tylko o nowym życiu, jakie ich czeka. Nie będzie łatwe. Gdziekolwiek się uda, będzie niezamężną kobietą z dzieckiem, kamieniem obrazy dla społeczeństwa. Ale znajdzie sposób, aby synowi zapewnić godziwą przyszłość. Usłyszała głos konduktora:

- Wsiadać! Drzwi zamykać! - Podniosła wzrok i... zobaczyła Jamiego.

- Bierz rzeczy - powiedział rozkazującym tonem - i wysiadaj z pociągu.

„Nadal sądzi, że może mnie kupić” - pomyślała Margaret.

- Ile oferujesz tym razem?

Jamie spojrzał na syna, który spokojnie spał na rękach matki.

- Oferuję ci małżeństwo.

## Rozdział 9

W trzy dni później pobrali się. Ceremonia ślubna była krótka i skromna; zaproszony został jedynie David Blackwell.

Jamie miał mieszane uczucia. Był człowiekiem przywykłym do kontrolowania i sterowania innymi. Od czasu do czasu zerkał na Margaret, która stała obok niego. Wyglądała niemal pięknie. Przypomnił sobie jej namiętność i brak zahamowań, ale było to tylko wspomnienie, nic więcej; beznamiętne, bezuczuciowe wspomnienie. Wykorzystał Margaret jako narzędzie zemsty, a ona wydała na świat jego potomka.

- A teraz - mówił pastor - ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą.

Jamie pochylił się ku niej i ledwie musnął ustami jej policzek.

- Jedźmy do domu - szepnął. Spieszyło mu się. Jego syn czekał na niego.

Po powrocie Jamie zaprowadził Margaret do sypialni mieszczącej się w jednym ze skrzydeł domu.

- To jest twoja sypialnia - oznajmił jej.

- Rozumiem.

- Zatrudnię jeszcze jedną gospodynię, a pani Talley powierzę obowiązek opieki nad Jamiem. Gdybyś czegoś potrzebowała, możesz zwrócić się do Davida Blackwella.

Margaret poczuła się tak, jakby wymierzył jej policzek. Traktował ją gorzej niż służącą. Ale to nie miało znaczenia. „Mój syn ma nazwisko. To mi wystarczy”.

Jamie nie wrócił do domu na kolację. Margaret czekała na niego i w końcu sama zasiadła do stołu. Tej nocy leżała w łóżku i czuwała. Dopiero o czwartej nad ranem zmógł ją sen, a ostatnią jej myślą było, którą kobietę od Madam Agnes wybrał Jamie.

O ile stosunki z Jamiem nie ulegały zmianie, to jej stosunki z mieszkańcami Klipdrift przeszły niezwykłą metamorfozę. Z dnia na dzień z kobiety upadłej stała się autorytetem moralnym. Byt większości mieszkańców Klipdrift był, w ten czy inny sposób, związany z firmą Kruger-Brent i jej właścicielem. I ludzie uznali, że skoro Margaret van der Merwe jest odpowiednia dla McGregora, to należy ją poważać. Teraz, kiedy zabierała małego Jamiego na spacer, witały ją uśmiechy i radosne pozdrowienia. Posypały się zaproszenia. Zapraszano ją na herbatki, imprezy dobroczynne. Usilnie nakłaniano ją, by została przewodniczącą komitetów obywatelskich. Kiedy zmieniała fryzurę, mnóstwo kobiet natychmiast robiło to

samo. Kupiła sobie nową żółtą sukienkę i żółte sukienki stały się nagle modne. Margaret reagowała na to płaszczenie się w ten sam sposób, w jaki reagowała kiedyś na wrogość - z niezmienną godnością.

Jamie zjawiał się w domu tylko po to, aby pobawić się z synem. Jego stosunek do Margaret pozostał nie zmieniony: nadal traktował ją uprzejmie i z dystansem. Co dzień rano przy śniadaniu, mimo chłodnej obojętności mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stołu, odgrywała wobec służby rolę szczęśliwej żony. Ale kiedy Jamie wychodził, uciekała do swego pokoju i występowały na nią siódme poty. Nienawidziła siebie. Gdzie podziała się jej duma? Margaret wiedziała, że nadal kocha Jamiego. „Zawsze go kochałam - myślała. - Boże, dopomóż mi”.

Jamie wyjechał na trzy dni w interesach do Kapsztadu. Gdy wyszedł z hotelu „Royal”, jakiś czarnoskóry woźnica w liberii zapytał:

- Życzy pan sobie powóz, sir?

- Nie - odparł Jamie. - Pójdę pieszo.

- Banda sądził, że może będzie pan chciał jechać.

Jamie zatrzymał się i zmierzył woźnicę wzrokiem.

- Banda?

- Tak, panie McGregor.

Jamie wsiadł do powozu. Woźnica strzelił z bata i ruszyli w drogę. Jamie oparł się wygodnie. Myślał o Bandzie, jego odwadze, przyjaźni. Przez ostatnie dwa lata wiele razy usiłował go odszukać, ale bezskutecznie. A teraz jechał na spotkanie ze swoim przyjacielem.

Woźnica skierował powóz w stronę doków i Jamie natychmiast domyślił się, dokąd jadą. Piętnaście minut później powóz zatrzymał się przed opuszczonym magazynem, w którym Jamie i Banda planowali kiedyś swoją eskapadę na pustynię Namib. „Jakimi lekkomyślnymi głupcami byliśmy wtedy” - pomyślał Jamie. Wysiadł z powozu i wszedł do magazynu. Banda już czekał na niego. Wyglądał tak samo jak kiedyś, z jednym małym wyjątkiem: miał na sobie gustowny surdut, koszulę i krawat.

Przez chwilę stali bez ruchu, szczerząc do siebie zęby, a potem padli sobie w objęcia.

- Świetnie wyglądasz - powiedział Jamie.

Banda skinął głową.

- Nie narzekam. Kupiłem tę farmę, o której mówiliśmy. Mam żonę i dwóch synów. Hoduję pszenicę i strusie.



- Strusie?

- Ich pióra przynoszą niezły dochód.

- Ach, tak. Chciałbym poznać twoją rodzinę, Banda.

Jamie pomyślał o swoich bliskich w Szkocji i o tym, jak bardzo stęsknił się za nimi. Od czterech lat przebywał już z dała od rodzinnego domu.

- Próbowałem cię odnaleźć.

- Byłem zajęty, Jamie. - Banda zniżył głos. - Musiałem się z tobą spotkać, żeby cię ostrzec. Czekają cię kłopoty.

Jamie spojrzał na niego uważnie.

- Jakiego rodzaju kłopoty?

- Człowiek, który jest nadzorcą pola na pustyni Namib, Hans Zimmerman, to skończony drań. Robotnicy go nienawidzą. Mówią o odejściu. Jeśli będą chcieli to zrobić, strażnicy będą próbowali ich powstrzymać i dojdzie do rozruchów. - Jamie przez cały czas patrzył uważnie na Bandę. - Pamiętasz, jak wspominałem ci kiedyś o Johnie Tengo Javabu?

- Tak. Jest przywódcą politycznym. Czytałem o nim. Przygotowuje *donderstorm*.

- Jestem jednym z jego zwolenników.

- Rozumiem. - Jamie skinął głową. - Zrobię to, co należy zrobić.

- To dobrze. Stałeś się mocnym człowiekiem, Jamie. Cieszę się.

- Dzięki, Banda.

- I masz wspaniałego syna.

- Skąd ty to wiesz? - Jamie nie potrafił ukryć zdziwienia.

- Lubię mieć oko na moich przyjaciół - odparł Banda. - No, to na mnie już czas - dodał. - Mam jeszcze ważne spotkanie, Jamie. Powiem, że te sprawy z Namib zostaną załatwione.

- Tak. Zajmę się tym. - Jamie podszedł wraz z potężnym czarnoskórym mężczyzną do drzwi. - Kiedy znów się spotkamy?

Banda uśmiechnął się.

- Będę się kręcił w pobliżu. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

I Banda zniknął.

Zaraz po powrocie do Klipdrift Jamie wezwał do siebie młodego Davida Blackwella.

- Davidzie, czy słyszałeś o jakichś niepokojach na polu Namib?

- Nie, panie McGregor. - David zawahał się. - Ale słyszałem pogłoski, że może dojść do nich.

- Nadzorcą jest tam Hans Zimmerman. Dowiedz się, czy ten człowiek nie znęca się nad robotnikami. Jeśli tak, zabroń mu tego. Chcę, abys osobiście tam się udał.

- Tak, sir. Wyjadę rano.

Po przybyciu na pole diamentowe na pustyni Namib - David najpierw przez dwie godziny rozmawiał na osobności ze strażnikami i robotnikami. To, co usłyszał, wywołało jego oburzenie. Dowiedziawszy się już wszystkiego, co chciał wiedzieć, udał się do Zimmermana.

Hans Zimmerman przypominał Goliata. Ważył trzysta funtów i mierzył sześć stóp i sześć cali. Miał zlaną potem twarz, przypominającą świński ryj, przekrwione oczka i był najbardziej odrażającą postacią, jaką Davidowi Blackwellowi zdarzyło się spotkać. Był również jednym z najbardziej sprawnych nadzorców zatrudnionych przez firmę Kruger-Brent. Siedział właśnie w swym niewielkim biurze, gdy wszedł David.

Na widok Davida Zimmerman podniósł się i uścisnął mu dłoń.

- Miło mi pana widzieć, panie Blackwell - powiedział. - Powinien był mnie pan uprzedzić o swojej wizycie.

David był pewien, że wiadomość o jego przyjeździe dotarła już do nadzorcy.

- Whisky?

- Nie, dziękuję.

- Czym mogę panu służyć? - Zimmerman pochylił się do tyłu na krześle i wyszczerzył zęby. - Czy nie wykopujemy dostatecznie dużo diamentów, by zadowolić szefa? - Obaj mężczyźni wiedzieli, że wydobywanie diamentów na polu Namib idzie wspaniale. - Potrafię - chętnie się Zimmerman - wykrzesać z moich Kafrów więcej energii niż ktokolwiek w tym przedsiębiorstwie.

- Dochodzą nas skargi na panujące tu warunki...

- Jakie skargi? - Uśmiech znikł z twarzy nadzorcy.

- Że ludzie traktowani są tu podle i...

Zimmerman zerwał się z krzesła i z zadziwiającą zwinnością zaczął krążyć po niewielkim pomieszczeniu. Twarz miał czerwoną z wściekłości.

- To nie są ludzie. To Kafrowie. Wy, ludzie, grzejecie sobie tyłki w swoim biurze i...

- Posłuchaj mnie pan - powiedział ostro David. - Nie...

- To pan mnie posłuchaj! Wydobywam więcej pieprzonych diamentów niż ktokolwiek w tym przedsiębiorstwie. A wiesz pan dlaczego? Ponieważ wlewam bojaźń bożą w tych sukinsynów.

- W innych naszych kopalniach płacimy pięćdziesiąt dziewięć szylingów miesięcznie i

zapewniamy utrzymanie. Tutaj płaci się robotnikom tylko pięćdziesiąt szylingów miesięcznie.

- Skarżycie się, że zrobiłem dla was lepszy interes? Jedyne, co się liczy, to zysk.

- Jamie McGregor nie zgadza się z tym - odparł David. - Należy podnieść im płace.

- W porządku - rzekł ponuro Zimmerman. - W końcu to pieniądze szefa.

- Słyszałem, że często stosuje się tu kary chłosty.

- Chryste Panie - zachnął się Zimmerman. - Nie sposób zranić tubylców, proszę pana.

Ich skóra jest tak gruba, że nawet nie czują tego cholernego bicia. On ich tylko zastrasza.

- W takim razie zastraszył pan trzech robotników na śmierć, panie Zimmerman.

Nadzorca wzruszył ramionami.

- Tam, skąd przyszli, ginie ich znacznie więcej.

„Cholerne bydłę - pomyślał David. - I niebezpieczne”. Podniósł wzrok na olbrzymiego mężczyznę.

- Jeśli będą tu jeszcze jakieś niepokoje, zostanie pan usunięty. - David wstał. - Należy natychmiast skończyć z karami. Wizytowałem kwatery; wyglądają jak chlewy. Niech pan z tym zrobi porządek.

Hans Zimmerman przeszył go wzrokiem pełnym nienawiści, z trudem tłumiąc w sobie wzburzenie.

- Czy coś jeszcze? - udało mu się w końcu powiedzieć.

- Tak - odparł David Blackwell. - Wrócę tu za trzy miesiące jeśli nie spodoba mi się to, co zobaczę, będzie pan musiał poszukać sobie pracy gdzie indziej. Życzę miłego dnia. - David odwrócił się i wyszedł.

Hans Zimmerman stał przez długi czas bez ruchu, kipiąc z wściekłości. „Głupcy - myślał. - *Uitlanderzy*”. Zimmerman był Burem i jego ojciec był Burem. Ziemia ta należała do nich i Bóg powołał na nią czarnych, by im służyli. Gdyby Bóg chciał, aby traktowano ich jak istoty ludzkie, nie uczyniłby ich skóry czarną. Jamie McGregor nie rozumie tego. Ale czego można się spodziewać po *uitlanderze* rozmiłowanym w tubylcach? W przyszłości musi być nieco ostrożniejszy, ale i tak pokaże, kto tu jest panem.

Firma Kruger-Brent rozrastała się i Jamie często przebywał teraz z dala od domu. W Kanadzie zakupił fabrykę papieru, a w Australii stocznnię. Kiedy był w domu, cały czas poświęcał synowi, który z każdym dniem stawał się coraz bardziej podobny do niego. Jamie uwielbiał chłopca. Chciał go zabierać w swoje dalekie podróże, ale Margaret sprzeciwiała się temu.

- Jest jeszcze zbyt mały, aby podróżować. Kiedy podrośnie, będzie mógł z tobą

jeździć. Na razie możesz widywać go tylko tutaj.

Ani się obejrzał, jak jego syn skończył rok, potem drugi. Nie mógł się nadziwić, jak szybko ten czas przeleciał. Był 1887 rok.

Dla Margaret minione dwa lata były jedynie pasmem udręki. Raz na tydzień Jamie zapraszał gości i łaskawie pozwalał jej pełnić honory pani domu. Inni mężczyźni uważali ją za naprawdę dowcipną, inteligentną kobietę, ale oczywiście nigdy nie odważali się posunąć zbyt daleko, ponieważ była żoną Jamiego McGregora.

Po wyjściu ostatnich gości Margaret zapytywała Jamiego, jak się bawił, a on niezmiennie odpowiadał: „Świetnie. Dobranoc” i odchodził, by spojrzeć na syna. Kilka minut później słyszała, jak zamyka za sobą drzwi wejściowe.

Co noc, leżąc w łóżku, Margaret McGregor myślała o swoim życiu. Wiedziała, jak bardzo jej zazdroszą miejscowe kobiety, i to sprawiało jej przykrość, ponieważ sytuacja, w jakiej się znajdowała, nie była wcale godna pozazdroszczenia. Żyła z mężem w jakimś okropnym labiryncie, z mężem, który traktował ją gorzej niż obcego. Gdyby tylko zwrócił na nią uwagę! Zastanawiała się raz, co by zrobił, gdyby któregoś ranka, przy śniadaniu, podniosła miskę owsianki, sprowadzanej dla niego specjalnie ze Szkocji, i rozbiła na tej jego tępej głowie. Ta myśl tak ją rozbawiła, że zaczęła chichotać, ale śmiech szybko przerodził się w głęboki, spazmatyczny płacz. „Nie chcę go dłużej kochać. Nie będę. Muszę w jakiś sposób przestać, zanim stanę się wrakiem”.

Rozwój Klipdrift do 1890 roku przeszedł najśmielsze oczekiwania Jamiego. W ciągu siedmiu lat, jakie tu spędził, Klipdrift stało się prawdziwym miastem, wspaniale prosperującym dzięki poszukiwaczom, którzy ściągali tu z różnych stron świata. Historia się powtarzała. Przyjeżdżali do Klipdrift dyliżansami i wozami, przybywali też pieszo. Nie mieli niczego, z wyjątkiem łachmanów. Potrzebowali jedzenia, narzędzi, dachu nad głową i zaliczki. Jamie McGregor był tym, który im to wszystko zapewniał. Miał udziały w bardzo wielu kopalniach złota i diamentów. Zdobywał coraz szerszy rozgłos. Pewnego ranka złożył mu wizytę radca prawny De Beers, ogromnego konglomeratu, zarządzającego olbrzymimi kopalniami diamentów w Kimberley.

- Czym mogę służyć? - spytał Jamie.

- Przysłano mnie, abym złożył panu ofertę, panie McGregor. De Beers chciałby wykupić pańskie akcje. Niech pan poda cenę.

Była to decydująca chwila. Jamie wyszczerzył zęby i powiedział:

- To wy podajcie swoją.

David Blackwell stawał się coraz bardziej niezbędny Jamiemu. W tym młodym Amerykaninie McGregor widział siebie, jakim był kiedyś. Chłopiec był uczciwy, inteligentny i lojalny. Jamie uczynił go swoim sekretarzem, potem osobistym asystentem, a kiedy młodzieniec skończył dwadzieścia jeden lat - dyrektorem generalnym. Dla Davida zaś McGregor był drugim ojcem. Kiedy jego własny ojciec miał atak serca, to właśnie Jamie załatwił szpital i opłacił lekarzy, a kiedy umarł, Jamie zajął się pogrzebem. W ciągu pięciu lat pracy w firmie Kruger-Brent podziw Davida dla McGregora rósł nieustannie. Uważał go za najwspanialszego z ludzi, jakich dane mu było poznać. Wiedział o konflikcie między Jamiem a Margaret i głęboko nad tym ubolewał, ponieważ lubił ich oboje. „Ale to nie moja sprawa - mówił sobie. - Do mnie należy pomagać Jamiemu ze wszystkich sił”.

Jamie coraz więcej czasu spędzał z synem. Chłopiec miał teraz pięć lat i po raz pierwszy ojciec pokazał mu kopalnie. Mały Jamie o niczym innym potem nie mówił przez cały tydzień. Wybierali się też na długie wycieczki i nocowali pod gołym niebem. Jamie był przyzwyczajony do niebios Szkocji, gdzie gwiazdy znały swoje właściwe miejsce na firmamencie. Tutaj, w Afryce Południowej, konstelacje były zdumiewające. W styczniu Canopus świeciła jasno w górze, podczas gdy w maju najbliżej zenitu był Krzyż Południa. W czerwcu, porze zimowej w Afryce Południowej, chwałą niebios był Skorpion. To było naprawdę zadziwiające. Leżąc z synem u swego boku na rozgrzanej ziemi, patrząc na bezkresne niebo i myśląc, że są częścią tego samego wszechświata, Jamie doznawał jakiegoś szczególnego uczucia.

Wstawali o świcie, aby polować na kuropatwy, perliczki, antylopy reedback i oribi. Chłopczyk miał własnego kucyka. Ojciec i syn jeździli konno po veldzie, uważając na sześciostopowe doły, wykopane przez mrówkojady, dostatecznie głębokie, by pochłonąć konia wraz z jeźdźcem.

Veld krył w sobie wiele niebezpieczeństw. Podczas jednej z wypraw Jamie i jego syn rozbili namiot nad brzegiem rzeki i omal nie zostali stratowani przez stado wędrownych gazeli. Pierwszym sygnałem zbliżającego się niebezpieczeństwa była ledwie widoczna chmura kurzu na horyzoncie. Najpierw przebiegły zające i szakale, a potem z zarośli wypełzły wielkie węże w poszukiwaniu głazów, pod którymi mogłyby się ukryć. Jamie raz jeszcze spojrzął na horyzont. Chmura kurzu znacznie się zbliżyła.

- Jedźmy stąd - powiedział.

- A nasz namiot...?

- Zostaw go!

Szybko dosiedli koni i skierowali się na szczyt wysokiego wzgórza. Usłyszeli dudnienie kopyt, a potem ujrzeni pierwsze gazyłe pędzące w jednej linii, mającej co najmniej trzy mile długości. Było ich więcej niż pół miliona. Tratowały wszystko po drodze, rozrywały drzewa, ścierały na proch krzewy. Ten rozszalały żywioł pochłaniał setki małych zwierząt; zające, węże, szakale i perliczki ginęły, bezlitośnie miażdżone śmiercionośnymi kopytami. Kurz i huk wypełniały powietrze, a kiedy wreszcie skończyła się ta nawałnica, Jamie ocenił, że trwała dłużej niż trzy godziny.

W dniu szóstych urodzin Jamiego ojciec powiedział do niego:

- W przyszłym tygodniu zabieram cię do Kapsztadu, żebyś zobaczył, jak wygląda prawdziwe miasto.

- Czy możemy zabrać ze sobą mamę? - spytał Jamie. - Ona nie lubi polowań, ale lubi miasto.

Jamie poklepał syna po plecach.

- Ona ma tu dużo pracy, synu. Pojedziemy tylko we dwóch, co? Chłopiec był zaniepokojony faktem, że ojciec i matka zdają się żyć z dala od siebie, ale jeszcze tego nie rozumiał.

Podróż odbyli pociągiem, w prywatnym wagonie Jamiego. Do 1889 roku koleje stały się głównym środkiem transportu w Afryce Południowej. Pociągi były niedrogie, wygodne i szybkie. Ów prywatny wagon, który Jamie polecił zbudować dla siebie, miał siedemdziesiąt jeden stóp długości, cztery ozdobione kasetonami komfortowe przedziały, mogące pomieścić w sumie dwanaście osób, salon, który mógł również służyć za biuro, a także jadalnię, bar i w pełni wyposażoną kuchnię. W luksusowo urządzonych przedziałach znajdowały się mosiężne łóżka, lampy gazowe i szerokie, obramowane okna.

- A gdzie są inni pasażerowie? - spytał chłopiec.

Jamie roześmiał się.

- My jesteśmy tu jedynymi pasażerami. To twój wagon, synu.

Przez większą część podróży mały Jamie wyglądał przez okno, podziwiając niezmierny obszar ziemi uciekający za nimi.

- To ziemia Boga - powiedział mu ojciec. - On napelnił ją dla nas drogocennymi minerałami. Są w niej wszędzie, czekają na odkrycie. To, co znaleziono do tej pory, to zaledwie początek, Jamie.

Gdy przyjechali do Kapsztadu, małego Jamiego ogarnął lęk na widok tłumów i ogromnych budynków. Jamie zabrał syna do Przedsiębiorstwa Żeglugowego McGregor i wskazał ręką na sześć statków załadowywanych i rozładowywanych w porcie.

- Widzisz je? Należą do nas.

Kiedy wrócili do Klipdrift, mały Jamie nie mógł ochłonąć z nadmiaru wrażeń.

- Tatuś posiada całe miasto! - wołał chłopiec już od progu. - Spodobałoby ci się tam, mamo. Następnym razem pojedziesz z nami.

Margaret mocno przycisnęła syna do siebie.

- Tak, skarbie - odparła.

Większość nocy Jamie spędzał poza domem i Margaret wiedziała, że przebywa wtedy u Madam Agnes. Słyszała, że dla jednej z kobiet zakupił dom, by móc ją prywatnie odwiedzać. Nie miała jednak możliwości sprawdzenia tego. Wiedziała tylko, że kimkolwiek jest ta kobieta, mogłaby ją zabić.

Aby odzyskać równowagę wewnętrzną, Margaret zmuszała się do prowadzenia działalności społecznej. Zbierała fundusze na budowę nowego kościoła i podjęła akcję na rzecz pomocy rodzinom poszukiwaczy, które znalazły się w skrajnej nędzy. Domagała się, aby Jamie przeznaczył jeden ze swoich prywatnych wagonów do bezpłatnego przewozu poszukiwaczy, którzy stracili pieniądze i nadzieję.

- Kobieto - warknął Jamie - czy prosisz mnie, abym lekkomyślnie pozbył się ciężko zarobionych pieniędzy? Niech wracają w taki sam sposób, w jaki przyszli.

- Nie mają siły, by iść - przekonywała go Margaret. - A jeśli zostaną, miasto będzie musiało ponieść koszty ich utrzymania.

- Niech będzie - mruknął w końcu Jamie. - Ale jest to cholernie głupi pomysł.

- Dziękuję, Jamie.

Patrzył, jak Margaret wychodzi z biura, i mimo wszystko był z niej dumny. „Dla kogoś innego - pomyślał - mogłaby być wspaniałą żoną”.

Kobietą, dla której Jamie nabył mieszkanie, była Maggie, owa ładna prostytutka, która siedziała obok Margaret na pamiętnym obiedzie u Madam Agnes. „Jak na ironię - myślał Jamie - ma to samo imię co moja żona”. Nie były jednak w niczym podobne do siebie. Ta Maggie była dwudziestojednoletnią blondynką o wyzywającym wyrazie twarzy i bujnych kształtach - prawdziwą tygrysią w łóżku. Jamie dobrze zapłacił Madam Agnes, aby

pozwoiliła mu zabrać tę dziewczynę, i wydzielił Maggie szcudrą pensyjkę. Był bardzo ostrożny, gdy odwiedzał niewielki dom. Prawie zawsze czynił to pod osłoną nocy, kiedy miał pewność, że nikt tego nie widzi. W istocie obserwoowało go wielu ludzi, ale nikt nie ośmielał się nigdy zrobić choćby najmniejszej uwagi na ten temat. To miasto należało do Jamiego McGregora i miał w nim prawo robić wszystko, co mu się podoba.

Tego szczegóelnego wieczoru Jamie nie zaznał radości. Poszedł do kochanki spodziewając się, że spędzi z nią rozkoszne chwile, ale Maggie była akurat w podłym nastroju. Leżała swobodnie na wielkim łóżku, ubrana w różowy szlafrok, który nie całkiem zakrywał jej pełne piersi i jedwabisty, złotawy trójkąt między udami.

- Duszę się tu - powiedziała - zamknięta w tym cholernym domu. Czuję się tak, jakbym była niewolnicą lub czymś w tym rodzaju! U Madam Agnes zawsze przynajmniej coś się działo. Dlaczego nigdy mnie nigdzie nie zabierzesz ze sobą?

- Wyjaśniałem ci to już, Maggie. Nie mogę...

Zerwała się z łóżka i stanęła przed nim prowokująco w rozchylonym szeroko szlafroku.

- Gównu prawda! Swego syna zabierasz wszędzie. Czy jestem gorsza od niego?

- Tak - odparł Jamie głosem dziwnie spokojnym. - Jesteś. - Podszedł do barku i nalał sobie brandy. Była to już czwarta z kolei, o wiele większa dawka niż zazwyczaj.

- Znaczą dla ciebie tyle co nic! - wrzasnęła Maggie. - Jestem dla ciebie tylko kawałkiem dupy. - Podniosła głowę i roześmiała się drwiąco. - Wielki, dostojny Szkoc.

- Szkot, a nie Szkoc.

- Na miłość boską, czy przestaniesz mnie w końcu pouczać? Nic, co robię, nie podoba ci się. Sądzisz, że kim ty, u licha, jesteś? Moim cholernym ojczulkiem?

Jamie miał już tego dosyć.

- Jutro możesz wracać do Madam Agnes - powiedział. - Uprzedzę ją o tym. - Wziął do ręki kapelusz i skierował się ku drzwiom, a ona za nim.

- Nie pozbędziesz się mnie w ten sposób, ty draniu!

Jamie zatrzymał się.

- Właśnie już to zrobiłem - odparł i zniknął w ciemności.

Ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że idzie chwiejnym krokiem. Kręciło mu się w głowie. Być może wypił więcej niż cztery brandy. Nie był tego pewien. Pomyślał o nagim ciele Maggie, o tym jak tego wieczoru, zaraz po jego przyjsciu, prowokacyjnie je odsłaniała; o tym jak drażniła go, by w końcu odepchnąć od siebie. Bawiła się nim, dotykając go swym miękkim językiem po całym ciele, aż naprężył się, czując gwałtowne, niepohamowane



pożądanie. I wówczas zaczęła się opierać, by wreszcie wyrwać się i pozostawić go rozpalonego i nie zaspokojonego.

Kiedy Jamie dotarł do domu, wszedł do frontowego holu i skierował kroki do swego pokoju, mijając po drodze zamknięte drzwi do sypialni Margaret. Spod drzwi sączyło się światło. Margaret jeszcze nie spała. Nagle zaczął ją sobie wyobrażać w łóżku. Pomyślał, że musi mieć na sobie cienką koszulę nocną, a być może jest bez niczego. I przypomniał sobie, jak jej bujne, pełne ciało wiło się pod nim w cieniu drzew nad rzeką Oranje. Powodowany alkoholem otworzył drzwi do sypialni Margaret i wszedł do środka.

Leżała na łóżku czytając przy świetle lampy naftowej. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jamie... Czy coś się stało?

- Czy dlatego - zabełkotał - że postanowiłem złożyć żonie wizytę?

Miała na sobie tylko lekką koszulę i Jamie mógł dojrzeć jej pełne piersi pod opiętą tkaniną. „O, Boże, ona ma wspaniałe ciało!” - pomyślał i zaczął ściągać z siebie ubranie.

Margaret zerwała się z łóżka, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

- Co ty wyprawiasz?

Jamie kopnięciem zamknął za sobą drzwi i podszedł do niej. W jednej chwili rzucił ją na łóżko i znalazł się przy niej nagi.

- O Boże, Maggie, chcę ciebie.

W swym pijackim widzie nie był pewien, jakiej Maggie pragnie. Opierała mu się, walczyła z nim. „Tak, to jego mała, drapieżna kotka!” Śmiał się, gdy wreszcie udało mu się ją ujarzmić. Nagle rozchyliła uda i zaczął w nią wchodzić, słysząc, jak jęczy z rozkoszy, jak szepcze: „Och, mój kochany, mój kochany, Jamie. Tak bardzo cię pragnę”. Pomyślał, że nie powinien być taki podły i rano jej powie, że nie musi wcale wracać do Madam Agnes.

Nazajutrz, gdy Margaret otworzyła oczy, Jamiego już nie było przy niej. Nadal czuła w sobie jego siłę, słyszała słowa: „O Boże, Maggie, chcę ciebie”, i wypełniała ją szalona, wielka radość. Cały czas miała rację. On ją kochał i kocha. Warto było czekać, warto było przejść przez te wszystkie lata bólu, samotności i poniżenia.

Pozostałą część dnia spędziła w stanie jakiegoś niezwykłego uniesienia. Wykąpała się, umyła włosy, a potem kilkanaście razy się przebierała, nie mogąc wybrać odpowiedniej sukni. Zwolniła wcześniej kucharza, chciała sama przyrządzić Jamiemu jego ulubione potrawy. Kilkanaście razy przystrajała też stół, zanim zadowolili ją świece i kwiaty. Chciała, aby ten wieczór wypadł cudownie.

Jamie nie przyszedł jednak na kolację. Nie wrócił również na noc. Margaret siedziała w bibliotece, czekając na niego aż do trzeciej nad ranem, a potem, zrezygnowana, poszła do swojej sypialni.

Wróciwszy do domu następnego wieczoru, Jamie uprzejmie skinął Margaret głową na przywitanie i udał się do pokoju syna. Margaret stała z szeroko otwartymi oczami, w zupełnym oszołomieniu, a potem powoli odwróciła się i spojrzała w lustro. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie, ale przyjrząwszy się dokładniej swemu odbiciu, nie mogła rozpoznać oczu. Były to oczy należące do kogoś innego.

## Rozdział 10

- Mam dla pani wspaniałą wiadomość, pani McGregor - promieniał doktor Teeger. -  
Będzie pani miała dziecko.

Słowa te zaszokowały Margaret. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Wspaniała wiadomość? Kolejne dziecko w nie kochającym się małżeństwie. To przerażające! Jak długo można żyć w takim poniżeniu? Musi być przecież jakieś wyjście. I właśnie w chwili, gdy zaczęła się nad tym zastanawiać, zrobiło się jej niedobrze i wystąpiły na nią siódme poty.

- Poranne nudności? - spytał doktor Teeger.

- Tak, trochę - odparła Margaret.

Podał jej kilka tabletek.

- Proszę je zażyć, a zaraz będzie lepiej. Jest pani w dobrej kondycji, pani McGregor. Nie ma żadnych powodów do obaw. A teraz niech pani biegnie do męża i podzieli się dobrą nowiną.

- Tak - odpowiedziała stłumionym głosem. - Zrobię to.

Jedli właśnie obiad, gdy powiedziała:

- Widziałam się dziś z lekarzem. Jestem w ciąży.

Jamie bez słowa rzucił na stół swoją serwetkę i wybiegł jak oszalały z jadalni. Była to jedna z tych chwil, kiedy Margaret czuła, że może go równie głęboko nienawidzić, jak kochać.

Była to skomplikowana ciąża i Margaret większość czasu spędzała w łóżku, osłabiona i wyczerpana. Leżała godzinami, wyobrażając sobie Jamiego u swoich stóp, błagającego o przebaczenie i znów kochającego ją namiętnie. Były to jednak tylko rojenia. Prawda zaś była taka, że znalazła się w potrzasku. Nie miała dokąd pójść, a nawet gdyby miała, to i tak nigdy nie pozwoliłby jej zabrać syna.

Jamie miał już siedem lat. Był ładnym chłopcem, odznaczającym się byстрыm umysłem i pogodnym usposobieniem. W ostatnim czasie zbliżył się bardziej do matki, jakby czując, że trapi ją smutek. W szkole przygotowywał dla niej drobne upominki, które przynosił do domu, a wtedy Margaret uśmiechała się, dziękowała i próbowała zapomnieć o swojej depresji. Kiedy chłopiec pytał, dlaczego ojciec całe noce spędza poza domem i nigdy jej nie zabiera ze sobą, Margaret odpowiadała:

- Twój ojciec jest bardzo ważnym człowiekiem, Jamie. Ma wiele spraw i jest bardzo

zajęty.

„To, co jest między jego ojcem a mną - myślała - to mój problem i nie dopuszczę, aby mały Jamie miał go przez to znienawidzić”.

Coraz wyraźniej widać było, że jest w ciąży. Kiedy wychodziła z domu, znajomi zatrzymywali ją i mówili:

- To już niedługo, prawda, pani McGregor? Z pewnością będzie to wspaniały chłopiec, taki jak mały Jamie. Mąż musi być bardzo szczęśliwy. - A za plecami słyszała: - Biedactwo. Jest taka wymizerowana. Musiała dowiedzieć się o tej dziwce, którą wziął sobie na kochankę...

Margaret próbowała przygotować małego Jamiego na to, że ich rodzina się powiększy.

- Będiesz miał małego braciszka lub siostrzyczkę, synku - powiedziała raz. - Nareszcie będziesz się miał z kim bawić przez cały dzień. Czy to nie wspaniale?

Jamie objął ją i odparł:

- To wspaniale, że przybędzie ci jeszcze ktoś do towarzystwa, mamo.

Margaret z trudem powstrzymała łzy ciskające się do oczu.

Bóle porodowe zaczęły się o czwartej nad ranem. Pani Talley posłała po Hannah, a dziecko przyszło na świat po południu. Była to zdrowa dziewczynka, która miała rysy matki, podbródek ojca i ciemne kręcone włoski na rumianej małej główce. Margaret dała jej na imię Kate.

„To piękne, silne imię - pomyślała. - A ona będzie potrzebowała siły. Tak jak my wszyscy. Muszę zabrać stąd dzieci. Ale jak to zrobić? Musi przecież znaleźć się jakieś wyjście”.

David Blackwell wpadł jak burza do gabinetu Jamiego McGregora. Jamie spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co, u licha...

- Na polu Namib wybuchły rozruchy!

- Co takiego? Jak to się stało? - Jamie podniósł się z krzesła.

- Jeden z czarnych chłopców został przyłapany na próbie kradzieży diamentu. Wyciął sobie otwór pod pachą i schował w nim kamień. Hans Zimmerman wychłostał go na oczach robotników. Chłopiec zmarł. Miał dwanaście lat.

Twarz Jamiego poczerwieniała z gniewu.

- Słodki Jezu! Dałem wyraźny zakaz stosowania kary chłosty we wszystkich kopalniach.

- Ostrzegalem Zimmermana.

- Pozbądź się tego drania.

- Nie możemy go znaleźć.

- Dlaczego nie możecie?

- Czarni dopadli go w swe ręce. Sytuacja wymyka się spod kontroli.

Jamie chwycił kapelusz.

- Zostań tu i zajmij się wszystkim do mego powrotu.

- Nie sądzę, panie McGregor, aby to było bezpieczne. Ten tubylec, którego zabił Zimmerman, pochodził z plemienia Barolong. Oni nie przebaczą ani nie zapominają. Może...

Ale Jamiego już nie było.

Będąc dziesięć mil od pola diamentowego, Jamie zobaczył dym. Wszystkie chaty na Namib płonęły. „Cholerni głupcy! - pomyślał. - Pałają własne domy”. Gdy podjechał bliżej, usłyszał odgłos wystrzałów i krzyki. W piekielnym zamęciu uzbrojeni konstable strzelali do czarnych i kolorowych, którzy rozpaczliwie próbowali uciekać. Biali mieli dziesięciokrotną przewagę liczebną, a oprócz tego broń.

Kierujący akcją naczelnik policji, Bernard Sothey, zobaczywszy Jamiego, z miejsca pospieszył do niego i powiedział:

- Niech pan się nie obawia, panie McGregor. Wybijemy tych sukinsynów co do jednego.

- Po moim trupie - wrzasnął na niego Jamie. - Rozkaż swoim ludziom, aby przerwali ogień.

- Co takiego? Jeśli...

- Zrób, co ci każę! - Jamie zauważył, jak czarnoskóra kobieta padła na ziemię przeszyta gradem kul. - Wycofaj swoich ludzi.

- Jak pan każe, sir - odrzekł Bernard Sothey i wydał rozkaz adiutantowi. W trzy minuty później strzały ucichły.

Na ziemi leżały wszędzie ciała zabitych i rannych.

- Jeśli chciałby pan posłuchać mej rady - powiedział Sothey - to...

- Nie obchodzą mnie twoje rady. Przyrowadź mi ich przywódcę. Dwaj policjanci przyrowadzili młodego Murzyna. Był zakuty w kajdany i broczył krwią, ale nie zdradzał

lęku. Stał dumnie wyprostowany, błyskając gniewnie oczami i Jamie przypomniał sobie to słowo Bandy na określenie dumy Bantu: *isiko*.

- Nazywam się Jamie McGregor.

Mężczyzna splunął.

- Z tym, co się tu stało, nie mam nic wspólnego. Chciałbym, aby twoi ludzie otrzymali zadośćuczynienie za tę krzywdę.

- Niech pan to powie ich wdowom.

Jamie odwrócił się do Sotheya.

- Gdzie jest Hans Zimmerman?

- Nadal go szukamy, sir.

Jamie zauważył błysk triumfu w oczach Murzyna i zrozumiał, że Hans Zimmerman nie zostanie odnaleziony.

- Zamykam pole diamentowe - zwrócił się do mężczyzny. - Na trzy dni. Chcę, abyś porozmawiał ze swymi ludźmi. Przedstawcie listę żądań, a ja je rozpatrzę. Obiecuję, że postąpię z wami sprawiedliwie. Zmienię tu wszystko co złe.

Mężczyzna spoglądał na niego uważnie i z powątpiewaniem.

- Powołam tu nowego nadzorcę i zapewnię wam przyzwoite warunki pracy. Ale oczekuję od twoich ludzi, że po trzech dniach wrócą do pracy.

Naczelnik policji powiedział niedowierzająco:

- Czyżby zamierzał go pan puścić? On zabił kilku moich ludzi.

- Zostanie przeprowadzone szczegółowe dochodzenie i...

Jamie nie dokończył, gdyż usłyszał w oddali odgłos galopującego konia. Odwrócił się i niebawem rozpoznał w jeźdźcu Davida Blackwella. Ten niespodziewany widok wywołał w nim niepokój.

David zeskoczył z konia.

- Panie McGregor - oznajmił zdyszonym głosem - pański syn zniknął.

Świat nagle zamarł.

Półowa mieszkańców Klipdrift zajęła się poszukiwaniami. Ludzie rozeszli się po okolicy, przetrząsali każdy żleb, parów i wawóz, ale nigdzie nie było śladu chłopca. Jamie wyglądał jak opętany. „Po prostu zabłąkał się, ale wróci” - powtarzał sobie.

Wszedł do pokoju Margaret. Leżała w łóżku, karmiąc piersią dziecko.

- Czy są jakieś wiadomości? - spytała.

- Jeszcze nie - odrzekł Jamie - ale znajdę go. - Rzucił spojrzenie na swoją córkę, a

potem odwrócił się i nic już nie mówiąc wyszedł.

Do pokoju weszła pani Talley. Nerwowo miętosiła fartuch.

- Wszystko będzie dobrze, pani McGregor - powiedziała. - Jamie jest dużym chłopcem i na pewno sobie poradzi.

Oczy Margaret były pełne łez. „Nikt nie zrobi krzywdy małemu Jamiemu, oczywiście, że nie”.

Pani Talley pochyliła się i wzięła Kate z rąk matki.

- Niech pani spróbuje zasnąć.

Zaniosła dziewczynkę do pokoju dzieci i położyła do łóżeczka. Kate patrzyła na nią i uśmiechała się.

- Ty również powinnaś trochę pospać, moja mała. Pani Talley wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

O północy nagle otworło się okno i do środka wskoczył mężczyzna. Podszedł do łóżeczka, zarzucił koc na głowę Kate i wziął ją na ręce.

Banda zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Zniknięcie Kate zauważyła pani Talley. Początkowo myślała, że to pani McGregor zabrała ją do siebie. Poszła więc do pokoju Margaret i zapytała:

- Gdzie jest dziecko?

Widząc wyraz twarzy Margaret, zrozumiała natychmiast, co się stało.

Jamie był bliski załamania, gdy drugi dzień minął i nadal nie było wiadomo, co się dzieje z chłopcem.

- Nie sądzisz chyba, że mogło mu się stać coś złego? - zapytał Davida Blackwella załamującym się głosem.

- Jestem pewien, że nie, panie McGregor - odrzekł David, starając się, aby zabrzmiało to przekonywająco.

Nie był jednak wcale pewien. Ostrzegał Jamiego McGregora, że Bantu nigdy nie przebaczą ani nie zapominają i że to właśnie jeden z Bantu został okrutnie zamordowany. David był pewny tylko tego, że jeśli Bantu zabrali małego Jamiego, to poniósł on straszliwą śmierć, podobnie jak ów chłopiec na polu Namib.

Jamie wrócił do domu o świcie, kompletnie wyczerpany. Kierował akcją poszukiwań, w której brali udział zwykli mieszkańcy Klipdrift, poszukiwacze i konstable. Całą noc

przetrzęsali niemal każdą piędź ziemi. Bez powodzenia.

David już czekał, gdy Jamie wszedł do gabinetu.

- Panie McGregor - powiedział podnosząc się z krzesła - pańska córka została porwana.

Jamie spojrzał na niego szeroko otwartymi oczyma, a twarz mu pobladła. Potem odwrócił się i poszedł do swojej sypialni. Nie był w łóżku już od czterdziestu ośmiu godzin, teraz padł na nie zupełnie wyczerpany i od razu zasnął. Znalazł się w cieniu ogromnego baobabu. Z oddali, przez nie tknięty stopą ludzką veld, zbliżał się do niego lew. Mały Jamie potrząsał nim. „Obudź się, tatusiu, lew”. Zwierzę coraz szybciej biegło w ich kierunku i chłopiec potrząsał nim coraz mocniej.

- Obudź się.

Otworzył oczy i ujrzał Bandę. Jamie zaczął mówić, ale Banda położył mu dłoń na ustach.

- Uspokój się! - Pozwolił Jamiemu usiąść.

- Gdzie jest mój syn?

- Nie żyje.

Pokój nagle zawirował.

- Przykro mi. Nie zdążyłem już ich powstrzymać. Twoi ludzie przelali krew Bantu. Moi ludzie żądali zemsty.

Jamie ukrył twarz w dłoniach.

- O, mój Boże! Co oni mu zrobili?

- Pozostawili go na pustyni - mówił dalej Banda z bezmiernym smutkiem w głosie. - Ja... znalazłem jego ciało i pochowałem...

- Przestań! Nie! Proszę, przestań.

- Chciałem go uratować, Jamie.

Jamie skinął powoli głową.

- A co z moją córką? - zapytał z rezygnacją w głosie.

- Zabrałem ją, aby oni nie mogli jej wziąć. Jest z powrotem w swoim pokoju. Śpi. Nic się jej nie stanie, jeśli zrobisz to, co obiecałeś.

Jamie podniósł wzrok na Bandę, jego twarz zionęła nienawiścią.

- Dotrzymam danego słowa. Ale chcę dostać ludzi, którzy zabili mojego syna. Muszą zapłacić za to.

- W takim razie musiałbyś zabić całe moje plemię, Jamie - odrzekł spokojnie Banda i zniknął.



To było jak koszmar senny, ale bała się otworzyć oczy, ponieważ wiedziała, że gdy to zrobi, ów koszmar stanie się rzeczywistością. Mogłoby się okazać, że jej dzieci naprawdę nie żyją. A więc nadal prowadziła tę grę. Chciała tak wytrwać, aż mały Jamie wróci, położy dłoń na jej ramieniu i powie: „Już wszystko dobrze, mamo, jesteśmy z powrotem. Nic nam się nie stało”.

Od trzech dni leżała w łóżku, nie chcąc z nikim rozmawiać ani nikogo widzieć. Doktor Teeger przychodził i wychodził, ale nawet nie uzmysławiała sobie tego. W środku nocy, gdy leżała tak w łóżku z zamkniętymi oczami, z pokoju syna dobiegł ją jakiś łoskot. Otworzyła oczy i zaczęła nasłuchiwać. Znów rozległ się podobny odgłos. „Mały Jamie powrócił!”

Margaret szybko wstała z łóżka i pobiegła korytarzem w stronę zamkniętych drzwi do pokoju syna. Usłyszała jakieś dziwne gardłowe dźwięki. Z mocno bijącym sercem otworzyła drzwi. Na podłodze leżał jej mąż. Twarz i ciało miał wykrzywione. Jedno oko zamknięte. Drugie zaś, o nienaturalnie rozszerzonej źrenicy, dziwacznie patrzyło na nią. Chciał coś powiedzieć, ale z gardła wydobył się mu jedynie żalony pisk.

- Och, Jamie... Jamie! - wyszeptała Margaret.

Niestety, mam dla pani przykrą wiadomość, pani McGregor - oznajmił doktor Teeger.  
- Pani mąż dostał ciężkiego porażenia mózgu. Istnieje pięćdziesiąt procent szans na to, że przeżyje, a jeśli nawet, to i tak będzie mógł tylko wegetować. Poczynię starania, aby umieszczono go w prywatnym sanatorium. Tam otrzyma właściwą opiekę.

- Nie.

Spojrzał na Margaret ze zdziwieniem.

- Nie bardzo rozumiem.

- Żadnych szpitali. Chcę, aby został tu ze mną.

- Dobrze - odparł lekarz po chwili namysłu. - Będzie pani potrzebowała pielęgniarki.

Dopilnuję tego.

- Nie chcę pielęgniarki. Sama zajmę się Jamiem.

Doktor Teeger potrząsnął głową.

- To niemożliwe, pani McGregor. Pani nie zdaje sobie sprawy, co to oznacza. Pani mąż już nigdy nie będzie funkcjonował jak zwykła ludzka istota. Jest zupełnie sparaliżowany i pozostanie taki do końca życia.

- Zajmę się nim - powtórzyła Margaret z naciskiem.

Teraz Jamie już naprawdę należał do niej.

## Rozdział 11

Jamie McGregor przeżył dokładnie rok od dnia, gdy zachorował, i był to najszcześniejszy okres w życiu Margaret. Jamie był zupełnie bezbronny. Nie mógł ani mówić, ani poruszać się. Margaret opiekowała się nim, zaspokajała wszystkie jego potrzeby. Całymi dniami i nocami trzymała go przy sobie. W ciągu dnia usadawiała męża w fotelu na kółkach i robiąc dla niego swetry i narzutki na drutach, opowiadała o wszystkich najdrobniejszych nawet sprawach związanych z domem, których przedtem nigdy nie miał czasu wysłuchać. Opowiadała też o tym, jak dobrze rozwija się mała Kate. Późnym wieczorem zanosila Jamiego, a właściwie jego szkielet do swej sypialni i tam ostrożnie układała na łóżku obok siebie. A potem opatulala go ciepło i dalej prowadzili tę jednostronną pogawędkę, aż w końcu ogarniała ją senność.

Firmą Kruger-Brent kierował teraz David Blackwell. Raz po raz wpadał do nich do domu, by dać Margaret dokumenty do podpisu. Widząc, w jak beznadziejnym stanie jest Jamie, doznawał uczucia niewypowiedzianego bólu. „Wszystko zawdzięczam temu człowiekowi” - myślał.

- Dobrze wybrałaś, Jamie - powiedziała pewnego dnia Margaret do męża. - David jest wspaniałym człowiekiem. - Odłożyła robótkę i uśmiechnęła się. - Trochę przypomina mi ciebie. Oczywiście w moim życiu nigdy nie było nikogo tak mądrego jak ty, kochanie, i nigdy już nie będzie. Byłaś taki piękny, Jamie, i taki miły i silny, że nie można było od ciebie oderwać oczu. I nie bałaś się marzyć. Teraz wszystkie twoje marzenia spełniły się. Firma z każdym dniem staje się potężniejsza. - Zabrała się ponownie do robótki. - Czy wiesz, że mała Kate zaczyna już mówić? Przysięgłabym, że powiedziała dziś rano „mama”...

Jamie siedział podparty w swym fotelu, patrząc nieruchomym wzrokiem w dal.

- Ma twoje oczy i twarz. Wyrośnie na prawdziwą piękność.

Następnego dnia rano, gdy Margaret obudziła się, Jamie już nie żył. Objęła go i przycisnęła mocno do siebie.

- Spoczywaj, mój kochany, spoczywaj w pokoju. Zawsze tak bardzo kochałam cię, Jamie. Mam nadzieję, że wiesz o tym. Żegnaj, mój jedyny.

Została więc sama. Mąż i syn odeszli od niej. Miała teraz tylko córkę. Margaret poszła do pokoju dziecinnego i spojrzała na śpiącą w łóżeczku Kate. Katherine. Kate. Imię pochodzenia greckiego. Oznacza tę, która jest czysta, bez skazy. Takie imiona nadawano świętym, zakonnicom i królowym.

- A ty kim będziesz? - powiedziała na głos.

Dla Afryki Południowej był to okres ogromnego rozwoju, ale też i okres ogromnego napięcia. Od dawna toczący się między Burami i Anglikami spór o Republikę Transwalu przerodził się w konflikt zbrojny. W czwartek, 12 października 1899 roku, w dzień siódmych urodzin Kate, Anglicy wypowiedzieli Burom wojnę i trzy dni później Wolna Republika Oranii została zaatakowana przez ich wojska. David usiłował przekonać Margaret, by zabrała Kate i wyjechała z Afryki Południowej, ale Margaret sprzeciwiła się temu.

- Mój mąż jest tutaj - powiedziała.

David nie był w stanie odwieść jej od tego zamiaru.

- Zamierzam przyłączyć się do Burów - oznajmił. - Czy dacie sobie radę?

- Oczywiście, że tak - odparła Margaret. - Postaram się zadbać o interesy przedsiębiorstwa.

Następnego dnia rano Davida już nie było.

Anglicy spodziewali się łatwego i szybkiego zwycięstwa, co najwyżej operacji oczyszczenia terenu. Rozpoczęli więc pewni siebie, beztrusko. W koszarach Hyde Park w Londynie urządzono kolację pożegnalną ze specjalnym menu, kartą dań ozdobioną wizerunkiem angielskiego żołnierza niosącego na tacy głowę Bura. Karta zawierała taki oto spis potraw:

#### KOLACJA POŻEGNALNA

na cześć Szwadronu Przylądka

27 listopada 1899 roku

#### MENU

*Oysters-Blue Point*

*Compo Soup*

*Toady in the Hole*

*Sandy Sole*

*Mafeking Mutton*

*Transvaal Turnips. Cape Sauce*

*Pretoria Pheasants*

*White Sauce*

*Tinker Taters*

*Peace Pudding. Massa Ices*

*Dessert*

(Prosimy nie rzucać łusek pod stoły)

*Boer Whines-Long Tom*

*Hollands-in-skin*

*Orange Wine*

Anglików czekała jednak przykra niespodzianka. Burowie walczyli na własnym terytorium; byli nieugięci i zdeterminowani. Do pierwszej bitwy doszło pod niewielką osadą Mafeking i Anglicy zdali sobie wówczas sprawę, z jaką siłą przyszło im się zetknąć. Szybko ściągnięto z Anglii dodatkowe posiłki. W niedługi czas po krwawej i zażartej bitwie, po której zajęły Ladysmith, otoczyły one Kimberley. Artyleria Burów miała większy zasięg, więc Anglicy usunęli z okrętów działa dalekiego zasięgu i przetransportowali je w głąb lądu. Marynarze obsługiwali je setki mil od swych okrętów.

Tymczasem w Klipdrift Margaret z napięciem czekała na nowe wieści z frontu. Zarówno ona, jak i wszyscy dookoła żyli pogłoskami, przeżywali gwałtowne zmiany nastroju, od euforii do rozpacz. Pewnego dnia jeden z pracowników Margaret wpadł zdyszany do biura i oznajmił:

- Doszły mnie właśnie słuchy, że Anglicy zbliżają się do Klipdrift. Oni zabiją nas wszystkich.

- Nonsens - odpowiedziała Margaret. - Nie ośmielą się nas tknąć.

W pięć godzin później została jeńcem wojennym. Margaret i Kate umieszczono w Paardeberg, jednym z setek obozów, jakie założono na obszarze całej Afryki Południowej. Jeńców trzymano za drutami kolczastymi na ogromnej, otwartej przestrzeni, pod czujnym okiem angielskich żołnierzy. Panujące w obozach warunki były przerażające.

Margaret brała często Kate na ręce i mówiła:

- Nie bój się, skarbie. Wszystko będzie dobrze.

Ale żadna z nich w to nie wierzyła. Każdy kolejny dzień przynosił coraz to nowe okropności. Widziały, jak w miarę rozprzestrzeniania się febry ludzie wokół nich umierają dziesiątkami, potem setkami, a potem tysiącami. Jeńcy nie mieli prawa do opieki medycznej, a jedzenie było skażone. Ten koszmar miał trwać nieprzerwanie przez trzy straszliwe lata. Najgorsze z tego wszystkiego było poczucie zupełnej bezsilności. Margaret i Kate były całkowicie zdane na łaskę i niełaskę zwycięzców. To od nich zależało, czy dostaną coś do

jedzenia lub jakiś dach nad głową. To oni byli panami ich życia i śmierci. Kate żyła teraz w ciągłym lęku. Widziała wokół siebie umierające dzieci i bała się, że następną w kolejności będzie właśnie ona. Nie mogła nic zrobić, by ochronić swoją matkę i siebie. Była to lekcja, którą miała zapamiętać na całe życie. Władza. Jeśli masz władzę, masz jedzenie. Masz lekarstwa. Masz wolność. Widząc ten koszmar wokół siebie, widząc popadających w choroby i umierających ludzi, uznała, że władza i życie są jednym i tym samym. „Pewnego dnia - myślała Kate - będę miała władzę. I nikt już nie będzie mi mógł zrobić czegoś podobnego. Nigdy”.

Trwały nadal zażarte walki: o Belmont, Graspan, Stormberg i Spioenkop, ale w końcu dzielni Burowie musieli ustąpić przed potęgą Imperium Brytyjskiego. W 1902 roku, po blisko trzech latach krwawej wojny, Burowie poddali się. Na wojnie walczyło pięćdziesiąt pięć tysięcy Burów, a trzydzieści cztery tysiące ich żołnierzy, kobiet i dzieci straciło życie. Ale tym, co napępniało ocalałych głęboką, dziką nienawiścią, była świadomość, że dwadzieścia osiem tysięcy zginęło w angielskich obozach koncentracyjnych.

W dniu, w którym otworzyły się bramy obozu, Margaret i Kate powróciły do Klipdrift. Kilka tygodni później, w spokojne niedzielne popołudnie, wrócił też David Blackwell. Na wojnie zmęźniał, ale nadal był to ten sam opiekuńczy David, który wrył się w pamięć, na którym Margaret nauczyła się polegać. David spędził te lata walcząc i martwiąc się o życie Margaret i Kate. Zastawszy je w domu całe i zdrowe, nie posiadał się z radości.

- Żałuję, że nie mogłem was uchronić - powiedział później do Margaret.

- To już przeszłość, Davidzie - odparła. - Teraz musimy myśleć tylko o przyszłości.

A przyszłością była firma Kruger-Brent.

Rok 1900 był dla świata czystą, niezapisaną kartą historii, nową erą obiecującą pokój i nieograniczone możliwości dla każdego. Rozpoczęło się nowe stulecie, które eksplodowało całą serią zadziwiających wynalazków, mających zmienić życie na ziemi. W miejsce samochodów o napędzie parowym i elektrycznym pojawiły się samochody o napędzie spalinowym. Zaczęto budować łodzie podwodne i aeroplany. Ludność świata wzrosła do półtora miliarda. Nastął okres rozwoju i ekspansji gospodarczej i przez następne sześć lat Margaret i David w pełni z tego korzystali.

W ciągu tych lat Kate wzrastała prawie bez nadzoru. Margaret była wraz z Davidem zbyt zajęta kierowaniem firmą, by poświęcać jej wiele uwagi. Kate była nieokrzesanym, upartym i niesfornym dzieckiem. Pewnego popołudnia Margaret, wróciwszy do domu z posiedzenia rady nadzorczej, spojrzawszy przez okno i na zabłoconym podwórzu zobaczyła

swoją czternastoletnią córkę walczącą na pięści z dwoma chłopakami. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i przerażenia.

- A niech to diabli! - powiedziała wstrzymując oddech. - I to jest dziewczyna, która kiedyś przejmie Kruger-Brent! Niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece!

KSIEGA DRUGA

Kate i David

1906-1914



## Rozdział 12

W pewien gorący letni wieczór 1914 roku Kate McGregor pracowała sama w swoim gabinecie, znajdującym się w nowej siedzibie firmy Kruger-Brent w Johannesburgu, gdy nagle usłyszała warkot zbliżających się samochodów. Odłożyła dokumenty i podeszła do okna. Przed budynkiem zatrzymały się dwa samochody policyjne i wóz do przewozu aresztantów. Kate patrzyła ze zmarszczonymi brwiami, jak sześciu umundurowanych policjantów wyskakuje z wozów i biegnie obstawić dwa wejścia do budynku. Było późno i ulice świeciły już pustkami. Kate spostrzegła swoje drżące odbicie w oknie. Była piękną kobietą o jasnoszarych oczach po ojcu i kształtnej figurze po matce.

Rozległo się pukanie do drzwi, więc zawołała:

- Proszę!

Drzwi otworzyły się i do środka weszło dwóch umundurowanych mężczyzn. Jeden z nich miał naszywki nadinspektora policji.

- Co się, u licha, stało? - zapytała gniewnie Kate.

- Proszę mi wybaczyć, panno McGregor, że nachodzę panią o tak późnej porze. Jestem nadinspektor Cominsky.

- O co chodzi, nadinspektorze?

- Poinformowano nas, że niedawno widziano zbiegłego mordercę, wchodzącego do tego budynku.

Kate zrobiła przerażoną minę.

- Wchodzącego do tego budynku?

- Tak, proszę pani. Jest uzbrojony i niebezpieczny.

- W takim razie - powiedziała Kate nerwowo - byłabym bardzo wdzięczna, gdybyście go znaleźli i usunęli stąd.

- To właśnie zamierzamy zrobić, panno McGregor. Czy nie słyszała lub nie widziała pani czegoś podejrzanego?

- Nie. Ale jestem tu sama. W tym budynku jest wiele miejsc, gdzie można by się ukryć. Chciałabym, aby pańscy ludzie dokładnie go przeszukali.

- Już zaczynamy, proszę pani.

Nadinspektor odwrócił się i wydał rozkaz swoim ludziom, aby zaczęli poszukiwania od suterenu po sam dach. Następnie zwrócił się znowu do Kate:

- Czy jakieś pomieszczenia są zamknięte?

- Nie sędę - odparła Kate. - Ale jeśli któreś będzie, otworzę je.

Nadinspektor Cominsky, widząc, jak bardzo jest zdenerwowana, nie nabrał żadnych podejrzeń. Kate byłaby o wiele bardziej zdenerwowana, gdyby wiedziała, jak zdesperowany jest mężczyzna, którego poszukują.

- Znajdziemy go - zapewnił nadinspektor.

Kate zabrała się ponownie do pracy, ale nie była w stanie się skoncentrować. Słyszała kręcących się w pobliżu policjantów, przechodzących od jednego pomieszczenia do drugiego. „Czyżby miało im się udać?” - zadrzała.

Policjanci przemieszczali się powoli, metodycznie sprawdzając każdą możliwą kryjówkę. Czterdzieści pięć minut później nadinspektor Cominsky zjawił się ponownie w gabinecie Kate.

- Nie znaleźliście go? - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Jeszcze nie, proszę pani. Ale proszę się nie martwić...

- Jak mam się nie martwić, nadinspektorze? Jeśli w tym budynku znajduje się zbiegły morderca, chcę, abyście go znaleźli.

- Znajdziemy go, panno McGregor. Mamy psy.

Z korytarza dobiegły odgłosy szczekania i po chwili do gabinetu wszedł mężczyzna, trzymający na smyczy dwa duże owczarki niemieckie.

- Psy były już w całym budynku, sir - powiedział. - Przeszukały każde miejsce, z wyjątkiem tego.

Nadinspektor zwrócił się do Kate:

- Czy w ciągu ostatnich trzydziestu minut wychodziła pani z tego pomieszczenia?

- Tak. Poszłam do archiwum, by coś sprawdzić. Chyba nie sądzi pan, że on mógł...? -

Kate wzdrygnęła się nerwowo. - Proszę przeszukać ten pokój.

Nadinspektor skinął głową i opiekun psów spuścił je ze smyczy, wydając komendę:

- Szukaj!

Psy zachowywały się jak oszalałe. Podbiegły do zamkniętych drzwi i zaczęły wściekle szczekać.

- Och, mój Boże! - krzyknęła Kate. - On tam jest.

Nadinspektor wyciągnął rewolwer.

- Otwórzcie! - rozkazał.

Dwóch policjantów z odbezpieczonymi rewolwerami podeszło do drzwi garderoby, po czym gwałtownie je otworzyło. W środku nie było nikogo. Jeden z psów podbiegł do innych drzwi i wściekle zaczął skrobać w nie pazurami.

- Dokąd prowadzą te drzwi? - zapytał nadinspektor Cominsky.

- Do łazienki.

Dwaj policjanci stanęli po obu stronach drzwi, a następnie otworzyli je kopnięciem. I w tym pomieszczeniu nie było nikogo. Opiekun psów poczuł się nieswojo.

- Nigdy nie zachowywały się w ten sposób - próbował się tłumaczyć, podczas gdy psy nerwowo biegały po gabinecie. - Wpadły na trop. Ale gdzie jest zbieg?

Psy podbiegły teraz do szuflady biurka Kate i nie przestawały szczekać.

- Oto pańska odpowiedź - rzekła Kate z wymuszonym uśmiechem. - Jest w szufladzie.

Nadinspektor Cominsky wyglądał najwyraźniej na zmieszanego.

- Przepraszam za to najście, panno McGregor. - Spojrzał na podwładnych i syknął przez zęby: - Zabierzcie mi stąd te psy.

- Chyba nie zamierza już pan odejść, nadinspektorze? - spytała Kate z udanym niepokojem w głosie.

- Panno McGregor - odparł nadinspektor - zapewniam panią, że nic pani nie grozi. Moi ludzie przeszukali ten budynek cal po calu. Osobiście pani ręczę, że go tu nie ma. Obawiam się, że był to fałszywy alarm. Raz jeszcze przepraszam za najście.

Kate wspaniałomyślnie przyjęła przeprosiny.

- Muszę przyznać - powiedziała - że potrafi pan ożywić wieczór kobiecie.

Kate stała przy oknie, patrząc na odjeżdżające wozy policyjne. Gdy zniknął ostatni z nich, otworzyła szufladę biurka i wyjęła parę zakrwawionych, brezentowych butów. Następnie przeszła korytarzem do drzwi z napisem: OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY i weszła do środka. Pomieszczenie było puste. Znajdował się w nim tylko duży, wmurowany w ścianę, zamknięty sejf; skarbiec, w którym firma Kruger-Brent przechowywała swoje diamenty przed wysyłką statkami. Kate szybko wybrała odpowiednią kombinację cyfr i otworzyła wielkie drzwi sejfu. W ścianie skarbcza było wmurowanych mnóstwo metalowych skrzynek wypełnionych po brzegi diamentami. Na środku podłogi leżał półprzytomny Banda. Kate uklękła przy nim.

- Już odjechali - powiedziała.

Banda powoli otworzył oczy i z trudem się uśmiechnął.

- Gdybym wiedział, jak się stąd można wydostać, to wiesz, jaki byłbym bogaty, Kate?

Kate ostrożnie pomogła mu się podnieść. Skrzywił się z bólu, gdy dotknęła jego ramienia. Wcześniej owinęła je bandażem, który teraz był cały zabarwiony krwią.

- Czy dasz radę włożyć buty? - Przed przybyciem nadinspektora i jego ludzi zdjęła mu

je, aby zmylić psy, które, jak słusznie przypuszczała, policja przyprowadzi ze sobą. Chodziła z nimi po całym gabinecie, by w końcu schować do szuflady. - No, jazda. Trzeba cię stąd jakoś wydostać.

Banda pokręcił głową.

- Sam to zrobię. Gdyby przyłapali cię na tym, że mi pomagasz, miałabyś kłopoty, o wiele za dużo kłopotów.

- Pozwól, że sama będę się o to martwić.

Banda po raz ostatni rozejrzał się po skarbcu.

- Jeśli chcesz jakieś próbki - odezwała się Kate - nie krępuj się. Czuj się jak u siebie w domu.

Banda spojrział na nią i stwierdził, że wcale nie żartuje.

- Twój tatuś już mi kiedyś składał podobną ofertę. Wiele lat temu.

- Wiem - przyznała Kate, robiąc kwaśną minę.

- Nie potrzeba mi pieniędzy. Muszę tylko na jakiś czas opuścić miasto.

- Sądzisz, że uda ci się wydostać z Johannesburga?

- Znajdę sposób.

- Posłuchaj mnie. Policja zablokowała drogi. Wszyscy wyjeżdżający z miasta są rewidowani. Nie masz żadnych szans w pojedynkę.

- Zrobiłaś dla mnie wystarczająco dużo - powiedział z uporem i z wielkim wysiłkiem włożył buty.

W postrzępionej, zakrwawionej koszuli i marynarce wyglądał jak straceniec. Twarz miał pokrytą bliznami, a włosy siwe, ale ilekroć Kate spoglądała na niego, to widziała wysokiego, przystojnego mężczyznę, którego poznała, będąc jeszcze dzieckiem.

- Banda, jeśli oni cię złapią, to zabiją - szepnęła z troską w głosie. - Musisz się mnie trzymać.

Wiedziała, że ma rację. Wiedziała, że drogi i stacje kolejowe będą obstawione, że policja będzie sprawdzać każdego, kto wyjeżdża z miasta. Ujęcie Bandy było sprawą najwyższej wagi, władze wydały rozkaz dostarczenia go żywym lub umarłym.

- Mam nadzieję, że masz lepszy plan niż twój tatuś. - Banda wypowiedział słowa cichym głosem i Kate pomyślała, że musiał stracić wiele krwi.

- Nie mów nic. Musisz zachować siły, a resztę pozostaw już mnie. - Kate zdawała się być bardziej pewna siebie, niż była w istocie. Życie Bandy znajdowało się teraz w jej rękach i nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby mu się coś stało. Chyba już po raz setny pomyślała z żalem, że David wyjechał. Trudno, będzie musiała poradzić sobie sama. - Podjadę tu blisko,

na boczną uliczkę - oznajmiła. - Po dziesięciu minutach możesz wyjść. Tylne drzwi będą otwarte. Wejdź do środka i połóż się. Znajdziesz tam koc, którym się przykryjesz.

- Kate, oni będą zaglądać do każdego samochodu wyjeżdżającego z miasta. Jeśli...

- Nie będziemy wcale jechać samochodem. O ósmej rano odjeżdża pociąg do Kapsztadu. Poleciałam, aby doczepiono do niego mój prywatny wagon.

- Czyżbyś zamierzała mnie stąd przeszmygnować w swoim prywatnym wagonie?

- Zgadza się.

Banda uśmiechnął się niewyraźnie.

- Wy, McGregorowie, jesteście naprawdę stuknięci.

W trzydzieści minut później Kate zajechała na dworzec. Banda, zakryty kocem, leżał na podłodze z tyłu samochodu. Nie mieli trudności z przejechaniem przez posterunki rozstawione na ulicach miasta, ale teraz, gdy Kate skierowała samochód w stronę toru przetokowego, nagle zabłysło światło i zobaczyła, że drogę blokuje kilku policjantów. Jakaś znajoma postać zaczęła zbliżać się do samochodu. Nadinspektor Cominsky! Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Panno McGregor, co pani tu robi?

Kate uśmiechnęła się do niego nerwowo i lękliwie.

- Pomyśli pan, że jestem po prostu wariatką, słabą kobietką, nadinspektorze, ale prawdę mówiąc to, co się niedawno wydarzyło w moim biurze, napełniło mnie takim lękiem, że straciłam głowę. Postanowiłam wyjechać z miasta do czasu, aż złapiecie tego mordercę. A może już go złapaliście?

- Jeszcze nie, szanowna pani, ale złapiemy. Mam przeczucie, że skieruje się do tych torów przetokowych. Gdziekolwiek będzie próbował uciekać, złapiemy go.

- Jestem głęboko o tym przekonana.

- Dokąd pani wyjeżdża?

- Mój wagon stoi tu niedaleko na boczniczy. Pojadę do Kapsztadu.

- Czy chciałaby pani, aby któryś z moich ludzi ją eskortował?

- Och, dziękuję panu, nadinspektorze, ale to zbyteczne. Teraz, kiedy już wiem, że pan i pańscy ludzie jesteście w pobliżu, będę oddychać spokojniej.

W pięć minut później Kate i Banda znajdowali się bezpieczni w prywatnym wagonie. Wewnątrz było zupełnie ciemno.

- Przepraszam za te ciemności - powiedziała Kate - ale wolałabym nie zapalać żadnej lampy. - Pomogła Bandzie położyć się na łóżku. - Do rana wydobrzejesz. Kiedy będziemy

wyjeżdżać z dworca, ukryjesz się w toalecie.

Banda skinął głową.

- Dziękuję, Kate.

Kate opuściła story.

- Czy masz jakiegoś lekarza, który by się tobą zajął, gdy przyjedziemy do Kapsztadu?

- Przyjedziemy?

- Nie myślałeś chyba, że pozbawię się całej przyjemności zabawy i pozwolę ci jechać samemu?

Banda podniósł głowę i roześmiał się. „Jest nieodrodną córką swego ojca” - pomyślał.

Gdy zaczęło się przejaśniać, do wagonu podjechała lokomotywa i przetoczyła go na główny tor do ostatniego wagonu pociągu jadącego do Kapsztadu. Wagon zatrzęsł się, gdy doczepiano go do pociągu.

Punktualnie o godzinie ósmej cały skład ruszył ze stacji. Kate poleciła wcześniej, aby jej nie przeszkadzano. Rana Bandy znów zaczęła krwawić i Kate musiała się nią zająć. Nie miała możliwości porozmawiania z Bandą od chwili, gdy wczoraj wczesnym wieczorem, chwiejąc się na nogach, na wpół żywy, wtoczył się do jej biura. Teraz zapytała go:

- Powiedz mi, Banda, co się właściwie stało?

Banda spojrzał na nią. „Od czego zacząć?” - pomyślał. Jak wytłumaczyć jej, że to *Trekburowie* wyparli Bantu z ziemi ich ojców. Czy od nich to się zaczęło? Czy też zaczęło się od potężnego Ooma Paula Krugera, prezydenta Republiki Transwalu, który w swoim przemówieniu na forum Parlamentu Południowo-Afrykańskiego powiedział: „Musimy stać się panami czarnych i zdegradować ich do rasy podrzędnej”. A może zaczęło się to od wielkiego Cecila Rhodesa, budowniczego imperium, którego hasłem była „Afryka dla białych”? Jak mógłby ująć historię swych ludzi w kilku słowach?

- Policja zamordowała mojego syna - powiedział.

I opowieść sama popłynęła z ust. Starszy syn Bandy, Ntombenthle, brał udział w wiecu politycznym, który został brutalnie przerwany przez policję. Oddano parę strzałów i doszło do rozruchów. Ntombenthle został aresztowany, a następnego dnia rano już nie żył. Powiedziano, że powiesił się w celi i że było to samobójstwo. Ale Banda znał dobrze swego syna. To było morderstwo.

- Mój Boże, on był taki młody - szepnęła Kate. Pomyślała o tym, jak kiedyś bawili się i śmiali razem. Ntombenthle był takim przystojnym chłopcem. - Przykro mi, Banda. Tak mi przykro. Ale co oni mają do ciebie?

- Po tym, jak go zabili, zacząłem skupiać wokół siebie czarnych. Nie miałem innego wyjścia, Kate. Nie mogłem po prostu siedzieć i nic nie robić. Policja uznała mnie za wroga państwa. Zostałem aresztowany za kradzież, której nie popełniłem, i skazany na dwadzieścia lat więzienia. Czterem z nas udało się stamtąd wydostać, ale podczas ucieczki strzelono do strażnika i zabito go. Oskarżają mnie właśnie o to. Nigdy w życiu nie miałem broni w ręku, Kate.

- Wierzę ci - powiedziała Kate. - Najważniejsze, co powinniśmy teraz zrobić, to przewieźć cię do miejsca, gdzie byłbyś bezpieczny.

- Przykro mi, że cię wciągamy w to wszystko.

- W nic mnie nie wciągasz. Jesteś moim przyjacielem.

Banda uśmiechnął się.

- Tylko jeden biały człowiek nazwał mnie kiedyś swoim przyjacielem. Wiesz, kto to był? Twój tatuś. - Banda westchnął. - Jak zamierzasz mnie stąd wydostać po przyjeździe do Kapsztadu?

- Nie jedziemy wcale do Kapsztadu.

- Ale mówiłaś...

- Jestem kobietą. Mam prawo zmieniać zdanie.

W środku nocy, gdy pociąg zatrzymał się na stacji w Worcester, Kate poleciła, aby odczepiono wagon i przetoczono na bocznice. Rano, gdy się obudziła, Bandy już nie było. Nie chciał dalej narażać Kate. Było jej przykro, ale wiedziała, że sobie poradzi. Miał wielu przyjaciół, którzy mogliby się nim zająć. „David będzie ze mnie dumny” - pomyślała.

Nie mogę uwierzyć, że mogłaś być tak głupia! - ryknął David, gdy dowiedział się o wszystkim po jej powrocie do Johannesburga. - Nie tylko samą siebie, ale i firmę naraziłaś na niebezpieczeństwo. Wiesz, co by zrobiła policja, gdyby znalazła ciebie z Bandą?

- Wiem - odpowiedziała prowokująco Kate. - Mogłaby go zabić.

- Czy ty nic nie rozumiesz? - David w rozpaczy potarł dłonią czoło.

- Masz cholerną rację. Nie rozumiem. Rozumiem tylko to, że jesteś zimny i nieczuły - odparła obrzucając go wściekłym spojrzeniem.

- Jesteś wciąż dzieckiem.

Zamachnęła się, by go uderzyć, ale David chwycił ją za rękę.

- Kate, powinnaś panować nad sobą.

Słowa te zabrzmiały jak echo z przeszłości. „Kate, powinnaś nauczyć się panować nad sobą...”

To było tak dawno. Miała cztery lata i zawzięcie walczyła na pięści z jakimś chłopcem, który ośmielił się zrobić jej coś na złość. Kate zamierzała właśnie puścić się za nim w pogoń, gdy David ją powstrzymał.

- Spokojnie, Kate. Powinnaś nauczyć się panować nad sobą. Młode damy nie wdają się w bójki na pięści.

- Nie jestem młodą damą. - Kate wbiła się zębami w jego rękę. - Zostaw mnie. - David ją puścił.

Miała posiniaczoną twarz, a jej różowa sukienka była cała zabłocona i w strzępach.

- Lepiej chodźmy i umyjmy cię, zanim zobaczy to twoja matka - powiedział David.

Kate spojrzała z żalem za uciekającym chłopcem.

- Gdyby nie ty, sprawiłabym mu niezłe lanie.

David spojrzał na małą, zawziętą twarzyczkę i roześmiał się.

- Nie wątpię, że tak.

Nieco ułagodzona pozwoliła mu się wziąć na ręce i zanieść do domu. Lubiła przebywać w ramionach Davida. Lubiła wszystko, co było z nim związane. Był jedynym dorosłym, który ją rozumiał. Gdy tylko przebywał w mieście, poświęcał jej mnóstwo czasu. Kiedyś w chwilach relaksu Jamie opowiadał młodemu Davidowi o wspólnych przygodach z Bandą, a teraz z kolei David przekazywał Kate te opowieści. Mogła ich słuchać bez końca.

- Opowiedz mi o tratwie, którą zbudowali.

I David opowiadał.

- Opowiedz mi o rekinach... Opowiedz mi o mgle morskiej... Opowiedz mi o tym dniu, kiedy...

Kate nieczęsto widywała matkę. Margaret była zbyt zajęta sprawami firmy Kruger-Brent. Robiła to dla Jamiego.

Każdego wieczoru Margaret mówiła do Jamiego tak, jakby on nie umarł rok temu:

- David jest taki przydatny, Jamie, i będzie służył pomocą, gdy Kate przejmie firmę. Nie chciałabym cię martwić, ale często już nie mam siły do tego dziecka...

Kate była uparta, samowolna i nieznośna. Nie chciała słuchać ani swojej matki, ani pani Talley. Jeśli na przykład kazały jej włożyć jakąś sukienkę, ciskała ją w kąt i wkładała inną. Nie miała też zamiaru odzywiać się odpowiednio. Jadła to, co chciała, kiedy chciała i żadne groźby ani przekupstwa na nią nie działały. Kiedy kazano jej iść na czyjeś urodziny, znajdowała mnóstwo sposobów, by się od tego wymigać. Nie miała przyjaciółek. Nie chciała chodzić na lekcje tańca i zamiast tego wolała spędzać czas, grając z nastoletnimi chłopakami w rugby. Gdy Kate rozpoczęła naukę w szkole, szybko ustanowiła rekord psot. Margaret



przynajmniej raz w miesiącu musiała chodzić do dyrektorki, aby nakłonić ją, by wybaczyła Kate i nie wyrzucała jej ze szkoły.

- Nie rozumiem jej, pani McGregor - wzdychała dyrektorka. - Jest szalenie bystra, ale buntuje się dosłownie przeciwko wszystkiemu. Nie mogę już sobie z nią poradzić.

Margaret też nie mogła.

Jedyną osobą, mającą jakiś wpływ na Kate, był David.

- Słyszałem, że zostałeś zaproszona dziś na przyjęcie urodzinowe - mówił na przykład do niej.

- Nienawidzę przyjęć urodzinowych.

David przykucał wówczas i spoglądał jej prosto w oczy.

- Wiem o tym, Kate, ale ojciec tej małej dziewczynki, która ma urodziny, jest moim przyjacielem. Bardzo byłoby mi przykro, gdybyś tam nie poszła i nie zachowywała się jak młoda dama.

Kate patrzyła na niego przenikliwie.

- Czy on jest twoim dobrym przyjacielem?

- Tak.

- To pójdę.

I tego dnia na przyjęciu urodzinowym jej maniery były nienaganne.

- Nie wiem, jak ty to robisz - powiedziała raz Margaret do Davida - ale to niezwykle.

- Jest po prostu żywym dzieckiem - odparł David. - Wyróżnie z tego. Ważne jest, aby nie niszczyć jej osobowości.

- Zdradzę ci pewną tajemnicę - rzekła pośpiesznie Margaret. - Najczęściej mam ochotę skrócić jej kark.

Kate miała dziesięć lat, gdy oznajmiła Davidowi:

- Chciałabym poznać Bandę.

David spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Nie sądzę, Kate, aby to było możliwe. Farma Bandy jest bardzo daleko.

- Czy zabierzesz mnie, Davidzie, czy też sama mam tam pojechać?

Następnego tygodnia David zabrał Kate na farmę Bandy. Był to spory kawałek ziemi, dwie morgi, na których Banda uprawiał pszenicę, hodował owce i strusie. Stały tam okrągłe, gliniane chaty o stożkowatych, pokrytych strzechą dachach opierających się na słupach. Przed jedną z takich chat wyszedł Banda i obserwował zajeżdżający powóz i wyskakujących z niego

Kate i Davida. Objął wzrokiem tę chudą jak tyka dziewczynkę o poważnym wyrazie twarzy i powiedział:

- Założę się, że jesteś córką Jamiego McGregora.

- A ja założę się, że jesteś Banda - odparła Kate. - Przyjechałam, żeby ci podziękować za to, że uratowałaś życie mojemu ojcu.

- Ktoś naopowiadał ci niestworzonych rzeczy - zaśmiał się Banda. - Wejdz do środka i poznaj moją rodzinę.

Żoną Bandy była piękna kobieta z plemienia Bantu imieniem Ntame. Miał dwóch synów: Ntombenthlego, starszego od Kate o siedem lat, i Magena, starszego od niej o sześć lat. Ntombenthle był kopia swego ojca. Miał te same szlachetne rysy, dumną postawę i poczucie własnej godności.

Przez całe popołudnie Kate bawiła się z chłopcami. Obiad zjedli w kuchni małego, schludnego domku mieszkalnego na farmie. David czuł się trochę nieswojo, jedząc razem z czarnymi. Poważał Bandę, ale tradycja uczyła go, że między białymi a czarnymi nie powinno się utrzymywać żadnych kontaktów towarzyskich. Ponadto niepokoiła go działalność polityczna Bandy. Krążyły słuchy, że jest stronnikiem Johna Tengo Javabu, domagającego się przeprowadzenia radykalnych reform społecznych. Właściciele kopalń mieli poważne trudności z zaciągnięciem do pracy dostatecznej liczby tubylców i dlatego rząd nałożył dziesięcioszylingowy podatek na tych wszystkich, którzy nie pracują w kopalniach. W całej Afryce Południowej wybuchały z tego powodu zamieszki.

Późnym popołudniem David powiedział:

- Kate, powinniśmy już jechać do domu. Czeką nas daleka droga.

- Jeszcze nie teraz - odparła Kate i zwróciła się do Bandy: - Opowiedz mi o rekinach..

Od tego czasu, ilekroć David był w mieście, musiał zabierać Kate do Bandy i jego rodziny.

Przypuszczenia Davida, że Kate nabierze z czasem ogłady, jakoś się nie sprawdzały. Wręcz przeciwnie, Kate niemal z każdym dniem stawała się coraz bardziej uparta. Nie miała najmniejszego zamiaru robić tego, co robią inne dziewczynki w jej wieku. Nalegała, by jeździć z Davidem do kopalń. Zabierał ją też na polowania, na ryby i na piesze wędrówki. Pewnego dnia, gdy łowili ryby w rzece Vaal, David widząc, jak Kate z radością wyciąga pstrąga większego niż wszystkie, jakie do tej pory złowił, powiedział:

- Powinnaś była urodzić się chłopakiem.

Spojrzała na niego urażona.

- Nie bądź niemądry, Davidzie. Wtedy nie mogłabym wyjść za ciebie za mąż. - David roześmiał się. - A my przecież się pobierzemy - dodała z przekonaniem.

- Obawiam się, że jest to niemożliwe, Kate. Jestem o dwadzieścia dwa lata starszy od ciebie. Mógłbym być twoim ojcem. Pewnego dnia spotkasz chłopca, miłego, przystojnego młodzieńca...

- Nie chcę miłego, przystojnego młodzieńca - odpowiedziała frywolnie. - Chcę ciebie.

- Jeśli mówisz poważnie - odrzekł David - to powiem ci, jaka jest droga do serca mężczyzny.

- Powiedz mi! - poprosiła nagle.

- Przez żołądek. Oczyszczyć więc tego pstrąga i przygotuj obiad.

Kate nie miała najmniejszej wątpliwości co do tego, że wyjdzie za mąż za Davida Blackwella. Zazwyczaj wolała jadać kolację w kuchni, razem ze służbą, żeby nie zwracać uwagi na maniery, ale w piątki, kiedy bywał David, siadała przy stole w dużym pokoju jadalnym. David przychodził na ogół sam, ale czasem przyprowadzał jakąś znajomą i Kate natychmiast czuła do niej głęboką niechęć. Odciągała Davida na bok i mówiła ze słodką niewinnością: „Nigdy nie widziałam włosów o takim odcieniu” lub: „Ona ma dziwny gust, prawda Davidzie?”, albo: „Czy ona nie była przypadkiem jedną z dziewczynek u Madam Agnes?”

Kiedy Kate miała czternaście lat, dyrektorka szkoły, po raz nie wiadomo który, wezwała do siebie Margaret.

- Moja szkoła cieszy się bardzo dobrą opinią, pani McGregor. Pani córka wywiera zły wpływ na inne dzieci.

- Co też ona zrobiła tym razem? - westchnęła Margaret.

- Uczy inne dzieci wyrazów, z którymi wcześniej nigdy się nie zetknęły. Muszę dodać, pani McGregor, że niektórych wyrazów ja też nigdy przedtem nie słyszałam. - Dyrektorka zmarszczyła brwi. - Nie wiem doprawdy, skąd ona je przynosi.

Margaret wiedziała. Uczyła się ich od swoich przyjaciół ulicznych. „No cóż - postanowiła - czas już z tym skończyć”.

- Chciałabym - mówiła dalej dyrektorka - aby pani z nią porozmawiała. Damy jej jeszcze jedną szansę, ale...

- Nie - przerwała Margaret. - Mam lepszy pomysł. Poślę Kate do szkoły z internatem.

Gdy Margaret powiedziała Davidowi o swoim pomycie, ten uśmiechnął się lekko:

- Nie sądzę, aby to jej się spodobało.

- Nic na to nie poradzę. Teraz z kolei dyrektorka skarży się na język, jakiego używa Kate. Uczy się od poszukiwaczy, wokół których stale się kręci. Moja córka zaczyna odzywać się jak oni, wyglądać jak oni, cuchnąć jak oni. Szczerze mówiąc, Davidzie, nie rozumiem jej wcale. Jest ładna, bystra, jest...

- Może jest za bardzo bystra.

- Za bardzo czy nie za bardzo, to i tak należy ją posłać do innej szkoły.

Gdy tylko Kate wróciła do domu, Margaret obwieściła jej tę wiadomość. Kate wpadła w furję.

- Chcesz się mnie pozbyć!

- Co ty wygadujesz, skarbie. Myślę tylko, że byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś...

- Tu jest mi lepiej. Moi wszyscy przyjaciele są tutaj. A ty chciałabyś mnie od nich oddzielić.

- Jeśli masz na myśli tę hołotę, z którą...

- To nie jest żadna hołota. Oni nie są wcale gorsi od innych.

- Kate, nie mam zamiaru się z tobą kłócić. Wyjedziesz do szkoły z internatem dla młodych panien i koniec.

- Zabiję się - zapewniała Kate. - Zabiję się.

- Dobrze, kochanie. Na górze jest brzytwa, a jeśli rozejrzysz się po domu, to jestem pewna, że znajdziesz różnego rodzaju trucizny.

Kate wybuchnęła płaczem.

- Proszę, nie rób mi tego, mamo.

Margaret objęła ją.

- To dla twojego własnego dobra, Kate. Wkrótce będziesz już kobietą, gotową do małżeństwa. Żaden mężczyzna nie poślubi panny, która mówi, ubiera się i zachowuje tak jak ty.

- To nieprawda - powiedziała Kate, pociągając nosem. - David nie zwraca na to uwagi.

- Co David ma z tym wspólnego?

- Zamierzamy się pobrać.

Margaret westchnęła.

- Powiem pani Talley, aby spakowała twoje rzeczy.

W Anglii znajdowało się wiele dobrych szkół z internatem dla młodych dziewcząt.

Margaret zdecydowała, że szkoła Cheltenham w hrabstwie Gloucestershire będzie najbardziej odpowiednia dla Kate. Była to szkoła znana ze swej surowej dyscypliny. Została wybudowana na akrach ziemi otoczonych wysokimi blankami i zgodnie ze swoim statutem była przeznaczona dla córek szlachciców i dżentelmenów. David prowadził interesy z mężem dyrektorki, pani Keaton, i nie miał problemów z umieszczeniem tam Kate. Gdy Kate dowiedziała się, do jakiej szkoły ma być posłana, wybuchła ponownie.

- Słyszałam o tej szkole! Jest koszmarna. Zrobią tam ze mnie jedną z tych tępych angielskich lalek. Czy tego właśnie chcesz dla mnie?

- Chcę, abyś nauczyła się dobrych manier - odparła Margaret.

- Niepotrzebne mi są maniery. Wystarczy mi rozum.

- To nie jest akurat to, na co przede wszystkim zwraca uwagę mężczyzna w kobiecie - stwierdziła Margaret sarkastycznie. - A ty stajesz się kobietą.

- Nie chcę być kobietą! - wrzasnęła Kate. - Dlaczego, do cholery, nie możesz zostawić mnie w spokoju?

- Nie pozwolę, abyś używała takiego języka.

I tak było już do czasu wyjazdu. Ponieważ David wybierał się służbowo do Londynu, Margaret zwróciła się do niego:

- Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, by zawieźć Kate do szkoły? Bóg jeden wie, co by jej strzeliło do głowy, gdyby miała tam sama jechać.

- Z przyjemnością to zrobię - odrzekł David.

- A niech cię! - wrzasnęła Kate z nową energią. - Jesteś tak samo podły jak moja matka! Nie możesz się doczekać, żeby się mnie pozbyć.

- Mylisz się - David wyszczerzył zęby. - Mogę.

Z Klipdrift do Kapsztadu jechali pociągiem w prywatnym wagonie, a tam przesiedli się na statek płynący do Southampton. Podróż trwała cztery tygodnie. Kate w swojej dumie nie chciała się przyznać, jak bardzo jest przejęta faktem, że podróżuje razem z Davidem. „To jak miodowy miesiąc - myślała - z tą tylko różnicą, że nie jesteśmy małżeństwem. Jeszcze nie jesteśmy”.

David spędzał większość czasu w swojej kajucie pracując; Kate siadywała wtedy na łóżku z podkurczonymi nogami i w milczeniu obserwowała go, zadowolona, że jest przy nim.

- Czy nie nudzą cię te wszystkie cyfry, Davidzie? - spytała go raz.

David odłożył pióro i spojrzał na nią.

- To nie są tylko cyfry, Kate. To całe historie.

- Jakiego rodzaju historie?

- Jeśli będziesz umiała je odczytywać, to przekonasz się, że są to historie przedsiębiorstw, które kupujemy lub sprzedajemy, historie ludzi, którzy dla nas pracują. Tysiące ludzi na całym świecie mają z czego żyć dzięki firmie, którą założył twój ojciec.

- Czy jestem trochę podobna do niego?

- Pod wieloma względami tak. Był upartym, niezależnym człowiekiem.

- Czy ja jestem upartą, niezależną kobietą?

- Jesteś zepsutym bachorem. Mężczyzna, który się z tobą ożeni, będzie miał prawdziwe piekło na ziemi.

Kate uśmiechnęła się z rozmarzeniem. „Biedny David”.

W mesie, podczas ostatniego wieczoru na morzu, David zapytał:

- Kate, dlaczego jesteś taka trudna?

- Naprawdę jestem?

- Wiesz przecież, że tak. Doprowadzasz swoją biedną matkę do obłądu.

Kate położyła swoją dłoń na jego.

- A czy ciebie też doprowadzam do obłądu?

- Przestań, Kate - David oblał się rumieńcem. - O co ci chodzi?

- Wiesz dobrze o co.

- Dlaczego nie możesz zachowywać się tak, jak inne dziewczyny w twoim wieku?

- Wolałabym raczej umrzeć. Nie chcę być podobna do nikogo.

- Bóg jeden wie, że nie jesteś!

- Nie ożenisz się z inną, prawda, Davidzie? Poczekasz, aż dorosnę. Zrobię to najszybciej, jak tylko potrafię. Obiecuję. Tylko nie spotykaj się z nikim, kogo kochasz. Proszę cię.

Był poruszony tą żarliwością. Ujął jej dłoń.

- Kate, kiedy ożenię się, chciałbym mieć córkę, która byłaby taka jak ty.

Kate poderwała się z miejsca i powiedziała głosem, który zabrzmiał w całej mesie:

- Równie dobrze, Davidzie Blackwellu, możesz iść sobie do diabła! - A potem szybkim krokiem wyszła z pomieszczenia, odprowadzona zdumionymi spojrzeniami.

W Londynie spędzili razem trzy dni i Kate zachwycała się każdą chwilą.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział do niej David. - Dostałem dwa bilety na „Mrs. Wiggs of the Cabbage Patch”.

- Dziękuję, Davidzie. Ale ja chciałabym pójść do Gaiety.
  - Nie możesz. To jest rewia. To nie dla ciebie.
  - Najpierw powinnam się o tym przekonać, prawda? - dowodziła z uporem.
- Poszli więc do Gaiety.

Kate ogromnie podobał się Londyn. Ta mieszanina automobili i powozów, kobiet w pięknych koronkach i tiulach, w jasnych atłasach i błyszczącej biżuterii, mężczyzn w eleganckich ubraniach z pikowanymi kamizelkami i białymi gorsami koszul. Obiady jedli w „Ritzu”, a kolacje w „Savoyu”. A potem nadszedł czas wyjazdu i Kate pomyślała: „Wrócimy tu jeszcze. David i ja wrócimy tutaj”.

Zaraz po przybyciu do Cheltenham zostali wprowadzeni do gabinetu pani Keaton.

- Chciałbym pani podziękować za przyjęcie Kate do szkoły - powiedział David.
- Jestem przekonana, że będziemy z niej zadowoleni. - Odparła pani Keaton. - I cieszę się, że mogę wyświadczyć przysługę przyjacielowi mojego męża.

W tym momencie Kate poczuła się oszukana. To właśnie David chciał się jej pozbyć i wszystko to ukartował. Była tak wściekła, że nawet się z nim nie pożegnała.

## Rozdział 13

Szkoła w Cheltenham była nie do zniesienia. Wszystko było tu obwarowane przepisami i zakazami. Dziewczęta musiały nosić jednolite mundurki, a nawet pumpy. Lekcje trwały po dziesięć godzin dziennie, a każda minuta była rygorystycznie zaplanowana. Pani Keaton rządziła uczennicami i personelem żelazną ręką. Dziewczęta miały się nauczyć dobrych manier, etykiety, nabrać ogłady towarzyskiej po to, aby pewnego dnia pozyskać odpowiedniego kandydata na męża.

Kate tak pisała do matki: „Ta szkoła jest jak cholerne więzienie. Dziewczyny są okropne. Potrafią tylko gadać o cholernych strojach i cholernych chłopakach, a te cholerne nauczycielki są potworami. Nigdy nie uda im się tu mnie zatrzymać. Zamierzam stąd prysnąć”.

Kate uciekała ze szkoły trzy razy i za każdym razem została złapana i przyprowadzona z powrotem, nie wykazując żadnych oznak skruchy.

Na cotygodniowej radzie nauczycielskiej, kiedy padło nazwisko Kate, jedna z nauczycielek powiedziała:

- Ta dziewczyna nikogo nie słucha. Sądzę, że powinniśmy ją odesłać do Afryki Południowej.

- Jestem skłonna się z panią zgodzić - odparła pani Keaton. - Ale potraktujemy ten przypadek jako wyzwanie. Jeśli uda nam się wdrożyć do dyscypliny Kate McGregor, to uda nam się wdrożyć do dyscypliny każdego.

Kate pozostała w szkole.

Ku zdziwieniu nauczycielek Kate zainteresowała się farmą, którą utrzymywała szkoła. Na farmie uprawiano warzywa i hodowano kury, świnie, krowy i konie. Kate spędzała tam każdą wolną chwilę i pani Keaton była bardzo zbudowana, dowiedziawszy się o tym.

- Widzicie teraz - oświadczyła swojemu personelowi - że była to tylko kwestia zwykłej cierpliwości. Kate odkryła w końcu swoje powołanie. Pewnego dnia poślubi właściciela ziemskiego i będzie mu służyć wielką pomocą.

Następnego dnia zjawił się w szkole Oskar Denker, który zajmował się farmą. Przyszedł porozmawiać z panią Keaton.

- Jedna z pani uczennic - zaczął - ta Kate McGregor... Chciałbym, żeby trzymała się z dala od farmy.



- Co też pan opowiada? - obruszyła się pani Keaton. - Przypadkiem wiadomo mi, że jest bardzo zainteresowana...

- Jasne, że jest, ale czy wie pani czym? Kopulującymi zwierzętami, za przeproszeniem.

- Co takiego?

- No właśnie. Potrafi stać przez cały dzień, po prostu patrząc, jak zwierzęta to robią.

- Do licha! - powiedziała pani Keaton.

Kate nadal nie mogła wybaczyć Davidowi, że skazał ją na wygnanie, ale z drugiej strony ogromnie tęskniła za nim. „Moim przeznaczeniem - myślała - jest kochać mężczyznę, którego nienawidzę”. Odliczała dni, które minęły od chwili, gdy ostatni raz go widziała, niczym więzień zaznaczający czas pozostały mu do zwolnienia. Kate bała się, że David popełni jakieś ogromne głupstwo, że na przykład ożeni się z inną kobietą, podczas gdy ona będzie uwięziona w tej cholерnej szkole.

„Jeśli to zrobi - myślała - zabiję ich oboje. Albo nie. Zabiję tylko ją. A potem wsadzą mnie do pudła i skazą na śmierć przez powieszenie. A kiedy będę już prowadzona na szubienicę, on uświadomi sobie, że mnie kocha. Będzie błagał o przebaczenie. Tak, Davidzie, przebaczam ci - powiem w końcu. - Byłeś zbyt głupi, by wiedzieć, że rozbudziłeś wielką miłość. Trzymałeś ją w dłoni. Dopuściłeś jednak do tego, że wypadła z niej jak mała ptaszyna z gniazda. A teraz ta ptaszyna ma zostać powieszona. Żegnaj, Davidzie. Ale w ostatniej chwili wyrok zostanie odroczoney i David uniesie mnie w swoich ramionach do jakiegoś cudownego kraju, gdzie jedzenie będzie lepsze niż ta cholerna lura, którą podają w tej cholерnej szkole w Cheltenham”.

Kate otrzymała od Davida wiadomość, że wybiera się do Londynu i że będzie mógł ją odwiedzić. Ta nowina rozpałała jej wyobraźnię. Znalazła w niej mnóstwo ukrytych znaczeń. „Dlaczego planuje jechać do Anglii? Żeby być przy niej, to oczywiste. Dlaczego chce ją odwiedzić? Ponieważ w końcu zrozumiał, że szaleje za nią i nie może już dłużej znieść męki rozstania. Zamierza ją prędko rozkochać w sobie i zabrać z tego potwornego miejsca”. Kate rozpieierała radość; uwierzyła tak bardzo w swoje marzenia, że w dniu przyjazdu Davida żegnała się ze wszystkimi szkolnymi przyjaciółkami.

- Mój ukochany przyjeżdża, by mnie stąd zabrać - mówiła im.

Dziewczęta patrzyły na nią z milczącym niedowierzaniem, wszystkie z wyjątkiem Georginy Christy, która szydziła:

- Znowu kłamiesz, Kate McGregor.

- Poczekaj tylko, a sama się przekonasz. On jest wysoki, piękny i szaleje za mną.

Po przyjeździe David zauważył ze zdziwieniem, że wszystkie dziewczęta zdają się wytrzeszczać na niego oczy. Przyglądały mu się, szeptały i chichotały, a gdy napotykały jego spojrzenie, rumieniły się i odwracały.

- Zachowują się tak, jakby nigdy w życiu nie widziały mężczyzny - powiedział David do Kate i popatrzył na nią podejrzliwie. - Czy opowiadałaś im coś o mnie?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała wyniośle Kate. - Dlaczego miałabym to robić?

Jedli obiad w dużej stołówce szkolnej i David opowiadał Kate, co słychać w domu.

- Twoja matka tęskni za tobą. Chciałaby, żebyś przyjechała na letnie wakacje.

- Jak się czuje mama?

- Dobrze. Ma mnóstwo pracy.

- A jak się wiedzie firmie, Davidzie?

Zdziwiło go to nagłe zainteresowanie.

- Bardzo dobrze, dlaczego o to pytasz?

„Ponieważ - pomyślała Kate - pewnego dnia będzie należała do mnie, a ty i ja będziemy współnikami”.

- Zwykła ciekawość.

- Ty nic nie jesz. - Spojrzał na jej pełen talerz.

Kate nie interesowało jedzenie. Czekwała na tę cudowną chwilę, na tę chwilę, gdy David powie: „Jedź ze mną, Kate. Jesteś już kobietą i pragnę ciebie. Weźmiemy ślub”.

Podano deser i nic. Podano kawę i też nic, żadnych cudownych słów. Po wypiciu kawy David zerknął na zegarek i powiedział:

- No, to na mnie już czas, bo spóźnię się na pociąg.

Kate zrozumiała, że wcale nie przyjechał po nią. Ten drań zamierza ją zostawić, aby tu zgniła!

David był zadowolony, że ją odwiedził. Była inteligentnym i pociesznym dzieckiem, a nieobliczalność, która ją kiedyś cechowała, zdawała się teraz być pod kontrolą. David pogładził ją czule po dłoni i zapytał:

- Kate, czy mógłbym coś jeszcze dla ciebie zrobić przed wyjazdem?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, Davidzie - odparła słodkim głosem - mógłbyś. Wyświadczyć mi, proszę, wielką przysługę. Wynieś się raz na zawsze z mego cholernego życia! - Potem wstała i wyszła z jadalni z wysoko podniesioną głową, pozostawiając go przy stole z szeroko otwartymi ustami.

Margaret tęskniła za Kate. Ta dziewczyna była uparta i niesforna, ale Margaret zrozumiała, że jest jedyną żyjącą istotą, którą kocha. „Wyrośnie na wspaniałą kobietę - myślała z dumą. - Gdyby tylko zechciała nauczyć się dobrych manier”.

Kate przyjechała do domu na letnie wakacje.

- Jak ci idzie w szkole? - zapytała ją matka.

- Nienawidzę jej! Czuję się tam tak, jakbym była otoczona przez setki niań.

Margaret spojrzała uważnie na córkę.

- Czy inne dziewczęta mają podobne odczucia jak ty, Kate?

- Co one mogą wiedzieć? - prychnęła pogardliwie Kate. - Gdybyś je zobaczyła! Czy wiesz, że one przez całe życie były chowane pod kloszem? Nie mają pojęcia o najprostszyc rzeczach.

- Moje biedactwo - powiedziała Margaret. - To musi być okropne dla ciebie.

- Nie śmiej się, proszę, ze mnie. One nigdy nie były w Afryce Południowej. Jeśli widziały już jakieś zwierzęta, to tylko w zoo. Żadna z nich nie widziała nigdy kopalni diamentów albo kopalni złota.

- Co za upośledzenie.

- No dobrze, kpj sobie ze mnie. Ale kiedy upodobnię się do nich będzie ci cholernie przykro.

- Czy sądzisz, że naprawdę się do nich upodobnisz?

Kate wyszczerzyła diabelsko zęby.

- Oczywiście, że nie! Zwariowałeś?

Nie minęła nawet godzina, a Kate była już na dworze i grała w rugby z dziećmi służących. Margaret obserwowała ją przez okno i myślała: „Szkoda tylko moich pieniędzy. Ona już się nigdy nie zmieni”.

Tego wieczoru przy kolacji Kate spytała z obojętną miną:

- Czy David jest w mieście?

- Wyjechał do Australii, ale o ile mi wiadomo, jutro ma wrócić.

- Czy w piątek przyjdzie do nas na kolację?

- Chyba tak. - Margaret spojrzała uważnie na Kate. - Lubisz Davida, prawda?

- Jest całkiem znośny. - Kate wzruszyła ramionami. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Rozumiem - odparła Margaret i uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie, jak kiedyś Kate zaklinała się, że poślubi Davida.

- Nie powiem, abym go nie lubiła, mamó. Lubię go jako człowieka, ale nie mogę go

znieść jako mężczyzny.

Kiedy David przyszedł w piątek na kolację, Kate wprost przyfrunęła do drzwi, by się z nim przywitać. Zarzuciła mu ramiona na szyję i szepnęła do ucha:

- Och, Davidzie, tak bardzo się stęskniłam za tobą! A czy ty stęskniłeś się za mną?

- Tak - odrzekł automatycznie i zaraz potem pomyślał: „Mój Boże, naprawdę się za nią stęskniłem”. Nigdy nie znał nikogo podobnego do tego dziecka. Był świadkiem jej dorastania i za każdym razem, kiedy ją widział, stanowiła dla niego objawienie. Miała teraz prawie szesnaście lat i zaczynała kwitnąć. Pozwoliła urosnąć swoim ciemnym włosom, które teraz łagodnie opadały na ramiona. Jej rysy stały się dojrzałe i miała już w sobie pewną zmysłowość. Była piękną dziewczyną o błyskotliwym umyśle i silnej woli. „Mężczyzna, który ją poślubi, nie będzie miał łatwego życia” - pomyślał.

- Jak ci idzie w szkole, Kate? - zapytał David przy kolacji.

- Och, uwielbiam ją - odparła wylewnie. - Mogę się tam wiele nauczyć. Nauczycielki są cudowne i mam wiele wspaniałych przyjaciółek.

Margaret osłupiała.

- Davidzie, czy zabierzesz mnie do kopalń? - spytała Kate.

- Czy w ten sposób chcesz zmarnować swoje wakacje?

- Tak, proszę, zabierz mnie.

Podróż do kopalń i z powrotem trwała cały dzień, a to oznaczało, że przez cały ten czas będzie mogła być z nim razem.

- Jeśli twoja matka nie ma nic przeciwko temu...

- Mamo, proszę!

- Dobrze, kochanie. Kiedy David jest przy tobie, wiem, że nic złego nie może ci się przytrafić. - Jeżeli już Margaret miała się o kogoś obawiać, to tylko o Davida.

Kopalnia diamentów firmy Kruger-Brent usytuowana w pobliżu Bloemfontein była gigantycznym przedsięwzięciem. Zatrudniała setki ludzi, którzy zajmowali się wydobywaniem, pracami inżynieryjno-technicznymi, wypłukiwaniem i sortowaniem.

- To jest jedna z najbardziej rentownych kopalń firmy - powiedział David do Kate, gdy byli w biurze dyrektora, czekając na eskortę, która miała ich zabrać w głąb ziemi. Na jednej ze ścian wisiała gablotka z diamentami o wszystkich barwach.

- Każdy diament - wyjaśniał David - posiada szczególne cechy, które pozwalają odróżnić go od innych. Pierwotne diamenty pochodzące z rzeki Vaal są aluwialne i mają

otarte ścianki na skutek wielowiekowej abrazji.

„Nigdy jeszcze nie był tak przystojny - pomyślała Kate. - Ma takie piękne brwi”.

- Te wszystkie kamienie pochodzą z różnych kopalń, ale na podstawie ich wyglądu łatwo można stwierdzić, gdzie zostały wydobyte. Spójrz na przykład na ten. Rozmiar i żółtawy odcień wskazują, że pochodzi z Paardspan. Diamenty z De Beers mają jakby oleistą powierzchnię i tworzą dwunastościenne kryształy.

„David to prawdziwy brylant. On wie wszystko”.

- A ten z kolei pochodzi z kopalni w Kimberley, ponieważ jest ośmiościenny. Diamenty stamtąd mogą mieć równie dobrze ciemny odcień, jak być zupełnie przezroczyste.

„Ciekawe, czy dyrektor myśli, że David jest moim kochankiem. Mam nadzieję, że tak”.

- Barwa diamentu pozwala określić jego wartość. Barwy są przedstawione na skali od jednego do dziesięciu. Na samym szczycie mamy barwę niebieskobiałą, a na dole brunatną.

„On tak cudownie pachnie. To jest taki... męski zapach. Ma takie piękne dłonie i ramiona. Chciałabym...”

- Kate!

- Tak, Davidzie?

- Czy ty mnie słuchasz?

- Oczywiście, że tak - obruszyła się. - Mogę powtórzyć każde twoje słowo.

Następne dwie godziny spędzili pod ziemią, a potem zjedli razem obiad i Kate czuła się jak w siódmym niebie; tak właśnie wymarzyła sobie swój najpiękniejszy dzień.

Kate wróciła do domu późnym popołudniem.

- Czy miło spędziłaś czas? - zapytała ją Margaret, gdy tylko weszła.

- Było wspaniale - odparła. - Górnictwo jest rzeczą naprawdę fascynującą.

Gdy pół godziny później Margaret przypadkiem wyjrzała przez okno, zobaczyła Kate w zaciętej walce zapaśniczej z synem jednego z ogrodników.

W następnym roku szkolnym listy od Kate były nacechowane ostrożnym optymizmem. Pisała, że została mianowana kapitanem drużyny hokejowej i że przoduje w nauce. Pisała, że szkoła okazała się nie taka zła i że jest w niej nawet kilka dziewcząt, z którymi można się jakoś dogadać. Prosiła matkę, aby zgodziła się zaprosić dwie koleżanki na letnie wakacje, i Margaret była tym zachwycona. Cieszyła się, że dom znów ożyje, wypełniony beztróskim śmiechem młodości. Z niecierpliwością czekała na przyjazd córki.

Teraz tylko z Kate wiązała swoje nadzieje. „Jamie i ja - myślała - jesteśmy przeszłością. Kate jest przyszłością. I jaka to będzie wspaniała, świetlana przyszłość!”

Gdy Kate przyjechała do domu na wakacje, natychmiast pojawili się wokół niej młodzi adoratorzy, odpowiedni kandydaci na mężów, usilnie pragnący umówić się na randkę, ale żaden jej nie interesował.

David był w Ameryce i nie mogła się go doczekać. W końcu nadszedł ten dzień. Powitała go już w drzwiach. Na tę okazję włożyła białą sukienkę i opięła się ciemnym aksamitnym paskiem, by w ten sposób podkreślić swoje kształty. David objął Kate i zdziwiła go jej ciepła reakcja. Cofnął się i spojrzał na nią. Miała w sobie coś innego, coś porozumiewawczego w wyrazie oczu, czego nie potrafił określić, a co wprawiało go w lekkie zakłopotanie.

Podczas tych wakacji widział Kate kilka razy, zawsze w otoczeniu młodych wielbicieli i przyłapał się na tym, że interesuje go, który zostanie tym szczęśliwym wybrańcem. Jego ciekawość nie została jednak zaspokojona, gdyż musiał wyjechać w interesach do Australii a gdy wrócił, Kate była już w drodze do Anglii.

Pewnego wieczoru, w ostatnim roku nauki Kate, David zjawił się niespodziewanie w Cheltenham. O swoim przyjeździe zawiadamiał zwykle listownie lub telefonicznie. Tym razem przyjechał bez zapowiedzi.

- David! Co za wspaniała niespodzianka! - Kate zarzuciła mu ramiona na szyję. - Powinieneś mnie uprzedzić o swoim przyjeździe. Mogłabym wtedy...

- Kate, przyjechałem, by zabrać cię do domu.

Cofnęła się i podniosła na niego wzrok.

- Czy coś się stało?

- Niestety, twoja matka jest ciężko chora.

Kate zamarła.

- Zaraz będę gotowa - powiedziała po chwili.

Wygląd matki zaszokował Kate. Widziała ją zaledwie kilka miesięcy temu i wtedy zdawała się tryskać zdrowiem. Teraz była blada i wychudzona, a jej oczy straciły blask. To było tak, jakby rak, który zżerał ciało, nie oszczędzał również i duszy.

Kate usiadła na brzegu łóżka i ujęła rękę matki.

- Och, mamó - westchnęła. - Jest mi tak cholernie smutno.

Margaret pogładziła ją po dłoni.

- Na mnie już czas, kochanie. Sądzę, że byłam już na to przygotowana od chwili śmierci twego ojca. - Popatrzyła na córkę. - Chcesz usłyszeć coś niemądrego, o czym nie wie żadna z żyjących istot? - Zawahała się, a potem ciągnęła: - Wiesz, Kate, cały czas martwiłam się, że twój ojciec pozostanie bez właściwej opieki, ale teraz mogę odejść.

Margaret została pochowana w trzy dni później. Śmierć matki przejęła Kate do głębi. Wcześniej straciła ojca i brata, ale nie знаła ich; byli tylko fragmentami opowieści z przeszłości. Śmierć matki była realna i bolesna. Kate miała osiemnaście lat i nagle została sama na świecie. Myśl o tym napawała ją przerażeniem.

David patrzył, jak stojąc przy grobie matki dzielnie powstrzymuje łzy, ale kiedy wrócili do domu, Kate załamała się i wybuchnęła szlochem.

- Zawsze była taka dobra dla mnie, Davidzie, a ja byłam taką w-wyrodną córką.

David próbował ją pocieszyć.

- Nieprawda, Kate. Byłaś wspaniałą córką.

- M-miała ze mną tylko same zmartwienia. Oddałabym wszystko, żeby jej to w-wynagrodzić. Nie chciałam, Davidzie, żeby umarła! Dlaczego Bóg ją tak pokarał?

David odczekał, aż się wypłacze, i gdy już nieco doszła do siebie, powiedział:

- Wiem, że teraz trudno ci będzie w to uwierzyć, ale pewnego dnia ten ból minie. I wiesz, Kate, co pozostanie? Szczęśliwe wspomnienia. Będziesz pamiętała jedynie dobre chwile, które z nią przeżyłaś.

- Być może, tylko że teraz to mnie tak ch-choleśnie boli.

Następnego dnia rano rozmawiali o przyszłości Kate.

- Masz rodzinę w Szkocji - przypomniał jej David.

- Nie - odparła ostro. - To nie jest moja rodzina. To krewni. Kiedy ojciec chciał przyjechać do tego kraju, śmieli się z niego. Nikt nie chciał mu pomóc, z wyjątkiem jego matki, a ona już od dawna nie żyje. Nie. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

David zamyślił się, po czym zapytał:

- Czy zamierzasz skończyć szkołę? - I nim Kate zdążyła otworzyć usta, dodał: - Myślę, że twoja matka bardzo by tego pragnęła.

- W takim razie zrobię to. - Spojrzała nie widzącymi oczyma na podłogę. - A niech to szlag trafi!

- Rozumiem cię - powiedział łagodnie David. - Rozumiem.

Kate ukończyła szkołę z wyróżnieniem i została wytypowana do wygłoszenia mowy pożegnalnej, a David specjalnie przyjechał na tę uroczystość.

Już za kilka lat - oznajmił David, gdy jechali w prywatnym wagonie z Johannesburga do Klipdrift - to wszystko będzie należało do ciebie: ten wagon, kopalnie, firma. Możesz sprzedać firmę za wiele milionów funtów. - Podniósł na nią wzrok i dodał: - Albo możesz ją zatrzymać. Musisz to przemyśleć.

- Już to przemyślałam - odparła Kate. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. - Mój ojciec, Davidzie, był piratem. Wspaniałym, staroświeckim piratem. Żałuję, że go nie znałam. Nie mam zamiaru sprzedawać firmy. A wiesz dlaczego? Ponieważ ten pirat dał jej imię strażników, którzy próbowali go zabić. Czy to nie cudowne? Czasem, gdy w nocy nie mogę zasnąć, myślę o moim ojcu i Bandzie, o tym, jak przedzierali się przez mgłę morską, i słyszę nawoływania strażników: „Kruger... Brent...” - Podniosła wzrok na Davida. - Nie, nigdy nie sprzedam firmy mojego ojca. Przynajmniej dopóki ty tu jesteś i nią kierujesz.

- Będę tak długo - powiedział poważnym głosem David - jak długo będziesz mnie potrzebować.

- Postanowiłam zapisać się do szkoły handlowej.

- Do szkoły handlowej? - W jego głosie zabrzmiało zdziwienie.

- Mamy tysiąc dziewięćset dziesiąty rok - zauważyła Kate. - W Johannesburgu istnieją już szkoły handlowe, do których mogą uczęszczać kobiety.

- Ale...

- Zapytałeś się mnie, co chciałabym robić z moimi pieniędzmi. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Chciałabym je pomnażać.



## Rozdział 14

Szkoła handlowa była jak nowa, podniecająca przygoda.

Kiedy Kate chodziła do Cheltenham, uważała to za przymus, zło konieczne. Tutaj było inaczej. Każda lekcja dawała coś pożytecznego, coś, co się jej przyda, gdy będzie już kierować swoją własną firmą. W programie były takie przedmioty, jak rachunkowość, zarządzanie i handel zagraniczny. David telefonował do niej raz w tygodniu, by dowiedzieć się, jak sobie radzi.

- Uwielbiam to miejsce - odpowiadała mu wtedy. - Jest takie ekscytujące, Davidzie.

Czasem przerywała odrabianie lekcji i oddawała się marzeniom. Myślała o Davidzie i o tym, że kiedyś będą razem pracować ramię przy ramieniu, do późnych godzin wieczornych, i że poza nimi nie będzie nikogo; że podczas jednego z tych wieczorów David spojrzy na nią i powie: „Kate, kochanie, byłem takim ślepym głupcem. Czy wyjdiesz za mnie?” I że zaraz potem znajdzie się w jego ramionach.

Wiedziała jednak, że na tę chwilę trzeba będzie jeszcze trochę poczekać, że tymczasem musi się wiele nauczyć. Szybko wracała więc do przerwanej pracy.

Nauka w szkole trwała dwa lata i Kate zdążyła wrócić do Klipdrift, by świętować swoje dwudzieste urodziny. David wyszedł po nią na dworzec. Pod wpływem impulsu zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się.

- Nie masz pojęcia, Davidzie, jak bardzo się cieszę, że ciebie widzę - powiedziała.

David odsunął ją lekko od siebie.

- To miło, że tutaj jesteś, Kate - odparł, ale zabrzmiało to szorstko. W jego zachowaniu było coś nieprzyjemnie oficjalnego.

- Czy wszystko w porządku? - spytała.

- Tak. To... tylko przez te młode kobiety, które muszą się publicznie przytulać do mężczyzn.

Przez chwilę patrzyła na niego.

- Rozumiem - powiedziała. - Obiecuję, że już nie będę wprawiać cię w zakłopotanie.

Kiedy jechali do domu, David ukradkiem spoglądał na nią. Była oszałamiająco piękną dziewczyną, niewinną i wrażliwą. Postanowił, że nigdy tego nie wykorzysta.

W pewien poniedziałkowy poranek Kate wprowadziła się do swego nowiutkiego gabinetu w firmie Kruger-Brent. Miała wrażenie, jakby nagle znalazła się w jakimś

dziwacznym i egzotycznym świecie posiadającym własne prawa i język. Ten świat tworzyły niezliczone ilości działów, biur regionalnych, filii zagranicznych, przedsiębiorstw koncesjonowanych, towarzystw akcyjnych, hut stali, farm hodowlanych. Lista wydawała się nieskończona. Znajdowały się też na niej linia kolejowa, przedsiębiorstwo żeglugowe, no i, oczywiście, fundament fortuny rodzinnej - kopalnie, w których przez dwadzieścia cztery godziny wydobywano diamenty i złoto, cynk, platynę i magnez, masami napływające do skarbcza firmy.

Władza.

Trudno jej było to wszystko pojąć. Kate obserwowała Davida, który podejmował decyzje mające wpływ na życie tysięcy ludzi na całym świecie. Dyrektorzy różnych działów wysuwali propozycje, ale David najczęściej je odrzucał.

- Dlaczego to robisz? - zapytała go w pewnej chwili, gdy akurat byli sami. - Czyżby oni nie znali się na swojej pracy?

- Oczywiście, że się znają - odparł David. - Ale nie w tym rzecz. Każdy dyrektor uważa swój dział za pępek świata. I tak być powinno. Ktoś jednak musi mieć nad wszystkim kontrolę i decydować o tym, co jest najlepsze dla firmy. No, chodź, Kate. Mamy za chwilę lunch z kimś, z kim chciałbym cię poznać.

David zaprowadził Kate do przestronnego, prywatnego pokoju jadalnego, stykającego się z jej gabinetem. Czekał już tam na nich mężczyzna o szczupłej twarzy i świdrujących brązowych oczach.

- To jest Brad Rogers - oznajmił David. - Brad, przedstawiam ci nowego szefa, Kate McGregor.

Brad Rogers wyciągnął rękę.

- Miło mi panią poznać, panno McGregor.

- Brad jest naszą tajną bronią - powiedział David. - O Kruger-Brent wie równie dużo co ja. Gdybym kiedykolwiek miał odejść, nie będziesz musiała się martwić. Brad z powodzeniem mnie zastąpi.

„Gdybym kiedykolwiek miał odejść”. Myśl o tym wywołała w Kate falę niepokoju. „Ale David, oczywiście, nigdy nie odejdzie z firmy”. przez cały lunch nie mogła myśleć o niczym innym, nie miała nawet pojęcia, co jadła.

Po lunchu rozmawiali o Afryce Południowej.

- Wkrótce czekają nas nie lada kłopoty - ostrzegł David. - Rząd wprowadził właśnie podatek pogłówny.

- Co to dokładnie oznacza? - spytała Kate.

- Oznacza, że wszyscy czarni, kolorowi i Hindusi będą musieli płacić dwa funty od każdego członka swej rodziny. To więcej niż ich miesięczne zarobki.

Kate pomyślała o Bandzie i poczuła lęk o niego. Rozmowa zesłała na inny temat.

Kate ogromnie podobało się to nowe życie. Każda decyzja wiązała się z podjęciem ryzykownej gry, w której można było stracić lub zyskać miliony funtów. Wielki biznes to było przechytrzenie najsprytniejszych, to była odwaga, umiejętność podejmowania ryzyka i instynkt, który podpowiadał, kiedy przestać, a kiedy grać dalej.

- Biznes to gra - powiedział kiedyś David do Kate. - Gra o fantastyczne stawki, w której twoimi przeciwnikami są wytrawni gracze. Jeśli chcesz wygrywać, musisz nauczyć się być mistrzynią.

Kate to właśnie zamierzała zrobić. Nauczyć się.

Kate, nie licząc służących, mieszkała sama w wielkim domu. Ona i David spotykali się nadal na tradycyjnych piątkowych kolacjach, ale ilekroć chciała go zaprosić na inny wieczór, niezmiennie znajdował jakąś wymówkę.

W pracy przebywali niemal bez przerwy razem, ale to niczego nie zmieniało. David stwarzał między nimi barierę, obwarowywał się murem, przez który nie mogła przeniknąć.

W dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin Kate otrzymała wszystkie akcje Kruger-Brent i teraz już oficjalnie mogła sprawować nadzór nad firmą.

- Uczcijmy to dziś uroczystą kolacją - poprosiła Davida.

- Przykro mi - brzmiała odpowiedź - ale mam jeszcze mnóstwo zaległej roboty.

Tego wieczoru Kate, jedząc sama kolację, zastanawiała się, dlaczego ona i David nie są razem. Czy jest w tym jego, czy też jej wina? Musiałby być chyba głuchy, głupi i ślepy, żeby nie domyślać się uczuć jakie dla niego zawsze żywiła.

Firma prowadziła rozmowy w sprawie zakupu przedsiębiorstwa żeglugowego w Stanach Zjednoczonych.

- Dlaczego ty i Brad nie mielibyście pojechać do Nowego Jorku, by sfinalizować umowę? - zaproponował David Kate. - To będzie dla ciebie pouczające doświadczenie.

Kate wolałaby się tam znaleźć z Davidem, ale duma nie pozwalała jej się do tego przyznać. Ostatecznie poradzi sobie i bez niego. Poza tym nigdy nie była w Ameryce i sama

myśl o tej podróży wprawiała ją w radosne podniecenie.

Zawarcie transakcji poszło gładko. „Kiedy już tam będziesz - powiedział do niej przed wyjazdem David - powinnaś trochę zwiedzić ten kraj”.

Kate i Brad odwiedzili związane z firmą spółki w Detroit, Chicago, Pittsburghu i Nowym Jorku. Kate nie mogła się nadziwić rozmachowi, z jakim rozwijają się Stany Zjednoczone. Największą atrakcją podróży okazała się jednak Dark Harbor; niewielka osada położona na uroczej, małej wyspie Islesboro nad zatoką Penobscot w stanie Maine. Kate została zaproszona na kolację do domu znanego artysty Charlesa Gibsona. Było tam jeszcze dwanaście osób i wszystkie mieszkały na wyspie.

- To miejsce ma ciekawą historię - powiedział Gibson do Kate. - Wiele lat temu rezydenci docierali tu z Bostonu na małych statkach przybrzeżnych. Na brzegu czekał już na nich powozik, którym jechali do swych domów.

- Ilu mieszkańców liczy wyspa?

- Około pięćdziesięciu rodzin. Czy widziała pani latarnię morską gdy prom wpływał do przystani?

- Tak.

- Obsługuje ją latarnik wraz ze swym psem. Kiedy przepływa jakiś statek, pies wychodzi na zewnątrz i dzwoni.

- Żartuje pan - roześmiała się Kate.

- Nie, proszę pani. Najśmieszniejsze jest to, że pies jest głuchy jak pień. Przykłada więc ucho do dzwonu, by poczuć wibrację.

Kate uśmiechnęła się.

- Wygląda na to, że macie niezwykłą wyspę.

- Być może warto, aby podczas swego pobytu, na przykład jutro rano, zwiedziła pani okolicę.

- Czemu nie? - odparła Kate pod wpływem impulsu.

Noc spędziła w jedynym na wyspie hotelu o nazwie „Islesboro Inn”. Rano wynajęła konia i powóz, którym powoził jeden z wyspiarzy. Szybko wyjechali z centrum Dark Harbor, na które składały się dom towarowy, sklep z towarami żelaznymi i mała restauracyjka. Już po chwili znaleźli się na pięknym, zalesionym obszarze. Kate zauważyła, że żadna z tych krętych, wąskich dróg, którymi jadą, nie ma nazwy, tak jak nie ma żadnych nazwisk na skrzynkach pocztowych.

- Czy ludzie nie błędzą, skoro brak tu jakiegokolwiek oznakowania?

- Nie, proszę pani. Wyspiarze znają tutaj każdy kąt.

Kate spojrzała na niego z ukosa.

- Naturalnie.

W dolnej części wyspy znajdował się mały cmentarz.

- Czy mógłby się pan tu zatrzymać? - poprosiła Kate.

Wysiadła z powozu i zaczęła spacerować po starym cmentarzu, przyglądając się nagrobkom.

JOB PENDLETON. ZMARŁ 25 STYCZNIA 1794 ROKU W WIEKU 47 LAT.  
Epitafium na płycie głosiło: „Pod tym kamieniem zasnąłem słodkim snem. Pan pobłogosławił to łóżko”.

JANE, ŻONA THOMASA PENDLETONA. ZMARŁA 25 STYCZNIA 1802 ROKU  
W WIEKU 47 LAT.

Były tu dusze zmarłych z innego stulecia, z epoki, która już dawno minęła.

KAPITAN WILLIAM HATCH NA WYSPIE TEJ ZASNAŁ SNEM WIECZNYM W  
PAŹDZIERNIKU ROKU PAŃSKIEGO 1866 W WIEKU 30 LAT. Napis na płycie głosił:  
„Wszelkim burzom czoło stawiał i wszystkie morza życia przemierzył”

Kate długo chodziła po tym cmentarzu, rozkoszując się ciszą i spokojem. W końcu wróciła do powozu.

- Jak tu jest zimą? - spytała woźnicę, gdy ruszyli dalej.

- Mroźno - odparł tamten. - Cała zatoka zamarza wtedy i z kontynentu dojeżdża się saniami. Teraz, ma się rozumieć, kursuje prom.

Zatoczyli łuk i Kate zobaczyła nad brzegiem piękny, pokryty białymi gontami, dwupiętrowy dom otoczony ostróżką, dzikimi różami i makiem. Żaluzje w ośmiu frontowych oknach były pomalowane na zielono, a tuż obok dwuskrzydłowych drzwi stały białe ławki i sześć doniczek z czerwonym geranium. To wszystko wyglądało tak, jakby zostało przeniesione z bajki.

- Kto jest właścicielem tego domu?

- To stary dom rodziny Drebenów. Pani Dreben umarła kilka miesięcy temu.

- Kto w nim teraz mieszka?

- Zdaje się, że nikt.

- Czy jest na sprzedaż?

Przewodnik spojrział na Kate i powiedział:

- Nawet jeśli jest, to i tak kupi go syn jednej z rodzin, które tu mieszkają. Wyspiarze

niezbyt chętnie widzą u siebie obcych.

Mówienie o tym Kate było błędem.

W godzinę później Kate rozmawiała z prawnikiem na temat posiadłości.

- Chodzi o dom rodziny Drebenów - oświadczyła. - Czy jest na sprzedaż?

Prawnik zacisnął usta.

- I tak, i nie - odparł.

- Jak mam to rozumieć?

- Jest na sprzedaż, ale już kilka osób interesuje się jego nabyciem. „Stare rodziny na wyspie” - pomyślała Kate.

- Czy te osoby złożyły już ofertę?

- Jeszcze nie, ale...

- W takim razie ja składam pierwszą.

- To kosztowny dom - odparł prawnik protekcyjnym tonem.

- Niech pan poda cenę.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- A więc chodźmy go obejrzyć.

Wnętrze domu było jeszcze bardziej urocze, niż sobie wyobrażała. Z dużego pięknego holu, zakończonego szklaną ścianą, roztaczał się widok na morze. Jedną część holu stanowiła wielka sala balowa, a drugą pokój mieszkalny wyłożony starą boazerią z desek z drzew owocowych i ogromny kominek. Była tu też biblioteka, olbrzymia kuchnia z wielkim żelaznym piecem i szerokim stołem kuchennym, obok kredens i pralnia. Na dole mieściło się sześć sypialni dla służących i łazienka. Na górze zaś sypialnia gospodarza, prawdziwy apartament, i sześć mniejszych sypialni. Był to znacznie większy dom niż Kate przypuszczała. „Ale kiedy David i ja będziemy mieli dzieci pomyślała - te wszystkie pokoje będą nam potrzebne”. Grunty rozciągały się aż do zatoki, gdzie znajdowała się prywatna przystań.

- Kupuję ten dom - powiedziała Kate do prawnika.

Postanowiła, że nazwie go Cedar Hill House, Domem na Cedrowym Wzgórzu.

Pragnęła już być w Klipdrift, aby obwieścić Davidowi nowinę. Wypełniało ją uczucie szalonego podniecenia. Cedar Hill House był znakiem, symbolem, że ona i David pobiorą się. Wiedziała że David pokocha ten dom równie mocno jak ona.

Po powrocie do Klipdrift Kate natychmiast popędziła do biura Davida. Siedział za

biurkiem, przeglądając jakieś papiery. Na jego widok serce zaczęło jej bić mocno. Dopiero teraz uświadomiła sobie jak bardzo się za nim stęskniła.

David wstał.

- Kate! Witaj w domu! - rzekł i zanim Kate zdążyła coś powiedzieć, dodał: - Chciałem, abyś ty pierwsza się dowiedziała. Żenię się.

## Rozdział 15

O wszystkim, jak to często bywa, zdecydował przypadek. Sześć tygodni wcześniej, w samym środku gorącego dnia, David otrzymał od pewnego poważnego amerykańskiego kupca diamentów następującą wiadomość: „W Klipdrift przebywa właśnie mój przyjaciel, Tim O’Neil. Byłbym wdzięczny, Davidzie, gdybyś zechciał go przyjąć, a być może zjeść z nim razem kolację”. David nie miał czasu zajmować się turystami, ale z drugiej strony nie mógł przecież zawieść swojego klienta. Gdyby Kate nie była w tym czasie z Bradem Rogersem w Ameryce Północnej, poprosiłby ją, aby zajęła się gościem. A tak musiał uznać, że nie ma wyjścia. Zadzwoił więc do O’Neila do hotelu, aby zaprosić go na kolację.

- Jestem tu z córką - zakomunikował mu O’Neil. - Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli ją przyprowadzę.

David nie był w odpowiednim nastroju, by spędzać wieczór z jakimś dzieckiem, ale odparł uprzejmie:

- Oczywiście, że nie.

„Przynajmniej wieczór nie potrwa długo” - pocieszył się odkładając słuchawkę.

Spotkali się w restauracji hotelu „Grand”. Kiedy David zjawił się tam, O’Neil i jego córka siedzieli już przy stole. O’Neil był przystojnym, szpakowatym Amerykaninem pochodzenia irlandzkiego w wieku około pięćdziesięciu lat. Jego córka, Josephine, okazała się najpiękniejszą kobietą, jaką David widział w życiu. Miała niewiele ponad trzydzieści lat, pierwszorzędną figurę, jasne włosy i niewinne niebieskie oczy.

Na jej widok David zamarł z wrażenia.

- Ja... przepraszam za spóźnienie - tłumaczył się. - W ostatniej chwili wyskoczyło mi parę spraw.

Josephine z przyjemnością zauważyła wrażenie, jakie na nim zrobiła.

- Tego rodzaju sprawy bywają czasem najbardziej ekscytujące.- powiedziała niewinnie. - Mój ojciec mówił mi, że jest pan bardzo ważną osobistością, panie Blackwell.

- To lekka przesada i... mam na imię David.

- To piękne imię. - Skinęła głową. - Sugeruje ogromną siłę.

Zanim jeszcze skończyli jeść kolację, David uznał, że Josephine O’Neil jest czymś więcej niż tylko piękną kobietą. Była inteligentna, miała poczucie humoru i umiała wprawić go w dobry nastrój. David czuł, że wzbudza w niej autentyczne zainteresowanie. Zadawała mu pytania, jakich nikt nigdy mu nie zadawał. Jeszcze przed zakończeniem wieczoru był już



niemal po uszy zakochany.

- Gdzie pan mieszka na stałe? - zapytał Tima O'Neila.

- W San Francisco.

- Niedługo zapewne wraca pan do domu? - Te słowa wypowiedział możliwie najobjętniejszym tonem.

- W przyszłym tygodniu.

Josephine uśmiechnęła się do Davida.

- Jeśli Klipdrift jest tak interesujące, jak się wydaje na początku, myślę, że uda mi się namówić ojca, abyśmy zostali tu trochę dłużej.

- Postaram się, aby było możliwie najbardziej interesujące - zapewnił ją David. - Czy chcieliby państwo zobaczyć kopalnię diamentów?

- Ogromnie - odpowiedziała Josephine. - Dziękujemy panu.

Kiedyś David osobiście oprowadzał ważnych gości po kopalniach, ale już od dawna obowiązek ten spoczywał na podwładnych. Teraz jednak powiedział:

- Czy jutro rano odpowiada państwu?

Na jutrzejszy ranek miał zaplanowanych kilka ważnych spotkań, lecz nagle stały się one nieistotne.

Zabrał O'Neilów do szybu znajdującego się tysiąc dwieście stóp pod ziemią. Szyb miał sześć stóp szerokości i dwadzieścia stóp długości. Był podzielony na cztery przedziały; jeden służył do pompowania, dwa do wydobywania niebieskawej diamentonośnej ziemi, a do czwartego prowadził dwupoziomowy wyciąg klatkowy do przewożenia górników.

- Zawsze interesowała mnie pewna rzecz - powiedziała Josephine - a mianowicie, dlaczego miarą diamentów jest karat?

- Karat - wyjaśnił David - jednostka masy, pochodzi od masy wysuszonego nasienia drzewa o nazwie chleb świętojański. Twarde nasiona tego drzewa od dawnych czasów służyły jubilerom za odważniki. Jeden karat odpowiada dwustu miligramom lub jednej sto czterdziestej drugiej części uncji.

- Jestem zachwycona, Davidzie - stwierdziła Josephine.

Davida zastanowiły te słowa. Czy odnosiły się tylko do diamentów? Bliskość tej kobiety rozpaliała w nim krew. Ilekroć spozjrzał na nią, czuł nową falę podniecenia.

- Powinniście państwo koniecznie zobaczyć okolicę - zwrócił się do O'Neilów. - Jeśli nie macie żadnych planów na jutro, proponuję wybrać się na wycieczkę.

- To cudownie - powiedziała Josephine, zanim jej ojciec zdążył otworzyć usta.

David całymi dniami przebywał teraz z Josephine i jej ojcem, a z każdym dniem czuł się coraz bardziej w niej zakochany. Nigdy jeszcze nie spotkał tak czarującej istoty.

Pewnego wieczoru, gdy David przyszedł do O'Neilów, by zabrać ich na kolację, Tim O'Neil powiedział:

- Jestem dziś trochę zmęczony, Davidzie. Czy nie miałbyś nic przeciwko, gdybym tu pozostał?

- Ależ nie, sir. Rozumiem pana. - David z trudem zdołał ukryć swą radość.

Josephine uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo.

- Dopilnuję, abys się nie nudził.

David zabrał ją do restauracji w nowo otwartym hotelu. W sali panował tłok, ale Blackwell był znanym człowiekiem w tym mieście, więc natychmiast znalazło się dla nich miejsce. Trzyosobowy zespół grał amerykańską muzykę.

- Zatańczymy? - spytał David.

- Z przyjemnością.

W chwilę później Josephine znalazła się w jego ramionach i to było cudowne. David przytulał ją w tańcu czując, jak jej urocze ciało jest mu posłuszne.

- Kocham cię, Josephine - szepnął jej do ucha.

- Davidzie, proszę... nie... - Położyła mu palec na ustach.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie mogłabym wyjść za ciebie.

- Czy nie kochasz mnie?

Spojrzała na niego swymi błyszczącymi, niebieskimi oczyma i uśmiechnęła się.

- Szaleję za tobą, kochanie - odpowiedziała. - Nie widzisz tego?

- A więc dlaczego?

- Ponieważ nigdy nie mogłabym mieszkać w Klipdrift. Zwariowałabym tutaj.

- Mogłabyś chociaż spróbować.

- Davidzie, to kusząca propozycja, ale wiem, jak by się to skończyło. Gdybym wyszła za ciebie i zamieszkała tutaj, prędzej czy później zamieniłabym się w sekutnicę. Znienawidzilibyśmy siebie oboje. Nie, lepiej już teraz się rozstańmy.

- Nie chcę się z tobą rozstawać.

Podniosła na niego wzrok i David poczuł, jakby ich ciała stopiły się w jedno.

- Davidzie, czy jest jakaś szansa, abys mógł zamieszkać w San Francisco?

To był nierealny pomysł.

- Co bym tam robił?
- Spokajmy się jutro na śniadaniu. Chciałabym, abyś porozmawiał z moim ojcem.

Tim O'Neil powiedział:

- Josephine wspomniała mi o waszej rozmowie. Wygląda na to, że macie pewien problem. Ale ja miałbym, być może, rozwiązanie, jeśli cię to interesuje.

- Nawet bardzo, sir - odparł David.

O'Neil wziął do rąk małą, brązową teczkę z garbowanej skóry i wyjął z niej kilka projektów.

- Czy znasz się trochę na mrożonkach?

- Obawiam się, że nie.

- W Stanach Zjednoczonych zaczęto zamrażać żywność już w 1865 roku. Problem stanowiło jednak przewożenie jej na dalekich trasach bez ryzyka odtajenia. Wynaleziono wagony-chłodnie, ale nikt jeszcze nie wynalazł samochodów-chłodni. - O'Neil postukał palcem w projekty. - Do tej pory. Właśnie otrzymałem na to patent. To zrewolucjonizuje cały przemysł spożywczy, Davidzie.

David rzucił okiem na projekty.

- Obawiam się, że niewiele mi to mówi, panie O'Neil.

- Nie przejmuj się tym, Davidzie. Nie szukam wcale ekspertów technicznych. Mam ich wystarczająco wielu. Potrzebuję jedynie wsparcia finansowego i kogoś, kto by mógł poprowadzić ten interes. Nie są to jakieś dziecinne mrzonki. Rozmawiałem już z czołowymi przetwórcami żywności i to będzie wielkie przedsięwzięcie; większe, niż można sobie wyobrazić. Potrzebuję kogoś takiego jak ty.

- Siedziba firmy będzie się mieściła w San Francisco - dodała Josephine.

David siedział w milczeniu, przetrawiając w umyśle to, co właśnie usłyszał.

- Wspomniał pan o patencie... - odezwał się w końcu.

- Tak. Zgadza się. Jestem gotów ruszyć już od zaraz.

- Czy mógłby mi pan pożyczyć te projekty? Chciałbym je komuś pokazać.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił David, było sprawdzenie Tima O'Neila. Dowiedział się, że O'Neil cieszy się dobrą opinią w San Francisco, że kieruje działem naukowym w Berkeley College, gdzie jest wysoko ceniony. David nie miał pojęcia o zamrażaniu żywności, ale chciał się dowiedzieć czegoś bliżej na ten temat.

- Wrócę za pięć dni, kochanie - oznajmił Josephine. - Mam nadzieję, że zaczekacie tu na mnie.

- Tak długo, jak tylko zechcesz. Będę tęskniła za tobą.

- I ja za tobą - odparł David. „O wiele bardziej, niż przypuszczasz” - pomyślał.

David pojechał pociągiem do Johannesburga i spotkał się z Edwardem Broderickiem, właścicielem największego zakładu opakowań w Afryce Południowej.

- Chciałbym, abyś poradził mi w pewnej sprawie - powiedział David, podając mu projekty. - Muszę się dowiedzieć, czy to jest coś warte.

- Nie mam najmniejszego pojęcia o mroźnikach lub samochodach-chłodniach - odparł Broderick - ale znam ludzi, którzy się na tym znają. Gdybyś, Davidzie, mógł wpaść po południu, ściągnąłbym dla ciebie ekspertów.

O czwartej po południu David przyszedł ponownie do Edwarda Brodericka. Był podenerwowany, pełen sprzecznych uczuć, ponieważ tak naprawdę nie wiedział, jaką odpowiedź chciałby usłyszeć. Jeszcze dwa tygodnie temu śmiały się, gdyby ktokolwiek choć zasugerował mu odejście z Kruger-Brent. Firma była przecież częścią jego życia jeszcze bardziej rozbawiłoby go, gdyby powiedziano mu, aby rozważył propozycję kierowania niewielkim przedsiębiorstwem spożywczym w San Francisco. To wszystko zdawało się szaleństwem, z wyjątkiem jednego: Josephine O'Neil.

W gabinecie oprócz Edwarda Brodericka było jeszcze dwóch mężczyzn.

- Poznajcie się, panowie - powiedział Broderick. - Doktor Crawford, pan Kaufman i David Blackwell.

Podali sobie dłonie i David zapytał:

- Czy mieliście, panowie, trochę czasu, aby spojrzeć na te projekty?

- O tak, panie Blackwell - odparł doktor Crawford. - Przystudiowaliśmy je bardzo dokładnie.

- I...? - David zaczerpnął głęboko powietrza.

- Rozumiem, że amerykański urząd patentowy przyznał na to patent?

- Zgadza się.

- No cóż, panie Blackwell. Ktokolwiek otrzymał patent, stanie się bardzo bogatym człowiekiem.

David skinął powoli głową, pełen sprzecznych uczuć.

- Wszystkie wielkie wynalazki wydają się tak proste, iż dziwimy się, że nikt wcześniej

na nie nie wpadł. Ten z pewnością nie zawiedzie - dodał na zakończenie doktor Crawford.

David nie wiedział, jak ma zareagować. Po części łudził się, że to nie on będzie musiał podjąć decyzję. Gdyby wynalazek Tima O'Neila okazał się bezużyteczny, istniałaby szansa, że przekona Josephine do pozostania w Afryce Południowej. Ale to, co powiedział mu O'Neil, było prawdą. Miało sens. Teraz musiał więc sam podjąć decyzję.

W drodze powrotnej do Klipdrift nie myślał o niczym innym. Jeśli przyjąłby propozycję O'Neila, oznaczałoby to rozstanie z firmą, otwarcie nowego, nie znanego mu jeszcze rozdziału w interesach. Był Amerykaninem, ale Ameryka była dla niego obcym krajem. Zajmował wysoką pozycję w jednej z największych firm na świecie. Kochał swoją pracę. Jamie i Margaret McGregorowie byli zawsze bardzo dobrzy dla niego. A teraz jest Kate. Opiekował się nią już od czasów, gdy była dzieckiem. Obserwował, jak dorastała, przemieniając się z nieposłusznej chłopczycy o wiecznie umorusanej buzi w uroczą, młodą kobietę. Życie Kate układało mu się w pamięci jak album ze zdjęciami. Przewracał kartki tego albumu i widział Kate w wieku czterech, ośmiu, dziesięciu, czternastu i dwudziestu jeden lat: wrażliwą i nieobliczalną.

Gdy pociąg przyjechał do Klipdrift, David podjął decyzję. Postanowił, że nie odejdzie z firmy Kruger-Brent.

Pojechał prosto do hotelu „Grand” i poszedł na górę do apartamentu O'Neilów. Drzwi otworzyła mu Josephine.

- David!

Wziął ją w ramiona i pocałował pożądliwie, czując rozkoszne ciepło jej ciała.

- Och, Davidzie, tak bardzo się stęskniłam za tobą. Nie chcę, abyśmy kiedykolwiek musieli się jeszcze rozstawać.

- Nie będziemy - odrzekł powoli David. - Jadę do San Francisco...

David czekał na powrót Kate ze wzrastającym zniecierpliwieniem. Teraz, kiedy już podjął decyzję, miał ochotę jak najszybciej, natychmiast, rozpocząć nowe życie, poślubić Josephine.

Wreszcie Kate wróciła. Stał przed nią i powiedział: - Żenię się.

Kate miała wrażenie, jakby dostała obuchem w głowę. Zrobiło się jej nagle słabo, tak że musiała oprzeć się ręką o krawędź biurka. „Chcę umrzeć - pomyślała. - Boże, pozwól mi umrzeć”.

Jakimś nadludzkim wysiłkiem udało jej się uśmiechnąć.

- Opowiedz mi o niej. - Była dumna, że jej głos zabrzmiał tak spokojnie. - Kto to jest?  
- Nazywa się Josephine O'Neil. Przyjechała tu wraz z ojcem. Jestem przekonany, Kate, że zostaniecie dobrymi przyjaciółkami. To wspaniała kobieta.

- Nie wątpię, skoro ją kochasz, Davidzie.

- Jest jeszcze pewna rzecz, Kate. - David zawahał się. - Będę musiał odejść z firmy. Ta wiadomość spadła na nią jak grom z jasnego nieba.

- To, że się żenisz, nie oznacza wcale, iż musisz...

- Nie w tym rzecz, Kate. Ojciec Josephine rozkręca interes w San Francisco.

- Więc... więc... będziesz mieszkał w San Francisco?

- Tak. Brad Rogers z łatwością upora się z moją robotą. Wybierzemy poza tym kierownictwo, które będzie go wspierało. Kate, nie wyobrażasz sobie, jak... trudna to była dla mnie decyzja.

- Z pewnością, Davidzie. Musisz... być bardzo zakochany. Kiedy poznasz mnie ze swoją narzeczoną?

David uśmiechnął się, zadowolony, że Kate tak dobrze przyjęła nowiny.

- Dziś wieczorem na kolacji, jeśli nie masz innych planów.

- Nie mam, Davidzie.

Kate zbierało się na płacz, ale nie dała tego po sobie poznać. Dopiero gdy była już sama, pozwoliła łzom popłynąć z oczu.

Jedli we czworo kolację w rezydencji McGregorów. Kate oniemiała na widok Josephine. „O, Boże! Nic dziwnego, że jest w niej zakochany!” Była olśniewająca i Kate po raz pierwszy w życiu czuła się niezgrabna i brzydka. Sytuację pogarszało jeszcze to, że Josephine była miła i czarująca. I bez wątpienia bardzo zakochana w Davidzie. „Szlag by to trafił!” Podczas kolacji Tim O'Neil opowiadał o nowej firmie.

- To brzmi interesująco - powiedziała Kate.

- Niestety, nie jest to Kruger-Brent, panno McGregor. Zaczynamy niemal od zera, ale z pomocą Davida, który poprowadzi ten interes, wyjdziemy na swoje.

- Z pomocą Davida nie może się nie udać - zgodziła się Kate.

Wieczór był koszmarem. W jednej i tej samej straszliwej chwili straciła mężczyznę, którego kochała, i jedyną osobę, która była niezbędna firmie Kruger-Brent. Z trudem prowadziła rozmowę i ledwie dotrwała do końca wieczoru, ale zupełnie nie pamiętała, co mówiła i co robiła. Wiedziała tylko, że ilekroć David i Josephine spoglądali na siebie lub dotykali się, miała ochotę się zabić.

W drodze powrotnej do hotelu Josephine powiedziała:

- Ona cię kocha, Davidzie.

- Kate? - David roześmiał się. - Żartujesz. Jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy nimi od czasu, gdy była dzieckiem. Ona bardzo cię polubiła.

Josephine uśmiechnęła się do siebie. Mężczyźni są tacy naiwni.

Następnego dnia rano David przyjął Tima O'Neila w swoim gabinecie. Obaj mężczyźni usiedli naprzeciw siebie.

- Potrzebuję dwóch miesięcy, aby uporządkować tu swoje sprawy - oznajmił David. - Zastanawiałem się, ile będziemy musieli wyłożyć na początek. Jeśli zwrócimy się do jakiejś dużej firmy, to zostaniemy wchłonięci i otrzymamy niewielki udział, a nasze przedsiębiorstwo nie będzie już należeć do nas. Sądzę, że sami powinniśmy je sfinansować. Według moich wstępnych obliczeń potrzebujemy osiemdziesięciu tysięcy dolarów na rozruch. Zaoszczędziłem równowartość około czterdziestu tysięcy dolarów. Brakuje nam jeszcze drugie tyle.

- Mam dziesięć tysięcy dolarów - powiedział Tim O'Neil - a mój brat może mi pożyczyć z pięć tysięcy.

- A zatem brakuje nam dwudziestu pięciu tysięcy dolarów - stwierdził David. - Spróbujemy zaciągnąć pożyczkę w banku.

- Wyjeżdżamy więc natychmiast do San Francisco, aby ci wszystko zorganizować.

W dwa dni później Josephine i jej ojciec szykowali się już do drogi.

- Davidzie - odezwała się Kate - możesz zaproponować im, aby podróż do Kapsztadu odbyli w prywatnym wagonie.

- To bardzo miło z twojej strony, Kate - odparł z wdzięcznością David.

Tego ranka, gdy wyjechała Josephine, David czuł się tak, jakby zabrano mu część życia. Wydawało mu się, że chwila gdy ujrzy znów Josephine, jest tak odległa, aż nierealna.

Kilka następnych tygodni upłynęło na formowaniu kierownictwa, które by wspierało Brada Rogersa. Lista ewentualnych kandydatów została uważnie sporządzona. Kate, David i Brad godzinami omawiali każdą z kandydatur.

- ...Taylor to dobry inżynier, ale jest za słaby, by kierować firmą.

- A Simmons?

- Jest dobry, ale za wcześnie, by o nim mówić - uznał Brad. - Dajmy mu jeszcze pięć

lat.

- Babcock?

- Niezły wybór. Omówmy tę kandydaturę.

- A Peterson?

- Nie nadaje się do tej funkcji - stwierdził David. - Jest nazbyt pochłonięty sobą. - W chwili gdy wypowiadał te słowa, poczuł wyrzuty sumienia, ponieważ sam przecież zostawił Kate.

Omawiali dalej listę. Pod koniec miesiąca ograniczyli wybór do czterech osób. Wszyscy kandydaci pracowali za granicą i trzeba było ich stamtąd ściągać.

Pierwsze dwie rozmowy kwalifikacyjne wypadły pomyślnie.

- Zadowolają mnie obaj - oznajmiła Kate Davidowi i Bradowi.

W dniu, w którym miała się odbyć trzecia rozmowa, David wszedł rano do gabinetu Kate. Był całkiem blady.

- Czy moje miejsce jest jeszcze wolne? - zapytał.

Kate spojrzała na niego i zerwała się przerażona.

- Co ci jest, Davidzie?

- Ja... - Opadł ciężko na krzesło. - Stało się coś strasznego.

Kate podeszła do niego.

- Powiedz mi!

- Dostałem list od Tima O'Neila. Sprzedał interes.

- Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Przyjął za swój patent ofertę dwustu tysięcy dolarów i udziału w zyskach od Three Star Meat Packing Company z Chicago - odparł David tonem pełnym goryczy. - Three Star Meat chciałaby mnie zatrudnić, abym dla niej prowadził ten interes. O'Neil żałuje i przeprasza, że tak się stało, ale nie mógł pogardzić taką sumą.

Kate spojrzała na niego ze współczuciem.

- A Josephine? Co ona na to? Musi być wściekła na swego ojca.

- Od niej też był list. Pobierzemy się, jak tylko przyjadę do San Francisco.

- Ale ty nie wybierasz się tam?

- Oczywiście, że się tam nie wybieram! - wybuchnął David. - Przedtem miałem coś do zaoferowania. Mogłem przekształcić niewielkie przedsięwzięcie w wielkie przedsiębiorstwo. Ale oni cholernie szybko chcieli mieć pieniądze.

- Davidzie, nie jesteś chyba obiektywny, gdy mówisz „oni”. Bądź...

- O'Neil nigdy nie zawarłby tej umowy bez zgody Josephine.



- Nie wiem... Nie wiem, Davidzie, co ci powiedzieć.

- Co tu mówić. Poza tym, że o mało nie zrobiłem największego głupstwa w moim życiu.

Kate podniosła listę kandydatów leżącą na biurku i powoli zaczęła ją drzeć.

Przez następne tygodnie David pracował jak szalony, chcąc w ten sposób zapomnieć o swoim żalu i bólu. Otrzymał kilka listów od Josephine O'Neil, ale wszystkie wyrzucał do kosza, nie przeczytawszy uprzednio. Nie mógł jej jednak tak łatwo wymazać z pamięci. Kate doskonale rozumiała jego ból i starała się być stale przy nim.

Od dnia nadejścia listu od Tima O'Neila upłynęło sześć miesięcy. Kate i David przez cały ten czas pracowali razem, podróżowali razem i często byli ze sobą sam na sam. Kate pragnęła zadowolić Davida we wszelki możliwy sposób. Ubierała się więc z myślą o nim, planowała rzeczy, które mogły sprawić mu przyjemność, i wychodziła wprost z siebie, by uczynić jego życie jak najszczęśliwszym. Zorientowała się jednak, że te wszystkie zabiegi nie przynoszą żadnych rezultatów i w końcu straciła cierpliwość.

Byli w Rio de Janeiro. Po kolacji, którą zjedli w swoim hotelu sprawdzali do późna w nocy pewne obliczenia dotyczące nowego odkrycia minerałów. Kate włożyła wygodne kimono i pantofle. Kiedy skończyli, David przeciągnął się i powiedział:

- To wszystko na dziś. Pójdę się położyć.

- Czy nie czas już - powiedziała łagodnie - abyś skończył z tą żalobą?

- Z żalobą? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Po Josephine O'Neil.

- Ona już dla mnie nie istnieje.

- A więc zachowuj się, jakby tak właśnie było.

- Co mam więc według ciebie robić, Kate? - zapytał z lekką irytacją w głosie.

Kate była już wściekła. Wściekła z powodu jego ślepoty, z powodu tego całego straconego czasu.

- Powiem ci, co według mnie powinieneś zrobić! Pocałuj mnie.

- Co ci przyszło do głowy, Kate?

- Do diabła, Davidzie! Jestem twoim szefem, do cholery! - Przysunęła się do niego. - Pocałuj mnie. - Przyłgnęła do niego ustami, zarzucając mu ramiona na szyję. Czuła, jak się opiera, próbuje uwolnić, ale trwało to tylko chwilę, gdyż zaraz potem objął ją i pocałował.

- Kate...

- Myślałam - wyszeptwała - że już nigdy nie poprosisz mnie...

Sześć tygodni później pobrali się. Był to najwspanialszy ślub w dziejach Klipdrift. Odbył się w największym kościele. A potem urządzono w ratuszu przyjęcie weselne, na które zostali zaproszeni wszyscy mieszkańcy. Były góry jedzenia, niezliczone ilości skrzynek z piwem, whisky i szampanem. Grała muzyka i bawiono się do białego rana. Gdy słońce wzeszło, Kate i David wymknęli się niepostrzeżenie.

- Wrócę do domu i skończę się pakować - powiedziała Kate. - Przyjedź po mnie za godzinę.

W bladym świetle poranka Kate weszła sama do ogromnego domu i skierowała się na górę do sypialni. Tam podeszła do obrazu wiszącego na ścianie, nacisnęła ramę i obraz odchylił się, odsłaniając sejf wmurowany w ścianę. Kate otworzyła go i wyjęła umowę. Dotyczyła nabycia Three Star Meat Packing Company z Chicago przez Kate McGregor. Obok leżała umowa zakupu przez Three Star Meat packing Company od Tima O'Neila patentu na technologię zamrażania żywności za dwieście tysięcy dolarów. Kate zawahała się, a potem włożyła z powrotem dokumenty do sejfu i zamknęła go. David należał teraz do niej. Zawsze należał do niej. I do Kruger-Brent. Razem zbudują największą, najpotężniejszą firmę na świecie.

Taką, o jakiej marzyli Jamie i Margaret McGregorowie.

KSIĘGA TRZECIA

Firma Kruger-Brent

1914-1945

## Rozdział 16

Byli w bibliotece, w tej samej, w której Jamie lubił kiedyś przesiadywać, popijając ulubioną brandy. David tłumaczył, że nie mają czasu na prawdziwy miesiąc miodowy.

- Ktoś musi pilnować interesu, Kate.

- Tak, panie Blackwell. Ale kto w takim razie będzie mnie pilnował? - Usiadła mu na kolanach i poprzez cienką sukienkę poczuł ciepło jej ciała. Dokumenty, które czytał, sfrunęły na podłogę. Oplotła go ramionami, a potem jej dłonie ześlizgnęły się po nim. Przyciskała się do niego, obracając powoli biodrami, sprawiając, że nagle wszystko stało się nieważne. Kate, czując jego reakcję, wstała i zrzuciła z siebie sukienkę. David w oszołomieniu patrzył na jej ponętne ciało dziwiąc się, jak mógł być ślepy tak długo.

Rozbierała go teraz, wprawiając w coraz większe podniecenie. A potem przytulili się nadzy do siebie i zaczął ją pieścić, delikatnie dotykając palcami jej twarzy, szyi i brunatnych czubków twardych, napęczniałych piersi. Jęczała z rozkoszy, podczas gdy jego dłonie posuwały się coraz niżej, aż natrafiły na tę jedwabistą miękkość między udami.

- Weź mnie, Davidzie - wyszeptwała wówczas i w jednej chwili znaleźli się na miękkim, puszystym dywanie. Poczula na sobie słodki ciężar, a zaraz potem długie, rozkoszne pchnięcie. Był w niej wreszcie, wypełniał ją, a ona poddawała się jego ruchom. To było tak, jakby olbrzymia wzrastająca fala przyływu unosiła ją coraz wyżej i wyżej, aż w końcu pomyślała, że dłużej już nie wytrzyma tej ekstazy, i wówczas, głęboko w niej, nastąpiła nagle wspaniała eksplozja, a zaraz potem druga, i jeszcze jedna. Kate miała teraz wrażenie, jakby umarła i znalazła się w niebie.

Podróżowali po całym świecie. Byli w Paryżu i Zurychu, w Nowym Jorku i Sydney, wszędzie dbając o interesy firmy, ale i nie zapominając o sobie. Prowadzili długie, nocne rozmowy, kochali się i odkrywali swoje ciała i dusze. Kate była dla Davida niewyczerpanym źródłem zachwyty. Budziła go wcześniej rano, by kochać się z nim dziką, pogańską miłością, a po kilku godzinach siedziała już przy nim rześka na konferencji biznesmenów i wypowiadała się rozsądniej niż ktokolwiek inny. Miała wrodzony i wyjątkowy zmysł do interesów, którym zaskakiwała wszystkich. Tylko kilku kobietom udało się wspiąć na najwyższe szczeble światowego biznesu. Na początku traktowano Kate z łaskawą pobłażliwością, ale ta postawa szybko zmieniła się w ostrożny szacunek. Kate znajdowała prawdziwą przyjemność w tej grze; w machinacjach i manewrowaniu, jakie się z nią wiązały.

David obserwował, jak z coraz większą wprawą przechytrza mężczyzn. Posiadała instynkt zwycięzcy. Wiedziała, czego chce i jak to zdobyć. Władza.

Zakończyli swój miodowy miesiąc wspianiałym tygodniem w Cedar Hill House w Dark Harbor.

Był 28 czerwca 1914 roku i po raz pierwszy zaczęto mówić o wojnie. Kate i David gościli właśnie w pewnej posiadłości wiejskiej w hrabstwie Sussex. Był to okres, w którym panowała moda na życie w rezydencjach wiejskich i od zapraszanych na soboty i niedziele gości oczekiwano dostosowania się do określonych rytuałów. Inaczej ubierano się na śniadanie, inaczej na przedpołudniowy spacer, inaczej na lunch, inaczej na popołudniową herbatkę, a jeszcze inaczej na kolację.

- Chryste Panie! - protestował David. - Czuję się tak, jakbym był jakimś cholernym pawiem.

- Ale bardzo przystojnym pawiem, kochanie - pocieszyła go Kate. - Kiedy wrócimy do domu, możesz chodzić zupełnie nagi.

David przytulił ją do siebie.

- Nie mogę się już tego doczekać.

Przy kolacji nadeszła wiadomość, że Franciszek Ferdynand, następca tronu austro-węgierskiego, i jego żona Zofia zginęli od kul zamachowca. Lord Maney, który pełnił honory gospodarza domu, powiedział:

- Obrzydliwa rzecz zabijać kobietę, nieprawdaż? Ale nikt nie będzie pchał się do wojny z powodu jakiegoś małego bałkańskiego państewka.

I rozmowa zesłała na krykiet. Później, gdy leżeli już w łóżku, Kate zapytała:

- Czy sądzisz, Davidzie, że dojdzie do wojny?

- Z powodu zamordowania jakiegoś pomniejszego arcyksięcia? Nie.

Wkrótce jednak okazało się, iż było to błędne przypuszczenie. Austro-Węgry podejrzewając, że ich sąsiad Serbia uknuła spisek na życie Ferdynanda, wypowiedziały jej wojnę i do października prawie wszystkie mocarstwa przystąpiły do wojny. Działania wojenne prowadzono na nie spotykaną dotąd skalę, przy zastosowaniu najnowszych zdobyczy techniki. Po raz pierwszy wykorzystano nowoczesne środki lokomocji: samoloty, sterowce i łodzie podwodne.

W dniu, w którym Niemcy wypowiedziały wojnę, Kate stwierdziła:

- To może być dla nas wielka szansa, Davidzie.

- O czym ty mówisz, Kate? - David zmarszczył brwi.

- Państwa będą potrzebowały teraz broni, amunicji i...

- Nie dostaną ich od nas - przerwał jej stanowczo. - Mamy i tak dochodowy interes, Kate. Nie musimy czerpać zysków z czyjejś krwi.

- Czy nie jesteś nieco zbyt dramatyczny? Ktoś musi produkować broń.

- Dopóki jestem w tej firmie, nie pozwolę na to. I nie mówmy już o tym więcej, Kate. Temat jest zakończony.

„Niech mnie diabli, jeśli jest” - pomyślała Kate. Po raz pierwszy w ich życiu małżeńskim położyli się spać oddzielnie. „Jak David może być tak idealistycznym głupkiem?” - dziwiła się Kate, a David: „Jak ona może być taka wyrachowana? Biznes ją zmienił”.

Następne dni były okropne. David żałował, że między nimi powstała przepaść, ale nie wiedział, jak temu zaradzić. Kate była nazbyt dumna i uparta, aby mu ustąpić, a poza tym była głęboko przekonana o swojej racji.

Prezydent Woodrow Wilson obiecał, że Stany Zjednoczone nie będą mieszać się do wojny, ale gdy niemieckie łodzie podwodne zaczęły torpedować nie uzbrojone statki pasażerskie i coraz częściej słychać było o okrucieństwach, jakich dopuszczali się Niemcy, rząd amerykański znalazł się pod olbrzymią presją udzielenia pomocy aliantom. „Ocalcie świat dla demokracji” - głosiło jedno z haseł.

David nauczył się latać w kraju buszu, jakim była Afryka Południowa, i kiedy we Francji przystąpiono do formowania Eskadry Lafayette'a z amerykańskich pilotów, oznajmił Kate, że ma zamiar się zaciągnąć. Kate zdrętwiała z przerażenia.

- Nie! To nie jest twoja wojna!

- Ale będzie - odparł spokojnie David. - Stany Zjednoczone nie mogą już dłużej trzymać się na uboczu. Jestem Amerykaninem. Moim obowiązkiem jest pomóc.

- Masz czterdzieści sześć lat!

- Mogę nadal prowadzić samolot, Kate. A teraz każda pomoc się liczy.

Kate w żaden sposób nie mogła go odwieść od tego zamiaru. Ostatnich kilka dni spędzili w zgodzie, zapominając o dzielących ich różnicach.

Nocą, tuż przed wyjazdem do Francji, David powiedział:

- Ty i Brad Rogers możecie pokierować interesami równie dobrze jak ja, a może nawet i lepiej.

- A jeśli ci się coś stanie? Nie przeżyłabym tego.

Przycisnął ją mocno do siebie.

- Nic mi się nie stanie, Kate. Wrócę do ciebie obwieszony medalami.

Następnego dnia rano wyjechał.

Nieobecność Davida była dla Kate śmiertelnym ciosem. Tak wiele czasu potrzebowała, by go zdobyć, a teraz każdą chwilę jej życia wypełniał okropny lęk, że już nie wróci. Był z nią zawsze i wszędzie. Odnajdywała go w dźwięku obcego głosu, w nagłym wybuchu śmiechu na cichej ulicy, w jakimś wyrażeniu, zapachu, piosence. Codziennie pisała do Davida długie listy, a każdy list otrzymany od niego czytała setki razy, aż z papieru pozostawały jedynie strzępy. Pisał, że czuje się dobrze, że Niemcy mają przewagę w powietrzu, ale to powinno się zmienić. Że krążą pogłoski, wedle których Ameryka ma wkrótce przystąpić do wojny. Że będzie pisał, gdy tylko czas mu na to pozwoli, i że ją kocha.

„Nie pozwól, kochanie, żeby ci się coś stało, gdyż wówczas musiałabym cię na zawsze znienawidzić”.

Próbowała zapomnieć o samotności i bólu, rzucając się w wir pracy. Na początku wojny Francja i Niemcy posiadały najlepiej wyposażone siły zbrojne w Europie. Alianci dysponowali większą armią, większymi zapasami sprzętu i surowców. Rosja miała najliczniejszą armię, ale najgorzej wyposażoną i dowodzoną.

- Wszystkie te kraje potrzebują pomocy - powiedziała Kate do Brada Rogersa. - Potrzebują czołgów, armat i amunicji.

- Kate, David uważa... - Brad Rogers znalazł się w kłopotliwej sytuacji.

- Davida tu nie ma, Brad. Decyzja należy tylko do ciebie i do mnie.

Brad Rogers dobrze jednak wiedział, co w istocie znaczą te słowa. „Decyzja należy tylko do mnie”.

Kate nie mogła zrozumieć stanowiska, jakie David zajął wobec produkcji broni. Alianci potrzebowali jej i Kate uważała, że zaspokajając ich potrzeby, spełni swój patriotyczny obowiązek. Konferowała na ten temat z przywódcami sześciu sprzymierzonych krajów i nie minął rok, jak firma Kruger-Brent zaczęła produkować armaty, czołgi, bomby i amunicję. Kruger-Brent szybko stała się jednym z najprężniej rozwijających się koncernów na świecie. Gdy Kate zobaczyła najnowszy bilans dochodów firmy, powiedziała do Brada Rogersa:

- Zapoznałeś się już z tym? David będzie musiał przyznać, że nie miał racji.

Tymczasem Afryka Południowa przeżywała fale niepokoju. Przywódcy partyjni

zobowiązali się poprzeć aliantów i obronić Afrykę Południową przed Niemcami, ale większość Afrykanerów była przeciwna wspomaganium Wielkiej Brytanii; nie mogli tak szybko zapomnieć o przeszłości.

W Europie aliantom szło marnie. Na froncie zachodnim walki utknęły w martwym punkcie. Obie strony okopały się i zabezpieczyły drutami kolczastymi, które rozciągały się wzdłuż Francji i Belgii. Żołnierze znajdowali się w rozpaczliwym położeniu. Deszcze wypełniły ziemianki błotem i wodą; w oblepionych robactwem okopach roiło się od szczurów. Kate była wdzięczna losowi, że David prowadzi swoją wojnę w powietrzu.

6 kwietnia 1917 roku prezydent Woodrow Wilson wypowiedział wojnę i przepowiednia Davida sprawdziła się. Ameryka przystąpiła do mobilizacji. 26 czerwca 1917 roku wylądował we Francji amerykański Korpus Ekspedycyjny. Na ustach wszystkich pojawiły się teraz takie nazwy, jak: Saint-Michel... Chateau-Thierry... Meuse-Argonne... Belleau Wood... Verdun... Alianci stali się nieodpartą siłą i wreszcie 11 listopada 1918 roku wojna skończyła się. Świat został ocalony dla demokracji.

David był w drodze powrotnej do domu.

Gdy w Nowym Jorku zszedł z transportowca na ląd, Kate czekała na niego. Przez chwilę, która zdawała się trwać nieskończenie długo, stali naprzeciw siebie z szeroko otwartymi oczami, nie zważając na hałas i kłębiące się wokół tłumy, a potem Kate znalazła się w jego ramionach. Na wojnie schudł bardzo i wyglądał na wyczerpanego.

„O, Boże - pomyślała. - Tak bardzo mi go brakowało”.

Miała do niego tysiące pytań, ale nie spieszyła się z nimi.

- Zabieram cię do Cedar Hill House - oznajmiła. - To najlepsze miejsce, żebyś odpoczął.

W oczekiwaniu na przyjazd Davida Kate zrobiła mnóstwo rzeczy w domu. W wielkim przestronnym pokoju mieszkalnym przybyły podwójne sofy wyściełane cenną, różowo-zieloną tkaniną we wzory kwiatowe, wygodne fotele przy kominku, nad którym wisiała martwa natura Vlaminka, a po obu jego stronach - połączane kinkiety. Dwuskrzydłowe drzwi prowadziły na krytą płócienną markizą werandę, otaczającą dom z trzech stron. Wszystkie pomieszczenia były jasne i przestronne, a widok na przystań bardzo malowniczy.

Kate oprowadzała Davida po domu, radośnie szczebiocąc przez cały czas. David wydawał się dziwnie spokojny.

- Czy podoba ci się, co tu zrobiłam, kochanie? - zapytała, gdy już skończyli obchód.

- Tak - odparł. - Jest pięknie, Kate. A teraz usiądź. Chciałbym z tobą o czymś



pomówić.

Kate poczuła, jak cała jej radość znika w jednej chwili.

- Zdaje się - powiedział David - że staliśmy się dostawcami broni dla połowy świata.

- O co ci chodzi, Davidzie? Zajrzyj najpierw do ksiąg. Nasz zysk...

- Ja mówię o czymś innym. O ile pamiętam, nasz zysk był całkiem niezły przed moim wyjazdem. Sądziłem, że zgodziliśmy się, aby nie angażować się w tego rodzaju produkcję.

- To ty się zgodziłeś. - Kate z trudem powściągnęła narastający gniew. - Ja nie. Czasy się zmieniają, Davidzie, a my wraz z nimi musimy się zmieniać.

Spojrzał na nią uważnie i zapytał spokojnie:

- Czy to nie ty się zmieniasz?

Tego wieczoru leżąc w łóżku Kate zastanawiała się, czy to ona się zmieniła, czy David. Czy to ona stała się silniejsza, czy też David stał się słabszy? Myślała o jego argumentach przeciwko produkcji broni. Nie były to mocne argumenty. W końcu ktoś musiał dostarczać towary dla aliantów i można na tym było zarobić ogromne pieniądze. Co się stało z Davidem? Z jego poczuciem zdrowego rozsądku? Zawsze uważała go za najmądrzejszego człowieka na świecie. Teraz jednak miała wrażenie, że jest zdolna lepiej niż on pokierować interesami. Tej nocy nie mogła zasnąć.

Rano Kate i David zjedli razem śniadanie, a potem spacerowali po okolicy.

- Jest tu naprawdę pięknie - powiedział David. - Cieszę się, że jestem tutaj.

- Wracając do naszej wczorajszej rozmowy... - zaczęła Kate, ale David jej przerwał:

- To już się stało. Mnie nie było, a ty zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne.

„Czy zrobiłabym to samo, gdybyś tu był? - pomyślała, ale nie wypowiedziała tych słów na głos. - Zrobiłam to, co należało zrobić dla dobra firmy. Czy firma jest dla mnie więcej warta niż małżeństwo?”

Kate bała się odpowiedzieć na to pytanie.

## Rozdział 17

Kolejne pięć lat było dla świata okresem niebywałego rozwoju. Firma Kruger-Brent powstała na diamentach i złocie, ale z czasem zaczęła rozgałęziać się i rozprzestrzeniać na całym świecie, tak że jej głównym terenem działalności nie była już Afryka Południowa. Firma nabyła ostatnio imperium prasowe, kompanię ubezpieczeniową i pół miliona akrów lasu.

Pewnej nocy Kate lekko trąciła Davida łokciem, by go obudzić.

- Kochanie - powiedziała, gdy otworzył oczy - przenieśmy siedzibę firmy.

- Co... Co takiego? - David usiadł oszołomiony na łóżku.

- Główny ośrodek światowego biznesu znajduje się dziś w Nowym Jorku i tam też powinna znajdować się nasza siedziba. Afryka Południowa jest zbyt daleko od wszystkiego. Poza tym teraz, kiedy istnieje telefon i telegraf, możemy w jednej chwili skontaktować się z każdym z naszych biur.

- No i dlaczego nigdy mi to nie przyszło do głowy? - mruknął David i ponownie zapadł w sen.

Nowy Jork był podniecającym, nowym światem. Ilekroć przyjeżdżała do tego miasta, zawsze odczuwała jego żywy puls, ale żyjąc w Nowym Jorku miała wrażenie, jakby dostała się w sam środek jakiegoś szalonego wiru. Ziemia zdawała się tu kręcić znacznie szybciej, zresztą wszystko działo się tutaj jakby na przyspieszonych obrotach.

Na miejsce nowej siedziby firmy Kate i David wybrali Wall Street. Architekci zabrali się do pracy. Kate zaangażowała ponadto znanego architekta do zaprojektowania rezydencji w stylu szesnastowiecznego odrodzenia francuskiego przy Piątej Alei.

- To miasto jest cholernie hałaśliwe - uskarżał się David.

To była prawda. Dookoła rozlegał się nieustanny, ogłupiający klekot młotków nitowniczych, a setki wieżowców wystrzeliwało w niebo. Nowy Jork stał się Mekką światowego handlu, siedzibą kompanii żeglugowych, ubezpieczeniowych, telekomunikacyjnych i transportowych. Było to miasto kipiące niepowtarzalną energią. Kate była zachwycona, ale odnosiła wrażenie, że David nie czuje się tutaj dobrze.

- Davidzie, tu jest przyszłość. To miejsce rozwija się, a my będziemy się rozwijać wraz z nim.

- Na miłość boską, Kate. Czego ty jeszcze chcesz?

- Wszystkiego, co możliwe - odparła bez namysłu.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego David w ogóle zadał jej takie pytanie. Celem gry było zwyciężać, a zwyciężało się pokonując wszystkich innych graczy. Wydawało się to oczywiste. Dlaczego David nie mógł tego pojąć? David był dobrym biznesmenem, ale brakowało mu żądy zwyciężania, bycia najlepszym z najlepszych. Jej ojciec miał w sobie tego ducha i ona też go miała. Kate nie była pewna, kiedy to się zaczęło, ale w pewnym momencie firma stała się jej panem, a ona niewolnicą. Firma miała większy wpływ na nią niż ona na firmę.

Kiedy próbowała to raz wyjaśnić Davidowi, roześmiał się tylko i powiedział:

- Jesteś przemęczona pracą.

„Jest taka podobna do swego ojca” - pomyślał zaraz potem. Ta myśl, nie wiadomo dlaczego, wydała mu się nieco niepokojąca.

„Jak można być przemęczonym pracą?” - dziwiła się Kate. Nie ma w życiu większej radości. Tylko pracując czuje się w sobie najwięcej wigoru. Każdy dzień przynosi nowe problemy, a każdy problem stanowi wyzwanie, zagadkę, którą należy rozwiązać; nową grę, w której należy zwyciężyć. Kate była wspaniała w tej grze. Została wciągnięta w coś niezwykłego. To coś nie miało nic wspólnego z pieniędzmi lub karierą, a tylko z władzą, dzięki której panowało się nad życiem tysięcy ludzi w każdym zakątku ziemi. Tak jak kiedyś panowano nad jej życiem. Mając władzę, nie musiała czuć się od nikogo zależna. Była to broń wzbudzająca grozę ponad wszelkie wyobrażenia.

Kate była zapraszana na obiady z królami, królowymi i prezydentami. Wielcy tego świata zabiegali o jej względy i życzliwość. Władza. Firma żyła, była rosnącym gigantem, którego trzeba było karmić i który czasem wymagał poświęceń, aby mógł się dalej swobodnie rozwijać. Kate rozumiała teraz, że firma żyje swoim rytmem, i ten rytm stał się jej własnym.

W marcu, rok po tym, jak przenieśli się do Nowego Jorku, Kate poczuła się nie najlepiej. David przekonał ją, aby poszła do doktora.

- Nazywa się John Harley. Jest młodym lekarzem, cieszącym się bardzo dobrą opinią.

Kate zgodziła się na to niechętnie. John Harley był szczupłym, poważnie wyglądającym bostończykiem w wieku około dwudziestu sześciu lat.

- Ostrzegam pana - poinformowała go Kate już na wstępie - że nie mam czasu, aby chorować.

- Będę o tym pamiętał, pani Blackwell. Tymczasem spójrzmy na panią.

Doktor Harley zbadał ją i pobrał kilka próbek do analizy.

- Jestem pewien, że to nic poważnego. Wyniki będą jutro lub pojutrze. Proszę zadzwonić do mnie w środę.

W środę, wczesnie rano, Kate zadzwoniła do doktora Harleya.

- Mam dla pani dobrą wiadomość, pani Blackwell - oznajmił ochoczo. - Będzie pani miała dziecko.

Była to jedna z najbardziej podniecających chwil w życiu Kate. Nie mogła się doczekać Davida, aby obwieścić mu nowinę.

Nigdy nie widziała go tak przejętym. Porwał ją w swoje mocne ramiona i zawołał: - To będzie dziewczynka, całkiem podobna do ciebie!

„Tego właśnie Kate potrzebuje - pomyślał. - Teraz więcej czasu poświęci na dom i stanie się lepszą żoną”. A Kate pomyślała: „To będzie chłopiec. Pewnego dnia przejmie Kruger-Brent”.

W miarę jak zbliżał się termin rozwiązania, Kate pracowała z coraz mniejszą intensywnością, ale nadal każdego dnia przychodziła do biura.

- Zapomnij o biznesie i odpręż się - doradzał jej David.

Nie rozumiał jednak, że to właśnie biznes daje jej odprężenie.

Dziecko miało się urodzić w grudniu.

- Postaram się - obiecała Kate Davidowi - aby to był nasz najwspanialszy prezent pod choinkę.

„To będą cudowne święta - pomyślała nie bez pewnej euforii. - Stoję na czele ogromnej korporacji, mam męża, którego kocham, i niebawem wydam mu na świat potomka”. Jeśli w tej kolejności priorytetów kryła się ironia, Kate nie zdawała sobie z tego sprawy.

Jej ciało powiększało się i robiło niekształtne. Coraz więcej trudności sprawiało jej chodzenie do biura, ale ilekroć David albo Brad Rogers sugerowali, aby została w domu, odpowiadała z niezmiennym uporem: - Mój umysł nadal pracuje.

Na dwa miesiące przed narodzinami dziecka David pojechał do Afryki Południowej, aby dokonać inspekcji jednej z kopalń nad rzeką Pniel. Miał wrócić po dwóch tygodniach.

Kate siedziała za biurkiem, gdy w pewnej chwili Brad Rogers wszedł nie zapowiedziany do gabinetu. Spojrzała na jego twarz, na której malowało się przygnębienie.

- Straciliśmy interes z Shannon! - zawołała.

- Nie. Ja... Kate, dostałem właśnie wiadomość. Doszło do wypadku. W kopalni był

wybuch.

Poczuła ostry ból.

- Gdzie? Czy straty są duże? Czy ktoś zginął?

Brad zaczerpnął głęboko powietrza.

- Sześć osób, Kate... Wśród nich był David.

Słowa zdawały się wypełniać całe pomieszczenie, odbijając od wykładanych boazerią ścian, rozbrzmiewać coraz głośniejsze i głośniejsze. W uszach słyszała jakby ogłuszający ryk fal, które wchłaniały ją coraz głębiej i głębiej, aż poczuła, że nie może już dłużej oddychać.

Nagle wszędzie zrobiło się ciemno i cicho.

Dziecko przyszło na świat już w godzinę później, dwa miesiące przed planowanym terminem. Kate dała mu podwójne imię: Anthony James, po ojcu Davida. „Będę cię kochać, mój synu, za siebie i za twego ojca”.

Rezydencja przy Piątej Alei była gotowa w miesiąc później i Kate wprowadziła się tam wraz z dzieckiem i całym orszakiem służby. Dwa zamki we Włoszech zostały ogołoczone, aby urządzić ten dom, który mógł stanowić prawdziwą atrakcję turystyczną. Znajdowały się tu mistrzowsko wyrzeźbione, szesnastowieczne, włoskie orzechowe meble i podłogi z różowego marmuru, wyłożona boazerią biblioteka ze wspaniałym osiemnastowiecznym kominkiem, nad którym wisiało jedno z najlepszych płócien Holbeina. Był także pokój myśliwski z kolekcją broni Davida i prawdziwa galeria sztuki wypełniona Rembrandtami, Vermeerami, Velazquezami i Bellinimi. Była też sala balowa, duży, słoneczny salon, wykwinna jadalnia, pokój dziecienny obok pokoju Kate i niezliczone sypialnie. W rozległych, zadbanych ogrodach stały rzeźby Rodina, Augustusa Saint-Gaudensa i Maillola. Był to pałac godny królów. „I król wyrośnie w nim” - pomyślała z radością Kate.

W 1928 roku, kiedy Tony miał cztery lata, Kate posłała go do przedszkola. Był ładnym, poważnym chłopcem. Miał szare oczy i dumny podbródek po matce. Otrzymywał lekcje muzyki, a gdy skończył pięć lat, Kate zapisała go do szkoły tańca. Najradośniejsze chwile przeżywali w Cedar Hill House, w Dark Harbor. Kate kupiła jacht, osiemdziesięciostopowy żaglowiec z silnikiem. Nazwała go „Korsarzem” i wraz z Tonym żeglowali po wodach przybrzeżnych stanu Maine. Tony to uwielbiał. Dla Kate jednak największą przyjemnością była praca.

Firma, którą założył Jamie McGregor, miała w sobie coś mistycznego. Pulsowała życiem, pochłaniała. Była kochankiem, miała trwać zimą i latem, nigdy jej nie opuścić. Miała żyć wiecznie. Kate pragnęła tego dopilnować. „Pewnego dnia przekażę ją mojemu synowi” -

myślała z niezłomną wiarą.

Jedyne, co przeszkadzało Kate w życiu, to sytuacja, w jakiej znalazł się jej kraj rodzinny. Odczuwała głęboki niepokój o Afrykę Południową. Konflikty na tle rasowym przybierały na sile. Istniały dwa obozy polityczne: *verkrampes* - mniejszy, do którego należeli zwolennicy segregacji, i *verligtes* - postępowy, który domagał się poprawy warunków życia czarnych. Premier James Hertzog i Jan Smuts utworzyli koalicję, by wspólnymi siłami przeforsować nową ustawę o nadaniu ziemi. Czarni zostali skreśleni ze spisu wyborców. Odtąd nie mieli już prawa głosować i posiadać własnej ziemi. Nowe prawo zniszczyło życie milionom ludzi należących do różnych grup mniejszościowych. Kolorowym, czarnym i Hindusom wydzielono obszary pozbawione bogactw mineralnych, ośrodków przemysłowych i portów.

Kate udała się do Afryki Południowej, by spotkać się w tej sprawie z wysokimi przedstawicielami tamtejszych kół rządowych.

- Sami szykujecie na siebie pętlę - oświadczyła - chcąc z ośmiu milionów ludzi zrobić niewolników.

- To nie jest niewolnictwo, pani Blackwell. Robimy to dla ich własnego dobra.

- Czyżby? Czym to uzasadnicie?

- Każda rasa ma coś do zaoferowania. Jeśli czarni zaczną mieszać się z białymi, tracą swoją odrębność.

- To jakaś cholerna bzdura - odparowała Kate. - Afryka południowa stała się rasistowskim piekłem.

- To nieprawda. Czarni z innych krajów przebywają tysiące mil, by się tu dostać. Płacą aż pięćdziesiąt sześć funtów za podrobione zezwolenia na przekroczenie granicy. Czarnym lepiej się tu powodzi niż gdziekolwiek.

- W takim razie żal mi ich.

- To prymitywne dzieci, pani Blackwell. Robimy to tylko dla ich własnego dobra.

Kate wyszła ze spotkania zrozpaczona, odczuwając głęboki niepokój o los kraju. Martwiła się również o Bandę. Prasa często pisała o nim. Gazety południowoafrykańskie nazywały go - nie bez pewnego podziwu - Szkarłatnym Uciekinierem. Stale wymykał się policji, przebierając za robotnika, szofera lub dozorcę. Organizował partyzantkę i znajdował się na czele listy osób najbardziej poszukiwanych przez policję. W jednym z artykułów zamieszczonych na łamach „Cape Time” pisano o tym, jak w pewnej dzielnicy czarnych tłumy demonstrantów niosły go triumfalnie na rękach. Chodził od wsi do wsi i przemawiał do

rzysz swoich wyznawców, a ilekroć policja wpadała na jego trop, znikał. Mówiono o nim, że ma osobistą straż przyboczną, złożoną z setek przyjaciół i zwolenników. Każdą noc spędzał w innym domu.

Kate wiedziała, że już tylko śmierć może go powstrzymać, i odczuwała potrzebę skontaktowania się z nim. Wezwała więc jednego ze swoich najbardziej doświadczonych sztygarów, Murzyna, człowieka, któremu ufała.

- Williamie, czy sądzisz, że udałoby ci się odszukać Bandę?

- Tylko wówczas, gdyby sobie tego życzył.

- Spróbuj. Chciałabym z nim porozmawiać.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Następnego dnia rano William oznajmił:

- Jeśli jest pani wolna dziś wieczorem, kierowca zabierze panią w głąb łądu.

Kate została zawieziona do niewielkiej wsi oddalonej o siedemdziesiąt mil od Johannesburga. Kierowca zatrzymał się przed małym drewnianym domkiem i Kate weszła do środka. Banda czekał już na nią. Wyglądał tak samo jak ostatnim razem, gdy go widziała. „A ma chyba z sześćdziesiąt lat” - pomyślała. Od wielu lat był ścigany przez policję, a mimo to zachował pogodę ducha i spokój.

Uścisnął Kate serdecznie i powiedział:

- Za każdym razem, kiedy cię widzę, wyglądasz pięknie.

- A jednak starzeję się. - Roześmiała się. - Za kilka lat dobieję do czterdziestki.

- Wygląda na to, że czas jest dla ciebie bardzo łaskawy, Kate.

Weszli do kuchni, a gdy Banda zabrał się do zaparzania kawy, Kate rzekła:

- Nie podoba mi się, Bando, co się tu dzieje. Dokąd to wszystko zmierza?

- Będzie jeszcze gorzej - odparł Banda. - Rząd nie chce zgodzić się na rozmowy. Biali spalili wszystkie mosty, jakie ich łączyły z nami, ale pewnego dnia okaże się, że będą ich potrzebować, aby nas pozyskać. Mamy teraz swoich bohaterów, Kate. Nehemiah Tile, Mokone, Richard Msimang. Biali traktują nas jak bydło. Przeganiają jak krowy z pastwiska na pastwisko.

- Nie wszyscy biali myślą w ten sposób - zapewniła go Kate. - I wśród nich masz przyjaciół, którzy chcą to wszystko zmienić. Pewnego dnia tak się stanie, Bando, ale na to potrzeba czasu.

- Czas jest jak piasek przesypany się w klepsydrze.

- Bando, co dzieje się z Ntame i Magenem?

- Moja żona i syn pozostają w ukryciu - odrzekł ze smutkiem Banda. - Policja nadal depta mi po piętach.

- Jak mogłabym ci pomóc? Nie mogę po prostu siedzieć i nic nie robić. Czy potrzebujesz pieniędzy?

- Pieniądze zawsze są potrzebne.

- Zajmę się tym. Co jeszcze?

- Módl się. Módl się za nas wszystkich.

Następnego dnia rano Kate wróciła do Nowego Jorku.

Kiedy Tony był już dostatecznie duży, Kate zabrała go na wakacje w jedną ze swoich podróży służbowych. Był zachwycony muzeami i godzinami mógł wpatrywać się w płótna i rzeźby wielkich mistrzów. W domu sporządzał kopie obrazów wiszących na ścianach, ale wstydził się pokazywać je matce.

Tony był przemyślnym, bystrym i zabawnym chłopcem, a przy tym wszystkim cechowała go pewna ujmująca nieśmiałość. Kate była dumna z syna. Był zawsze najlepszym uczniem.

- Pokonałeś wszystkich, kochanie, prawda? - mówiła i śmiała się, zachłannie przyciskając go do siebie.

Mały Tony zaś jeszcze bardziej starał się spełniać jej oczekiwania.

W 1936 roku, w dniu, w którym Tony ukończył dwanaście lat, Kate wróciła z podróży po Bliskim Wschodzie. Tęskniła za Tonym i nie mogła się doczekać chwili, gdy go znów zobaczy. Czekał na nią w domu. Kate objęła go mocno i pocałowała.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie, z okazji urodzin! Czy miałaś miły dzień?

- T-tak, m-mamo, w-w-wspaniały.

Kate cofnęła się i spojrzała na niego uważnie. Nigdy przedtem nie zauważyła, aby się zacinał w mowie.

- Dobrze się czujesz, Tony?

- Ś-świetnie, dziękuję, m-mamo.

- Nie musisz się jąkać - powiedziała mu. - Mów wolniej.

- Tak, m-mamo.

Przez kolejnych kilka tygodni jąkanie się nasiliło. Kate postanowiła zwrócić się do doktora Harleya. Po zbadaniu Tony'ego oznajmił:

- Pod względem fizycznym chłopiec rozwija się prawidłowo. Kate, powiedz mi, czy znajduje się on pod jakąś presją?



- Mój syn? Oczywiście, że nie. Jak możesz zadawać takie pytania?

- Tony jest wrażliwym chłopcem. Jąkanie jest bardzo często fizycznym manifestowaniem frustracji, niemożnością podłożenia czemuś.

- Jesteś w błędzie, John. Tony ma w szkole najlepsze wyniki ze wszystkich sprawdzianów. W ostatnim semestrze zdobył trzy nagrody. Był najlepszym i najwszechstronniejszym sportowcem, naukowcem i był najlepszy w naukach humanistycznych. I ty nazywasz to niemożnością podłożenia czemuś?

- Ach, tak. - Spojrzał na nią uważnie. - Jak reagujesz, Kate, gdy Tony się jąka?

- Oczywiście poprawiam go.

- Proponowałbym zatem, abyś tego nie robiła. To go jeszcze bardziej stresuje.

Kate wyglądała teraz tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć.

- Jeśli Tony ma jakieś problemy natury psychicznej, a tak zdajesz się uważać, zapewniam cię, że nie z powodu swojej matki. Uwielbiam go. I on wie, że uważam go za najwspanialsze dziecko pod słońcem.

I to właśnie było sedno problemu. Żadne dziecko nie mogłoby temu poddać. Doktor Harley rzucił okiem na kartę informacyjną.

- Zastanówmy się więc. Tony ma dwanaście lat?

- Tak.

- Sądzę, że dobrze by mu zrobiło, gdyby na jakiś czas wyjechał. Może do jakiejś szkoły prywatnej.

Kate ze zdziwieniem spojrzała na niego.

- Niech trochę pobędzie sam. Chociaż do czasu ukończenia szkoły wyższej. Słyszałem, że w Szwajcarii jest dużo świetnych szkół.

Szwajcaria! Myśl o tym, że Tony mógłby przebywać z dala od niej była przerażająca. „Jest jeszcze za mały, nie jest przygotowany, on...” Doktor Harley popatrzył na nią uważnie.

- Zastanowię się nad tym - powiedziała Kate.

Tego popołudnia odwołała posiedzenie rady nadzorczej i wróciła wcześniej do domu. Tony był w swoim pokoju i odrabiał lekcje.

- D-dostałem dzi-dziś same celujące, m-mamo.

- Czy chciałbyś, kochanie, chodzić do szkoły w Szwajcarii?

Tony'emu zabłyśły oczy.

- A z-zgodziłabyś się?

W sześć tygodni później Kate wsadziła Tony'ego na statek. Posyłała go do Instytutu

Le Rosey w Rolle, małym miasteczku położonym nad brzegiem Jeziora Genewskiego. Stała na nowojorskim molo i patrzyła, jak ogromny transatlantyk pozbywa się holowników i wypływa na pełne morze. „Cholera! Będzie mi go brakowało”. Potem odwróciła się i wróciła do czekającej limuzyny, by pojechać z powrotem do biura.

Kate lubiła pracować z Bradem Rogersem. Był niewiele starszy od niej. Przez te wszystkie lata stali się dobrymi przyjaciółmi i Kate ogromnie ceniła jego przywiązanie do firmy Kruger-Brent. Brad był kawalerem i miał mnóstwo różnych atrakcyjnych przyjaciółek, ale z czasem Kate zauważyła, że podkochuje się w niej. Kilka razy czynił aluzje na ten temat, ale ona wolała, aby ich stosunki nie wychodziły poza ramy służbowe. Tylko raz złamała tę zasadę.

Brad zaczął regularnie spotykać się z pewną kobietą. Przebywał z nią do późna w nocy i na poranne narady przychodził zmęczony i roztargniony; najwyraźniej myślał o czymś innym. Nie było to korzystne dla firmy. Gdy minął miesiąc, a w jego zachowaniu nic się nie zmieniło, Kate postanowiła, że musi coś zrobić. Pamiętała, jak swego czasu David omal nie odszedł z firmy z powodu kobiety. Nie mogła pozwolić, aby to samo powtórzyło się z Bradem.

Kate zamierzała wyjechać do Paryża, aby nabyć pewne przedsiębiorstwo eksportowo-importowe, ale w ostatniej chwili poprosiła Brada, by jej towarzyszył. Dzień, w którym przyjechali, spędzili na negocjacjach, a wieczorem zjedli kolację w „Grand Vefour”. Kate zaproponowała Bradowi, aby wstąpił później do jej apartamentu w hotelu „George V” i raz jeszcze przejrzał z nią raporty na temat nowego przedsiębiorstwa. Kiedy się zjawił, przywitała go w nocnym negliżu.

- Przyniosłem też skorygowaną ofertę - zaczął. - Moglibyśmy...

- Nie musimy się z tym aż tak spieszyć, Brad - przerwała Kate głosem, w którym kryła się zachęta i który sprawił, że Brad spojrzał na nią uważnie. - Chciałam po prostu, abyśmy byli sami.

- Kate...

Przytuliła się i objęła go mocno.

- Mój Boże! - powiedział. - Pragnąłem ciebie już od tak dawna.

- I ja ciebie, Brad.

Poszli do sypialni.

Była kobietą zmysłową, ale cała jej energia seksualna już od dawna znajdowała ujście w czymś innym. Kate całkowicie pochłaniała praca. Potrzebowała Brada z innych względów.

Był już gotów. Rozchyliła uda i poczuła w sobie jego twardość. Nie było to ani przyjemne, ani nieprzyjemne.

- Kate, od tak dawna cię kocham...

Zaczął wchodzić w nią coraz głębiej, poruszając się do przodu i do tyłu w tym odwiecznym rytmie, podczas gdy ona myślała:

„Cholernie dużo żądają za firmę. Zbyt dużo. Ale przetrzymają mnie, ponieważ wiedzą, że mi zależy”.

Brad szeptał jej do ucha słowa pieśczoły.

„Mogłabym zerwać negocjacje i czekać cierpliwie, aż wrócą. A co by było, gdyby nie wrócili? Czy mogę sobie pozwolić na ryzyko utraty tego interesu?”

Jego ruchy były teraz szybsze i Kate zaczęła poruszać biodrami.

„Nie. Z łatwością znajdą innego kupca. Lepiej zapłacić im tyle, ile żądają. Odbiję to sobie sprzedając jedno z ich towarzystw akcyjnych”.

Brad jęczał w gorączce rozkoszy i Kate przyspieszyła swoje ruchy doprowadzając go do szczytu.

„Powiem, że przyjmuję ich warunki”.

Brad z trudem łapał oddech, aż w końcu wykrztusił:

- O, Boże, Kate, było mi cudownie. A tobie, Kate?

- Niebiańsko.

Przez całą noc leżała w ramionach Brada, myśląc i snując plany, podczas gdy on spał. Rano, gdy się obudził, powiedziała:

- Brad, ta kobieta, z którą się spotykałeś...

- Chryste Panie! Ty jesteś zazdrosna! - roześmiał się radośnie. - Zapomnij o niej. Obiecuję, że już więcej się z nią nie spotkam.

Kate nigdy potem nie poszła z Bradem do łóżka. Kiedy irytował się, dlaczego mu odmawia, mówiła tylko: - Nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę, Brad, ale obawiam się, że nie moglibyśmy potem pracować razem. Musimy oboje ponieść ofiarę.

Brad musiał się w końcu z tym pogodzić.

W miarę jak firma się rozrastała, Kate zakładała fundacje dobroczynne, które przyczyniały się do budowy nowych uczelni, kościołów i szkół. Powiększała też swoją kolekcję dzieł sztuki. Nabywała dzieła wielkich artystów renesansowych i postrenesansowych - Rafaela i Tycjana, Tintoretta i El Greca, a także barokowych - Rubensa, Caravaggia i van

Dycka.

Kolekcja Blackwellów była rzekomo najcenniejszą prywatną kolekcją na świecie. Rzekomo, ponieważ nikt z zewnątrz nie był do niej dopuszczany. Kate nie pozwalała jej fotografować ani nie zgadzała się udzielać na ten temat wywiadów. Kate w ogóle miała surowe i niewzruszone zasady postępowania wobec dziennikarzy. Życie prywatne Blackwellów miało być wyłącznie ich sprawą, i zarówno służący, jak i pracownicy firmy nie mogli nic na ten temat mówić. Oczywiście niemożliwością było zapobiec wszystkim plotkom i spekulacjom, gdyż Kate Blackwell była intrygującą postacią - jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych kobiet na świecie. Dziennikarze mieliby do niej tysiące pytań, a odpowiedzi znali tylko kilka.

Kate zatelefonowała do dyrektorki Instytutu Le Rosey.

- Dzwonię - powiedziała - by się dowiedzieć, jak Tony sobie radzi.

- Ach, doskonale, pani Blackwell. Pani syn jest wspaniałym uczniem. On...

- Nie to miałam na myśli. Chodziło mi... - Zawahała się, tak jakby niechętnie chciała przyznać, że w rodzinie Blackwellów może istnieć jakiś słaby punkt. - Chodziło mi o jąkanie.

- Nie ma żadnych oznak jąkania, proszę pani. Czuje się znakomicie.

Kate odetchnęła głęboko. Od dawna wiedziała, że jest to tylko przejściowa niedyspozycja. A więc koniec z lekarzami!

Tony przyjechał do domu cztery tygodnie później. Kate pojechała po niego na lotnisko. Wyglądał ładnie i zdrowo. Poczowała się dumna z syna.

- Jak się masz, skarbie?

- Ś-ś-świetnie, m-m-mamo. A jak t-t-ty?

Tony nie mógł się doczekać chwili, gdy zobaczy nowe obrazy zakupione przez matkę. Odczuwał respekt przed wielkimi mistrzami i zachwycił się francuskimi impresjonistami: Monetem, Renoirem, Manetem i Morisotem. Odkrywali przed nim niezwykle światy. Tony kupił sobie zestaw farb, sztalugi i zabrał się do pracy. Swoje obrazy uważał za okropne i nadal nie zamierzał ich nikomu pokazywać. Czyż można je było porównać do tych wszystkich arcydzieł wiszących na ścianach?

- Pewnego dnia, kochanie, te wszystkie obrazy będą należały do ciebie - powiedziała mu kiedyś Kate.

Myśl o tym wprowadziła trzynastoletniego chłopca w zakłopotanie. Matka nie rozumiała go. One nigdy tak naprawdę nie mogłyby należeć do niego, ponieważ nie uczynił nic, by je

zdobyć. Tony czuł w sobie przemożne pragnienie, aby pójść własną drogą. Będąc z dala od matki, miał jednak mieszane uczucia, ponieważ wszystko, co jej dotyczyło, było zawsze fascynujące. Znajdowała się bezustannie w wirze wielkich wydarzeń, zawierała niewiarygodne transakcje, zabierała go do niezwykłych miejsc, przedstawiała interesującym ludziom. Był z niej dumny aż do przesady. Uważał ją za najbardziej fascynującą kobietę na świecie i dręczyło go poczucie winy, ponieważ tylko w jej obecności się jąkał.

Kate nie miała najmniejszego pojęcia o tym, jaki lęk w nim budzi, do czasu gdy pewnego dnia, podczas wakacji, które spędzał w domu, zapytał ją:

- M-m-mamo, czy t-ty rządzisz światem?

Kate roześmiała się i odparła:

- Oczywiście, że nie. Skąd ci przychodzą do głowy takie głupstwa?

- Wszyscy moi k-koledzy w szkole tak mówią. Jesteś naprawdę k-kimś.

- Jestem kimś - odparła Kate. - Jestem twoją matką.

Tony zrobiłby wszystko, aby tylko zadowolić matkę. Wiedział, ile znaczy dla niej firma, jak bardzo liczy na to, że pewnego dnia on ją przejmie. Odczuwał głęboki smutek, ponieważ wiedział też, że co innego chciałby robić w życiu.

Kiedy próbował wyjaśnić to matce, śmiała się i mówiła:

- Nonsens, Tony. Jesteś jeszcze za mały, abyś rozumiał, co naprawdę chciałbyś robić w życiu.

Tony znów zaczynał się jąkać.

Myśl o zostaniu malarzem podniecała Tony'ego. Być zdolnym uchwycić piękno i zatrzymać je na całą wieczność, to było warte zachodu. Pragnął wyjechać za granicę, studiować w Paryżu, ale wiedział, że poruszając ten temat z matką powinien być bardzo ostrożny.

Spędzali razem wspaniałe chwile. Kate była właścicielką wielu posiadłości. Zakupiała domy w Palm Beach i Południowej Karolinie, a także stadninę koni w Kentucky i gdy tylko Tony miał wakacje, jeździła tam wraz z nim. Oglądali regaty o Puchar Ameryki w Newport, a kiedy przebywali w Nowym Jorku, jadalni w „Delmonico's”, pili herbatę w „Plaza”, a na niedzielne obiady chodzili do „Luchow's”. Kate interesowała się wyścigami konnymi, jej hodowla stała się jedną z najlepszych na świecie. Kiedy w wyścigach miał biec jeden z jej koni i Tony przebywał w domu na wakacjach, zabierała go na tory. Siadywali w łoży i Tony ze zdziwieniem patrzył, jak matka krzyczy na całe gardło, aż dostaje chrypy. Wiedział, że jej podniecenie nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

- Zwycięstwo, Tony. Pamiętaj. Liczy się tylko zwycięstwo.

W Dark Harbor dni upływały im spokojnie i leniwie. Robili zakupy w Pendleton i Coffin, a w Dark Harbor Shop raczyli się wodą sodową z lodami. Latem żeglowali, wędrowali i zwiedzali galerie sztuki. Zimą jeździli na nartach, łyżwach i saniach, a wieczorami siadywali przy rozpalonym ogromnym kominku w bibliotece i Kate opowiadała synowi wszystkie stare historie rodzinne: o jego dziadku i Bandzie, o wspaniałej wyprawce, jaką Madam Agnes i jej dziewczynki sprawiły babce. Była to niezwykle barwna historia; o rodzinie, z której można być dumnym, którą należy uwielbiać.

- Pewnego dnia firma Kruger-Brent będzie twoja, Tony. Będziesz nią kierował i...

- Nie chcę nią k-kierować, mamó. Nie interesuje mnie wielki biznes lub w-władza.

Kate w tym momencie nie wytrzymała.

- Ty cholerny głupcze! Co ty wiesz o wielkim biznesie lub władzy? Czy sądzisz, że jeżdżę po świecie i głoszę szatana? Że działam na szkodę ludziom? Czy sądzisz, że firma Kruger-Brent to rodzaj jakiejś bezdusznej maszyny niszczącej wszystko, co spotka na drodze? Powiem ci coś, synu. To najlepsza rzecz po. Jezusie Chrystusie. Jesteśmy zbawieniem, Tony. Przynosimy zbawienie dla setek tysięcy ludzi. Kiedy otwieramy fabrykę w jakimś okręgu lub kraju dotkniętym kryzysem, ludzie mogą pozwolić sobie na budowę szkół, bibliotek i kościołów i zapewnić swoim dzieciom przyzwoite utrzymanie. - Oddychała ciężko, powodowana gniewem. - Budujemy fabryki tam, gdzie ludzie są głodni i nie mają pracy. Dzięki nam mogą godziwie żyć i chodzić z podniesionym czołem. Stajemy się ich zbawicielami. Nie pozwolę, abyś kiedykolwiek w mojej obecności z lekceważeniem wyrażał się o wielkim biznesie lub władzy.

- P-p-przepraszam, m-m-mamó. - To było wszystko, co Tony mógł powiedzieć.

„Zostanę artystą” - myślał uparcie.

Kiedy Tony miał piętnaście lat, Kate wpadła na pomysł, aby spędził wakacje w Afryce Południowej. Nigdy przecież tam nie był.

- Nie mogę się teraz stąd ruszyć, Tony - powiedziała mu Kate. - Ale i beze mnie przekonasz się, że jest to jedno z najwspanialszych miejsc na ziemi. Wydam odpowiednie polecenia, aby się tam tobą dobrze zaopiekowano.

- Sądziłem, m-mamó, że spędzę wakacje w Dark Harbor.

- W przyszłym roku - odparła stanowczo Kate. - W tym roku chciałabym, abyś pojechał do Johannesburga.

Kate udzieliła dokładnych instrukcji dyrektorowi firmy Kruger-Brent w

Johannesburgu i razem ustalili plan pobytu Tony'ego. Każdy dzień został zaplanowany tak, aby był dla Tony'ego czymś podniecającym, aby chłopiec zaczął wiązać swoją przyszłość z Kruger-Brent. Kate codziennie otrzymywała obszernie relacje o synu. Zabrano go do jednej z kopalń złota. Przez dwa dni był na polach diamentowych. Pokazano mu zakłady Kruger-Brent. Zabrano na safari do Kenii.

Na kilka dni przed końcem wakacji Kate zatelefonowała do dyrektora firmy w Johannesburgu.

- Jak sobie radzi Tony? - zapytała.

- Och, wspaniale, pani Blackwell. Jest zachwycony i prawdę mówiąc, dziś rano zapytał, czy nie mógłby zostać jeszcze trochę dłużej.

Kate ogarnęła radość.

- To cudownie! Dziękuję.

Kiedy skończyły się wakacje, Tony udał się do Southampton w Anglii, gdzie wsiadł do samolotu linii lotniczych Pan American, odlatującego do Stanów. Kate latała PanAmem, gdy tylko mogła. Z innych linii korzystała rzadko.

Tego dnia Kate zrezygnowała z ważnego spotkania, by powitać syna w terminalu Pan American nowo wybudowanego lotniska La Guardia w Nowym Jorku. Tony promieniał entuzjazmem.

- Jak ci się tam podobało, kochanie?

- Afryka Południowa to f-fantastyczny kraj, m-mamo. Wyobraź sobie, że p-poleciałem samolotem na pustynię Namib, gdzie dziadek u-ukradł te diamenty od pradziadka v-van der Merwego.

- On ich wcale nie ukradł, Tony - sprostowała Kate. - Po prostu wziął to, co należało do niego.

- Jasne - powiedział drwiąco Tony. - W każdym razie byłem t-tam. Nie widziałem morskiej *mis*, ale nadal są tam strażnicy i psy, i w ogóle wszystko. - Wyszczrzył zęby. - Nie daliby mi zabrać stamtąd żadnych p-próbek.

Kate roześmiała się radośnie.

- Nie muszą ci dawać żadnych próbek, kochanie. Pewnego dnia wszystkie diamenty będą należały do ciebie.

- Ty im to powiedz. Mnie by nie u-usłuchali.

Kate objęła go.

- Podobało ci się tam, prawda? - Odczuwała ogromne zadowolenie z tego, że Tony zaczął w końcu fascynować się swoim dziedzictwem.

- Wiesz, co mi się n-najbardziej podobało?

- Powiedz, co takiego? - Kate uśmiechnęła się czule.

- Barwy. N-namalowałem tam wiele k-krajobrazów. Nie miałem wcale ochoty wyjeżdżać. Chcę tam wrócić i m-malować.

- Malować? - Kate próbowała ukryć rozczarowanie. - To wspaniałe hobby, Tony.

- Nie. Nie u-uważam tego za hobby, mam. Chcę być m-malarzem. Dużo myślałem nad tym. Zamierzam s-studiować w P-Paryżu. Sądzę, że naprawdę mam talent.

Kate czuła wzrastające napięcie.

- Nie chcesz chyba spędzić reszty swojego życia na malowaniu?

- Chcę, m-mamo. To jedyna rzecz, jaka mnie naprawdę i-interesuje.

Kate zrozumiała, że tym razem przegrała.

„Ma prawo sam pokierować własnym życiem - myślała Kate. - Ale czy wolno mi pozwolić na to, aby popełnił tak straszliwy błąd?” We wrześniu podjęcie decyzji nie należało już do nich. W Europie wybuchła wojna.

- Chciałabym zapisać cię do Szkoły Handlu i Księgowości w Wharton - oznajmiła Kate Tony'emu. - Jeśli po dwóch latach nadal będziesz chciał zostać artystą, otrzymasz moje błogosławieństwo.

Kate była pewna, że do tego czasu Tony zmieni zdanie. Nie wyobrażała sobie, aby jej syn wolał spędzić życie na paćkaniu się w farbach, zamiast kierować najpotężniejszą firmą na świecie. Przecież to jej syn.

Druga wojna światowa stała się dla Kate kolejną wielką szansą. Przemysł zbrojeniowy na świecie nie nadążał za potrzebami, występował deficyt broni i amunicji, a firma Kruger-Brent mogła wypełnić tę lukę. Jeden dział produkował sprzęt dla wojska, podczas gdy drugi zaspokajał potrzeby cywilne. Fabryki pracowały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Kate była pewna, że Stany Zjednoczone nie pozostaną długo neutralne. Prezydent Franklin D. Roosevelt wezwał kraj, aby stał się wielkim bastionem demokracji, i 11 marca 1941 roku Kongres zatwierdził ustawę Lend-Lease. Transportowi aliantów zagrażała blokada. Niemieckie łodzie podwodne zatapiały dziesiątki alianckich statków, atakując je w wilczych stadach, po osiem.

Niemcy byli ślepą siłą niszczycielską, która wydawała się nie do powstrzymania. Nie godząc się z traktatem wersalskim, Adolf Hitler zbudował największą machinę wojenną w historii. Stosując nową doktrynę wojenną, *Blitzkrieg*, podbił Polskę, Belgię i Holandię, w krótkim czasie niemiecka machina zmiażdżyła też Danię, Norwegię, Luksemburg i Francję.



Kate przystąpiła do działania, gdy dowiedziała się, że Żydzi pracujący w skonfiskowanych przez nazistów fabrykach Kruger-Brent zostali aresztowani i deportowani do obozów koncentracyjnych. Przeprowadziła dwie rozmowy telefoniczne i niebawem była już w drodze do Szwajcarii. Po przybyciu do hotelu „Baur au Lac” w Zurychu dostała wiadomość, że chciałby się z nią widzieć pułkownik Brinkmann. Brinkmann był dyrektorem berlińskiej filii Kruger-Brent. Kiedy fabryka została przejęta przez rząd nazistowski, Brinkmanna awansowano do rangi pułkownika i pozostawiono na stanowisku dyrektora.

Przyszedł do hotelu, by spotkać się z Kate. Był szczupłym, pedantycznym mężczyzną o jasnych włosach, starannie zaczesanych na łysiejącej głowie.

- Ogromnie się cieszę, że panią widzę, Frau Blackwell - powiedział. - Mam dla pani pewne informacje od mego rządu. Zostałem upoważniony, aby zapewnić, że wszystkie fabryki zostaną pani zwrócone, gdy tylko wygramy wojnę. Niemcy staną się największą potęgą przemysłową, jaką świat widział, i z przyjemnością będziemy współpracować z takimi ludźmi jak pani.

- A co się stanie, jeśli Niemcy przegrają?

- Oboje wiemy - pułkownik Brinkmann pozwolił sobie na lekki uśmiech - że to niemożliwe, Frau Blackwell. Stany Zjednoczone są za mądre, aby wtrącać się do interesów Europy. Mam nadzieję, że nadal będą zachowywać się tak samo.

- Jestem przekonana, że wy będziecie robić swoje, pułkowniku. - Pochyliła się w jego stronę. - Słyszałam pogłoski o wysyłaniu Żydów do obozów koncentracyjnych i przeprowadzaniu masowych eksterminacji. Czy to prawda?

- Brytyjska propaganda, zapewniam panią. Prawdą jest, że *die Juden* wysyłani są do obozów pracy, ale daję pani słowo oficera, że traktowani są tam tak, jak być powinni.

Kate zastanawiała się, co dokładnie znaczą te słowa. Postanowiła sprawdzić.

Na następny dzień zaplanowała spotkanie ze znanym niemieckim przedsiębiorcą, Ottonem Buellerem. Był to dystyngowany mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, o rasowej twarzy i oczach, które widziały już niejedno cierpienie. Spotkali się w małej kawiarence w pobliżu *Bahnhofu*. Herr Bueller wybrał stolik w zacisznym kącie.

- Mówiono mi - powiedziała cicho Kate - że założył pan ruch podziemny, by pomóc przerzucać Żydów do krajów neutralnych. Czy to prawda?

- Nie jest to prawdą, Frau Blackwell. Takie działanie byłoby zdradą Trzeciej Rzeszy.

- Słyszałam również, że potrzebuje pan funduszy, aby nim dalej kierować.

Herr Bueller wzruszył ramionami.

- Ponieważ nie ma podziemia, nie są mi potrzebne fundusze, by nim kierować, nieprawdaż?

Kate zauważyła, że przez cały czas rozmowy Herr Bueller rzuca nerwowe spojrzenia na salę. Był to człowiek, który od pewnego czasu żył w śmiertelnym niebezpieczeństwie, w ciągłym napięciu.

- Miałam nadzieję, że mogłabym w jakiś sposób pomóc - zauważyła ostrożnie Kate. - Kruger-Brent posiada fabryki w wielu neutralnych i sprzymierzonych krajach. Gdyby ktoś mógł tam przerzucić uchodźców, zapewniłabym im pracę.

Herr Bueller przez chwilę nic nie mówił, a tylko popijał gorzką kawę. W końcu się odezwał:

- Nic mi nie wiadomo o tych rzeczach. Polityka jest dziś zajęciem dość niebezpiecznym. Ale jeśliby chciała pani pomóc komuś, kto znajduje się w beznadziejnej sytuacji, to w Anglii mam wuja cierpiącego na poważną, wyniszczającą chorobę. Leczenie go jest sprawą niezwykle kosztowną.

- Jak kosztowną?

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie. Pieniądze na jego kurację można by zdeponować w Londynie i przekazywać do banku szwajcarskiego.

- To się da zrobić.

- Mój wuj byłby bardzo wdzięczny.

Mniej więcej po sześciu tygodniach do krajów sprzymierzonych zaczął napływać niewielki, lecz ciągły strumień uchodźców żydowskich, którzy znajdowali zatrudnienie w fabrykach Kruger-Brent.

Pod koniec drugiego roku nauki w Wharton Tony porzucił szkołę. Zjawił się w biurze Kate, by jej to zakomunikować.

- P-próbowałem, m-mamo. Naprawdę p-próbowałem. Ale z-zdecydowałem się. Chcę s-studiować m-malarstwo. Gdy w-wojna się skończy, w-wyjeżdżam do P-Paryża.

Każde słowo było dla niej straszliwym ciosem.

- Wiem, że j-jesteś r-rozczarowana, ale ja muszę sam p-pokierować własnym życiem. Czuję, że mogę być dobry, n-naprawdę dobry. - Dostrzegł rozczarowanie na jej twarzy. - Zrobiłem to, o co mnie prosiłaś. Teraz ty musisz mi d-dać szansę. Przyjęto mnie do A-Akademii Sztuk Pięknych w Chicago.

Kate poczuła, jak krew uderza jej do głowy. „To, co chce zrobić Tony, jest cholerną stratą czasu”.

- Kiedy zamierzasz wyjechać? - zapytała.
- Zajęcia rozpoczynają się piętnastego.
- Który jest dziś?
- Szósty 1-listopada.

W niedzielę 7 grudnia 1941 roku eskadry bombowców Nakajima i myśliwców Zero sił morskich Cesarstwa Japonii zaatakowały Pearl Harbor i następnego dnia Ameryka przystąpiła do wojny. Po południu tego samego dnia Tony zaciągnął się do Korpusu Marynarki Stanów Zjednoczonych i został wysłany do Szkoły Oficerskiej w Quantico w Wirginii, a stamtąd - po pewnym czasie - na południowy Pacyfik.

Kate miała wrażenie, jakby nagle znalazła się nad skrajem przepaści. Każdy dzień wypełniały jej sprawy związane z kierowaniem firmą, ale gdzieś w podświadomości wciąż czaił się lęk przed otrzymaniem przerażającej wiadomości o Tonym, że został ranny lub zabity.

Wojna z Japonią nie przebiegała pomyślnie. Japońskie bombowce atakowały amerykańskie bazy na wyspach Guam, Midway i Wake. W lutym 1942 roku Japończycy zajęli Singapur, a niebawem Nową Brytanię, Nową Irlandię, Wyspy Admiralskie i Salomona. Generał MacArthur został zmuszony do wycofania się z Filipin. Szala zwycięstwa zdawała się przechylać na stronę potężnych sił Osi i świat pogrążał się w coraz gęstszym mroku.

Kate bała się, że Tony może zostać wzięty do niewoli i że może być torturowany. Mimo swych ogromnych wpływów nie mogła nic zrobić, mogła jedynie się modlić. Każdy list od Tony'ego był iskierką nadziei, znakiem, że jeszcze kilka tygodni temu należał do świata żywych.

„Tutaj nie mówią nam wszystkiego - pisał Tony. - Czy Rosjanie nadal trzymają się mocno? Żołnierz japoński jest brutalny, ale w pewnym stopniu szanujemy go, gdyż nie boi się śmierci... Co się dzieje w Stanach? Czy robotnicy naprawdę strajkują w fabrykach, domagając się podwyżek?... Szybkie łodzie torpedowe odwalają tu kawał dobrej roboty. Ci wszyscy chłopcy są prawdziwymi bohaterami...

Masz, Mamo, wiele wspaniałych koneksji. Przyślij nam kilka setek nowych myśliwców marynarki typu F4U. Tęsknię za Tobą...”

7 sierpnia 1942 roku alianci rozpoczęli pierwsze działania ofensywne na Pacyfiku. Korpus Marynarki Stanów Zjednoczonych wylądował na Guadalcanal w archipelagu Wysp Salomona i od tej chwili posuwał się naprzód, odzyskując zdobyte przez Japończyków tereny.

W Europie alianci święcili prawie nieprzerwane pasmo zwycięstw. 6 czerwca 1944 roku, wraz z lądowaniem na plażach Normandii wojsk amerykańskich, brytyjskich i kanadyjskich, rozpoczęła się wielka kontrofensywa na froncie zachodnim i 7 maja 1945 roku Niemcy podpisały akt bezwarunkowej kapitulacji.

W Japonii 6 sierpnia 1945 roku została zrzucona na Hiroszimę bomba atomowa o niszczyielskiej sile dwudziestu tysięcy TNT, a w trzy dni później kolejna bomba zniszczyła Nagasaki. 14 sierpnia Japończycy poddali się. Nastąpił koniec długiej i krwawej wojny.

Tony wrócił do domu w trzy miesiące później. Siedzieli na tarasie, patrząc na zatokę usianą pełnymi gracji białymi żaglami.

„Wojna zmieniła go” - pomyślała Kate. Tony zmężniał. Zapuścił mały wąsik. Był opalony i wyglądał elegancko i zdrowo. Zauważyła jednak koło oczu zmarszczki, których przedtem nie miał. Kate była przekonana, że w ciągu tych lat spędzonych z dala od domu rozważył ponownie swoją niefortunną decyzję.

- Co zamierzasz teraz robić, synu? - spytała go.

Tony uśmiechnął się.

- Jak już wspomniałem podczas naszej rozmowy, którą nam tak brutalnie przerwano, jadę do P-Paryża, mamó.

KSIĘGA CZWARTA

Tony

1946-1950

## Rozdział 18

Tony był już kiedyś w Paryżu, tyle że w innych okolicznościach. Okupacja niemiecka sprawiła, że Miasto Światła przygasło, ale jako miasto otwarte uniknęło zniszczenia. Ludzie wiele przecierpieli i chociaż naziści ograbili Luwr, Tony znalazł Paryż stosunkowo nietkniętym. Tym razem miał tu mieszkać, być raczej częścią miasta niż turystą. Mógł wprowadzić się do luksusowego apartamentu Kate w alei Marszałka Focha, który przetrwał wojnę w nienaruszonym stanie, ale zamiast tego wybrał małe mieszkanie w starej kamienicy na tyłach Grand Montparnasse. Składało się ono z pokoju mieszkalnego z kominkiem, niewielkiej sypialni i jeszcze mniejszej kuchni bez lodówki. Pomiędzy sypialnią a kuchnią była wciśnięta łazienka z obdrapaną wanną, zardzewiałą umywalką i starym sedesem z połamaną deską.

Gdy konsjerżka zaczęła przeproszać Tony'ego za nie najlepsze warunki, przerwał jej mówiąc, że są wspaniałe.

Całą sobotę spędził na pchlim targu. W poniedziałek i we wtorek obleciał tanie sklepiki rozlokowane na lewym brzegu Sekwany i do środy miał już w mieszkaniu podstawowe meble. Kanapę, popękany stół, dwa bardzo głębokie fotele, starą, rzeźbioną ozdobnie szafę, lampy, koślawy stół kuchenny i dwa zwykłe krzesła. „Matka byłaby przerażona” - pomyślał. Mógł wyposażyć swoje mieszkanie w bezcenne antyki, ale nie chciał odgrywać roli młodego Amerykanina w Paryżu, zamierzał tę rolę przeżyć.

Następnym krokiem było dostanie się do dobrej szkoły sztuk pięknych. Największym prestiżem w całej Francji cieszyła się Ecole des Beaux-Arts w Paryżu, znana z wysokiego poziomu szkoła, do której zdało zaledwie kilku Amerykanów. Tony postanowił ubiegać się o przyjęcie do niej. „Nigdy mnie nie przyjmą - myślał. - Ale jeśli to zrobią!” W jakiś sposób musiał udowodnić matce, że podjął właściwą decyzję. Złożył w szkole trzy swoje prace i nastał dla niego okres długiego oczekiwania. Pod koniec czwartego tygodnia dozorczyń przyniosła mu list ze szkoły. Miał się tam stawić w najbliższy poniedziałek. Ecole des Beaux-Arts była szeroką, kamienną, dwupiętrową budowlą z mnóstwem sal wypełnionych studentami. Tony zgłosił się do dyrektora szkoły, maitre Gessanda, potężnego, groźnie wyglądającego mężczyzny o krótkiej, prawie niewidocznej szyi i najcieńszych ustach, jakie można sobie wyobrazić.

- Pańskie obrazy są amatorskie - usłyszał już na wstępie. - Ale widać w nich pewien talent. Nasza komisja wybrała pana bardziej za to, czego nie ma w obrazach, niż za to, co w

nich jest. Czy pan to rozumie?

- Niezupełnie, maitre.

- Zrozumie pan w swoim czasie. Przydzielam pana do klasy maitre Cantala. Będzie pańskim nauczycielem przez kolejnych pięć lat, jeśli, oczywiście, pan wytrwa tak długo.

„Wytrwam na pewno” - przyrzekł sobie Tony.

Maitre Cantal był bardzo niskim mężczyzną, z kompletnie wyłysiałą głową, którą nakrywał purpurowym beretem. Miał ciemnobrązowe oczy, wielki bulwiasty nos i usta przypominające serdelki. Powitał Tony'ego słowami:

- Amerykanie to dyletanci, barbarzyńcy. Po co pan tu przyszedł?

- Żeby się uczyć, maitre.

Maitre Cantal zmarszczył brwi.

Klasa liczyła dwudziestu pięciu uczniów, w większości Francuzów. W całej sali były rozstawione sztalugi. Tony wybrał sztalugi koło okna, które wychodziło na tanie bistro. Na podłodze leżały też gipsowe odlewy różnych części anatomicznych posągów greckich. Tony rozejrzał się dokoła, ale nie znalazł odpowiedniego dla siebie modelu.

- Zaczynamy - powiedział maitre Cantal.

- Przepraszam - odezwał się Tony. - Ja... zapomniałem przynieść farb.

- Farby nie będą potrzebne. Przez pierwszy rok będziecie uczyć się prawidłowego rysunku. - Maitre wskazał ręką na greckie posągi odlane z gipsu. - Będziecie je rysować. Jeśli wydaje się wam to zbyt proste, ostrzegam, że przed końcem pierwszego roku ponad połowa z was zostanie wyeliminowana. - Maitre Cantal coraz bardziej ekscytował się swymi słowami. - Przez pierwszy rok będziecie się uczyć anatomii. Na drugim ci z was, którzy zdadzą egzamin, będą uczyć się rysować z natury i posługiwać farbami olejnymi. Na trzecim roku, a zapewniam, że zostanie już was tylko garstka, będziecie malować ze mną, w moim stylu, co naturalnie wzbogaci bardzo wasz warsztat. W czwartym i piątym roku nauki znajdziecie własny styl, własny głos. A teraz bierzmy się do pracy.

I klasa zabrała się do pracy.

Maitre krążył po sali, zatrzymując się przy każdym sztalugach, by wygłosić krytyczne uwagi lub komentarze. Podszedłszy do rysunku, nad którym pracował Tony, powiedział krótko:

- Nie! Tak nie można. To, co widzę, to zewnętrzna strona ramienia. A ja chciałbym zobaczyć wewnątrz. Mięśnie, kości, więzadła. Chcę widzieć, że pod spodem płynie krew. Czy wiesz, jak to zrobić?

- Tak, maitre. Najpierw trzeba nad tym pomyśleć, zobaczyć to, poczuć, a potem

narysować.

Poza szkołą Tony większość czasu spędzał w swoim mieszkanku na szkicowaniu. Mógł malować dniami i nocami. Malowanie dawało mu poczucie wolności, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Sama zwykła czynność siedzenia przy sztalugach z pędzlem w ręku sprawiała mu niebiańską przyjemność. Mógł tworzyć całe światy, poruszając tylko jedną ręką. Mógł tworzyć drzewa, kwiaty, ludzi. Było to coś wspaniałego. Czuł w sobie powołanie. Gdy nie malował, chodził ulicami Paryża, odkrywając to bajeczne miasto. Teraz było to jego miasto, miejsce, w którym rodziła się jego sztuka. Istniały dwa Paryże, przedzielone Sekwaną: Paryż lewobrzeżny i Paryż prawobrzeżny, dwa odrębne światy. Prawy brzeg należał do bogatych, lewy zaś zamieszkiwali przeważnie studenci, artyści, ludzie borykający się z losem. Należały do niego: Montparnasse, bulwar Raspail i Saint-Germain-des-Pres. Należała „Cafe Flore”, a także Henry Miller i Paul Elliot. Dla Tony’ego był to dom. Mógł godzinami, wraz ze swoimi nowymi przyjaciółmi, przesiadywać w „Boule Blanche” czy „La Coupole”, omawiając arkana malarstwa.

- Słyszałem, że dyrektor artystyczny Muzeum Guggenheima jest w Paryżu i kupuje wszystko, co zobaczy.

- Niech zaczeka na moje prace!

Czytali te same magazyny: *Studio*, *Cahiers d’Art*, *Formes et Couleurs* i *Gazette des Beaux-Arts*. Kupowali je na spółkę, ponieważ były drogie.

Tony nauczył się francuskiego jeszcze w szkole Le Rosey i teraz miał problemów w kontaktach z innymi studentami. Wszystkich łączyła ta sama pasja. Nie wiedzieli nic o rodzinie Tony’ego i przyjęli go jak swego. Klepiący biedę artyści zbierali się w „Cafe Flore” i „Les Deux Magots” na bulwarze Saint-Germain, a jadali w „Le Pot d’Etian” na Rue des Canettes lub przy Rue de L’Universite. Żaden z nich nigdy nie widział wnętrza „Lasserre” lub „Maxima”.

W 1946 roku w Paryżu uprawiali swą sztukę wielcy. Od czasu do czasu Tony widział Pabla Picassa, a pewnego dnia wraz ze swoim przyjacielem zobaczyli Marca Chagalla, wielkiego egzaltowanego mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu lat z potarganą szopą siwiejących włosów. Siedział przy kawiarnianym stoliku, prowadząc ożywioną rozmowę z grupą wielbicieli.

- Mamy szczęście, że go spotkaliśmy - szepnął do Tony’ego przyjaciel. - Bardzo rzadko przyjeżdża do Paryża. Mieszka w Vence, nad Morzem Śródziemnym.

Tony widział też Maxa Ernsta popijającego aperitif na chodniku przed kawiarnią i



wielkiego Alberto Giacomettiego idącego Rue de Rivoli - wysokiego, chudego i wykrzywionego mężczyznę, wyglądającego jak jego własne rzeźby. Tony ze zdziwieniem spostrzegł, że ma szpotawą stopę. Spotkał też Hansa Belmera, który wyrabiał sobie nazwisko, malując erotyczne obrazy młodych dziewczyn, zamienionych w rozczłonkowane lalki. Ale najbardziej podniecającą chwilę przeżył, gdy przedstawiono go Braque'owi. Artysta był serdeczny, ale Tony czuł się tak, jakby mu zawiązano język.

Przyszli geniusze odwiedzali galerie, przypatrując się pilnie konkurentom. Galeria Drouant-David wystawiała nieznanego, młodego artystę nazwiskiem Bernard Buffet, który studiował w Ecole des Beaux-Arts, a także Soutina, Utrilla i Dufy'ego. Studenci zbierali się w Salonie Jesiennym, Galerii Charpentier i Galerii Roussa na Rue de Seine i obgadywali swoich rywali, którym się powiodło.

Kate, wszedłszy po raz pierwszy do mieszkania Tony'ego, osłupiała. Roztropnie jednak powstrzymała się od komentarzy, ale pomyślała: „Cholera! Jak mój syn może mieszkać w tak ponurej norze”.

- Jest tu bardzo romantycznie, Tony - powiedziała na głos. - Nie widzę lodówki. Gdzie przechowujesz jedzenie?

- Na zewnątrz, za o-oknem.

Kate podeszła do okna, otworzyła je i z parapetu wybrała sobie jabłko.

- Mam nadzieję, że nie zjadam twojej martwej natury - zażartowała odgryzając kawałek.

- N-nie, mam - roześmiał się Tony.

- A teraz powiedz mi o twoim malarstwie.

- N-nie ma jeszcze o czym m-mówić - przyznał Tony. - W tym roku mamy tylko naukę r-rysunku.

- Czy podoba ci się ten maitre Cantal?

- Jest w-wspaniały. Ale najważniejsze jest to, czy ja mu się p-podobam. Tylko jedna trzecia klasy p-przejdzie na następny rok.

Podczas rozmowy Kate ani razu nie wspomniała Tony'emu o podjęciu pracy w firmie.

Maitre Cantal nie należał do ludzi specjalnie szczodrych w pochwałach. Największym komplementem, na jaki Tony mógł liczyć, były niechętnie wypowiedziane słowa: „Hm, widziałem już gorsze rzeczy” albo: „Zaczynam już prawie widzieć to, co jest pod spodem”.

Pod koniec pierwszego roku nauki Tony znalazł się wśród ośmiu studentów, którzy

otrzymali promocję do następnej klasy. Aby to uczcić, cała szczęśliwa ósemka udała się do nocnego lokalu na Montmartrze, gdzie upiła się, spędzając noc w towarzystwie młodych Angielek podróżujących po Francji.

Po rozpoczęciu nowego roku Tony zaczął malować farbami olejnymi z natury. Miał wrażenie, jakby został wypuszczony z przedszkola. Po roku szkicowania różnych części anatomicznych czuł, jakby znał już każdy mięsień, nerw i gruczoł ciała ludzkiego. To nie była nauka rysunku, to było po prostu kopiowanie. Teraz, mając pędzel w rękę i żywego modela naprzeciwko, zaczął tworzyć. Nawet maitre Cantal był pod wrażeniem.

- Masz już wycucie - mrucał pod nosem. - Teraz musimy popracować nad techniką.

Szkoła zatrudniała około dwunastu modeli. Maitre Cantal najczęściej korzystał z usług Carlosa, młodego mężczyzny, który studiował medycynę, Annette, niskiej, hożej brunetki z kępką rudych włosów łonowych i z plecami pokrytymi trądzikiem, oraz Dominique Masson, pięknej, młodej, smukłej blondynki o delikatnych rysach i głębokich zielonych oczach. Dominique pozowała również kilku znanym malarzom. Była ogólną ulubienicą. Każdego dnia po zajęciach zbierała się wokół niej męska część studentów, którzy próbowali się z nią umówić.

- Nigdy nie łączę pracy z przyjemnością - mówiła. - A poza tym - drwiła z nich - to nie byłoby uczciwe. Wszyscy widzieliście, co mam do zaoferowania. A skąd mogę wiedzieć, co wy macie?

Zawiażywała się sprośna dyskusja, ale Dominique nigdy nie wychodziła z nikim ze szkoły.

Pewnego późnego popołudnia, gdy Tony został sam, by popracować nad portretem Dominique, nieoczekiwanie stanęła ona za jego plecami.

- Mój nos jest za długi.

Tony spieszył się.

- Och, tak mi przykro. Poprawię go.

- Nie, nie. Nos na obrazie jest dobry. To mój nos jest za długi.

- Obawiam się, że nic na to nie poradzę. - Tony uśmiechnął się.

- Francuz powiedziałby w takim wypadku: „Twój nos jest doskonały, *cherie*”.

- Podoba mi się twój nos, choć nie jestem Francuzem.

- Nie da się ukryć. Zastanawiam się, dlaczego nigdy mnie jeszcze nigdzie nie zaprosiłeś.

Tony czuł się coraz bardziej zmieszany.

- Sam... nie wiem. Może dlatego, że wszyscy już próbowali i nikomu się nie udało.

Dominique uśmiechnęła się.

- Każdy z kimś wychodzi. Do widzenia - powiedziała i wyszła.

Odtąd ilekroć Tony zostawał dłużej, Dominique ubierała się, a potem wracała, by stanąć za jego plecami i przypatrywać się, jak maluje.

- Jesteś bardzo dobry - oznajmiła mu pewnego popołudnia. - Zostaniesz znanym malarzem.

- Dziękuję, Dominique. Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Malowanie ma dla ciebie duże znaczenie, *oui*?

- *Oui*.

- Czy mężczyzna, który zostanie znanym malarzem, chciałby mnie zaprosić na kolację? - Dostrzegła zdziwienie na jego twarzy. - Nie jem zbyt dużo. Muszę dbać o linię.

Tony roześmiał się.

- Oczywiście, że tak. Z przyjemnością.

Jedli kolację w bistro w pobliżu Sacre-Coeur, rozmawiając o malarzach i malarstwie. Tony'ego zafascynowały jej opowieści o znanych artystach, którym pozowała. Gdy popijali *café au lait*, Dominique powiedziała:

- Uważam, że już jesteś równie dobry, jak oni, a może i lepszy. Tony'ego mile polechtał ten komplement, ale odparł tylko:

- Czeka mnie jeszcze długa droga.

Po wyjściu z kawiarni Dominique spytała:

- Czy pokażesz mi swoje mieszkanie?

- Jeśli tego chcesz, choć obawiam się, że niewiele jest tam do pokazywania.

Gdy przyszli, Dominique rozejrzała się po małym, brudnym pomieszczeniu i pokręciła głową.

- Miałaś rację - powiedziała. - Niewiele. Czy ktoś się nim zajmuje?

- Tak, raz w tygodniu przychodzi sprzątaczką.

- Zwolnij ją. Tu jest brudno. Czy nie masz żadnej przyjaciółki?

- Nie.

Spojrzała na niego uważnie.

- Nie jesteś chyba zboczony?

- Nie.

- To dobrze. Nie chciałabym marnować czasu. Daj mi jakieś wiadro z wodą i kawałek mydła.

Dominique zabrała się do sprzątania. Długo czyściła i szorowała mieszkanie, nim w końcu doprowadziła je do ładu.

- Na razie wystarczy - powiedziała. - Mój Boże, muszę się wykąpać.

Weszła do maleńkiej łazienki i puściła wodę do wanny.

- Jak ty się mieścisz w czymś takim?! - zawołała.

- Wystawiam nogi na zewnątrz.

Roześmiała się.

- Chciałabym to zobaczyć.

W piętnaście minut później wyszła owinięta tylko ręcznikiem. Jej jasne włosy były wilgotne i poskręcane. Miała wspaniałą figurę, pełne piersi, cienką talię i długie, smukłe nogi. Przedtem Tony nie patrzył na nią jak na kobietę. Była tylko nagą postacią, którą portretował. A teraz ręcznik w dziwaczny sposób zmienił wszystko. Poczul nagły przyływ krwi w łądźwiach. Dominique przyglądała mu się uważnie.

- Czy chciałbyś się ze mną kochać? - spytała.

- Ogromnie.

Powoli odwinęła ręcznik i upuściła go na podłogę.

- Udowodnij to.

Tony nigdy nie znał takiej kobiety jak Dominique. Dawała mu wszystko i o nic w zamian nie prosiła. Prawie każdego wieczoru przychodziła, by mu gotować. Kiedy szli na kolację, Dominique nalegała, aby wybierał niedrogie bistra i bary.

- Musisz oszczędzać - besztala go. - Początki bywają trudne, nawet dla dobrych artystów. A ty jesteś dobry, *cheri*.

Chodzili do hal we wczesnych godzinach rannych i do „Pied de Cochon” na zupę cebulową. Lubili przebywać w Muzeum Carnavalet i w miejscach rzadko uczęszczanych przez turystów, takich jak Cmentarz Pere-Lachaise - miejsce ostatniego spoczynku Oskara Wilde’a, Fryderyka Chopina, Honoriusza Balzaka i Marcela Prousta. Zwiedzili katakumby i spędzili leniwie cały tydzień, płynąc w dół Sekwany na barce, której właścicielem był przyjaciel Dominique.

Dominique była zachwycająca. Miała donkiszotowskie poczucie humoru i ilekroć Tony popadał w przygnębienie, rozśmieszała go. Zdawała się znać każdego w Paryżu. Zabierała go na interesujące przyjęcia, na których spotykał wielu z najznakomitszych

ówczesnych artystów, jak chociażby poetę Paula Eluarda czy Andre Bretona, prowadzącego prestiżową Galerię Maeght.

Dominique była źródłem nieustannej zachęty.

- Będziesz lepszy od nich wszystkich, *cheri* - mówiła. - Wierz mi. Znam się trochę na tym.

Jeśli Tony miał ochotę malować, Dominique chętnie mu pozowała nawet wtedy, gdy czuła się okropnie zmęczona. „O, Boże, jaki jestem szczęśliwy” - myślał Tony. Po raz pierwszy był pewien, że ktoś go kocha za to, jakim jest, a nie za to, kim jest, i to dodawało mu otuchy. Tony bał się powiedzieć Dominique, że jest spadkobiercą ogromnej fortuny, jednej z największych na świecie; bał się, że wówczas zepsułby wszystko, co jest między nimi. Ale na jej urodziny nie mógł powstrzymać się od kupna rosyjskiego futra z rysia.

- To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam! - zawołała Dominique. Narzuciła na siebie futro i zawirowała w radosnym tańcu. Nagle, w połowie obrotu, zatrzymała się. - Skąd to masz, Tony?

Tony miał przygotowaną odpowiedź.

- Jest świeżo ukradzione. Kupiłem je od jakiegoś małego facecika o rozbieganych oczkach, który stał przed Muzeum Rodina. Chciał się go jak najszybciej pozbyć. Nie kosztowało wiele więcej niż dobry płaszcz z podszewką w „Printemps”.

Dominique przypatrywała mu się przez chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Będę je nosić, nawet gdybyśmy oboje mieli pójść za to do więzienia! - A potem rzuciła mu się na szyję i wykrzykiwała: - Och, Tony, ty wariacie! Mój kochany, wspaniały wariacie.

„Czasem warto skłamać” - stwierdził Tony w myślach.

Pewnego późnego wieczoru Dominique zasugerowała, aby się do niej wprowadził. Między pracą w Ecole des Beaux-Arts i pozowaniem dla bardziej znanych artystów Dominique znalazła jeszcze czas, by urządzić sobie duże, nowoczesne mieszkanie na Rue Pretres-Saint Severin.

- Nie powinieneś mieszkać w takich warunkach, Tony - powiedziała. - Tu jest okropnie. Zamieszkaaj ze mną. Nie będziesz musiał płacić żadnego czynszu. Będę ci prała, gotowała i...

- Nie, Dominique. Nie mogę.

- Ale dlaczego?

„Jak miał to jej wyjaśnić?” Na początku ich znajomości mógł jeszcze powiedzieć, że jest bogaty, ale teraz było już za późno. Mogłaby pomyśleć, że sobie z niej zadzwiał.

- Nie mogę cię tak wykorzystywać - odrzekł. - I tak mi już dałaś nazbyt dużo.

- W takim razie wprowadzam się do ciebie. Chcę być z tobą. Wprowadziła się następnego dnia.

Oboje czuli się sobie bliscy. Soboty i niedziele spędzali na wsi. Nocowali w zajazdach, a w dzień włączyli się po okolicy. Tony rozkładał często sztalugi i malował krajobrazy, a kiedy byli głodni, Dominique wyjmowała z koszyka przygotowany przez siebie piknikowy lunch. A gdy zaspokoili już głód, oddawali się długim i słodkim igraszkom miłośnym. Tony jeszcze nigdy nie czuł się tak szczęśliwy.

Robił stałe postępy. Pewnego ranka maitre Cantal zdjął ze sztalug jeden z obrazów Tony'ego i pokazał całej klasie.

- Spójrzcie na to ciało. Ono oddycha.

Wiesz, w jaki sposób udało mi się tchnąć życie w moje obrazy? - oznajmił entuzjastycznie Dominique, gdy tylko wieczorem weszła do domu. - Ponieważ co noc trzymam w ramionach modelkę.

Dominique roześmiała się podekscytowana, ale zaraz potem jej twarz przybrała poważny wyraz.

- Tony - powiedziała. - Nie sądzę, że potrzeba ci jeszcze trzech lat. Jesteś już gotów. Wszyscy w szkole to widzą, nawet Cantal.

Tony obawiał się, że nie jest wystarczająco dobry, że wciąż jest tylko jednym z wielu malarzy, że jego prace utoną w powodzi obrazów tworzonych każdego dnia przez tysiące artystów na całym świecie. Myśl o tym była dla niego nie do zniesienia. „Zwycięstwo, to się jedynie liczy. Pamiętaj o tym, Tony.”

Czasem, gdy kończył jakiś obraz, ogarniała go duma. „Mam talent - myślał wtedy z uniesieniem. - Naprawdę mam talent”. Innym razem patrzył na swoje dzieło i myślał: „Jestem nędznym amatorem”.

Dzięki zachętom ze strony Dominique Tony nabierał coraz większej pewności siebie. Namalował prawie dwa tuziny obrazów; krajobrazy, martwe natury. Powstał też portret nagiej, leżącej pod drzewem Dominique, na której ciało padały cienie liści. Na pierwszym planie widać było marynarkę i koszulę męską. Był to obraz kobiety czekającej na swego kochanka. Ujrawszy to płótno, Dominique zawołała:

- Trzeba urządzić ci wernisaż!

- Chyba oszalałaś, Dominique! Nie jestem jeszcze gotowy.

- Mylisz się, *mon cher*.

Następnego dnia, gdy Tony wrócił do domu, zastał Dominique z Antonem Goergiem, szczupłym mężczyzną o wydatnym brzuchu i wylupiastych piwnych oczach. Był on właścicielem Galerii Goerg, średniej wielkości galerii na Rue Dauphine. Obrazy Tony'ego były rozłożone w całym pokoju.

- Co się tu dzieje? - spytał Tony.

- To się dzieje, monsieur - zawołał Anton Goerg - że pańskie prace są wyśmienite! - Poklepał Tony'ego po plecach. - Czułbym się zaszczycony, gdybym mógł zorganizować panu wystawę w mojej galerii.

Tony spojrział na Dominique, która cała promieniała.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Już pan powiedział - odparł Goerg. - W tych płótnach. Tony i Dominique dyskutowali na ten temat przez pół nocy.

- Nie czuję się jeszcze gotów. Krytycy mnie rozszarpiają.

- Mylisz się, *cheri*. To znakomita okazja dla ciebie. Pomyśl tylko, niewielka galeria, do której przyjdą wyłącznie ludzie z najbliższej okolicy, i tylko oni będą cię oceniać. Nie ma powodu do obaw. A poza tym monsieur Goerg nigdy by nie zaproponował wystawy komuś, w kogo by nie wierzył. On, podobnie jak ja, uważa, że zostaniesz znanym i cenionym malarzem.

- Dobrze - ustąpił w końcu Tony. - Zresztą, kto wie? Może mi się nawet uda sprzedać jakiś obraz?

Otrzymał telegram:

PRZYJEŹDŹAM DO PARYŻA W SOBOTĘ.  
SPOTKAJMY SIĘ NA OBIEDZIE. CAŁUJĘ. MATKA.

Gdy weszła do pracowni, jego pierwszą myślą było: „Jak piękną jest kobietą”. Miała pięćdziesiąt parę lat, niefarbowane ciemne włosy, przetykane srebrnymi nitkami. Emanowała z niej ogromna witalność. Tony zapytał ją kiedyś, dlaczego nie wyszła ponownie za mąż. „W moim życiu - odpowiedziała - liczyli się tylko dwaj mężczyźni, twój ojciec i ty”.

Teraz w tym niewielkim mieszkaniu w Paryżu, stojąc naprzeciw niej, Tony powiedział:

- Ci-cieszę się, że przyjechałaś, m-mamo.

- Tony, wyglądasz naprawdę wspaniale! Zapaściłeś brodę. - Roześmiała się i

pogłaskała go po niej. - Przypominasz młodego Abe Lincolna. - Zlustrowała mieszkanie wzrokiem. - Dzięki Bogu, że masz teraz dobrą sprzątaczkę. Jest tu już zupełnie inaczej.

Kate podeszła do rozstawionych sztalug, na których był umieszczony jeden z ostatnio namalowanych przez Tony'ego obrazów, i długo mu się przyglądała. Tony z napięciem czekał na reakcję matki. Kiedy odezwała się, jej głos zabrzmiał ciepło:

- Jest genialny, Tony. Naprawdę genialny.

Była z niego dumna i nie starała się wcale tego ukryć. „Nie może się przecież mylić co do sztuki” - pomyślał Tony.

- Pokaż mi inne! - Odwróciła się do niego.

Przez następne dwie godziny Tony sięgał po obrazy ze stosu, a Kate szczegółowo omawiała każdy z nich. W jej tonie nie wyczuwał nic protekcyjnego. Nie udało się pozyskać go dla firmy i Tony podziwiał, że tak wspaniale potrafiła znieść porażkę.

- Postaram się, abyś miał wystawę. Znam paru kupców, którzy...

- Dziękuję, m-mamo, ale n-nie musisz tego robić. Będę miał wystawę w przyszły piątek. Pewna g-galeria organizuje mi wernisaż.

Kate objęła go mocno.

- To cudownie! Jaka to galeria?

- G-galeria Goerg.

- Nie sądzę, abym o niej słyszała.

- To n-niewielka galeria, ale nie jestem jeszcze gotów do Hammera lub W-wildensteina.

- Mylisz się, Tony - powiedziała, wskazując portret Dominique leżącej pod drzewem.

- Myślę, że ten jest...

Rozległo się skrzypienie otwieranych drzwi wejściowych.

- Jestem ogromnie napalona, *cheri*. Zdejmij swoje... - Dominique zauważyła Kate. - Och, *merde!* Przepraszam. Nie wiedziałam, że masz gościa, Tony.

Przez chwilę zapanowało chłodne milczenie.

- Dominique - powiedział Tony - poznaj moją m-matkę. M-mamo, przedstawiam ci Dominique Masson.

Dwie kobiety stały naprzeciw siebie, lustrując się wzrokiem.

- Miło mi panią poznać, pani Blackwell.

- Podziwiałam właśnie pani portret - powiedziała Kate dwuznacznie.

Znowu zapanowało kłopotliwe milczenie. Pierwsza odezwała się Dominique:

- Czy Tony mówił pani, że będzie miał wystawę?



- Tak. Wspominał mi o tym. To wspaniała wiadomość.

- M-mamo, czy mogłabyś zostać dłużej, aby ją o-obejrzeć?

- Oddałabym wszystko, żeby móc zostać, ale pojutrze mam posiedzenie zarządu w Johannesburgu i w żaden sposób nie mogę się od tego wymigać. Szkoda, że nie zawiadomiłeś mnie wcześniej. Wtedy zmieniałabym plany.

- Nie martw się - odparł Tony. - Rozumiem.

Tony denerwował się, że matka może powiedzieć coś więcej o firmie w obecności Dominique, ale Kate skoncentrowała się na malarstwie.

- Ważne jest, aby odpowiedni ludzie obejrzeni twoją wystawę.

- Jakich odpowiednich ludzi ma pani na myśli, pani Blackwell?

Kate odwróciła się do Dominique.

- Twórcy opinii publicznej, krytycy. Tacy ludzie, jak Andre d'Usseau. Właśnie on powinien tam przyjść.

Andre d'Usseau był najbardziej szanowanym krytykiem we Francji. Był niczym groźny lew strzegący wejścia do świątyni sztuki. Każda jego recenzja mogła w jednej chwili wykreować lub zniszczyć artystę. D'Usseau zapraszano na otwarcie każdej wystawy, ale uczęszczał tylko na najważniejsze. Właściciele galerii i artyści z lękiem czekali na jego recenzje. Należał do mistrzów *bon motów*, jego kąśliwe uwagi obiegały cały Paryż. Andre d'Usseau był najbardziej zniechęconą postacią w kręgach artystycznych Paryża i... najbardziej poważaną. Tolerowano jego zjadliwy dowcip i bezlitosny krytycyzm, ponieważ był prawdziwym znawcą.

Tony zwrócił się do Dominique:

- Zdaje się, że jesteś podobnego zdania. - A potem do Kate: - Andre d'Usseau nie chodzi do m-małych galeryjek.

- Och, Tony. On musi przyjść. Może uczynić cię sławnym z dnia na dzień.

- Lub z-zniszczyć.

- Nie wierzysz w siebie? - Kate uważnie popatrzyła na syna.

- Oczywiście, że wierzy - wtrąciła Dominique. - Ale my nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażamy sobie, że monsieur d'Usseau zechciałby tam przyjść.

- Mogłabym skontaktować się z kilkoma osobami, które go znają.

Twarz Dominique rozjaśniła się.

- To byłoby fantastyczne! - Spojrzała na Tony'ego. - *Cheri*, czy wiesz, co by to oznaczało, gdyby przyszedł na otwarcie?

- Tak. Unicestwienie.

- Nie bądź niemądry, Tony. Znam jego gust. Będzie zachwycony twoimi obrazami.

- Nie chcę niczego robić bez twojej zgody, Tony - powiedziała Kate.

- Oczywiście, że się zgadza, pani Blackwell.

Tony zaczerpnął głęboko powietrza.

- Jestem cały w strachu, ale co tam, u licha! Niech będzie.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Kate długo spoglądała na obraz na sztalugach, a potem odwróciła się do Tony'ego. Jej oczy napełniły się smutkiem. - Jutro muszę wyjechać z Paryża, synu. Czy zjadłbyś dziś ze mną kolację?

- Oczywiście - odparł Tony. - Nic nie p-planowaliśmy na dzisiejszy w-wieczór.

Kate spojrzała na Dominique i dodała łaskawie:

- Czy wybrałaby się pani na kolację do „Maxima” lub...

- Dominique i ja - powiedział pospiesznie Tony - znamy c-cudowną, małą kawiarenkę niedaleko stąd.

Udali się do bistro na placu Zwycięstwa. Jedzenie było dobre, a wino wyśmienite. Obie kobiety zdawały się wzajemnie akceptować. Tony był z nich ogromnie dumny. „To jeden z najpiękniejszych wieczorów w moim życiu - pomyślał. - Obok mnie siedzi matka i kobieta, z którą się ożenię”.

Następnego dnia rano Kate zatelefonowała z lotniska.

- Dzwoniłam do sześciu osób - powiedziała Tony'emu. - Nikt nie mógł mi dać ostatecznej odpowiedzi co do Andre d'Usseau. Ale wszystko jedno, jak to się potoczy, Tony, jestem dumna z ciebie. Obrazy są cudowne. Tony, Kocham cię.

- J-ja ciebie również, m-mamo.

Galeria Goerg była dostatecznie duża, by uniknąć miana intymnej. Trwały w niej teraz gorączkowe przygotowania, zawieszono ostatnie z dwudziestu czterech płócien Tony'ego. Na marmurowym blacie kredensu stały półmiski z pokrajanym serem, biskwitami i butelki chablis. W galerii nie było nikogo z wyjątkiem Antona Goerga, Tony'ego, Dominique i młodej asystentki.

Anton Goerg spojrzał na zegarek.

- Zaproszenia są na godzinę siódmą. Ludzie powinni lada chwila zacząć się schodzić.

Tony przypuszczał, że będzie zdenerwowany. „Ale nie jestem zdenerwowany - powiedział do siebie - jestem spanikowany”.

- Co będzie, jeśli nikt się nie zjawi? - zwrócił się do Dominique. - Jeśli ani jedna z

tych cholernych osób tu nie przyjdzie?

Dominique uśmiechnęła się i dała mu lekkiego kuksańca.

- Wtedy to całe jedzenie i wino będą nasze.

Wreszcie zaczęli się schodzić, najpierw pojedynczo, a potem w coraz większych grupach. Monsieur Goerg stał przy drzwiach, wylewnie witając każdego.

„Nie wyglądają mi na kolekcjonerów dzieł sztuki” - pomyślał Tony. Przyglądał się im krytycznie i szybko podzielił ich na trzy kategorie: artystów i studentów szkół plastycznych, uczęszczających na wszystkie wystawy, by ocenić konkurentów; marszandów, którzy również nie pomijali żadnej wystawy, aby potem rozsiewać wieści pomniejszające zalety początkujących artystów; i wreszcie pseudoartystyczny świat, składający się w większości z homoseksualistów i lesbijek, ludzi, którzy zdawali się spędzać życie na obrzeżach sztuki. „Nie sprzedam ani jednego zafajdanego obrazu” - uznał Tony.

Monsieur Goerg dawał mu znaki ręką, by podszedł do drzwi.

- Nie sądzę, abym pragnął poznać choćby jedną z tych osób - Tony powiedział szeptem do Dominique. - Przyszli po to, aby mnie rozszarpać.

- Nonsens. Przyszli, by cię poznać.

Bądź teraz dla nich czarujący. Tony był więc czarujący. Witał się z każdym, uśmiechał bez przerwy i wypowiadał gładkie formułki w odpowiedzi na komplementy, jakimi go obdarzano. „Ale czy są to naprawdę komplementy?” - pomyślał. Miał wątpliwości. Od wielu lat w kręgach artystycznych posługiwano się utartymi zwrotami, oceniając wystawy nieznanymi malarzy.

„W tym naprawdę coś jest...”

„Ciekawy styl...”

„Tak, to jest malarstwo...”

„Przemawia do mnie...”

Coraz to nowi ludzie napływali i Tony zastanawiał się, czy ściągnęła ich tu ciekawość ujrzenia jego obrazów, czy też bezpłatnie serwowane wino i ser. Jak dotąd żaden obraz nie został sprzedany, tymczasem wino i ser zniknęły w tempie błyskawicznym.

- Cierpliwości - szepnął monsieur Goerg do Tony'ego. - Są zainteresowani. Najpierw muszą poczuć zapach obrazów. Jeśli jakiś im się spodoba, będą krążyć wokół niego. Wkrótce zapytają o cenę, a kiedy chwycą przynętę, to *voilà*, pułapka się zatrzaśnie.

- O Boże, czuję się tak, jakbym był jakimś kłusownikiem - rzekł Tony do Dominique. Monsieur Goerg pospieszył do Tony'ego.

- Sprzedaliśmy jeden! - zawołał. - Pejzaż normandzki. Za pięćset franków.

Była to chwila, którą Tony miał zapamiętać do końca życia. Ktoś kupił jego obraz! Ktoś myślał o tym obrazie dostatecznie długo, by go kupić, powiesić w swoim domu lub biurze, żyć z nim, pokazywać przyjaciołom i znajomym. Była to cząstka nieśmiertelności, sposób, aby przeżyć niejedno życie, aby być w tym samym czasie w niejednym miejscu. Znany artysta gości w setkach domów, biur i muzeów, sprawiając niekiedy przyjemność tysiącom, a niekiedy milionom ludzi! Tony czuł się tak, jakby wszedł do panteonu Da Vinci, Michała Anioła i Rembrandta. Już nie był malarzem-amatorem, lecz profesjonalistą. Ktoś zapłacił za jego dzieło!

Dominique pospieszyła do niego, oczy błyszczały jej podnieceniem.

- Właśnie sprzedałeś kolejny obraz, Tony.

- Który? - zapytał łapczywie.

- Ten z kwiatami.

Niewielka galeria była teraz wypełniona ludźmi, głośnymi pogawędkami i brzękiem kieliszków. Nagle gwar ucichł i wszystkie oczy skierowały się w jedną stronę. Do galerii wchodził właśnie Andre d'Usseau, a za nim nieodłączny tłumek pochlebców. D'Usseau wyglądał na pięćdziesiąt parę lat, był wyższy niż przeciętny Francuz, miał groźne marsowe oblicze i wspaniałą siwiejącą czuprynę. Ubrany był w fałdzistą pelerynę i kapelusz borsalino. Wszyscy, bez wyjątku, wiedzieli, kim jest.

Dominique chwyciła Tony'ego za rękę.

- Przyszedeł! - powiedziała. - Jest tutaj!

Taki zaszczyt nigdy jeszcze nie spotkał monsieur Goerga, który teraz po prostu przechodził samego siebie: kłaniał się nisko, rozplęwał w pochwałach, gotów zrobić wszystko, aby tylko zdobyć względy krytyka.

- Monsieur d'Usseau - paplał. - Co za wspaniała niespodzianka! Co za zaszczyt! Czy można zaproponować panu lampkę wina? Może serka? - Przeklinał siebie w myślach, że nie kupił porządnego wina.

- Dziękuję - odparł wielki człowiek. - Przyszedełem tu, by nasycić jedynie swoje oczy. Chciałbym poznać artystę.

Tony czuł się jak sparaliżowany. Dominique pchnęła go lekko do przodu.

- Oto i on - powiedział monsieur Goerg. - Panie Andre d'Usseau, przedstawiam panu Tony'ego Blackwella.

- Miło mi pana poznać - z trudem wyjąkał Tony. - Ja... dziękuję panu za przybycie.

Andre d'Usseau skinął lekko głową i odszedł, aby obejrzeć obrazy. Wszyscy rozstępowali się, tworząc mu przejście. Znakomity krytyk wolno przechodził od jednego

plót na do drugiego, patrząc na każde długo i uważnie. Tony próbował wyczytać coś z jego twarzy, ale ta pozostała nieprzenikniona. D'Usseau ani razu nie zmarszczył brwi, ani razu się nie uśmiechnął. Przystanął na dłużej przed pewnym szczególnym obrazem, aktem kobiecym, a potem dalej oglądał pozostałe dzieła, nie pomijając żadnego. Tony aż się cały spocił ze zdenerwowania.

Kiedy Andre d'Usseau skończył, podszedł do Tony'ego.

- Cieszę się, że tu przyszedłem. - To były jedyne słowa, jakie wypowiedział.

W ciągu kilku minut po wyjściu sławnego krytyka wszystkie obrazy wiszące w galerii zostały sprzedane. Rodził się wielki talent i wszyscy chcieli być przy tym obecni.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego! - wykrzykiwał monsieur Goerg. - Andre d'Usseau przyszedł do mojej galerii. Mojej galerii! Jutro cały Paryż o tym przeczyta. „Cieszę się, że tu przyszedłem”. Andre d'Usseau nie jest człowiekiem, który rzuca słowa na wiatr. Uczcijmy to szampanem.

Później, po powrocie do domu, Tony i Dominique urządzili sobie prywatną uroczystość. Dominique wtuliła się w jego ramiona.

- Spałam już z malarzami - powiedziała - ale nigdy jeszcze z tak sławnym, jak ty będziesz. Jutro już będzie cię znał cały Paryż.

Dominique miała rację.

Nazajutrz, o piątej rano, Tony i Dominique pospiesznie ubrali się i wyskoczyli z domu, aby dostać pierwsze egzemplarze porannej gazety. Właśnie przywieziono ją do kiosku. Tony gorączkowo przerzucał stronicę, aż znalazł dział poświęcony sztuce. Recenzja z jego wystawy, podpisana nazwiskiem Andre d'Usseau, była zamieszczona na czołowym miejscu. Tony zaczął czytać na głos:

*Wystawa młodego amerykańskiego malarza, Anthony'ego Blackwella, która została otwarta wczorajszego wieczoru w Galerii Goerg, była dla waszego krytyka wielce pouczającym doświadczeniem. Chodziłem na tak wiele wystaw utalentowanych malarzy, że zapomniałem już, jak wyglądają naprawdę złe obrazy. Wczoraj przypomniano mi o tym w sposób zaiste bardzo przekonywający...*

Tony pobladł.

- Przestań już czytać, proszę - mówiła błagalnym tonem Dominique, próbując mu wyrwać gazetę. - Przestań.

- Zostaw! - krzyknął na nią i czytał dalej:

*W pierwszej chwili pomyślałem, że sprokurowano jakiś żart. Nie mogłem wszak poważnie myśleć, że ktoś miał odwagę powiesić tak amatorskie obrazy i nazwać je sztuką. Próbowałem doszukać się choćby najmniejszego błysku talentu. Niestety, na próżno. Sądzę, że zamiast obrazów należałoby powiesić malarza. Szczerze i gorąco radziłbym zatem niefortunnemu artyście, aby wrócił do swego prawdziwego zawodu, którym, jak mniemam, może być tylko zawód malarza pokojowego.*

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała cichym głosem Dominique. - Nie mogę uwierzyć, że on niczego nie dojrzał. Co za drań! - zaczęła krzyczeć z rozpaczą.

Tony poczuł się tak, jakby płuca wypełniał mu ołów; oddychał teraz z wielkim trudem.

- Był tam - stwierdził głosem pełnym bólu. - I on się zna na tym, Dominique. Zna się na tym. To jest najbardziej bolesne! Chryste Panie! Jakim ja byłem głupcem! - Tony zaczął powoli odchodzić.

- Gdzie idziesz, Tony?

- Nie wiem.

Włóczył się po zimnych, spowitych poranną mgłą ulicach, nie zważając na lzy, które spływały mu po twarzy. W ciągu paru godzin cały Paryż będzie już znał tę recenzję. Stanie się pośmiewiskiem. Ale najgorsze, najbardziej bolesne jest to, że oszukiwał samego siebie. Naprawdę wierzył, że ma przed sobą karierę jako malarz. Dobrze, że znalazł się ktoś taki jak d'Usseau, który go ustrzegł od błędu. „Nieśmiertelne dzieła - pomyślał pośpiesznie. - Zwykle gówna”. Wszedł do pierwszego lepszego baru, aby upić się do nieprzytomności.

Tony wrócił do swego mieszkania dopiero o piątej po południu następnego dnia. Dominique czekała na niego ogromnie zdenerwowana.

- Gdzie byłeś, Tony? Dzwoniła twoja matka. Umiera z niepokoju.

- Czy przeczytałaś to jej?

- Tak, nalegała. Ja...

Rozległ się sygnał telefonu. Dominique spojrzała na Tony'ego i podniosła słuchawkę.

- Halo? Tak, pani Blackwell. Właśnie wszedł. - Podała mu słuchawkę. Po chwili wahania wziął ją do ręki. - Tony, kochanie - mówiła Kate głosem pełnym troski - posłuchaj mnie. Może by mi się udało skłonić go do zamieszczenia sprostowania...

- Mamo - odparł znużonym głosem - to nie jest transakcja h-handlowa. To jest opinia wyrażona przez k-krytyka. Jego zdaniem powinienem zostać p-powieszony.

- Kochanie, nie pozwolę, aby ciebie tak krzywdzono. Uważam, że powinnam na to jakoś zareagować... - Kate przerwała, nie mogąc dalej mówić.

- Nic mi nie będzie, m-mamo. Chciałem zabawić się w malarza. Próbowałem, ale nie wyszło. Nie mam tego, co p-potrzeba. To jasne jak słońce. Nie cierpię p-popisów intelektualnych pana d'Usseau, ale on jest ch-cholernie dobrym krytykiem, n-najlepszym krytykiem na świecie. Trzeba mu to p-przyznać. Ustrzegł mnie od popełnienia strasznego b-błądu.

- Nie wiem, co by ci tu powiedzieć, Tony...

- D'Usseau powiedział już wszystko. Lepiej, że dowiedziałem się teraz niż na przykład z-za dziesięć 1-lat. Muszę w-wyjechać z tego miasta.

- Poczekaj na mnie, kochanie. Jutro odlatuję z Johannesburga. Moglibyśmy wrócić razem do Nowego Jorku.

- Dobrze - powiedział Tony. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Dominique. - Przykro mi, Dominique. Wybrałaś niewłaściwego faceta.

Dominique nic nie odpowiedziała. Patrzyła na niego oczami wypełnionymi niewypowiedzianym smutkiem.

Następnego dnia po południu Kate, siedząc za biurkiem w biurze Kruger-Brent na Rue Matignon, wypisywała czek. Mężczyzna czekający po drugiej stronie westchnął.

- Szkoda. Pani syn ma talent, pani Blackwell. Mógłby zostać cenionym malarzem.

Kate obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Panie d'Usseau, na świecie żyją dziesiątki tysięcy malarzy. Mój syn nie jest przeznaczony do tego, aby być jednym z wielu. - Podała mu czek przez biurko. - Wywiązał się pan ze swojej części naszej umowy. Teraz kolej na mnie. Firma Kruger-Brent będzie sponsorowała muzea sztuki w Johannesburgu, Londynie i Nowym Jorku. Pan zaś będzie dokonywał wyboru obrazów, oczywiście otrzymując za to ładną prowizję.

Jeszcze długo po wyjściu d'Usseau Kate siedziała za biurkiem, pogrążona w głębokim smutku. Kochała syna tak bardzo. Gdyby kiedykolwiek prawda wyszła na jaw... Wiedziała, jakie ryzyko podjęła. Ale nie mogła przecież biernie przyglądać się temu, jak Tony odtrąca swoje dziedzictwo. Należało go uchronić, bez względu na cenę. Należało uchronić firmę. Kate podniosła się. Poczula nagłe zmęczenie. Nadszedł czas, aby spotkać się z Tonym i zabrać go do domu. Pomoże mu się otrząsnąć. Pomoże mu zacząć robić to, do czego został

stworzony.

Jej syn będzie kierował firmą.



## Rozdział 19

Przez następne dwa lata Tony czuł się tak, jakby znalazł się w jakimś straszliwym kieracie, który prowadzi donikąd. Był prawowitym spadkobiercą potężnego konglomeratu. Imperium Kruger-Brent poszerzyło się o fabryki papieru, linię lotniczą, banki i całą sieć szpitali. Tony przekonał się, że nazwisko jest kluczem umożliwiającym dostęp do wszystkiego. Istniały kluby, stowarzyszenia i koterie, o przyjęciu do których nie decydowały pieniądze czy znajomości, lecz odpowiednie nazwisko. Tony otrzymał członkostwo takich ekskluzywnych klubów, jak Union, Brook i Links. Wszystkie drzwi stały przed nim otworem, ale czuł się trochę jak oszust. Nie zrobił nic, aby zasłużyć na cokolwiek z tego wszystkiego. Żył w cieniu swego wielkiego dziadka i odnosił wrażenie, jakby go nieustannie porównywano z nim. To było niesprawiedliwe, ponieważ nie istniały już pola minowe, żeby się po nich czołgać, strażnicy, którzy by do niego strzelali, i rekiny zagrażające jego życiu. Stare opowieści o bohaterskich czynach nie miały nic wspólnego z Tonym. Należały do minionego stulecia, innych czasów, miejsc; dotyczyły heroicznych czynów dokonanych przez cudzoziemca.

Pracował za dwóch. Nie użalał się nad sobą i starał nie wracać pamięcią do niedawnego okresu; wspomnienia były jeszcze zbyt bolesne. Napisał kilka listów do Dominique, ale za każdym razem wracały do niego nie otworzone. Zatelefonował do maitre Cantala, ale dowiedział się, że Dominique już nie pozuje w szkole. Przepadła bez śladu.

Tony wykonywał codzienne czynności biurowe w sposób właściwy rutyniarzom; bez żadnego zainteresowania i zaangażowania. Nikt nie podejrzewał go o to, że może odczuwać w sobie głęboką pustkę. Nawet Kate. Otrzymywała cotygodniowe raporty na temat syna i była z nich zadowolona.

- Tony - powtarzała Bradowi Rogersowi - jest urodzonym biznesmenem.

Te długie godziny, jakie spędzał w biurze, stanowiły dla niej wystarczający dowód, jak bardzo kocha to, co robi. Na samą myśl, że tak niewiele brakowało, a odrzuciłby swoją przyszłość, przechodziły ją ciarki. Była szczęśliwa, że udało jej się go przed tym uchronić.

W 1948 roku Partia Nacjonalistyczna posiadała już pełną władzę w Afryce Południowej i prowadziła politykę segregacji rasowej. Migracja ludności znajdowała się pod ścisłym nadzorem i często rozdzielano nawet rodziny, by ułatwić rządowi realizację jego polityki. Wszyscy czarni musieli nosić przy sobie *bewyshoek*, będący czymś więcej niż

zwykłym dowodem tożsamości - będący linią życia, świadectwem urodzenia, pozwoleniem na pracę, dowodem płacenia podatków. *Bewyshoek* decydował o każdym ich kroku.

W Afryce Południowej coraz częściej dochodziło do zamieszek brutalnie tłumionych przez policję. Co jakiś czas Kate czytała w gazetach o niepokojach i aktach sabotażu, a w tych relacjach prasowych najczęściej wymieniano Bandę. Nadal, mimo wieku, był przywódcą podziemia. „Oczywiście - myślała Kate - musi walczyć o swoich ludzi. Inaczej nie byłby Bandą”.

Swoje pięćdziesiąte urodziny Kate uczęciła wraz z Tonym w domu przy Piątej Alei. „Ten przystojny dwudziestoczteroletni mężczyzna po drugiej stronie stołu - stwierdziła w myślach - nie może być moim synem. Jestem zbyt młoda”.

Tony wznosił toast na jej cześć:

- Za m-moją f-fantastyczną m-matkę. Wszystkiego n-najlepszego z okazji u-urodzin!

- Powinieneś być powiedzieć: za moją starą fantastyczną matkę.

„Wkrótce będę musiała przejść na emeryturę - pomyślała. - Ale mój syn zajmie moje miejsce. Mój syn!”

Po usilnych namowach matki Tony przeniósł się do rezydencji przy Piątej Alei.

- Ten dom jest dla mnie zbyt duży - oznajmiła mu. - Będziesz miał dla siebie całe wschodnie skrzydło i tyle swobody, ile zapragniesz.

Tony dla świętego spokoju wolał się zgodzić.

Codziennie rano Tony i Kate jedli razem śniadanie, a tematem rozmów była zawsze firma Kruger-Brent. Tony podziwiał swoją matkę za to, że potrafi się przejmować tak bepcłciową, bezduszną rzeczą, tym amorficznym zbiorowiskiem budynków, urządzeń, liczb w księgach rachunkowych. Na czym to polegało? Jakże zdumiewało go, że w tym świecie z miriadami tajemnic czekających na odkrycie ktoś może marnować życie na nieustanne podwajanie swego majątku, na zdobywanie władzy nad władzami. Tony nie rozumiał matki, ale ją kochał. I starał się żyć zgodnie z jej oczekiwaniami.

Lot PanAmem z Rzymu do Nowego Jorku minął spokojnie. Tony lubił latać tymi liniami. Były wygodne i rzetelne. Od chwili gdy samolot wzbił się w niebo, Tony zabrał się do przeglądania raportów na temat inwestycji zagranicznych, rezygnując z obiadu i odmawiając drinków, poduszek pod głowę i innych przyjemności, którymi stewardesy chciały umilić mu podróż.

- Dziękuję pani. Niczego nie potrzebuję.

- Gdyby czegokolwiek pan potrzebował, panie Blackwell...

- Dziękuję.

Obok Tony'ego siedziała kobieta w średnim wieku, która czytała magazyn mody. Kiedy przewracała kolejną stronę, Tony przypadkiem spojrzął w jej kierunku i nagle zamarł, ujrawszy zdjęcie modelki w sukni balowej. Tą modelką była bez wątpienia Dominique. Delikatne rysy twarzy, głębokie zielone oczy i bujne jasne włosy. Serce zaczęło mu walić jak oszalałe.

- Przepraszam - zwrócił się do współtowarzyszki podróży. - Czy mogłaby mi pani pożyczyć tę stronę?

Wczesnym rankiem następnego dnia ustalił nazwę agencji reklamowej i zadzwonił tam.

- Chciałbym prosić o adres jednej z waszych modelek - oznajmił telefonistce. - Czy mogłaby pani...

- Proszę chwilę poczekać - przerwała mu kobieta.

- W czym mogę panu pomóc? - odezwał się po chwili męski głos w słuchawce.

- W najnowszym wydaniu *Vogue* zobaczyłem zdjęcie modelki reklamującej suknię balową dla sklepów Rothmana. Czy to wy je zamieściliście?

- Tak.

- Czy mógłby mi pan podać nazwę agencji waszych modelek?

- Agencja Carleton Blessing.

W minutę później Tony połączył się z agencją.

- Chciałbym dowiedzieć się o adres jednej z waszych modelek, Dominique Masson.

- Przykro mi, ale nie mamy zwyczaju udzielać prywatnych informacji - odparł kobiecy głos, po czym rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Tony wlepił wzrok w telefon. Musi być przecież jakiś sposób, aby skontaktować się z Dominique. Udał się do biura Brada Rogersa.

- Dzień dobry, Tony. Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję. Brad, czy słyszałeś o Agencji Carleton Blessing?

- Naturalnie, że tak. Należy do nas.

- Co takiego?

- Działa pod egidą jednego z podległych nam przedsiębiorstw.

- Kiedy ją nabyliśmy?

- Kilka lat temu. Mniej więcej w tym czasie, kiedy zacząłeś pracować w firmie.

- Staram się uzyskać adres jednej z modelek. Dawnej przyjaciółki.

- Nie ma problemu. Zadzwoń i...

- Nie przejmuj się. Ja to zrobię. Dzięki, Brad.

Tony wyszedł czując, jak budzi się w nim radosne uczucie oczekiwania.

Późnym popołudniem tego samego dnia Tony pojechał do dzielnicy handlowej miasta, gdzie mieściły się biura Agencji Carleton Blessing. Wszedłszy do środka, podał swoje nazwisko i w sześćdziesiąt sekund później został przyjęty przez samego prezesa, pana Tiltona.

- To prawdziwy zaszczyt, panie Blackwell. Mam nadzieję, że nie ma żadnych problemów. Nasze zyski w ostatnim kwartale...

- Wszystko w porządku. Interesuje mnie jedna z waszych modelek. Dominique Masson.

- Staje się naszą najlepszą modelką. - Twarz Tiltona rozjaśniła się w uśmiechu. - Pana matka ma dobre oko.

Tony odniósł wrażenie, że się przestyszał.

- Przepraszam, co takiego?

- Pana matka osobiście prosiła, abyśmy zaangażowali Dominique. Był to jeden z warunków naszej umowy, gdy byliśmy przejmowani przez Kruger-Brent. To wszystko mamy w naszych aktach. Gdyby zechciał pan chwilę...

- Nie. - Tony nic z tego nie rozumiał. „Dlaczego jego matka...” - Czy mógłby mi pan podać adres Dominique?

- Oczywiście, panie Blackwell. Ma dzisiaj zdjęcia w plenerze w Vermont. Powinna wrócić... - zerknął na harmonogram leżący na biurku - ...jutro po południu.

Tony czekał właśnie przed kamienicą czynszową, w której mieszkała Dominique, gdy zahamował czarny sedan i wyszła z niego Dominique, a zaraz potem atletycznie zbudowany mężczyzna trzymający jej walizkę. Na widok Tony'ego Dominique stanęła jak wryta.

- Tony! Mój Boże! Co... ty tu robisz?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Innym razem, kolego - wtrącił się atleta. - Mamy dziś jeszcze dużo roboty.

- Powiedz swojemu przyjacielowi, aby sobie poszedł. - Tony nawet nie spojrzął na niego.

- Wolnego! Myślisz, u licha, że kim ty jesteś?

- Proszę cię, idź, Ben - Dominique zwróciła się do mężczyzny. - Zadzwoń do ciebie

wieczorem.

Zawahał się, potem wzruszył ramionami.

- Okay. - Zmierzył Tony'ego wzrokiem, po czym wrócił do samochodu i odjechał.

- Wejdźmy lepiej do środka - powiedziała Dominique.

Mieszkanie było ogromne, dwupoziomowe, z białymi dywanami, draperiami i nowoczesnymi meblami. Musiało kosztować majątek.

- Nieźle ci się powodzi - stwierdził Tony.

- Tak. Nie narzekam - Dominique skubała bluzkę ze zdenerwowania. - Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Próbowałem się z tobą skontaktować po wyjeździe z Paryża.

- Przeprowadziłam się.

- Do Ameryki?

- Tak.

- Jak dostałaś się do Agencji Carleton Blessing?

- Ja... odpowiedziałam na ogłoszenie - odparła nieprzekonująco.

- Kiedy po raz pierwszy spotkałaś się z moją matką, Dominique?

- Ja... W twoim mieszkaniu w Paryżu. Pamiętasz? My...

- Dość już tych kłamstewek - powiedział Tony. Czuł wzrastający gniew. - Koniec z nimi. Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety, ale jeśli jeszcze raz skłamiesz, obiecuję ci, że twoja twarz nie będzie nadawała się już więcej do fotografowania.

Dominique otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale dzika wściekłość malująca się na twarzy Tony'ego powstrzymała ją.

- Raz jeszcze pytam cię: kiedy po raz pierwszy spotkałaś się z moją matką?

- Kiedy przyjęto cię do Ecole des Beaux-Arts - odparła tym razem bez wahania. - Twoja matka załatwiła mi tam pozowanie.

Tony poczuł się tak, jakby otrzymał mocne uderzenie w żołądek. Z trudem udało mu się kontynuować rozmowę.

- Abym mógł cię poznać?

- Tak, ale...

- I zapłaciła ci, abyś została moją kochanką, abyś udawała, że mnie kochasz?

- Tak. To było zaraz po wojnie. Było mi ciężko. Nie miałam pieniędzy. Zrozum mnie. Ale, Tony, uwierz mi, ja starałam się. Naprawdę starałam się...

- Odpowiadaj tylko na pytania. - Wściekłość w jego głosie przeraziła ją. Stał przed nią ktoś obcy, człowiek zdolny do wszystkiego. - O co w tym wszystkim chodziło?

- Twoja matka chciała, abym miała cię na oku.

Pomyślał o tym, jak czuła była Dominique, pomyślał, jak go kochała. I to wszystko dzięki pieniądzom matki. Doznał przykrego, upokarzającego uczucia; poczuł palący, piekący wstyd. Przez cały czas był marionetką w rękach matki, której tak naprawdę nigdy nie obchodził. Nie był jej synem. Był następcą jej tronu, prawowitym spadkobiercą. Jediną rzeczą, mającą dla niej znaczenie, była firma. Spojrzał po raz ostatni na Dominique, po czym odwrócił się i potykając wyszedł. Patrzyła za nim przez łzy. „Nie kłamałam, mówiąc, że cię kocham, Tony - myślała. - W tym cię nie okłamywałam”.

Kate siedziała w bibliotece, gdy wszedł Tony, bardzo pijany.

- R-rozmawiałem z Dominique - powiedział. - Musiałyście m-mieć n-niezły ubaw za moimi plecami.

- Tony... - Kate ogarnęła nagła trwoga.

- Od tej pory chcę, abyś t-trzymała się z dala od m-mego p-prywatnego życia. Zrozumiałaś?

Odwrócił się i chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju. Kate patrzyła za nim i miała straszne przeczucie, że stanie się coś złego.

## Rozdział 20

Następnego dnia rano Tony wynajął mieszkanie w Greenwich Village. Skończyły się przyjacielskie rozmowy z matką przy wspólnych posiłkach. Od tej pory zaczął utrzymywać z nią kontakty wyłącznie na gruncie bezosobowym, służbowym. Od czasu do czasu Kate czyniła pojednawcze gesty, ale Tony ją ignorował.

Serce Kate pękało z bólu, ale zrobiła to, co było dobre dla Tony'ego. Tak jak kiedyś zrobiła to, co było dobre dla Davida. Nie mogła pozwolić, aby któryś z nich opuścił firmę. Tony był jedyną istotą ludzką, którą kochała, i ze smutkiem obserwowała, jak coraz bardziej izoluje się od świata, zasklepia w sobie i zraza wszystkich do siebie. Nie miał przyjaciół. O ile kiedyś cechowała go serdeczność i otwartość, teraz sprawiał wrażenie człowieka zimnego i pełnego rezerwy. Odgrodził się murem niedostępności, przez który nikt nie mógł przeniknąć. „Potrzebna mu jest żona, która by się o niego zatroszczyła - myślała Kate. - I syn, który by poprowadził dalej interesy. Muszę mu pomóc. Muszę”.

Brad Rogers wszedł do gabinetu Kate i oznajmił:

- Obawiam się, że będziemy mieli coraz więcej kłopotów, Kate.
- Co się stało?

Położył telegram na biurku.

PARLAMENT AFRYKI POŁUDNIOWEJ ZDELEGALIZOWAŁ RADE PRZEDSTAWICIELSKĄ AFRYKANÓW I OGŁOSIŁ USTAWĘ KOMUNISTYCZNĄ.

- Mój Boże! - westchnęła Kate.

Ustawa nie miała nic wspólnego z komunizmem. Mówiła, że jeśli ktoś w jakikolwiek sposób próbuje przeciwstawić się polityce rządu, to w świetle nowego aktu prawnego podlega karze więzienia.

- To ich sposób na zdławienie ruchu oporu czarnych - powiedziała. - Jeśli...

Nie dokończyła, gdyż przerwała jej sekretarka:

- Telefon z zagranicy do pani. Dzwoni pan Pierce.

Jonathan Pierce był dyrektorem filii Kruger-Brent w Johannesburgu. Kate podniosła słuchawkę.

- Jak się masz, Johnny?

- Dobrze, Kate. Mam pewne wiadomości, o których, jak sądzę, powinnaś wiedzieć.
- Jakie to wiadomości?
- Właśnie przekazano mi, że policja schwytała Bandę.

Kate kupiła bilet na najbliższy samolot do Johannesburga i postawiła na nogi wszystkich prawników firmy. Ale sprawa wyglądała beznadziejnie. Istniały obawy, że nawet siła i prestiż firmy Kruger-Brent mogą okazać się tym razem niewystarczające. Banda został uznany za wroga państwa i Kate z przerażeniem myślała o grożącej mu karze. Musi jednak przynajmniej zobaczyć się z nim, porozmawiać i pomóc we wszelki możliwy sposób.

Gdy samolot wylądował w Johannesburgu, udała się do swego biura i zadzwoniła do dyrektora zakładów karnych.

- Jest w izolatce, pani Blackwell - oznajmił jej - i nikt nie ma prawa się z nim widzieć. Jednakże w pani wypadku zobaczę, co się da zrobić...

Następnego dnia rano Kate siedziała naprzeciw Bandy w johannesburskim więzieniu, oddzielona od niego kuloodporną szybą. Był zakuty w kajdany. Włosy zupełnie mu posiwiały. Kate spodziewała się wszystkiego: rozpaczy... buntu... Zamiast tego Banda uśmiechnął się na jej widok i powiedział:

- Wiedziałem, że przyjedziesz. Jesteś taka sama, jak twój tatuś. Nie potrafisz żyć z dala od kłopotów.

- Patrzcie, kto to mówi - odparowała Kate. - Cholera! Jak my cię stąd wydostaniemy?

- W skrzynce. Tylko w ten sposób mnie stąd wypuszczą.

- Mam wielu sprytnych adwokatów, którzy...

- Zapomnij o tym, Kate. Złapali mnie w sposób uczciwy, a teraz ja w sposób uczciwy muszę się stąd wydostać.

- O czym ty mówisz?

- Nie lubię klitek. Nigdy nie lubiłem. Jeszcze nie zbudowali takiej, która by mi odpowiadała.

- Banda, nie próbuj nawet - powiedziała Kate. - Proszę. Oni zabiją cię.

- Nikt mnie nie może zabić - odparł Banda. - Nie zapominaj, że rozmawiasz z człowiekiem, który przeżył rekiny, miny lądowe i krwiożercze psy. - Oczy zabłysły mu ciepłym blaskiem. - Wiesz co, Kate? Myślę, że to był chyba najlepszy okres w moim życiu.

Kiedy następnego dnia Kate przyszła na widzenie z Bandą, usłyszała od naczelnika, że to niemożliwe.



- Przykro mi, pani Blackwell. Ze względów bezpieczeństwa musieliśmy go przenieść w inne miejsce.

- Gdzie on teraz jest?

- Przykro mi, ale nie wolno mi o tym mówić.

Nazajutrz, gdy wstała, spostrzegła nagłówek w gazecie, którą przyniesiono jej na tacy wraz ze śniadaniem.

## PRZYWÓDCA REBELIANTÓW ZABITY PODCZAS PRÓBY UCIECZKI Z WIĘZIENIA

W godzinę później była w gabinecie naczelnika.

- Został zastrzelony podczas próby ucieczki - usłyszała. - To wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć.

„Mylisz się - pomyślała Kate - jest jeszcze coś więcej. Dużo więcej. Banda nie żyje, ale czy jego sen o wolności również umarł?”

W dwa dni później, po załatwieniu formalności związanych z pogrzebem, Kate wsiadła na pokład samolotu odlatującego do Nowego Jorku. Po raz ostatni spojrzała przez okno na ukochaną ziemię. Gleba była czerwona, żyzna i bogata, a w jej wnętrzu znajdowały się skarby, o jakich człowiekowi się nawet nie śniło. To była Ziemia wybrana przez Boga. Ale nad krajem wisiała już od pewnego czasu jakaś klątwa. „Nigdy już tu nie wrócę - pomyślała ze smutkiem Kate. - Nigdy”.

Jednym z obowiązków Brada Rogersa było kierowanie Działem Planowania Długofalowego firmy Kruger-Brent. Był nieoceniony w znajdowaniu coraz to nowych przedsiębiorstw, których nabycie przyniosłoby spore zyski.

Pewnego dnia, na początku maja, wszedł do gabinetu Kate Blackwell i powiedział:

- Przyniosłem dziś coś interesującego, Kate. - Położył dwie teczki na biurku. - Dwie spółki. Gdyby udało nam się zdobyć chociaż jedną z nich, byłoby to mistrzowskie posunięcie.

- Dziękuję, Brad. Wieczorem to przejrzę.

Tego wieczoru Kate zjadła sama kolację i zabrała się do przeglądania poufnych raportów Brada Rogersa na temat dwu firm - Wyatt Oil & Tool i International Technology. Raporty były długie i szczegółowe. Oba kończyły się stwierdzeniem, że spółki nie są na sprzedaż. Jeśli miałyby zostać przejęte, to nie na drodze zwykłej transakcji handlowej. „A

obie - pomyślała Kate - są warte zachodu”. Każdą z firm kierował osobiście bogaty i energiczny właściciel, co wykluczało jakąkolwiek próbę ich przejęcia. Było to wyzwanie, przed jakim Kate już dawno nie stanęła. Im więcej myślała na ten temat, tym bardziej kusily ją możliwości. Po raz kolejny studiowała poufne dane księgowe. Wyatt Oil & Tool stanowiła własność Teksańczyka, Charliego Wyatta, a jej aktywa obejmowały szyby naftowe, przedsiębiorstwa użyteczności publicznej i mnóstwo wydzierżawionych, potencjalnie rentownych, terenów ropośnych. Nie ulegało wątpliwości, że spółka byłaby pięknym nabytkiem dla Kruger-Brent.

Kate zajęła się następną drugą firmą. Właścicielem International Technology był Niemiec, hrabia Frederick Hoffman. Spółka zaczęła od małej stalowni w Essen, ale z czasem przekształciła się w potężny konglomerat, na który składały się stocznie, zakłady petrochemiczne, cała flota tankowców i zakład komputerowy. Mimo całej swej potęgi Kruger-Brent mogła się pokusić tylko o jednego z tych gigantów. Kate szybko dokonała wyboru.

„Nie na sprzedaż... - pomyślała. - Przekonamy się o tym”.

Nazajutrz z samego rana Kate wezwała Brada Rogersa.

- Jak ci się udało zdobyć te poufne zestawienia? - Uśmiechnęła się szeroko. - Powiedz mi coś o Charliem Wyatcie i Fredericku Hoffmanie.

Brad był dobrze przygotowany.

- Charlie Wyatt urodził się w Dallas. Gadatliwy, hałaśliwy, sam kieruje własnym imperium, kuty na cztery nogi. Zaczął od niczego. Dorobił się spekulując na nafcie i teraz posiada połowę Teksasu.

- Ile ma lat?

- Czterdzieści siedem.

- Dzieci?

- Dwudziestojednoletnią córkę. Z tego, co słyszałem, to prawdziwa piękność.

- Czy jest mężatką?

- Rozwódką.

- Frederick Hoffman.

- Hoffman jest o kilka lat młodszy od Charliego Wyatta. Hrabia. Pochodzi ze starego niemieckiego rodu, którego korzenie sięgają średniowiecza. Jest wdowcem. Jego dziadek zaczął od małej stalowni. Frederick Hoffman otrzymał ją w spadku po ojcu i stworzył prawdziwe imperium. Był jednym z pierwszych, którzy zajęli się komputerami. Posiada wiele

patentów na mikroprocesory. Za każdym razem, gdy korzystamy z komputera, hrabia Hoffman otrzymuje honorarium.

- Dzieci?

- Córka. Dwadzieścia trzy lata.

- Jaka ona jest?

- Nie udało mi się sprawdzić - powiedział przeprasząco. - To bardzo hermetyczna rodzina. Poruszają się tylko w swoim wąskim gronie. - Brad zawahał się. - Chyba niepotrzebnie tracimy czas, Kate. Wypiłem kilka drinków z paroma najważniejszymi facetami w obu firmach. Ani Wyatt, ani Hoffman nie są w najmniejszym nawet stopniu zainteresowani sprzedażą, fuzją lub joint venture. Wiesz, jakie mają obroty i przyznasz, Kate, że musieliby chyba upaść na głowę, aby to brać pod uwagę.

A Kate znów poczuła, że musi podjąć to wyzwanie, tym razem z jeszcze większą siłą.

W dziesięć dni później Kate została zaproszona do Waszyngtonu przez prezydenta Stanów Zjednoczonych na konferencję czołowych przemysłowców świata, poświęconą możliwościom udzielenia pomocy krajom rozwijającym się. Wystarczył jeden telefon Kate i zaraz potem Charlie Wyatt i hrabia Frederick Hoffman także otrzymali zaproszenia.

Na podstawie informacji dostarczonych przez Brada Rogersa Kate wyrobiła sobie opinię o Teksańczyku i Niemcu i jej wyobrażenia sprawdziły się niemal w stu procentach. Nigdy nie spotkała nieśmiałego Teksańczyka i Charlie Wyatt nie należał do wyjątków. Był niezwykle wysokim, mierzącym sześć stóp i cztery cale, mężczyzną, szerokim w ramionach, przypominającym z postury futbolistę, który nieco się roztył. Miał pełną, rumianą twarz i donośny, gruby głos. Sprawiał wrażenie swojego chłopca, ale Kate wiedziała, że to tylko pozory. Charlie Wyatt nie zbudował swego imperium dzięki szczęściu. Był genialny w robieniu interesów. Kate już po dziesięciu minutach rozmowy wiedziała, że ten człowiek w żaden sposób nie da się przekonać do czegoś, czego nie chce. Był uparty. Z pewnością nie należał do ludzi, których można zdobyć pochlebstwami, zastraszyć lub oszukać. Ale Kate znalazła jego piętę achillesową i to wystarczyło.

Frederick Hoffman stanowił przeciwieństwo Charliego Wyatta. Przystojny, o rasowej twarzy i ciemnoblond włosach przyprószonych siwizną na skroniach, miał nienaganne manieri i był pełen staroświeckiej kurtuazji. Sprawiał wrażenie człowieka sympatycznego i dobrodusznego, ale Kate wyczuwała, że pod tą maską kryje się kamienne serce.

Konferencja w Waszyngtonie trwała trzy dni i przebiegła pomyślnie. Obradom przewodniczył wiceprezydent, a sam prezydent wygłosił krótkie przemówienie

inauguracyjne. Kate Blackwell zrobiła na wszystkich uczestnikach ogromne wrażenie. Była atrakcyjną, charyzmatyczną kobietą, stojącą na czele imperium, które pomogła zbudować, i wszyscy byli nią zafascynowani tak, jak tego chciała.

Kate podeszła do Charliego Wyatta, gdy akurat nikogo przy nim nie było.

- Czy przyjechał pan z rodziną, panie Wyatt? - zapytała go niewinnie.

- Zabrałem ze sobą córkę. Chciała tu zrobić trochę zakupów.

- Och, naprawdę? To miło. - Kto by się spodziewał, że Kate nie tylko wiedziała, że Charlie Wyatt jest z córką, ale i jaką sukienkę kupiła rano w sklepie Garfinckela. - W piątek urządzam małe przyjęcie w Dark Harbor. Byłoby mi bardzo miło, gdyby przyjechał pan z córką na weekend.

- Wiele słyszałem o wyżerkach w Dark Harbor - odparł bez wahania. - Jasne, że chciałbym się o tym sam przekonać, pani Blackwell.

- Świetnie - uśmiechnęła się Kate. - Załatwię samolot na jutro wieczór.

W dziesięć minut później Kate rozmawiała z Frederickiem Hoffmanem.

- Czy przyjechał pan sam do Waszyngtonu, panie Hoffman? - zapytała. - Czy też z żoną?

- Moja żona umarła kilka lat temu - odparł. - Jestem tu wraz z córką.

Kate wiedziała, że zatrzymali się w hotelu „Hay Adams” i wynajęli apartament 418.

- Organizuję małe przyjęcie w Dark Harbor. Byłabym zaszczycona, gdyby przyjechał pan jutro z córką i został na weekend.

- Powinienem wracać do Niemiec - odparł Hoffman. Przez chwilę spoglądał na nią uważnie, potem uśmiechnął się. - Sądzę jednak, że jeden lub dwa dni nie mają większego znaczenia.

- To wspaniale. Zorganizuję więc transport.

Raz na dwa miesiące Kate urządzała przyjęcia w swej posiadłości w Dark Harbor. Na tych spotkaniach towarzyskich zjawiali się najbardziej interesujący i wpływowi ludzie na świecie. Zawsze były one niezwykle owocne. Kate postanowiła zadbać, żeby tym razem odbyło się bardzo szczególne przyjęcie. Musiała jednak mieć pewność, że Tony będzie na nim obecny. Przez ostatni rok rzadko się pokazywał, a jeśli już to robił, to tylko z obowiązku i na chwilę. „Tym razem musi koniecznie przyjść - pomyślała Kate. - I pozostać. To imperatyw”.

Gdy wspomniała Tony'emu o weekendzie, ten odparł krótko:

- Nie mogę. W poniedziałek wyjeżdżam do K-Kanady i przed wyjazdem muszę

jeszcze u-uporządkować parę spraw.

- To ważne - powiedziała mu Kate. - Przyjadą Charlie Wyatt i hrabia Hoffman, a są to...

- Wiem, kim oni są - przerwał jej. - R-rozmawiałem z Bradem Rogersem. Nie uda nam się nabyć żadnej z tych s-spółek. Nawet m-modlitwa tu nie pomoże.

- Chciałabym przynajmniej spróbować.

- Którą sobie upatrzyłaś? - zapytał spoglądając na nią uważnie.

- Wyatt Oil and Tool. Mogłaby nam zwiększyć zyski o piętnaście albo i więcej procent. Kiedy kraje arabskie uświadomią sobie, że chwyciły świat za gardło, utworzą kartel i ceny ropy naftowej gwałtownie podskoczą. Ropa stanie się niedługo płynnym złotem.

- A co z International T-Technology?

Kate wzruszyła ramionami.

- To dobra firma, ale Wyatt and Tool jest bardziej łakomym kąskiem. Byłaby dla nas idealnym nabytkiem. Powinieneś tu być, Tony. Kanada może parę dni poczekać.

Tony nie cierpiał przyjęć. Nie znosił tych nie kończących się, nudnych rozmów, tych napuszonych mężczyzn i drapieźnych kobiet. Ale to był biznes.

- Dobrze - powiedział więc w końcu.

Teraz wszystko było już zapięte na ostatni guzik.

Wyattowie przylecieli do Maine samolotem służbowym Kate, cessną, potem płynęli promem, a z przystani zostali odwiezieni do Cedar Hill House limuzyną. Brad Rogers miał rację co do córki Charliego Wyatta, Lucy. Była uderzająco piękna: wysoka, o ciemnych włosach i pokrytych złotymi cętkami brązowych oczach, osadzonych w twarzy o niemal doskonałych rysach. Miała na sobie gładką, dopasowaną suknię Galanos, podkreślającą jej fantastyczną figurę. „Dwa lata temu - jak Brad poinformował Kate - rozwiodła się z pewnym bogatym włoskim playboyem”. Kate, przedstawiając Lucy Tony’emu, obserwowała go dyskretnie. Nie było żadnej reakcji. Przywitał się z obojgiem Wyattów ze zwykłą sobie uprzejmością i poprowadził ich do baru, gdzie już czekał barman, by podać drinki.

- Jaki uroczy dom! - zawołała Lucy. Jej głos okazał się nieoczekiwanie łagodny i słodki, pozbawiony teksańskiego akcentu. - Czy często tu przyjeżdżasz?

- Nie.

Czekała przez chwilę, aż powie coś więcej, a gdy nic takiego nie nastąpiło, zapytała:

- Czy tu się wychowałeś?

- Częściowo.

- Tony spędził tu wiele szczęśliwych dni. - Kate zręcznie podtrzymała rozmowę. - Biedaczek jest tak zapracowany, że nieczęsto ma okazję wracać i odpoczywać tutaj, prawda, Tony?

- Tak - odparł obrzucając ją chłodnym spojrzeniem. - W gruncie rzeczy powinienem być w K-Kanadzie...

- Ale przełożył wyjazd, aby poznać was oboje - uratowała sytuację Kate.

- Chwała Bogu! - powiedział Charlie Wyatt. - Wielce mnie to cieszy. Dużo słyszałem o tobie, chłopcze. - Wyszczrzył zęby. - Zapewne nie chciałbyś popracować u mnie, co?

- Nie sądzę, aby mojej matce się to spodobało, panie Wyatt.

- Wiem o tym. - Charlie Wyatt znów wyszczrzył zęby, a następnie spojrzał na Kate. - Twoja matka jest prawdziwą damą. Szkoda, że nie widziałeś, jakie wrażenie zrobiła na wszystkich w Białym Domu, jak owinęła każdego wokół palca. Twoja...

Przerwał, gdyż w tym momencie do pokoju wszedł Frederick Hoffman wraz z córką. Marianne przypominała trochę swego ojca. Miała arystokratyczne rysy i długie jasne włosy. Była ubrana w szarawobiałą szyfonową suknię. Przy Lucy wyglądała jednak blado.

- Pozwolą państwo, że przedstawię im moją córkę Marianne - Powiedział hrabia Hoffman. - Przepraszam, że państwo musieli na nas czekać, ale samolot wylądował z opóźnieniem na La Guardia.

- Och, to skandal - stwierdziła Kate.

Tony dobrze wiedział, że to właśnie ona była sprawczynią tego skandalu. Wszystko zaaranżowała w taki sposób, aby Wyattowie i Hoffmanowie przylecieli do Maine oddzielnie; aby Wyattowie zjawili się przed Hoffmanami.

- Właśnie pijemy drinka. Czego państwo się napiją?

- Szkocką, poproszę - powiedział hrabia Hoffman.

- A ty, moja droga? - Kate zwróciła się do Marianne.

- Dziękuję, nie piję.

W kilka minut później zaczęli się schodzić pozostali goście. Tony krążył wokół nich, grając rolę uprzejmego gospodarza. Nikt, z wyjątkiem Kate, nie domyślał się, jak małe znaczenie mają dla niego te uroczystości. I to nie dlatego, by go nudziły, a po prostu dlatego, że zupełnie wyobcował się ze wszystkiego, stracił zainteresowanie ludźmi. Martwiło ją to.

W dużym salonie jadalnym nakryto dwa stoły. Kate posadziła przy jednym stole Marianne Hoffman między sędzią Sądu Najwyższego a senatorem, a przy drugim Lucy Wyatt obok Tony'ego. Wszyscy mężczyźni, żonaci i nieżonaci, zerkali na nią. Kate przysłuchiwała się, jak Lucy próbuje wciągnąć Tony'ego do rozmowy. Nie ulegało wątpliwości, że jej się

podobał. Uśmiechnęła się do siebie. Był to dobry początek.

Nazajutrz rano, w sobotę, Charlie Wyatt powiedział do Kate przy śniadaniu:

- Ten jacht, który tam stoi, wygląda niczego sobie. Jak duży jest, pani Blackwell?

- Prawdę mówiąc, dokładnie sama nie wiem. - Kate spojrzała na Tony'ego. - Tony, jak duży jest „Korsarz”?

- Osiemdziesiąt s-stóp - odparł uprzejmie Tony, choć wiedział, że matka zna odpowiedź na to pytanie.

- W Teksasie nieczęsto wskakujemy na statki. Za bardzo się spieszymy. Na ogół podróżujemy samochodami. - Charlie Wyatt wybuchnął śmiechem. - Założę się, że gdybym spróbował, to od razu bym się skąpał.

- Miałam nadzieję - uśmiechnęła się Kate - że da się pan namówić na małą przejażdżkę wokół wyspy. Moglibyśmy wypłynąć jutro.

Charlie Wyatt spojrzał na nią z zadumą.

- To wielka uprzejmość z pani strony, pani Blackwell.

Tony chłodnym okiem obserwował ich nie odzywając się wcale. Pierwsze posunięcie zostało wykonane i zastanawiał się teraz, czy Charlie Wyatt był tego świadom. Chyba nie. Był sprytnym biznesmenem, ale nigdy nie miał do czynienia z kimś takim jak Kate.

- Jaki piękny dzień - Kate zwróciła się teraz do Tony'ego i Lucy. - Dlaczego nie mielibyście popływać sobie trochę na żaglówce?

- Och, to wspaniały pomysł - powiedziała Lucy.

- P-przykro mi - odparł szorstko Tony. - Spodziewam się kilku ważnych telefonów z zagranicy. - Tony poczuł pełne dezaprobaty spojrzenie matki.

- Nie widziałam dziś rano pani ojca? - Kate spojrzała na Marianne.

- Poszedł zwiedzać wyspę. Jest rannym ptaszkiem.

- Przypuszczam, że lubi pani jeździć konno. Mamy tu wspaniałą stadninę.

- Dziękuję, pani Blackwell. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, wybiorę się na mały spacer.

- Oczywiście, że nie. - Kate spojrzała teraz na Tony'ego. - Czy jesteś pewien, że nie zmienisz zdania? - zapytała twardym głosem.

- Jestem pewien.

Było to małe zwycięstwo, ale zawsze zwycięstwo. Rozpoczęła się walka i Tony nie miał zamiaru jej przegrać. Nie tym razem. Matka nie ma już tej siły, aby go zwieść. Przesunęła go kiedyś jak pionek na szachownicy, ale wtedy był jeszcze bardzo naiwny. Drugi raz jej się to nie uda. Połakomiła się na firmę Wyatt Oil & Tool Company. Charlie Wyatt nie

myśli o sprzedaży ani o fuzji. Każdy człowiek ma jednak jakąś słabość. I matka znalazła ją w tym szczwanym jak lis Teksączyku. Jego córka. Gdyby Lucy weszła do rodziny Blackwellów, pewna forma połączenia firm byłaby nie do uniknięcia. Tony spojrzął z pogardą na drugi koniec stołu, przy którym siedziała matka. Dobrze zastawiła tę pułapkę. Lucy jest nie tylko piękna, ale inteligentna i czarująca. Jest jednak takim samym pionkiem w tej podłej grze jak on i żadna siła nie zmusi go, aby się do niej zbliżył. Była to walka między nim a matką.

Po śniadaniu Kate wstała od stołu i spojrzała na Tony'ego.

- Tony, może byś oprowadził pannę Wyatt po ogrodach, zanim zadzwoni telefon?

Tym razem Tony nie mógł grzecznie odmówić.

- Dobrze - odpowiedział więc i pomyślał: „Zrobię to najszybciej, jak tylko można”.

- Czy interesuje się pan rzadkimi i cennymi drukami? - Kate zwróciła się do Charliego Wyatta. - Mamy całkiem okazałą kolekcję w naszej bibliotece.

- Interesuje mnie wszystko, co chce mi pani pokazać - odrzekł Teksączyk.

- Czy nie miałabyś nic przeciwko, moja droga, gdybyśmy zostawili cię na chwilę samą? - zapytała Kate Marianne niemal z premedytacją.

- Proszę się mną nie przejmować, pani Blackwell. Dam sobie radę.

Tony wiedział, że o to właśnie chodziło matce. Panna Hoffran była bezużyteczna dla Kate, dlatego ją zbyła. Było to zrobione w białych rękawiczkach i z gładkim uśmiechem, ale pod tym wszystkim kryła się wyrafinowana przebiegłość i bezwzględność. Tony nienawidził czegoś takiego.

- Czy jesteś już gotów, Tony? - Lucy popatrzyła na niego uważnie

- Tak.

Tony i Lucy ruszyli w stronę drzwi. Ledwie znaleźli się na zewnątrz, jak usłyszał matkę mówiącą do Charliego Wyatta: - Czyż nie stanowią uroczej pary?

Szli alejami rozległych, wypielęgowanych ogrodów w kierunku przystani, w której stał „Korsarz”. Wokoło rozciągały się niezliczone akry niezwykle barwnych kwiatów, przesycających letnie powietrze swoją wonią.

- To jest prawdziwy raj - powiedziała z zachwytem Lucy.

- Tak.

- W Teksasie nie mamy takich kwiatów.

- Nie?

- Jest tu tak cicho i spokojnie.

- Tak.



Lucy zatrzymała się nagle i przeszła go wzrokiem. Zobaczył gniew malujący się na jej twarzy.

- Czy powiedziałem coś obraźliwego? - spytał.

- Nie, nic nie powiedziałeś. I to jest właśnie obraźliwe. Wszystko, co mogę z siebie wydusić, to „tak” lub „nie”. Jakbyś koniecznie chciał mi dać odczuć, że chcę... ciebie usidlić.

- A nie chcesz?

- Chcę - roześmiała się. - Gdybym tylko zdołała nauczyć cię mówić, to myślę, że mogłoby coś z tego wyniknąć.

Tony uśmiechnął się szeroko.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała Lucy.

- Nic.

Myślał o matce, o tym, jak bardzo nie lubi przegrywać.

Kate pokazywała Charliemu Wyattowi bibliotekę wyłożoną dębową boazerią. Na półkach, obok pierwszego tomu *in folio* Bena Johnsona, stały najstarsze edycje dzieł Olivera Goldsmitha, Laurence'a Sterne'a, Tobiasa Smolletta i Johna Donne'a. Były także dzieła Samuela Butlera i Johna Bunyana oraz niezwykle cenna edycja *Queen Mab* wydana własnym sumptem w 1813 roku. Charlie Wyatt z roziskrzonymi oczami przechodził obok tych półek pełnych prawdziwych skarbów przystanął przed przepięknie oprawioną edycją *Endymiona* Johna Keatsa.

- To egzemplarz Rosenberga?

- Tak. - Kate spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Istnieją tylko dwa znane egzemplarze.

- Wiem coś o tym - oznajmił Charlie Wyatt - gdyż to ja właśnie posiadam ten drugi.

- Powinam się była domyślić. - Kate roześmiała się. - Zmyliła mnie ta maska „równego chłopca z Teksasu”, którą na siebie włożyłeś.

- Naprawdę? - Wyatt wyszczerzył zęby. - To niezły kamuflaż.

- Jakie szkoły skończyłeś?

- Szkoła Górnicza w Colorado, potem Oxford jako stypendysta Fundacji Rhodesa. - Popatrz na nią uważnie. - Powiedziano mi, że to ty załatwiłaś mi zaproszenie na konferencję w Białym Domu.

Kate wzruszyła ramionami.

- Wystarczyło, że wymieniłam twoje nazwisko. Byli zachwyceni, że będziesz mógł przyjechać.

- To wielka uprzejmość z twojej strony, Kate. A teraz, skoro jesteśmy sami, powiedz mi, o co ci naprawdę chodzi?

Tony przebywał w swojej pracowni, niewielkim pokoju, mieszczącym się w pobliżu sieni. Siedział w głębokim fotelu, gdy usłyszał, jak ktoś otwiera drzwi i wchodzi do środka. Odwrócił się. Była to Marianne Hoffman. Zanim zdążył otworzyć usta, aby zaznaczyć swoją obecność, usłyszał jej oddech. Przypatrywała się obrazom wiszącym na ścianie, tym paru obrazom, które przywiózł z Paryża i które tylko tu mogły wisieć. Obserwował, jak przechodzi od jednego do drugiego. Było już za późno, aby się odezwać.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała półgłosem, przystając przed jednym z nich.

Tony'ego ogarnęła nagła wściekłość. Wiedział, że te obrazy nie są wcale aż takie złe. Poruszył się i fotel zaskrzypiał, a wówczas Marianne się odwróciła.

- Och! Przepraszam. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

Tony podniósł się z fotela.

- Nic się takiego nie stało - odezwał się nieprzyjemnym tonem. Nie cierpiał, jak ktoś nachodził jego sanktuarium. - Szukasz czegoś?

- Nie. Ja... tylko przechadzam się bez celu. Wasza kolekcja obrazów ma wartość muzealną.

- Z wyjątkiem tych - burknął Tony.

Zdziwiła ją wrogość w jego głosie. Spojrzała na obrazy i zauważyła podpisy.

- To ty je namalowałeś?

- Przepraszam, jeśli ci się nie podobają.

- Ależ one są fantastyczne! - Podeszła do niego. - Nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Jeśli potrafisz to robić tak dobrze, dlaczego zabrałeś się do czegoś innego. Jesteś znakomity. Nie dobry, ale właśnie znakomity.

Tony stał nie słuchając jej, chciał tylko, żeby już sobie poszła.

- Chciałam zostać malarką. Przez rok studiowałam u Oskara Kokoschki. W końcu zrezygnowałam, gdyż zdałam sobie sprawę, że nigdy nie będę tak dobra, jak bym chciała. Ale ty! - Ponownie odwróciła się, by spojrzeć na obrazy. - Studiowałaś w Paryżu?

- Tak - przyznał niechętnie, czując wzrastające zniecierpliwienie.

- I zrezygnowałeś... z tych samych powodów co ja?

- Tak.

- Jaka szkoda.

- Ach, tutaj jesteście!

Oboje odwrócili się. W drzwiach stała Kate. Przez chwilę patrzyła na nich uważnie, potem podeszła do Marianne.

- Wszędzie cię szukam, Marianne. Twój ojciec wspomniał mi, że lubisz orchidee. Musisz koniecznie obejrzeć naszą cieplarnię.

- Dziękuję - odparła półgłosem Marianne. - Proszę się mną...

- Tony - Kate spojrzała karcąco na syna - może powinienes zająć się też innymi gośćmi.

Wzięła Marianne pod ramię i obie wyszły.

Obserwowanie matki manipulującej ludźmi było rzeczą fascynującą. Robiła to tak zręcznie, że żaden ruch nie szedł na marne. Zaczęła od Wyattów, którzy przyjechali przed Hoffmanami. A potem wciągnęła do gry Lucy, którą przy każdym posiłku usadawiała obok niego. To było tak cholernie oczywiste, ale oczywiste tylko dla niego, gdyż znał klucz. Dobrze wiedział, czego można się spodziewać po matce, odgadywał jej zamiary. Lucy Wyatt jest uroczą dziewczyną, wprost wymarzoną żoną dla każdego. Ale on nigdy nie mógłby poślubić Lucy wiedząc, że Kate Blackwell, ta bezduszna, wyrachowana suka, jest jej swatką i orędowniczką. Zastanawiał się, jakie będzie następne posunięcie matki. Nie musiał długo czekać, by zaspokoić swoją ciekawość.

Siedzieli wszyscy na tarasie, popijając koktajle.

- Pan Wyatt był tak uprzejmy, że zaprosił nas na swoje ranczo w przyszłym tygodniu.

- Kate zwróciła się do Tony'ego. - Czy to nie cudownie? - Jej twarz promieniała zadowoleniem. - Nigdy nie widziałam teksańskiego rancza.

Firma Kruger-Brent posiadała ranczo w Teksasie i prawdopodobnie było ono dwa razy większe od rancza Wyattów.

- Przyjedziesz, Tony, co? - zapytał Charlie Wyatt.

- Och, proszę - dodała Lucy.

Działali wspólnie i to stanowiło wyzwanie. Zdecydował się je podjąć.

- Z przyjemnością - odparł więc.

- Cieszę się bardzo. - Twarz Lucy wyrażała autentyczną radość. Podobnie jak Kate.

„Jeśli Lucy ma zamiar mnie usidlić - pomyślał Tony - to tylko marnuje czas”.

Rana, jaką zadała mu matka i Dominique, wytworzyła w nim głęboką nieufność do kobiet. Odtąd jego kontakty z nimi ograniczały się wyłącznie do luksusowych call girls. Ze wszystkich rodzajów kobiet one właśnie postępowały najuczciwiej. Jediną rzeczą, jakiej chciały, były pieniądze, i z góry podawały cenę. Płaciło się za to, co się otrzymywało, a otrzymywało się to, za co się płaciło. Żadnych komplikacji, żadnych łez, żadnych

kłamstewek. Lucy Wyatt czeka przykra niespodzianka.

Wczesnym rankiem w niedzielę, gdy Tony zszedł na dół do basenu, aby trochę popływać, zastał tam Marianne Hoffman. Była ubrana w biały kostium kąpielowy. Miała śliczną figurę: smukłą, dziewczęcą i pełną wdzięku. Tony obserwował, jak Marianne równomiernie przecina wodę, unosząc i opuszczając ręce w miarowym rytmie. Ujrawszy Tony'ego podплыnęła do niego.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. Nieźle sobie radzisz.

- Uwielbiam sport - Marianne uśmiechnęła się. - Mam to po ojcu.

Oparła się rękami o brzeg basenu i podciągnęła. Tony podał jej ręcznik.

- Jesteś już po śniadaniu?

- Nie. Sądziłam, że kucharz nie przychodzi tak wcześnie.

- Tu jest jak w hotelu. Całodobowy serwis.

- To miło. - Marianne uśmiechnęła się do niego.

- Gdzie mieszkasz?

- Przeważnie w Monachium. Mieszkamy w starym *Schloss* - zamku, poza miastem.

- Gdzie się wychowałaś?

Marianne westchnęła.

- To długa historia. Podczas wojny wysłano mnie do szkoły w Szwajcarii. Potem chodziłam do Oxfordu, studiowałam na Sorbonie i mieszkałam przez kilka lat w Londynie. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Tam właśnie byłam. A gdzie ty bywałeś?

- Tu i ówdzie. Nowy Jork, Maine, Szwajcaria, Afryka Południowa, kilka lat na południowym Pacyfiku podczas wojny, Paryż... - Przerwał nagle, jakby obawiając się, że i tak już za dużo powiedział.

- Wybacz mi moją nadmierną ciekawość, ale nie mogę zrozumieć, dlaczego przestałeś malować.

- To nieważne - odparł krótko Tony. - Chodźmy na śniadanie.

Siedzieli sami na tarasie, jedząc śniadanie i patrząc na iskrzące się wody zatoki. Marianne okazała się wdzięczną rozmówczynią. Miała w sobie coś spokojnego i delikatnego. Nie flirtowała ani nie paplała. Wydawała się autentycznie nim zainteresowana. Tony poczuł, że ta subtelna dziewczyna pociąga go. Zastanawiał się jednak, na ile powodem tego jest chęć pokrzyżowania planów matce...

- Kiedy wracasz do Niemiec?

- W przyszłym tygodniu - odparła Marianne. - Wychodzę za mąż.

Zaskoczyły go te słowa.

- To wspaniale - odparł niezbyt przekonywująco. - Kim on jest?

- Lekarzem. Znam go od dziecka.

„Dlaczego to dodała? Czyżby chciała mu coś przez to powiedzieć?”

- Czy zjadłabyś ze mną kolację w Nowym Jorku? - zapytał pod wpływem impulsu.

Spojrzała na niego uważnie.

- Z przyjemnością - odpowiedziała po chwili namysłu, która wydała mu się nieskończenie długa.

- To randka. - Twarz Tony'ego rozjaśnił uśmiech zadowolenia.

Zjedli kolację w małej nadbrzeżnej restauracyjce na Long Island. Tony chciał być sam na sam z Marianne, z dala od wzroku matki. Zaplanował niewinne spotkanie, ale Tony był przekonany, że gdyby matka się dowiedziała się, znalazłaby już sposób, aby mu je obrzydzić. To, co nawiązało się między nim a Marianne, było wyłącznie ich sprawą. Zaczęło się niedawno i nie chciał, aby cokolwiek miało to zepsuć. Towarzystwo Marianne sprawiło mu przyjemność, nawet większą, niż przypuszczał. Miała szelmowskie poczucie humoru i Tony śmiał się tego wieczoru więcej niż przez wszystkie dni i noce, jakie upłynęły od czasu, gdy wyjechał z Paryża. Marianne wprawiła go w pogodny i beztroski nastrój.

„Kiedy wracasz do Niemiec?

W przyszłym tygodniu... Wychodzę za mąż”.

Przez następnych pięć dni Tony często widywał się z Marianne. Odwołał swoją podróż do Kanady, nie bardzo wiedząc dlaczego. Sądził, że prawdopodobnie była to pewna forma buntu przeciwko matce, ale tak mogło być jedynie na początku. Teraz już nie. Marianne coraz bardziej i bardziej go pociągała. Uwielbiał jej szczerość, cechę, której nie spodziewał się już w nikim odnaleźć.

Marianne była po raz pierwszy w Nowym Jorku i Tony chciał jej pokazać całe miasto. Wspięli się na Statuę Wolności, popłynęli promem na Staten Island, weszli na szczyt Empire State Building i jedli w Chinatown. Wiele godzin spędzili też w Metropolitan Museum of Art i Galerii Fricka. Mieli takie same upodobania. Unikali zwierzeń na tematy osobiste, ale oboje podświadomie czuli do siebie nieodparty pociąg seksualny. Czas mijał szybko, aż nadszedł piątek. Na ten dzień Tony był zaproszony na ranczo Wyattów.

- Kiedy odlatujesz do Niemiec? - spytał Marianne.
- W poniedziałek rano - odparła bez entuzjazmu.

Tego popołudnia Tony odleciał do Houston. Mógł skorzystać z jednego z samolotów firmy i odbyć podróż wraz z matką, ale wolał uniknąć takiej sytuacji. Matka była dla niego tylko partnerem w sprawach służbowych: świetnym i silnym, przebiegłym i niebezpiecznym partnerem.

Na Lotnisku Williama P. Hobby'ego w Houston czekał już na Tony'ego rolls-royce, a w nim kierowca ubrany w levisy i kolorową sportową koszulę.

- Większość ludzi woli lecieć prosto na ranczo - oznajmił Tony'emu, gdy ruszyli. - Pan Wyatt ma długi pas startowy. Stąd jedzie się gdzieś z godzinę do głównej bramy, a potem jeszcze z pół do rezydencji.

Tony pomyślał, że kierowca przesadza, ale mylił się. Ranczo Wyatta przypominało bardziej miasto. Przejechali przez główną bramę i znaleźli się na prywatnej szosie. Po trzydziestu minutach zaczęli mijać zabudowania, stajnie, zagrody, domy gościnne i bungalowy dla służących. Sama rezydencja okazała się ogromnym, nie kończącym się jednopiętrowym domem wiejskim, który sprawił na Tonym przygnębiające wrażenie.

Kate była już na miejscu. Siedziała wraz z Charliem Wyattem na tarasie, z którego roztaczał się widok na basen wielkości małego jeziora, prowadząc ożywioną rozmowę. Wyatt, zauważywszy Tony'ego, przerwał w połowie zdania i Tony domyślił się, że to o nim właśnie mówiono.

- Oto i nasz zuch! - powiedział Wyatt. - Jak ci zleciała podróż, Tony?
- Dziękuję, d-dobrze.
- Lucy miała nadzieję, że uda ci się złapać jakiś wcześniejszy samolot - rzekła Kate.

Spojrzał na matkę.

- Naprawdę?

Charlie Wyatt poklepał Tony'ego po plecach.

- Na twoją i twojej matki cześć pieczemy niezłego wieprza. Wszyscy zlatują się z tej okazji.

- To bardzo u-uprzejmie z pana strony - odparł Tony.

Na tarasie pojawiła się Lucy, ubrana w białą bluzkę i obcisłe wytarte dżinsy. Tony musiał przyznać, że wygląda olśniewająco. Podeszła i wzięła go pod ramię.

- Tony! Myślałam, że już nie przyjedziesz.
- P-przepraszam za spóźnienie. W ostatniej chwili wyskoczyło mi kilka spraw w b-

biurze.

Lucy obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Nic się nie stało. Najważniejsze, że w końcu przyjechałeś. Co chciałbyś robić dziś po południu?

- A co masz do zaoferowania?

Lucy spojrzała mu prosto w oczy.

- Wszystko, co tylko zechcesz.

Kate Blackwell i Charlie Wyatt promienieli zadowoleniem.

Upieczony w całości wieprz prezentował się okazale, nawet jak na teksańskie normy. Około dwustu gości przybyło na tę ucztę: prywatnymi samolotami, mercedesami i rolls-royce'ami. Sprowadzono dwie orkiestry, które grały jednocześnie w różnych częściach posiadłości. Sześciu barmanów rozdzielało szampana, whisky, lekkie drinki i piwo, podczas gdy czterech kuchmistrzów pracowicie przygotowywało jedzenie na wieczorną ucztę połączoną z pokazem fajerwerków: pieczone mięso wieprzowe i jagnięce, steki, kurczaki i kaczki. Były też gliniane, bulgoczące garnki z chilli, wielkie ilości homarów, pieczonych w ziemi krabów i kaczanów kukurydzy, a ponadto zwykłe ziemniaki, słodkie ziemniaki - *yamy*, świeży groszek w strączkach, sześć rodzajów sałatek, ciepłe biskwity domowego wypieku, chleb kukurydziany z miodem i dżemem... Cztery ogromne stoły zastawione samymi tylko deserami; świeżymi babeczkami, ciastkami, puddingami i domowymi lodami o różnych smakach.

Była to największa rozpusta, jaką Tony kiedykolwiek widział. Pomyślał, że na tym właśnie polega różnica między nowobogackimi a bogatymi od pokoleń. Ci, którzy posiadają pieniądze od dawna, kierują się zasadą, by tego nie okazywać, podczas gdy nowobogacy muszą koniecznie się z tym obnosić.

To, czego był świadkiem, przechodziło jednak wszelkie wyobrażenie; było pysznieniem się na niewiarygodną skalę. Kobiety miały na sobie śmiałe i niezwykle kosztowne toalety, a pokaz biżuterii był aż oślepiający. Tony obserwował z boku tych opychających się i hałaśliwych ludzi. Czuł się tak, jakby uczestniczył w jakimś niezrozumiałym, dekadencckim obrządku. Ilekroć się obrócił, wyrastał przed nim kelner z tacą pełną kieliszków z szampanem, półmisków z pasztetem lub kawiozem z bielugi. Odnosił wrażenie, że kelnerów jest tyle samo co gości. Przysłuchiwał się właśnie jakiejś trywialnej rozmowie, którą prowadzono obok, gdy stanęła przy nim Lucy.

- Dlaczego nic nie jesz? - zapytała przypatrując mu się uważnie. - Nic ci nie jest,

Tony?

- Nie. Wszystko w porządku. Niezłe przyjęcie.

- Niczego jeszcze nie widziałeś, mój partnerze. Poczekaj na pokaz ogni sztucznych.

- Pokaz ogni sztucznych?

- Aha. - Dotknęła jego ramienia. - Przepraszam za to zamieszanie. Tu zawsze tak jest.

Tatús chciał wyrzucić wrażenie na twojej matce. - Uśmiechnęła się. - Jutro już wszyscy sobie pojedą.

„Podobnie jak i ja” - pomyślał Tony z sarkazmem. Popełnił błąd, przyjeżdżając tutaj. Jeśli matka tak bardzo chce mieć firmę Wyatt Oil & Tool, to musi znaleźć inny sposób. Zaczął jej szukać wzrokiem w tłumie i wreszcie dojrzał w otoczeniu dużej grupy admiratorów. Była piękna. Miała prawie sześćdziesiąt lat, ale wyglądała co najmniej o dziesięć lat młodziej. Jej twarz nie przecinała ani jedna zmarszczka. Trzymała się znakomicie, swoją sylwetkę zawdzięczając gimnastyce i codziennym masażom. Była tak samo wymagająca wobec siebie, jak i innych. W jakiś perwersyjny sposób Tony jednak uwielbiał ją. Postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że Kate jest w cudownym i beztróskim nastroju. Gawędziła z gośćmi, była rozpromieniona, śmiała się. „Robi to wszystko ze wstrętem - myślał Tony. - Ale żeby dopiąć swego, gotowa jest na każde poświęcenie”. Pomyślał też o Marianne, o tym, z jak wielkim niesmakiem patrzyłaby na tego rodzaju bezsensowną orgię. Na myśl o niej ogarnął go niespodziewany ból.

„Wychodzę za mąż. Jest lekarzem. Znam go od dziecka”.

W pół godziny później, gdy Lucy szukała go wśród gości, był już w drodze do Nowego Jorku.

Zadzwoił do Marianne prosto z lotniska.

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Dobrze - brzmiała natychmiastowa odpowiedź.

Tony nie mógł przestać myśleć o Marianne Hoffman. Przez długi czas był sam, ale nie czuł się samotny. Rozłąka z Marianne wywołała w nim jednak uczucie głębokiego osamotnienia, czegoś mu brakowało. Jej obecność przywracała go do życia, dodawała wiary i siły, rozpędzała ciemne chmury gromadzące się nad nim. Miał straszliwe przeczucie, że jeśli pozwoli odejść Marianne, będzie zgubiony. Potrzebował jej, tak jak jeszcze nigdy nikogo.

Spotkali się w jego mieszkaniu. Kiedy weszła, poczuł gwałtowne niepoohamowane pragnienie, które - jak sądził - wygasło w nim na zawsze. Spojrzawszy na Marianne zrozumiał, że musi odczuwać to samo. I pomyślał, że to sprawił cud, cud, którego nie da się



wyrazić słowami. Przytuliła się do niego i nagle uczucie porwało ich, zaczęło unosić coraz dalej i dalej. Oddawali się czułym, gorącym i zmysłowym pieszczotom, zatracali coraz bardziej w cudownej radości i zachwycie. A potem leżeli wyczerpani miłością, przytuleni mocno do siebie. Jej miękkie włosy pieściły mu twarz.

- Ożenię się z tobą, Marianne.

Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu badawczo w oczy.

- Jesteś tego pewien, Tony? - Jej głos brzmiał łagodnie. - Jest pewien problem, kochanie.

- Twoje zaręczyny?

- Nie. Zerwę je. Niepokoi mnie twoja matka.

- Ona nie ma tu nic...

- Pozwól mi skończyć, Tony. Ona chciałaby, abyś ożenił się z Lucy Wyatt.

- To są jej plany. - Przygarnął ją mocno do siebie. - Moje plany są tutaj.

- Znienawidzi mnie, Tony. Nie chcę tego.

- A wiesz, czego ja chcę? - powiedział szeptem.

I cud powtórzył się.

Minęły jeszcze dwie doby, nim Tony dał znać o sobie. Zniknął z rancza Wyattów bez słowa wyjaśnienia lub pożegnania. Charlie Wyatt czuł się zawiedziony, a Lucy była po prostu wściekła. Kate przepraszała, próbowała niezręcznie ratować sytuację. Jeszcze tego wieczoru wsiadła na pokład samolotu należącego do firmy Kruger-Brent i poleciała do Nowego Jorku. Po powrocie do domu zatelefonowała do Tony'ego. Nikt nie podniósł słuchawki. Telefon nie odpowiadał również następnego dnia.

Kate była w swoim gabinecie, gdy na jej biurku odezwał się prywatny telefon. Wiedziała, kto dzwoni.

- Tony, nic ci nie jest?

- Nie. Wszystko w porządku, mamó.

- Gdzie jesteś?

- Właśnie w-wybieram się w podróż poślubną. Wczoraj wziąłem ślub z Marianne Hoffman. - Zapadło długie, długie milczenie. - Jesteś tam j-jeszcze, mamó?

- Tak, jestem.

- Mogłabyś przynajmniej p-powiedzieć „gratuluję” albo „w-wszystkiego najlepszego”, czy też jeden z tych w-wytartych frazesów - powiedział udając rozgoryczonego.

- Tak - odparła Kate. - Oczywiście. Życzę ci dużo szczęścia, synu.

- Dziękuję, m-mamo - rzekł Tony i rozłączył się.

Kate odłożyła słuchawkę i wezwała przez interkom Brada Rogersa. Gdy tylko wszedł do gabinetu, Kate oznajmiła:

- Dzwonił przed chwilą Tony.

Brad spojrział na nią uważnie.

- O, Boże! Tylko mi nie mów, że ci się udało.

- Tony'emu się udało - uśmiechnęła się Kate. - Mamy teraz w garści imperium Hoffmanów.

Brad usiadł z wrażenia na krześle.

- Nie mogę w to uwierzyć! Wiem, jak uparty potrafi być Tony. W jaki sposób udało ci się, u licha, nakłonić go do poślubienia Marianne Hoffman?

- To było naprawdę bardzo proste. - Kate westchnęła. - Popychałam go w odwrotnym kierunku. - Kate wiedziała, że postąpiła właściwie. Marianne będzie wspianą żoną dla Tony'ego. Rozpędzi ciemności.

Lucy ma wyciętą macicę.

Marianne da mu syna.

## Rozdział 21

W sześć miesięcy po ślubie Tony'ego z Marianne firma Hoffmana została wchłonięta przez Kruger-Brent. Oficjalne podpisanie umowy odbyło się w Monachium. Był to ukłon w stronę Hoffmana, który odtąd miał kierować filią Kruger-Brent w Niemczech. Tony'ego zdumiewało, że matka z taką pokorą przyjęła jego małżeństwo. To nie było do niej podobne - przegrywać tak gładko. Ponadto okazywała Marianne niezwykłą serdeczność od chwili, gdy wrócili z podróży poślubnej po wyspach Bahama, i powiedziała mu, że bardzo cieszy się z jego małżeństwa. Najbardziej jednak zdumiewało go to, że jej uczucia wydawały się szczerze. Tak nagle zmiana przekonań zupełnie nie leżała w jej charakterze. Tony uznał, że być może nie rozumiał matki tak dobrze, jak sądził.

Małżeństwo układało się wspaniale już od samego początku. Marianne wypełniła pustkę powstałą w jego życiu po wyjeździe z Paryża i wszyscy wokół zauważyli w nim zmianę - zwłaszcza Kate. Tony i Marianne spędzali razem prawie każdą chwilę. Marianne towarzyszyła Tony'emu w jego podróżach służbowych. Razem bawili się, razem śmiali, naprawdę czuli się ze sobą szczęśliwi. Obserwując ich, Kate myślała z radością: „Dobrze wybrałam dla mojego syna”.

To Marianne udało się dokonać przełomu w stosunkach Tony'ego z matką. Po powrocie z podróży poślubnej powiedziała:

- Chciałabym zaprosić twoją matkę na kolację.
- Tylko nie to. Nie znasz jej, Marianne. Ona...
- Chciałabym ją poznać. Proszę, Tony.

Nie podobał mu się ten pomysł, ale w końcu uległ namowom żony. Tony sądził, że wieczór będzie ponury, tymczasem spotkała go miła niespodzianka. Kate czuła się z nimi najwyraźniej szczęśliwa. W następnym tygodniu zaprosiła ich do siebie na kolację i od tego czasu wspólne kolacje u Kate stały się cotygodniowym rytuałem.

Kate i Marianne zostały przyjaciółkami. Kilka razy w tygodniu rozmawiały ze sobą przez telefon i przynajmniej raz w tygodniu spotykały się na lunchu.

Pewnego dnia umówiły się na lunch w „Lutece” i w chwili kiedy weszła Marianne, Kate poznała po jej minie, że stało się coś złego. Marianne zamówiła podwójną whisky bez lodu, choć z reguły piła tylko wino.

- Coś się stało, Marianne? - spytała z niepokojem Kate.
- Wracam od doktora Harleya.

Kate ogarnęło przerażenie.

- Nie jesteś chyba chora, prawda?

- Nie. Czuję się świetnie. Tylko... - I Marianne opowiedziała jej całą historię.

Zaczęło się kilka dni temu. Nie czuła się najlepiej i umówiła się na wizytę do doktora Harleya.

Wygląda pani całkiem zdrowo - uśmiechnął się doktor Harley. - Ile ma pani lat, pani Blackwell?

- Dwadzieścia trzy.

- Czy w rodzinie ktoś chorował na serce?

- Nie.

- Miał nowotwór? - Doktor Harley sporządzał notatki.

- Nie.

- Czy pani rodzice żyją?

- Mój ojciec tak. Matka zginęła w wypadku samochodowym.

- Czy chorowała pani na świnkę?

- Nie.

- Odrę?

- Tak. Gdy miałam dziesięć lat.

- Koklusz?

- Nie.

- Czy była pani kiedyś operowana?

- Tak. W wieku dziewięciu lat miałam usuwane migdałki.

- Czy była pani hospitalizowana z innych powodów?

- Nie. To znaczy tak... jeden jedyny raz, ale krótko.

- Z jakiego powodu?

- Grałam w szkole w dziewczęcej drużynie hokejowej i podczas gry zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Odzyskałam przytomność w szpitalu. Byłam tam tylko trzy dni. To nie było nic takiego.

- Czy podczas gry odniosła pani jakąś kontuzję?

- Nie. Ja... tylko straciłam przytomność.

- Ile miała pani wtedy lat?

- Szesnaście. Lekarz powiedział, że była to prawdopodobnie reakcja gruczołów związana z okresem dojrzewania.

Doktor Harley drgnął.

- Czy odzyskawszy przytomność, czuła pani bezwład którejś strony ciała?

- Tak, rzeczywiście - odparła Marianne po chwili namysłu. - Prawej strony. Ale to przeszło po kilku dniach. Od tego czasu coś takiego już się nie powtórzyło.

- Czy miała pani bóle głowy? Okresowe zaburzenia widzenia?

- Tak. Ale one również szybko przeszły. - Zaczynały już ją niepokoić te pytania. - Doktorze Harley, czy sądzi pan, że coś jest ze mną nie w porządku?

- Nie wydaje mi się, ale dla pewności chciałbym przeprowadzić kilka badań.

- Jakich badań?

- Chciałbym zrobić angiografię mózgu. Nie ma powodów do niepokoju. Możemy to zrobić już za chwilę.

W trzy dni później Marianne miała telefon od pielęgniarki doktora Harleya, aby przyszła na wizytę.

John Harley przyjął ją w swoim gabinecie.

- No i rozwiązaliśmy zagadkę - powiedział na wstępie.

- Czy coś nie tak?

- Nie. Nic takiego. Badanie wykazało, że miała pani drobny wylew. Medycyna nazywa to aneurysmem. Jest to bardzo częsta dolegliwość u kobiet, a zwłaszcza u nastolatek. W mózgu pęka małe naczynko i sączy się z niego krew. Wzrost ciśnienia był właśnie przyczyną bólów głowy i zaburzenia widzenia. Na szczęście to mija samoistnie.

Marianne słuchała doktora Johna Harleya, próbując walczyć z coraz większym niepokojem.

- Co... to wszystko dokładnie oznacza? Czy istnieje ryzyko, że się to powtórzy?

- Nie sądzę. Może pani prowadzić absolutnie normalny tryb życia, no, może nie powinna pani tylko grać w hokeja.

- Tony i ja lubimy jeździć konno i grać w tenisa. Czy to...

- Może pani robić wszystko, byle nie szarżować. Od tenisa do seksu. Nic nie stoi na przeszkodzie.

Uśmiechnęła się z ulgą.

- Dzięki Bogu.

Kiedy Marianne wstała, John Harley powiedział:

- Jest pewna rzecz, pani Blackwell. Jeśli pani i Tony zamierzacie mieć dzieci, radziłbym je zaadoptować.

Marianne zdrętwiała z przerażenia.

- Powiedział pan, że jestem zupełnie zdrowa.

- Bo jest pani. Niestety, ciąża ogromnie powiększa objętość naczyń krwionośnych. A podczas ostatnich sześciu-ośmiu tygodni następuje dodatkowy wzrost ciśnienia krwi. Przy tego rodzaju dolegliwości ryzyko byłoby zbyt duże; niebezpieczeństwo mogłoby okazać się śmiertelne. W dzisiejszych czasach nie ma problemów z adopcją. Mógłbym...

Marianne już nie słuchała. W uszach brzmiały jej słowa Tony'ego: „Chcę, żebyśmy mieli dziecko. Małą dziewczynkę, która byłaby podobna do ciebie”.

...Nie mogłam już dłużej tego słuchać - powiedziała Marianne do Kate. - Wybiegłam z jego gabinetu i popędziłam od razu tutaj.

Kate z ogromnym wysiłkiem powstrzymała się od okazania swego rozczarowania. Był to ogłuszający cios. Ale musi znaleźć się jakieś rozwiązanie. Zawsze jest jakieś rozwiązanie.

Zdobyła się na uśmiech i powiedziała:

- Głowa do góry! Myślałam, że to coś znacznie gorszego.

- Ależ, Kate, Tony i ja tak bardzo chcemy mieć dziecko.

- Marianne, doktor Harley jest panikarzem. Miałaś kiedyś mały problem, a Harley próbuje teraz zrobić z tego coś istotnego. Wiesz, jacy są lekarze. - Ujęła dłoń Marianne. - Czujesz się dobrze, prawda, kochanie?

- Czulałam się wspaniale do chwili gdy...

- Nigdy nie robi ci się przecież słabo.

- Nie.

- Ponieważ to wszystko już minęło. On sam powiedział, że te rzeczy mijają samoistnie.

- Mówił, że ryzyko...

Kate westchnęła.

- Marianne, zawsze, ilekroć kobieta zachodzi w ciążę, istnieje ryzyko. Życie pełne jest niebezpieczeństw. Najważniejsze to umieć zdecydować, które ryzyko warte jest podjęcia. Czy nie mam racji?

- Tak - odparła Marianne w zamyśleniu. Podjęła już decyzję. - Masz rację. Nie mówmy o niczym Tony'emu. Niepotrzebnie by się tylko martwił. Utrzymajmy to w tajemnicy.

„Zabiłabym tego cholernego Harleya za to, że ją tak nastraszył” - pomyślała Kate, a powiedziała na głos: - Dobrze. Niech będzie to naszą tajemnicą.

W trzy miesiące później Marianne zaszła w ciążę. Tony wprost szalał z radości. Kate po cichu triumfowała, a doktor Harley był przerażony.

- Powinna pani natychmiast usunąć ciążę. Zajmę się tym - powiedział Marianne.

- Nie, doktorze Harley. Czuję się świetnie. Chcę mieć dziecko.

Kiedy Marianne opowiedziała Kate o swojej wizycie, Kate udała się natychmiast do doktora Harleya. Wpadła do niego jak burza.

- Jak śmiesz proponować mojej synowej przerwanie ciąży?

- Kate, moim obowiązkiem było ją ostrzec, że jeśli donosi tę ciążę, może umrzeć przy porodzie.

- Nie wiesz tego. Nic jej nie będzie. Przestań ją straszyć.

W osiem miesięcy później, na początku lutego, o czwartej nad ranem zaczęły się przedwczesne bóle porodowe. Tony'ego obudziły jęki Marianne. Wskoczył z łóżka i zaczął się pospiesznie ubierać.

- Nie martw się, kochanie. Zaraz będziemy w szpitalu. Bóle były przeszywające.

- Proszę, pospiesz się.

Marianne zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna była powiedzieć Tony'emu o rozmowach z doktorem Harleyem. Nie, Kate miała rację. Do niej należało podjęcie decyzji. Życie jest tak piękne, że Bóg nie pozwoli, aby stało się jej coś złego.

Kiedy Marianne i Tony przyjechali do szpitala, wszystko było już przygotowane. Zaprowadzono Tony'ego do poczekalni, a Marianne wzięto do izby przyjęć. Doktor Mattson, położnik, zmierzył Marianne ciśnienie, zmarszczył brwi i jeszcze raz je zmierzył. Następnie podniósł wzrok na pielęgniarkę i powiedział: - Zabierz ją do sali operacyjnej. Szybko!

Tony stał na korytarzu przy automacie z papierosami, gdy usłyszał za sobą czyjś głos:

- Kogo ja tu widzę. Czy to nie nasz Rembrandt?

Tony odwrócił się. Rozpoznał mężczyznę, który przyjechał z Dominique, gdy na nią czekał przed jej domem. Jak ona zwracała się do niego? Ben. Mężczyzna przyglądał mu się z wyrazem niechęci na twarzy. A może zazdrości? Czego się od niej dowiedział? W chwili gdy zaczął się nad tym zastanawiać, pojawiła się Dominique.

- Pielęgniarka powiedziała, że Michelline jest na oddziale intensywnej terapii. Przyjdziemy... - Nie dokończyła, gdyż zauważyła Tony'ego. Zatrzymała się.

- Tony! Co ty tu robisz?

- Moja żona właśnie rodzi.

- Czy twoja mamusia ci to załatwiła? - spytał prowokująco Ben.

- O co ci chodzi?

- Dominique mówiła mi, że twoja mamusia wszystko załatwia za ciebie, synku.

- Ben! Przestań!

- Dlaczego? Czy nie jest to prawdą, dziecinko? Czy nie mówiłaś tak?

Tony spojrzał na Dominique.

- O czym on mówi?

- Nie przejmuj się - powiedziała pospiesznie. - Ben, chodźmy już stąd.

Ale Ben najwyraźniej nie miał na to ochoty.

- Sam chciałbym mieć taką mamusię, jak ty, bratku. Chcesz spać z modelką, kupuje ci ją. Chcesz mieć wystawę w Paryżu, załatwia ci ją. Chcesz...

- Jesteś chyba stuknięty.

- Czy ja jestem stuknięty? - Ben zwrócił się do Dominique. - Czy on o niczym nie wie?

- Nie wie o czym? - zapytał Tony.

- Nie przejmuj się, Tony.

- Powiedział, że moja matka załatwiła mi wystawę w Paryżu. To kłamstwo. - Zauważył, że Dominique opuściła wzrok. - To kłamstwo, tak?

- Nie - odpowiedziała niechętnie.

- Twierdzisz więc, że musiała zapłacić Goergowi, aby... wystawił moje obrazy?

- Tony, jemu naprawdę podobały się twoje obrazy.

- Powiedz mu o tym krytyku - nalegał Ben. - No, powiedz.

- Starczy już, Ben! - Dominique odwróciła się, by odejść, ale Tony chwycił ją za ramię.

- Zaczekaj! Co to znowu za historia? Czy moja matka załatwiła też, że przyszedł na wystawę?

- Tak. - Głos Dominique przeszedł w szept.

- Ale on poczuł wstręt do mojego malarstwa.

- Nie, Tony, to nieprawda. Andre d'Usseau powiedział twojej matce, że mógłbyś zostać wielkim malarzem.

Tony usłyszał coś, co było niewiarygodne.

- Moja matka zapłaciła d'Usseau, by mnie zniszczył?

- Nie, żeby cię zniszczył. Ona wierzyła, że robi to dla twojego dobra.

Potworność tego, co uczyniła matka, nie mieściła się w głowie! „Wszystko, co mu



powiedziała, było kłamstwem. Nigdy nie miała zamiaru pozwolić, aby sam pokierował własnym życiem”. I Andre d’Usseau! Jak człowiek takiego pokroju dał się kupić? Ale matka, oczywiście, potrafiła to zrobić. Słowa Oskara Wilde’a o człowieku, który zna cenę wszystkiego, a nie zna wartości niczego, świetnie do niej pasują. Wszystko podporządkowane było zawsze firmie. A firmą była Kate Blackwell. Tony odwrócił się i zataczając odszedł.

Tymczasem w sali operacyjnej lekarze rozpaczliwie walczyli o życie Marianne. Ciśnienie krwi pacjentki gwałtownie spadło, bicie serca było niemiernie. Podano jej tlen i przetoczono krew, ale to wszystko okazało się daremne. Marianne straciła przytomność z powodu wylewu krwi do mózgu, gdy urodziła pierwszą dziewczynkę, a w trzy minuty później, gdy przyszło na świat drugie niemowlę, już nie żyła.

Panie Blackwell! - Tony usłyszał za sobą czyjeś wołanie. Odwrócił się. Przy nim stanął doktor Mattson.

- Ma pan dwie śliczne, zdrowe córki bliźniaczki, panie Blackwell. Tony zwrócił uwagę na wyraz jego twarzy.

- A Marianne? Nic się jej nie stało, prawda?

Doktor Mattson westchnął ciężko.

- Przykro mi. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Zmarła na skutek...

- Co takiego?! - To był krzyk. Tony chwycił lekarza za kołnierz i zaczął nim potrząsać z całej siły. - Kłamiesz! To nieprawda, że nie żyje.

- Panie Blackwell...

- Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć.

- Nie można tam teraz wchodzić, gdyż...

- Zabijeś ją, ty draniu! - krzyknął znów Tony i złapał go za gardło.

Dwaj młodzi lekarze, będący świadkami tej sceny, pospieszyli doktorowi Mattsonowi z pomocą; chwycili Tony’ego za ręce.

- Spokojnie, panie Blackwell, spokojnie.

Tony walczył z nimi jak obłąkany.

- Chcę zobaczyć moją żonę!

Na korytarzu pojawił się doktor Harley.

- Puśćcie go i zostawcie nas samych - powiedział.

Doktor Mattson i młodzi lekarze odeszli. Tony szlochał z rozpacz.

- John, oni z-zabili Marianne. Z-zamordowali ją.

- Ona umarła, Tony. Tak mi przykro. Ale nikt jej nie zamordował. Kilka miesięcy temu ostrzegalem ją, że jeśli nie przerwie ciąży, grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Upłynęła dobra chwila, zanim te słowa dotarły do Tony'ego.

- O czym ty mówisz?

- Marianne ci nie powiedziała? Twoja matka nic ci nie powiedziała?

Tony patrzył na niego szeroko otwartymi, nieprzytomnymi oczyma.

- Moja matka?

- Uważała, że panikuję. Poradziła Marianne, żeby donosiła ciążę. Tak mi przykro, Tony. Widziałem bliźniaczki. Są piękne. Czy nie chciałbyś...?

Tony'ego już nie było.

Drzwi otworzył lokaj Kate.

- Dzień dobry, panie Blackwell.

- Dzień dobry, Lester.

Lokaj spostrzegł fatalny wygląd Tony'ego.

- Nic się nie stało, sir?

- Wszystko w porządku. Czy mógłbyś mi podać filiżankę kawy, Lester?

- Oczywiście, sir.

Tony poczekał, aż lokaj odejdzie do kuchni. Wtedy jakiś wewnętrzny głos powiedział rozkazująco: *Teraz, Tony.*

Tak. Teraz. Tony odwrócił się i udał do pokoju myśliwskiego, w którym znajdowała się kolekcja broni Davida i jego trofea. Podszedł do gabloty wypełnionej różnego rodzaju bronią i przez chwilę spoglądał na umieszczone w określonym porządku błyszczące narzędzia śmierci.

*Otwórz gablotę, Tony.*

Tony otworzył ją. Wybrał rewolwer i sprawdził, czy jest nabity.

*Ona jest na górze, Tony.*

Tony odwrócił się i skierował w kierunku schodów. Teraz już wiedział, że to nie wina matki, iż jest zła. Wiedział już, że jest opętana i że musi ją uratować. Firma zabrała jej duszę i Kate nie była odpowiedzialna za to, co robi. Matka i firma stały się jednym i tym samym. Kiedy ją zabije, firma umrze wraz z nią.

Staął przed drzwiami do sypialni Kate.

*Otwórz drzwi - nakazał znów głos.*

Tony otworzył je. Kate ubierała się właśnie przed lustrem, gdy usłyszała skrzyp

otwieranych drzwi.

- Tony! Co u licha...

Powoli wymierzył do niej z rewolweru.

## Rozdział 22

Prawo pierworództwa - prawo najstarszego do tytułu dziedzicznego lub majątku - ma swoją długą historię. Wśród rodzin królewskich w Europie przy każdych narodzinach przyszłej następczyni tronu lub księżniczki obecny jest wysoki rangą urzędnik na wypadek, gdyby urodziły się bliźnięta i prawo do sukcesji mogło być przedmiotem sporu. Doktor Mattson uważnie zanotował, które z bliźniąt urodziło się pierwsze.

Wszyscy przyznawali, że bliźnięta Blackwellów są najśliczniejszymi dziećmi, jakie widziano. Były zdrowe i niezwykle żywe, a pielęgniarki znajdowały tysiące pretekstów, by do nich zaglądać. Fascynacja - choć nikt nie chciał się do tego głośno przyznać - wynikała po części z aury tajemniczości otaczającej rodzinę bliźniąt. Ich matka umarła podczas porodu. Ich ojciec zniknął. Krążyły pogłoski, że zamordował własną matkę, ale nikt nie mógł tego potwierdzić. W prasie ukazała się jedynie krótka wzmianka, że Tony Blackwell, dowiedziawszy się o śmierci żony, doznał szoku nerwowego i przebywa w miejscu odosobnienia. Kiedy przedstawiciele prasy próbowali wyciągnąć coś od doktora Harleya, ten uchylił się od wszelkich komentarzy.

Ostatnich kilka dni było dla doktora Johna Harleya prawdziwym piekłem. Wiedział, że do końca życia będzie pamiętał scenę, którą zobaczył, gdy zjawił się w sypialni Kate po dramatycznym telefonie od lokaja.

Kate leżała nieprzytomna na poplamionym krwią białym dywanem. Kule trafiły ją w pierś i szyję. Tony zaś przechodził od jednej garderoby do drugiej i ciął nożyczkami jej ubrania. Doktor Harley rzucił okiem na Kate - z ran wciąż sączyła się krew - i zadzwonił po ambulans. Potem uklęknął przy niej i zbadał tętno. Było słabo napięte i nitkowate. Stan Kate pogarszał się z każdą chwilą. Szybko zrobił jej zastrzyk adrenaliny i dwuwęglanu sodowego.

- Co się stało? - spytał następnie lokaja, który był cały zlany potem.

- Sam nie wiem. Pan Blackwell poprosił mnie, abym mu zrobił kawę. Byłem w kuchni, gdy usłyszałem odgłos wystrzału. Pobiegnę na górę i zastałem panią Blackwell na podłodze, tak jak teraz. Pan Blackwell stał nad nią i mówił: „To już nigdy nie będzie ciebie dręczyło, mamó”. A potem wszedł do garderoby i zaczął ciąć jej ubrania.

Doktor Harley spojrzał na Tony'ego.

- Co robisz, Tony?

- Pomagam mamie. Niszczę firmę. Ona zabiła Marianne. - Tony nie przerywał swej czynności.

Kate przewieziono do prywatnej kliniki firmy Kruger-Brent i umieszczono na oddziale intensywnej terapii. Podczas operacji usuwania kul kilkakrotnie przetaczano jej krew.

Trzech sanitariuszy musiało użyć całej swej siły, by wsadzić Tony'ego do ambulansu, mimo że doktor Harley zrobił mu zastrzyk na uspokojenie. Z ambulansu powiadomiono policję, a doktor Harley wezwał Brada Rogersa, by się z nią uporał. Z jakichś dziwnych powodów, których doktor Harley nie znał, udało się uniknąć nadania całej sprawie rozgłosu; w środkach przekazu nie wspomniano w ogóle o strzałach.

W jakiś czas po tym zajściu doktor Harley udał się do kliniki, do której zawieziono Kate.

- Co z moim synem? - brzmiały jej pierwsze słowa wypowiedziane prawie niedosłyszalnym szeptem.

- Jest pod dobrą opieką, Kate. Nic mu nie grozi.

Tony został zabrany do prywatnego sanatorium w stanie Connecticut.

- John, dlaczego on próbował mnie zabić? Dlaczego? - Udręka w jej głosie była nie do zniesienia.

- Wini ciebie za śmierć Marianne.

- To nienormalne!

John Harley nic na to nie powiedział.

„Wini ciebie za śmierć Marianne”.

Jeszcze długo po wyjściu doktora Harleya Kate nie mogła pogodzić się z tymi słowami. Pokochała Marianne, ponieważ dzięki niej Tony stał się szczęśliwy. „Wszystko, co robiłam, robiłam z myślą o tobie, mój synu. Wszystkie moje marzenia były związane z tobą. Jak mogłeś o tym nie wiedzieć?” A on nienawidził jej tak bardzo, że usiłował zabić. Czowała teraz taką boleść, że chciała umrzeć. Wiedziała jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Zrobiła to, co było słuszne. Oni się mylą. Tony okazał się mięczakiem. Oni wszyscy byli mięczakami. Jej ojciec zbyt słaby, aby przeżyć śmierć syna. Jej matka zbyt słaba, aby sama mogła stawić czoło życiu.

„Ale ja nie jestem słaba - myślała Kate. - Stawię temu czoło. Stawię czoło wszystkiemu. Będę żyła. Przeżyję. Firma też przeżyje”.

KSIĘGA PIĄTA  
Eve i Alexandra  
1950-1975

## Rozdział 23

Kate odzyskiwała siły w Dark Harbor, pozwalając leczyć się słońcu i morzu.

Tony przebywał w prywatnym zakładzie, w którym mógł otrzymać możliwie najlepszą opiekę. Kate sprowadziła do niego psychiatrów z Paryża, Wiednia i Berlina, ale kiedy przeprowadzono już wszystkie badania i testy, diagnoza była zgodna: jej syn cierpi na schizofrenię paranoidalną i jest groźny dla otoczenia.

- Nie reaguje ani na leki, ani na inne metody leczenia psychiatrycznego. Jest gwałtowny. Musimy trzymać go w odosobnieniu.

- W jakim odosobnieniu? - spytała Kate.

- Jest w izolatce. Prawie przez cały czas w kaftanie bezpieczeństwa.

- Czy to konieczne?

- Gdyby nie to, pani Blackwell, zabiłby każdego, kto by się do niego zbliżył.

Zacisnęła mocno powieki z bólu. To nie był już jej słodki, łagodny Tony. To był ktoś obcy, ktoś opętany. Otworzyła oczy.

- Czy nic na to nie można poradzić?

- Nie, skoro nie mamy z nim żadnego kontaktu. Trzymamy go na lekach, ale kiedy kończy się ich działanie, wpada w szal. Nie możemy kontynuować tego leczenia w nieskończoność.

Kate przyjęła te słowa z godnością.

- Co pan zatem proponuje, doktorze?

- Przekonano się, że w podobnych przypadkach usunięcie małej części mózgu przynosi dobre rezultaty.

Kate przełknęła tę gorzką pigułkę.

- Lobotomia?

- Właśnie. Pani syn będzie mógł funkcjonować normalnie, z tym że nie będzie już nigdy okazywał silnych reakcji emocjonalnych.

Kate zdrętwiała. Doktor Morris, młody lekarz z Kliniki Menninger, przerwał milczenie:

- Wiem, co pani czuje, pani Blackwell, ale gdyby pani zechciała przemyśleć...

- Jeśli jest to jedyna rzecz, jaka może mu pomóc, zróbcie to.

Frederick Hoffman chciał mieć wnuczki przy sobie.

- Zabiorę je do Niemiec - powiedział do Kate.

Spojrzała na niego. Od śmierci córki jakby postarzał się o dwadzieścia lat. Współczuła mu, ale nie miała zamiaru oddawać dzieci Tony'ego.

- Potrzebują kobiecej opieki, Fredericku. Marianne chciała, aby tutaj się wychowały. Możesz przyjeżdżać do nich, kiedy tylko zechcesz.

I w końcu dał się przekonać.

Bliźniaczki przywieziono do domu, gdzie czekał już specjalnie przygotowany dla nich pokój dziecięcy. Kate przeprowadziła wcześniej rozmowy z wieloma guwernantkami i w końcu wynajęła młodą Francuzkę o nazwisku Solange Dunas.

Pierwszej z bliźniaczek Kate dała na imię Eve, a drugiej Alexandra. Były nie do odróżnienia. Patrzenie na nie było jak przyglądanie się odbiciu w lustrze i Kate zdumiewał ten podwójny cud stworzony przez jej syna i Marianne. Obie były żywymi, bystrymi i wrażliwymi dziećmi, ale już po upływie kilku tygodni Kate zauważyła, że Eve wydaje się dojrzalsza od Alexandry. Eve jako pierwsza zaczęła raczkować, gaworzyć i chodzić. Alexandra szybko szła w jej ślady, ale już od samego początku widać było, że inicjatywa należy do Eve. Alexandra uwielbiała siostrę i starała się ją we wszystkim naśladować.

Kate spędzała z wnuczkami każdą wolną chwilę. Dzięki nim czuła się młodo. „Pewnego dnia - marzyła często przy nich - kiedy będę stara i nie będę mogła już pracować...”

W dniu pierwszych urodzin bliźniaczek Kate wyprawiła im uroczyste przyjęcie. Otrzymały takie same torty urodzinowe i całe mnóstwo prezentów od jej przyjaciół, pracowników firmy i służby. Drugie urodziny nadeszły prawie natychmiast i Kate nie mogła się nadziwić, jak czas szybko leci i jak szybko dziewczynki dorastają. Coraz wyraźniej dostrzegała różnice między nimi: Eve była silniejsza, śmielsza, Alexandra, łagodniejsza, godziła się z dominacją siostry.

„To prawdziwe błogosławieństwo - myślała nieraz Kate - że nie mając ani matki, ani ojca, mają chociaż siebie i kochają się tak bardzo”.

Późnym wieczorem, w wigilię ich piątych urodzin, Eve próbowała zamordować Alexandrę.

W Księdze Rodzaju - 25:22-23 - zostało powiedziane:

„A gdy walczyły z sobą dzieci w jej łonie...”



A Pan jej powiedział: Dwa narody są w twym łonie, dwa odrębne ludy wyjdą z twych wnętrzności; jeden będzie silniejszy od drugiego, starszy będzie sługą młodszego”.

W przypadku Eve i Alexandry było akurat na odwrót, Eve nie miała najmniejszego zamiaru służyć młodszej siostrze. Odkąd sięgała pamięcią, nienawidziła jej. Wściekała się po cichu, gdy ktoś brał Alexandrę na ręce, całował lub dawał prezent. Czuła się wtedy oszukana. Chciała mieć wszystko dla siebie - całą miłość i te piękne rzeczy, wśród których żyła. Tymczasem nie mogła mieć nawet własnych urodzin. Nienawidziła Alexandry za to, że wyglądała tak jak ona, że ubierała się tak jak ona, że kradnie część miłości babci, tę część, która powinna się jej należeć. Alexandra uwielbiała siostrę, a Eve gardziła nią za to. Alexandra była dobra, chętnie dzieliła się swoimi zabawkami, a to napędzało Eve jeszcze większą odrazę. Eve nie dzieliła się niczym. Jej rzeczy należały wyłącznie do niej, ale to nie wystarczyło. Chciała mieć jeszcze to wszystko, co miała Alexandra. Wieczorem pod czujnym okiem Solange Dunas dziewczynki odmawiały na głos modlitwy, ale Eve zawsze na koniec błagała w myślach Boga, aby zesłał śmierć na Alexandrę. Ponieważ modlitwa pozostawała bez odpowiedzi, Eve postanowiła, że sama musi sobie pomóc. Do dnia piątych urodzin pozostało już niewiele czasu. Eve nie mogła znieść myśli o kolejnych wspólnych urodzinach z Alexandrą, podczas których siostra znowu będzie kradła jej gości i jej prezenty. Pomyślała, że musi czym prędzej pozbyć się Alexandry.

Późnym wieczorem w przeddzień urodzin Eve leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczyma. Kiedy była już pewna, że wszyscy domownicy zasnęli, podeszła do łóżka Alexandry i obudziła ją.

- Alex - szepnęła. - Chodźmy do kuchni zobaczyć torty.

- Wszyscy już śpią - odpowiedziała zaspanym głosem Alexandra.

- Nikogo nie będziemy budzić.

- Mademoiselle Dunas będzie się na nas gniewać. Dlaczego nie możemy zobaczyć tortów rano?

- Ponieważ chcę je zobaczyć teraz. Idziesz ze mną czy nie?

Alexandra przetarła zaspane oczy. Nie interesował jej ten pomysł, ale nie chciała siostrze sprawić przykrości.

- Idę.

Alexandra wstała z łóżka i nałożyła pantofle. Obie dziewczynki miały na sobie różowe, nylonowe koszule nocne.

- No chodź - ponaglała Eve. - I nie rób hałasu.

- Nie będę - przyrzekła Alexandra.

Wyszły na palcach na korytarz, przeszły obok zamkniętych drzwi do sypialni mademoiselle Dunas i tylnymi, stromymi schodami zeszły do kuchni. Było to ogromne pomieszczenie z dwoma dużymi kuchenkami gazowymi, sześcioma piekarnikami, trzema lodówkami i wbudowaną w ścianę chłodnią. W lodówce Eve znalazła torty urodzinowe upieczone przez kucharkę, panią Tyler. Na jednym z nich widniał napis: WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO, ALEXANDRO, a na drugim: WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO, EVE.

„W przyszłym roku - pomyślała radośnie Eve - będzie tylko jeden”.

Eve wyjęła z lodówki tort Alexandry i postawiła go na pniaku stojącym pośrodku kuchni, potem otworzyła szufladę kredensu i wyjęła paczkę błyszczących, kolorowych świeczek.

- Co robisz? - spytała Alexandra z niepokojem.

- Chcę zobaczyć, jak wygląda z zapalonymi świeczkami. - Eve zaczęła ustawiać na wierzchu tortu świeczki.

- Nie sądzę, że powinnaś to robić, Eve. Zniszczysz tort. Pani Tyler będzie się gniewać.

- Ona nic nie powie. - Eve otworzyła następną szufladę i wyjęła dwa duże pudełka zapalek. - No, co tak stoisz. Pomóż mi.

- Chcę iść spać.

- Dobrze - Eve spojrzała na siostrę z wściekłością. - Wracaj do łóżka, ty tchórze. Poradzę sobie bez ciebie.

Alexandra zawahała się.

- Co chcesz, abym zrobiła?

Eve podała jej pudełko zapalek.

- Zaczynij zapalać świeczki.

Alexandra bała się ognia. Obie dziewczynki stale ostrzegano, by nie bawiły się zapalkami; opowiadano im przerażające historie o dzieciach, które zlekceważyły takie ostrzeżenia. Ale Alexandra nie chciała zawieść siostry i dlatego posłusznie zaczęła zapalać świeczki.

Eve obserwowała ją przez chwilę.

- Zapomniałaś, głupia, zapalić świeczki po drugiej stronie. Alexandra pochyliła się nad tortem, by dosięgnąć dalszych świeczek.

Stała tyłem do Eve, która szybko zapaliła zapalną, przytknęła ją do zapalek w pudełku, a gdy buchnął płomień, rzuciła pudełko pod nogi Alexandry. Minęła chwila, nim

Alexandra zorientowała się w sytuacji. Gdy poczuła pierwsze przeszywające bóle w nogach, spojrzała na dół i krzyknęła:

- Na pomoc! Pomóżcie mi!

Eve wbiła wzrok w palącą się koszulę siostry, oszołomiona niebywałym powodzeniem swego planu.

Alexandra stała w miejscu, zdrętwiała z przerażenia.

- Nie ruszaj się! - powiedziała Eve. - Zaraz przyniosę wiadro wody.

Odeszła pospiesznie. Serce biło jej mocno z radości, ale i z obawy, czy plan się do końca powiedzie.

Życie uratował Alexandrze makabryczny film. Pani Tyler, kucharka Blackwellów, poszła do kina z pewnym sierżantem policji, z którym od czasu do czasu dzieliła łóżko. Tego szczególnego wieczoru na ekranie trup padał tak gęsto, że w końcu, gdy ścinano którąś z rzędu głowę, pani Tyler nie wytrzymała i powiedziała: „Być może ty jesteś do tego przyzwyczajony, Richardzie, ale ja mam już dość”.

Sierżant Richard Dougherty niechętnie wyszedł za nią z kina. Wrócili do rezydencji Blackwellów godzinę wcześniej, niż planowali, i gdy tylko pani Tyler otworzyła tylne drzwi, z kuchni dobiegły ich krzyki Alexandry. Pani Tyler i sierżant Dougherty wpadli do środka, jednym spojrzeniem objęli przerażającą scenę rozgrywającą się przed nimi i przystąpili do działania. Sierżant pospieszył Alexandrze na ratunek i zerwał z niej palącą się koszulę. Nogi i biodra dziewczynki były pokryte bąblami. Na szczęście płomienie nie dosięgły włosów ani twarzy. Alexandra upadła na podłogę, tracąc przytomność. Pani Tyler naląła wody do dużego garnka i chlusnęła w pełzające po podłodze płomienie.

- Zadzwoń po karetkę - komenderował sierżant Dougherty. - Czy pani Blackwell jest w domu?

- Powinna spać na górze.

- Obudź ją.

Gdy pani Tyler wezwała pogotowie, rozległ się krzyk i w kuchni zjawiała się Eve z miską wody.

- Czy Alexandra nie żyje?! - krzyczała histerycznie. - Czy ona nie żyje?

Pani Tyler przytuliła Eve, by ją uspokoić.

- Nie, kochanie. Nic jej nie jest. Wszystko będzie dobrze.

- To moja wina - szlochała Eve. - Chciała zapalić świece na swoim torcie. Nie powinnam jej na to pozwolić.

- Już dobrze, moje dziecko. - Pani Tyler głaskała Eve po głowie. - To nie twoja wina.
- Zapalki wypadły mi z ręki i Alex zaczęła się palić. To było s-straszne.
- Biedne dziecko - rzekł ze współczuciem sierżant Dougherty, spoglądając na Eve.

Alexandra ma oparzenia drugiego stopnia na plecach i nogach - oznajmił Kate doktor Harley. - Ale wszystko będzie dobrze. W dzisiejszych czasach można robić zadziwiające rzeczy z oparzeniami. Wierz mi, to mogła być straszliwa tragedia.

- Wiem - odparła Kate. Widziała rany na ciele Alexandry i widok ten nappełnił ją zgrozą. - John, prawdę mówiąc, bardziej obawiam się o Eve.

- Czy Eve też odniosła jakieś rany?

- W sensie fizycznym nie, ale biedne dziecko obwinia się za ten nieszczęsny wypadek. Miewa nocne koszmary. Przez ostatnie trzy noce bez przerwy musiałam do niej chodzić i brać ją na ręce, żeby mogła zasnąć. Boję się, ażeby to się jeszcze bardziej nie nasiliło. Eve jest taka wrażliwa.

- Dzieci szybko dochodzą do siebie, Kate. Jeśli będą jednak jakiegokolwiek problemy, poinformuj mnie, a wtedy znajdę jakiegoś dobrego psychiatrę dziecięcego.

- Dziękuję - odparła z wdzięcznością Kate.

Eve była zupełnie rozstrojona. Przyjęcie urodzinowe zostało odwołane. „To wszystko przez Alexandrę - myślała z goryczą. - Oszukała mnie...”

Leczenie Alexandry przebiegło pomyślnie; na jej ciele nie pozostał żaden ślad po oparzeniach. Eve zaś zadziwiająco szybko pozbyła się poczucia winy.

- Takie wypadki mogą się przytrafić każdemu, moje dziecko - zapewniła ją Kate. - Nie możesz siebie za to obwiniać.

Eve już nie obwiniała siebie. Obwiniała panią Tyler. Dlaczego musiała wrócić do domu i wszystko zepsuć? To był taki doskonały plan.

Sanatorium, w którym umieszczono Tony'ego, położone było w spokojnej, porośniętej drzewami okolicy w stanie Connecticut. Raz w miesiącu kierowca zawoził tam Kate. Operacja udała się. Tony nie okazywał już nawet najmniejszych oznak agresji. Rozpoznawał Kate i zawsze uprzejmie dopytywał się o Eve i Alexandrę, ale nie zależało mu wcale na tym, by je zobaczyć. W ogóle wykazywał małe zainteresowanie czymkolwiek. Zdawało się, że jest szczęśliwy. „Nie, nie szczęśliwy, lecz zadowolony. Zadowolony, ale z czego?” - zastanawiała się Kate.

- Czy mój syn cokolwiek robi w ciągu dnia? - zapytała dyrektora sanatorium.

- Ależ robi, pani Blackwell. Godzinami siedzi i maluje.

Jej syn, który mógł mieć u stóp cały świat, całe dni spędza na malowaniu. Kate starała się nie myśleć o tym, jak marnie skończył; o tym, że nie potrafił wykorzystać swego wspaniałego umysłu.

- Co takiego maluje?

Na twarzy mężczyzny odmalowało się zakłopotanie.

- Prawdę mówiąc nie sposób tego dokładnie określić.

## Rozdział 24

W następnych latach Kate zaczęła poważnie niepokoić się o Alexandrę. Dziecko miało najwyraźniej skłonności do ulegania wypadkom. Podczas letnich wakacji w posiadłości Blackwellów na Wyspach Bahama Alexandra omal nie utonęła, bawiąc się z Eve w basenie, i tylko dzięki natychmiastowej interwencji ogrodnika uszła z życiem. Podczas pikniku na urwistych skałach, jaki Kate urządziła dziewczynkom następnego roku Alexandra w jakiś sposób poślizgnęła się i gdyby nie wyrastający ze zbocza gęsty krzak, spadłaby w przepaść.

- Chciałabym, abyś zwracała większą uwagę na siostrę - powiedziała Kate do Eve. - Wygląda na to, że ona nie radzi sobie tak dobrze jak ty.

- Wiem o tym - odparła poważnie Eve. - Będę jej pilnować, babciu.

Kate kochała obie wnuczki, ale każdą na swój sposób. Miały teraz po siedem lat, były tak samo piękne, miały takie same długie, jasne włosy, subtelne rysy i oczy McGregorów. Zewnętrznie nie różniły się, ale ich osobowości były całkiem odmienne. Łagodność Alexandry przypominała Kate małego Tony'ego, podczas gdy Eve z tym swoim uporem i niezależnością była bardziej podobna do niej.

Szofer zawoził je do szkoły rodzinnym rolls-royce'em. Alexandra odczuwała zakłopotanie, gdy szkolne koleżanki widziały ją w tym samochodzie; Eve zaś rozkoszowała się takimi sytuacjami. Kate dawała dziewczynkom cotygodniowe kieszonkowe i kazała im odnotowywać wszystkie wydatki. Eve niezmiennie wydawała pieniądze już przed końcem tygodnia i zaciągała pożyczki u Alexandry. Nauczyła się jednak prowadzić swoje rachunki tak, aby babcia się nie poznała. Ale Kate dobrze wiedziała o tym i z trudem powstrzymywała uśmiech. Siedem lat i już taka wspaniała z niej księgowa!

Początkowo Kate żywiła cichą nadzieję, że pewnego dnia Tony wyzdrowieje, opuści zakład i wróci do firmy. Ale w miarę upływu czasu nadzieja się rozwiewała. Powoli stawało się oczywiste, że Tony, który mógł tylko na krótko opuszczać zakład, i to w towarzystwie sanitariusza, już nigdy nie wróci do normalnego życia.

Był 1962 rok i im bardziej rozwijała się firma, tym większa stawała się potrzeba wyznaczenia następcy lub następczyni. Kate skończyła siedemdziesiąt lat. Miała całkiem siwe włosy, ale nadal utrzymywała nadzwyczajną - jak na swój wiek - sylwetkę. Emanowała z niej niezwykła siła i energia. Wiedziała jednak dobrze, że czas w końcu nadweręży jej siły i że musi być na to przygotowana. Firma powinna pozostać w rękach rodziny. Brad Rogers jest dobrym menedżerem, ale nie nosi nazwiska Blackwellów. „Muszę wytrwać do czasu, gdy

wnuczki będą mogły mnie zastąpić”. Często myślała o ostatnich słowach Cecila Rhodesa: „Tak niewiele zrobiono - tak wiele do zrobienia”.

Bliźniaczki miały już po dwanaście lat. Stawały się młodymi kobietami. Kate nadal poświęcała im każdą wolną chwilę, ale teraz obserwowała je z jeszcze większą uwagą. Nadszedł czas, by podjąć ważną decyzję.

Na święta wielkanocne Kate zabrała je samolotem firmy do Dark Harbor. Dziewczęta były już we wszystkich posiadłościach rodzinnych, z wyjątkiem domu w Johannesburgu, i najbardziej upodobały sobie właśnie Dark Harbor. Cieszyły się tu nieograniczoną swobodą i spokojem. Uwielbiały żeglować, pływać i jeździć na nartach wodnych. Eve zapytała przed wyjazdem, czy nie mogłaby zabrać kilku koleżanek szkolnych, tak jak już to nieraz robiła, ale Kate odmówiła. Chciała być sama z wnuczkami.

Dziewczęta wyczuwały, że tym razem dzieje się coś szczególnego. Babcia była z nimi przy każdym posiłku. Razem też żeglowała z nimi, razem pływała i nawet razem jeździła konno. Pomimo swego wieku Kate panowała nad koniem z niezawodnym mistrzostwem.

Siostry, te dwie złotowłose piękności, nadal były zadziwiająco podobne do siebie, ale Kate bardziej interesowały różnice między nimi niż podobieństwa. Siedząc raz na werandzie i obserwując, jak wnuczki kończą grać w tenisa, Kate podsumowywała w myślach owe różnice. Eve jest przywódczynią, Alexandra jej zwolenniczką. Eve jest uparta, Alexandra ustępliwa. Eve ma wrodzony talent do uprawiania sportu, Alexandra wciąż ulega wypadkom. Zaledwie kilka dni temu, kiedy dziewczęta żeglowały na małej żaglówce, a Eve, siedząc przy sterze, musiała zrobić nagły zwrot, Alexandra nie zdążyła schylić głowy na czas i uderzona bomem wypadła za burtę. Byłaby pewnie utonęła, gdyby nie przepływająca obok żaglówka. Kate zastanawiała się, czy to wszystko może mieć coś wspólnego z faktem, że Alexandra urodziła się trzy minuty później od Eve. Niezależnie od tego, jaka była odpowiedź na to pytanie, Kate podjęła już decyzję. Nie miała teraz żadnych wątpliwości. Stawiała na Eve i była to suma dziesięciu miliardów dolarów. Postanowiła, że znajdzie jej idealnego partnera i kiedy sama przejdzie na emeryturę, Eve pokieruje firmą. Alexandra również będzie żyła w bogactwie i luksusie. Mogłaby się sprawdzić, pracując w jej fundacjach dobroczynnych. Tak, to będzie najlepsze dla Alexandry. Jest takim łagodnym i wrażliwym na ludzką krzywdę dzieckiem.

Pierwszym krokiem na drodze realizacji planu był wybór odpowiedniej szkoły dla Eve. Kate zdecydowała się w końcu na Briarcrest, ekskluzywną szkołę w Karolinie Południowej.

- Obie moje wnuczki są zachwycające - oznajmiła dyrektorze, pani Chandler. - Ale przekona się pani, że Eve jest bystrzejsza. To wyjątkowa dziewczyna i jestem przekonana, że pani dopilnuje, aby jak najwięcej tu skorzystała.

- Staramy się, pani Blackwell, aby wszystkie nasze uczennice skorzystały tu jak najwięcej. Mówiła pani o Eve, a jaka jest jej siostra?

- Alexandra? To urocza dziewczyna - odparła Kate nieco lekceważąco i wstała. - Będę regularnie sprawdzać, jakie robią postępy.

Słowa te zabrzmiały jak ostrzeżenie.

Eve i Alexandra uwielbiały nową szkołę, zwłaszcza Eve, która cieszyła się swobodą bycia z dala od domu. Cieszyła się, że nie musi tłumaczyć się ze wszystkiego przed babcią i Solange Dunas. Regulamin szkoły Briarcrest był surowy, ale to nie przeszkadzało Eve, ponieważ umiała sprytnie omijać przepisy. Jediną rzeczą, jaka jej przeszkadzała, była obecność Alexandry. Gdy dowiedziała się o Briarcrest, błagała babcię, aby posłała ją tam bez siostry.

- Nie, kochanie - powiedziała Kate. - Sądzę, że lepiej będzie, jeśli Alexandra pojedzie z tobą.

- Jak sobie życzysz, babciu. - Eve z trudem ukryła złość.

Zawsze była bardzo grzeczna i troskliwa wobec babci. Wiedziała bowiem, w czyich rękach znajduje się klucz do władzy. Ich ojciec był człowiekiem obłąkanym, zamkniętym w zakładzie dla nerwowo chorych. Matka nie żyła. To właśnie babcia władała pieniędzmi. Eve wiedziała, że są bogate. Nie miała pojęcia, ile mają pieniędzy, ale wiedziała, że jest ich mnóstwo, wystarczająco dużo, by kupić wszystkie piękne rzeczy, jakich pragnęła. Był tylko jeden problem: Alexandra.

Jednym z ulubionych zajęć bliźniaczek w szkole Briarcrest stały się poranne lekcje jazdy konnej. Większość dziewcząt miała własne „skoczki” i Kate podarowała wnuczkom po jednym na ich dwunaste urodziny. Jerome Davis, instruktor jazdy, obserwował, jak jego uczennice jeżdżą na lonży i przeskakują przez ćwierćmetrową, potem półmetrową i wreszcie przez metrową przeszkodę. Davis był jednym z najlepszych instruktorów w całym kraju. Wychował niejednego mistrza, zdobywcę złotego medalu i już na pierwszy rzut oka rozpoznawał, czy ktoś jest urodzonym jeźdźcem. Nowa dziewczyna, Eve Blackwell, bez wątplenia miała wrodzony talent. Nie musiała zastanawiać się nad tym, co robi, jak trzymać lejce lub siedzieć w siodle. Ona i jej koń stanowili jedność. Szybowali nad płotkami, rowami,



murkami, a długie złociste włosy Eve powiewały na wietrze i był to wspaniały widok. „Tych już nic nie zatrzyma” - myślał pan Davis.

Tommy, młody stajenny, faworyzował Alexandrę. Pewnego dnia pan Davis patrzył, jak Alexandra siadła swego konia, przygotowując się do jazdy. Alexandra i Eve dla odróżnienia przewiązywały rękawy różnokolorowymi wstążkami. Eve pomagała siostrze, podczas gdy stajenny zajęty był inną uczennicą. Davis został wezwany nagle do telefonu i to, co się wydarzyło później, stało się przyczyną ogromnego zamieszania. Z relacji, jakie potem zebrał Jerome Davis, można było wywnioskować, że Alexandra dosiadła konia i gdy ruszyła w stronę pierwszej niskiej przeszkody, jej wierzchowiec zaczął nieoczekiwanie stawać dęba i brykać. Wyrzucił Alexandrę z siodła, tak że uderzyła głową w murek i straciła przytomność. Tylko kilku cali brakowało, aby rozszalałe zwierzę dosięgło jej głowy kopytami. Tommy zaniósł Alexandrę do lecznicy szkolnej, gdzie lekarz stwierdził lekki wstrząs mózgu.

- Żadna kość nie jest złamana. Nic poważnego - orzekł. - Jutro rano będzie już zdrowa jak ryba. Będzie znów mogła wskoczyć na konia.

- Ależ ona mogła zostać zabita! - wykrzyknęła Eve.

Eve nie chciała odejść od Alexandry. Pani Chandler pomyślała, że jeszcze nigdy nie spotkała się z takim siostrzanym poświęceniem.

Kiedy panu Davisowi udało się w końcu zagonić konia Alexandry do stajni i rozsiodłać go, odkrył duży kawałek ząbkowanego metalu od puszki po piwie wbity pod siodłem w grzbiet konia. Pani Chandler, dowiedziawszy się o tym, rozpoczęła natychmiast dochodzenie.

- Jestem pewna - zwróciła się do wszystkich dziewcząt, które w tym czasie przebywały w pobliżu stajni - że którakolwiek podłożyła ten kawałek metalu, sądziła, że spleta niewinnego figła. Ale to mogło skończyć się tragicznie. Muszę wiedzieć, która z was to zrobiła.

Ponieważ żadna się nie przyznała, pani Chandler zaczęła z każdą z osobna przeprowadzać rozmowy w swoim gabinecie. Odpowiedzi były takie same: żadna z dziewcząt nic nie wiedziała na temat tego, co się stało. Kiedy przyszła kolej na Eve, dziewczyna wydawała się dziwnie niespokojna.

- Czy nie domyślasz się, kto to mógł zrobić? - spytała ją pani Chandler.

Eve spuściła oczy.

- Nie jestem pewna - odparła cicho.

- A więc widziałaś coś?

- Pani Chandler, proszę...

- Eve, Alexandrze naprawdę mogło się stać coś złego. Ta, która to zrobiła, musi zostać ukarana, aby coś takiego się już nigdy nie powtórzyło.

- To nie była żadna z dziewcząt.

- Co masz na myśli?

- To był Tommy.

- Stajenny?

- Tak, proszę pani. Widziałam go. Myślałam, że tylko chce zacisnąć popręg koniowi. Jestem pewna, że nie miał wcale na myśli żadnego kawału. Alexandra stale wydaje mu jakieś polecenia i przypuszczam, że chciał jej dać nauczkę. Och, pani Chandler, dlaczego pani mnie o to spytała. Nie chcę, aby ktokolwiek miał przeze mnie kłopoty. - Biedne dziecko było na granicy hysterii.

Pani Chandler podniosła się zza biurka i podeszła do niej.

- Uspokój się, Eve - powiedziała przytulając ją. - Postąpiłaś słusznie, mówiąc mi o tym. Teraz już nie myśl o całej tej sprawie. Resztę pozostaw mnie.

Nazajutrz rano, gdy dziewczęta udały się do stajni, zastały już nowego stajennego.

W kilka miesięcy później w szkole miał miejsce kolejny przykry incydent. Kilka dziewcząt zostało przyłapanych na paleniu marihuany i jedna z nich powiedziała, że to Eve im ją sprzedaje. Eve zaprzeczyła temu z oburzeniem. Pani Chandler przeprowadziła rewizję i marihuanę znaleziono w szafce Alexandry.

- Nie wierzę, że ona mogła to zrobić - powiedziała z przekonaniem Eve. - Ktoś musiał to jej podrzucić. Na pewno.

Pani Chandler wysłała Kate raport na temat tego incydentu i Kate podziwiała lojalność Eve; podziwiała ją za to, że tak dzielnie broniła siostry. Należy do McGregorów, nie da się ukryć.

W dniu piętnastych urodzin wnuczek Kate zabrała je do swojej posiadłości w Karolinie Południowej, gdzie wyprawiła im uroczyste przyjęcie urodzinowe. Nadszedł już czas, aby Eve została przedstawiona odpowiednim młodym ludziom i każdy pożądany kandydat na męża został zaproszony na to przyjęcie.

Chłopcy byli w niewdzięcznym wieku, kiedy zainteresowanie płcią odmienną nie jest jeszcze poważne, ale Kate postarała się już o to, aby zawarte zostały odpowiednie znajomości i przyjaźnie. Wśród tych młodych chłopców mógł przecież znaleźć się ten, z którym Eve będzie dzieliła przyszłość; przyszłość firmy Kruger-Brent.

Alexandra nie lubiła przyjęć, ale zawsze, aby nie rozczarować babci, udawała, że bawi się na nich znakomicie. Eve zaś uwielbiała przyjęcia. Lubiała się stroić i być podziwiana. Alexandra wolała oddawać się lekturze i malowaniu. Godzinami też patrzyła na obrazy ojca w Dark Harbor, czując smutek, że nie знаła go wtedy, gdy był jeszcze zdrowy. Przyjeżdżał zawsze na święta w towarzystwie swego opiekuna, ale nie sposób było z nim nawiązać jakiegokolwiek kontaktu. Owszem, był sympatycznym i miłym nieznajomym, który chciał się przypodobać, ale nie miał nic do powiedzenia. Ich dziadek, Frederick Hoffman, mieszkał w Niemczech i był również chory. Bliźniaczki rzadko go widywały.

W drugim roku nauki w szkole Eve zaszła w ciążę. Przez kilka tygodni chodziła blada i apatyczna, opuszczając niektóre z pierwszych lekcji. Kiedy zaczęła mieć nudności, została skierowana na badania do lecznicy i zaraz po otrzymaniu wyników wezwano panią Chandler.

- Eve jest w ciąży - oznajmił lekarz.

- Ależ... to niemożliwe! Jak to się mogło stać?

- Normalnie - odparł lekarz z filozoficznym spokojem. - Tak jak zazwyczaj.

- Ale to jeszcze dziecko.

- Hm, tylko że to dziecko zostanie matką.

Eve dzielnie odmawiała składania wyjaśnień w tej sprawie.

- Nie chcę, aby ktoś miał przeze mnie kłopoty - zaczęła powtarzać uparcie.

Pani Chandler jakby czekała na tego rodzaju odpowiedź.

- Eve, kochanie, musisz mi powiedzieć, co się stało.

Eve w końcu załamała się.

- Zostałam zgwałcona - wybuchnęła płaczem.

Pani Chandler była zaszokowana. Przycisnęła mocno jej drżące ciało i zapytała gorączkowo:

- Kto to był?

- Pan Parkinson.

Nauczyciel angielskiego.

Gdyby powiedział to ktoś inny niż Eve, pani Chandler nie uwierzyłaby. Joseph Parkinson był spokojnym żonatym mężczyzną, ojcem trojga dzieci. Uczył w Briarcrest już od ośmiu lat i był ostatnią osobą, którą pani Chandler podejrzewałaby o coś takiego. Wezwała nauczyciela do gabinetu, ale ujrawszy go od razu wiedziała, że Eve mówiła prawdę; usiadłszy naprzeciw niej dostał tiku nerwowego.

- Wie pan, dlaczego posłałam po pana, panie Parkinson?

- Ja... Wydaje mi się, że tak.

- To dotyczy Eve.

- Tak. Ja... domyślam się.

- Mówi, że pan ją zgwałcił.

Parkinson spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Zgwałciłem? Mój Boże! Jeśli ktokolwiek został tu zgwałcony, to tylko ja.

- Czy pan wie, co pan wygaduje? - rzekła z pogardą pani Chandler. - To dziecko jest...

- To nie jest dziecko - powiedział zjadliwie nauczyciel. - To diablica. - Otarł pot z czoła. - Przez cały semestr siadywała w pierwszej ławce i podciągała wysoko sukienkę. Po lekcjach podchodziła i zasypywała mnie bezsensownymi pytaniami, ocierając się o mnie. Nie traktowałem jej poważnie. A potem pewnego popołudnia, mniej więcej sześć tygodni temu, gdy moja żona i dzieci wyjechały, przyszła do mego domu i... - Głos mu się załamał. - O, Boże! Nie mogłem nic na to poradzić... - Pan Parkinson wybuchnął płaczem.

Do gabinetu wprowadzono Eve, która przybrała odpowiedni wyraz twarzy. Spojrzała nauczycielowi prosto w oczy i to on pierwszy odwrócił wzrok.

Wszyscy będący w gabinecie to zauważyli; pani Chandler, jej zastępczyni i szef miejscowej policji, który zapytał łagodnie:

- Eve, czy możesz nam powiedzieć, jak do tego doszło?

- Tak, sir - głos Eve brzmiał spokojnie. - Pan Parkinson powiedział, że chciałby porozmawiać na temat moich postępów w angielskim. Poprosił, abym przyszła do niego w niedzielę po południu. Był sam w domu. Powiedział, że chciałby mi coś pokazać w sypialni, więc poszłam za nim na górę i wtedy siłą zaciągnął mnie do łóżka i...

- To kłamstwo! - krzyknął przeraźliwie Parkinson. - To nie tak było. To nie tak było...

Posłano po Kate i wyjaśniono jej całą sytuację. Uznano, że we wspólnym interesie leży zatuszowanie tej sprawy. Pan Parkinson został zwolniony ze szkoły i dano mu czterdzieści osiem godzin na opuszczenie stanu. Eve dyskretnie poddano zabiegowi usunięcia ciąży.

Kate po cichu wykupiła dług hipoteczny zaciągnięty przez szkołę w miejscowym banku i doprowadziła do jej zamknięcia.

Eve dowiedziawszy się o tym, westchnęła ciężko:

- Tak mi przykro, babciu. Naprawdę lubiłam tę szkołę.

W kilka tygodni później, gdy Eve wróciła do sił po zabiegu, dziewczęta zostały zapisane do L'Institut Fernwood, szwajcarskiej szkoły prywatnej dla dziewcząt w pobliżu

Lozanny.

## Rozdział 25

Eve rozpalala żądza tak gwałtowna, że aż nie do ugaszenia. To nie było tylko samo pożądanie; pożądanie stanowiło niewielką jej część. Była to żądza życia i potrzeba robienia wszystkiego, i bycia wszystkim. Życie było kochankiem i Eve z całych swych sił pragnęła go osiąść. Była zazdrosna o każdego. Szła do opery i nienawidziła baleriny, ponieważ ona sama nie była na jej miejscu, ponieważ to nie ona zdobywała poklask widowni. Chciała być naukowcem, śpiewaczką, chirurgiem, pilotem, aktorką. Chciała robić wszystko i robić to tak dobrze, jak jeszcze nikt przed nią. Chciała mieć wszystko od razu.

Naprzeciw L'Institut Fernwood, po przeciwległej stronie doliny, mieściła się szkoła kadetów. Nim Eve zdążyła skończyć siedemnaście lat, prawie każdy elew i połowa instruktorów była z nią zaręczona. Flirtowała bez opamiętania, bez przerwy oddając się coraz to nowym miłostkom. Ale teraz już przedsiębrała odpowiednie środki ostrożności, ponieważ nie miała najmniejszego zamiaru po raz drugi zejść w ciążę. Lubiła seks, ale to nie sam akt fizyczny sprawiał jej przyjemność, ale władza, którą dzięki niemu zdobywała. To ona, Eve, była tą, która się kontroluje. Rozkoszowała się błagalnymi spojrzeniami chłopców i mężczyzn, którzy pragnęli pójść z nią do łóżka. Lubiła ich drażnić i widzieć, jak wzrasta w nich pożądanie. Znajdowała przyjemność w tych kłamliwych obietnicach, które składali, by ją osiąść. Ale nade wszystko Eve rozkoszowała się władzą, jaką miała nad ich ciałami. Mogła doprowadzać ich do erekcji jednym pocałunkiem i jednym słowem sprawiać, by ich członki wiotczały. Nie potrzebowała ich, to oni jej potrzebowali. Całkowicie panowała nad nimi i było to niezwykle silne uczucie. W ciągu kilku chwil mogła odkryć mocne i słabe strony mężczyzny. Szybko nabrała przekonania, że mężczyźni są głupcami - wszyscy, bez wyjątku.

Eve była piękna, inteligentna, a poza tym była dziedziczką ogromnej fortuny, jednej z największych na świecie, i miała mnóstwo poważnych propozycji małżeństwa. Nie interesowały jej. Jedyne chłopcami, którzy ją pociągali, byli ci, co podobali się Alexandrze.

Podczas jednego z sobotnich balów szkolnych Alexandra poznała młodego, uprzedzając go grzecznego francuskiego studenta o nazwisku Rene Mallot. Nie był przystojny, ale inteligentny i wrażliwy, Alexandra uważała, że jest wspaniały. Postanowili, że w następną sobotę spotkają się w mieście.

- O siódmej godzinie - powiedział Rene.

- Będę czekała - odparła Alexandra.

Nocą, w pokoju, Alexandra opowiedziała Eve o nowej znajomości.

- On nie jest taki, jak inni chłopcy. Jest raczej nieśmiały i łagodny. W sobotę idziemy do teatru.

- Bardzo ci się podoba, prawda, moja mała siostrzyczko? - drwiła z niej Eve.

Alexandra zarumieniła się.

- Dopiero co go poznałam, ale wydaje się... no wiesz...

Eve leżała w łóżku na plecach, z założonymi pod głową rękami.

- Nie, nie wiem. Powiedz mi. Czy proponował ci pójście do łóżka?

- Eve! On nie należy do takich chłopców. Powiedziałam ci... on... jest nieśmiały.

- No, no, czyżby moja mała siostrzyczka się zakochała?

- Oczywiście, że nie! Teraz żałuję, że ci cokolwiek powiedziałam.

- Cieszę się, że to zrobiłaś - szczerze rzekła Eve.

Gdy w sobotę Alexandra zjawiła się o umówionej godzinie przed teatrem, Renego jeszcze nie było. Ponad godzinę czekała na niego na rogu ulicy, starając się nie zwracać uwagi na zaciekawione spojrzenia przechodniów i czując się jak idiotka. W końcu poszła do małej kawiarenki w pobliżu i zjadła podłą kolację, a potem wróciła do szkoły kompletnie przybita. Eve nie było w pokoju. Alexandra czytała do późna, wreszcie zgasiła światło i próbowała zasnąć. Dochodziła druga w nocy, gdy usłyszała Eve, chyłkiem wchodzącą do pokoju.

- Zaczynałam się już o ciebie niepokoić - szepnęła Alexandra.

- Wpadłam do starych przyjaciół. Jak ci się udał wieczór, bosko?

- Okropnie. Rene nawet nie pofatygował się na umówione spotkanie.

- To skandal - powiedziała Eve ze współczuciem. - Ale musisz nauczyć się nie ufać mężczyznom.

- Nie sądzisz, że mogło mu się coś stać?

- Nie, Alex. Sądzę, że chyba znalazł kogoś, kto mu się bardziej podoba.

„Oczywiście, że tak” - pomyślała Alexandra. Nawet jej to nie dziwiło. Nie miała wcale pojęcia o tym, jak bardzo jest piękna i zachwycająca. Przez całe życie żyła w cieniu siostry bliźniaczki. Uwielbiała ją i była przekonana, że tylko Eve może się podobać. Czuła się gorsza od Eve, ale nigdy nie przyszło jej na myśl, że Eve od dzieciństwa starannie pielęgnowała w niej to uczucie.

Również i inni chłopcy umawiali się i nie przychodzili. Chłopcy, którzy podobali się Alexandrze, zdawali się odwzajemniać jej uczucie, ale potem już ich nie widziała. Podczas któregoś weekendu Alexandra nieoczekiwanie spotkała Renego w Lozannie. Pospieszył do

niej i powiedział:

- Co się stało? Obiecałaś, że do mnie zadzwonisz.

- Ja obiecałam? O czym ty mówisz?

Cofnął się o krok, stając się nagle ostrożny.

- Eve...?

- Nie, Alexandra.

Rene oblał się rumieńcem.

- Ja... przepraszam. Muszę już iść. - I szybkim krokiem oddalił się, pozostawiając ją zmieszaną i patrzącą za nim.

Tego wieczoru, gdy Alexandra opowiedziała Eve o tym wydarzeniu, jej siostra wzruszyła ramionami.

- On jest na pewno jakimś *fou*. Lepiej ci będzie bez niego, Alex.

Chociaż Eve sądziła, że o płci odmiernej wie wszystko, to nie odkryła pewnej męskiej słabostki, która omal nie przyczyniła się do jej zguby. Jak świat światem mężczyźni zawsze chępnili się swoimi podbojami, a elewowie ze szkoły kadetów nie należeli wcale do wyjątków. Rozmawiali o Eve Blackwell z podziwem i pewnym respektem.

„Kiedy wszedłem w nią, chciałem już tam zostać na zawsze...”

„Nigdy nie sądziłem, że będę miał taką dupę...”

„Ma taką cipkę, której się nie zapomina...”

„O, Boże, to prawdziwa tygrysica w łóżku...”

Ponieważ przynajmniej dwudziestu czterech chłopców i sześciu instruktorów miało okazję zachwycać się erotycznymi talentami Eve, wkrótce stało się to tajemnicą poliszynela. Jeden z instruktorów szkoły kadetów napomknął o tych plotkach nauczycielce z L'Institut Fernwood, a ta z kolei doniosła o tym dyrektorce, pani Collins. Rozpoczęto dyskretne dochodzenie i w jego wyniku Eve została wezwana przez dyrektorkę.

- Sądzę, że dla dobra szkoły byłoby lepiej, abyś niezwłocznie ją opuściła.

Eve wytrzeszczyła na nią oczy tak, jakby ujrziała osobę, która nagle postradala zmysły.

- O czym, na Boga, pani mówi?

- Mówię o fakcie, że jak do tej pory obsłużyłaś połowę akademii wojskowej, a druga połowa zdaje się niecierpliwie czekać w kolejce.

- W życiu nie słyszałam takich kłamstw - odpowiedziała Eve głosem drżącym z oburzenia. - Czy sądzi pani, że nie wspomnę o tym mojej babci? Kiedy usłyszy...

- Zaoszczędzę ci kłopotu - przerwała jej dyrektorka. - Wolałabym, ze względu na



L'Institut, uniknąć zamieszania, ale jeśli spokojnie stąd nie wyjedziesz, to przekażę twojej babci listę nazwisk.

- Chciałabym zobaczyć tę listę!

Pani Collins bez słowa podała ją Eve. To była długa lista. Eve studiując ją zauważyła, że brakuje co najmniej siedmiu nazwisk. Przez chwilę zastanawiała się nad tym wszystkim. W końcu podniosła wzrok i powiedziała po wielkopańsku:

- Jest to bez wątpienia jakiś rodzaj spisku przeciwko mojej rodzinie. Ktoś chce posłużyć się mną jako narzędziem, by zaszkodzić mojej babci. Wyjadę stąd tylko dlatego, żeby nie dopuścić do czegoś takiego.

- Bardzo mądra decyzja - powiedziała oschle pani Collins. - Jutro rano kierowca zawiezie cię na lotnisko. Wyślę do twojej babci telegram, że wracasz do domu. Jesteś wyrzucona ze szkoły.

Eve odwróciła się i chciała już wyjść, ale przyszło jej coś do głowy.

- A co będzie z moją siostrą?

- Alexandra może tu zostać.

Alexandra, wróciwszy po lekcjach do bursy, zastała Eve pakującą swoje rzeczy.

- Co ty robisz?

- Jadę do domu.

- Do domu? W połowie semestru?

Eve odwróciła się, by spojrzeć siostrze prosto w oczy.

- Alex, czy ty naprawdę nie widzisz, jaką bzdurną rzeczą jest ta szkoła? Niczego się tu naprawdę nie uczymy. Marnujemy tylko czas.

Alexandra słuchała tych słów ze zdumieniem.

- Nie miałam pojęcia, że możesz się tu tak czuć, Eve.

- Czułam się tak każdego przekłętego dnia tego całego cholernego roku. Jedynym powodem, dla którego tu tkwiłam, byłaś ty. Zdawałaś się tak bardzo zadowolona.

- I byłam, ale...

- Przykro mi, Alex. Chcę wrócić do naszego rodzinnego domu.

- Powiedziałaś już pani Collins?

- Kilka minut temu.

- Jak to przyjęła?

- A jak mogła przyjąć? Była zrozpaczona. Bała się, że może to postawić jej szkołę w złym świetle.

Alexandra usiadła na brzegu łóżka.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. To nie ma z tobą nic wspólnego.

- Oczywiście, że ma. Jeśli byłaś tak nieszczęśliwa - przerwała. - Chyba masz rację.

Tracimy tu tylko czas. Komu potrzebna jest koniugacja czasowników łacińskich?

- Słusznie. Albo kto by sobie zwracał głowę jakimś Hannibalem lub jego krwawym braciszkiem, Hasdrubalem?

Alexandra podeszła do swojej szafki, wyjęła walizkę i położyła na łóżku.

Eve uśmiechnęła się.

- Nie chciałam, Alex, prosić cię, byś ze mną jechała, ale naprawdę cieszę się, że wracamy do domu razem.

Alexandra uścisnęła jej dłoń.

- Ja również.

- Wiesz co? - rzuciła Eve jakby mimochodem. - Kiedy skończę się pakować, zadzwoń do babci i powiedz, że jutro przylatujemy. Powiedz też jej, że już nie możemy tu dłużej wytrzymać. Zrobisz to?

- Tak. - Alexandra zawahała się. - Nie będzie chyba tym zachwycona.

- Nie martw się o staruszkę - powiedziała z przekonaniem Eve. - Potrafię sobie z nią poradzić.

Alexandra nie miała powodów, aby w to wątpić. Eve potrafiła sprawić, żeby babcia spełniła każde jej życzenie.

„Ale czy ktokolwiek - zapytała siebie w myślach - mógłby odmówić czegokolwiek Eve?” Poszła zatelefonować.

Kate Blackwell miała wysoko postawionych przyjaciół i znajomych biznesmenów, ale i wrogów, a od pewnego czasu docierały do niej pewne niepokojące pogłoski. Z początku nie przejmowała się uważając, że przyczyną ich jest ludzka zawiść. Ale pogłoski utrzymywały się. Eve widuje się z nazbyt wieloma chłopcami ze szkoły kadetów. Eve miała usuwaną ciążę. Eve została odsunięta od dobrego towarzystwa.

Dlatego też Kate z pewną ulgą przyjęła wiadomość o powrocie wnuczek. Zamierzała sprawdzić, ile jest prawdy w tych ohydnych plotkach.

W dniu, w którym przyjechały dziewczęta, Kate została w domu. Niemal natychmiast poprosiła Eve do swojej bawialni.

- Słyszałam pewne niepokojące rzeczy - powiedziała patrząc przenikliwie na wnuczkę.  
- Chcę wiedzieć, dlaczego wyrzucono cię ze szkoły.

- Nie zostałyśmy wyrzucone - zaprzeczyła Eve. - Alex i ja same się zdecydowałyśmy stamtąd wyjechać.

- Z powodu pewnych incydentów z chłopcami?

- Babciu, proszę. Wolałabym raczej o tym nie mówić.

- Obawiam się, że będziesz musiała. Co takiego zrobiłaś?

- Nic takiego nie zrobiłam. To Alex... - Eve przerwała nagle.

- Co Alex?

- Nie wiń jej, proszę - powiedziała pospiesznie Eve. - Jestem pewna, że nic na to nie mogła poradzić. Alex zawsze lubiła bawić się w tę dziecianną grę, w udawanie mnie. Nie miałam pojęcia, jak bardzo, dopóki dziewczęta nie zaczęły o niej plotkować. Zdaje się, że widywała się z wieloma... chłopcami. - Eve przerwała w zakłopotaniu.

- Zabawa w udawanie ciebie? - Kate osłupiała. - Czemu nie położyłaś temu kresu?

- Próbowałam - odparła Eve takim głosem, jakby naprawdę ogarnęło ją przygnębienie.

- Groziła, że się zabije. Och, babciu. Myślę, że Alexandra jest trochę... - zrobiła pauzę, jakby wypowiedzenie następnego słowa miało sprawić jej wiele bólu - ...niezrównoważona. Gdybyś kiedyś poruszyła z nią ten temat, to nie chcę nawet myśleć, co by mogła zrobić. - Eve popatrzyła na Kate, a jej niewinne oczy napełniły się łzami.

Kate zrobiło się jej ogromnie szkoda.

- Eve, nie. Nie płacz, kochanie. Nie powiem nic Alexandrze. Zostanie to tylko między nami.

- Nie... chciałam, abyś się o tym dowiedziała, babciu - szlochała Eve. - Wiedziałam, jak bardzo cię to zboli.

Później, przy popołudniowej herbatce, Kate przyglądała się uważnie Alexandrze. „Jest piękna na zewnątrz - pomyślała - i zepsuta wewnątrz”. Mało, że oddawała się jakimś wstrętnym miłośnikom, to jeszcze próbowała rzucić podejrzenie na swoją siostrę. Kate była przerażona.

Przez następne dwa lata, do czasu ukończenia nowej szkoły u miss Porter, Eve zachowywała daleko idącą ostrożność. Nie tak dawno przecież o mały włos byłaby zgubiona. Nic nie mogło narażać na szwank jej związku z babcią. Starsza pani nie pożyje już długo, ma siedemdziesiąt dziewięć lat. Eve chciała mieć pewność, że odziedziczy po niej fortunę.

Na dwudzieste pierwsze urodziny dziewcząt Kate zabrała je do Paryża i kupiła im nowe stroje Coco Chanel.

Na kameralnej kolacji w „Le Petit Bedouin” Eve i Alexandra poznały hrabiego Alfreda Mauriera i jego żonę, hrabinę Vivien. Hrabia wyglądał dystyngowanie, był szpakowatym, przystojnym mężczyzną po pięćdziesiątce. Jego żona była sympatyczną kobietą, uważaną powszechnie za światową damę.

Eve nie zwróciła na żadne z nich szczególnej uwagi, gdyby nie pewna uwaga skierowana przez kogoś do hrabiny:

- Zazdroszczę tobie i Alfredowi. Jesteście najszczęśliwszym małżeństwem, jakie znam. Ile to już lat minęło od waszego ślubu? Dwadzieścia pięć?

- W przyszłym miesiącu minie dwadzieścia sześć - odpowiedział za nią Alfred. - A ja prawdopodobnie przejdę do historii jako jedyny Francuz, który nie zdradził żony.

Wszyscy się roześmieli. Wszyscy, z wyjątkiem Eve. Do końca kolacji Eve uważnie przypatrywała się hrabiemu Maurierowi i jego żonie. Nie mogła zrozumieć, co też hrabia widzi w tej sflaczałej kobiecie w średnim wieku o pomarszczonej jak krepa szyi. Hrabia Maurier chyba nigdy nie zaznał słodczych prawdziwych pieścizot i pocałunków. Jego zachowanie się było głupie. Hrabia Maurier stanowił wyzwanie.

Następnego dnia Eve zadzwoniła do niego do biura.

- Mówi Eve Blackwell - powiedziała. - Zapewne mnie pan sobie nie przypomina, ale...

- Jakże mógłbym sobie ciebie nie przypominać, moje dziecko? Jesteś jedną z tych pięknych wnuczek mojej przyjaciółki Kate.

- Pochlebia mi to, że pan mnie pamięta, hrabio. Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, ale powiedziano mi, że jest pan wybornym znawcą win. Chciałabym babci sprawić małą niespodziankę i urządzam na jej cześć uroczystą kolacyjkę. - Zaśmiała się zażenowana. - Kłopot w tym, że wiem, co podać do jedzenia, ale nie mam żadnego pojęcia o winach. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby był pan tak uprzejmy coś mi doradzić.

- Z największą przyjemnością - odparł hrabia, najwyraźniej mile polechtany. - To zależy od tego, co pani zamierza podać. Jeśli zaczyna pani od ryby, to łagodne, białe chablis byłoby...

- Och, obawiam się, że nie zapamiętam tego wszystkiego. Czy mogłabym się z panem spotkać, aby to omówić? Może zjedlibyśmy dziś razem lunch, jeśli nie ma pan innych planów...?

- Zgadzą się - odparł hrabia - ze względu na starą przyjaźń z Kate.

- Och, to świetnie. - Eve powoli odłożyła słuchawkę. Będzie to lunch, który hrabia zapamięta do końca życia.

Spotkali się w „Lasserre”. Rozmowa na temat win nie trwała długo. Eve przysłuchiwała się nudnemu wykładowi hrabiego ze wzrastającą irytacją i nagle powiedziała:

- Kocham cię, Alfredzie.

Hrabia zaniemówił.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem.

- Powiedziałam, że cię kocham.

Pociągnął łyk wina.

- To jest dobry rocznik. - Poklepał ją serdecznie po dłoni. - Wszyscy dobrzy przyjaciele powinni się nawzajem kochać.

- Ja nie tego rodzaju miłość miałam na myśli, Alfredzie.

Hrabia spojrzał jej w oczy i natychmiast pojął, o jaki rodzaj miłości tu chodzi, a to sprawiło, że stał się najwyraźniej nerwowy. Dziewczyna miała dwadzieścia jeden lat, a on przekroczył już wiek średni. Na dodatek był szczęśliwym mężem. Nie pojmował, co się teraz stało z tymi wszystkimi młodymi pannami. Czuł się zakłopotany siedząc naprzeciw niej, słuchając tego, co mówi, a jego zakłopotanie powiększał jeszcze fakt, że miał do czynienia chyba z najpiękniejszą, najbardziej pociągającą kobietą, jaką w życiu widział. Ubrana była w beżową plisowaną sukienkę i jasnozielony sweter, pod którym widać było zarys pełnych i kształtnych piersi. Nie miała na sobie stanika i mógł też dojrzeć ostro zakończone sutki. Spojrzał na niewinną buzię tej dziewczyny i nie wiedział, co powiedzieć...

- Ależ... ty mnie prawie nie znasz.

- Marzyłam o tobie, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką. Wyobrażałam sobie mężczyznę w błyszczącej zbroi, wysokiego i przystojnego, i...

- Obawiam się, że moja zbroja jest już nieco zardzewiała i...

- Proszę, nie kpj ze mnie - powiedziała błagalnym tonem Eve. - Kiedy zobaczyłam cię wczoraj na kolacji, nie mogłam od ciebie oderwać oczu. Nie mogłam o niczym innym myśleć. Nie mogłam zasnąć. Nie mogłam choćby na chwilę zapomnieć o tobie.

To wszystko było niemal zgodne z prawdą.

- Nie wiem... co ci powiedzieć, Eve. Moje małżeństwo jest udane i...

- Och, gdybyś wiedział, jak bardzo zazdrosczę twojej żonie! Jest najszczęśliwszą kobietą na świecie. Ciekawa jestem, czy ona wie o tym, Alfredzie.

- Oczywiście, że tak. Stale jej to powtarzam. - Uśmiechnął się nerwowo, zastanawiając się, jak zmienić temat.

- Czy ona naprawdę cię docenia? Czy wie, jaki jesteś wrażliwy? Ja bym taka była dla ciebie.

Hrabia poczuł się jeszcze bardziej zakłopotany.

- Jesteś piękną, młodą kobietą - powiedział. - I pewnego dnia znajdziesz swego rycerza w błyszczącej, niezardzewiałej zbroi, a wówczas...

- Już go znalazłam i teraz chcę iść z nim do łóżka.

Rozejrzał się dokoła w obawie, czy ktoś ich nie słyszy.

- Eve, proszę!

Pochyliła się w jego stronę.

- Niczego więcej nie pragnę. Wspomnienie wystarczy mi do końca życia.

- To niemożliwe - odparł stanowczo hrabia. - Stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. Młode kobiety nie powinny składać nieznajomym niestosownych propozycji.

Oczy Eve zaszczyły powoli łzami.

- Czy tak o mnie myślisz? Że składam nieznajomym...? Znałam w życiu tylko jednego mężczyznę. Byliśmy zaręczeni i mieliśmy się pobrać. - Łzy płynęły jej teraz po twarzy, ale nawet ich nie wycierała. - Był miły, kochający i wrażliwy. Zginął podczas wspinaczki. Stało się to na moich oczach. To było okropne.

Hrabia Maurier dotknął jej dłoni.

- Tak mi przykro.

- Tak bardzo mi go przypominasz. Kiedy cię zobaczyłam, miałam wrażenie, jakby Bill do mnie powrócił. Gdybyś mógł mi dać chociaż jedną godzinę, nigdy już bym ci się nie naprzykrzała. Nie musiałbyś się potem ze mną widywać. Proszę cię, Alfredzie.

Hrabia długo patrzył na Eve, ważąc decyzję. Mimo wszystko był przecież Francuzem.

Popołudnie spędzili w niewielkim hotelu na Rue Sainte-Anne. W całym swoim doświadczeniu przedmałżeńskim hrabia Maurier nigdy nie był w łóżku z kimś takim, jak Eve. Ta dziewczyna była huraganem, nimfomanką, diabolicą. Wiedziała zbyt dużo. Pod koniec popołudnia hrabia czuł się zupełnie wyczerpany.

Gdy się ubierali, Eve zapytała:

- Kiedy znów cię zobaczę, kochanie?

- Zadzwoń do ciebie - odparł Maurier.

Nie zamierzał już nigdy spotkać się z tą kobietą; miała w sobie coś przerażającego -

prawie diabelskiego. Była czymś w rodzaju zwiastuna zła, kimś przynoszącym, jak mówią Amerykanie, *bad news*. Nie miał zamiaru angażować się dalej w ten związek. I sprawa ta mogłaby się właściwie na tym zakończyć, gdyby nie to, że kiedy wychodzili razem z hotelu, zauważyła ich Alicia Vanderlake, która rok temu działała wraz z Kate w jednym Komitecie Dobroczynnym. Pani Vanderlake należała do osób uparcie pnących się po drabinie społecznej, dlatego uznała ten fakt za dar niebios. Pomyślała, że zajdzie wysoko, jeśli odpowiednio wykorzysta sytuację. Widziała w gazetach zdjęcia hrabiego z żoną, widziała też zdjęcia bliźniaczek Blackwell. Nie była pewna, którą z nich spostrzegła, ale nie miało to znaczenia. Pani Vanderlake wiedziała, co jest jej obowiązkiem. Zajrzała do notesu z numerami telefonów i znalazła numer Kate.

W słuchawce odezwał się głos lokaja.

- *Bonjour*.

- Czy można prosić panią Blackwell?

- Przepraszam, a kto mówi?

- Vanderlake. To sprawa prywatna.

W minutę później Kate podniosła słuchawkę.

- Kto mówi?

- Alicia Vanderlake, pani Blackwell. Jestem pewna, że mnie pani pamięta. W zeszłym roku pracowałyśmy razem w Komitecie Charytatywnym i...

- Jeśli chodzi o darowiznę, proszę zadzwonić...

- Nie, nie - pani Vanderlake zaprzeczyła pospiesznie. - To sprawa osobista. Chodzi o pani wnuczkę.

Pani Vanderlake wyobraziła sobie, że Kate Blackwell zaprosi ją na herbatkę i porozmawiają o tym jak kobieta z kobietą, że będzie to początek gorącej przyjaźni.

- Co się stało? - zapytała Kate Blackwell.

Pani Vanderlake nie zamierzała omawiać tej sprawy przez telefon, ale nieprzyjemny ton, jakim zwróciła się do niej Kate Blackwell, nie pozostawił jej wyboru.

- Pomyślałam sobie, że moim obowiązkiem jest powiedzieć pani, że kilka minut temu widziałam, jak wymykała się z hotelu z hrabią Alfredem Maurierem. Było to najwyraźniej umówione spotkanie.

- Trudno mi w to uwierzyć - odparła Kate lodowatym tonem. - Która z moich wnuczek to była?

Pani Vanderlake zaśmiała się niepewnie.

- Sama... nie wiem. Nie potrafię ich odróżnić. Ale czy ktokolwiek potrafi? To...

- Dziękuję za informację. - Kate odłożyła słuchawkę.

Przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad otrzymaną właśnie informacją. Jeszcze wczoraj wieczorem jedli razem kolację. Kate знаła Alfreda Mauriera od piętnastu lat i to, co przed chwilą usłyszała, nie pasowało do niego, było zupełnie sprzeczne z jego charakterem, zachowaniem. Z drugiej strony wiedziała jednak, że po mężczyznach można się wszystkiego spodziewać. Jeśli Alexandra skusiła Alfreda do pójścia z nią do łóżka...

Kate podniosła słuchawkę i zamówiła rozmowę z L'Institut Fernwood w Lozannie.

Eve, wróciwszy późnym popołudniem do domu, promieniała zadowoleniem. Nie dlatego, żeby igraszki miłosne z hrabią Maurierem okazały się aż tak rozkoszne, ale dlatego, że odniosła nad nim zwycięstwo.

„Jeśli jego mogę mieć tak łatwo - myślała - mogę mieć każdego. Mogę mieć cały świat”.

Weszła do biblioteki i natknęła się na Kate.

- Dzień dobry, babciu. Czy przyjemnie minął ci dzień?

Kate stała, przyglądając się uważnie swojej ślicznej wnuczce.

- Nie bardzo, jak sądzę. A tobie?

- Och, zrobiłam trochę zakupów. Nic szczególnego. Kupiłam mi już wszystko. Zawsze...

- Zamknij drzwi, Eve.

W głosie Kate było coś niepokojącego. Eve zamknęła duże dębowe drzwi.

- Usiądź.

- Coś się stało, babciu?

- Właśnie ty mi o tym powiesz. Miałam zaprosić tutaj hrabiego Mauriera, ale postanowiłam zaoszczędzić nam wszystkim upokorzenia.

Eve zakręciło się w głowie. „To niemożliwe! Pożegnałam się z Alfredem Maurierem zaledwie przed godziną!”

- Nie wiem... o czym ty mówisz, babciu?

- A więc powiem ci bez ogródek. Tego popołudnia poszłaś do łóżka z hrabią Maurierem.

Eve napłynęły łzy do oczu.

- Miałam... nadzieję, że nigdy nie dowiesz się, co mi zrobił, ponieważ jest twoim przyjacielem. - Próbowała mówić spokojnie. - To było straszne. Zadzwonił i zaprosił mnie na lunch, a potem upił i...



- Milcz! - Głos Kate zabrzmiał niczym ostry trzask z bicia, a na twarzy jej odmalowała się głęboka odraza. - Jesteś podła.

Kate przeżyła najboleśniejszą godzinę w życiu, uświadamiając sobie prawdę o swojej wnuczce. W uszach brzmiał jej głos dyrektorki mówiącej: „Pani Blackwell, młode kobiety będą zawsze młodymi kobietami i jeśli któraś z nich oddaje się po cichu jakiejś miłostce, to nie jest to moja sprawa. Ale Eve robiła to w sposób tak ostentacyjny, że dla dobra szkoły...”

Eve zrzuciła winę na Alexandrę.

Kate zaczęła po kolei przypominać sobie wszystkie wypadki. Ogień, w którym Alexandra omal nie zginęła... Piknik na urwistych skałach, podczas którego Alexandra omal nie spadła w przepaść... Przejazdkę żaglówką, podczas której Alexandra wypadła za burtę i omal nie utonęła...

Kate mogła niemal wyraźnie usłyszeć głos Eve, szczegółowo opowiadającej historyjkę o tym, jak została „zgwalcona” przez nauczyciela angielskiego: „Pan Parkinson powiedział, że chciałby porozmawiać na temat moich postępów w angielskim. Poprosił, abym przysłała do niego w niedzielę po południu. Gdy się zjawiłam, pan Parkinson był sam. Powiedział, że chciałby mi coś pokazać w sypialni. Poszłam za nim na górę. Siłą zaciągnął mnie do łóżka i...”

Kate przypomniała sobie incydent w Briarcrest, gdy Eve posądzono o sprzedaż marihuany, ale to Alexandra została ostatecznie obwiniona. Ale Eve nie zrzuciła winy na Alexandrę, ona jej broniła. To była jej taktyka - postępować nieszczemnie i grać rolę heroiny. Wcale sprytnie.

Teraz Kate przyglądała się uważnie temu stojącemu przed nią pięknemu potworowi o niewinnej buzi. „Moje wszystkie plany snułam z myślą o tobie. To właśnie ty miałaś pewnego dnia przejąć po mnie firmę Kruger-Brent. To właśnie ciebie tak kochałam i uwielbiałam”.

- Chcę, abys opuściła ten dom - powiedziała Kate. - Nie chcę już ciebie widzieć na oczy. - Eve pobladła. - Jesteś dziwką. Sądzę, że to mogłabym jeszcze przeboleć. Ale jesteś również podstępna, chytra i wstrętną oszustką, a z tym już nie mogę się pogodzić.

To wszystko stało się zbyt nagle. Eve powiedziała z desperacją:

- Babciu, jeśli Alexandra naopowiadała ci kłamstw na mój temat...

- Alexandra nic o tym nie wie. Niedawno odbyłam długą rozmowę telefoniczną z panią Collins.

- Czy to wszystko? - Eve udało się wypowiedzieć te słowa z pewną ulgą. - Pani Collins nienawidzi mnie, ponieważ...

Kate ogarnęło nagłe znużenie.

- Tym razem nie uda ci się, Eve. Nigdy już ci się nie uda. Koniec tego dobrego. Posłałam po prawnika. Wydziedziczam cię.

Eve miała wrażenie, jakby cały świat rozpadł się nagle na kawałki.

- Nie możesz tego zrobić. Z czego... będę żyła?

- Otrzymasz skromną pensyjke. Od tej chwili będziesz żyła na własny rachunek. Możesz robić to, co ci się żywnie podoba. - Głos Kate stawał się coraz ostrzejszy. - Ale jeśli kiedykolwiek usłyszę lub przeczytam choćby jedno słowo na temat skandalu z twoim udziałem, jeśli kiedykolwiek zhańbisz nazwisko Blackwellów, przestanę wypłacać ci pensję. Czy jasno się wyraziłam?

Eve spojrzała w oczy babci i zrozumiała, że tym razem nie będzie żadnego pobłażania; słowa przeprosin zamarły jej na ustach. Kate wstała i powiedziała załamującym się głosem:

- Nie sądzę, aby miało to dla ciebie jakieś znaczenie, ale to... najtrudniejsza rzecz, jaką musiałam zrobić w życiu.

Odwróciła się i wyszła z pokoju wyprostowana i dumna.

Kate siedziała sama w swojej sypialni, którą powoli spowijał mrok, i zastanawiała się, dlaczego wszystko tak źle się ułożyło...

Gdyby David nie zginął, a Tony znał swojego ojca...

Gdyby Tony nie chciał zostać artystą...

Gdyby żyła Marianne...

Gdyby. Jedno słowo wyrażające daremność wszystkiego.

Przyszłość była gliną, którą należało modelować dzień po dniu, ale przeszłość stanowiła podłoże skalne; była niezmienna. „Wszyscy, których kochałam, zdradzili mnie - myślała Kate. - Tony, Marianne, Eve. Sartre miał rację mówiąc, że piekło to inni ludzie”. Kate zastanawiała się, kiedy minie ból.

O ile Kate odczuwała ból, to Eve ogarniała coraz większa wściekłość. Nic takiego nie zrobiła, poza tym że chciała sobie sprawić przyjemność przez jedną lub dwie godziny, a babka postąpiła tak, jakby popełniła nie wiadomo jakie przestępstwo. „Staromodna suka!” Nie, nie staromodna, ale zgrzybiała. Otóż to. Jest zgrzybiała. Już ona, Eve, znajdzie dobrego adwokata, który tak ośmieszy ten nowy testament wobec sądu, że szybko z niego zrezygnuje. Zarówno ojciec, jak i babka są obłąkani. Nikt jej nie wydziedziczy. Kruger-Brent to jej firma. Ileż to razy babka powtarzała, że pewnego dnia będzie należała do niej. I ta Alexandra! Przez cały czas kopała pod nią dołki, szepcząc do uszu babki Bóg wie co. Alexandra zawsze chciała

zagarnąć firmę. Najbardziej przerażające jest to, że ma teraz wszelkie szanse. Po południu stała się rzecz okropna, ale jeszcze okropniejsza jest myśl o Alexandrze przejmującej kontrolę nad firmą.

„Nie mogę do tego dopuścić - pomyślała Eve. - Znajdę sposób, by jej przeszkodzić”. Zamknęła walizkę i poszła szukać siostry.

Alexandra była w ogrodzie. Czytała. Podniosła wzrok, gdy Eve się zbliżyła.

- Alex, postanowiłam wracać do Nowego Jorku.

Alexandra spojrzała na siostrę ze zdziwieniem.

- Teraz? Kiedy babcia planuje rejs do Wybrzeża Dalmatyńskiego? Co się...

- Kto by się przejmował Wybrzeżem Dalmatyńskim? Dużo myślałam nad tym. Czas już, abym miała własne mieszkanie. - Uśmiechnęła się. - Jestem już dużą dziewczynką. Zamierzam więc znaleźć sobie urocze gniazdko i jeśli będziesz grzeczna, pozwolę ci tam od czasu do czasu przenocować. - „Tak właśnie z nią trzeba - pomyślała Eve - przyjaźnie, ale bez wylewności. Nie może się domyślić, że mam coś do niej”.

Alexandra patrzyła na siostrę z z troskaniem.

- Czy babcia już wie?

- Powiedziałam jej po południu. Oczywiście, nie podoba się jej ten pomysł, ale rozumie mnie. Miałam zamiar pójść do pracy, ale nalegała, abym zgodziła się brać od niej pensję.

- Czy chciałabyś, abym zamieszkała z tobą? - spytała Alexandra.

„Cholerna, dwulicowa suka! Najpierw wypycha ją z domu, a potem udaje, że chce się z nią wyprowadzić. Ale nie pozbędą się małej Eve tak łatwo. Jeszcze im wszystkim pokażę”. Będzie miała własne mieszkanie, wynajmie jakiegoś fantastycznego dekoratora, by je urządził. Będzie cieszyła się nieograniczoną swobodą. Będzie mogła przychodzić i wychodzić, kiedy tylko zechce. Będzie mogła zapraszać mężczyzn i będzie po raz pierwszy w życiu naprawdę wolna. Myśl ta napełniła Eve radością.

- Jesteś bardzo miła, Alex - powiedziała. - Ale na razie chciałabym się usamodzielnić.

Alexandra spojrzała na Eve i ogarnął ją głęboki smutek. Nigdy jeszcze nie były rozdzielone.

- Będziemy się często widywać, prawda?

- Oczywiście, że tak - przyrzekła Eve. - Znacznie częściej, niż sądzisz.

## Rozdział 26

Po powrocie do Nowego Jorku Eve - zgodnie z otrzymanym poleceniem - zatrzymała się w hotelu w centrum miasta. W godzinę później zatelefonował Brad Rogers.

- Eve, dzwoniła do mnie z Paryża twoja babcia. Najwyraźniej powstał jakiś spór między wami.

- Niezupełnie - roześmiała się Eve. - To tylko mała rodzinna...

Miała już zamiar wygłosić przygotowaną mowę obrończą, ale nagle zdała sobie sprawę, że ta droga może okazać się niebezpieczna. Od tej chwili powinna być bardzo ostrożna. Nigdy nie musiała martwić się o pieniądze. Zawsze były pod ręką. Teraz jednak sprawa pieniędzy budziła w niej niepokój. Nie miała pojęcia, jaka suma zostanie jej przydzielona i po raz pierwszy w życiu poczuła lęk.

- Czy mówiła ci, że zamierza sporządzić nowy testament? - spytał Brad.

- Tak, wspomniała coś o tym. - Eve postanowiła rozegrać to na zimno.

- Sądzę, że powinniśmy o tym porozmawiać, ale nie przez telefon. Czy poniedziałek ci odpowiada? O trzeciej?

- Jak najbardziej, Brad.

- W moim biurze. Dobrze?

- Tak, będę tam.

Gdy za pięć trzecia Eve weszła do budynku firmy Kruger-Brent, została powitana z pełnym szacunkiem przez strażników i windziarzy. „Wszyscy mnie tu znają - pomyślała. - Nazywam się Blackwell”. Wjechała windą na piętro, gdzie mieściły się gabinety dyrektorów, i natychmiast została przyjęta przez Brada Rogersa.

Brada ogarnęło zdziwienie, gdy Kate oznajmiła mu przez telefon, że wydziedzicza Eve, ponieważ wiedział, jak bardzo troszczyła się zawsze o swoją wyjątkową wnuczkę i jakie wiązała z nią nadzieje. Brad nie miał pojęcia, co też takiego mogło się stać. Nie wnikał w to jednak. Jeśli Kate chciała z nim omówić jakąś sprawę, robiła to. Do jego obowiązków należało spełnianie wszystkich jej poleceń. Na tym właśnie polegała jego praca. Przez chwilę było mu żal tej uroczej, młodej kobiety, która usiadła naprzeciwko. Kate nie miała wcale więcej lat, gdy ją poznał. On również. A teraz był starym i posiwiiałym głupcem, żywiącym się wciąż nadzieją, że pewnego dnia Kate uświadomi sobie, że w jej życiu był ktoś, kto ją naprawdę głęboko kochał.

- Mam dla ciebie do podpisu kilka dokumentów - powiedział do Eve. - Gdybyś zechciała je przejrzeć i...

- To nie jest konieczne.

- Eve. Jest rzeczą ważną, abyś się z nimi dokładnie zapoznała. Zgodnie z wolą twojej babci - zaczął jej wyjaśniać - jesteś beneficjentką nieodwołalnego funduszu powierniczego, który przekracza sumę pięciu milionów dolarów. W zależności od jej uznania możesz otrzymać pieniądze pomiędzy dwudziestym pierwszym a trzydziestym piątym rokiem życia. - Chrząknął. - Jednakże twoja babcia postanowiła ci je przekazać, gdy skończysz trzydzieści cztery lata.

To było jak uderzenie w policzek.

- Począwszy od dziś, będziesz otrzymywać tygodniową pensję w wysokości dwustu pięćdziesięciu dolarów.

Niemożliwe! Przecież zwykła sukienka kosztuje tyle. Nie sposób, aby mogła żyć za dwieście pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Zrobiono to, aby ją upokorzyć, a ten drań prawdopodobnie maczał w tym palce. Siedzi teraz za swoim ogromnym biurkiem zadowolony z siebie, uśmiechnięty. Najchętniej chwyciłaby ten przycisk z brązu, leżący przed nim, i rozbiła mu głowę. Prawie usłyszała chrzęst łamanych kości.

Brad mówił dalej monotonnym głosem:

- Nie możesz korzystać z konta prywatnego ani żadnego innego i nie możesz posługiwać się nazwiskiem Blackwellów w żadnym sklepie. Za wszystko będziesz musiała płacić gotówką.

Koszmar narastał.

- Ponadto, jeśli w jakimkolwiek dzienniku lub magazynie krajowym czy zagranicznym pojawi się jakaś plotka na twój temat, twoje tygodniowe dochody zostaną natychmiast wstrzymane. Czy to jasne?

- Tak. - Głos Eve przeszedł w szept.

- Na ciebie i twoją siostrę została wystawiona, na wypadek śmierci waszej babci, polisa ubezpieczeniowa na sumę pięciu milionów dolarów na osobę. Polisa, którą ty miałaś, została dziś rano unieważniona. Po upływie roku - ciągnął Brad - jeśli babcia uzna twoje postępowanie za zadowalające, tygodniowa pensja zostanie ci podwojona. - Zawahał się. - Jest pewien ostatni warunek.

„Chce mnie publicznie wychłostać”.

- Tak?

Brad Rogers wyglądał na zakłopotanego.

- Twoja babcia nie chce cię już nigdy widzieć, Eve.

„No, dobrze, ale ja chcę cię zobaczyć. Jeszcze tylko raz jeden, starucho. Chcę zobaczyć, jak będziesz umierała w mękach”.

- Jeśli będziesz miała jakieś problemy, dzwoń do mnie. - Głos Brada zdawał się napływać z oddali. - Ona nie życzy sobie, abyś tu przychodziła, nie wolno ci też przebywać w żadnej posiadłości rodzinnej.

Wcześniej próbował dyskutować z Kate na ten temat.

- Na Boga, Kate, to jest twoja wnuczka, twoja krew, a ty traktujesz ją jak trędowatą.

- Bo jest trędowata.

I na tym rozmowa się zakończyła.

- No cóż - powiedział teraz z zażenowaniem Brad. - Sądzę, że to już wszystko. Czy masz jakieś pytania, Eve?

- Nie. - Eve była zszokowana.

- W takim razie, gdybyś jeszcze tylko mogła podpisać te dokumenty...

W dziesięć minut później Eve znajdowała się znów na ulicy. W torebce miała czek na dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Nazajutrz rano Eve skontaktowała się z agentem zajmującym się handlem nieruchomości. Oczywiście wyobraźni widziała już piękny apartament z białymi pokojami, nowoczesnymi meblami, i tarasem, gdzie by mogła przyjmować gości i skąd będzie roztaczał się widok na Central Park. Rzeczywistość przyniosła jednak gorzkie rozczarowanie. Okazało się, że z tygodniowymi dochodami wynoszącymi dwieście pięćdziesiąt dolarów nie ma nawet co marzyć o eleganckich apartamentach na Park Avenue. Może jedynie liczyć na jednopokojowe mieszkanie-pracownię w Dzielnicy Włoskiej z kanapą służącą za łóżko, kąpielnią, który agent eufemistycznie nazwał biblioteką, niewielką kuchenką i jeszcze mniejszą łazienką, wyłożoną zniszczonymi kafelkami.

- Czy nie ma pan nic lepszego do zaoferowania?

- Ależ mam, szanowna pani - oznajmił agent. - Dwudziesto-pokojową rezydencję na Sutton Place za pół miliona dolarów plus koszty utrzymania.

„Ty draniu!” - pomyślała Eve.

Prawdziwa rozpacz ogarnęła Eve następnego dnia, gdy się tam wprowadziła. To była klitka. Sama garderoba w jej dotychczasowym domu była taka, jak to całe mieszkanie. Pomyślała o Alexandrze korzystającej z rezydencji przy Piątej Alei. „Boże, dlaczego

Alexandra nie usmażyła się na śmierć? Tak niewiele już brakowało!” Gdyby zginęła, Eve zostałaby jedyną dziedziczką i sprawy miałyby się teraz zupełnie inaczej.

Ale jeśli Kate Blackwell sądziła, że Eve tak łatwo zrezygnuje ze swego dziedzictwa, nie знаła wnuczki. Eve nie miała zamiaru żyć za dwieście pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. W banku leżało pięć milionów dolarów należących do niej; pięć milionów, od których została odcięta przez tę złośliwą staruchę. „Musi być jednak jakiś sposób, żeby się do nich dostać. Znajdę go”.

Następny dzień przyniósł rozwiązanie problemu.

- Czym mogę służyć, panno Blackwell? - pytał z pełnym szacunkiem Alvin Seagram. Był wiceprezesem National Union Bank i w zasadzie mógł wszystko. Jaki szczęśliwy traf przywiódł do niego tę młodą kobietę? Ach, gdyby mógł prowadzić konto Kruger-Brent lub choćby jego część, stałby się kimś jeszcze ważniejszym, o wiele ważniejszym...

- Przyznano mi pewną sumę pieniędzy w funduszu powierniczym - wyjaśniła Eve. - Pięć milionów dolarów. Jednakże zgodnie z warunkami funduszu będę mogła je otrzymać dopiero, gdy skończę trzydzieści cztery lata. - Uśmiechnęła się szczerze. - Wydaje się, że to jeszcze tyle czasu.

- W pani wieku na pewno tak się może wydawać - uśmiechnął się bankier. - Ma pani... dziewiętnaście lat?

- Dwadzieścia jeden.

- I jest pani piękna, panno Blackwell, jeśli wolno mi to powiedzieć.

- Dziękuję, panie Seagram. - Eve spuściła skromnie oczy. Zaczynało to być łatwiejsze, niż przypuszczała. „Ten człowiek jest idiotą. I jest mi przychylny”.

- Jak konkretnie mógłbym pani pomóc? - Alvin Seagram czuł już, że nawiązała się między nimi nić porozumienia.

- Zastanawiam się, czy byłoby możliwe pobranie zaliczki a conto mojego funduszu powierniczego. Proszę mnie zrozumieć; teraz potrzebuję pieniędzy bardziej, niż będę potrzebowała później. Jestem zaręczona. Mój narzeczony jest inżynierem budowlanym, pracuje w Izraelu i jeszcze przez trzy lata nie będzie go w kraju. Zamierzamy się pobrać.

Alvin Seagram spojrział na nią ze współczuciem.

- Doskonale to rozumiem - powiedział. Rozpierała go duma. „Oczywiście, że mogę spełnić jej prośbę”. Bez przerwy przecież wypłaca się zaliczki a conto funduszy powierniczych. Gdyby spełnił życzenie tej wyjątkowej klientki, niewykluczone, że zaczęłyby przysyłać do niego innych członków rodziny Blackwellów, którym również mógłby się

przysłużyć. A potem już nic nie mogłoby mu przeszkodzić. Zostałby członkiem zarządu National Union, a pewnego dnia może i samym prezesem. A wszystko dzięki tej ślicznej, małej blondynce, siedzącej po drugiej stronie biurka.

- Nie widzę żadnego problemu! - zapewnił Eve. - To bardzo prosta transakcja. Rozumie pani, że nie moglibyśmy pożyczyć pełnej sumy, ale z pewnością możemy wydać pani, powiedzmy, milion dolarów. Czy to panią zadowala?

- Jak najbardziej - odparła Eve, starając się ukryć swoją radość.

- Świetnie. Gdyby zechciała mi pani tylko podać pewne szczegóły dotyczące funduszu. - Wziął do ręki pióro.

- Proszę się skontaktować z Bradem Rogersem z Kruger-Brent. On udzieli panu wszelkich niezbędnych informacji.

- Zaraz do niego zadzwonię.

- Jak długo potrwa cała ta operacja? - Eve wstała.

- Nie więcej niż jeden lub dwa dni. Zajmę się tym osobiście.

Podowała mu swoją śliczną, delikatną rączkę.

- Jest pan bardzo uprzejmy.

Zaraz po wyjściu Eve, Alvin Seagram podniósł słuchawkę.

- Proszę mnie natychmiast połączyć z Bradem Rogersem z firmy Kruger-Brent. - Wymawiając te słowa czuł radosne podniecenie.

Po upływie dwu dni Eve zjawiła się ponownie w banku i została wprowadzona do gabinetu Alvina Seagrama, który oznajmił już na wstępie:

- Obawiam się, że nie będę mógł pani pomóc, panno Blackwell.

Eve osłupiała.

- Nie rozumiem. Powiedział pan, że to proste. Powiedział pan, że...

- Przykro mi. Nie znałem wszystkich szczegółów. - I przytoczył słowa Brada Rogera: „Tak, w pańskim banku znajduje się pięć-milionowy fundusz powierniczy na nazwisko Eve Blackwell. Pański bank może oczywiście w każdej chwili wypłacić zaliczkę a conto tego funduszu. Jednakże czuję się w obowiązku lojalnie pana uprzedzić, że Kate Blackwell uznałaby ten krok za nieprzyjazny”.

Brad Rogers nie musiał mówić o konsekwencjach takiego kroku. Kruger-Brent miała wszędzie potężnych i wpływowych przyjaciół. Gdyby ci przyjaciele zaczęli wycofywać pieniądze z National Union... Alvin Seagram doskonale wiedział, co by to oznaczało dla niego i jego kariery.



- Przykro mi - powtórzył. - Nie mogę nic zrobić.

Eve spojrzała na tego człowieka z rozgoryczeniem, ale nie dała po sobie poznać, jaki to dla niej cios.

- Dziękuję za fatywę. Na szczęście są jeszcze inne banki w Nowym Jorku. Do widzenia.

- Panno Blackwell - rzekł Alvin Seagram - żaden bank na świecie nie da pani nawet pensa a conto tego funduszu.

Alexandra była zdumiona. W przeszłości babcia wielokrotnie dawała do zrozumienia, że bardziej faworyzuje Eve. A teraz wszystko zmieniło się z dnia na dzień. Wiedziała, że coś strasznego zaszło między Kate i Eve, ale nie miała pojęcia, co to mogło być. Ilekroć próbowała porozmawiać na ten temat z babcią, starsza pani ucinała rozmowę mówiąc: - Nie ma o czym mówić. Eve wybrała własną drogę.

Również od Eve nie mogła się niczego dowiedzieć.

Kate Blackwell poświęcała teraz Alexandrze mnóstwo czasu. Alexandra była tym zaintrygowana. Nie tylko przebywała stale w towarzystwie babci, ale stawała się istotną częścią jej życia. To było tak, jakby babcia dopiero co ją poznawała. Alexandra miała dziwne uczucie, że jest nieustannie poddawana ocenie.

Kate faktycznie zaczęła się uważnie przyglądać Alexandrze, a ponieważ została już raz oszukana, teraz - wyrabiając sobie opinię o siostrze Eve - wykazywała daleko idącą ostrożność. Spędzała z Alexandrą każdą wolną chwilę, sondowała ją, zadawała pytania i słuchała. Wnioski do jakich doszła, zadowalały ją.

Nie było wcale rzeczą łatwą poznać Alexandrę. Była osobą, skrytą, bardziej powściągliwą od Eve. Miała żywy, pojętny umysł, a niewinność w połączeniu z urodą czyniły ją jeszcze powabniejszą. Otrzymywała niezliczone zaproszenia do teatru, na przyjęcia, kolacje, ale teraz Kate decydowała o tym, które z nich powinna przyjąć, a które odrzucić. To, że jakiś konkurent stanowił dobrą partię, nie było bynajmniej wystarczające. Kate szukała mężczyzny zdolnego w przyszłości pomóc Alexandrze w kierowaniu dynastią. Swoich planów nie ujawniała. Uważała, że na to przyjdzie czas, gdy znajdzie wnuczce odpowiedniego męża. Niekiedy nad ranem, gdy Kate pogrążona była jeszcze w głębokim śnie, Alexandra budziła się i myślała o Eve.

Eve radziła sobie wspaniale.

Epizod z babcią wstrząsnął nią tak silnie, że na jakiś czas zapomniała o czymś bardzo

istotnym; zapomniała, jak bardzo pociąga mężczyzn. Na pierwszym przyjęciu, na które została zaproszona od czasu, gdy wprowadziła się do nowego mieszkania, dała numer swojego telefonu sześciu mężczyznom - z których pięciu było żonatych - i w ciągu dwudziestu czterech godzin wszyscy się odezwali. Od tej pory Eve wiedziała, że już nie musi martwić się o pieniądze. Obsypywali ją prezentami: kosztowną biżuterią, obrazami i - znacznie częściej - gotówką.

- Zamówiłam właśnie nowy kredens - mówiła na przykład - a jeszcze nie otrzymałam mojego czeku gotówkowego. Czy nie miałbyś nic przeciwko, kochanie?

Nigdy nie mieli.

Kiedy Eve pokazywała się z mężczyznami w miejscach publicznych, zawsze dbała, aby byli to wyłącznie kawalerowie. Z żonatymi spotykała się w swoim mieszkaniu po południu. Zważała na to, by jej nazwisko nie pojawiało się w kronikach towarzyskich, nie dlatego żeby obawiała się utraty cotygodniowej pensji, ale dlatego że była przekonana, iż pewnego dnia jej babka przyczołga się do niej. Kate Blackwell potrzebowała następcy, który by przejął firmę Kruger-Brent. „Alexandra - rozkoszowała się w myślach Eve - nie jest stworzona do niczego innego, jak tylko do roli głupiej kury domowej”.

Pewnego popołudnia, przeglądając nowe wydanie *Town and Country*, Eve natrafiła na zdjęcie siostry tańczącej z atrakcyjnym mężczyzną. Nie przyglądała się Alexandrze, lecz właśnie mężczyźnie, Uzmysławiając sobie w całej pełni prawdę, że jeśli Alexandra wyjdzie za mąż i urodzi syna, dla niej będzie to oznaczało katastrofę, przekreślenie planów.

Długo patrzyła na zdjęcie...

Przez cały rok, jaki minął, odkąd wyprowadziła się z domu, Alexandra regularnie do niej dzwoniła, chcąc się umówić na lunch lub kolację, ale ona zawsze znajdowała jakąś wymówkę. Teraz uznała, że nadeszła pora, by porozmawiać z siostrą. Zaprosiła Alexandrę do swego mieszkania. Alexandra nigdy przedtem u niej nie była i Eve zmusiła się, żeby wyrazić głęboki żal z tego powodu.

Alexandra zaś powiedziała:

- Masz urocze mieszkanie, Eve. Bardzo przytulne, prawda?

Eve uśmiechnęła się.

- Wystarczy mi. Chciałam mieć coś intymnego. - Oddała w zastaw wystarczająco dużo biżuterii i obrazów, by móc przenieść się do pięknego mieszkania, ale Kate mogłaby się o tym dowiedzieć i zacząć sprawdzać, skąd wzięła pieniądze. Tymczasem musi być bardzo ostrożna. - Jak się czuje babcia?

- Dobrze. - Alexandra zawahała się. - Eve, nie wiem, co zaszło między wami, ale jeśli

mogłabym w czymś pomóc, to...

Eve westchnęła.

- Nic ci nie mówiła?

- Nie. Nie chce o tym mówić.

- Nie żywię do niej urazy. Biedactwo musi czuć się winna jak diabli. Poznałam wspaniałego człowieka, młodego lekarza. Zamierzaliśmy się pobrać. Poszliśmy do łóżka i babcia w jakiś sposób dowiedziała się o tym. Powiedziała mi, abym wyniosła się z domu, i że już nigdy nie chce mnie widzieć na oczy. Obawiam się, Alex, że nasza babcia jest bardzo staroświecka.

Eve zauważyła, że Alexandrę ogarnęła konsternacja.

- To straszne! Musicie razem pójść do babci. Jestem pewna, że...

- On zginął w katastrofie lotniczej.

- Och, Eve! Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

- Krępowalam się mówić nawet tobie. - Uścisnęła dłoń siostry. - A wiesz przecież, że tobie mówię wszystko.

- Pozwól, że porozmawiam z babcią. Wyjaśnię...

- Nie. Mam w sobie zbyt wiele dumy. Obiecuj mi, że nigdy nie będziesz z nią na ten temat rozmawiać. Nigdy!

- Ale jestem pewna, że ona...

- Obiecuj!

Alexandra westchnęła.

- Dobrze. Obiecuję.

- Wierz mi, tutaj jest bardzo dobrze. Mogę przychodzić i wychodzić, kiedy tylko mi się podoba. To jest wspaniałe!

Alexandra spojrzała na siostrę i pomyślała, jak bardzo stęskniła się za nią. Eve objęła ją ramieniem i zaczęła pokpiwać.

- No, ale starczy już o mnie. Powiedz lepiej, co u ciebie słychać. Czy spotkałaś już swego księcia z bajki? Założę się, że tak.

- Nie.

Eve popatrzyła uważnie na siostrę. Zobaczyła swoje lustrzane odbicie, które za wszelką cenę pragnęła zniszczyć.

- Jeszcze spotkasz, kochanie.

- Nie spieszy mi się. Postanowiłam, że czas już, abym zaczęła zarabiać na siebie. Rozmawiałam z babcią na ten temat. W przyszłym tygodniu mam się spotkać z szefem

pewnej agencji reklamowej w sprawie pracy.

Obiad zjadły w małym pobliskim bistro. Eve upierała się, że to ona zapłaci. Nie chciała niczego od siostry.

Kiedy się żegnały, Alexandra powiedziała:

- Eve, jeśli potrzebujesz pieniędzy...

- Nie bądź niemądra, kochanie. Mam ich więcej, niż potrzeba.

- Jednakże - nalegała Alexandra - jeśli masz problemy, dam ci wszystko, co zechcesz.

Eve spojrzała siostrze w oczy i odparła: - Na to właśnie liczę. - Uśmiechnęła się. - Ale tak naprawdę niczego nie potrzebuję, Alex.

Było to zresztą zgodne z prawdą. Nie potrzebowała okrucichów. Zamierzała dostać cały tort. Zastanawiała się tylko, jak to zrobić.

W Nassau odbywało się weekendowe przyjęcie.

- Musisz koniecznie przyjechać, Eve - zapraszała ją przez telefon Nita Ludwig, dziewczyna, którą Eve знаła ze szkoły w Szwajcarii. - Bez ciebie to nie to samo.

Eve pomyślała, że spotka nowych mężczyzn. Obecni już ją nużyli.

- Skoro zapowiada się niezły ubaw - odparła - możesz na mnie liczyć.

Jeszcze tego popołudnia oddała w zastaw szmaragdową bransoletkę, którą przed tygodniem dostała od zakochanego w niej do szaleństwa dyrektora pewnego dużego towarzystwa ubezpieczeniowego - mężczyzny żonatego i ojca trojga dzieci.

W „Lord & Tylor” kupiła sobie nowe stroje letnie, a w pobliskim biurze podróży - bilet do Nassau. Nazajutrz rano siedziała już w samolocie.

Posiadłość Ludwigów była ogromną rezydencją położoną nad brzegiem morza. W głównym domu mieściło się trzydzieści pokoi, a najmniejszy z nich był większy niż całe mieszkanie Eve. Pokojówka zaprowadziła Eve do pokoju i rozpakowała jej rzeczy. Eve odświeżyła się, a potem zeszła na dół, by przywitać się z gośćmi.

W salonie zebrało się szesnaście osób, a wszystkie miały jedną cechę wspólną - były bogate. Nita Ludwig wierzyła mocno w filozofię „ludzi jednego pokroju”. Ci ludzie mieli te same poglądy na te same sprawy, czuli się ze sobą dobrze, ponieważ mówili tym samym językiem. Ukończyli najlepsze szkoły z internatem i uczelnie, mieli luksusowe rezydencje, jachty, prywatne odrzutowce i problemy podatkowe. Jakiś felietonista użył kiedyś wobec nich określenia „jetsetowcy” - towarzystwo z odrzutowców - z którego publicznie kpili, ale które prywatnie im się podobało. Należeli do grona uprzywilejowanych, nielicznych wybrańców,

oddzielonych od innych przez dyskryminacyjnego Boga. Cały świat mógł sądzić, że pieniądze to nie wszystko. Oni i tak wiedzieli swoje. Dzięki pieniądzom zdobyli znakomity wygląd, miłość, luksus i miejsce w niebie; to wszystko, czego Eve została pozbawiona przez kaprys ograniczonej starszej pani. „Ale nie na długo” - pomyślała z przekonaniem.

Weszła do salonu i rozmowy natychmiast ucichły; w pomieszczeniu pełnym pięknych kobiet ona była najpiękniejsza. Nita oprowadziła Eve po salonie, by przywitała się ze znajomymi i żeby przedstawić ją tym, których jeszcze nie знаła. Eve była czarująca i miła; fachowym wzrokiem oceniała każdego mężczyznę, umiejętnie wybierając przyszłe ofiary. Starsi panowie przeważnie byli żonaci, ale to tylko ułatwiało sprawę.

W pewnej chwili podszedł do Eve jakiś łysy mężczyzna ubrany w kraciaste spodnie i hawajską sportową koszulę.

- Założę się, skarbie - powiedział - że jesteś już znużona ciągłymi komplementami.

Eve obdarowała go ciepłym uśmiechem.

- Nigdy nie jestem tym znużona, panie...?

- Peterson. Ale mów mi Dan. Powinnaś była zostać gwiazdą Hollywoodu.

- Nie sądzę, abym miała talent.

- Założę się, że masz za to mnóstwo innych talentów.

Eve uśmiechnęła się enigmatycznie.

- Chciałbyś się o tym przekonać, prawda, Dan?

- Jesteś tu sama? - Przelknął ślinę.

- Tak.

- Mój jacht stoi zakotwiczony w zatoce. Może wybralibyśmy się jutro na małą przejażdżkę?

- To brzmi bardzo obiecująco.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiem, dlaczego nie spotkałem cię już wcześniej? Od lat znam twoją babcię Kate.

Uśmiech pozostał na ustach Eve, ale kosztowało ją to wiele wysiłku.

- Babcia jest cudowna - powiedziała. - Chodźmy już lepiej do innych.

- Jasne, skarbie - mrugnął do niej porozumiewawczo. - Pamiętaj. Jutro.

Od tej chwili Eve stała się dla niego nieosiągalna. Unikała go przy lunchu, a potem pożyczyla jeden z samochodów przeznaczonych dla gości i skierowała się w stronę miasta. Minęła Blackbeard Tower i urocze Ardastra Gardens, gdzie paradowały kolorowe flamingi. Zatrzymała się nad samym brzegiem, by popatrzeć na kutry, z których rybacy wyładowywali

swój połów: ogromne żółwie morskie, olbrzymie homary, tropikalne ryby, różnobarwne muszle, które później oczyszczali i sprzedawali turystom.

Zatoka była gładka, a morze błyszczało jak diamenty. Po drugiej stronie Eve mogła dojrzeć wygięty łuk plaży na Rajskiej Wyspie. Z przybrzeżnego doku wypływała właśnie motorówka i gdy zaczęła nabierać szybkości, na tle nieba ukazała się nagle postać mężczyzny jadącego na nartach wodnych. Był to podniecający widok. Mężczyzna mocno trzymał się metalowego drążka, a jego smukłe, muskularne ciało wspaniale wyglądało wśród rozbryzgujących się fal. Eve patrzyła zafascynowana, jak motorówka zbliża się z warkotem do przystani i jak postać, która wyłoniła się z nieba, staje się coraz wyrazistsza. Motorówka zrobiła nagły zwrot i przez krótką chwilę mignęła w oddali piękna twarz mężczyzny.

W pięć godzin później Eve, wchodząc do salonu Nity Ludwig czuła, że on tam będzie, przywołany siłą jej woli. I nie myliła się. Z bliska wydawał się jeszcze przystojniejszy. Miał sześć stóp i trzy cale wzrostu, klasyczne rysy, ciemne oczy i sportową sylwetkę. Uśmiechając się pokazywał nieskazitelnie białe zęby.

- Eve, przedstawiam ci George'a Mellisa - powiedziała Nita. - George, to jest Eve Blackwell.

- Boże, ty chyba należysz do skarbów Luwru - stwierdził George Mellis.

Miał głęboki, nieco ochryply głos. Mówił z jakimś nieokreślonym akcentem.

- Chodź, kochanie - zarządziła Nita. - Przedstawię cię pozostałym gościom.

Machnął ręką.

- Nie trzeba. Właśnie poznałem wszystkich.

- Rozumiem. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zawołaj mnie. - Nita spojrzała na nich uważnie i odeszła.

- Czy nie byłeś dla niej nieco zbyt szorstki? - spytała Eve.

Wyszczrzył zęby.

- Nie odpowiadam za to, co mówię i robię. Jestem zakochany.

Eve się roześmiała.

- Domyślam się. Jesteś najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałam.

- To samo pomyślałem o tobie.

Eve obojętne było, czy ten mężczyzna ma, czy nie ma pieniędzy. Była nim zafascynowana. Nie tylko jego urodą. Czymś więcej. Wyczuwała w nim pewien magnetyzm, poczucie siły. Żaden mężczyzna nie działał na nią jeszcze w ten sposób.

- Kim jesteś? - spytała go.

- Nita już ci powiedziała.

- Kim jesteś? - powtórzyła.

- Ach, w sensie filozoficznym, tak? Kim naprawdę? Nie mam nic szczególnego do opowiedzenia. Jestem Grekiem. Moja rodzina hoduje oliwki i inne rzeczy.

To ten Mellis! Znak firmowy Mellisów można było spotkać w każdym narożnym sklepie spożywczym i w każdym supermarkecie w Ameryce.

- Jesteś żonaty? - spytała Eve.

- Zawsze jesteś taka bezpośrednia? - Uśmiechnął się.

- Nie.

- Nie jestem żonaty.

Ta odpowiedź sprawiła jej nieoczekiwaną przyjemność. Samo spoglądanie na tego mężczyznę napełniało Eve pragnieniem posiadania go i bycia posiadaną.

- Dlaczego nie byłeś na lunchu?

- Szczerze?

- Tak.

- Z powodów czysto osobistych.

Spojrzała na niego pytająco.

- Byłem bardzo zajęty pewną młodą damą - odparł po chwili - którą musiałem przekonywać, żeby nie popełniała samobójstwa.

Powiedział to jak rzecz oczywistą.

- Przypuszczam, że ci się udało.

- Na jakiś czas przynajmniej. Mam nadzieję, że ty nie jesteś typem samobójczyni.

- Nie. Mam nadzieję, że ty też nie jesteś.

George Mellis roześmiał się głośno.

- Kocham cię - powiedział. - Naprawdę cię kocham. - Ujął jej rękę. Jego dotyk sprawił, że Eve poczuła dreszcz rozkoszy.

Przez cały wieczór był przy niej. Całkowicie nią zaabsorbowany, nie zważał na innych. Miał długie i delikatne ręce, które nieustannie coś robiły dla niej: przynosiły drinka, przypalały papierosa, dotykały dyskretnie. Bliskość tego wspaniałego mężczyzny rozpałała ją. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się z nim sam na sam.

Zaraz po północy, kiedy goście zaczęli udawać się na spoczynek, George Mellis zapytał:

- Gdzie jest twoja sypialnia?

- Na końcu holu, w północnym skrzydle.

Skinął głową, patrząc na nią dziko błyszczącymi oczyma.

Eve rozebrała się i wzięła kąpiel, a potem włożyła lekki ciemny negliż, który przylegał do ciała. O pierwszej w nocy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Podbiegła, by je otworzyć i George Mellis wszedł do środka. Przez chwilę stał patrząc na nią oczyma pełnymi zachwyty.

- *Matia mou, Venus de Milo* wyglądałaby przy tobie jak wiedźma.

- Posiadam nad nią tę przewagę - powiedziała szeptem Eve - że mam dwie ręce.

Oplotła go ramionami i przycisnęła do siebie. Jego pierwszy delikatny pocałunek wywołał w niej niemal orgazm. A potem, gdy przywarł do niej mocno ustami, poczuła jeszcze większą rozkosz.

- Och, mój Boże - jęknęła.

Zaczął ściągać z siebie ubranie. Pomagała mu w tym. Po chwili stał przed nią nagi. Nigdy jeszcze nie widziała tak wspaniale zbudowanego mężczyzny. Był mocny i naprężony.

- Teraz - wyszeptła. - Kochaj się ze mną. - Położyła się na łóżku, czując gwałtowne, niepoahamowane pożądanie.

- Odwróć się - powiedział nagle rozkazującym tonem. - Daj mi tyłek.

Podniosła wzrok na niego.

- Ja... nie...

Uderzył ją w twarz. Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Odwróć się.

- Nie.

Znów ją uderzył, mocniej, i pokój zawirował jej przed oczyma.

- Proszę, nie.

Jeszcze raz ją uderzył, brutalnie. Poczula, jak silne ręce gwałtownie ją obracają.

- Na miłość boską - Eve z trudem łapała oddech. - Przestań! Bo zacznę krzyczeć!

Z całej siły uderzył ją teraz w kark. Zaczęła tracić przytomność. Jak przez mgłę czuła, że chwyta ją za uda, rozciąga pośladki i przygniata swoim ciężarem. A potem poczuła nagły, rozdzierający ból, gdy zaczął w nią wchodzić. Otworzyła usta, by krzyknąć, ale powstrzymała się, myśląc ze zgrozą, jaka mogłaby być jego reakcja.

- Och, proszę - powiedziała błagalnym tonem. - To boli...

Próbowała się uwolnić, ale on mocno trzymał ją za uda, zanurzając się w jej ciało coraz głębiej i głębiej, rozrywając swoim ogromnym penisem. Ból stawał się nie do zniesienia.



- Och, Boże, nie! - szeptała. - Przestań! Proszę cię, przestań!

Nie zwracał na to uwagi; wciąż wsuwał się w nią coraz szybciej i głębiej, a przeraźliwy jęk, który wydobył się z głębi niego i który zdawało się, że wybuchł jej w uszach, był ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała.

Kiedy odzyskała przytomność, George Mellis, całkiem już ubrany, siedział na krześle paląc papierosa. Ujrawszy, że otworzyła oczy, wstał i podszedł do łóżka, po czym pogłaskał ją po twarzy. Eve skuliła się.

- Jak się czujesz, kochanie? - spytał.

Eve próbowała usiąść, ale ból był zbyt przejmujący. Czuła się tak, jakby została rozerwana na kawałki.

- Ty cholerny bydlaku - powiedziała urywanym szeptem.

Roześmiał się.

- I tak byłem dla ciebie delikatny.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Czasem potrafię być bardzo gwałtowny. - Znowu pogłaskał ją. - Ale ponieważ ciebie kocham, byłem miły. Przyzwyczaisz się. *Hree-se'e-moo*. Obiecuję ci.

Gdyby w tej chwili miała jakąś broń pod ręką, zabiłaby go natychmiast.

- Jesteś obłąkany.

Zauważyła dziwny błysk w jego oczach. Zauważyła też, że zacisnął palce, i w tej samej chwili zdrętwiała z przerażenia. On naprawdę jest obłąkany.

- Nie to miałam na myśli - dodała pospiesznie. - Chodziło mi o to, że... nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego. Chciałabym teraz zasnąć. Proszę, idź już. Proszę.

George Mellis popatrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem odprężył się. Podszedł do toaletki, na której położyła swoją biżuterię: platynową bransoletkę i drogocenny naszyjnik diamentowy. Wziął go do ręki i oceniwszy wartość wsunął do kieszeni.

- Zachowam to na pamiątkę.

Bała się otworzyć usta, by zaprotestować.

- Dobranoc, kochanie - powiedział. Podszedł znów do niej, pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

Poczekala, aż wyjdzie, nim zwlokła się z łóżka. Czuła straszliwy ból w każdej części ciała. Resztką sił dobiegła do drzwi i zamknęła je. Nie była pewna, czy zdoła dojść do łazienki, więc padła z powrotem na łóżko, czekając, aż ból zelżeje. Nie mogła uwierzyć, że kogoś może ogarnąć taka pasja. Zaspokoił swój popęd w sposób przerażający, brutalny, jak sodomita. Zastanawiała się, co zrobił tej dziewczynie, która chciała popełnić samobójstwo.

Kiedy Eve w końcu dowlokła się do łazienki i spojrzała w lustro, ogarnęło ją przerażenie. Twarz miała spuchniętą, z wyraźnymi śladami pobicia, na jedno oko nic nie widziała. Napuściła ciepłej wody do wanny i zanurzyła się w niej jak ranne zwierzę. Kąpiel podziałała kojąco i uśmierzyła nieco ból. Leżała w niej, dopóki woda się nie ochłodziła. Ból trochę zelżał, ale nadal był przejmujący. Przez całą noc nie mogła zasnąć, bojąc się, że on wróci.

Gdy Eve wstała o świcie, zobaczyła, że pościel jest poplamiona krwią. Postanowiła, że nie puści tego George'owi płazem. Poszła do łazienki, ostrożnie stawiając każdy krok, aby znów napuścić ciepłej wody do wanny. Twarz miała jeszcze bardziej spuchniętą, a sińce wyraźniejsze. Odkręciła kurek z zimną wodą, zmoczyła ręcznik i przyłożyła go do policzka i oka. Potem, leżąc w wannie, myślała o George'u Mellisie. W jego zachowaniu było coś dziwnego, coś, co nie miało nic wspólnego z sadyzmem. I nagle zrozumiała. Naszyjnik. Dlaczego wziął naszyjnik?

W dwie godziny później Eve zeszła na dół, by dołączyć do gości przy śniadaniu. Nie była wcale głodna, ale chciała koniecznie porozmawiać z Nitą Ludwig.

- O Boże! - krzyknęła Nita. - Co się stało z twoją twarzą?

Eve uśmiechnęła się ponuro.

- Najgłupsza rzecz. Wstałam z łóżka w środku nocy, chcąc wyjść trochę na powietrze, ale nie przyszło mi do głowy, by zapalić światło i wpadłam na jedno z tych twoich ozdobnych drzwi.

- Może powinien obejrzeć cię lekarz?

- To nic takiego - zapewniła Eve. - Drobne stłuczenie. - Rozejrzała się dokoła. - Gdzie jest George Mellis?

- Poszedł pograć w tenisa. Jest jednym z lepszych graczy. Powiedział, żeby ci powtórzyć, że zobaczy się z tobą na lunchu. Myślę, że wpadłaś mu w oko, kochanie.

- Powiedz mi coś o nim - rzekła zdawkowo Eve. - Z jakiej rodziny pochodzi?

- George? Pochodzi ze starej, bogatej rodziny greckiej. Jest najstarszym synem i jest nieprzyzwoicie bogaty. Pracuje w nowojorskiej firmie maklerskiej Hanson and Hanson.

- Nie działa w tej samej branży co rodzina?

- Nie. Musi chyba nie cierpieć oliwek. W każdym razie, z fortuną Mellisów, mógłby wcale nie pracować. Przypuszczam, że robi to tylko, aby wypełnić sobie dni. - Uśmiechnęła się szeroko. - Noce ma wystarczająco zajęte.

- Naprawdę?

- Kochanie, George Mellis jest najbardziej pożądanym kandydatem na męża, jakiego można sobie wymarzyć. Nawet najporządniejsze panienki nie mogą się doczekać, żeby ściągnąć przed nim swe majteczki. Każda zrobiłaby wszystko, by tylko zostać panią Mellis. Szczerze ci powiem, że gdyby mój mąż nie był tak cholernie zazdrosny, sama bym poszła do George'a. Czy nie jest on łakomym kąskiem?

- Istotnie - przyznała Eve. - Łakomym.

George Mellis pojawił się na tarasie, gdy Eve siedziała sama. Mimo woli doznała uczucia lęku. Podszedł do niej i powiedział:

- Dzień dobry, Eve. Nic ci nie jest? - Twarz jego wyrażała ogromne zatroskanie. Dotknął delikatnie jej spuchniętego policzka. - Jesteś taka piękna, kochanie. - Podsunął sobie krzesło, usiadł okrakiem naprzeciw niej i ruchem ręki wskazał na lśniące w słońcu morze. - Czy widziałaś kiedyś coś tak uroczego?

Miała wrażenie, jakby wczorajszej nocy wcale nie było. Słuchała George'a Mellisa i znów czuła niezwykle magnetyzm tego mężczyzny. Niewiarygodne, że nawet po tym koszmarze, jaki przeszła, nadal mogła to odczuwać. „Wygląda jak grecki bóg. Powinien stać w muzeum. Powinien być w zakładzie dla obłąkanych.”

- Muszę wracać do Nowego Jorku - mówił George Mellis. - Pod jaki numer mam zadzwonić?

- Niedawno się przeprowadziłam - odparła pospiesznie Eve. - Nie mam jeszcze telefonu. Ja do ciebie zadzwonię.

- Dobrze, kochanie. - Wyszczrzył zęby. - Było ci dobrze zeszłej nocy, prawda?

Eve nie wierzyła własnym uszom.

- Nauczę cię jeszcze wielu rzeczy, Eve - dodał szeptem.

„I ja ciebie czegoś nauczę, panie Mellis” - przyrzekła sobie Eve.

Zaraz po powrocie do domu Eve zatelefonowała do Dorothy Hollister. W Nowym Jorku, gdzie część środków przekazu, żadna sensacji, zajmowała się wyłącznie „krzątanią” ludzi z wyższych sfer, Dorothy stanowiła niewyczerpane źródło informacji. Była kiedyś żoną pewnego światowca, ale kiedy porzucił ją dla swej dwudziestoletniej sekretarki i rozwiódł się, musiała sobie znaleźć jakieś zajęcie. Wybrała pracę, która najbardziej odpowiadała jej upodobaniom: zaczęła pisywać kroniki towarzyskie. Ponieważ знаła każdego w środowisku, o którym pisała, i ponieważ wierzono, że można jej zaufać, niewielu nie wyjawiało jej swoich

sekretów.

Jeśli ktoś mógł cokolwiek powiedzieć Eve o George'u Mellisie, to mogłaby być to tylko Dorothy Hollister. Eve zaprosiła ją na lunch do „La Pyramide”. Hollister była przysadzistą kobietą o nalanej twarzy, farbowanych na rudo włosach, donośnym, ochrypłym głose i zaraźliwym śmiechu. Była obwieszona biżuterią, sztuczną zresztą.

Gdy złożyły już zamówienie, Eve powiedziała jakby mimochodem:

- W zeszłym tygodniu przebywałam na Wyspach Bahama. Było uroczo.

- Wiem o tym - rzekła Dorothy Hollister. - Mam listę gości Nity Ludwig. Jak się udała zabawa?

Eve wzruszyła ramionami.

- Spotkałam wielu starych przyjaciół. Poznałam też interesującego mężczyznę, Greka o nazwisku... - Przerwała, unosząc brwi w zamyśleniu. - George... Chyba Miller.

Dorothy Hollister wybuchnęła śmiechem, który rozległ się w całej sali.

- Mellis, kochanie. George Mellis.

- O, właśnie. Mellis. Znasz go?

- Widziałam go. Myślałam, że osłupię. Chryste Panie! On jest fantastyczny.

- Kim on właściwie jest, Dorothy?

Dorothy Hollister rozejrzała się wokoło, a potem pochyliła się poufale w stronę Eve.

- Powiem ci coś, o czym nikt nie wie, i chciałabym, abyś zachowała to tylko dla siebie, dobrze? George jest czarną owcą w swojej rodzinie. Cała jego rodzina zajmuje się hurtowym handlem żywnością i jest tak bardzo bogata, że nie da się tego wyrazić słowami, moja droga. George miał przejąć interes rodzinny, ale bez przerwy wpadał w tarapaty z powodu panienek, chłopców i rozpustników. Z tego co wiem, ojciec i bracia stracili w końcu cierpliwość i wysłali go z kraju.

Eve chłonęła każde słowo.

- Odcięli biednego chłopca od drachm, tak że musiał pójść do pracy, żeby za coś żyć.

„A więc to by wyjaśniało sprawę naszyjnika”.

- Oczywiście - ciągnęła Dorothy Hollister. - George nie musi się przejmować. Niebawem ożeni się bogato. - Spojrzała badawczo na Eve. - Czy interesuje cię to wszystko, skarbie?

- Nie za bardzo.

Eve była niezmiernie zainteresowana. George Mellis mógł być kluczem do rozwiązania jej problemów. Kluczem do fortuny.

Nazajutrz wczesnym rankiem zadzwoniła do firmy maklerskiej, w której pracował. Natychmiast rozpoznał jej głos.

- Myślałem, że oszaleję, czekając na twój telefon, Eve. Zjemy dziś razem kolację i...

- Nie. Zjemy jutro lunch.

Zamilkł na chwilę najwyraźniej zdziwiony.

- Zgoda. Co prawda jestem na jutro umówiony na lunch z pewnym klientem, ale przełożę spotkanie.

Eve nie wierzyła w tego klienta.

- Przyjdź do mnie - powiedziała i podała mu adres. - Spotkajmy się o dwunastej trzydzieści.

- Zgoda.

Wyczuła w jego głosie nutę zadowolenia.

George Mellis zasłużył na niespodziankę.

Spóźnił się na to spotkanie o całe trzydzieści minut i Eve zrozumiała, że tak jest z nim zawsze. Nie była to rozmyślna niegrzeczność, lecz pewna nonszalancja, przeświadczenie, że ludzie będą zawsze na niego czekać, że może mieć wszelkie przyjemności, jakich tylko zapragnie - wystarczy, iż sięgnie po nie ręką. Wiedział, że z takim wyglądem i czarem cały świat należy do niego. Nie miał tylko jednej rzeczy: pieniędzy. I to była jego słaba strona.

George rozejrzył się po niewielkim mieszkaniu, ze znanstwem szacując jego zawartość.

- Bardzo przyjemnie tutaj. - Podszedł do Eve z wyciągniętymi ramionami. - Stale o tobie myślałem.

- Poczekaj. Muszę ci coś powiedzieć, George. - Uwolniła się z jego objęć.

Spojrzał na nią uważnie swymi ciemnymi oczami.

- Później porozmawiamy.

- Porozmawiamy teraz. - Eve wypowiedziała te słowa powoli i wyraźnie. - Jeśli jeszcze raz dotkniesz mnie w ten sposób, zabiję cię.

Spojrzał na nią, wyginając usta w niewyraźnym uśmiechu.

- Co to znowu za dowcipy?

- Żadne dowcipy. Tak właśnie postanowiłam. Mam dla ciebie pewną propozycję handlową.

Wyraz zdziwienia odmalował się na jego twarzy.

- Zaprosiłaś mnie tutaj, by omawiać jakieś interesy?

- Tak. Nie wiem, jak nabierasz podstarzałe damulki na kupno akcji i obligacji, ale jestem pewna, że to cię nie zadowala.

- Zwariowałaś? Moja rodzina... - Twarz jego wyrażała teraz wściekłość.

- Twoja rodzina jest bogata, ty nie. Moja rodzina jest bogata, ja nie. Płyniemy na tej samej dziurawej łodzi, kochanie. Znam jednak sposób, aby tę łódź zamienić na jacht. - Zauważyła, że ciekawość przeważa w nim w końcu nad wściekłością.

- Powiedz lepiej, o co ci chodzi.

- To proste. Zostałam pozbawiona prawa do bardzo wielkiej fortuny. Wydziedziczona. Moja siostra Alexandra - nie.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Gdybyś ożenił się z Alexandrą, ta fortuna byłaby twoja, nasza.

- Przykro mi. Nigdy nie mogłem znieść myśli o związaniu się z kimś na stałe.

- Tak się składa - zapewniła go Eve - że nie stanowi to problemu. Moja siostra zawsze miała skłonność do ulegania wypadkom.

## Rozdział 27

Na Madison Avenue agencja reklamowa Berkley and Mathews świeciła najjaśniejszym blaskiem. Jej roczne dochody przewyższały dochody najgroźniejszych konkurentów razem wziętych, przede wszystkim dlatego, że głównym klientem agencji była firma Kruger-Brent i mnóstwo jej towarzystw akcyjnych na całym świecie. Na rzecz Kruger-Brent pracowało ponad siedemdziesięciu pięciu głównych księgowych, redaktorów, dyrektorów, fotografów, rysowników, artystów i specjalistów do spraw mass mediów. Nic więc dziwnego, że gdy Kate Blackwell zatelefonowała do Aarona Berkleya z prośbą o zatrudnienie Alexandry w agencji, otrzymała natychmiastową odpowiedź. Gdyby Kate Blackwell życzyła sobie, aby Alexandra została prezydentem agencji, prawdopodobnie nie czyniono by również żadnych przeszkód.

- Sądzę, że mojej wnuczce odpowiadałaby praca redaktora informacji - poinformowała Kate Aarona Berkleya.

Berkley zapewnił Kate, że właśnie jest wakat na tym stanowisku i Alexandra może rozpocząć pracę, kiedy tylko zechce.

Nazajutrz, w poniedziałek, Alexandra stawiała się w biurze.

Zaledwie kilka agencji reklamowych „z Madison Avenue” mieści się rzeczywiście na Madison Avenue. Agencja Berkley and Mathews należała do tych wyjątków. Agencja posiadała ogromny, nowoczesny budynek na rogu Madison i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Zajmowała osiem pięter, a pozostałe wydierżawiała. Aaron Berkley i jego wspólnik, Norman Mathews - by zaoszczędzić na pensji - zdecydowali, że Alexandra Blackwell przyjdzie na miejsce młodej redaktorki zatrudnionej sześć miesięcy temu. Wieść o tym rozeszła się błyskawicznie. Gdy pracownicy dowiedzieli się, że młodą kobietę, którą zwolniono, zastąpi wnuczka najpoważniejszej klientki, zapanowało ogólne oburzenie. Nie widząc nawet Alexandry na oczy uznano, że jest zepsutą dziwką, którą nasyła się najprawdopodobniej po to, by ich szpiegowała.

Gdy Alexandra stawiała się do pracy, zaprowadzono ją do ogromnego nowoczesnego gabinetu Aarona Berkleya, w którym czekali już na nią zarówno sam Berkley, jak i Mathews. Dwaj wspólnicy stanowili wzajemne przeciwieństwo. Berkley był wysoki i szczupły, z grzywą siwych włosów, a Mathews - niski, baryłkowaty i kompletnie łysy. Mieli jednak dwie cechy wspólne: obaj byli genialni w tym, co robili - podczas minionej dekady stworzyli kilka

z najsławniejszych sloganów reklamowych, i obaj byli absolutnymi tyranami. Traktowali swoich pracowników jak rzeczy i jedynym powodem, dla którego pracownicy to znosili, był fakt, że kto pracował dla Berkleya i Mathewsa, ten mógł liczyć na zatrudnienie w każdej agencji na całym świecie. Była to dobra szkoła.

W powitaniu uczestniczył również Lucas Pinkerton, wiceprezes firmy, mężczyzna o przyjaznym uśmiechu, służalczych manierach i zimnych oczach. Pinkerton był młodszy od swoich doświadczonych wspólników, ale ów niedostatek lat wyrównywał nadmierną surowością wobec podwładnych.

Aaron Berkley posadził Alexandrę w wygodnym fotelu.

- Czego się pani napije, panno Blackwell? Kawy? Herbaty?

- Nie, dziękuję.

- A więc zamierza pani pracować u nas w charakterze redaktora informacji?

- Jestem bardzo wdzięczna, że daje mi pan tę szansę, panie Berkley. Wiem, że muszę się sporo nauczyć, ale od samego początku zamierzam ostro wziąć się do pracy.

- Nie ma potrzeby - powiedział szybko Norman Mathews i zaraz potem ugryzł się w język. - Doświadczenie zdobywa się stopniowo. Proszę się nie spieszyć.

- Jestem pewny, że będzie się pani czuła u nas dobrze - dodał Aaron Berkley. - Będzie pani pracować z najlepszymi fachowcami.

„Może i są najlepsi - pomyślała w godzinę później Alexandra - ale z pewnością nie najsympatyczniejsi”. Lucas Pinkerton oprowadził ją po różnych pomieszczeniach i wszędzie doznawała chłodnego przyjęcia. Pracownicy kiwali lekko głowami i szybko znajdowali mnóstwo pilnych spraw do załatwienia. Alexandra wyczuwała ich niechęć, ale nie miała pojęcia, co było tego powodem. Pinkerton zaprowadził ją też do sali konferencyjnej wypełnionej dymem. Na ścianie wisiała gablota z nagrodami „Clio and Art Directors”. Wokół stołu siedzieli kobieta i dwaj mężczyźni. Wszyscy palili jednego papierosa za drugim. Kobieta była niska i przysadzista, miała rudawe włosy. Mężczyźni mieli po trzydzieści parę lat, byli bladzi i zwracali uwagę swoim niepokojącym wyglądem.

- Oto zespół, z którym będzie pani pracować - powiedział Pinkerton. - Alice Koppel, Vince Barnes i Marty Bergheimer. A to panna Blackwell.

Wlepili w nią oczy.

- No to zostawiam was samych, abyście się nawzajem poznali - rzekł Pinkerton, po czym zwrócił się do Vince'a Barnes'a: - Oczekuję, że do jutra rana otrzymam na biurko materiał w sprawie perfum. Proszę dopilnować, aby pannie Blackwell niczego nie brakowało.



I wyszedł.

- Czego pani potrzeba? - spytał Vince Barnes.

Pytanie zaskoczyło Alexandrę.

- Ja... Sądzę, że powinnam tylko nauczyć się reklamy.

- Przyszła pani w odpowiednie miejsce - powiedziała słodko Alice Koppel. -

Umieramy z pragnienia nauczenia kogoś reklamy.

- Daj spokój - odezwał się Marty Bergheimer.

Alexandra była zdziwiona.

- Czy zrobiłam coś, co mogłoby kogoś z was obrazić?

- Nie, panno Blackwell - odparł Marty Bergheimer. - Ostatnio mamy tylko nóż na gardle. Pracujemy nad kampanią perfumeryjną i jak dotąd pan Berkley i pan Mathews nie są wniebowzięci naszymi propozycjami.

- Będę starała się więc nie przeszkadzać - przyrzekła Alexandra.

- Byłoby to cudowne - powiedziała Alice Koppel.

Reszta dnia upłynęła podobnie. Alexandrę nie spotkał ani jeden przyjazny uśmiech czy gest. Jeden z ich współpracowników został zwolniony w trybie natychmiastowym z powodu tej bogatej dziwki i postanowili, że nie ujdzie jej to na sucho.

Pod koniec pierwszego dnia Aaron Berkley i Norman Mathews weszli do niewielkiego gabinetu, który przydzielono Alexandrze, by sprawdzić, czy niczego jej nie brakuje. Ten gest nie pozostał nie zauważony przez współpracowników Alexandry. Wszyscy pracownicy agencji byli ze sobą na ty, ale ta reguła nie dotyczyła Alexandry. Dla każdego pozostawała panna Blackwell.

- Alexandra - powtarzała z uporem, gdy zwracano się do niej per panno Blackwell.

- Dobrze - odpowiadano i następnym razem znów mówiono do niej „panno Blackwell”.

Alexandra pragnęła uczyć się i współpracować z innymi. Chodziła na zebrania, na których dochodziło do prawdziwej burzy mózgów, a redaktorzy tryskali pomysłami jak nawiedzeni. Przysłuchiwała się Lucasowi Pinkertonowi, który darł na strzepy przyniesione mu do akceptacji projekty. Był złośliwym, małodusznym człowieczkiem i Alexandrze żal było redaktorów, którzy mu podlegali. Alexandra krążyła po wszystkich piętrach, nie chcąc ominąć niczego ważnego, chodziła na spotkania z szefami działów, rozmowy z klientami, sesje fotograficzne, narady poświęcone omawianiu strategii. Siedziała cicho; słuchała i uczyła

się. Pod koniec pierwszego tygodnia miała wrażenie, jakby już od miesiąca pracowała w agencji. Wracała do domu wyczerpana, nie z powodu nadmiaru obowiązków, ale napięcia, jakie zdawała się wytwarzać swoją obecnością.

Gdy Kate zapytała ją, jak idzie praca, odpowiedziała:

- Świetnie, babciu. Jest bardzo interesująca.

- Jestem pewna, że sobie poradzisz, Alex. Jeśli będziesz miała jakieś problemy, wystarczy, że zwrócisz się do pana Berkleya lub Mathewsa.

Była to ostatnia rzecz, jaką Alexandra zamierzała zrobić.

W następny poniedziałek Alexandra udała się do pracy z mocnym postanowieniem rozwiązania swoich problemów. Codziennie rano i po południu robiono przerwy na kawę i wówczas prowadzono swobodne rozmowy.

- Czy słyszeliście, co przytrafiło się National Media? Jakiś tamtejszy geniusz chciał zwrócić uwagę na osiągnięcia firmy w ostatnim roku i wydrukował w *New York Timesie* raport finansowy na czerwono.

- Pamiętacie tę reklamę linii lotniczych: „Twoja żona lata z tobą bezpłatnie?” To był prawdziwy przebój, dopóki linie nie wysłały żonom podziękowań i nie otrzymały w odpowiedzi setek listów z żądaniem wyjaśnienia, z kim latali ich mężowie. Oni...

Weszła Alexandra i rozmowa natychmiast się urwała.

- Czy przynieść pani kawy, panno Blackwell?

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

Cisza panowała, gdy Alexandra wrzucała do automatu dwudziestopięciocentówkę, i dopiero kiedy wyszła, rozmowa zaczęła się na nowo.

- Czy słyszeliście o Skalanym Mydełku? Ta anielsko wyglądająca modelka okazała się gwiazdą porno...

Po południu Alexandra zwróciła się do Alice Koppel:

- Jeśli nie umówiłaś się z nikim na lunch, pomyślałam, że mogłybyśmy...

- Przykro mi. Mam randkę.

Alexandra spojrzała na Vince'a Barnesę.

- Ja również.

Spojrzała na Marty'ego Bergheimera.

- Jestem zajęty.

Alexandra była zbyt zdenerwowana, by zjeść lunch. Dawali jej odczuć, że jest

pariasem. Zaczęła ogarniać ją wściekłość. Nie chciała dać jednak za wygraną. Miała zamiar znaleźć sposób, by ich pozyskać, by zrozumieli, że pomimo nazwiska Blackwell nie różni się wcale od nich. Na zebraniach przysłuchiwała się Aaronowi Berkleyowi, Normanowi Mathewsowi i Lucasowi Pinkertonowi, którzy nie pozostawiali suchej nitki na ludziach, chcących po prostu wykonywać swoją pracę najlepiej, jak tylko potrafią. Alexandra współczuła im, ale oni wcale nie chcieli jej współczucia. Ani jej samej.

Po trzech dniach Alexandra spróbowała ponownie. Powiedziała do Alice Koppel:

- Słyszałam o uroczej włoskiej restauracyjce w pobliżu...

- Nie lubię włoskiej kuchni.

Spojrzała na Vince'a Barnes'a.

- Jestem na diecie.

Odwróciła się do Marty'ego Bergheimera.

- Wybieram się do chińskiej.

Alexandra poczerwieniała. Nie chcą, żeby ich z nią widziano. „Do diabła więc z nimi! Do diabła z nimi wszystkimi!” Miała już tego dosyć. Robiła wszystko, by pozyskać przyjaciół, i za każdym razem ją odtrącano. Ta agencja to nieporozumienie. Znajdzie pracę gdzieś indziej; w firmie, z którą babcia nie ma nic wspólnego. Pod koniec tygodnia zwolni się. „Ale - pomyślała ponuro - przedtem zrobię jeszcze coś takiego, że wszyscy mnie popamiętacie”.

W czwartek o trzynastej wszyscy, z wyjątkiem telefonistki przy centralce, wyszli na lunch. Alexandra zauważyła już wcześniej, że w pomieszczeniach szefów znajdują się interkomy, połączone z różnymi działami. Jeśli któryś z szefów chciał porozmawiać z jednym z podwładnych, naciskał tylko odpowiedni przycisk z nazwiskiem pracownika. Alexandra wślizgnęła się niepostrzeżenie do gabinetów Aarona Berkleya, Normana Mathewsa i Lucasa Pinkertona i całą godzinę spędziła na przestawianiu tabliczek z nazwiskami. Tego popołudnia Lucas Pinkerton nacisnął przycisk, by połączyć się z redaktorem naczelnym i powiedział:

- Rusz swoją dupę i chodź tutaj. Natychmiast!

Przez chwilę panowała martwa cisza, a potem zagrzmiął głos Normana Mathewsa:

- Co ty powiedziałeś?

Pinkerton wytrzeszczył oczy na urządzenie, osłupiały z przerażenia.

- Pan Mathews? Czy to pan?

- Masz cholerną rację. A teraz rusz tę swoją pieprzoną dupę i chodź tu. Natychmiast!

W minutę później któryś z redaktorów nacisnął przycisk interkomu znajdującego się

na jego biurku i powiedział:

- Mam dla ciebie materiał, który czym prędzej musisz znieść na dół. W odpowiedzi usłyszał grzmiący głos Aarona Berkleya:

- Co masz takiego?!

Był to początek istnego pandemonium. Musiały upłynąć cztery godziny, nim zdołano opanować cały ten bałagan, którego sprawczynią była Alexandra. Były to najwspanialsze godziny, jakie pracownicy Berkleya i Mathewsa przeżyli w firmie. Za każdym razem, gdy dochodziło do nowego incydentu, wydawali okrzyk radości. Członkowie kierownictwa otrzymywali coraz to nowe dyspozycje: posyłano ich po papierosy lub kazano naprawić zepsuty klozet. Aaron Berkley, Norman Mathews i Lucas Pinkerton stawali na głowie, by dowiedzieć się nazwiska winowajcy, ale nikt nic nie wiedział.

Jedyną osobą, która widziała Alexandrę wchodzącą do różnych gabinetów, była Fran, kobieta pracująca przy centralce, ale ona nie cierpiała swoich szefów jeszcze bardziej niż Alexandry, więc odparła krótko:

- Nie widziałam żywej duszy.

Tej nocy, leżąc w łóżku z Vince'em Barnesem, Fran opowiedziała mu, jak doszło do tego wszystkiego. Vince Barnes aż usiadł z wrażenia.

- Zrobiła to ta Blackwell? A niech mnie szlag trafi!

Nazajutrz rano, gdy Alexandra weszła do swego biura, czekali już tam Vince Barnes, Alice Koppel i Marty Bergheimer. Przypatrywali się jej w milczeniu.

- Czy coś się stało? - spytała Alexandra.

- Nic takiego, Alex - odezwała się Alice Koppel. - Chłopcy i ja zastanawialiśmy się tylko, czy nie poszłabyś z nami na lunch. Znamy taki wspaniały, mały włoski lokalik w pobliżu...

## Rozdział 28

Już od najwcześniejszych lat życia Eve Blackwell była świadoma swoich zdolności manipulowania ludźmi. Kiedyś stanowiło to dla niej tylko grę, ale teraz ta gra stała się sprawą śmiertelnie poważną. Została potraktowana ohydnie, pozbawiona - przez podstępną siostrę i mściwą starą kobietę - ogromnej fortuny, do której miała pełne prawo. Eve wiedziała jednak, że jeszcze zapłacą jej za to, i myśl o tym sprawiała jej taką rozkosz, iż omal nie doznawała orgazmu. Ich życie znajdowało się teraz w jej rękach.

Eve opracowała swój plan rozważnie i szczegółowo, z zegarmistrzowską precyzją wyznaczając kolejność każdego posunięcia. Na początku George Mellis nie był zbyt chętnym konspiratorem.

- Chryste Panie! - argumentował. - To zbyt niebezpieczne. Nie chcę się pakować w coś takiego. Potrafię zdobyć tyle pieniędzy, ile mi potrzeba.

- W jaki sposób? - spytała lekceważąco Eve. - Sypiając z tymi starymi, tłustymi i wypudrowanymi kobietami? Czy tak właśnie zamierzasz spędzić resztę życia? A co się stanie, jeśli przybędziesz trochę na wadze, a na twarzy zaczną ci się pojawiać zmarszczki? Nie, George, już nigdy nie trafi ci się taka okazja. Jeśli będziesz mnie słuchał, to ty i ja staniemy się posiadaczami największej firmy na świecie. Rozumiesz? Największej.

- Skąd wiesz, że ten plan się uda?

- Ponieważ jestem największą żyjącą znawczynią mojej babki i siostry. Musi się udać. Uwierz mi.

Eve była pewna siebie, ale miała zastrzeżenia co do George'a Mellisa. Wiedziała, że ona swoją część planu wykona jak należy, ale nie była przekonana, czy George będzie zdolny zrobić swoje. Był niezrównoważony, a tu nie można było sobie pozwolić na błąd. Jeden fałszywy ruch i cały plan mógłby wziąć w łeb.

- Zdecyduj się - powiedziała do niego. - Wchodzisz czy nie?

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią uważnie. W końcu powiedział: - Wchodzę. - Przybliżył się, chwycił ją w ramiona. - Cały czas chcę w tym być.

Eve przeszył dreszcz podniecenia.

- Dobrze - wyszeptwała. - Ale zrobimy to tak, jak ja chcę.

Leżeli nadzy w łóżku. Był najwspanialszym zwierzakiem, jakiego w życiu widziała. I najniebezpieczniejszym, ale to tylko wzmagало jej podniecenie. Teraz już wiedziała, jak

należy nad nim panować. Zręcznie bawiła się jego ciałem, igrała z nim, drażniła, sprawiając, że jego penis naprężył się mocno.

- Wypieprz mnie, George - powiedziała wówczas.

- Odwróć się.

- Nie. Tak, jak ja chcę.

- Nie lubię w ten sposób.

- Wiem. Chciałbyś, abym była jednym z tych twoich chłopców o wąskiej pupci, prawda, skarbie? Ale nie jestem. Jestem kobietą. Wejdz we mnie.

Położył się na niej i wsunął swego napęczniałego penisa.

- W ten sposób nie będę zaspokojony, Eve.

Roześmiała się.

- Nic mnie to nie obchodzi, skarbie. Ja będę.

Zaczęła poruszać biodrami, ocierając się o jego ciało, czując go coraz głębiej i głębiej. Doznała orgazmu, zaraz potem drugiego i jeszcze jednego, i zauważyła wzrastającą w nim frustrację. Chciał sprawić jej ból, chciał, żeby krzyczała, ale nie ośmielił się.

- Jeszcze raz! - nakazała i znów wsuwał się w nią, aż w końcu wydała z siebie długi jęk rozkoszy. - Na razie starczy - uznała.

Cofnął się i położył przy niej. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej piersi.

- Teraz moja...

- Ubieraj się - odparła krótko.

Wstał z łóżka, drżąc z rozpaczy i wściekłości. Eve, leżąc, obserwowała, jak wkłada na siebie ubranie, a uśmiech błąkał się na jej ustach.

- Byłeś grzecznym chłopcem, George - powiedziała. - Zasłużyłeś na nagrodę. Zamierzam ofiarować ci Alexandrę.

W biurze wszystko się nagle odmieniło. Dzień, który miał być dla Alexandry ostatnim w firmie Berkley and Mathews, stał się dniem triumfu. Z czarnej owcy przeobraziła się w bohaterkę. Niebawem już cała Madison Avenue mówiła o jej figlu.

- Stałaś się żywą legendą - śmiał się Vince Barnes.

Teraz już uważali ją za swoją.

Alexandra lubiła swoją pracę, zwłaszcza twórcze sesje, które odbywały się codziennie rano. Wiedziała, że nie robi rzeczy, które chciałaby robić przez całe życie, ale tak naprawdę nie była pewna, czego chce. Miała przynajmniej tuzin propozycji małżeństwa, kusiła ją jedna lub dwie, ale czegoś jej brakowało. Po prostu nie spotkała jeszcze odpowiedniego mężczyzny.

W pewien piątkowy rano Eve zatelefonowała do siostry, by zaprosić ją na lunch.

- Otwarto właśnie nową francuską restaurację. Słyszałam, że mają tam wspaniałą kuchnię.

Alexandrę ogromnie ucieszył ten telefon. Martwiła się o Eve, dzwoniła do niej dwa lub trzy razy w tygodniu i albo Eve nie było w domu, albo była zbyt zajęta, by się z nią spotkać. Toteż teraz, mimo iż pracowała, bez wahania przyjęła tę propozycję.

Restauracja była wykwinna i droga, a przy barze siedziało mnóstwo gości, czekających na wolny stolik. Eve musiała wcześniej powołać się na nazwisko babci, by otrzymać rezerwację. Zirytowało to ją. „Poczekajcie tylko - pomyślała. - Pewnego dnia będziecie jeszcze mnie błagać, abym jadła w tej waszej szmalownej restauracyjce”.

Eve siedziała przy stoliku i obserwowała, jak maitre prowadzi do stolika Alexandrę. Miała dziwne wrażenie, jakby obserwowała samą siebie.

Na powitanie pocałowała siostrę w policzek.

- Wyglądasz wspaniale, Alex. Praca musi ci służyć. Zamówiły lunch i rozpoczęły rozmowę.

- Jak ci idzie w pracy? - spytała Eve.

Alexandra opowiedziała Eve wszystko, co się z nią ostatnio działo, a Eve podała Alexandrze starannie przygotowaną wcześniej wersję o sobie. W środku rozmowy Eve podniosła wzrok. Przy ich stoliku stał George Mellis. Patrzył na nie z zakłopotaniem.

„O, Boże - pomyślała Eve. - On nie wie, która z nas to ja!”

- George - powiedziała.

- Eve! - spojrzał na nią z wyraźną ulgą.

- Co za miła niespodzianka. - Skinęła głową w stronę Alexandry. - Chyba nie znasz jeszcze mojej siostry. Alex, pozwól, że przedstawię ci George'a Mellisa.

George ujął dłoń Alexandry i powiedział: - Jestem oczarowany.

Eve wspominała mu, że ma siostrę bliźniaczkę, ale nie wyobrażał sobie, że będzie identyczna.

Alexandra patrzyła na George'a zafascynowana.

- Może przysiadzisz się do nas? - zaproponowała Eve.

- Niestety, nie mogę. I tak już jestem spóźniony na umówione spotkanie. Może innym razem. - Spojrzał na Alexandrę. - Mam nadzieję, że już niedługo.

Obserwowały, jak odchodzi.

- Na Boga! - powiedziała Alexandra. - Kto to taki?

- Och, przyjaciel Nity Ludwig. Poznałam go u niej na przyjęciu.

- Powiedz mi, czy to ja jestem pomyłona, czy też on jest tak fantastyczny, jak mi się zdaje?

Eve roześmiała się.

- Nie jest to mój typ, ale kobiety uważają go za pociągającego.

- Nie wątpię! Czy jest żonaty?

- Nie. Ale nie dlatego, żeby go nie chciały, kochanie. George jest bardzo bogaty. Można powiedzieć, że ma wszystko: urodę, pieniądze, pozycję... - I Eve zrećźnie zmieniła temat.

Kiedy Eve poprosiła o rachunek, maitre oznajmił, że już został uregulowany przez pana Mellisa.

Alexandra nie mogła przestać myśleć o George'u Mellisie.

W poniedziałkowe popołudnie Eve zadzwoniła do siostry i powiedziała:

- Wygląda na to, że odniosłaś sukces, kochanie. Telefonował do mnie George Mellis prosząc, abym podała mu twój numer telefonu. Czy nie miałabyś nic przeciwko, gdybym to zrobiła?

Alexandra ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że się uśmiecha.

- Jeśli ty naprawdę nie jesteś zainteresowana...

- Mówiłam ci już, Alex. On nie jest w moim typie.

- W takim razie nie mam nic przeciwko temu, abyś dała mu numer mojego telefonu.

Rozmawiały jeszcze przez kilka minut. A potem Eve, odłożywszy słuchawkę, spojrzała na George'a, który leżał w łóżku obok niej.

- Dama powiedziała tak.

- Kiedy?

- Powiem ci.

Alexandra próbowała zapomnieć o tym, że George Mellis zamierza do niej zadzwonić, ale im bardziej próbowała wymazać go z pamięci, tym częściej o nim myślała.

Nigdy nie pociągali jej bardzo przystojni mężczyźni, ponieważ odkryła, że większość z nich myśli tylko o sobie. Ale George Mellis wydawał się inny. Miał w sobie coś zniewalającego. Wystarczyło, że dotknął tylko jej dłoni, aby poczuła rozkoszny dreszcz. „Ty chyba oszalałaś - mówiła do siebie. - Widziałaś tego mężczyznę raptem przez dwie minuty”.

Przez cały tydzień nie zadzwonił do niej. Alexandra przeżywała huśtawkę nastrojów,



od zniecierpliwienia przez rozpacz po wściekłość. „Do diabła z nim - pomyślała. - Pewnie znalazł sobie inną. I dobrze!”

Kiedy pod koniec następnego tygodnia zadzwonił telefon i Alexandra usłyszała w słuchawce ten głęboki, męski głos, złość minęła jej jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Mówi George Mellis. Poznaliśmy się przelotnie, gdy byłeś na lunchu z siostrą. Eve powiedziała, że nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym do ciebie przekreślił.

- Wspomniała mi, że możesz zadzwonić - odpowiedziała zdawkowo Alexandra. - A tak przy okazji, dziękuję za lunch.

- Zaslługujesz na ucztę. Zaslługujesz na pomnik.

Alexandra roześmiała się, znajdując przyjemność w jego swoistej ekstrawagancji.

- Zastanawiam się, czy przyjąłabyś zaproszenie na kolację?

- Dlaczego... Ja... Tak. Z przyjemnością.

- Wspaniale. Gdybyś powiedziała nie, musiałbym się zabić.

- Nie rób tego. Nie cierpię jadać sama.

- Ja również. Znam małą restauracyjkę na Mulberry Street: „Matoon”. Jest bardzo ponura, ale za to jedzenie jest tam...

- „Matoon”! Uwielbiam ją! - zawołała Alexandra. - To moja ulubiona restauracja.

- Znasz ją? - spytał z udanym zdziwieniem w głosie.

- Ależ tak.

George zerknął na Eve i wyszczerzył zęby. Z podziwem pomyślał o jej przebiegłości. Poinformowała go zwięźle o wszelkich upodobaniach i uprzedzeniach Alexandry. Wiedział wszystko, co powinien wiedzieć o siostrze Eve.

„Zaczęło się” - pomyślała Eve, gdy George odłożył słuchawkę.

Był to najwspanialszy wieczór w życiu Alexandry. Na godzinę przed pojawieniem się George’a Mellisa przyniesiono jej dwanaście różowych baloników wraz z orchideą. Alexandra obawiała się, że wyobrażenia nie wytrzymają konfrontacji z rzeczywistością, ale w chwili gdy ponownie ujrzała Mellisa, wszystkie jej wątpliwości się rozwiały. Poczwała znów przemożny magnetyzm tego mężczyzny. Wypili w domu drinka i udali się do restauracji.

- Chciałabyś spojrzeć na menu? - spytał. - Czy też pozwolisz mi wybrać za ciebie?

Alexandra miała tu swoje ulubione potrawy, ale chciała zrobić George’owi przyjemność.

- Tak, proszę.

Wybrał to wszystko, co ona sama by wybrała, i pomyślała, że ten mężczyzna po prostu czyta w jej myślach.

Jedli cielęcinę *Matoon* nadziewaną karczochem - specjalność zakładu, oraz *Anielskie Włosy*, łagodną pastę. Zamówili też sałatkę, którą George wymieszał z prawdziwą zręcznością.

- Czy lubisz gotować? - spytała Alexandra.

- Czy lubię? To jedna z pasji mojego życia. Nauczyła mnie matka. Umiała wspaniale gotować.

- Jesteś zapewne bardzo zżyty ze swoją rodziną, George?

Uśmiechnął się i Alexandra pomyślała, że jest to najbardziej czarujący uśmiech, jaki kiedykolwiek widziała.

- Jestem Grekiem - odparł z prostotą. - Mam trzech braci i dwie siostry i jestem z nich najstarszy. Stanowimy jedność. - W jego oczach pojawił się smutek. - Rozstanie z nimi było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek musiałem zrobić. Ojciec i bracia błagali mnie, bym został. Mamy duże przedsiębiorstwo i oni uważali, że jestem potrzebny.

- Dlaczego więc z nimi nie zostałeś?

- Być może wydam ci się głupcem, ale wolę wszystko zawdzięczać sobie. Zawsze czułem się zażenowany, gdy musiałem przyjąć od kogoś jakiś podarunek, a przedsiębiorstwo było właśnie podarunkiem przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Nie, nic nie wezmę od ojca. Niech bracia podzielą się moim udziałem.

Alexandra czuła wzrastający podziw dla niego.

- Poza tym - powiedział ciepło George - gdybym pozostał w Grecji, zapewne bym ciebie nie poznał.

Alexandra oblała się rumieńcem.

- Nigdy nie byłeś żonaty? - spytała.

- Nie. Owszem, bywałem nieraz zaręczony, ale w ostatniej chwili czułem, że coś jest nie tak. - Pochylił się w jej stronę, a jego głos zabrzmiał teraz poważnie i szczerze: - Piękna Alexandro, pomyślisz, że jestem staroświecki, ale kiedy ożenię się z kimś, to już na zawsze. Jedna kobieta wystarczy mi w zupełności, ale musi to być odpowiednia kobieta.

- Sądzę, że to urocze - rzekła półgłosem Alexandra.

- A ty? - spytał George Mellis. - Czy byłaś kiedykolwiek zakochana?

- Nie.

- Co za nieszczęście dla wielu, ale co za szczęście dla...

Nie dokończył, gdyż w tej właśnie chwili pojawił się przy stoliku kelner z deserem.

Alexandra umierała z ciekawości, kogo miał na myśli, ale nie śmiała go o to zapytać. Jeszcze z nikim nie czuła się tak dobrze. Mellis wydawał się tak autentycznie nią zainteresowany, że bez skrępowania opowiadała mu o swoim dzieciństwie, życiu, najskrytszych pragnieniach; o rzeczach, z których nigdy się nikomu nie zwierzała. George Mellis uważał się - nie bez racji zresztą - za prawdziwego znawcę kobiet. Wiedział, że piękne kobiety czują się zazwyczaj niepewnie, gdyż mężczyźni skupiają uwagę na ich urodzie, traktując je raczej jak rzeczy, a nie istoty ludzkie.

Kiedy Mellis spotykał się z piękną kobietą, nigdy ani słowem nie wspominał o jej urodzie. Chciał, aby miała wrażenie, że interesuje go to, co ona myśli, co czuje; że on jest dla niej pokrewną duszą. To było coś niezwykłego dla Alexandry. Opowiedziała George'owi o Kate i Eve.

- Twoja siostra nie mieszka z tobą i twoją babcią?

- Nie. Ona... Eve chciała mieszkać sama.

Alexandra nie mogła pojąć, dlaczego George Mellis nie pociągał Eve. Bez względu jednak na przyczynę, cieszyło ją to. Podczas kolacji Alexandra zauważyła, że wszystkie kobiety w sali rzucają w jego stronę spojrzenia, ale on ani razu nie oderwał od niej oczu.

Po kawie George powiedział:

- Nie wiem, czy lubisz jazz, ale na placu Świętego Marka jest pewien klub, który nazywa się „Five Spot”...

- Tam, gdzie gra Cecil Taylor!

Spojrzał na Alexandrę ze zdumieniem.

- Byłaś już tam?

- Wiele razy! - roześmiała się. - Uwielbiam to miejsce! To niewiarygodne, że mamy takie same upodobania!

- To jakby swego rodzaju cud - stwierdził George.

Słuchali urzekającej gry Cecila Taylora, długich solówek, które porywały salę arpeggiami i płynnymi glissandami. Potem udali się do baru na Bleecker Street, gdzie klienci pili, jedli popcorn, słuchali dobrej muzyki fortepianowej i grali w *darts*. Alexandra obserwowała, jak George przystępuje do gry z jednym ze stałych bywalców. Mężczyzna okazał się całkiem niezłym graczem, ale nie miał żadnych szans. Mellis grał z taką zaciekłością i wolą zwycięstwa, że aż wywoływało to lęk. Była to tylko gra, ale on grał tak, jakby stawką było życie.

„Jest człowiekiem, który musi zwyciężać” - uznała Alexandra.

Była druga w nocy, gdy wyszli z baru. Alexandra z żalem pomyślała, że wieczór ma

się już ku końcowi.

George usiadł obok niej w wynajętym przez siebie rolls-roycie z szoferem. Nie mówił nic. Patrzył tylko na nią. Podobieństwo między siostrami było uderzające. „Ciekawe, czy ich ciała też są takie same” - pomyślał. I nagle wyobraził sobie Alexandrę będącą z nim w łóżku, wijącą się i krzyczącą z bólu.

- O czym tak myślisz? - spytała go Alexandra.

Odwrocił wzrok, aby nie mogła nic wyczytać z jego oczu.

- Będziesz się ze mnie śmiała.

- Nie będę. Obiecuję.

- Nie miałbym ci za złe, gdyby tak było. Sądzę, że uważa się mnie za kogoś w rodzaju playboya. Wiesz, jak to jest - jachty, przyjęcia i tak dalej.

- Tak.

Utkwił w niej swoje ciemne oczy.

- Myślę, że jesteś jedyną kobietą, która by mogła to wszystko zmienić. Na zawsze.

Alexandra poczuła, jak serce zaczyna jej bić coraz szybciej.

- Nie wiem... co ci powiedzieć...

- Nie mów nic. Proszę. - Ich usta były teraz blisko siebie.

Alexandra przymknęła powieki i rozchyliła lekko wargi, ale George nie wykorzystał tej sytuacji. „Tylko nie rób pierwszego kroku - przestrzegala go wcześniej Eve. - Jeśli to uczynisz, staniesz w długiej kolejce Romeów wdychających do niej i jej fortuny. To ona musi zrobić pierwszy krok”.

George trzymał więc delikatnie Alexandrę za rękę, aż samochód zahamował cicho przed rezydencją Blackwellów. Wysiedli i odprowadził ją do drzwi frontowych.

- Nie masz pojęcia, jaką przyjemność sprawił mi ten wieczór - powiedziała patrząc na niego.

- Dla mnie był cudowny.

Uśmiech Alexandry był tak promienny, że rozjaśnił chyba całą ulicę.

- Dobranoc, George - wyszeptała i zniknęła za drzwiami.

W piętnaście minut później odezwał się telefon Alexandry.

- Wiesz, co właśnie zrobiłem? Zadzwońłem do rodziny. Opowiedziałem im o cudownej kobiecie, z którą spędziłem dzisiejszy wieczór. Śpij dobrze, śliczna Alexandro.

„Po ślubie - pomyślał George Mellis, odłożywszy słuchawkę - zatelefonuję do rodziny i powiem im wszystkim, żeby się wypieprzyli”.



## Rozdział 29

George Mellis nie zadzwonił ponownie do Alexandry. Ani tego dnia, ani następnego, ani przez pozostałą część tygodnia. Za każdym razem, gdy rozlegał się sygnał telefonu, Alexandra biegła, by podnieść słuchawkę, i za każdym razem przeżywała gorzkie rozczarowanie. Nie mogła pojąć, co takiego się stało. Zachowała ten wieczór dokładnie w pamięci. Pamiętała każde słowo George'a Mellisa: „Myślę, że jesteś tą kobietą, która by mogła to wszystko zmienić. Na zawsze” lub: „Zatelefonowałem do rodziny i opowiedziałem im o cudownej kobiecie, z którą spędziłem wieczór”. Alexandra bez przerwy analizowała całą litanię ewentualnych powodów, dla których do niej nie zadzwonił.

Musiała go urazić, nie zdając sobie z tego sprawy.

Podobała mu się tak bardzo, że w obawie, aby się w niej nie zakochać, postanowił, że ich pierwsze spotkanie powinno być zarazem ostatnim.

Uznał, że nie jest w jego typie.

Uległ straszliwemu wypadkowi i leży teraz bezradny w jakimś szpitalu.

Zginął.

Alexandra, nie mogąc już dłużej wytrzymać tej niepewności, zatelefonowała do Eve. Przez całą minutę próbowała mówić o rzeczach obojętnych, ale potem się wygadała.

- Eve, czy przypadkiem nie masz jakichś wieści od George'a Mellisa?

- Ja? Niby dlaczego miałabym mieć? Sądziłam, że George zadzwoni, by zaprosić cię na kolację.

- Byliśmy już na kolacji. W zeszłym tygodniu.

- I od tego czasu się nie odezwał?

- Nie.

- Prawdopodobnie jest zajęty.

„Nikt nie jest aż tak zajęty” - pomyślała Alexandra, ale na głos powiedziała: - Prawdopodobnie.

- Zapomnij o George'u Mellisie, kochanie. Znam pewnego bardzo przystojnego Kanadyjczyka, z którym chciałabym cię poznać. Jest właścicielem linii lotniczej i...

Eve odłożywszy słuchawkę, przeciągnęła się z zadowoleniem. „Szkoda, że babcia się nie dowie, jak pięknie to wszystko zaplanowałam” - pomyślała.

Hej! Co ciebie tak gryzie? - spytała Alice Koppel.

Alexandra od samego rana warczała na każdego. Minęły całe dwa tygodnie od pamiętnego telefonu. Była teraz wściekła, ale wściekła nie na George'a Mellisa, lecz na siebie, że nie może o nim zapomnieć. Nie miał przecież wobec niej żadnych zobowiązań. Byli dwojgiem nieznajomych, którzy spędzili razem wieczór, a ona zachowuje się tak, jakby oczekiwała, że z tego powodu powinien się z nią zaraz ożenić. Chryste Panie! George Mellis mógłby mieć każdą kobietę na świecie. Dlaczego, u licha, właśnie ją miałby wybrać?

Nawet babcia zauważyła, że ostatnio stale jest poirytowana.

- Co się z tobą dzieje, moje dziecko! Czy nie każą ci zbyt dużo pracować w tej agencji?

- Nie, babciu. To tylko dlatego, że ja... ostatnio nie sypiam dobrze.

Kiedy zasypiała, miała erotyczne sny o George'u Mellisie. „Do diabła z nim! Dlaczego Eve go ze mną poznała?”.

Telefon zadzwonił nazajutrz po południu.

- Alex! Mówi George Mellis. - Tak jakby nie słyszała tego głębokiego głosu w swoich snach. - Alex? Jesteś tam?

- Tak. Jestem. - Ogarnęły ją sprzeczne uczucia. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Pomyślała, że ten człowiek jest po prostu bezdusznym egoistą i teraz było jej obojętne, czy się z nim jeszcze spotka.

- Chciałem wcześniej zadzwonić do ciebie - przeproszał George - ale dosłownie przed paroma minutami wróciłem z Aten.

Alexandra poczuła, że topnieje.

- Byłeś w Atenach?

- Tak. Pamiętasz ten wieczór, gdy jedliśmy razem kolację?

Alexandra pamiętała.

- Rano zadzwonił do mnie mój brat, Steve... Ojciec miał zawał.

- Och, George! - Czuła się winna, że myślała o nim takie okropne rzeczy. - Jak się on teraz ma?

- Dzięki Bogu, już dobrze. Ale ja byłem kompletnie rozdarty. Ojciec błagał mnie, abym wrócił do Grecji i pokierował interesami rodzinnymi.

- I wracasz? - Alexandra wstrzymała oddech.

- Nie.

Odetchnęła.

- Teraz wiem, że moje miejsce jest tutaj. Nie było dnia ani godziny, żebym nie myślał

o tobie. Kiedy moglibyśmy się spotkać?

„Zaraz!”

- Mam czas wieczorem.

Kusiło go, by zaprosić ją do kolejnej ulubionej przez nią restauracji, ale zamiast tego powiedział:

- Wspaniale. Gdzie chciałabyś pójść na kolację?

- Gdziekolwiek. Wszystko jedno. A może zjedlibyśmy u mnie?

- Nie. - Nie był jeszcze przygotowany na to, by poznać Kate. „Musisz na razie robić wszystko, aby trzymać się z dala od Kate Blackwell. To twoja największa przeszkoda”. -

Przyjadę po ciebie

o ósmej - powiedział George.

Alexandra po odłożeniu słuchawki ucałowała Alice Koppel, Vince'a Barnes'a i Marty'ego Bergheimera.

- Muszę pędzić do fryzjerki. Zobaczymy się jutro - rzuciła na pożegnanie i wybiegła z biura.

- Mężczyzna - orzekła krótko Alice Koppel.

Udali się do „Maxwell's Plum”. Maire eskortował ich przez zatłoczony bar w kształcie podkowy znajdujący się w pobliżu drzwi frontowych - zaprowadził po schodach do sali jadalnej.

- Czy myślałaś o mnie? - spytał George, gdy złożyli zamówienie.

- Tak. - Alexandra czuła, że z tak otwartym i wrażliwym mężczyzną musi być całkowicie szczerą. - Kiedy nie odzywałaś się tak długo, myślałam, że stało się coś okropnego. I... wpadłam w panikę. Nie wiem, czy wytrzymałabym jeszcze jeden dzień.

„Brawa dla Eve” - pomyślał George. „Nie daj się zbić z tropu - radziła. - Powiem ci, kiedy do niej zadzwonić”. Po raz pierwszy George miał wrażenie, że plan się powiedzie. Do tej pory czepiał się go gdzieś w zakamarkach swego umysłu, bawił się myślą o przejęciu ogromnej fortuny Blackwellów, ale tak naprawdę nie wierzył w to.

Patrząc jednak teraz na Alexandrę, siedzącą naprzeciwko, widząc w jej oczach bezkrytyczne uwielbienie, George Mellis wiedział, że nie jest to już tylko gra. Alexandra należała do niego. To był pierwszy krok. Następne kroki mogą być niebezpieczne, ale z pomocą Eve da sobie radę.

„Jedziemy na tym samym wózku, George. I wszystkim będziemy się dzielić po równo”.



George Mellis nie ufał współpracownikom. Postanowił, że kiedy dostanie to, czego chce, kiedy pozbędzie się Alexandry, wówczas zajmie się Eve. Myśl o tym wprawiła go w ogromne zadowolenie.

- Uśmiechasz się - powiedziała Alexandra.

Dotknął jej dłoni sprawiając, że poczuła falę przyjemnego ciepła.

- Myślałem o tym, jak miło jest tu być z tobą. O tym, jak by było miło być z tobą wszędzie. - Sięgnął do kieszeni i wyjął inkrustowaną szkatułkę. - Mam dla ciebie coś z Grecji.

- Ależ, George...

- Otwórz, Alex.

W szkatułce znajdował się wspaniały naszyjnik.

- Jest piękny.

To był ten naszyjnik, który wziął od Eve.

„Możesz go jej śmiało dać - powiedziała mu. - Nigdy go nie widziała”.

- Ale nie mogę go przyjąć. Jest zbyt drogi.

- Nie jest nawet w przybliżeniu tak drogi, jak być powinien dla ciebie.

- Ja... - Alexandra drżała. - Dziękuję.

Spojrzał na jej talerz.

- Ty nic nie jesz.

- Nie jestem głodna.

Zauważył wyraz jej oczu i odnalazł w sobie dobrze znane wzrastające poczucie siły. Widział ten wyraz w oczach tak wielu kobiet: pięknych kobiet, brzydkich kobiet, bogatych kobiet, biednych kobiet. Wykorzystywał je wszystkie, w ten czy w inny sposób. Każda mu coś dawała, ale ta miała mu dać więcej niż one wszystkie razem wzięte.

- Co chciałabyś robić? - zapytał z zachętą w głosie. Przyjęła zaproszenie w sposób naturalny.

- Chcę być z tobą.

George Mellis miał wszelkie powody, by być dumnym ze swego mieszkania. Było to prawdziwe cacko, urządzone ze smakiem przez wdzięczne kochanki i wdzięcznych kochanków, którzy próbowali pozyskać jego uczucie kosztownymi prezentami i udawało im się, ale zawsze tylko na krótki czas.

- Masz urocze mieszkanie! - zawołała Alexandra.

Podszedł i powoli obrócił ją, a diamentowy naszyjnik zamigotał w dyskretnym świetle.

- On staje się tobą, kochanie - powiedział i pocałował ją najpierw delikatnie, a potem pożądliwie. Alexandra ani się spostrzegła, jak znalazła się w sypialni. Pomieszczenie było utrzymane w błękitnej tonacji, urządzone gustownie dobranymi, stylowymi meblami. Na środku stało ogromne królewskie łóże. George ponownie objął Alexandrę i poczuł, że cała drży.

- Nic ci nie jest, *kale'mou*?

- Jestem... tylko trochę zdenerwowana. - Przeraziła ją myśl, że mogłaby rozczarować tego mężczyznę. Wzięła głęboki oddech i zaczęła rozpinąć suknię.

- Pozwól, że ja to zrobię - wyszeptał George. Rozbierając tę piękną blondynkę, przypomniał sobie o słowach Eve: „Panuj nad sobą. Jeśli zadasz ból Alexandrze, jeśli przekona się, jakim w istocie jesteś bydlakiem, nigdy już jej nie ujrzysz. Rozumiesz to? Zachowaj pięści dla tych swoich dziwek i ślicznych, małych chłopczyków”.

Tak więc George rozebrał ją powoli i zaczął przypatrywać się jej nagiemu ciału. Miała takie samo ciało, jak Eve: piękne i dojrzałe. Czuł niemal nieodpartą chęć, by posiniaczyć tę białą, delikatną skórę, by uderzyć mocno tę kobietę, ścisnąć jej giętką szyję; sprawić, by krzyczała. „Jeśli zadasz jej ból, nigdy już jej nie ujrzysz”.

Rozebrał się i przytulił mocno Alexandrę. Przez chwilę stali nadzy patrząc sobie w oczy, a potem George poprowadził Alexandrę do łóżka. Zaczął ją całować, powoli i czule, ze znanstwem dotykając językiem i palcami każdego wrażliwego miejsca, aż w końcu poczuła, że dłużej już nie może czekać.

- Och, proszę - powiedziała. - Chodź. Teraz!

Położył się na niej i wnet ogarnęła ją taka rozkosz, jakiej jeszcze nigdy nie doznała. A potem znieruchomiała w jego ramionach i westchnęła:

- Och, mój kochany. Mam nadzieję, że i tobie było wspaniale.

- Tak, wspaniale - skłamał.

Przytuliła się do niego mocno. Płakała teraz, sama nie wiedząc dlaczego, chyba tylko z radości i szczęścia.

- No już dobrze - rzekł uspokajająco George. - Wszystko jest cudowne.

Eve byłaby z niego bardzo dumna.

W każdym romansie zdarzają się nieporozumienia, sceny zazdrości, małe bóle, ale nie w romansie George'a i Alexandry. Dzięki dobrym radom Eve George mógł umiejętnie grać na uczuciach Alexandry. Znał jej lęki, marzenia, zamięłowania i uprzedzenia. Zawsze potrafił się znaleźć na miejscu, gotów dać jej to, czego akurat potrzebowała. Wiedział, co ją bawi, a

co smuci. Gdy się kochali, Alexandra doznawała niewypowiedzianej rozkoszy, ale George czuł w sobie tylko frustrację. Jej zwierzęce jęki, jej podniecenie przyprawiały go o białą gorączkę. Chciał rzucać się na nią z furią, sprawiać, by wyła z bólu, błagała o litość, gdyż tylko wówczas mógłby być zaspokojony. Wiedział jednak, że gdyby to zrobił, popsułby wszystko. Frustracja narastała w nim. Im więcej się kochali, tym większy wstręt odczuwał do Alexandry.

Istniały pewne miejsca, w których George mógł znaleźć zaspokojenie, ale zdawał sobie sprawę, że musi być bardzo ostrożny. Późną nocą wybierał się do anonimowych barów i dyskotek, aby wyłowić stamtąd samotne wdowy żądne przygód, zabawowych chłopców żądnych zmysłowej miłości i prostytutki żądne pieniędzy. Zabierał ich do nędznych hotelików na West Side, w Bowery i Greenwich Village. Nigdy nie wracał do tych samych miejsc, zresztą nie byłby tam mile widziany. Jego seksualnych partnerów i partnerki znajdowano zazwyczaj półprzytomnych lub nieprzytomnych, zmalretowanych i często ze śladami oparzeń po papierosach.

George unikał masochistów. Lubili, gdy zadawał im ból, a to odbierało mu całą przyjemność. Nie, on musiał słyszeć, jak jego partnerzy i partnerki wyją z bólu, błagają o litość, tak jak on kiedyś wył z bólu i błagał o litość ojca, który za najdrobniejsze nawet przewinienia bił go do utraty przytomności. Kiedy George miał osiem lat, ojciec przyłapał go nagiego z synem sąsiadów. Dostał wtedy takie razy, że z uszu i nosa trysnęła mu krew, a żeby już nigdy takich rzeczy nie robił, ojciec zgasił papierosa na jego penisie. Rana paliła, ale jeszcze większa rana jątrzyła się wewnątrz niego.

George Mellis miał dziką, gwałtowną naturę odziedziczoną po helleńskich przodkach. Myśl o tym, że ktoś nim kieruje, przyprawiała go o chorobę. Był jednak przekonany, że gdy tylko dostanie w swoje ręce fortunę Blackwellów, ukarze Eve w taki sposób, że będzie błagała, aby ją zabił. Poznanie Eve było najszcześniejszą rzeczą, jaka mogła mu się przytrafić. „Szczęśliwą dla mnie - myślał filozoficznie. - Nieszczęśliwą dla niej”.

Alexandra nie przestawała podziwiać George'a za to, że zawsze wie, jakie kwiaty, płyty lub książki sprawią jej największą przyjemność. Kiedy byli w muzeum, zachwycali się tymi samymi obrazami i nie mogła się nadziwić, jak bardzo podobne są ich upodobania. Próbowwała doszukać się w George'u choćby najmniejszej wady, ale nie znalazła. Był ideałem. Coraz bardziej i bardziej pragnęła, aby Kate go poznała. Ale on zawsze miał jakąś wymówkę.

- Dlaczego nie, kochanie? - namawiała go. - Przekonasz się, że jest cudowna. Poza tym chciałabym się tobą pochwalić.

- Jestem pewien, że jest cudowna - odparł George z rozbrajającą szczerością. - Ale boję się, bo może uznać, że nie jestem dla ciebie kimś odpowiednim.

- To śmieszne, co mówisz! - Jego skromność wzruszyła ją. - Babcia będzie tobą zachwycona.

- Niedługo - odpowiedział. - Niedługo zbiorę się na odwagę.

Którejś nocy rozmawiał na ten temat z Eve. Myślała już nad tym.

- Dobrze - powiedziała. - Prędzej czy później i tak musisz przez to przejść. Pamiętaj jednak: przez cały czas musisz się pilnować. To dziwka, ale przebiegła dziwka. Jeśli coś zacznie podejrzewać, szybko dowie się wszystkiego, a potem rozerwie cię na strzępy.

- Czy musimy się nią aż tak przejmować?

- Gdyby Alexandra kiedykolwiek się jej sprzeciwiła z twojego powodu, nasz koniec byłby marny.

Alexandra jeszcze nigdy nie była taka zdenerwowana. Po raz pierwszy mieli spotkać się razem na kolacji: George, Kate i Alexandra. Dziewczyna modliła się, aby wszystko poszło dobrze. Niczego bardziej nie pragnęła, jak tego, aby babcia i George polubili się, aby babcia przekonała się, jakim on jest wspaniałym człowiekiem, i aby George docenił Kate Blackwell.

Kate zaś jeszcze nigdy nie widziała swojej wnuczki tak szczęśliwej. Alexandra знаła paru młodzieńców, najodpowiedniejszych kandydatów na męża, ale żaden z nich nie interesował jej. Kate zamierzała dokładnie przyjrzeć się mężczyźnie, który podbił serce jej wnuczki. Miała wieloletnie doświadczenie z łowcami posagów i bynajmniej nie zamierzała oddać Alexandry w ręce któregoś z nich. Z niecierpliwością wyczekiwała więc pana George'a Mellisa. Miała wrażenie, że on nie bardzo chce ją poznać, i zastanawiała się dlaczego.

Kate usłyszała dzwonek u frontowych drzwi i w minutę później do salonu weszła Alexandra, prowadząc za rękę wysokiego, przystojnego mężczyznę o klasycznej urodzie.

- Babciu, to jest właśnie pan Mellis.

- Nareszcie - powiedziała Kate. - Zaczynałam już podejrzewać, że mnie pan unika, panie Mellis.

- Przeciwnie, pani Blackwell. Nie ma pani nawet pojęcia, jak bardzo czekałem na tę chwilę. - Na końcu języka miał już: „Jest pani nawet piękniejsza, niż mówiła Alex”, ale powstrzymał się od wypowiedzenia tego komplementu.

„Pamiętaj, żadnych pochlebstw, George. Na starszą panią działa to jak płachta na byka”.

W salonie pojawił się lokaj; dyskretnie przygotował drinki i wyszedł.

- Proszę usiąść, panie Mellis.

- Dziękuję.

Alexandra usiadła obok George'a na kanapie, naprzeciw babci.

- Wiem, że od pewnego czasu spotyka się pan z moją wnuczką.

- Tak. Z prawdziwą przyjemnością.

Kate uważnie popatrzyła na niego swymi bladoszarymi oczami.

- Alexandra mówiła mi, że pracuje pan w firmie maklerskiej.

- Tak.

- Szczerze mówiąc, dziwi mnie, panie Mellis, że woli pan być zwykłym pracownikiem, niż kierować bardzo rentownym przedsiębiorstwem rodzinnym.

- Babciu, wyjaśniłam ci już, że...

- Wolalabym, aby pan Mellis sam mi o tym powiedział, Alexandro. „Bądź uprzejmy, ale, na miłość boską, nie płaszcz się przed nią. Jeśli wyczuje w tobie choćby najmniejszą oznakę słabości, rozerwie cię na strzępy”.

- Pani Blackwell, nie mam zwyczaju rozmawiać o moim prywatnym życiu. - Zawahał się, jakby chciał podjąć decyzję. - Jednakże biorąc pod uwagę okoliczności, sądzę... - Spojrzał na Kate Blackwell prosto w oczy. - Jestem bardzo niezależnym człowiekiem. Nie uznaję jałmużny. Gdybym sam założył Mellis and Company, stałbym dziś na jej czele. Ale ona została założona przez mego dziadka, a potem przekazana ojcu, który przekształcił ją w bardzo rentowne przedsiębiorstwo. Ono nie potrzebuje mnie. Mam trzech braci, którzy są doskonale przygotowani do jego prowadzenia. Wolę być zwykłym pracownikiem, jak to pani nazywa, dopóki nie znajdę czegoś, co sam mógłbym rozwinąć i być z tego dumnym.

Kate powoli skinęła głową. Ten człowiek był zupełnie inny, niż się spodziewała. Była przygotowana na to, że ujrzy jakiegoś playboya, łowcę posagów, jednego z tych typów, którzy kręcili się wokół jej wnuczek od niepamiętnych czasów. Ten zaś mężczyzna wydawał się inny, a jednak miał w sobie coś podejrzanego, czego nie potrafiła określić. Wydawał się zbyt doskonały.

- Pańska rodzina, jak sądzę, jest bogata.

„Musi tylko uwierzyć, że jesteś nieprzyzwoicie bogaty i do szaleństwa zakochany w Alex. Bądź czarujący i panuj nad sobą, a uda ci się”.

- Pieniądze są oczywiście potrzebne, pani Blackwell. Ale istnieje mnóstwo rzeczy, które interesują mnie bardziej.

Kate sprawdziła wcześniej, ile czystego zysku przynosi firma Mellis and Company i zgodnie z raportem Dun & Bradstreet zysk ten przekraczał sumę trzydziestu milionów

dolarów.

- Czy jest pan zżyty ze swoją rodziną, panie Mellis?

Twarz George'a rozjaśniła się.

- Nawet za bardzo. - Pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Mamy w rodzinie takie powiedzonko, pani Blackwell. Jeśli ktoś z nas skaleczy sobie palec, to wszyscy krwawią. Jesteśmy ze sobą w ciągłym kontakcie.

Nie rozmawiał z nikim z rodziny już od ponad trzech lat.

Kate skinęła głową z aprobatą.

- Wierzę w silne więzy rodzinne.

Spojrzała na wnuczkę. Twarz jej wyrażała bezgraniczne uwielbienie. Przez chwilę pomyślała o sobie i Davidzie, o tych latach, gdy byli tak w sobie zakochani. Upływ czasu nie zamazał wspomnienia tego, co wówczas czuła.

Do salonu wszedł ponownie Lester.

- Kolację podano, proszę pani.

Rozmowa przy kolacji wydawała się swobodniejsza, ale pytania Kate były wnikliwe. George miał przygotowaną odpowiedź, gdy zostało zadane najistotniejsze z nich:

- Czy lubi pan dzieci, panie Mellis?

„Ma fioła na punkcie prawnuka... Niczego bardziej nie pragnie na świecie”.

Spojrzał na Kate ze zdziwieniem.

- Czy lubię dzieci? Kim jest mężczyzna bez synów i córek? Boję się, że gdy się ożenię, moja biedna żona będzie miała ręce pełne roboty. W Grecji wartość mężczyzny mierzona jest liczbą dzieci, które spłodził.

„Wydaje się szczerzy - pomyślała Kate. - Ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Jutro polecę Bradowi Rogersowi, by czym prędzej sprawdził jego finanse”.

Alexandra przed pójściem spać zadzwoniła do Eve. Wcześniej powiedziała jej, że George Mellis przychodzi na kolację.

- Musisz natychmiast po jego wyjściu zadzwonić do mnie, kochanie - odparła Eve. - I opowiedzieć mi wszystko po kolei.

I teraz Alexandra opowiadała szczegółowo, jak przebiegł wieczór.

- Myślę, że babcia bardzo go polubiła.

Eve poczuła dreszczyk zadowolenia.

- Co mówiła? - spytała Alexandrę.

- Zadawała George'owi setki osobistych pytań i ze wszystkich wybrnęła wspaniale.

„A więc spisał się niezłe”.

- Ach, to cudownie! A czy wy, papużki nierozłączki, zamierzacie się pobrać?

- Ja... On jeszcze nie oświadczył mi się, Eve, ale myślę, że to zrobi - odpowiedziała Alexandra, a w jej głosie Eve wyczuła ogromną radość.

- I babcia się zgodzi?

- Och, jestem pewna, że tak. Ma tylko sprawdzić osobiste dochody George'a, ale to oczywiście tylko zwykła formalność. - Eve zamarła. - Wiesz - ciągnęła Alexandra - jaka babcia jest ostrożna.

- Tak, wiem - powiedziała wolno Eve. „To koniec - pomyślała. - Chyba, że coś szybko wymyślę”. - Informuj mnie o wszystkim.

- Tak. Dobranoc.

Gdy tylko Eve skończyła rozmowę, nakręciła numer George'a Mellisa. Nie wrócił jeszcze do domu. Dzwoniła do niego co dziesięć minut i kiedy w końcu podniósł słuchawkę, powiedziała: - Nie mógłbyś zdobyć natychmiast miliona dolarów?

- O czym, u licha, ty mówisz?

- Kate sprawdza twoje finanse.

- Ona wie, co jest warta moja rodzina. Ona...

- Nie chodzi o twoją rodzinę. Chodzi o ciebie. Mówiłam ci, że ona nie jest idiotką.

Zapanowało milczenie. Pierwszy odezwał się George:

- Skąd według ciebie mógłbym wytrzasnąć milion dolarów?

- Mam pewien pomysł - odparła Eve.

Zjawiwszy się w biurze nazajutrz rano, Kate powiedziała do swego asystenta:

- Poproś Brada Rogersa, by polecił sprawdzić osobiste dochody George'a Mellisa, który pracuje w firmie Hanson and Hanson.

- Pana Rogersa nie będzie do jutra w mieście, pani Blackwell. Czy może to poczekać do jutra, czy...?

- Może być jutro.

W dolnej części Manhattanu na Wall Street George Mellis siedział za swoim biurkiem w firmie maklerskiej Hanson and Hanson. Giełdy były otwarte i olbrzymie biuro pełne było hałasów i bieganiny. W siedzibie firmy pracowało dwustu dwudziestu pięciu pracowników: analityków, księgowych, maklerów giełdowych i przedstawicieli klientów. Wszyscy

pracowali w gorączkowym pośpiechu. Wszyscy z wyjątkiem George'a Mellisa, który siedział nieruchomo, zdrętwiały z przerażenia. Wiedział dobrze, że jeśli to, co ma zrobić, nie uda się - skończy w więzieniu. Gdyby zaś udało się, cały świat będzie należał do niego.

- Nie odbierasz telefonu?

Jeden ze współników stał nad nim i George zdał sobie sprawę, że telefon dzwoni już od... pewnego czasu. „Muszę zachowywać się normalnie - pomyślał - żeby nie wzbudzać niczyich podejrzeń”.

Podniósł słuchawkę.

- George Mellis - powiedział uśmiechając się uspokajająco do współnika.

Cały ranek upłynął mu na przyjmowaniu zleceń kupna i sprzedaży, ale ani przez chwilę nie przestawał myśleć o planie Eve ukradzenia miliona dolarów. „To proste, George. Musisz tylko pożyczyć kilka certyfikatów akcyjnych na jedną noc. Rano zwrócisz je i nikt się o tym nie dowie”.

Każda firma maklerska posiada miliony dolarów w akcjach i obligacjach przechowywanych dla wygody i bezpieczeństwa klientów w skarbcach. Niektóre z certyfikatów są wystawione na nazwisko właściciela, ale większość to certyfikaty bezimienne zaopatrzone w zakodowany numer identyfikujący właściciela. Certyfikaty akcyjne nie mogą być przedmiotem obrotu, ale George Mellis nie zamierzał wcale nimi obracać. Co innego chodziło mu po głowie. W firmie Hanson and Hanson papiery wartościowe przechowywano na siódmym piętrze, w bezpiecznym miejscu pilnowanym przez uzbrojonego strażnika stojącego przed bramą, którą można było otworzyć jedynie za pomocą specjalnej, zakodowanej, plastikowej karty wejścia. George Mellis nie miał takiej karty, ale znał kogoś, kto ją posiadał.

Helen Thatcher była samotną wdową po czterdziestce. Miała miłą twarz, niezłą figurę i umiała świetnie gotować. Przez dwadzieścia trzy lata była mężatką i śmierć męża zostawiła w jej życiu pustkę. Potrzebowała mężczyzny, który by się nią zajął. Kłopot jednak polegał na tym, że większość kobiet zatrudnionych w Hanson and Hanson była młodsza od niej i one przyciągały uwagę kolegów w biurze.

Pracowała w dziale księgowości, piętro wyżej niż George Mellis. Od chwili gdy poznała George'a, nabrała niezłomnego przekonania, że byłby dla niej idealnym mężem. Wiele razy zapraszała go na „domowe kolacyjki”, jak to określała, dając jednocześnie do zrozumienia, że może liczyć na coś więcej, ale George zawsze znajdował jakąś wymówkę. Tego szczególnego ranka, gdy zadzwonił telefon na jej biurku, powiedziała:

- Księgowa Thatcher, słucham.



- Helen? Mówi George - usłyszała. Na dźwięk jego ciepłego głosu przeszły ją dreszcze.

- Co mogłabym dla ciebie zrobić, George?

- Mam dla ciebie miłą niespodziankę. Czy mogłabyś wpaść do mego biura?

- Teraz?

- Tak.

- Przykro mi, ale w tej właśnie chwili...

- Och, jeśli jesteś zbyt zajęta, nie przejmuj się. Mogę z tym poczekać.

- Nie, nie. Ja... zaraz do ciebie wpadnę.

Telefon znów się odezwał, lecz George nie podniósł słuchawki. Chwytał stertę dokumentów leżących na biurku i ruszył w kierunku wind. Minął je, upewniwszy się uprzednio, że nikt go nie obserwuje, i pospieszył tylnymi schodami piętro wyżej. Sprawdził, czy Helen wyszła z biura, a potem wszedł pewnie do środka, jakby miał do załatwienia jakąś sprawę. Gdyby go przyłapano... Ale nie powinien myśleć o tym. Otworzył środkową szufladę, w której - jak wiedział - Helen przechowywała swoją kartę wejścia do skarbcza. Faktycznie, leżała tam. George wyciągnął ją i wsunął do kieszeni. Następnie opuścił pomieszczenie i pospiesznie zszedł na dół. Helen już czekała, szukając go wzrokiem.

- Przepraszam - powiedział George. - Wezwano mnie na chwilę.

- Och, nic się nie stało. Powiedz lepiej, jaka to niespodzianka?

- Mały ptaszek powiedział mi, że masz urodziny, więc chciałbym cię dziś zabrać na lunch. - Uważnie przyglądał się, jak zareaguje.

Helen była rozdarta między powiedzeniem prawdy a przyjęciem zaproszenia.

- To... bardzo miło z twojej strony - odparła. - Z przyjemnością zjem z tobą lunch.

- Świetnie. Spotkajmy się o pierwszej w „Tony’s”.

Równie dobrze mógł się z nią umówić przez telefon, ale Helen Thatcher była zbyt podekscytowana, by zwrócić na to uwagę.

W chwilę po jej wyjściu George przystąpił do działania. Miał wiele do zrobienia przed zwróceniem plastikowej karty. Pojechał windą na siódme piętro i podszedł do strażnika, który stał przed zamkniętą, okratowaną bramą. Wprowadził plastikową kartę do elektronicznego zamka i brama się otworzyła. Gdy wchodził do środka, strażnik powiedział:

- Nie przypominam sobie, abym już tu pana widział.

George poczuł, jak serce zaczyna mu bić szybciej. Uśmiechnął się.

- Zgadza się - odparł. - Nie są to moje codzienne rewiry. Jeden z moich klientów nagle zapragnął ujrzeć swoje certyfikaty, więc muszę mu je wyciągnąć. Mam nadzieję, że nie

zajmie mi to tego całego cholernego popołudnia.

Strażnik uśmiechnął się życzliwie.

- Powodzenia - powiedział obserwując, jak George wchodzi do skarbcza.

Było to betonowe pomieszczenie, o wymiarach trzydzieści na piętnaście stóp. George podszedł do ognioodpornych kartotek i otworzył metalowe szuflady. Wewnątrz znajdowały się certyfikaty przedstawiające udziały spółek na giełdach nowojorskiej i amerykańskiej. Ilość udziałów, które obejmowały certyfikaty, była wydrukowana na pierwszej stronie i wahała się od jednego do stu tysięcy. George szybko i zręcznie wertował dokumenty. Wybrał certyfikaty co szacowniejszych spółek, na sumę miliona dolarów, a potem wsunął je do kieszeni marynarki, zamknął szuflady i wrócił do strażnika.

- Szybko poszło - stwierdził tamten.

George potrząsnął przecząco głową.

- Komputery pomyliły się w numeracji. Muszę to do jutra skorygować.

- Te cholerne komputery. - Strażnik pokiwał głową ze zrozumieniem. - One nas jeszcze kiedyś wykończą.

Kiedy George usiadł ponownie za swoim biurkiem, poczuł, że cały jest mokry od potu. „Ale, jak dotąd, wszystko idzie dobrze” - pomyślał.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Alexandry.

- Kochanie - powiedział - dziś wieczorem chciałbym się zobaczyć z tobą i twoją babcią.

- Sądziłam, że wieczorem masz ważne spotkanie, George.

- Miałem, ale odwołałem je. Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Dokładnie o godzinie pierwszej, gdy Helen Thatcher czekała na niego w restauracji, George znalazł się ponownie w jej biurze, aby odłożyć na miejsce kartę wejścia.

Rozpaczliwie pragnął ją zatrzymać, gdyż mogła mu być jeszcze potrzebna, ale wiedział, że każda karta, która nie jest zwrócona wieczorem, zostaje nazajutrz rano unieważniona przez komputer. Dziesięć po pierwszej George jadł już lunch z samotną wdową.

- Chciałbym - powiedział ujmując dłoń Helen Thatcher i patrząc jej badawczo w oczy - abyśmy częściej to robili. Może jutro znów spotkalibyśmy się na lunchu?

- Och, tak, George - odparła rozpromieniona.

Kiedy tego popołudnia George Mellis wychodził z biura, miał przy sobie certyfikaty

warte milion dolarów.

Punktualnie o siódmej George zjawił się w domu Blackwellów i został wprowadzony do biblioteki, gdzie czekały na niego Kate i Alexandra.

- Dobry wieczór - powiedział. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, jednak muszę koniecznie z paniami porozmawiać. - Spojrzał na Kate. - Wiem, że to bardzo staroświeckie z mojej strony, ale chciałbym prosić panią o rękę jej wnuczki. Kocham Alexandrę i wierzę, że ona też mnie kocha. Oboje czulibyśmy się jeszcze szczęśliwsi, gdyby pani udzieliła nam swego błogosławieństwa. - Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął certyfikaty i rozrzucił je na stole przed Kate. - W prezencie ślubnym pragnę ofiarować Alexandrze milion dolarów. Nie będzie potrzebowała od pani żadnych pieniędzy. Ale oboje potrzebujemy pani błogosławieństwa.

Kate opuściła wzrok na certyfikaty, które George tak nonszalancko rozrzucił przed nią, rozpoznając natychmiast nazwy wszystkich spółek. Alexandra przysunęła się do George'a, a oczy jej błyszczały.

- Mój kochany! - powiedziała, a potem zwróciła się do babci z błagalnym wyrazem twarzy: - Babciu?

Kate patrzyła na tę parę i poczuła, że nawet gdyby chciała, nie mogłaby im odmówić.

- Macie moje błogosławieństwo.

George uśmiechnął się szeroko i podszedł do Kate:

- Pozwoli pani? - Pocałował ją w policzek.

Przez następne dwie godziny rozmawiali w podnieceniu o ślubie i weselu.

- Nie chcę hucznego wesela, babciu - oznajmiła Alexandra. - Nie jest to przecież konieczne, prawda?

- Zgadza się z tym - poparł ją George. - Miłość jest sprawą prywatną.

W końcu ustalili, że ceremonia odbędzie się w gronie kameralnym.

- Czy twój ojciec - spytała Kate George'a - przybędzie na ślub?

- W żaden sposób nie można by go powstrzymać. - George roześmiał się. - Nie tylko jego zresztą, ale i moich trzech braci i dwu sióstr.

- Nie mogę się już ich doczekać.

- Polubi ich pani na pewno - rzekł George i ponownie skierował wzrok w stronę Alexandry.

Kate odczuwała ogromne wzruszenie przez cały wieczór. Była przejęta swoją wnuczką; zadowolona, że poślubia mężczyznę, który ją kocha. „Muszę pamiętać - pomyślała

w pewnej chwili - aby powiedzieć Bradowi, żeby nie zaprzętał już sobie głowy sprawdzaniem dochodów George'a”.

Przed wyjściem, będąc sam na sam z Alexandrą, George powiedział jakby mimochodem:

- Nie sędzę, aby trzymanie na wierzchu miliona dolarów w papierach wartościowych było akurat najlepszym pomysłem. Na razie złożę je u siebie w depozycie.

Podniósł certyfikaty i wsunął je z powrotem do kieszeni marynarki.

Nazajutrz rano George powtórzył swoją sztuczkę z Helen Thatcher. Podczas gdy kobieta była w drodze na dół, by się z nim zobaczyć („Mam dla ciebie małą niespodziankę”), on znalazł się w jej biurze i wyciągnął kartę wejścia. Gdy wrócił, czekała już na niego. Wręczył jej szal firmy Gucci - „spóźniony prezent urodzinowy” - i potwierdził termin wspólnego lunchu. Tym razem dostanie się do skarbcza było łatwiejsze. Włożył z powrotem certyfikaty, zwrócił następnie kartę i spotkał się z Helen Thatcher w pobliskiej restauracji.

- George - powiedziała ściskając jego dłoń - dlaczego dziś wieczorem nie mielibyśmy się jeszcze spotkać na miłej kolacyjce?

- Przykro mi, Helen - odparł George - ale to niemożliwe. Żenię się.

Na trzy dni przed ceremonią ślubną w domu Blackwellów zjawił się George. Twarz miał strapioną.

- Otrzymałem właśnie straszną wiadomość - oznajmił. - Mój ojciec miał kolejny zawał.

- Och, tak mi przykro - powiedziała Kate. - Jak on się teraz czuje?

- Przez całą noc byłem w kontakcie telefonicznym z rodziną. Uważają, że wyjdzie z tego, ale oczywiście nie będą mogli przybyć na ślub.

- Moglibyśmy - zaproponowała Alexandra - wybrać się w podróż poślubną do Aten, by się z nimi zobaczyć.

George pogłaskał ją po policzku.

- Mam inne plany co do naszego miesiąca miodowego, *matia mou*. Żadnej rodziny, tylko my dwoje.

Ceremonia ślubna odbyła się w salonie rezydencji Blackwellów. Zaproszono nie więcej niż dwanaście osób, wśród nich Vince'a Barnesa, Alice Koppel i Marty'ego Bergheimera. Alexandra błagała babcie, by pozwoliła zaprosić Eve, ale Kate pozostała

nieugięta.

- Noga twojej siostry już nigdy nie postanie w tym domu.

- Babciu - mówiła Alexandra ze łzami w oczach - nie bądź okrutna. Kocham was obie.

Czy nie mogłabyś jej przebaczyć?

Przez chwilę Kate kusilo, by wyjawic Alexandrze całą prawdę o nielojalności Eve, ale się powstrzymała.

- Robię to, co uważam za najlepsze dla wszystkich - powiedziała, ucinając dalszą dyskusję na ten temat.

Fotograf robił zdjęcia podczas całej ceremonii, a potem Kate usłyszała jak George prosi go, by wykonał kilka odbitek, które chciałby posłać rodzinie. „Jaki troskliwy z niego mężczyzna” - pomyślała.

Po ceremonii krajania tortu George szepnął do Alexandry:

- Kochanie, muszę ulotnić się mniej więcej na godzinkę.

- Czy coś się stało?

- Skądże znowu. Tylko że w biurze zgodzono się dać mi urlop na podróż poślubną pod warunkiem, że uporządkuję pewne sprawy dotyczące ważnego klienta. To nie potrwa długo. Nasz samolot odlatuje dopiero o piątej.

- Wracaj szybko. - Uśmiechnęła się. - Nie chciałabym wybrać się w naszą podróż poślubną bez ciebie.

Eve powitała George'a w przezroczystym szlafroku.

- Czy miałeś ładny ślub, kochanie?

- Dziękuję, tak. Skromny, ale elegancki. Przeszedł całkiem gładko.

- A wiesz dlaczego, George? Dzięki mnie. Nigdy nie zapominaj o tym.

Spojrzał na nią i powiedział wolno:

- Nie zapomnę.

- Jesteśmy współnikami. Do końca.

- Oczywiście.

- No, no - uśmiechnęła się Eve. - A więc poślubiłeś moją małą siostrzyczkę.

George spojrział na zegarek.

- Tak. I muszę już wracać.

- Jeszcze nie - oznajmiła mu Eve.

- Niby dlaczego nie?

- Ponieważ najpierw, mój drogi, musisz się ze mną pokochać. Chcę się pieprzyć z

mężem mojej siostrzyczki.

## Rozdział 30

Podróż poślubną zaplanowała Eve.

- Będzie kosztowna - oznajmiła George'owi. - Ale nie skąp niczego.

Sprzedając trzy wspaniałe klejnoty, które otrzymała od pewnego zagorzałego adoratora, i pieniądze dała George'owi.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, Eve - powiedział. - Ale...

- Zwróci mi się to z nawiązką.

Miesiąc miodowy wypadł doskonale. George i Alexandra zatrzymali się w „Round Hill” nad zatoką Montego, w północnej części Jamajki. Recepcję hotelu stanowił niewielki biały budynek stojący pośrodku około dwóch tuzinów oddzielnych bungalowów, ciągnących się wzdłuż wzgórza w kierunku czystego, błękitnego morza. Mellisowie zamieszkali w bungalowie „Noel Coward”. Mieli do dyspozycji basen i pokojówkę, przygotowującą im śniadania, które jadali na wolnym powietrzu. George wynajął niewielki jacht i codziennie żeglowali i łowili ryby. Ponadto kąpali się i czytali, grali w tryktraka i kochali się. Alexandra robiła wszystko, by zadowolić George'a w łóżku, i gdy słyszała, jak jęczy z rozkoszy w szczytowym momencie stosunku, doznawała uczucia niewypowiedzianego wzruszenia.

Podczas piątego dnia pobytu na Jamajce George oznajmił:

- Alex, muszę pojechać w interesach do Kingston. Znajduje się tam filia mojej firmy. Proszono mnie, abym rzucił na nią okiem.

- Dobrze - powiedziała Alexandra. - Pojadę z tobą.

Zmarszczył brwi.

- Bardzo chciałbym się tam z tobą wybrać, kochanie, ale spodziewam się telefonu ze Stanów. Będziesz niestety musiała zostać i odebrać wiadomość.

- Czy nie mógłby tego zrobić ktoś z recepcji? - Alexandra była rozczarowana.

- To zbyt ważne. Nie mogę zaufać tym w recepcji.

- A więc dobrze. Zostanę.

George wynajął samochód i udał się w kierunku Kingston. Było późne popołudnie, gdy tam dotarł. Ulice stolicy wypełniał barwny tłum przybyłych liniowcami turystów robiących zakupy na targu i małych bazarach. Kingston jest ośrodkiem handlu z rafineriami, magazynami i sklepami rybnymi, ale wraz ze swym portem otoczonym lądem to również miasto przepięknych starych budowli, muzeów i bibliotek.

George nie był zainteresowany żadną z tych rzeczy. Czuł gwałtowną potrzebę, która narastała w nim od tygodni; potrzebę, którą musiał w końcu zaspokoić. Wstąpił więc do pierwszego napotkanego baru i uciął krótką pogawędkę z barmanem. Po pięciu minutach szedł już po schodach taniego hoteliku z piętnastoletnią czarnoskórą prostytutką. Spędził z nią dwie godziny. Z pokoju wyszedł już jednak bez niej. Wróciwszy nad zatokę Montego dowiedział się od Alexandry, że nie było do niego żadnego ważnego telefonu.

Nazajutrz rano gazety w Kingston doniosły, że pewien turysta brutalnie pobił i okaleczył prostytutkę, którą przywieziono do szpitala w bardzo ciężkim stanie.

Tymczasem w firmie Hanson and Hanson przełożeni rozmawiali o George'u. Ostatnio klienci coraz częściej skarżyli się na sposób, w jaki obraca ich papierami wartościowymi. Kilka dni temu podjęto decyzję o zwolnieniu go. Teraz jednak musiano wziąć pod uwagę nowe okoliczności.

- Jest mężem jednej z wnuczek Kate Blackwell - powiedział jeden z przełożonych George'a. - To stawia całą sprawę w nowym świetle.

- Z pewnością - odparł drugi. - Gdyby udało nam się dobrać do konta Blackwellów...

Atmosfera chciwości była niemal namacalna. Obaj przełożeni uznali, że George Mellis zasłużył na jeszcze jedną szansę.

Gdy Alexandra i George wrócili ze swej podróży poślubnej, Kate oznajmiła im:

- Chciałabym, abyście wprowadzili się do mnie. To ogromny dom i z pewnością nie przeszkadzalibyśmy sobie nawzajem. Moglibyście...

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - przerwał George - ale uważam, że najlepiej byłoby, gdybyśmy mieli własny kąp.

Nie miał zamiaru mieszkać pod jednym dachem ze starszą panią, kręcącą się stale w pobliżu, śledzącą każdy jego krok.

- Rozumiem - odparła Kate. - W takim razie pozwólcie, że kupię wam dom w prezencie ślubnym.

George objął ją i pocałował serdecznie.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony - rzekł głosem drżącym z emocji. - Alex i ja jesteśmy bardzo wdzięczni.

- Dziękuję, babciu - powiedziała Alexandra. - Rozejrzymy się za jakimś miejscem w pobliżu.

- Racja - zgodził się George. - Chcemy być blisko, aby mieć ciebie na oku. Wiesz,



jesteś diabelnie pociągającą kobietą!

Po tygodniu poszukiwań znaleźli przepiękny stary dom z piaskowca w pobliżu parku, o dwanaście budynków dalej od rezydencji Blackwellów. Była to urocza trzypiętrowa budowla z wielką sypialnią, dwoma pokojami gościnnymi, pomieszczeniami dla służby, ogromną starą kuchnią, jadalnią ozdobioną kasetonami, eleganckim pokojem mieszkalnym i biblioteką.

- Niestety, kochanie, będziesz musiała sama zająć się urządzeniem mieszkania - powiedział George. - Jestem uwiązany przez klientów.

Prawda była jednak taka, że większość czasu spędzał poza biurem, a klientom poświęcał niewiele uwagi. Dni miał zajęte bardziej interesującymi sprawami.

Policja otrzymywała mnóstwo zeznań od poturbowanych męskich i żeńskich prostytutek, od samotnych kobiet odwiedzających anonimowe bary. Ofiary opisywały swego oprawcę jako przystojnego, wykształconego mężczyznę, mówiącego z obcym akcentem i będącego prawdopodobnie Latynosem. Ci, którzy mieli ochotę obejrzeć policyjne zdjęcia w „albumie przyjemniaczków”, nie mogli jednak dokonać identyfikacji.

Eve i George jedli lunch w małej restauracji poza centrum miasta, gdzie mogli mieć pewność, że nie zostaną rozpoznani.

- Musisz wpłynąć na Alex - powiedziała Eve - żeby sporządziła nowy testament bez wiedzy Kate.

- Jak, u licha, miałbym to zrobić?

- Zaraz ci powiem, kochanie...

Następnego wieczora George był z Alexandrą na kolacji w „Le Plaisir”, jednej z najwykwintniejszych francuskich restauracji w Nowym Jorku.

Właściciel, Pierre Jourdan, zaprowadził go do stołu, przy którym siedziała już Alexandra.

- Wybacz mi, mój aniele - powiedział George, nie mogąc złapać tchu. - Wracam właśnie od moich adwokatów, a wiesz, jacy oni wszyscy są. Komplikują każdą najprostszą nawet sprawę.

- Czy coś się stało, George? - spytała z niepokojem Alexandra.

- Nie. Nic takiego. Zmieniłem tylko mój testament. - Ujął jej dłoń. - Gdyby coś mi się stało, wszystko, co posiadam, przypadnie tobie.

- Kochanie, nie chcę...

- Nie jest tego tak dużo w porównaniu z fortuną Blackwellów, lecz starczy na wszelkie wygody.

- Ale tobie się nic nie stanie, prawda? Nigdy.

- Oczywiście, Alex. Czasem jednak życie lubi płać różne figle. Te rzeczy nie są przyjemne, ale lepiej być na wszystko przygotowanym, nie sądzisz?

Przez chwilę nie odzywała się, myśląc nad tym, co właśnie usłyszała.

- Powinam również zmienić mój testament, prawda? - spytała.

- Po co? - odparł George z udanym zdziwieniem.

- Jesteś moim mężem. To, co należy do mnie, należy do ciebie.

Cofnął rękę.

- Alex. Nie obchodzą mnie twoje pieniądze.

- Wiem o tym, George, ale masz rację. Lepiej jest już zawczasu pomyśleć o przyszłości i być na wszystko przygotowanym. - Oczy Aleksandry napełniły się łzami. - To idiotyczne, ale czuję się taka szczęśliwa, że nie mogę myśleć o tym, iż któremuś z nas mogłoby się przytrafić coś złego. Wydaje mi się, że już zawsze będziemy razem.

- Będziemy - mruknął George.

- Jutro porozmawiam z Bradem Rogersem o zmianie mojego testamentu.

Wzruszył ramionami.

- Jeśli tego sobie życzysz, kochanie - powiedział, a po chwili namysłu dodał: - Nie sądzisz jednak, że byłoby lepiej, gdyby zajął się tym mój adwokat? Zna mój stan posiadania. On może wszystko uzgodnić.

- Zrobię, jak zechcesz. Babcia uważa...

Pogłaskał ją pieszczotliwie po policzku.

- Nie mieszajmy w to twojej babci. Uwielbiam ją, ale nie sądzisz, że nasze sprawy prywatne powinniśmy załatwiać wyłącznie sami?

- Masz rację, kochanie. Nie powiem babci o niczym. Mógłbyś umówić mnie z twoim adwokatem na jutro?

- Przypomnij mi, abym do niego zadzwonił. A teraz zjedzmy coś. Umieram z głodu. Zaczniemy może od raka?

W siedem dni później George spotkał się z Eve w jej mieszkaniu.

- Czy Alex podpisała nowy testament?

- Dzisiaj rano, a w przyszłym tygodniu, w dniu urodzin, otrzyma swoje udziały.

W następnym tygodniu czterdzieści dziewięć procent udziałów Kruger-Brent zostało przekazanych Alexandrze. George zadzwonił do Eve, by ją o tym poinformować.

- To cudownie! - odparła na to. - Wpadnij do mnie wieczorem. Musimy to uczcić.
- Nie mogę. Kate wydaje przyjęcie urodzinowe dla Alexandry.
- Co będą podawać? - spytała Eve po chwili namysłu.
- Skąd, u diabła, mam o tym wiedzieć?
- Dowiedz się. - Eve się wyłączyła.

Po pięciu minutach George zadzwonił ponownie do Eve.

- Nie wiem, dlaczego tak bardzo interesujesz się menu - powiedział złośliwie - skoro nie jesteś zaproszona, ale powiem ci, że będzie *coquille Saint-Jacques*, *chateaubriand*, sałata głowiasta, *brie*, *cappucino* i tort urodzinowy z ulubionymi lodami Alex, neapolitańskimi. Zadowolona?

- Tak, George. Zobaczymy się wieczorem.
- Nie, Eve. W żaden sposób nie mogę wyjść w środku...
- Wymyśl coś.

„Szlag by trafił tę dziwkę!” George odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. „Szlag by trafił to wszystko!” Ma umówione spotkanie z ważnym klientem, które już dwa razy przekładał, a teraz jest na dodatek spóźniony. George Mellis wiedział, że przełożeni tolerują go tylko dlatego, że wszedł do rodziny Blackwellów. Wiedział, że na razie musi pilnować swojej posady, że nie może pozwolić na to, aby cokolwiek miało zniszczyć ten wspaniały image, który wykreował dla Kate i Alexandry.

Wysłał ojcu zaproszenie na ślub, ale stary człowiek nie raczył nawet odpisać. Ani słowa. „Nigdy więcej nie chcę ciebie widzieć - powiedział mu kiedyś. - Nie istniejesz już dla mnie, rozumiesz? Nie istniejesz”. No cóż, ale teraz czeka go niespodzianka. Jego syn marnotrawny powróci.

Przyjęcie z okazji dwudziestych trzecich urodzin Alexandry wypadło wspaniale. Przybyło nań czterdzieści osób, Alexandra prosiła wcześniej George'a, by zaprosił kilku swoich przyjaciół, ale sprzeciwił się.

- To twoje przyjęcie, Alex - powiedział. - Zaprosimy tylko twoich przyjaciół.

Prawda polegała jednak na tym, że George nie miał przyjaciół. Uważał się dumnie za samotnika. Tych, którzy nie potrafili obejść się bez innych, określał mianem mięczaków.

Obserwował, jak Alexandra zdmuchuje świece na torcie i wypowiada w myślach swoje życzenie. Wiedział, że to życzenie jest z nim związane. „Powinnaś - pomyślał - życzyć sobie dłuższego życia, kochanie”. Musiał przyznać, że Alexandra wyglądała wspaniale. Miała na sobie białą szyfonową suknię, dopasowane srebrne pantofelki i diamentowy naszyjnik, prezent od Kate. Duże, gruszkowate kamienie były zawieszane na platynowym łańcuszku i cudownie błyszcząły w blasku świec.

„Pamiętam naszą pierwszą rocznicę - pomyślała Kate patrząc na nie - gdy David nałożył mi ten naszyjnik i powiedział, jak bardzo mnie kocha”.

A George pomyślał: „Ten naszyjnik musi być wart ze sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów”.

George zauważył, że kilku żeńskich gości Alexandry wpatruje się w niego, uśmiecha zachęcająco, dotyka podczas rozmowy. „Napalone dziwki” - pomyślał pogardliwie. W innych okolicznościach, prawdopodobnie, by to wykorzystał, ale nie mógł ryzykować z przyjaciółkami Alexandry. Możliwe, że nie odważyłyby się poskarżyć Alexandrze, ale istniało niebezpieczeństwo, że mogłyby pójść na policję. „Nie, wszystko idzie tak gładko, że nie ma sensu ryzykować”.

Na minutę przed dziesiątą George znalazł się przy telefonie. Po chwili podniósł słuchawkę.

- Halo.

- Pan Mellis?

- Tak.

- Tu telefoniczna agencja zleceń. Prosił pan, żeby zadzwonić o dziesiątej.

Kątem oka zauważył zbliżającą się Alexandrę i przybrał niezadowoloną minę.

- O której godzinie dzwonił?

- Czy to pan Mellis?

- Tak.

- Zapomniał pan o rozmowie o dziesiątej, sir?

Alexandra stała już przy nim.

- Bardzo dobrze - powiedział do słuchawki. - Powiedz mu, że już jadę. Niech na mnie czeka w klubie „PanAm Clipper”.

George z traskiem odłożył słuchawkę.

- Coś nie tak, kochanie? - spytała Alexandra.

- Jeden z idiotów wspólników jest w drodze do Singapuru i zostawił w biurze kilka kontraktów. Muszę mu je zawieźć, zanim odleci samolot.

- Teraz? - W głosie Alexandry zabrzmiała konsternacja. - Czy nie mógłby tego zrobić ktoś inny?

- Jestem jedyną osobą, której ufają - westchnął George. - Pomyślałby ktoś, że nie ma już innych. - Objął ją. - Przepraszam, kochanie. Nie chciałbym ci psuć przyjęcia. Baw się nadal, a ja postaram się wrócić możliwie jak najszybciej.

- Będę za tobą tęsknić. - Z trudem się uśmiechnęła.

Alexandra obserwowała, jak George wychodzi, potem rozejrzała się dokoła, by sprawdzić, czy wszyscy goście dobrze się bawią.

Zastanawiała się, jak Eve spędza swoje urodziny.

Eve otworzyła drzwi, by wpuścić George'a do środka.

- Udało ci się - powiedziała. - Jesteś bardzo sprytnym facetem.

- Nie mogę zostać, Eve. Alex jest...

Ujęła jego dłoń.

- Chodź, kochanie. Mam dla ciebie niespodziankę. Zaprowadziła George'a do małej jadalni. Stół był nakryty dla dwóch osób przepięknym białym obrusem i srebrną zastawą, a na środku paliły się świece.

- Co to za okazja?

- Mam urodziny, George.

- Ależ oczywiście - powiedział nieprzekonująco. - Tylko że ja... nie mam dla ciebie prezentu.

Pogłaskała go po policzku.

- Ależ masz, skarbie. Dasz mi go później. A teraz usiądź.

- Dziękuję - odparł George. - Nie jestem głodny. Dopiero co jadłem obfitą kolację.

- Usiądź - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

George spojrzął jej w oczy i usiadł.

Kolacja składała się z *coquille Saint-Jacques*, *chateaubrianda*, sałaty głowiastej, *brie*, *cappucino* i tortu urodzinowego z neapolitańskimi lodami. Eve usiadła naprzeciw niego obserwując, jak wmusza w siebie jedzenie.

- Alex i ja zawsze dzieliliśmy się wszystkim. Dziś dzielę się jej kolacją urodzinową. Ale w przyszłym roku tylko jedna z nas będzie miała przyjęcie urodzinowe. Nadszedł czas, mój drogi, aby moja siostrzyczka uległa jakiemuś wypadkowi. A potem biedna stara babcia będzie musiała umrzeć ze zgrzyoty. I wszystko należec będzie do nas, George. A teraz chodź do sypialni i daj mi mój prezent urodzinowy.

Bał się tej chwili. Był mężczyzną silnym i pełnym wigoru, a Eve zdominowała go, sprawiła, że czuł się przy niej bezradny. Pozwoliła, by powoli ją rozebrał, a potem ona go rozebrała i umiejętnie doprowadziła do erekcji.

- Oto i twój prezent, kochanie. - Usiadła na nim okrakiem i zaczęła wolno poruszać biodrami. - Ach, teraz jest mi tak dobrze... Nie możesz mieć orgazmu, moje ty biedactwo? A wiesz dlaczego? Ponieważ jesteś wybrykiem natury. Nie lubisz kobiet, prawda, George? Przyjemność sprawia ci jedynie zadawanie im bólu. Chciałbyś i mnie zadać ból. Czyż nie jest tak? Powiedz, że chciałbyś mi zadać ból.

- Chciałbym cię zabić.

Eve się roześmiała.

- Ale nie zrobisz tego, ponieważ tak samo jak ja chciałbyś zagarnąć firmę. Nigdy nie zrobisz tego. A wiesz dlaczego? Ponieważ pewien mój przyjaciel posiada list, który zostanie natychmiast doręczony na policję, gdyby mi się cokolwiek stało.

Nie wierzył jej.

- Blefujesz.

Eve drapała go mocno po klatce piersiowej.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić, prawda?

I nagle zdał sobie sprawę, że ona mówi prawdę. Nigdy nie będzie zdolny uwolnić się od niej! Zawsze będzie przy nim, by sztydzić, ubezwłasnowolniać go. Do końca życia pozostanie już na łasce tej dziwki. I na myśl o tym poczuł, jak coś w nim pęka, wybucha. Przed oczami pojawił się mu jakiś krwawy film i od tego momentu przestał nad sobą panować. To było tak, jakby ktoś obcy, jakaś zewnętrzna siła przejęła nad nim kontrolę. Wszystko odbywało się teraz jak w zwolnionym tempie. Zapamiętał, że zrzucił Eve z siebie, rozwarł jej uda i zapamiętał, jak krzyknęła z bólu. A potem zaczął uderzać bez opamiętania, i to było cudowne, nieopisanie cudowne. Całym jego ciałem wstrząsały spazmy niewysłowionej rozkoszy. „O, Boże - myślał. - Tak długo czekałem na tę chwilę”. Z oddali, nie wiadomo skąd, dochodził czyjś krzyk. Krwawy film stawał się coraz wyraźniejszy i wówczas spojrzał w dół. Eve leżała na łóżku, cała we krwi. Miała zmiądzony nos, a ciało jej pokrywały sińce i ślady oparzeń po papierosie. Miała opuchnięte oczy i złamaną szczękę. Ledwo poruszając kącikami ust skomlała, aby przestał.

George potrząsnął głową, aby upewnić się, czy to aby nie jakiś koszmar senny. A gdy realność sytuacji dotarła do niego z całą wyrazistością, ogarnęło go nagłe przerażenie. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie zdoła się wytłumaczyć z tego, co zrobił. Że wszystko zniszczył. Wszystko!

Pochylił się nad nią.

- Eve.

Otworzyła spuchnięte oko.

- Lekarz... sprowadź... le... lekarza. - Każde słowo wywoływało straszliwy ból. - Harley... John Harley.

Czy może pan zaraz przyjechać? Eve miała wypadek. - To było wszystko, co George powiedział przez telefon.

Doktor Harley wszedłszy do pokoju rzucił okiem na Eve, na poplamione krwią łóżko i ściany i ogarnęła go zgroza. Dotknął przegubu jej ręki. Puls był nierytmiczny.

- Zadzwoń po policję - zwrócił się do George'a. - Powiedz, że będzie potrzebny ambulans.

- John... - wyszeptała Eve prawie nieprzytomna z bólu.

John Harley nachylił się nad łóżkiem.

- Wszystko będzie dobrze. Zabierzemy cię do szpitala.

- Żadnej... policji. - Resztkami sił chwyciła go za rękę.

- Muszę sporządzić raport. Muszę...

- Żadnej... policji... - Zacisnęła mocniej dłoń.

Spojrzał na jej zmasakrowaną twarz i ślady oparzeń po papierosie.

- Staraj się nic nie mówić.

Ból był rozdzierający, ale Eve walczyła o swoją przyszłość.

- Proszę... - Upływały długie chwile, nim słowa wydobywały się z gardła. - To prywatna... Babcia nigdy... nie wybaczyłaby mi... Tylko... nie policja... wypadek... kierowca... zbiegł...

Nie było czasu na dyskusję. Doktor Harley podszedł do telefonu, nakręcił numer, a potem powiedział:

- Mówi doktor Harley. - Podał adres Eve. - Przyślijcie natychmiast ambulans. Znajdźcie doktora Keitha Webstera i powiedzcie mu, że chcę się z nim widzieć w szpitalu. Powiedzcie, że to nagły wypadek. Przygotujcie salę operacyjną. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku - poinformował na koniec i z trzaskiem odłożył słuchawkę.

- Dziękuję, doktorze. - George odetchnął głęboko.

Doktor Harley spojrzał z odrazą na męża Alexandry. George zdołał pospiesznie oczyścić ubranie, ale na rękach i twarzy pozostały ślady krwi.

- Nie dziękuj mi. Robię to dla Blackwellów. Ale pod jednym warunkiem: że zgodzisz

się pójść do psychiatry.

- Niepotrzebny mi jest...

- W takim razie dzwonię na policję, ty sukinsynu. Nie mogę ci tego puścić płazem.

Doktor Harley sięgnął po słuchawkę.

- Niech pan zaczeka! - powiedział pospiesznie George i zaczął się zastanawiać. Prawie wszystko zniszczył, ale teraz jakimś cudem została mu dana szansa. - Dobrze. Pójdę do psychiatry.

Z oddali dobiegło ich wycie syreny.

Pędziła długim tunelem, a kolorowe światełka zapalały się i gasły. Miała wrażenie, że jej ciało jest lekkie i zwiewne. „Mogę fruwać, jeśli chcę” - pomyślała i próbowała poruszyć rękami, ale coś trzymało ją mocno. Otworzyła oczy. Wieziono ją jasnym korytarzem, na wózku popychanym przez dwu mężczyzn w zielonych kitlach i czapkach. „Gram główną rolę w sztuce - pomyślała. - Ale jaka jest moja kwestia? Jakie są słowa?” Kiedy ponownie otworzyła oczy, leżała w dużej, białej sali na stole operacyjnym.

Niski, chudy mężczyzna w zielonym kitlu chirurgicznym pochylił się nad nią.

- Nazywam się Keith Webster - powiedział. - Będę panią operował.

- Nie chcę być brzydka. - Eve mogła mówić tylko szeptem. - Niech pan nie pozwoli mi być... brzydką.

- Nie ma takiego ryzyka - przyrzekł doktor Webster. - Teraz uspię panią. Proszę się rozluźnić.

Skinął ręką na anestezjologa.

George'owi udało się zmyć z siebie krew i uprzątnąć łazienkę Eve. Potem spojrział na zegarek i zaklął. Była trzecia nad ranem. Miał nadzieję, że Alexandra już śpi, ale gdy wrócił do domu i wszedł do ich pokoju, czekała na niego.

- Kochanie! Odchodziłam od zmysłów! Nic ci nie jest?

- Nie. Wszystko w porządku.

Objęła go czule.

- Chciałam już dzwonić na policję. Myślałam, że stało się coś strasznego.

„Jak wiele masz racji” - pomyślał George.

- Czy zawiozłeś mu kontrakty?

- Kontrakty? - zapytał i nagle sobie przypomniał. - Ach, kontrakty. Tak. Zawiozłem. - Miał wrażenie, jakby to kłamstwo odnosiło się do odległej przeszłości.



- Co cię, na Boga, zatrzymało tak długo?

- Jego samolot miał opóźnienie - odparł bez zająknięcia. - Prosił, abym z nim poczekał. Cały czas myślałem, żeby się go jak najszybciej pozbyć, aż w końcu zrobiło się tak późno, że nie chciałem już dzwonić z obawy, by cię nie obudzić.

- Nic się nie stało. Najważniejsze, że już jesteś.

George pomyślał o Eve wynoszonej z mieszkania na noszach. Ostatkiem sił wysapała parę słów: „Jedź... do domu... nic... mi nie będzie...” Przypomniawszy sobie jej złamaną szczękę, wykrzywioną twarz. Ale co będzie, jeśli Eve umrze? Zostanie oskarżony o morderstwo, wsadzony do więzienia. Jeśli ona przeżyje, wszystko będzie dobrze, tak jak dawniej. Eve przebaczy mu, ponieważ będzie jej nadal potrzebny.

Przez resztę nocy George nie zmrugał oczu. Myślał o Eve. Myślał o tym, jak krzyczała i błagała o litość. Poczł znowu chrzęst kości pod swymi pięściami, zapach jej przypalanego ciała i w tym momencie był bliski pokochania jej.

Całe szczęście, że John Harley mógł oddać Eve w ręce Keitha Webstera. Doktor Webster był jednym z najznakomitszych chirurgów plastycznych na świecie. Przyjmował w prywatnym gabinecie na Park Avenue i miał własną klinikę w dolnej części Manhattanu, gdzie specjalizował się w operowaniu wad wrodzonych. Ludzie przychodzący do kliniki płacili tylko tyle, na ile mogli sobie pozwolić. Doktor Webster był również wzywany do osób, które uległy wypadkom, ale gdy zobaczył zmasakrowaną twarz Eve, ogarnęło go przerażenie. Widział zdjęcia Eve w czasopiśmie i widok tej pięknej kobiety, która została tak oszpecona, wywołał w nim zgrozę.

- Kto to zrobił, John?

- Kierowca zbiegł z miejsca wypadku, Keith.

Keith Webster parsknął.

- A potem kierowca wrócił, by ją rozebrać i zgasić papierosa na jej pośladkach? Jak było naprawdę?

- Wybacz mi, ale nie mogę z tobą dyskutować na ten temat. Czy możesz ją z powrotem poskładać?

- Na tym właśnie polega moja praca, John. Składam ich wszystkich z powrotem.

Było już prawie południe, gdy doktor Webster powiedział w końcu do swych asystentów:

- Skończone. Zabierzcie ją na oddział intensywnej terapii. Powiadomcie mnie,

gdybyście coś zauważyli.

Operacja trwała dziewięć godzin.

W czterdzieści osiem godzin później Eve opuściła oddział intensywnej terapii. George przybył do szpitala. Musiał zobaczyć się z Eve. Musiał z nią porozmawiać, upewnić się, czy nie knuje jakiejś okropnej zemsty przeciw niemu.

- Jestem adwokatem panny Blackwell - oznajmił dyżurnej pielęgniarce. - Prosiła, abym się z nią zobaczył. Nie potrwa to długo.

Pielęgniarka spojrzała na tego przystojnego mężczyznę.

- W zasadzie nie powinna nikogo przyjmować, jednakże w tym wypadku...

- Dziękuję - odparł George i uśmiechnął się do niej szarmancko.

Po chwili był już w izolatce, gdzie Eve leżała płasko na plecach owinięta bandażami, podłączona do rurek wyglądających jak plugawe akcesoria.

Z całej twarzy widać było tylko oczy i usta.

- Dzień dobry, Eve...

- George... - Z jej gardła wydobywał się ledwo słyszalny szept. Musiał się więc mocno nachylić do niej. - Nie... powiedziałaś Alex?

- Nie. Oczywiście, że nie. - Usiadł na brzegu łóżka. - Przyszedłem, ponieważ...

- Wiem, czemu przyszedłeś... Poradzimy sobie z tym...

Doznał uczucia niewypowiedzianej ulgi.

- Tak mi przykro, Eve. Naprawdę. Ja...

- Niech ktoś zadzwoni do Alex... i powie jej, że wyjechałam... Za kilka tygodni... Z powrotem...

- Dobrze.

Dwoje przekrwionych oczu spojrzało na George'a.

- George... wyświadczyć mi przysługę.

- Tak?

- Umrzyj w mękach...

Zasnęła. Gdy się obudziła, przy jej łóżku stał doktor Keith Webster.

- Jak się pani czuje? - Głos jego brzmiał łagodnie i uspokajająco.

- Jestem bardzo zmęczona... Co się... ze mną stało?

Doktor Webster zawahał się. Prześwietlenie wykazało pęknięcie kości jarzmowej oraz mnogie złamania. Wgłębienie łuku jarzmowego uszkodziło mięsień skroniowy tak, że nie

mogła otwierać i zamykać ust, nie czując przy tym straszego bólu. Miała złamany nos i dwa żebra, a na pośladkach i podeszwowych stronach stóp głębokie ślady oparzeń po papierosach.

- Co...? - powtórzyła Eve.

- Złamano pani kość policzkową i nos. - Doktor Webster starał się mówić najspokojniej, jak tylko potrafił. - Podstawa oczodołu uległa przesunięciu. Spowodowało to nacisk na mięsień okrężny ust. Były także ślady oparzeń papierosem. Zajęliśmy się wszystkim bardzo starannie.

- Chciałabym spojrzeć w lusterko - wyszeptała Eve.

Była to ostatnia rzecz, na jaką doktor Webster mógłby pozwolić.

- Przykro mi - uśmiechnął się - ale dopiero co zaczęliśmy.

Bała się odpowiedzi na następne pytanie.

- Jak będę... jak ja będę wyglądać, gdy zdejmiecie ze mnie te wszystkie bandaże?

- Będzie pani wyglądać wspaniale. Dokładnie tak samo, jak przed wypadkiem.

- Nie wierzę w to.

- Przekona się pani. A teraz proszę mi powiedzieć, co się stało? Muszę złożyć szczegółowy raport na policję.

Zapanowało długie milczenie.

- Stuknęła mnie ciężarówka.

Doktor Keith Webster zaczął znów zastanawiać się, dlaczego ktoś próbował zniszczyć tak delikatną istotę, choć już dawno przestał się dziwić wybrykom ludzkiej natury, skłonnościom ludzi do okrucieństwa.

- Muszę znać nazwisko tej osoby - powiedział łagodnie. - Kto to zrobił?

- Ford.

- To nazwisko?

- Duży ciężarowy ford.

Doktora Webstera zdumiewała ta zмова milczenia. Najpierw doktor Harley, a teraz Eve Blackwell.

- W razie napadu - poinformował ją Keith Webster - powinienem, zgodnie z prawem, złożyć raport na policję.

Eve chwyciła go kurczowo za rękę.

- Och, proszę. Gdyby moja babcia lub siostra się dowiedziały, nie przeżyłyby tego. Jeśli powiadomi pan policję... w prasie zrobi się szum. Nie musi pan... Proszę...

- Nie mogę napisać, że kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Damy na ogół nie chodzą nagie po ulicach.

- Proszę!

Spojrzał na nią i ogarnęło go współczucie.

- Sądzę, że potknęła się pani i spadła ze schodów głową w dół.

Ścisnęła jeszcze mocniej jego rękę.

- Tak właśnie było...

Doktor Webster westchnął.

- Tak właśnie myślałem.

Od tej chwili Keith Webster codziennie odwiedzał Eve. Czasem zachodził do niej po dwa, trzy razy. Przynosił jej kwiaty i drobne upominki, które kupował w szpitalnym sklepiku. Każdego dnia Eve pytała go z niepokojem:

- Całymi dniami leżę tu sama. Dlaczego nikt nic nie robi przy mnie?

- Moja współpracowniczka pracuje nad panią - odrzekł kiedyś.

- Pana współpracowniczka?

- Matka natura. Pod tymi wszystkimi przerażająco wyglądającymi bandażami leczy się pani cudownie.

Co kilka dni usuwał bandaż, aby ją zbadać.

- Proszę mi podać lusterko - błagała wówczas Eve, ale jego odpowiedź pozostawała niezmienna: - Jeszcze nie.

Stanowił dla niej jedyne towarzystwo i z niecierpliwością zaczęła wyczekiwać jego wizyt. Był niepociągającym mężczyzną, niskim i chudym, o rzadkich rudawych włosach i brązowych oczach, który mi wciąż mrugał. W obecności Eve czuł się onieśmielony i to ją bawiło.

- Czy był pan kiedyś żonaty, doktorze? - spytała go raz.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Sam... nie wiem. Może dlatego, że nie stanowią dobrego materiału na męża. Wciąż jestem wzywany w jakichś nagłych wypadkach.

- Ale musi pan mieć chyba jakąś przyjaciółkę?

- No cóż... Wie pani... - Webster oblał się autentycznym rumieńcem.

- Niech mi pan powie, doktorze - drwiła z niego nadal Eve.

- Nie mam stałej przyjaciółki.

- Założę się, że wszystkie pielęgniarki szaleją za panem.

- Nie. Nie jestem zbyt romantycznym typem człowieka.

„Nie da się ukryć” - pomyślała Eve. A jednak, kiedy rozmawiała o doktorze

Websterze z pielęgniarkami i młodymi lekarkami, które przychodziły, aby wykonywać różne zabiegi na jej ciele, wszystkie wyrażały się o nim tak, jakby był swego rodzaju bogiem.

- Ten człowiek jest cudotwórcą - powiedziała kiedyś jedna z młodych lekarek. - Potrafi zrobić wszystko z ludzką twarzą.

Opowiadały między innymi o cudownym usuwaniu przez niego oszpeceń wrodzonych i nieprawidłowości w budowie różnych części ciała u dzieci, ale gdy Eve zapytała go o to, zaniechał tematu mówiąc:

- Niestety, świat ocenia ludzi według ich wyglądu. Staram się pomagać tym, którzy urodzili się z wadami fizycznymi. Chciałbym odmienić ich los.

Eve dziwił ten człowiek. Nie robił tego dla pieniędzy ani sławy. Był zupełnie bezinteresowny. Nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on i zastanawiała się, co nim kieruje. Była to tylko beznamiętna ciekawość. Keith Webster nie interesował jej wcale. Interesowało ją wyłącznie to, co może dla niej uczynić.

Po piętnastu dniach pobytu w szpitalu została przewieziona do prywatnej kliniki w północnej części stanu Nowy Jork.

- Będzie tam pani miała lepsze warunki - zapewnił ją doktor Webster.

Mimo iż musiał teraz pokonywać znacznie większą odległość, by się z nią zobaczyć, codziennie zjawiał się w klinice.

- Czy nie ma pan innych pacjentów, doktorze? - spytała go kiedyś.

- Takich jak pani - nie.

W pięć tygodni po przewiezieniu Eve do kliniki, doktor Webster zdjął z niej bandaż. Odwrócił jej głowę w jedną i drugą stronę.

- Czy czuje pani jakiś ból? - zapytał.

- Nie.

- Jakiś ucisk?

- Nie.

Lekarz podniósł wzrok na pielęgniarkę.

- Proszę podać pannie Blackwell lusterko.

Eve ogarnął nagły lęk. Tygodniami czekała na tę chwilę. A teraz, kiedy wreszcie nadeszła, poczuła przerażenie. Chciała zobaczyć własną, a nie obcą twarz.

- Boję się... - powiedziała słabym głosem, gdy doktor Webster podał jej lusterko.

- Proszę spojrzeć - rzekł łagodnie.

Przybliżyła powoli lusterko do twarzy i nagle stał się cud! Żadnych zmian. To była jej twarz. Zaczęła szukać jakichś śladów blizn. Nie było żadnych. Oczy zaszyły jej łzami.

Podniosła wzrok znad lusterka i powiedziała: „Dziękuję”, a potem wyciągnęła ręce do Keitha Webstera, by go pocałować. Miał to być krótki pocałunek-podziękowanie, ale Keith Webster łączywie przywarł do niej ustami. Po chwili odsunął się zmieszany.

- Ja... Cieszę się, że jest pani zadowolona.

„Zadowolona!”

- Wszyscy mieli rację. Pan jest cudotwórcą.

- Tylko dlatego, że... mogłem operować kogoś takiego jak pani - odparł nieśmiało.

## Rozdział 31

George Mellis był głęboko wstrząśnięty tym, co się stało. O mały włos, a przekreśliłby wszystko. George nie zdawał sobie wcześniej sprawy z tego, jak wielkie znaczenie ma dla niego przejście kontroli nad firmą Kruger-Brent. Do tej pory zadowalał się prezentami od samotnych pań, ale teraz jego żoną została kobieta z rodziny Blackwellów, a w jego zasięgu była spółka tak wielka, o jakiej jego ojcu nawet się nie śniło. To już nie była gra. Wiedział, że zabije każdego, kto stanie mu na drodze.

George bardzo dbał o swój image doskonałego męża. Każdą wolną chwilę spędzał z Alexandrą. Razem jadali śniadania, często zabierał ją na lunch, razem jeździli do domku letniskowego w East Hampton na Long Island lub latali firmową cessną 620 do Dark Harbor. Dark Harbor było ulubionym miejscem George'a. Uwielbiał ten fantazyjnie zbudowany dom z jego przepięknymi antykami i bezcennymi obrazami. „Już niedługo - myślał przechadzając się po przestronnych pokojach - to wszystko będzie należało do mnie”.

George był również idealnym zięciem. Poświęcał Kate dużo uwagi. Miała już osiemdziesiąt jeden lat, stała na czele rady nadzorczej Kruger-Brent i wciąż tryskała ogromną energią i siłą. George dbał o to, aby raz w tygodniu on i Alexandra spotykali się z nią na kolacji, a oprócz tego co kilka dni telefonował do starszej pani, by pogawędzić. Starannie pielęgnował swój wizerunek kochającego męża i troskliwego zięcia.

Nikt nigdy nie będzie mógł go podejrzewać o zamordowanie dwu tak bliskich mu osób.

Ten stan zadowolenia George'a Mellisa został jednak nagle zmańczony telefonem od doktora Johna Harleya.

- Załatwiłem ci wizytę u psychiatry, doktora Petera Templetona.

- To już naprawdę nie jest konieczne, doktorze Harley - powiedział George, starając się nadać swemu głosowi ciepły i ujmujący ton. - Sądzę...

- Nic mnie nie obchodzi, co ty sądzisz - wybuchnął doktor Harley. - Zawarliśmy umowę. Nie złożę na policji raportu na ciebie pod warunkiem, że skonsultujesz się z psychiatrą. Jeśli chcesz zerwać tę umowę...

- Nie, nie - odparł pospiesznie George. - Jeśli tak pan uważa, to w porządku.

- Numer telefonu do doktora Templetona: Pięć-pięć-pięć-trzy-jeden-sześć-jeden. Zadzwoń do niego! Dzisiaj.

Doktor Harley z trzaskiem odłożył słuchawkę.

„Cholerny natręt” - pomyślał z wściekłością George.

Nie miał zamiaru tracić czasu na spotkania z jakimś bubkiem, ale z drugiej strony nie mógł lekceważyć gadaniny doktora Harleya.

Dobrze, zadzwoni do tego całego Templetona, zobaczy się z nim raz lub dwa razy i na tym sprawa się zakończy.

Eve zatelefonowała do George'a do biura.

- Jestem już w domu - oznajmiła mu.

- Już...? - zapytał ze zdumieniem, a potem z obawą: - Wszystko w porządku?

- Przyjedź i sam się przekonaj. Wieczorem.

- Jest mi to teraz nie na rękę, Eve. Alex i ja...

- O ósmej godzinie.

Nie wierzył własnym oczom. Stała przed nim, piękna jak dawniej, a może nawet jeszcze piękniejsza. Uważnie przyglądał się Eve i nie znajdował żadnego śladu po tej straszliwej krzywdzie, jaką jej wyrządził.

- Niewiarygodne! Wyglądasz... zupełnie tak samo.

- Tak. Jestem wciąż piękna, prawda, George? - Uśmiechnęła się przebiegle, myśląc o tym, co postanowiła z nim zrobić. Był chorym zwierzęciem, nie nadającym się do życia. Miał w pełni zapłacić za to, co jej zrobił, ale jeszcze nie teraz. Nadal go potrzebowała.

Stali naprzeciw siebie, uśmiechając się.

- Eve, nie masz pojęcia, jak bardzo jest mi przykro. Ja...

Eve machnęła ręką.

- Nie mówmy już o tym. Nic się nie zmieniło.

Ale George przypomniał sobie, że coś się jednak zmieniło.

- Dzwonił do mnie Harley - powiedział. - Załatwił mi wizytę u jakiegoś cholernego psychiatry.

Eve potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Powiedz mu, że nie masz czasu.

- Próbowałem. Jeśli nie pójde, złożę na mnie raport na policję... W sprawie... tego wypadku.

- Cholera! - Zamyśliła się głęboko. - Kto to jest?

- Psychiatra? Ktoś o nazwisku Peter Templeton.



- Słyszałam o nim. Cieszy się dobrą opinią.

- Nie przejmuj się. Będę tylko leżał u niego na kanapie przez pięćdziesiąt minut i nic mu nie powiem. Jeśli...

Eve nie słuchała. Wpadł jej do głowy pewien pomysł i właśnie go rozważała. Po chwili spojrzała na George'a.

- Być może jest to najlepsza rzecz, jaka mogła się nam przytrafić.

Peter Templeton miał około trzydziestu pięciu lat, ponad sześć stóp wzrostu, szerokie ramiona, świdrujące, niebieskie oczy i bardziej przypominał zawodowego futbolistę niż doktora. Teraz marszczył brwi nad zapisem w swoim harmonogramie. „George Mellis, mąż jednej z wnuczek Kate Blackwell”. Problemy ludzi bogatych nie interesowały Petera Templetona. Większość z jego kolegów zabijała się o pacjentów z towarzystwa. Kiedy Peter Templeton rozpoczynał praktykę, również i jemu przypadła pewna działka, ale szybko uznał, że nie potrafi współczuć tym ludziom. Przyjmował w swoim gabinecie wdowy pogrążone w przyziemnej rozpacz z powodu niezaproszenia ich na jakiś raut lub finansistów grożących, że popełnią samobójstwo, ponieważ stracili pieniądze na giełdzie.

Świat pełen był problemów, ale Peter Templeton już dawno uznał, że tego rodzaju problemy nie są akurat tymi, których rozwiązywaniem byłby akurat zainteresowany.

„George Mellis”. Peter niechętnie zgodził się go przyjąć. Zrobił to tylko przez wzgląd na doktora Johna Harleya.

- Wolałbym, abyś go posłał gdzie indziej, John - powiedział mu. - Mam naprawdę bardzo napięty terminarz.

- Potraktuj to jako przysługę, Peter.

- Co z nim jest?

- To twoja działka. Ja jestem tylko starym lekarzem domowym.

- Dobrze - zgodził się w końcu Peter. - Niech zadzwoni do mnie.

Teraz George Mellis czekał już w poczekalni. Doktor Templeton nacisnął przycisk interkomu.

- Proszę wprowadzić pana Mellisa.

Peter Templeton widział wcześniej zdjęcia George'a Mellisa w gazetach i magazynach, ale nie spodziewał się, że ujrzy człowieka, z którego bije taka witalność. Słowo „charyzma” nabierało przy nim nowego znaczenia.

Podali sobie ręce, a potem Peter powiedział:

- Proszę usiąść, panie Mellis.

- Czy tutaj? - George spojrział na kanapę.

- Gdzie pan woli.

George usiadł na krześle po przeciwnej stronie biurka, spojrział na Petera Templetona i uśmiechnął się. Przed rozmową z Eve sądził, że będzie drżał w tym momencie, ale później zmienił zdanie. Doktor Templeton miał bowiem stać się jego sprzymierzeńcem, jego ofiarą.

Peter uważnie przyglądał się mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko. Pacjenci przychodzący do niego po raz pierwszy zawsze byli zdenerwowani. Niektórzy pokrywali to pyszałkowatością, inni milczeli lub byli gadatliwi, a jeszcze inni przyjmowali postawę obronną. Peter nie dostrzegł w tym mężczyźnie żadnych oznak zdenerwowania. Przeciwnie, wydawał się zadowolony, że przyszedł. „Dziwne” - pomyślał.

- Doktor Harley powiedział mi, że ma pan pewien problem.

- Niestety nie jeden, ale dwa. - George westchnął głęboko.

- Czy mógłby mi pan o nich powiedzieć?

- Tak się wstydzę tego. Dlatego właśnie nalegałem, by się z panem zobaczyć, doktorze. - Pochylił się do przodu i, patrząc doktorowi Templetonowi prosto w oczy, rzekł z przekonaniem: - Zrobiłem coś, czego nigdy w życiu nie robiłem, doktorze. Uderzyłem kobietę.

Peter nic nie odpowiedział, czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Posprzeczaaliśmy się i straciłem panowanie nad sobą, a kiedy je odzyskałem... już ją... uderzyłem. To było straszne - dodał cicho George.

Jakiś wewnętrzny głos podpowiedział Peterowi Templetonowi, co jest z George'em Mellisem. „On po prostu uwielbia okładać kobiety”.

- Czy to była pańska żona?

- Moja szwagierka.

Przeglądając gazety i magazyny Peter natrafiał czasem na wzmianki o tym, że bliźniaczki Blackwell wzięły udział w jakiejś imprezie dobroczynnej lub raucie. Natrafiał też na ich zdjęcia i teraz przypomniał sobie, że wnuczki Kate Blackwell są identyczne i niezwykle piękne. A więc ten mężczyzna uderzył swoją szwagierkę. Rzecz ta wydała się Peterowi w miarę interesująca. Interesujące było również, że George mówił o tym tak, jakby jedynie wymierzył jej jeden lub dwa policzki. Gdyby to była prawda, John Harley nie należałby, aby zająć się George'em.

- Mówi pan, że ją uderzył. Czy w wyniku tego doznała jakichś obrażeń?

- Prawdę mówiąc, uderzyłem ją dość mocno. Powiedziałem już panu, że straciłem panowanie nad sobą. Kiedy doszedłem do siebie... nie mogłem w to uwierzyć.

„Kiedy doszedłem do siebie. Klasyczna obrona. Ja tego nie zrobiłem, to moja podświadomość”.

- Czy domyśla się pan, co mogło spowodować takie zachowanie?

- Ostatnio żyłem w ogromnym napięciu. Mój ojciec poważnie zachorował. Miał kilka zawałów. Bardzo martwiłem się o stan jego zdrowia. Jesteśmy bardzo zżytą rodziną.

- Czy pański ojciec mieszka tutaj?

- Nie. W Grecji.

„To ten Mellis”.

- Wspomniał pan o dwóch problemach?

- Tak. Moja żona Alexandra... - Przerwał w połowie zdania.

- Macie jakieś problemy małżeńskie?

- Nie w takim sensie, jak pan myśli. Bardzo się kochamy, tylko że... - Zawahał się. - Alexandra nie czuje się ostatnio najlepiej.

- Fizycznie?

- Nie. Psychiczenie. Jest w ciągłej depresji. Stale mówi o samobójstwie.

- Czy próbowała zwrócić się do lekarza?

- Nie. - George uśmiechnął się smutno. - Ona nie chce o tym słyszeć.

„Fatalnie. Jakiemuś doktorowi z Park Avenue przechodzi koło nosa wielka fortuna”.

- Czy rozmawiał pan na ten temat z doktorem Harleyem?

- Nie.

- Ponieważ jest lekarzem domowym, proponowałbym, aby pan jednak z nim porozmawiał. Jeśli uzna za konieczne, poleci jakiegoś psychiatrę.

- Nie - odparł nerwowo George. - Nie chcę, aby Alexandra sądziła, że rozmawiałem o niej za jej plecami. Obawiam się, że doktor Harley mógłby...

- Rozumiem pana, panie Mellis. Sam więc zadzwonię do niego.

Eve, mamy kłopoty - wysapał George. - Ogromne kłopoty.

- Co się stało?

- Zrobiłem dokładnie to, co mi mówiłaś. Powiedziałem, że martwię się o Alexandrę, że ona stale mówi o popełnieniu samobójstwa.

- Ten sukinsyn ma zamiar zadzwonić do Johna Harleya i porozmawiać z nim o tym.

- O Boże! Nie możemy do tego dopuścić. - Eve zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Nagle się zatrzymała. - Dobrze. Zajmę się doktorem Harleyem. Czy Templeton wyznaczył ci jeszcze wizytę?

- Tak.

- A więc idź.

Nazajutrz rano Eve zjawiała się w gabinecie Johna Harleya. Doktor lubił rodzinę Blackwellów. Widział, jak dzieci dorastały. Mocno przeżył tragedię, jaką była śmierć Marianne, próbę zabójstwa Kate i umieszczenie Tony'ego w zakładzie dla nerwowo chorych. Kate tyle przecierpiała. A potem to zerwanie stosunków między nią i Eve. Nie miał pojęcia, co mogło zająć między nimi. Nie wnikał w to. Jego sprawą było dbać o zdrowie rodziny Blackwellów.

- Keith Webster wykonał wspaniałą robotę! - powiedział Harley, gdy Eve weszła do jego gabinetu. Jedynym śladem po operacji była ledwie widoczna, czerwona blizna na czole.

- Doktor Webster usunie tę bliznę mniej więcej za miesiąc.

Harley poklepał ją po ramieniu.

- Ona tylko dodaje ci uroku, Eve. Ogromnie się cieszę. - Podsunął jej krzesło. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nie dla mnie, John, lecz dla Alex.

Doktor Harley zmarszczył brwi.

- Czy ma jakieś problemy? Może coś z George'em?

- Ależ nie - odparła pospiesznie Eve. - George jest bardzo troskliwy wobec Alex. Prawdę mówiąc, to George martwi się o nią. Alex zachowuje się ostatnio dość dziwnie. Jest bardzo przygnębiona. Mięwa nawet myśli samobójcze.

Doktor Harley spojrzał na Eve i powiedział stanowczo:

- Nie wierzę. To niepodobne do Alexandry.

- Wiem. Ja również w to nie wierzyłam, dopóki jej nie zobaczyłam. Byłam zaszokowana zmianą, jaka w niej zaszła. Jest w głębokiej depresji. Jestem naprawdę zaniepokojona, John. Nie mogę pójść z tym do babci... Dlatego właśnie przyszedłam do ciebie. Musisz coś zrobić. - Oczy Eve zamglily się. - Straciłam już babcię. Gdybym jeszcze straciła siostrę, to chyba tego nie przeżyła.

- Od jak dawna to trwa?

- Dokładnie nie wiem. Błagałam ją, żeby z tobą porozmawiała. Na początku odmawiała, ale w końcu udało mi się ją jakoś przekonać. Musisz jej pomóc, John.

- Oczywiście, że tak. Powiedz jej, żeby jutro rano do mnie przyszła. I głowa do góry, Eve. Istnieją dziś leki, które mogą zdziałać cuda.

Doktor Harley odprowadził ją do drzwi. Pomyślał, że Kate potrafi być bardzo

bezlitosna, gdyż Eve jest przecież taką troskliwą osobą.

Po powrocie do swego mieszkania Eve pozbyła się czerwonej blizny na czole za pomocą cold-creamu.

Nazajutrz rano o godzinie dziesiątej sekretarka doktora Harleya oznajmiła:

- Jest już pani Mellis, doktorze.

- Niech wejdzie.

Weszła powoli, niepewna siebie. Była blada i miała sińce pod oczami. Doktor Harley ujął ją za rękę i powiedział:

- Cieszę się, że przyszedł, Alexandro. Słyszałem, że masz jakieś problemy.

- Głupio mi, że cię niepokoję, John - odparła zniżając głos. - Jestem pewna, że to nic poważnego. Gdyby Eve nie nalegała, nigdy bym nie przyszła. Fizycznie czuję się dobrze.

- A psychicznie?

Zawahała się.

- Mam kłopoty z zasypianiem.

- Coś jeszcze?

- Pomyślisz, że jestem hipochondryczką...

- Znam cię dobrze, Alexandro, i wiem, że nie jesteś.

- Wciąż popadam w depresję. - Opuściła głowę. - Odczuwam jakiś niepokój i... zmęczenie. George wychodzi z siebie, żebym była szczęśliwa. Jest niezrównany w wymyślaniu nowych rzeczy, które moglibyśmy robić razem, i nowych miejsc, do których moglibyśmy pojechać. Kłopot w tym, że ja nie mam ochoty robić czegokolwiek ani jechać dokądkolwiek. Wszystko wydaje mi się takie... beznadziejne.

Doktor Harley słuchał uważnie każdego słowa, obserwując ją.

- Czy coś jeszcze?

- Dręczy mnie myśl o... samobójstwie - powiedziała to tak cicho, że ledwie mógł dosłyszeć. Potem podniosła na niego wzrok. - Czy ja popadam w jakąś chorobę psychiczną?

Potrząsnął głową.

- Nie. Nie sądzę, abyś popadała w chorobę psychiczną. Czy słyszałaś kiedykolwiek o anhedonii? - Potrząsnęła głową. - Jest to zaburzenie biologiczne powodujące symptomy, o których mówiłaś. Ta dolegliwość występuje u wielu osób i istnieją dziś leki, dzięki którym leczenie jej nie nastrocza żadnych trudności. Leki te są nie tylko skuteczne, ale i nie wywołują żadnych skutków ubocznych. Zbadam cię dokładnie, ale jestem przekonany, że nie

znajdziemy nic poważnego.

Po skończonym badaniu, gdy Alexandra się ubierała, doktor Harley oznajmił:

- Przepiszę ci wellbutrin, nowy lek antydepresyjny.

Obserwowała z apatią, jak wypisuje receptę.

- Chciałbym, abyś przyszła do mnie za tydzień. Jeśli w tym czasie będziesz miała jakieś problemy, dzwoń do mnie, wszystko jedno o jakiej porze.

- Dziękuję, John - powiedziała. - Tak bardzo chciałabym, aby już skończył się ten koszmarne sen.

- Jaki sen?

- Och, myślałam, że już ci mówiłam. Co noc ten sam. Jestem na statku, wieje wiatr i słyszę, jak fale mnie wołają. Podchodzę do poręczy na nadburciu, spoglądam w dół i widzę siebie, jak tonę...

Znalazłszy się na ulicy, oparła się o mur budynku i odetchnęła głęboko. „Udało się - pomyślała z triumfem. - Mam już to poza sobą”. I Eve wyrzuciła receptę.

## Rozdział 32

Kate Blackwell czuła się zmęczona. Posiedzenie trwało zbyt długo. Wodziła wzrokiem wokół stołu konferencyjnego, przy którym siedzieli trzej mężczyźni i trzy kobiety reprezentujący zarząd. Wszyscy wydawali się rześcy i pełni energii. „To nie posiedzenie się przeciąga - pomyślała Kate. - Tylko ja siedzę tu zbyt długo. Niebawem będę miała osiemdziesiąt dwa lata. Starzeję się”. Myśl ta przygnębiała ją. Nie dlatego, żeby odczuwała lęk przed śmiercią, ale dlatego, że nie była jeszcze przygotowana. Nie zamierzała umrzeć, dopóki na czele Kruger-Brent nie stanie członek rodziny Blackwellów. Po gorzkim rozczarowaniu, jakim była Eve, Kate próbowała wiązać swoje plany z Alexandrą.

- Wiesz, babciu - powiedziała jej kiedyś. - Zrobiłabym dla ciebie wszystko, ale ja po prostu nie jestem zainteresowana pracą w firmie. Myślę, że George byłby wspaniałym dyrektorem...

- Zgadzasz się, Kate? - To pytanie Brada Rogersa wyrwało ją z zadumy. Spojrzała na niego z miną winowajczyni.

- Przepraszam. O co chodzi?

- Omawialiśmy ewentualną fuzję z „Deleco” - odpowiedział bez śladu zniecierpliwienia w głosie.

Brad Rogers niepokoił się o Kate Blackwell. Od kilku miesięcy podczas spotkań zarządu błędziła gdzieś myślami, oddając się swoim mrzonkom, kiedy jednak wydawało mu się, że zaczyna robić się zgrzybiała i powinna wycofać się z rady nadzorczej, Kate wystrzeliwała z jakąś kapitalną uwagą lub pomysłem, wprawiając wszystkich w zdumienie, a zarazem lekkie zakłopotanie. Była zadziwiającą kobietą. Pomyślał o ich dawnym i krótkim romansie, zastanawiając się znowu, dlaczego tak nagle się zakończył.

Była to druga wizyta George'a Mellisa u doktora Petera Templetona.

- Czy w przeszłości często stosował pan przemoc, panie Mellis?

George potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Brzydzę się przemocą. - „Zanotuj to sobie, ty zadowolony z siebie sukinsynu. Koroner zapyta cię o to”.

- Powiedział pan, że nigdy nie był bity przez ojca ani przez matkę.

- Tak. To prawda.

- Czy mógłby pan powiedzieć o sobie, że był posłusznym dzieckiem?

- Sądzę, że normalnym. - „Ostrożnie. Tutaj są pułapki”.

- Normalne dziecko zazwyczaj zostaje od czasu do czasu ukarane za łamanie reguł świata dorosłych.

George uśmiechnął się z dezaprobatą.

- Nie sądzą, abym kiedykolwiek je łamał.

„Łże jak pies - pomyślał doktor Templeton. - Ale dlaczego? Oto jest pytanie. Co on próbuje ukryć?” I przypomniała mu się rozmowa z doktorem Harleyem, jaką odbył po pierwszym spotkaniu z George'em Mellisem.

- Powiedział, że uderzył swoją szwagierkę, John, i...

- Uderzył?! - Głos Johna Harleya drżał z oburzenia. - To była masakra. Zmiażdżył jej kość policzkową, złamał nos i trzy żebra, i poparzył papierosami jej tyłek i podeszwy stopy.

Peter Templeton wzdrygnął się z obrzydzenia.

- Nie wspomniał mi o tym.

- Pewnie, że nie wspomniał - parsknął gniewnie doktor Harley. - Powiedziałem mu, że jeśli się do ciebie nie zgłosi, złożę raport na policję.

Peter przypomniał sobie słowa George'a: „Wstydzę się. Dlatego tak nalegałem na to spotkanie”. A więc i to było kłamstwem.

- Mellis powiedział mi, że jego żona cierpi na depresję, że mówi o samobójstwie.

- Tak. Mogę to potwierdzić. Kilka dni temu Alexandra była u mnie. Przepisałem jej wellbutrin. Niepokoję się o nią. Co sądzisz o George'u Mellisie?

- Jeszcze nie wiem - odparł wolno Peter. - Mam wrażenie, że jest niebezpieczny.

Doktor Keith Webster nie potrafił wymazać z pamięci Eve Blackwell. Była niczym piękna bogini: nierealna i nieosiągalna. Była też pełna życia i podniecająca, podczas gdy on stanowił typ nieśmiałego, nudnego i szarego faceta. Keith Webster nigdy nie był żonaty, ponieważ nigdy nie spotkał dostatecznie okropnej kobiety, która nadawałaby się na jego żonę. Poza pracą nie miał żadnych ambicji. Wychowywał się w domu, w którym rządziła despotyczna matka. Ojciec zaś był słabym, uległym człowieczkiem. Keith Webster odczuwał niewielki pociąg do kobiet, a i ten znajdował ujście w pracy. Ale teraz zaczął śnić o Eve i kiedy rano przypominał sobie swoje sny, ogarniało go zakłopotanie. Była już zupełnie zdrowa i nie miał żadnego powodu, by się z nią jeszcze spotkać, a jednak czuł, że musi to zrobić. Zatelefonował do niej do mieszkania.

- Eve? - powiedział drżącym głosem. - Mówi Keith Webster. Mam nadzieję, że ci nie



przeszkadzam. Ja... ech... myślałem, jak sobie radzisz.

- Dziękuję, Keith. Świetnie. A ty jak sobie radzisz? - W jej głosie znów zabrzmiała szydercza nuta.

- Ja... Też świetnie. - Zapanowało milczenie. W końcu zebrał się w sobie. - Sądzę, że nie miałabyś chyba czasu, aby zjeść ze mną lunch?

Eve uśmiechnęła się do siebie. „Jest klasycznym typem nieśmiałego małego człowieczka - pomyślała. - To będzie nawet zabawne”.

- Z wielką ochotą, Keith - odparła.

- Naprawdę możesz? - zapytał ze zdziwieniem. - Kiedy?

- Może jutro?

- No to jesteśmy umówieni - powiedział pospiesznie w obawie, żeby się nie rozmyśliła.

Eve nie nudziła się podczas lunchu. Doktor Keith Webster zachowywał się jak zakochany sztubak. Upuścił swoją serwetkę, wylał wino i potrącił wazon z kwiatami.

„Kto by przypuszczał - pomyślała patrząc na niego z rozbawieniem - że jest takim wspaniałym chirurgiem”.

Po lunchu Keith Webster zapytał nieśmiało:

- Może... byśmy się jeszcze kiedyś spotkali?

- Lepiej nie, Keith - odparła ze śmiertelną powagą. - Boję się, że mogłabym się w tobie zakochać.

Zarumienił się po same uszy, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Nigdy cię nie zapomnę. - Eve pogłaskała go po dłoni.

Znów potrącił wazon z kwiatami.

John Harley jadł właśnie obiad w szpitalnej stołówce, gdy przysiadł się do niego Keith Webster.

- John - powiedział Keith - obiecuję, że zachowam to tylko dla siebie, ale czułbym się znacznie lepiej, gdybym wiedział, co się naprawdę stało Eve Blackwell?

Harley zawahał się, a potem wzruszył ramionami.

- Dobrze - odparł. - Powiem ci. To zrobił jej szwagier, George Mellis.

Keith Webster poczuł, że od tej chwili dzieli z Eve część jej sekretnego świata.

George Mellis niecierpliwił się.

- Pieniądze leżą, testament został zmieniony, a my na co, u licha, jeszcze czekamy?

Eve siedziała na łóżku z podkurczonymi nogami, obserwując, jak przemierza pokój w jedną i drugą stronę.

- Chcę to już mieć poza sobą, Eve.

„Nie wytrzymuje nerwowo” - pomyślała. Był jak wijący się śmiertelnie wąż. Niebezpieczny. Raz popełniła błąd, zanadto go prowokując; błąd, którego omal nie przypląciła życiem. Teraz wiedziała, że drugi raz nie może sobie na to pozwolić.

- Zgadzasz się z tobą - odparła wolno. - Sądzę, że nadszedł już czas.

Zatrzymał się.

- Kiedy?

- W przyszłym tygodniu.

Wizyta była już prawie zakończona, a George Mellis ani razu nie wspomniał o żonie. Dopiero teraz powiedział nieoczekiwanie:

- Martwię się o Alexandrę, doktorze Templeton. Jej depresja zdaje się pogłębiać. Zeszłej nocy stale powtarzała, że się utopi. Nie wiem, co robić.

- Rozmawiałem z Johnem Harleyem. Przepisał lek, który, jak sądzi, pomoże jej.

- Mam nadzieję, doktorze - odrzekł z przekonaniem George. - Nie zniósłbym, gdyby jej się coś stało.

Peter Templeton, który miał wyczulony słuch na nie wypowiedziane słowa, doznał niepokojącego wrażenia, że został wciągnięty w jakąś okropną szaradę. W tym człowieku kryła się śmiertelna gwałtowność.

- Panie Mellis, jak by pan określił swoje dotychczasowe stosunki z kobietami?

- Jako normalne.

- Czy kiedykolwiek złościł się pan na którąś, tracił panowanie nad sobą?

George Mellis domyślał się, co mają na celu te pytania.

- Nigdy - odparł. „Jestem za sprytny dla ciebie, doktoru.” - Powiedziałem już panu, że brzydę się przemocą.

„To była masakra, Peter. Zmiażdżył jej kość policzkową, złamał nos i trzy zębra, i poparzył papierosami jej tyłek i podeszwowe strony stóp”.

- Czasami - stwierdził Peter - niektórym ludziom przemoc daje konieczne rozładowanie. Dzięki niej pozbywają się napięcia psychicznego.

- Wiem, co pan ma na myśli. Mam znajomego, który bije dziwki.

„Mam znajomego”. Sygnał ostrzegawczy.

- Niech pan mi o nim opowie.

- Nienawidzi prostytutek. Zawsze pragną go oskubać. Więc czasem po zabawie sprawia im małe lanie. - Spojrzał na twarz Petera, ale nie zauważył na niej wyrazu dezaprobaty. Zachęcony tym, ciągnął więc dalej: - Pamiętam, jak kiedyś byliśmy razem na Jamajce. Ta mała, czarna dziwka zaciągnęła go do pokoju hotelowego i, gdy ściągnęła już majtki, zażądała więcej pieniędzy. - George uśmiechnął się. - Skutecznie wybił jej to z głowy. Założę się, że już z nikim nie będzie próbować takich numerów.

„Typ psychotyczny” - uznał Peter Templeton. Nie było żadnego znajomego, rzecz jasna. Chętnie się sobą, ukrywając za drugim ja. „Ten człowiek jest megalomanem, i to niebezpiecznym”.

Peter uznał, że powinien jak najszybciej odbyć jeszcze jedną rozmowę z Johnem Harleyem.

Obaj mężczyźni spotkali się na lunchu w „Harvard Club”. Peter Templeton znajdował się w bardzo niezręcznej sytuacji. Chciał uzyskać możliwie jak najwięcej informacji o George’u Mellisie bez naruszenia tajemnicy lekarskiej.

- Co mógłbyś powiedzieć o żonie George’a Mellisa? - zapytał.

- O Alexandrze? Jest urocza. Opiekuję się nią i jej siostrą Eve od urodzenia. - Roześmiał się cicho. - Słyszysz o identycznych bliźniętach, ale dopiero gdybyś zobaczył te dwie, przekonałbyś się, co to oznacza.

- A więc są identyczne? - zapytał wolno Peter.

- Nie do odróżnienia. Płatały mnóstwo najprzeróżniejszych figli, gdy były smarkułami. Pamiętam, że kiedyś, gdy Eve zachorowała, miałem dać jej zastrzyk, ale jakimś cudem skończyło się na tym, że dostała go Alexandra. - Pociągnął mały łyk alkoholu. - To zadziwiające. Teraz są już dorosłe, a ja nadal nie mogę ich odróżnić.

Peter zastanowił się nad tym.

- Powiedziałeś, że Alexandra przyszła do ciebie, ponieważ dręczą ją myśli samobójcze.

- Zgadza się.

- John, skąd wiesz, że to była Alexandra?

- To proste - odparł doktor Harley. - Na czole Eve nadal znajduje się mała blizna po operacji, jaką miała po tym laniu, które sprawił jej George Mellis.

A więc to była ślepa uliczka.

- Ach tak, rozumiem.

- Jak sobie dajesz radę z Mellisem?

Peter zastanawiał się, jak wiele może powiedzieć.

- Jeszcze go całkiem nie rozgryzłem. Kryje się za fasadą, którą próbuję zburzyć.

- Uważaj, Peter. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to ten człowiek jest obłąkany.

Doktor Harley stale miał przed oczyma obraz Eve leżącej w kałuży krwi.

- Obie siostry dziedziczą ogromny majątek, prawda? - zapytał Peter.

Teraz z kolei John Harley się zawahał.

- Są to sprawy rodzinne - powiedział - ale odpowiedź brzmi: nie. Ich babka wydziedziczyła Eve ze wszystkiego. To Alexandra otrzyma cały majątek.

„Martwię się o Alexandrę, doktorze Templeton. Jej depresja zdaje się pogłębiać. Stale mówi o utopieniu się. Nie zniósłbym, gdyby coś się jej stało”.

Dla doktora Templetona to wszystko wyglądało na klasyczny plan zbrodni doskonałej, choć jedna rzecz pozostawała tu niejasna. George Mellis sam był dziedzicem ogromnej fortuny i nie miał powodów zabijać kogokolwiek dla pieniędzy. „Ponosi cię wyobraźnia” - zbeształ siebie w myślach.

Kobieta tonęła w zimnej wodzie morskiej, a on próbował płynąć do niej, ale fale były zbyt wysokie. Znikała w nich i wynurzała się na przemian. „Wytrzymaj jeszcze trochę! - krzyknął do niej. - Zaraz tam będę”. Próbował płynąć szybciej, ale ręce i nogi miał jak z ołowiu. Znowu zobaczył, jak znika pod wodą. Dopłynąwszy w końcu, rozejrzał się wokoło i nagle dostrzegł ogromne cielsko rekina zwałające się na niego. Peter Templeton obudził się. Zapalił światło i usiadł na łóżku, myśląc o swoim śnie.

Nazajutrz wcześniej rano zadzwonił do detektywa porucznika Nicka Pappasa.

Nick Pappas był potężnym mężczyzną mierzącym sześć stóp i cztery cale, ważącym prawie trzysta funtów, ale na jego ciele nie było nawet grama tłuszczu. Porucznik Pappas pracował w sekcji zabójstw w rewirze „jedwabnych pończoch” na Manhattanie. Peter poznał go przy okazji jakiegoś procesu, na którym jako biegły sądowy wydawał opinię o oskarżonym. Od tego czasu on i Pappas stali się przyjaciółmi. Wielką namiętnością Pappasa były szachy i obaj mężczyźni spotykali się raz w miesiącu, by rozegrać partyjkę.

- Sekcja zabójstw. Pappas - odebrał telefon Nick.

- Mówi Peter, Nick.

- Mój przyjacielu! Jak ci idzie z tajemnicami ludzkiej psyche?

- Nadal próbuję je zgłębiać, Nick. A jak się czuje Tina?

- Fantastycznie. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Potrzebuję kilku informacji. Czy nadal masz jakieś koneksje w Grecji?

- Czy mam nadal? - jęknął Pappas. - Mam tam wszędzie setki krewnych i wszyscy potrzebują pieniędzy. Najgłupsze jest to, że ja im je posyłam. Może powinieneś przeanalizować mój przypadek?

- Za późno - stwierdził Peter. - Jesteś przypadkiem beznadziejnym.

- To właśnie stale powtarza mi Tina. Jakich informacji potrzebujesz?

- Czy kiedykolwiek słyszałeś o George'u Mellisie?

- O tym z rodziny potentatów żywności?

- Tak.

- Nie mam go akurat na celowniku, ale wiem, kim jest. Co z nim?

- Chciałbym wiedzieć, czy ma jakieś pieniądze?

- Chyba kpisz sobie. Jego rodzina...

- Chodzi mi o to, czy on sam ma pieniądze.

- Sprawdzę, Peter, ale to tylko strata czasu. Mellisowie są bogaci, że ho, ho.

- Przy okazji, jeśli masz kogoś, kto będzie zadawał pytania ojcu George'a Mellisa, powiedz mu, aby robił to delikatnie. Starszy pan miał ostatnio kilka zawałów.

- Okay. Prześlę mu je telegramem.

Peter przypomniał sobie swój sen.

- Nick, czy nie zrobiłoby ci różnicy, gdybyś zadzwonił? Dzisiaj?

- Czy chciałbyś mi coś powiedzieć, Peter? - Głos Pappasa zabrzmiał nieco inaczej.

- Nie, nic takiego. Chcę tylko zaspokoić swoją ciekawość. Obciąż mnie za rozmowę.

- Niech mnie diabli, jeśli tego nie zrobię. I kolacją, na którą mnie zaprosisz, by powiedzieć, co to za pieprzona sprawa.

- Załatwione. - Peter Templeton odłożył słuchawkę. Rozmowa ta nieco mu ulżyła.

Kate Blackwell nie czuła się najlepiej. Rozmawiała przez telefon, gdy nagle zasłabła. Pokój zawirował; chwyciła się mocno biurka i minęła dłuższa chwila, nim wszystko wróciło do normy.

Do gabinetu wszedł Brad. Rzucił krótkie spojrzenie na jej bladą twarz.

- Nic ci nie jest, Kate? - zapytał.

Udało jej się wstać zza biurka.

- Mały zawrót głowy. Nic poważnego.

- Kiedy ostatni raz robiłaś badania kontrolne?

- Nie mam czasu na takie bzdury, Brad.

- To znajdź. Powiem Annette, aby umówiła cię z Johnem Harleyem.
- Do diabła, Brad! Czy musisz mi zawracać tym głowę?
- Czy pójdziesz do niego?
- Jeśli jest to jedyny sposób, żeby się ciebie pozbyć.

Nazajutrz rano sekretarka Petera Templetona powiedziała:

- Detektyw Pappas na pierwszej linii.
- Przełącz go - odparł Peter. - Jak się masz, Nick?
- Sądzę, że ty i ja powinniśmy odbyć małą rozmowę, mój przyjacielu.

Peter poczuł wzrastający niepokój.

- Rozmawiałeś z kimś na temat Mellisa?

- Rozmawiałem z samym czcigodnym staruszkiem. Po pierwsze, nigdy w życiu nie miał zawału, a po drugie, powiedział, że o ile mu wiadomo, jego syn George nie istnieje. Wydziedziczył go ze wszystkiego parę lat temu. Kiedy zapytałem dlaczego, starszy pan odłożył słuchawkę. Potem zadzwoniłem do jednego z moich starych kumpli w centrali w Atenach. Twój George Mellis to niezły ptaszek. Policja zna go dobrze. Zabawia się bijąc panienki i chłopców. Jego ostatnią ofiarą przed wyjazdem z Grecji była piętnastoletnia męska prostytutka. Ciało tego nieszczęśnika znaleziono w hotelu i niebawem wykryto, kto to zrobił. Stary Mellis przekupił kogoś, a biedny George musiał zwinąć dupę w troki i wynieść się z Grecji na dobre. Czy zadowala cię to?

Petera Templetona nie tyle to zadowalało, co przerażało.

- Dzięki, Nick. Jestem ci winien kolejkę.

- Jasne, chłopcze. Mam nadzieję, że nie poprzestaniesz tylko na jednej. Jeśli twój chłopiec będzie chciał sobie pohulać, lepiej mnie zawiadom.

- Zrobię to, jak tylko się o tym dowiem. Ucałuj ode mnie Tinę.

Peter odłożył słuchawkę. Miał wiele do przemyślenia. Po południu powinien przyjść George Mellis.

Doktor John Harley przeprowadzał właśnie badania, gdy recepcjonistka poinformowała go, że pani Mellis przyszła się z nim zobaczyć.

- Nie miała wyznaczonego spotkania, doktorze, więc powiedziałam, że jest pan...
- Wprowadź ją do mnie bocznymi drzwiami.

Jej twarz była jeszcze bledsza niż poprzednim razem, a sińce pod oczyma wyraźniejsze.

- Przepraszam, że przychodzę tak bez zapowiedzi, John, ale...

- Nic się nie stało, Alexandro. Z czym masz problemy?

- Ze wszystkim. Czuję się... Czuję się okropnie.

- Czy bierzesz regularnie wellbutrin?

- Tak.

- I nadal masz depresję?

- To coś gorszego niż depresja - powiedziała zaciskając palce. - To... Czuję się zrozpaczona. Czuję, jakbym już nad niczym nie mogła zapanować. Nie mogę z sobą wytrzymać. Boję się, że... zrobię coś strasznego.

- Pod względem fizycznym - powiedział uspokajająco doktor Harley - nic złego się nie dzieje. Ręczę swoim autorytetem. Jest to wyłącznie kwestia psychiczna. Przepiszę ci inny lek, nomifensynę. Jest bardzo skuteczny. Po kilku dniach powinnaś zauważyć zmianę. - Wypisał receptę i podał jej. - Jeśli do piątku nie poczujesz się lepiej, koniecznie zadzwoń do mnie. Być może będę musiał skierować cię do psychiatry.

W trzydzieści minut później, już w swoim mieszkaniu, Eve usunęła z twarzy bladą maskę z kremu kosmetycznego i wytarła ciemne plamy pod oczami.

Sprawy zaczęły przybierać coraz szybszy obrót.

George Mellis usiadł naprzeciw Petera Templetona uśmiechając się.

- Jak pan się dzisiaj czuje?

- Dużo lepiej, doktorze. Tych kilka spotkań, które odbyliśmy, pomogło mi bardziej, niż pan sobie wyobraża.

- Naprawdę? W jaki sposób?

- Och, po prostu wreszcie mogłem się komuś zwierzyć. To chyba jedna z zasad wiary, na której zbudowany jest Kościół katolicki? Spowiedź?

- Cieszę się, że nasze spotkania uważa pan za tak pomocne. Czy żona czuje się już lepiej?

George zmarszczył brwi.

- Niestety, nie. Widziała się znów z doktorem Harleyem, ale mimo to coraz częściej mówi o samobójstwie. Muszę ją gdzieś zabrać. Myślę, że potrzebuje zmiany.

Peterowi wydało się, że w słowach tych kryje się jakaś złowieszcza przepowiednia. A może to tylko jego wyobraźnia...?

- Grecja jest wspaniałym miejscem do odpoczynku - powiedział jakby mimochodem. - Czy pan był już z żoną u swojej rodziny?

- Jeszcze nie. Nie mogą się doczekać, by poznać Alexandrę. - Wyszczерzył zęby. - Kłopot w tym, że gdy tylko ja i mój starszy brat zejdziemy się razem, on nie mówi o niczym innym, jak tylko o tym, żebym wrócił i przejął rodzinny interes.

W tej właśnie chwili Peter zdał sobie sprawę, że Alexandrze grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jeszcze długo po wyjściu George'a Mellisa Peter Templeton przeglądał swoje notatki. W końcu podniósł słuchawkę. - Chciałbym cię prosić o przysługę, John. Czy mógłbyś jakoś sprawdzić, dokąd George Mellis zabrał żonę w podróż poślubną? - Mogę ci to od razu powiedzieć. Przed wyjazdem zrobiłem im kilka zastrzyków. Byli na Jamajce.

„Mam znajomego, który bije dziwki. Pamiętam, jak kiedyś byliśmy razem na Jamajce. Ta mała, czarna dziwka zaciągnęła go do pokoju hotelowego i gdy zdjęła już majtki, zażądała więcej pieniędzy... Skutecznie wybił jej to z głowy. Założę się, że już z nikim nie będzie próbować takich numerów”.

Nadal jednak nie miał dowodu na to, że George Mellis zamierza zamordować swoją żonę. John Harley potwierdził, że Alexandra Mellis jest bliska samobójstwa. „To nie mój problem” - próbował wmówić sobie. Wiedział jednak, że to jest jego problem.

Peter Templeton nie miał łatwego startu życiowego. Ojciec był dozorcą w college'u w małym miasteczku w stanie Nebraska i Peter, pomimo swoich zdolności, nie mógł sobie pozwolić na studiowanie w jednej z tych renomowanych szkół medycznych należących do Ivy League.

Ukończył Uniwersytet Nebraska z wyróżnieniem, a następnie poświęcił się studiowaniu psychiatrii. Od początku miał wzięcie jako lekarz. Tajemnica jego powodzenia tkwiła w tym, że naprawdę lubił ludzi, przejmował się ich problemami. Alexandra Mellis nie była jego pacjentką, a mimo to martwił się o nią. Stanowiła jakby brakujące ogniwo do rozwiązania zagadki i rozmowa z nią w cztery oczy mogła wiele wyjaśnić. Wyjął kartę George'a Mellisa, znalazł numer jego telefonu domowego i zadzwonił do Alexandry Mellis. Służąca poprosiła ją do telefonu.

- Pani Mellis, nazywam się Peter Templeton i jestem...

- Ależ wiem, kim pan jest, doktorze. George mówił mi o panu.

Peter był zdziwiony. Mógłby założyć się o każdą sumę, że George Mellis nigdy nie wspomni o nim żonie.

- Czy mogłaby się pani ze mną spotkać? Powiedzmy na lunchu?

- Czy chodzi o George'a? Coś się stało?



- Nie, nic. Pomyślałem tylko, że moglibyśmy porozmawiać.

- Tak, oczywiście, doktorze Templeton. Wyznaczyli sobie spotkanie na następny dzień.

Siedzieli przy narożnym stole w „La Grenouille”. Od chwili gdy Alexandra weszła do restauracji, Peter nie mógł oderwać od niej oczu. Ubrana była w zwyczajną białą spódnicę i bluzkę, które podkreślały jej figurę, a na szyi miała pojedynczy sznur pereł. Peter próbował doszukać się w niej oznak zmęczenia i depresji, o których wspominał doktor Harley. Niczego takiego nie dostrzegł. Nawet jeśli Alexandra była świadoma, że wytrzeszcza na nią oczy, nie dawała po sobie tego poznać.

- Mojemu mężowi nic nie jest, prawda, doktorze Templeton?

- Tak.

To będzie o wiele trudniejsze, niż przypuszczał. Będzie musiał stąpać po bardzo cienkiej linie. Nie ma prawa naruszać tajemnicy lekarskiej, a jednocześnie musi przecież ostrzec Alexandrę Mellis.

Po złożeniu zamówienia Peter powiedział:

- Czy mąż mówił pani, dlaczego do mnie przychodzi?

- Tak. Ostatnio żyje w dużym napięciu. Jego wspólnicy w firmie maklerskiej spychają na niego większość spraw. George jest, jak pan zapewne zauważył, doktorze, bardzo sumienny.

„To niewiarygodne - pomyślał Peter Templeton. - Ona zupełnie nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie jej grozi. Czemu nikt jej nie ostrzegł?”

- George powiedział mi, jak wiele mu dało to, że mógł z kimś porozmawiać o swoich problemach. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Cieszę się bardzo, że mu pan pomaga.

„Jest taka niewinna!” To oczywiste, że idealizuje swego męża. To, co chciał jej oznajmić, mogłoby ją zniszczyć. Jakże mógłby powiedzieć tej kobiecie, że jej mąż jest psychopata, który zabił młodą męską prostytutkę, który został skazany na banicję przez swoją rodzinę i który brutalnie pobił jej siostrę? Ale z drugiej strony - jakżeby mógł nie powiedzieć?

- Ma pan bardzo piękny zawód, doktorze - ciągnęła Alexandra. - Może pan dopomóc tylu ludziom.

- Czasem nam się to udaje - odparł ostrożnie. - A czasem nie.

Podano lunch i jedząc prowadzili dalej rozmowę. Nawiązała się między nimi nic porozumienia. Peter był oczarowany i nagle przyłapał się na tym, że jest zazdrosny o George'a Mellisa.

- Bardzo miło się nam rozmawia - rzekła w końcu Alexandra - ale zdaje się, pan chciał się ze mną zobaczyć w jakimś konkretnym celu, doktorze Templeton?

Nadeszła chwila prawdy.

- Istotnie. Ja...

Peter przerwał. Następne słowa mogłyby zniszczyć jej życie. Przyszedł na lunch z mocnym postanowieniem wyjawienia jej swoich podejrzeń i zasugerowania, aby umieścić męża w zakładzie. Teraz, kiedy już poznał Alexandrę, zrozumiał, że nie będzie to takie proste. Jeszcze raz pomyślał o słowach George'a Mellisa: „Nie czuje się wcale lepiej. Niepokoję się, że może sobie coś zrobić”. I pomyślał też, że jeszcze nigdy nie widział szczęśliwszej i normalniejszej osoby. Czy był to efekt działania leku? Przynajmniej o to mógłby ją zapytać?

- John Harley - zaczął - powiedział mi, że bierze pani...

Nie dokończył, gdyż nagle rozległ się głos George'a Mellisa:

- Ach, jesteś, kochanie! Dzwoniłem do domu i poinformowano mnie, że będziesz tutaj. - Spojrzał na doktora Templetona. - Czy mogę się przysiąc?

Okazja została zaprzepaszczona.

Dlaczego chciał się widzieć z Alex? - spytała natarczywie Eve.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł George. - Dzięki Bogu, zostawiła wiadomość, gdzie jej szukać w razie czego. Z Peterem Templetonem, Chryste Panie! Zjawiłem się tam w samą porę.

- Nie podoba mi się to.

- Uwierz mi, nic takiego się nie stało. Wypytywałem ją potem, ale powiedziała, że nie rozmawiali o niczym szczególnym.

- Sądzę, że powinniśmy przystąpić do najważniejszej części naszego planu.

Na dźwięk tych słów George'a Mellisa przeszedł niemal dreszcz rozkoszy. Tak długo czekał na tę chwilę.

- Kiedy?

- Natychmiast.

## Rozdział 33

Zawroty głowy stawały się coraz silniejsze i w jej umyśle wszystko zaczynało się zamazywać. Siedziała za biurkiem, rozważając propozycję jakiejś fuzji, i nagle uświadomiła sobie, że ta fuzja miała miejsce dziesięć lat temu. Przerazało ją to. W końcu postanowiła zastosować się do rady Brada Rogersa i pójść do doktora Harleya.

Wiele lat minęło od czasu, gdy doktor Harley mógł przekonać Kate Blackwell co do potrzeby poddawania się okresowym badaniom lekarskim, więc teraz postanowił w pełni wykorzystać tę okazję. Zbadał ją dokładnie, a potem poprosił, by poczekała na niego w gabinecie. John Harley był zmartwiony. Kate Blackwell prowadziła bardzo czynny tryb życia jak na swój wiek, a pojawiły się u niej pewne niepokojące objawy: widoczne stwardnienie tętnic, powodujące zawroty głowy i zaburzenia pamięci. Powinna była już dawno przestać pracować, a mimo to nadal nieustępliwie trwała na swym miejscu, nie chcąc oddać steru w inne ręce. „Ale jak ja jej mogę o tym powiedzieć? - pomyślał. - Sam powinienem już dawno przejść na emeryturę”.

I oto stojąc teraz przed Kate z wynikami badań, John Harley rzekł:

- Chciałbym mieć twoje zdrowie, Kate.

- Nie owijaj w bawełnę, John. Powiedz lepiej od razu, co mi jest.

- Lata robią swoje. Masz niewielkie stwardnienie tętnic i...

- Arterioskleroza?

- Hm, czy taki jest termin medyczny? - spytał doktor Harley. - Jakkolwiek się to nazywa, ty to masz.

- Jak źle jest ze mną?

- Biorąc pod uwagę wiek, powiedziałbym, że stan twego zdrowia jest zupełnie normalny. Te wszystkie sprawy są względne.

- Czy możesz przepisać mi coś, co by przerwało te cholerne zawroty głowy? Nie lubię mdleć w pomieszczeniu pełnym mężczyzn. To nie najlepiej świadczy o mojej sprawności seksualnej.

- Nie sądzę, abyś akurat o to musiała się martwić. Kiedy zamierzasz usunąć się z czynnego życia?

- Kiedy będę miała prawnuka, który by przejął interes.

Dwoje starych przyjaciół zmierzyło się wzrokiem. John Harley nie zawsze zgadzał się z Kate, ale zawsze podziwiał jej niezłomną wolę.

- Wiesz, John - westchnęła Kate, jakby czytając w jego myślach - jakie było jedno z największych rozczarowań w moim życiu? Eve. Tak bardzo zależało mi na tym dziecku. Chciałam jej dać cały świat, ale ją nigdy nikt inny nie obchodził, z wyjątkiem jej samej.

- Mylisz się, Kate. Eve dużo o tobie myśli.

- Jak cholera.

- Akurat wiem coś o tym. Ostatnio - zawahał się, szukając odpowiednich słów - miała okropny wypadek. Omal nie umarła.

Kate nagle pociemniało w oczach.

- Dlaczego... mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie pozwoliła mi. Tak bardzo nie chciała, abyś się zamartwiała, iż kazała mi przyrzec, że nie pisnę ani słowa.

- Och, mój Boże - wyszeptła zamierającym głosem Kate. - Czy nic... jej nie jest?

- Teraz czuje się już dobrze.

Kate usiadła, patrząc bezwiednie przed siebie.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, John. Dziękuję ci.

- Wypiszę ci receptę na pigułki. - Gdy skończył i podniósł wzrok, Kate Blackwell już nie było.

Eve otworzyła drzwi i wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem. Przed nią stała babcia, dumna i wyprostowana; jak zwykle nie okazująca najmniejszej słabości.

- Czy mogę wejść? - spytała Kate.

- Naturalnie.

Eve odsunęła się na bok, nie pojmując, co się wokół niej dzieje. Kate wszedłszy do środka rozejrzała się uważnie po mieszkaniu, ale nie wypowiedziała żadnej uwagi.

- Czy mogę usiąść?

- Przepraszam, oczywiście. Wybacz, ale to jest takie... Czy podać ci coś? Kawy? Herbaty? A może co innego?

- Nie, dziękuję. Jak się czujesz, Eve?

- Dziękuję, dobrze.

- Wracam właśnie od doktora Johna. Powiedział mi, że miałas okropny wypadek.

Eve uważnie obserwowała babcie, niepewna, do czego zmierza.

- Tak.

- Powiedział, że byłaś... bliska śmierci. I że nie pozwoliłaś mu powiadomić mnie o tym, ponieważ nie chciałaś mnie niepokoić.

„A więc o to chodzi”. Eve poczuła teraz pewniejszy grunt pod nogami.

- Tak, babciu.

- To by świadczyło - rzekła Kate, powstrzymując łzy cisnące się jej do oczu - że się o mnie troszczysz.

- Naturalnie, że tak. - Eve zaczęła płakać z ulgą. - Zawsze się o ciebie troszczyłam.

W chwilę później Eve znalazła się w objęciach babci. Kate mocno przyciskała ją do siebie, głaszcząc po głowie.

- Byłam taką okropną staruchą. Czy możesz mi wybaczyć? - Wyjęła lnianą chusteczkę i wytarła nos. - Byłam zbyt surowa dla ciebie. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ci się coś stało.

Eve poklepała ją uspokajająco po dłoni poprzecinanej niebieskimi żyłkami.

- Nic mi już nie jest, babciu - powiedziała. - Czuję się dobrze.

Kate podniosła się, z trudem opanowując wzruszenie.

- Zaczniemy wszystko od nowa, dobrze? - Przytuliła Eve i spojrzała jej w oczy. - Byłam uparta i nieprzejednana, jak mój ojciec, ale chciałabym ci to teraz wynagrodzić. Pierwsza rzecz, jaką zamierzam zrobić, to umieścić cię z powrotem w testamencie.

„To wszystko jest zbyt piękne, aby było prawdziwe” - pomyślała Eve i powiedziała: - Nie obchodzą mnie pieniądze. Jedynie ty się liczysz.

- Jesteś moją spadkobierczynią; ty i Alexandra. Wy dwie stanowicie całą moją rodzinę.

- Jakoś sobie radzę, ale gdyby to miało ci sprawić przyjemność...

- Nie tylko sprawi mi to przyjemność, ale uczyni szczęśliwą, kochanie. Bardzo szczęśliwą. Kiedy mogłabyś się przenieść z powrotem do domu?

Eve zawahała się, ale tylko przez krótką chwilę.

- Sądzę, że byłoby lepiej, gdybym została tutaj. Ale będę widywać się z tobą tak często, jak tylko zechcesz. Och, babciu, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo czułam się samotna.

Kate ujęła jej dłoń.

- Czy możesz mi wybaczyć?

Eve spojrzała starszej pani prosto w oczy i odparła poważnie:

- Naturalnie, że ci wybaczam.

Zaraz po wyjściu Kate Eve przyrządziła sobie szkocką z wodą i opadła na kanapę, przeżywając raz jeszcze to niezwykle wydarzenie. Chciało jej się krzyczeć z radości. Ona i Alexandra są teraz jedynymi spadkobierczyniami fortuny Blackwellów. Alexandry pozbędzie

się łatwo. Gorzej będzie z George'em. Nagle stał się zawadą.

Nasze plany uległy pewnej zmianie - oznajmiła Eve George'owi. - Kate umieściła mnie z powrotem w testamencie.

George, który właśnie chciał przypalić sobie papierosa, zamarł na chwilę.

- Naprawdę? Gratuluję.

- Gdyby teraz coś się stało Alexandrze, wyglądałoby to podejrzanie. Zajmiemy się więc nią później, gdy...

- Obawiam się, że nie mogę już dłużej czekać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie jestem głupi, skarbie. Jeśli cokolwiek stanie się Alexandrze, ja dziedziczę jej działkę. Chcesz mnie wyrolować, a może się mylę?

Eve potrząsnęła przecząco głową.

- Powiedzmy, że stałeś się niepotrzebną komplikacją. Nadal pragnę z tobą zrobić interes. Rozwiódź się, a ja, gdy tylko wejdę w posiadanie majątku, dam ci...

- Nie bądź śmieszna - parsknął. - To nie jest w porządku, dziecinko. Nic się nie zmieniło. Alex i ja umówiliśmy się na piątek wieczór w Dark Harbor. Nie mam zamiaru odwoływać tego spotkania.

Alexandrę ogarnęła ogromna radość na wieść o pogodzeniu się Eve z babcią. „Znowu stanowimy rodzinę” - pomyślała.

Zadzwonił telefon.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Mówi Keith Webster.

Od pewnego czasu wydzwaniał do niej dwa albo trzy razy w tygodniu. Na początku jego niezręczność i żarliwość bawiły ją, ale ostatnio zaczął stawać się zbyt namolny.

- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać - powiedziała Eve. - Właśnie wychodziłam.

- Och - odrzekł ze skruchą. - W takim razie nie będę cię zatrzymywał. Mam dwa bilety na aukcję koni, która odbędzie się w przyszłym tygodniu. Wiem, jak bardzo kochasz konie, i pomyślałem...

- Przepraszam, ale w przyszłym tygodniu najprawdopodobniej będę musiała wyjechać.

- Ach, tak. - W jego głosie wyczuła rozczarowanie. - A może spotkalibyśmy się za dwa tygodnie? Co ty na to? Kupię bilety do teatru. Co chciałabyś obejrzeć?

- Widziałam już wszystko - odparła szorstko Eve. - Nie mam teraz czasu.

Odłożyła słuchawkę. Musiała się już ubierać. Była umówiona z Rorym McKenną, młodym aktorem, którego ujrzała w jakiejś sztuce granej w okolicach Broadwayu. Był młodszy od niej o pięć lat i przypominał dzikiego, nienasyconego ogiera. Eve wyobraziła sobie miłość z nim i poczuła wilgoć między udami. Nie mogła „się już doczekać tego spotkania.

W drodze do domu George zatrzymał się, by kupić kwiaty dla Alexandry. Był we wspaniałym nastroju. Jak na ironię, starsza pani umieściła ponownie Eve w swoim testamencie, ale ten fakt niczego nie zmieniał. Po nieszczęśliwym wypadku, jakiemu ulegnie Alexandra, zajmie się Eve. Wszystkie przygotowania zostały już poczynione. W piątek Alexandra będzie czekała na niego w Dark Harbor. „Tylko my dwoje - prosił, całując ją. - Pozbądź się służby, kochanie”.

Peter Templeton nie mógł wymazać Alexandry z pamięci. Wciąż słyszał słowa George’a Mellisa: „Powiniennem ją gdzieś zabrać. Sądzę, że potrzebuje zmiany”. Instykt podpowiadał Peterowi, że Alexandra znajduje się w niebezpieczeństwie. Czuł się jednak bezsilny. Nie mógł nic zrobić. Nie mógł zwrócić się do Nicka Pappasa ze swoimi podejrzeniami. Nie miał żadnych dowodów.

Na drugim końcu miasta, w siedzibie Kruger-Brent, Kate Blackwell podpisywała nowy testament, pozostawiając w spadku obu wnuczkom większą część swojego majątku ziemskiego.

W innej części stanu Nowy Jork Tony Blackwell stał przed sztalugami rozstawionymi w ogrodzie sanatoryjnym. Umieszczony na nich obraz stanowił bezładną mieszaninę kolorów. Był to obraz, jaki mogłoby namalować nawet dziecko bez talentu. Tony cofnął się o parę kroków, aby nań popatrzeć, i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Piątek. 10.57 przed południem.

Naprzeciw terminalu linii lotniczych Eastern na lotnisku La Guardia zatrzymała się z piskiem opon taksówka, z której po chwili wysiadła Eve. Podała taksówkarzowi studolarowy banknot.

- Hej, ale nie mam pani jak wydać - powiedział. - Czy nie ma pani drobnych?

- Nie.

- Niech więc pani rozmieni wewnątrz.

- Nie mam czasu. Muszę złapać najbliższy samolot do Waszyngtonu. - Zerknęła na zegarek marki Baume & Mercier i podjęła szybką decyzję. - Niech pan zatrzyma te sto dolarów - oznajmiła zdumionemu taksówkarzowi.

Eve pospieszyła do terminalu.

- Powrotny do Waszyngtonu - powiedziała zdyszonym głosem do kasjera w hali odlotów.

Mężczyzna spojrział na zegar wiszący nad jego głową.

- Spóźniła się pani dwie minuty. Samolot właśnie startuje.

- Muszę nim polecieć. Mam ważne spotkanie. Czy nie może pan nic zrobić?

Była bliska paniki.

- Proszę się nie denerwować. Za godzinę odlatuje następny.

- To zbyt... A niech to szlag trafi! - Kasjer obserwował, jak Eve odzyskuje panowanie nad sobą. - Dobrze. Poczekam. Czy jest tu w pobliżu jakaś kawiarenka?

- Nie, proszę pani. Ale na końcu holu znajduje się ekspres do kawy.

- Dziękuję.

„Ale cizia - pomyślał spoglądając na nią z rozmarzeniem. - Szkoda, że to nie ja jestem tym facetem, do którego tak się spieszy”.

Piątek. 14.00.

„Będzie to nasz drugi miesiąc miodowy” - pomyślała Alexandra. Myśl ta podniecała ją.

„Pozbądź się służby. Chciałbym, abyśmy byli tylko we dwoje, mój aniele. Spędzimy cudowny weekend”.

I teraz wychodziła z domu, wyruszała do Dark Harbor na spotkanie z George'em. Była już nieco spóźniona. Wcześniej miała umówiony lunch, który potrwał dłużej, niż przypuszczała.

- Wyjeżdżam - powiedziała do służącej. - Wrócę w poniedziałek rano.

Gdy doszła do drzwi frontowych, rozległ się sygnał telefonu. „Jestem spóźniona. Niech dzwoni” - pomyślała i wybiegła.

Piątek. 19.00.

George Mellis stale i wciąż analizował plan Eve. Nie znajdował w nim żadnych uchybień.



„W Philbrook Cove będzie czekała motorówka. Sprowadź ją do Dark Harbor tak, aby nikt nie zauważył. Przywiąż ją do rufy „Korsarza”. Zabierz Alexandrę na przejażdżkę w świetle księżyca. Gdy znajdziesz się na pełnym morzu, rób, co uważasz, George - ale nie zostawiaj żadnych śladów krwi. Wyrzuć ciało za burtę, wskocz do motorówki i nie przejmuj się dryfującym „Korsarzem”. Wróć do Philbrook Cove i złap prom do Dark Harbor. Przyjedź do domu taksówką. Znajdź jakiś pretekst, aby taksówkarz wszedł razem z tobą i żebyście obaj zauważyli brak „Korsarza” w przystani. A potem, gdy stwierdzisz, że nie ma Alexandry, zadzwoń na policję. Policja nigdy nie znajdzie ciała. Odpływ wyrzuci je na pełne morze. Dwóch znamienitych lekarzy poświadczy, że było to prawdopodobnie samobójstwo”.

Zgodnie z planem w przystani Philbrook Cove czekała na niego motorówka.

George przepłynął zatokę nie zapalając świateł, korzystając jedynie ze światła księżyca. Nie zauważony minął szereg zacumowanych łodzi i wprowadził motorówkę do przystani w posiadłości Blackwellów. Następnie zgasił silnik i przymocował ją liną do „Korsarza”.

Alexandra rozmawiała właśnie przez telefon w salonie, gdy wszedł George. Pomachała mu, zakryła dłonią słuchawkę i szepnęła ze skrzywioną miną:

- To Eve. - Przez chwilę słuchała, a potem rzekła z lekkim zniecierpliwieniem w głosie: - Muszę już kończyć, Eve. Właśnie przyjechał mój ukochany. Spotkamy się w przyszłym tygodniu na lunchu. - Odłożyła słuchawkę i pospieszyła do George'a, by go uściskać. - Jesteś wcześniej, niż sądziłam. Tak się cieszę.

- Tak tęskniłem za tobą, że rzuciłem wszystko, aby jak najszybciej się tu znaleźć.

- Kocham ciebie. - Pocałowała go.

- I ja cię kocham, *matia mou*. Czy zwolniłaś służbę?

- Jesteśmy tylko we dwoje. - Uśmiechnęła się. - Wiesz co? Przygotowałam dla ciebie *moussakę*.

Przesunął lekko palcem po jej sutkach naprężających się pod jedwabną bluzką.

- Wiesz, o czym myślałem przez całe popołudnie w tym nudnym biurze? Żeby pozełgować z tobą. Jest taki rześki wiatr. Dlaczego nie mielibyśmy się wybrać na małą przejażdżkę?

- Jak chcesz. Ale moja *moussaka* jest...

Położył dłoń na jej piersi.

- Kolacja może poczekać. Ja nie.

Roześmiała się.

- Dobrze. Pójdę się przebrać. Nie zajmie mi to więcej niż minutę.

- A więc ścigajmy się.

Poszedł na górę do swojej garderoby i przebrał się w spodnie marynarskie, sweter i buty żeglarskie. Teraz, gdy zbliżała się ta chwila, wypełniało go uczucie szalonego podniecenia, graniczące niemal z orgazmem.

Usłyszał jej głos:

- Jestem już gotowa, kochanie.

Odwrócił się. Stała w drzwiach ubrana w sweter, czarne spodnie marynarskie i brezentowe buty. Jej długie, jasne włosy były przewiązane z tyłu niebieską wstążką. „O Boże, ona jest piękna!” - pomyślał. Niszczenie takiej piękności wydawało się rzeczą niegodną.

- I ja też - odparł George.

Zauważyła motorówkę przymocowaną do rufy jachtu.

- Po co nam to, kochanie?

- Przy końcu zatoki znajduje się maleńka wysepka, którą zawsze chciałem zobaczyć. Zabierzemy motorówkę i nie będziemy musieli przejmować się skałami.

Odwiązał cumę i zaczęli powoli wypływać z przystani. Zorientowawszy się, z której strony wieje wiatr, podniósł grot i kliwer, a następnie zrobił zwrot przez prawą burtę. Złapali wiatr w duże żagle i łódź szarpnęła do przodu. Kierowali się na pełne morze. Minąwszy falochron, napotkali silny wiatr i łódź zaczęła przechylać się na bok, zanurzając od strony zawietrznej.

- Jest dziko i cudownie - usłyszał. - Jestem taka szczęśliwa, kochanie.

Uśmiechnął się.

- Ja też.

George'owi Mellisowi sprawiało dziwną przyjemność to, że Alexandra czuje się szczęśliwa, że Alexandra zginie szczęśliwa. Ogarniał wzrokiem horyzont, aby mieć pewność, że w pobliżu nie ma innych łodzi. W oddali migotały tylko blade światelka. Nadszedł już czas. Włączył automatycznego pilota, spojrzął po raz ostatni na pusty horyzont i z mocno bijącym sercem podszedł do relingu.

Alex! - zawołał. - Chodź i spójrz na to.

Podeszła do niego i spojrzała na zimne i ciemne wody kłębiące się pod nimi.

- Podejdź do mnie. - Słowa te zabrzmiały jak rozkaz.

Wtulila się w jego ramiona, a on przywarł do niej ustami. Obejmował ją, pieścił, czując, jak jej ciało rozluźnia się. Wówczas naprężył mięśnie, uniósł ją i zaczął przesuwać

się w stronę relingu. Nagle zaczęła z nim walczyć, opierać się.

- George!

Podniósł ją wyżej. Próbowła mu się wyrwać, ale był dla niej zbyt silny. Znajdowała się już prawie na górze barierki, kopała go jak oszalała. Wytężył wszystkie swoje siły, by wypchnąć ją za burtę, lecz w tej samej chwili poczuł nagły, piekący ból w piersi. Pierwszą jego myślą było: „Mam zawał”. Otworzył usta, ale wytrysnęła z nich krew. Opuścił ręce i spojrzał z niedowierzaniem na swoją pierś. Z otwartej rany sączyła się krew. Podniósł wzrok: stała - trzymając w ręce zakrwawiony nóż i uśmiechała się.

Ostatnią myślą George'a Mellisa było: „Eve...”

## Rozdział 34

Była dziesiąta wieczór, gdy Alexandra dotarła do domu w Dark Harbor. Wcześniej kilka razy dzwoniła do George'a, ale telefon nie odpowiadał. Miała nadzieję, że nie pogniewa się na nią z powodu tego spóźnienia. To było jakieś głupie nieporozumienie. Wczesnym popołudniem, gdy wybierała się w podróż do Dark Harbor, zadzwonił telefon. Pomyślała: „Jestem spóźniona. Niech dzwoni”. I wybiegła z domu. Wsiadała już do samochodu, gdy w drzwiach pojawiła się służąca wołając:

- Pani Mellis! Dzwoni pani siostra. Mówi, że to pilne.

Alexandra wróciła, by odebrać telefon.

- Kochanie - powiedziała Eve - jestem w Waszyngtonie. Mam straszny problem. Muszę się z tobą zobaczyć.

- Dobrze - odparła bez namysłu Alexandra. - Wyjeżdżam właśnie do Dark Harbor, by spotkać się z George'em, ale będę z powrotem w poniedziałek rano i...

- To nie może czekać. - Głos Eve zabrzmiał rozpaczliwie. - Czy mogłybyśmy się spotkać na lotnisku La Guardia? Przylecę o piątej.

- Chętnie bym to zrobiła, ale powiedziałam George'owi...

- To jest sprawa nie cierpiąca zwłoki, Alex. Ale, oczywiście, jeśli jesteś aż tak zajęta...

- Poczekaj, Eve! Dobrze, będę tam.

- Dziękuję, kochanie. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

Nieczęsto zdarzało się, żeby Eve prosiła ją o przysługę. Nie mogła więc odmówić. „Złapię następny samolot na wyspę” - pomyślała. Po rozmowie z Eve zadzwoniła do George'a do biura. Nie było go jednak. Zostawiła wiadomość sekretarce. W godzinę później pojechała taksówką na lotnisko La Guardia, aby zdążyć na przylot samolotu z Waszyngtonu o piątej. Eve jednak nie przyleciała. Czekala na nią jeszcze dwie godziny, ale nie pojawiła się. Alexandra nie miała pojęcia, jak ją złapać w Waszyngtonie i w końcu, ponieważ już nic nie mogła zrobić, wsiadła do samolotu odlatującego na wyspę.

Zastała Cedar Hill House pogrążony w ciemnościach. George powinien już tu przecież być. Zaczęła przechodzić z pokoju do pokoju, zapalając wszędzie światła, wołając go, ale nie było żadnego śladu George'a. Zadzwoniła do domu na Manhattanie. Telefon odebrała służąca.

- Czy nie ma tam pana Mellisa? - spytała Alexandra.

- Pana Mellisa? Nie, proszę pani. Mówił, że oboje państwo wyjeżdżacie na weekend.

- Dziękuję, Marie. Pewnie go coś zatrzymało.

Musiał być jakiś logiczny powód jego nieobecności. Na pewno wyskoczyła George'owi jakaś pilna sprawa i współpracownicy - jak zwykle - poprosili go, aby się nią zajął. Lada chwila powinien się zjawić. Nakręciła numer Eve.

- Eve! - zawołała. - Co się, na Boga, z tobą stało?

- Co się z tobą stało? Czekałam na Lotnisku Kennedy'ego, a gdy się nie zjawiłaś...

- Kennedy'ego! Mówiłaś o La Guardia.

- Nie, kochanie, Kennedy'ego.

- Ale... - Alexandra przerwała. Nie miało to już przecież znaczenia. - Przykro mi. Musiałam się przesłyszeć. Nic ci nie jest?

- Już doszłam do siebie - odparła Eve. - Przeżywałam koszmarne chwile. Związałam się z pewnym mężczyzną, który jest ważną figurą polityczną w Waszyngtonie, a oprócz tego jest chorobliwie zazdrosny i... - Roześmiała się. - Nie mogę teraz mówić o szczegółach. Wyłączono by nam zaraz telefony. Opowiem ci wszystko w poniedziałek.

- Dobrze - odrzekła Alexandra. Poczowała ogromną ulgę.

- Baw się miło - powiedziała Eve. - Jak się miewa George?

- Nie ma go tu. - Alexandra starała się mówić spokojnie. - Przypuszczam, że coś mu nagle wypadło i nie miał jak mnie zawiadomić.

- Jestem pewna, że wkrótce do ciebie zadzwoni. Dobranoc, kochanie.

- Dobranoc, Eve.

Alexandra odłożyła słuchawkę i pomyślała: „Eve zasługuje na kogoś naprawdę wspaniałego, kogoś tak dobrego i miłego jak George”.

Spojrzała na zegarek. Była już prawie jedenasta. Czy to możliwe, żeby do tej pory nie mógł się odezwać? Podniosła słuchawkę i nakręciła numer firmy maklerskiej. Telefon nie odpowiadał. Zadzwoiła do jego klubu. Nie, nie widziano pana Mellisa. Około północy Alexandra zaczęła się już poważnie niepokoić, a przed pierwszą wpadła w panikę. Nie wiedziała, co robić. Niewykluczone, że George musiał spotkać się z klientem i nie mógł się do niej dodzwonić albo musiał nagle wyjechać gdzieś w interesach i nie zdążył jej powiadomić. Musi być przecież jakieś proste wyjaśnienie. Jeśli zadzwoni na policję, a George akurat się zjawi, to wyjdzie na idiotkę.

O drugiej w nocy nie wytrzymała już jednak. Na samej wyspie Islesboro nie było posterunku; najbliższy znajdował się w hrabstwie Waldo.

Jakiś zaspany głos powiedział:

- Urząd Szeryfa hrabstwa Waldo. Sierżant Lambert.

- Mówi Alexandra Mellis z Cedar Hill House.

- Tak, pani Mellis. - Głos stał się nagle bardziej rzeźki. - Czym mogę pani służyć?

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem - Alexandra odparła z wahaniem. - Mój mąż miał się tu ze mną spotkać pod wieczór, ale... on... nie zjawił się.

„Ach tak” - pomyślał sierżant Lambert. To zdanie zawierało cały szereg implikacji. Sierżant znał co najmniej trzy powody, dla których mąż może być nieobecny w domu o drugiej nad ranem: blondynka, brunetka i rudowłosa. Powiedział jednak taktownie: - Proszę się nie niepokoić, pani Mellis. Męża zatrzymały zapewne jakieś pilne sprawy.

- Ale on... zwykle zawiadamia mnie...

- No, wie pani, jak to jest. Czasami zdarzają się sytuacje, kiedy nie można zatelefonować. Jestem pewien, że nic mu się nie stało.

Teraz poczuła się rzeczywiście jak idiotka. Policja nic tu nie może na razie zrobić. Kiedyś wyczytała gdzieś, że dopiero po dwudziestu czterech godzinach od zaginięcia policja może rozpocząć poszukiwania. Ale George nie zaginał przecież, na miłość boską! On tylko się spóźnia.

- Myślę, że ma pan rację - powiedziała. - Przepraszam, że pana niepokoiłam.

- Nie ma sprawy, proszę pani. Założę się, że mąż przyjedzie pierwszym promem o siódmej rano.

Nie było go jednak na promie o siódmej. Nie było go również na następnym. Alexandra zadzwoniła znów do domu na Manhattanie. I tam George'a nie było. Zaczęły ją nachodzić czarne myśli. George miał wypadek. Leży teraz w jakimś szpitalu. Jest w ciężkim stanie. Może już nie żyje. Gdyby nie to nieporozumienie z Eve... Być może George był tutaj i nie zastawszy jej - odjechał. Nie, ta hipoteza jest zbyt naiwna. Mógł przecież zostawić jakąś wiadomość. A może George nakrył złodziei, został obezwładniony i porwany? Alexandra raz jeszcze przeszła przez cały dom, pokój za pokojem, szukając jakichkolwiek śladów. Wszystko było na swoim miejscu. Zeszła na dół do przystani. „Korsarz” stał przycumowany na swoim miejscu.

Zadzwoniła ponownie do Biura Szeryfa hrabstwa Waldo. Telefon odebrał mający tego ranka służbę porucznik Philip Ingram, weteran wojenny, który bez mała dwadzieścia cztery lata życia spędził na różnych frontach. Wiedział już, że George Mellis nie zjawił się w domu na noc. Tego ranka był to bowiem główny temat rozmów na posterunku. Przeważnie sprośnych. Teraz powiedział do Alexandry:

- Nie dał żadnego znaku, pani Mellis? Dobrze. Przyjadę.

Zdawał sobie sprawę, że to tylko strata czasu. Jej stary zapewne koczury się w jakiejś alei. „No, ale kiedy Blackwellowie wzywają - pomyślał cierpko - wieśniacy pędem przybywają. W każdym razie jest to przynajmniej niebrzydka kobietka” - pocieszył się po chwili. W ciągu ostatnich lat miał okazję spotkać ją kilka razy.

- Wrócę mniej więcej za godzinę - rzucił do sierżanta siedzącego za biurkiem i wyszedł.

Porucznik Ingram wysłuchał relacji Alexandry, przeszukał zarówno dom, jak i przystań i doszedł do wniosku, że Alexandra ma prawo się niepokoić. George Mellis wczorajszego wieczoru miał się spotkać z żoną w Dark Harbor, ale się nie zjawił. Porucznik uznał, że choć nie jest to jego osobisty problem, nie zaszkodzi okazać się pomocnym członkom rodziny Blackwellów. Połączył się więc z lotniskiem na wyspie oraz przystanią w Lincolnville. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin George Mellis nie korzystał ani z samolotu, ani z promu.

- Nie było go w Dark Harbor - oznajmił Alexandrze. „Ale co, u diabła, mogło się stać? Dlaczego facet zniknął?” Porucznik Ingram doszedł do wniosku, że żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie porzuciłby z własnej woli takiej kobiety, jak Alexandra.

- Sprawdzimy w szpitalach i kos... - policjant ugryzł się w język. - Przygotuję komunikat o zaginięciu.

Alexandra próbowała panować nad emocjami, ale widać było, z jak wielkim czyni to wysiłkiem.

- Dziękuję, poruczniku. Nie muszę chyba dodawać, jak bardzo będę wdzięczna za wszystko, co pan zrobi.

- To mój obowiązek - odparł porucznik Ingram.

Wróciwszy na posterunek, zaczął dzwonić po szpitalach i kostnicach. Odpowiedzi były przeczące. Nie było żadnego meldunku o wypadku, którego ofiarą padłby George Mellis. Następnym krokiem Ingrama było zadzwonienie do znajomego reportera z *Maine Courier*. A potem rozesłał komunikaty o zaginięciu. Gazety popołudniowe wybiły na czołowych szpaltach:

#### ZAGINIĘCIE MĘŻA DZIEDZICZKI BLACKWELLÓW.

Peter Templeton po raz pierwszy usłyszał tę wiadomość od detektywa Nicka Pappasa.

- Peter, pamiętasz, jak jakiś czas temu prosiłeś mnie, abym sprawdził George'a Mellisa?

- Tak...?

- Wyobraź sobie, że facet zniknął jak kamfora.

- Co takiego?

- Zniknął, ulotnił się, przepadł. - Nick Pappas zamilkł czekając, aż Peter przetrawi tę wiadomość.

- Czy zabrał coś ze sobą? Pieniądze, ubranie, paszport?

- Nie. Według raportu, który otrzymaliśmy z Maine, pan Mellis po prostu się zdematerializował. Jesteś jego powiernikiem. Pomyślałem, że może się orientujesz, dlaczego mógł zrobić coś takiego.

- Nie mam zielonego pojęcia, Nick - odparł szczerze Peter.

- Jeśli wpadnie ci coś do głowy, powiadom mnie. Wokół tej sprawy zrobi się dużo szumu.

- Tak - przyrzekł Peter. - Zrobię to.

W trzydzieści minut później Alexandra Mellis zatelefonowała do Petera Templetona. Głos drżał jej z przerażenia, przechodził w ostry pisk.

- Ja... George zaginął. I nikt nie wie, co się z nim mogło stać. Być może panu, doktorze, powiedział coś, co stanowiłoby wskazówkę lub...

- Przykro mi, pani Mellis. Nic takiego mi nie mówił. Nie mam pojęcia, co się mogło stać.

- Och...

Peter pragnął jednak w jakiś sposób dodać jej otuchy.

- Jeśli przyjdzie mi coś do głowy, zadzwonię do pani. Pod jakim numerem będzie pani osiągalna?

- Jestem obecnie w Dark Harbor, ale wieczorem wracam do Nowego Jorku i zatrzymam się u babci.

Alexandra nie chciała być teraz sama. Tego ranka rozmawiała kilka razy z Kate.

- Ależ, kochanie - powiedziała Kate. - Jestem pewna, że nie ma powodu do obaw. Zapewne udał się w jakichś interesach i zapomniał cię powiadomić. - Ale żadna z nich w to nie wierzyła.

W telewizji pokazano reportaż o zaginięciu George'a. Eve mogła zobaczyć ujęcia z



Cedar Hill House i zdjęcia Alexandry i George'a po ceremonii ślubnej. Było też zbliżenie George'a, patrzącego w górę szeroko otwartymi oczami. W jakiś dziwny sposób przypomniało to Eve ów wyraz zdziwienia malujący się na jego twarzy tuż przed śmiercią.

Spiker mówił: - Nie ma dowodów, że jest to sprawa kryminalna. Nikt do tej pory nie żądał okupu. Policja podejrzewa, że George Mellis prawdopodobnie uległ wypadkowi i stracił pamięć.

Eve uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Nigdy nie znajdą jego ciała. Odpływ uniósł je daleko w morze. Biedny George. Tak świetnie realizował jej plan. Ale ona zmieniła go. Poleciała do Maine i w Philbrook Cove wynajęła motorówkę „dla przyjaciela”. Następnie, w najbliższej przystani, wynajęła drugą łódź i popłynęła nią do Dark Harbor, by tam już czekać na George'a. Zupełnie niczego nie podejrzewał. Nim wróciła jachtem do przystani, starannie wyczyściła pokład. A potem wszystko już było proste. Przyholowała łódź George'a do Philbrook Cove, odstawiła swoją motorówkę i odleciała z powrotem do Nowego Jorku, by czekać na telefon od Alexandry, która - jak się spodziewała - z pewnością zadzwoni.

Była to zbrodnia doskonała. Jedna z tych, które policja określa jako zaginięcie w nie wyjaśnionych okolicznościach.

Spiker powiedział: „Podajemy inne wiadomości” i Eve wyłączyła telewizor. Nie chciała się spóźnić na spotkanie z Rorem McKenną.

Nazajutrz o szóstej rano rybacy znaleźli ciało George'a przyparte do falochronu przy ujściu zatoki Penebscot. W porannych wiadomościach mówiono o utonięciu i tragicznym wypadku, ale w miarę napływania nowych informacji treść komunikatów zaczęła się zmieniać. Z biura koronera nadeszły raporty mówiące, że to, co najpierw wydawało się śladami zębów rekinów, okazało się ranami ciętymi. Gazety popołudniowe były pełne krzykliwych tytułów:

## MORDERSTWO PRZYCZYNĄ TAJEMNICZEJ ŚMIERCI GEORGE'A MELLISA. MILIONER ZAKŁUTY NA ŚMIERĆ.

Porucznik Ingram uważnie studiował mapki przyływów i odpływów z wczorajszego wieczoru. Skończywszy, oparł się na krześle, a twarz jego wyrażała zdumienie. Ciało George'a Mellisa mogło zostać wyrzucone w morze, gdyby nie zatrzymał go falochron. Najbardziej dziwiło to, że ciało miało zostać uniesione prądem ze strony Dark Harbor, gdzie

George'a przecież nie było.

Detektyw Nick Pappas przyleciał do Maine, by odbyć rozmowę z porucznikiem Ingramem.

- Myślę - powiedział - że mój wydział mógłby służyć pewną pomocą w tej sprawie. Mamy kilka interesujących informacji o George'u Mellisie i jego rodzinie. Wiem, że nie jest to obszar podlegający naszej jurysdykcji, ale jeśliby pan zwrócił się do nas z prośbą o współpracę, chętnie byśmy pomogli, poruczniku.

W ciągu dwudziestu lat pracy w Biurze Szeryfa hrabstwa Waldo jedyną podniecającą sprawą, z jaką się zetknął, była sprawa pijanego turysty, który przestrzelił łeb łosia wiszący na ścianie miejscowego antykwariatu. Morderstwo George'a Mellisa znajdowało się na czołówkach gazet i porucznik Ingram poczuł, że otworzyła się przed nim ogromna szansa. Przy odrobinie szczęścia mógłby zostać detektywem w Wydziale Policji Nowego Jorku, gdzie zawsze coś się dzieje. Spojrzał więc teraz na Nicka Pappasa i powiedział półgłosem:

- Sam nie wiem...

Jakby czytając w jego myślach, Nick Pappas oznajmił:

- Nie zależy nam na zaszczytach. Ale wokół tej sprawy robi się straszliwe piekło i byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdybyśmy się szybko z nią uwinęli. Mógłbym zacząć od udzielenia panu informacji o George'u Mellisie.

Porucznik Ingram zdecydował, że nie ma nic do stracenia.

- Okay. Umowa stoi.

Alexandra leżała w łóżku, próbując zachować spokój. Z uporem nie dopuszczała myśli, że George został zamordowany. Dlaczego miałby go ktoś zamordować? Nikt na świecie nie miał najmniejszego powodu, żeby to zrobić. Policja mówiła o ranach zadanych nożem, ale myliła się. To musiał być jakiś wypadek. „Nikt przecież nie miał powodów, by go zabić... Nikt przecież nie miał powodów, by go zabić...” Środek nasenny, jaki podał jej doktor Harley, w końcu zadziałał.

Eve oniemiała na wieść o znalezieniu ciała George'a. „Ale być może - pomyślała po chwili - dobrze, że tak się stało. Alexandra będzie podejrzana. Była tam, na wyspie”.

Kate siedziała w salonie na kanapie obok Eve. Wiadomości zaszokowały ją.

- Dlaczego ktoś miałby zabić George'a? - zapytała.

- Nie wiem, babciu - westchnęła Eve. - Po prostu nie wiem. Serce mi pęka z powodu

biednej Alex.

Porucznik Philip Ingram przepytывał mężczyznę obsługującego prom Lincolnville-Islesboro.

- Czy jesteś przekonany, że pan Mellis lub pani Mellis nie wsiedli na prom w piątek po południu?

- Na mojej zmianie ich nie było, Phil. Pytałem się kumpla ze zmiany porannej i on także ich nie widział. Musieli przylecieć samolotem.

- Jeszcze jedno pytanie, Lew. Czy ktokolwiek obcy korzystał w piątek z promu?

- A gdzie tam. Wiesz, że o tej porze roku nikt obcy nie wybiera się na wyspę. Latem może trafić się kilku turystów, ale w listopadzie? Góóóóówno!

Porucznik Ingram udał się następnie na rozmowę z dyrektorem lotniska na Islesboro.

- George Mellis na pewno nie przyleciał tamtego wieczoru, Phil. Musiał skorzystać z promu.

- Lew powiedział, że go nie widział.

- Więc jak, u diabła, miałby się tu dostać, chyba nie wplaw, co?

- A pani Mellis?

- Tak. Przyleciała tu swoją awionetką o dziesiątej. Mój syn, Charley, odwiózł ją z lotniska do Cedar Hill.

- W jakim nastroju była pani Mellis?

- Powiedzmy, że w nietypowym. Była zdenerwowana. Nawet mój chłopak to zauważył. Zazwyczaj jest opanowana, zawsze ma dla każdego dobre słowo. Ale tego wieczoru strasznie się spieszyła.

- I jeszcze jedno pytanie. Czy tego popołudnia lub wieczoru przylecieli jacyś obcy? Widziałeś jakieś nieznajome twarze?

- Nie - potrząsnął głową. - Tylko te co zwykle.

W godzinę później porucznik Ingram rozmawiał przez telefon z Nickiem Pappasem.

- To, co udało mi się do tej pory zebrać - stwierdził - jest cholernie dziwne. Pani Mellis przyleciała prywatnym samolotem na lotnisko Islesboro około dziesiątej wieczór, ale nie było z nią jej męża. Nie przybył ani samolotem, ani promem. W gruncie rzeczy nic nie wskazuje na to, że w ogóle był na wyspie tego wieczoru.

- Z wyjątkiem przypływu.

- Tak.

- Ktokolwiek go zabił, prawdopodobnie wyrzucił jego ciało za burtę, przypuszczając,

że fale odpływu uniosą je na pełne morze. Czy przeszukał pan „Korsarza”?

- Przejrzałem go dokładnie. Żadnych śladów walki, żadnych śladów krwi.
- Chciałbym sprowadzić tu lekarza sądowego. Czy nie ma pan nic przeciwko temu?
- Dopóki pamięta pan o naszej małej umowie, nie.
- Pamiętam. Do zobaczenia jutro.

Nazajutrz rano Nick Pappas przybył wraz z grupą ekspertów. Porucznik Ingram zaprowadził ich do przystani, w której stał przycumowany „Korsarz”. W dwie godziny później ekspert medycyny sądowej oznajmił:

- Wygląda na to, że trafiliśmy w dziesiątkę, Nick. Znaleźliśmy krwawe plamy po zawiętrznej stronie barierki.

Jeszcze tego popołudnia w policyjnym laboratorium ustalono, że plamy odpowiadają grupie krwi George’a Mellisa.

Posterunek policji rewiru „jedwabnych pończoch” na Manhattanie pracował ciężiej niż zwykle. W wyniku całonocnej akcji areszt pękał w szwach; cele przepełnione były prostytutkami, pijakami i zбочeńcami. Hałas i odór konkurowały ze sobą, co zwróciło uwagę Petera Templetona, gdy prowadzono go przez cały ten harmider do pokoju porucznika detektywa Pappasa.

- Hej, Peter. Miło, że do mnie wpadłeś.

„Unikasz mnie, mój przyjacielu - powiedział wcześniej przez telefon Nick Pappas. - Bądź u mnie w biurze przed szóstą, bo inaczej pošlę po ciebie tę pieprzoną brygadę specjalną”.

Kiedy strażnicy wyszli z pokoju, Peter zapytał:

- O co chodzi, Nick? Co cię dręczy?  
- Powiem ci, co mnie dręczy. Ktoś gra mi na nosie. Wiesz, do czego doszliśmy? Nasz denat, który zniknął z wyspy, nigdy tam nie był.

- To nie ma sensu.

- Wytłumacz mi to, chłopcze. Pracownik promu i facet, który zarządza lotniskiem, zaklinają się, że nie widzieli George’a Mellisa tego wieczoru, gdy zniknął. A zatem mógł się dostać do Dark Harbor tylko motorówką. Sprawdzaliśmy wszystkich okolicznych właścicieli wypożyczalni i nic.

- Być może tej nocy nie było go w Dark Harbor.

- Biegły twierdzi co innego. Znalaziono dowód na to, że Mellis był w domu, przebrał się w ubranie żeglarskie. Takie miał na sobie, gdy znaleziono go martwego.

- Czy został zabity w domu?

- Na jachcie Blackwellów. Wyrzucono jego ciało za burtę. Ktoś, kto to zrobił, przypuszczał, że odpływ uniesie je pewnie do Chin.

- Ale...?

Nick Pappas podniósł muskularną rękę.

- Nie przerywaj mi. Mellis był twoim pacjentem. Musiał z tobą rozmawiać o swojej żonie.

- Co ona ma z tym wspólnego?

- Wszystko. Ona jest moją pierwszą, drugą i trzecią podejrzaną.

- Zwariowałaś.

- Hej, sądziłem, że psychiatrzy nie używają takich słów.

- Nick, na jakiej podstawie sądzisz, że Alexandra Mellis zamordowała męża?

- Była tam i miała motyw. Przybyła na wyspę późnym wieczorem z mętным wytłumaczeniem, że spóźniła się, ponieważ czekała na siostrę na niewłaściwym lotnisku.

- Co mówi jej siostra?

- Chwileczkę. A co, u diabła, miałyby mówić? Są bliźniaczkami. Wiemy, że tego wieczoru George Mellis był w domu, ale jego żona przysięga, że go tam nie widziała. To duży dom, Peter, ale nie aż tak duży. Ponadto pani Mellis dała służącym wychodne na weekend. Kiedy zapytałem ją dlaczego, odparła, że to był pomysł męża. George'a, oczywiście, nie możemy już o to zapytać.

Peter siedział w głębokim zamyśleniu.

- Powiedziałeś - odezwał się w końcu - że miała powód. Jaki?

- Masz krótką pamięć, Peter, a przecież to właśnie ty naprowadziłeś mnie na ten trop. Kobieta miała za męża psychopatę, który wyżywał się seksualnie, okładając pięściami swoje partnerki i partnerów. Również i ona musiała dostawać od niego niezłe razy. Powiedzmy, że przestało to jej się podobać. Poprosiła o rozwód, ale odmówił. Dlaczego miałby się zgodzić? W końcu odpowiadało mu to. Nie miała odwagi, aby zaciągnąć go do sądu. Wywołałoby to zbyt wielki skandal. Nie miała wyboru. Musiała go zabić. - Nick Pappas oparł się na krześle.

- Czego chcesz ode mnie? - spytał Peter.

- Informacji. Dziesięć dni temu jadłeś lunch z żoną Mellisa. - Włączył magnetofon stojący przed nim na biurku. - Będę teraz nagrywał, Peter. Powiedz mi o tym lunchu. Jak się zachowywała Alexandra Mellis? Czy była napięta? Roztrzęsiona?

- Nick, nigdy nie widziałem bardziej odprężonej i szczęśliwej żony.

Nick Pappas wytrzeszczył oczy i z wściekłością wyłączył magnetofon.

- Nie rób ze mnie balona, mój przyjacielu. Dziś rano rozmawiałem z doktorem Johnem Harleyem. Na miłość boską! On przepisywał Alexandrze Mellis leki, by nie popełniła samobójstwa.

Doktor John Harley był w wysokim stopniu zaniepokojony i zdenerwowany wizytą porucznika Pappasa. Detektyw zadawał bardzo konkretne i kłopotliwe pytania.

- Czy pani Mellis zasięgała ostatnio fachowej porady u pana?

- Przykro mi - odparł doktor Harley - ale lekarzowi nie wolno rozmawiać o swoich pacjentach. Obawiam się, że nie będę mógł panu pomóc.

- W porządku, doktorze. Jesteście starymi przyjaciółmi. Chciałby pan zachować całą rzecz w tajemnicy. Rozumiem to. - Podniósł się z krzesła. - To sprawa o zabójstwo. Za godzinę wrócę tu z nakazem przesłuchania pana i kiedy dowiem się tego, co chcę, poinformuję prasę.

Doktor Harley spojrzał na niego uważnie.

- Możemy to zrobić w ten sposób - ciągnął porucznik - albo odpowie pan teraz na moje pytania, a ja zrobię, co będę mógł, by sprawa nie nabrała rozgłosu. Zgoda?

- Niech pan usiądzie - westchnął doktor Harley. Nick Pappas usiadł. - Alexandra miała ostatnio pewne problemy natury emocjonalnej.

- Jakiego rodzaju problemy?

- Była w głębokiej depresji. Mówiła, że chce popełnić samobójstwo.

- Czy wspominała coś o użyciu noża?

- Nie. Mówiła, że od pewnego czasu prześladuje ją ten sam sen o utonięciu. Przepisałem jej wellbutrin. Po kilku dniach wróciła i oznajmiła mi, że ten lek zdaje się w ogóle jej nie pomagać. Wtedy przepisałem jej nomifensynę. Nie wiem... czy jej to pomogło czy nie.

Nick Pappas zamyślił się, próbując powiązać wszystko w logiczną całość. W końcu podniósł wzrok na doktora Harleya.

- Czy coś jeszcze? - spytał.

- To wszystko, poruczniku - brzmiała odpowiedź.

Ale było coś jeszcze i Johna Harleya dręczyły wyrzuty sumienia. Rozmyślnie nie wspominał o brutalnym pobiciu Eve Blackwell przez George'a Mellisa. Powinien był natychmiast zgłosić ten fakt na policję. Przede wszystkim chciał jednak kryć rodzinę Blackwellów. Nie wiedział, czy pomiędzy tym zdarzeniem a morderstwem George'a Mellisa

istniał jakiś związek, ale intuicja podpowiadała mu, że lepiej byłoby nie poruszać tego tematu. Postanowił, że zrobi wszystko, co możliwe, by ochronić Kate Blackwell.

W piętnaście minut po podjęciu tej decyzji pielęgniarka oznajmiła mu:

- Doktor Keith Webster na drugiej linii.

- Proszę przełączyć - powiedział, czując coraz większy niepokój.

- John - odezwał się Keith Webster - chciałbym po południu wpaść do ciebie i porozmawiać. Czy jesteś wolny?

- Nie. Ale zwolnię się sam. O której godzinie?

- Może być o piątej?

- Świetnie, Keith. Do zobaczenia o piątej.

„A więc sprawa nie zakończy się tak szybko”.

O godzinie piątej doktor Harley wprowadził Keitha Webstera do swego gabinetu.

- Napijesz się czegoś? - zapytał.

- Nie, dziękuję, John. Nie piję. Przepraszam, że tak nachalnie się wprosiłem.

Ilekcóż John Harley widział się z nim, miał wrażenie, że Keith Webster bez przerwy musi za coś przeproszać. Był takim łagodnym, małym i nieszkodliwym człowieczkiem. Przypominał szczenię łaknące pieszczot. Johnowi Harleyowi wydawało się niewiarygodne, że za tą szarą, niczym nie wyróżniającą się powierzchownością może kryć się tak genialny chirurg.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Keith?

Keith Webster zaczerpnął głęboko powietrza.

- Chodzi o... wiesz... o to pobicie Eve Blackwell przez George'a Mellisa.

- A konkretnie?

- Wiesz, że o mało co nie umarła?

- Tak.

- Nie zostało to zgłoszone na policję. W świetle tego, co się stało... morderstwo Mellisa i to wszystko... zastanawiałem się, czy nie powinienem pójść na policję.

„A więc o to chodzi. Nie będzie sposobu, by uniknąć problemów”.

- Zrobisz to, co uważasz za słuszne, Keith.

- Wiem - odparł z przygnębieniem Keith Webster. - Kłopot w tym, że nie chciałbym zrobić niczego, co mogłoby zaszkodzić Eve Blackwell. Jest to bardzo wyjątkowa osoba.

Doktor Harley przypatrywał się mu uważnie.

- Tak, to prawda.

- Rzecz tylko w tym - westchnął Keith Webster - że jeśli będę teraz milczał, a policja to później wykryje, będzie ze mną krucho.

„Z nami dwoma” - pomyślał doktor Harley. Znalazł jednak pewne wyjście.

- Nie wydaje się prawdopodobne - powiedział obojętnym tonem - aby policja się dowiedziała. Eve z pewnością o tym nigdy nie wspomni, a ty wykonałeś swoją robotę bezbłędnie. Gdyby nie ta mała blizna, nikt by się nawet nie domyślił, że została oszpecona.

- Jaka mała blizna? - Keith Webster zamrugał oczami.

- Czerwona blizna na czole. Eve powiedziała mi, że usuniesz ją za miesiąc lub dwa.

Doktor Webster mrugał coraz szybciej. „To pewien rodzaj tiku nerwowego” - pomyślał doktor Harley.

- Nie pamięć... Kiedy ostatnio widziałeś się z Eve?

- Przyszła do mnie chyba dziesięć dni temu, by porozmawiać o problemach, jakie ma jej siostra. W gruncie rzeczy ta blizna była jedyną wskazówką pozwalającą odróżnić Eve od Alexandry. To identyczne bliźniaczki.

- Tak. - Doktor Webster pokiwał wolno głową. - Widziałem zdjęcia siostry Eve w gazetach. Istnieje zadziwiające podobieństwo. I mówisz, że jedyną wskazówką, dzięki której mogłeś rozpoznać, że to Eve, była ta blizna na czole, pozostałość po operacji, którą przeprowadziłem?

- Tak. Istotnie.

Doktor Webster siedział przez chwilę w milczeniu, przetrawiając to wszystko, co usłyszał.

- Być może - powiedział w końcu - nie powinienem iść jeszcze na policję. Muszę to dokładnie przemyśleć.

- Szczerze mówiąc, Keith, sądzę, że robisz słusznie. To urocze młode kobiety. Gazety przebąkują już, że policja podejrzewa, iż Alexandra zamordowała George'a. To niemożliwe. Pamiętam, że kiedy były małymi dziewczynkami...

Doktora Webstera już nie było.

Kiedy Keith Webster wyszedł od doktora Harleya, miał w głowie mętlik. Z pewnością nie pozostawił nawet najmniejszej blizny na tej pięknej twarzy. A mimo to John Harley zobaczył bliznę. Możliwe, że Eve mogła ją mieć po jakimś kolejnym wypadku. Ale dlaczego w takim razie kłamała? Nie, to nie miało sensu.

Rozpatrywał wszystko z różnego punktu widzenia, rozważał wszelkie możliwości i doszedłszy w końcu do konkluzji pomyślał: „Jeśli mam rację, to całe moje życie się odmieni”.



Nazajutrz wcześniej rano Keith Webster zatelefonował do doktora Harleya.

- John - zaczął - przepraszam, że ci przeszkadzam, ale mówiłeś mi, że Eve Blackwell przyszła do ciebie, by porozmawiać o swojej siostrze Alexandrze?

- Zgadza się.

- Czy Alexandra była u ciebie po wizycie Eve?

- Tak. Zjawiła się u mnie już następnego dnia. Dlaczego o to pytasz?

- Zwykła ciekawość. Możesz mi powiedzieć, w jakiej sprawie przyszła do ciebie siostra Eve?

- Alexandra była w głębokiej depresji. Eve starała się jej pomóc.

Eve została zmasakrowana, niemal zabita przez męża Alexandry, a teraz ten człowiek został zamordowany i na Alexandrę padło podejrzenie.

Keith Webster zawsze zdawał sobie sprawę, że nie jest genialny. W szkole musiał ciężko pracować, by otrzymywać ledwie dostateczne oceny. Był przedmiotem nieustających dowcipów ze strony koleżanek i kolegów szkolnych. Nie był dobry ani w sporcie, ani w nauce, i nie liczył się w towarzystwie. Należał do tych, których określa się zwykle mianem kompletnego zera. Nikt bardziej niż jego własna rodzina nie był zdziwiony, gdy został przyjęty do szkoły medycznej. Kiedy postanowił obrać sobie zawód chirurga, nikt nie wierzył, że zostanie kompetentnym chirurgiem, nie mówiąc już o tym, że znakomitym. Ale wkrótce zadziwić miał wszystkich. Wewnątrz niego tlił się talent, kryjący w sobie znamiona geniuszu. Keith Webster był niczym znakomity rzeźbiarz, tyle że dokonujący cudów z żywym ciałem, a nie gliną czy kamieniem. W krótkim czasie zdobył sobie szeroki rozgłos. Mimo sukcesu, jaki odniósł, nigdy nie potrafił przezwyciężyć kompleksów wyniesionych z dzieciństwa. Wewnątrz pozostał tym samym chłopcem, który wszystkich nudził, z którego wszyscy się naśmiewali, a zwłaszcza dziewczyny.

Kiedy w końcu zastał Eve w domu, miał dłonie mokre od potu. Podniosła słuchawkę już po pierwszym sygnale.

- Rory? - spytała.

- Nie. Mówi Keith Webster.

- Och. Słucham.

Zauważył zmianę w jej głosie.

- Co u ciebie słychać? - spytał.

- W porządku.

Wyczuł zniecierpliwienie w jej głosie.

- Chciałbym... się z tobą zobaczyć.

- Nie widuję się z nikim. Jeśli czytujesz gazety, wiesz zapewne, że mój szwagier został zamordowany. Jestem w żałobie.

Otarł dłonie o spodnie.

- Dlatego właśnie chciałem się z tobą spotkać, Eve. Mam pewne informacje, o których powinnaś wiedzieć.

- Jakiego rodzaju informacje?

- Wolałbym nie mówić o tym przez telefon - powiedział. Przez chwilę zapanowało milczenie. Czuł, że Eve bije się z myślami.

- No dobrze. Kiedy?

- Natychmiast, jeśli możesz.

Kiedy w trzydzieści minut później zjawił się w mieszkaniu Eve, jej pierwsze słowa brzmiały:

- Jestem bardzo zajęta. W jakim celu chciałeś się ze mną spotkać?

- W tym celu - odparł skruszonym tonem. Otworzył kopertę, którą kurczowo trzymał w dłoni, wyjął fotografię i podał ją Eve. Było to zdjęcie jej samej.

Spojrzała na nie ze zdziwieniem.

- A więc?

- To zdjęcie przedstawia ciebie.

- Widzę - odparła oschle. - I co z tego?

- Zostało zrobione po twojej operacji.

- No i...?

- Na czole nie ma żadnej blizny, Eve.

Obserwował, jak jej twarz przybiera inny wyraz.

- Usiądź, Keith.

Usiadł naprzeciw Eve, na brzegu kanapy i nie mógł oderwać od niej oczu. Podczas swojej praktyki przyjmował wiele pięknych kobiet, ale Eve Blackwell przewyższała urodą wszystkie. Nigdy jeszcze nie znał kogoś takiego, jak ona.

- Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś powiedział mi, o co ci właściwie chodzi.

Zaczął od samego początku. Opowiedział o rozmowie z doktorem Harleyem i tajemniczej bliźnie, a gdy mówił, patrzył jej prosto w oczy. Były bez wyrazu.

- Nie wiem - odezwała się Eve, gdy skończył - co sobie myślisz, ale cokolwiek to jest, zabierasz mi tylko czas. Jeśli chodzi o tę bliznę, chciałam zrobić mały żarcik mojej siostrze.

To proste jak dwa plus dwa. A teraz, jeśli już skończyłeś, wybacz mi, ale mam jeszcze sporo rzeczy do zrobienia.

Nie ruszył się z miejsca.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam. Pomyślałem tylko, że nim pójde na policję, powinienem z tobą porozmawiać. - Zauważył, że teraz naprawdę przykuł jej uwagę.

- Dlaczego, u diabła, miałbyś iść na policję?

- Moim obowiązkiem jest powiadomienie policji o napaści George'a Mellisa na ciebie. Ponadto jest sprawa tej twojej blizny. Nie wiem, o co tu chodzi, ale jestem pewien, że im to wyjaśnisz.

Po raz pierwszy przeniknął ją dreszcz strachu. Ten głupi, ponury mały człowieczek nie miał pojęcia, co się naprawdę stało, ale wiedział dostatecznie dużo, żeby policja zaczęła zadawać pytania.

George Mellis często ją tutaj odwiedzał. Policji nietrudno byłoby chyba znaleźć świadków, którzy go widzieli. Kłamała, że była w Waszyngtonie tego wieczoru, gdy zginął George. Nie miała prawdziwego alibi. Nie sądziła wcale, że będzie jej kiedykolwiek potrzebne. Gdyby policja dowiedziała się, że George omal jej nie zabił, miałyby już motyw. Cały jej plan wyszedłby na jaw. Musi w jakiś sposób skłonić go do milczenia.

- Czego chcesz? - spytała. - Pieniędzy?

- Nie!

Spostrzegła wyraz oburzenia na jego twarzy.

- A więc czego?

Doktor Webster opuścił wzrok, rumieniąc się z zakłopotania.

- Ja... lubię ciebie tak bardzo, Eve, że nie zniósłbym, gdyby stało ci się coś złego.

- Nic złego mi się nie stanie, Keith. - Eve zdobyła się na uśmiech. - Uwierz mi. To wszystko nie ma nic wspólnego z zabójstwem George'a Mellisa. - Dotknęła jego dłoni. - Byłabym naprawdę bardzo wdzięczna, gdybyś o tym zapomniał. Dobrze?

Pogłaskał ją po dłoni.

- Chciałbym, Eve - odrzekł. - Naprawdę chciałbym. Ale w sobotę koroner będzie dokonywał oględzin zwłok. Jestem lekarzem. Niestety, podczas ustalania przyczyn zgonu będę musiał złożyć oświadczenie i powiedzieć wszystko, co wiem.

Zauważył, że w jej oczach pojawiło się przerażenie.

- Nie musisz tego robić!

Pogłaskał ją znów po dłoni.

- Muszę, Eve. Jestem zobowiązany przysięgą. Tylko jedna rzecz może mnie

powstrzymać. - Zauważył, że wyraźnie zareagowała na te słowa.

- Jaka?

- Męża - powiedział Keith Webster bardzo łagodnym głosem - nie można zmusić, by świadczył przeciwko żonie.

## Rozdział 35

Ślub odbył się na dwa dni przed oględzinami zwłok przez koronera. Sędzia udzielił im go w swoim gabinecie. Sama myśl o poślubieniu Keitha Webstera wywoływała w niej dreszcz odrazy, ale nie miała wyboru. „Ten głupiec sądzi, że zostanę z nim. Gdy tylko skończą się oględziny, uzyskam unieważnienie i na tym cała sprawa się zakończy”.

Detektyw porucznik Nick Pappas miał pewien problem. Nie miał wątpliwości, kto zamordował George'a Mellisa, ale nie mógł tego udowodnić. Rodzinę Blackwellów otaczała zmowa milczenia, której nie był w stanie przełamać. Zwrócił się z tym problemem do swojego przełożonego, kapitana Harolda Cohna, starego wygi, który zaczynał jako zwykły „krawężnik”.

Cohn uważnie wysłuchał Pappasa i powiedział:

- To wszystko jest bardzo mgliste, Nick. Nie masz nawet jednego pieprzonego dowodu. Zostaniemy ośmieszeni wobec sądu.

- Wiem - westchnął porucznik Pappas. - Ale ja mam rację. - Przez chwilę siedział w milczeniu, pogrążony w zadumie. - Czy nie miałbyś nic przeciwko, gdybym porozmawiał z Kate Blackwell? - zapytał potem.

- Jezu! Po co?

- Taki mały podryw. Ona rządzi tą rodziną. Może mieć pewne informacje i nawet o tym nie wiedzieć.

- Będziesz musiał się bardzo pilnować.

- Oczywiście.

- I obchodź się z nią bardzo łagodnie, Nick. Pamiętaj, że to starsza pani.

- Na to właśnie liczę - odparł detektyw Pappas.

Spotkanie odbyło się jeszcze tego popołudnia w biurze Kate Blackwell.

Nick Pappas osądził na oko, że starsza pani ma osiemdziesiąt parę lat i jak na swój wiek trzyma się wcale dobrze. Na jej twarzy widać było pewne napięcie, którego zresztą się spodziewał. Była bardzo skrytą osobą, a teraz została zmuszona, by chronić nazwisko Blackwellów przed tym, aby nie stało się źródłem publicznych pomówień i skandalu.

- Moja sekretarka powiedziała mi, że chciałby pan porozmawiać ze mną w jakiejś sprawie, poruczniku.

- Tak, proszę pani. Jutro koroner będzie dokonywał oględzin zwłok i ustali przyczynę

śmierci George'a Mellisa. Mam powody, by sądzić, że pani wnuczka jest zamieszana w to morderstwo.

- Nie wierzę, poruczniku. - Kate przyjęła to z kamiennym spokojem.

- Proszę mnie wysłuchać, pani Blackwell. Każde śledztwo zaczyna się od znalezienia motywu zbrodni. George Mellis był łowcą posagów i zdeprawowanym sadystą. - Zauważył, że jej twarz drgnęła, ale ciągnął dalej. - Ożenił się z pani wnuczką i nagle znalazł się w posiadaniu ogromnej fortuny. Myślę, że niekiedy zbyt mocno bił Alexandrę, a gdy poprosiła go w końcu o rozwód, odmówił. Jedynym sposobem uwolnienia się od męża, było zabicie go.

- Kate spojrzała na niego ze zdumieniem, a jej twarz zrobiła się blada. - Zacząłem szukać dowodów na poparcie tej teorii. Wiedzieliśmy, że George Mellis, nim zniknął, był w Cedar Hill House. Istnieją tylko dwa sposoby dostania się do Dark Harbor od strony lądu: promem lub samolotem. Według miejscowego biura szeryfa, George nie skorzystał z żadnego. Nie wierzę w cuda, uznałem więc, że Mellis nie należał do ludzi, którzy potrafią chodzić po wodzie. Jediną możliwością było to, że wynajął łódź. Zacząłem sprawdzać w wypożyczalniach i w przystani Philbrook Cove natrafiłem na lewy rachunek. O czwartej po południu, w dniu, w którym zamordowano George'a Mellisa, pewna kobieta wynajęła tam łódź motorową, mówiąc, że jej przyjaciel skorzysta z niej później. Zapłaciła gotówką, ale musiała podpisać kwit i użyła nazwiska Solange Dunas. Czy to pani coś mówi?

- Tak. To... była guwernantka, która zajmowała się bliźniaczkami, gdy były dziećmi. Od wielu lat mieszka we Francji.

Pappas pokiwał z zadowoleniem głową.

- Nieco dalej na tym wybrzeżu ta sama kobieta wynajęła drugą łódź. Wypłynęła nią i wróciła po trzech godzinach. Znów podpisała się jako Solange Dunas. Pokazałem obu kierownikom wypożyczalni fotografię Alexandry. Byli prawie całkiem pewni, że to ona, ale nie mogli stanowczo poświadczyć, ponieważ kobieta, która wynajęła łódzie, była brunetką.

- Co w takim razie skłania pana do przypuszczenia, że...?

- Kobieta miała na głowie perukę.

- Nie wierzę - odparła Kate stanowczo - że Alexandra zabiła męża.

- Ja również, pani Blackwell - oznajmił porucznik Pappas. - To była jej siostra, Eve.

Kate siedziała nieporuszona.

- Alexandra nie mogła tego zrobić. Sprawdziłem, co robiła w dniu zabójstwa. Rano przebywała z przyjaciółką, a potem poleciała z Nowego Jorku prosto na wyspę. Nie miała jakichkolwiek możliwości, by wypożyczyć te dwie łódzie. - Pochylił się w stronę Kate. - Tak więc pozostał mi ktoś podobny, kto podpisał się nazwiskiem Solange Dunas. I to musiała być

Eve. Zacząłem szukać motywu. Pokazałem zdjęcie George'a Mellisa lokatorom domu czynszowego, w którym mieszka Eve, i dowiedziałem się, że Mellis był tam częstym gościem. Dozorca powiedział mi, że któregoś wieczoru, gdy on przyszedł, Eve została niemal zakatowana na śmierć. Czy pani o tym wiedziała?

- Nie. - Głos Kate przeszedł w szept.

- Zrobił to Mellis. To do niego podobne. I to był motyw Eve: zemsta. Zwabiła go do Dark Harbor i zamordowała. - Spojrzał na Kate i poczuł wyrzuty sumienia, że wykorzystuje tę starszą panią. - Alibi Eve jest takie, że tego dnia była w Waszyngtonie. Taksówkarzowi, który zabrał ją na lotnisko, dała studolarowy banknot, aby mógł ją lepiej zapamiętać, i zrobiła dużo szumu z powodu spóźnienia się na samolot do Waszyngtonu. Ale ja nie sądzę, że się tam udała. Myślę, że włożyła ciemną perukę i wsiadła do samolotu lecącego do Maine, gdzie wynajęła te łodzie. Zabiła Mellisa, wyrzuciła jego ciało za burtę, potem zacumowała jacht i odholowała dodatkową łódź do wypożyczalni, która o tej porze była już zamknięta.

Kate patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Są to wszystko tylko dowody pośrednie, prawda?

- Tak. - Był teraz gotów zadać ostateczny cios. - Potrzebuję konkretnego dowodu dla koronera. Zna pani swoją wnuczkę lepiej niż ktokolwiek na świecie, pani Blackwell. Chciałbym, aby mi pani powiedziała cokolwiek, co mogłoby być pomocne dla śledztwa.

Kate siedziała spokojnie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Sądzę - odparła w końcu - że dla dobra śledztwa mogę udzielić panu pewnych informacji.

Nick Pappas poczuł, jak serce zaczyna mu bić szybciej. Długo dążył do tego, ale opłacało się. Starsza pani doszła do siebie. Niczego nieświadomy pochylił się w jej stronę.

- Tak, pani Blackwell?

- W dniu, w którym zamordowano George'a Mellisa, poruczniku - Kate mówiła wolno i wyraźnie - Eve i ja byliśmy razem w Waszyngtonie.

Zauważyła wyraz zdziwienia na jego twarzy. „Ty głupcze - pomyślała. - Czy naprawdę sądziłeś, że złożę dla ciebie w ofierze nazwisko Blackwellów? Że pozwolę na to, by prasa urządziła sobie dziką orgię z tego powodu? Nie. Ukarzę Eve na swój sposób”.

Według orzeczenia koronera śmierć nastąpiła na skutek ran zadanych przez nieznanego sprawcę lub sprawców.

Ku zdziwieniu i zadowoleniu Alexandry na rozprawie zjawił się Peter Templeton.

- Wpadłem, by podtrzymać panią na duchu - powiedział jej.

Peter pomyślał, że Alexandra trzyma się bardzo dobrze, choć jej twarz i oczy wyrażały ogromne napięcie. Podczas przerwy zabrał ją do „Lobster Pound”, niewielkiej restauracyjki, z której widać było zatokę w Lincolnville.

- Kiedy to się skończy - powiedział Peter - sądzę, że powinna pani gdzieś wyjechać, wyrwać się stąd na jakiś czas.

- Tak. Eve prosiła, abym z nią wyjechała. - Oczy Alexandry wypełniał ból. - Nadal nie mogę uwierzyć, że George nie żyje. Wiem, że to się stało, ale nadal... ta rzecz wydaje mi się nierealna.

- W ten sposób natura tłumy ból, zanim stanie się on możliwy do zniesienia.

- To bezsensowne. Był takim wspaniałym człowiekiem. - Podniosła wzrok na Petera. - Poznał go pan. Rozmawiał z nim. Czy nie był wspaniałym człowiekiem?

- Tak - odparł wolno Peter. - Był wspaniałym człowiekiem.

Potrzebuję unieważnienia - powiedziała Eve.

Keith Webster zamrugał oczami ze zdziwienia.

- Dlaczego, na miły Bóg, potrzebujesz unieważnienia?

- Och, nie udawaj, Keith. Nie myślałeś chyba poważnie, że zostanę przy twoim boku?

- Oczywiście, że tak myślałem. Jesteś moją żoną, Eve.

- O co ci chodzi? O pieniądze Blackwellów?

- Nie potrzebuję pieniędzy, kochanie. Powodzi mi się znakomicie. Mogę ci dać wszystko, czego zapragniesz.

- Powiedziałam ci już, czego pragnę. Unieważnienia naszego małżeństwa.

- Niestety, tego akurat dać ci nie mogę. - Potrząsnął przecząco głową.

- W takim razie wystąpię o rozwód.

- Nie sądzę, aby to było wskazane, Eve. Tak naprawdę nic się nie zmieniło. Policja nie wykryła, kto zamordował twojego szwagra, więc sprawa pozostaje otwarta. Zbrodnie nie podlegają przedawnieniu. Gdybyś się ze mną rozwiodła, byłbym zmuszony... - Rozłożył bezradnie ręce.

- Mówisz tak, jakbym to ja go zamordowała.

- Bo tak było, Eve.

- Co ty, u licha, możesz o tym wiedzieć - powiedziała z pogardą.

- To jedyny powód, dla którego wyszłaś za mnie za mąż.

- Ty draniu! - Spojrzała na niego ze wstrętem. - Jak możesz mi robić coś takiego?

- To bardzo proste. Kocham cię.



- Nienawidzę ciebie. Rozumiesz? Gardzę tobą!

- Kocham cię tak bardzo. - Uśmiechnął się smutno.

Podróż z Alexandrą została odwołana.

- Wyjeżdżam na Barbados w podróż poślubną - oznajmiła Eve siostrze. Barbados był pomysłem Keitha.

- Nie pojedę - kategorycznie powiedziała mu wcześniej Eve. Myśl o miesiącu miodowym z tym człowiekiem napawała ją wstrętem.

- Będzie to wyglądało dziwnie, jeśli nie wyjedziemy w podróż poślubną - odparł nieśmiało. - A przecież nie chcemy, aby ludzie zadawali nam mnóstwo niepotrzebnych pytań, prawda, moja droga?

Alexandra zaczęła raz w tygodniu spotykać się na lunchu z Peterem Templetonem. Na początku dlatego, że chciała z kimś porozmawiać o George'u, a z nikim innym nie mogła, tylko z nim. Ale po kilku miesiącach musiała przyznać wobec siebie, że towarzystwo Petera Templetona sprawia jej niezmierną przyjemność. Miał w sobie coś, co wzbudzało zaufanie, coś czego rozpaczliwie potrzebowała. Był bardzo opiekuńczy, a ponadto inteligentny i zabawny.

- Kiedy byłem młodym lekarzem - opowiadał Alexandrze - i pojechałem z pierwszą wizytą domową w środku zimy, moim pacjentem okazał się wątły staruszek. Leżał w łóżku i miał okropny kaszel. Zamierzałem zbadać płuca stetoskopem, ale ponieważ był lodowaty, postanowiłem najpierw go rozgrzać. Położyłem więc go na grzejniku i zabrałem się do oglądania języka i oczu mojego pacjenta. Następnie wziąłem stetoskop i przyłożyłem mu do piersi. Staruszek wyskoczył z łóżka jak oparzony. Kaszel mu przeszedł, ale musiały minąć dwa tygodnie, nim rana po oparzeniu się zagoiła.

Alexandra roześmiała się, po raz pierwszy od długiego czasu.

- Czy moglibyśmy się znów spotkać w przyszłym tygodniu? - spytał Peter.

- Tak. Z przyjemnością.

Miesiąc miodowy okazał się dla Eve nie taki zły, jak przypuszczała. Keith w obawie o swoją białą, wrażliwą skórę nie wystawiał się na słońce, więc Eve codziennie sama schodziła na plażę. Nie nudziła się jednak. Już po chwili otaczali ją kochliwi ratownicy, plażowi próżniacy, potentaci finansowi i playboye. To było jak prawdziwa uczta i Eve każdego dnia wybierała nowe danie. Owe eskapady seksualne sprawiały jej podwójną przyjemność, ponieważ wiedziała, że mąż czeka na nią na górze w apartamencie. Był gotów dla niej zrobić

wszystko. Służył jej i wpatrywał się w nią jak mały piesek salonowy, merdając ogonkiem na każde skinienie. Jeśli Eve miała jakieś życzenia, natychmiast je spełniał. Robiła wszystko, co tylko można, by go obrazić, rozzłościć, by odwrócił się od niej i pozwolił jej odejść, ale jego miłość pozostawała niezmienna. Myśl o kochaniu się z tym człowiekiem przyprawiała ją o mdłości. Była wdzięczna losowi, że jego libido jest tak słabe.

„Lata robią swoje - myślała Kate Blackwell. - Tak wiele już ich przeleciało, a wszystkie były takie bogate i owocne”.

Kruger-Brent potrzebuje silnej ręki przy sterze. Potrzebuje kogoś z krwią Blackwellów. „Ale kto będzie kierował firmą, gdy odejdę? Tyle pracy, planów, wyrzeczeń i po co to wszystko? Żeby pewnego dnia ster przejął ktoś obcy. Cholera! Nie mogę na to pozwolić”.

W tydzień po powrocie z podróży poślubnej Keith powiedział przeproszającym tonem:

- Niestety, muszę wracać do pracy, kochanie. Mam zaplanowanych mnóstwo operacji. Czy nie będziesz się nudzić, zostając sama całymi dniami?

- Jakoś sobie poradzę - odparła Eve z trudem tłumiąc radość, jaką sprawiła jej ta wiadomość.

Każdego ranka Keith był na nogach i wychodził do pracy na długo wcześniej, nim Eve wstała. W kuchni czekało już na nią przygotowane śniadanie. Keith otworzył też konto bankowe na nazwisko Eve i wciąż je zasilał. Wydawała jego pieniądze lekką ręką, ale Keith - widząc, że sprawia jej to przyjemność - był szczęśliwy.

Eve obsypywała Rory'ego, z którym spędzała niemal każde popołudnie, niezwykle drogimi prezentami. Nie przemęczał się pracą.

- Nie mogę po prostu chwycić się każdej roli - uskarżał się Eve. - To by źle wpłynęło na mój sceniczny image.

- Rozumiem, kochanie.

- Czyżby? Co ty, do cholery, możesz wiedzieć o show biznesie? Urodziłaś się w czepku.

I Eve kupowała mu zaraz coś nadzwyczajnego, by go udobruchać. Ponadto płaciła za niego czynsz, kupowała mu ubrania, opłacała kolacje w ekskluzywnych restauracjach, by mogli go tam zobaczyć znani producenci. Chciała przebywać z nim przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, tylko że na przeszkodzie stał mąż. Eve wracała do domu o siódmej lub

ósmej godzinie wieczorem, a Keith krzątał się już w kuchni w swoim fartuszkowi „Ucałuj Kucharza”. Nigdy nie pytał jej, gdzie była.

W następnym roku Alexandra i Peter Templeton zaczęli spotykać się coraz częściej. Jedno potrzebowało drugiego coraz bardziej. Peter towarzyszył Alexandrze, gdy jechała odwiedzić ojca w zakładzie. Jego bliska obecność działała na nią kojąco.

Pewnego wieczoru, gdy Peter przyjechał po Alexandrę, natknął się na Kate.

- A więc jesteś, chłopcze, lekarzem, co? - zagadnęła go. - Pochowałam już mnóstwo lekarzy i miewam się dobrze. Czy znasz się trochę na biznesie?

- Nie za bardzo, pani Blackwell.

- Czy jesteś zarejestrowany jako prowadzący działalność...?

- Nie.

- Cholera, co ty w takim razie wiesz? - Kate parsknęła. - Potrzebny ci jest dobry doradca podatkowy. Wyznaczę ci spotkanie z moim. Pierwszą rzeczą, jaką zrobi, to zarejestruje ciebie...

- Dziękuję, pani Blackwell. Radzę sobie całkiem nieźle.

- Mój mąż - powiedziała Kate - był także upartym człowiekiem. - Spojrzała na Alexandrę. - Zaproś go na kolację. Być może uda mi się przemówić mu do rozumu.

- Twoja babcia - powiedział Peter, gdy byli już na zewnątrz - nie cierpi mnie.

Alexandra się roześmiała.

- Nieprawda. W gruncie rzeczy cię lubi. Powinieneś zobaczyć, jak zachowuje się wobec tych, których rzeczywiście nie lubi.

- Zastanawiam się, co by poczuła, gdybym jej oznajmił, że chcę się z tobą ożenić, Alex?

Spojrzała na niego i rozpromieniła się.

- Obie poczułybyśmy się cudownie, Peter!

Kate z wielkim zainteresowaniem obserwowała postępy romansu Alexandry z Peterem Templetonem. Lubiła młodego doktora i uznała, że byłby dla wnuczki dobrym mężem. Ale Kate miała naturę kupiecką. Teraz siedząc przy kominku naprzeciw dwojga młodych ludzi blefowała:

- Muszę powiedzieć, że jest to dla mnie zupełnie zaskoczenie. Zawsze spodziewałam się, że Alexandra poślubi jakiegoś biznesmena, który przejmie kierownictwo Kruger-Brent.

- To nie jest przedsięwzięcie handlowe, pani Blackwell. Alexandra i ja chcemy się

pobrać.

- Z drugiej strony - ciągnęła Kate jak gdyby nigdy nic - jesteś psychiatrą. Wiesz, jak funkcjonują ludzkie umysły i emocje. Mógłbyś być chyba świetnym negocjatorem. Chciałabym, abyś związał się z firmą. Możesz...

- Nie - odparł stanowczo Peter. - Jestem lekarzem. Nie chcę zajmować się biznesem.

- Tu nie chodzi o zwykły biznes - fuknęła Kate. - Nie mówimy przecież o jakimś narażnym sklepiku spożywczym. Będziesz częścią rodziny, a ja potrzebuję kogoś, kto by pokierował...

- Przykro mi - odparł zdecydowanym tonem. - Ale nie zamierzam mieć nic wspólnego z Kruger-Brent. Będzie pani musiała poszukać kogoś innego...

- A ty co o tym sądzisz? - Kate zwróciła się do Alexandry.

- Chcę, aby Peter czuł się szczęśliwy, babciu.

- Co za cholerna niewdzięczność. - Kate spojrzała na nią groźnie. - Jesteście egoistami. - Westchnęła. - A zresztą, kto wie? Może któregoś dnia zmienisz zdanie. Czy zamierzacie mieć dzieci? - dodała niewinnie.

Peter się roześmiał.

- To sprawa osobista. Mam wrażenie, że jest pani wspaniałą manipulatką, pani Blackwell, ale Alex i ja sami pokierujemy własnym życiem, a nasze dzieci, jeśli będziemy je mieli, również same dokonają wyboru swojej drogi.

Kate uśmiechnęła się słodko.

- Oczywiście, że tak. Wcale nie chciałabym, aby było inaczej, Peter. Moją dewizą zawsze było, aby nie wtrącać się w życie innych ludzi.

W dwa miesiące później, gdy małżonkowie wrócili z podróży poślubnej, Alexandra była w ciąży. „Znakomicie - pomyślała Kate, gdy usłyszała nowinę. - To będzie chłopiec”.

Eve leżała w łóżku obserwując, jak Rory wychodzi nagi z łazienki. Miał wspaniałe ciało, umięśnione i pociągające. Eve uwielbiała sposób, w jaki się z nią kochał. Nie mogła się nim wprost nasycić. Podejrzewała, że ma również inne towarzyszy do łóżka, ale nie pytała go o to w obawie, że mógłby się rozzłościć. Rory położył się przy niej i gładząc ją po twarzy wokół oczu powiedział:

- Hej, co ja widzę, kotku. Masz kilka zmarszczek. Są całkiem wdzięczne.

Każde słowo było jak ukłucie, przypominało o różnicy lat między nimi, przypominało jej, że ma dwadzieścia pięć lat. Znów zaczęli się kochać, ale Eve - po raz pierwszy - była

myślami gdzie indziej.

Gdy Eve zjawiała się w domu, dochodziła już dziewiąta. Keith polewał tłuszczem pieczeń w piekarniku.

- Dobry wieczór, kochanie - powiedział. Pocałował ją w policzek. - Przygotowałem właśnie jedną z twoich ulubionych potraw. Obchodzimy dziś...

- Keith - przerwała mu Eve - chciałabym, abyś usunął te zmarszczki.

- Jakie zmarszczki? - Keith zamrugł oczyma.

- Te - odparła wskazując palcem.

- To są kurze łapki, kochanie. Uwielbiam je.

- A ja nie! - krzyknęła. - Nie cierpię ich!

- Uwierz mi, Eve, one nie są...

- Na litość boską, usuń je! O ile się nie mylę, znasz się na tym, prawda?

- Tak, ale... No dobrze - rzekł pokornie. - Jeśli sprawi ci to radość, kochanie.

- Kiedy?

- Mniej więcej za sześć tygodni. Na razie mam bardzo napięty terminarz...

- Nie jestem jedną z tych twoich cholernych pacjentek - fuknęła Eve. - Jestem twoją żoną. Chcę, żebyś to zrobił natychmiast. Jutro.

- W soboty klinika jest zamknięta.

- W takim razie otwórz ją. - „Jest takim głupcem!” O Boże, kiedy wreszcie się go pozbędzie. Zrobi to. W ten lub inny sposób. Już niebawem.

- Przejdźmy na chwilę do innego pomieszczenia - powiedział i zaprowadził ją do garderoby, gdzie było najmocniejsze światło.

Usiadła na krześle, a on zaczął uważnie badać jej twarz. I w jednej chwili z ciepłej kluchy przeistoczył się we wspaniałego chirurga. Przypomniała sobie ów cud, którego już raz dokonał z jej twarzą. Ta operacja mogła mu się wydawać niepotrzebna, ale mylił się. Nie wyobrażał sobie nawet, jakie ma dla niej znaczenie. Eve przerażała myśl, że mogłaby stracić Rory'ego.

Keith zgasił światło.

- Nie ma problemu - zapewnił ją. - Zrobię to jutro rano.

Nazajutrz rano oboje udali się do kliniki.

- Zazwyczaj - poinformował Keith - pomaga mi pielęgniarka. Ale z takim drobiazgiem sam sobie poradzę.

- Jeśli już będziesz mnie operował, to mógłbyś też z tym coś zrobić. - Eve wskazała

drobną zmarszczkę na szyi.

- Jeśli sobie tego życzysz, kochanie. Dam ci coś na sen, abyś nie odczuwała żadnych dolegliwości. Nie chcę, aby moja słodka Eve cierpiała.

Eve obserwowała, jak napełnia strzykawkę i zręcznie robi jej zastrzyk. Nawet gdyby operacja była bolesna, nie miałyby to znaczenia. Robiła to dla Rory'ego. Kochanego Rory'ego. Pomyślała o jego twardym jak skała ciele i wyrazie oczu, gdy jej pożądał... I pogrzyżyła się we śnie.

Obudziła się w pokoju mieszczącym się na tyłach kliniki. Keith siedział przy niej na krześle.

- Jak poszło? - zapytała rozspanym głosem.

- Wspaniale - uśmiechnął się Keith.

Eve pokiwała głową i ponownie zasnęła.

Kiedy obudziła się później, Keith był znów przy niej.

- Pozbędziemy się tych bandaży za kilka dni - powiedział. - Pozostawię cię tutaj, żebyś miała odpowiednią opiekę.

- W porządku.

Każdego dnia zaglądał do niej, badał jej twarz i kiwając głową mówił:

- Doskonale.

- Kiedy będę mogła siebie obejrzeć?

- Do piątku wszystko powinno się zagoić.

Poleciała siostrze przełożonej, by zainstalowano przy jej łóżku telefon. Pierwszą rozmowę odbyła z Rorym.

- Hej, kotku, gdzie, u licha, się podziewasz? - zapytał ją. - Jestem cholernie napalony.

- Ja również, kochanie. Niestety wciąż jestem uwiązana przez ten jego cholerny zjazd lekarzy na Florydzie, ale w przyszłym tygodniu już wracam.

- Lepiej zrób to.

- Tęsknisz za mną?

- Jak diabli.

- Czy ktoś jest z tobą? - Dosłyszała jakieś szepty.

- Jasne. Mamy tu małą orgię. - Rory uwielbiał dowcipkować. - Muszę już pędzić. - I rozłączył się.

Eve zadzwoniła do Alexandry i ze znużeniem wysłuchiwała jej słów - wypowiedzianych podekscytowanym głosem - o tym, że jest w ciąży.

- Nie mogę się już doczekać - powiedziała. - Zawsze chciałam zostać ciocią.

Eve rzadko widywała babcię. Od pewnego czasu narastała między nimi coraz większa oziębłość, której nie rozumiała. „Ale - myślała - jeszcze do mnie przyjdzie”.

Kate nigdy nie pytała o Keitha i Eve nie miała jej tego za złe, ponieważ on był niczym. Pewnego dnia być może porozmawia z Rorym, żeby pomógł jej pozbyć się Keitha. A to zwiąże Rory'ego z nią na zawsze. Było dla niej rzeczą niepojętą, że mogła każdego dnia przyprawiać rogi mężowi, a on albo niczego nie podejrzewał, albo na to nie zważał. Dzięki Bogu, że chociaż miał jakieś zalety. Opatrunek będzie zdjęty w piątek.

Eve obudziła się w piątek już wcześniej rano i niecierpliwie wyczekiwała Keitha.

- Już prawie południe - rzekła ze złością, gdy się wreszcie zjawił. - Gdzie ty, u licha, się podziewałeś?

- Przepraszam, kochanie - odparł skruszony. - Przez całe przedpołudnie byłem w sali operacyjnej i...

- Nic mnie to nie obchodzi, gdzie byłeś. Ściągaj te cholerne bandaże. Chcę zobaczyć, jak wyglądam.

- Oczywiście, kochanie, oczywiście.

Eve usiadła na brzegu łóżka i nie poruszała się, podczas gdy on zręcznie odcinał bandaż. Potem cofnął się o krok, by uważnie przyjrzeć się jej twarzy, i zobaczyła wyraz zadowolenia w jego oczach.

- Doskonale - powiedział.

- Podaj mi lusterko.

Pospiesznie wyszedł z pokoju i po chwili wrócił. Z dumnym uśmiechem podał jej lusterko.

Eve powoli uniosła je i spojrzała na swoje odbicie.

Z jej gardła wydobył się przeraźliwy krzyk.

## EPILOG

Kate

1982



## Rozdział 36

Kate miała wrażenie, jakby czas pędził coraz szybciej, przyspieszając dni i noce, mieszając zimę z wiosną, lato z jesienią, aż w końcu wszystkie pory roku zlały się w jedną. Miała teraz prawie dziewięćdziesiąt lat. Osiemdziesiąt ile? Czasem zapominała swojej daty urodzenia. Nigdy nie bała się starości, przerażała ją tylko myśl, że starzejąc się mogłaby zniedołężnieć, dlatego ogromnie dbała o siebie. Kiedy spoglądała w lustro, widziała prostą sylwetkę kobiety zadbanej, dumnej i nieposkromionej.

Nadal, każdego dnia, jeździła do biura, ale był to już raczej symboliczny gest, swego rodzaju ucieczka przed śmiercią. Uczęszczała na spotkania zarządu, ale nic już nie było takie jasne jak kiedyś, wszyscy wokół zdawali się mówić za szybko. Najbardziej niepokoiła ją własna pamięć, platająca przedziwne figle. Przeszłość i teraźniejszość nieustannie splatały się ze sobą. Świat Kate kurczył się, stawał się coraz mniejszy i mniejszy.

Jeżeli coś kazało jej jeszcze za wszelką cenę trzymać się życia, nie pozwalało umierać, to ową siłą było niezłomne przekonanie, że pewnego dnia ktoś z rodziny stanie na czele Kruger-Brent. Kate nie miała zamiaru dopuścić, aby jacyś obcy przejęli to, co z takim mozolem i kosztem tylu wyrzeczeń i poświęceń budowali Jamie McGregor i Margaret, ona i David. Eve, w której dwa razy pokładała tak wielkie nadzieje, była morderczynią. I postacią groteskową. Nie musiała jej już karać. Pewnego razu ją widziała. To, co jej zrobiono, było wystarczającą karą.

W dniu, w którym Eve zobaczyła swoją twarz w lusterku, próbowała popełnić samobójstwo. Połknęła całą fiolkę pigułek nasennych, ale Keith przepłukał jej żołądek i zawiózł do domu. Odtąd stale krzątał się przy niej, a kiedy był w szpitalu, przez cały czas dyżurowały pielęgniarki.

- Pozwól mi umrzeć, proszę cię - błagała Eve męża. - Proszę cię, Keith. Nie chcę żyć z czymś takim.

- Teraz należysz do mnie - odpowiadał Keith. - A ja zawsze będę cię kochał.

Obraz twarzy, jaki ujrziała w owo piątkowe popołudnie, mocno wrył się jej w pamięć. Przekonała Keitha, by zwolnił pielęgniarki. Nie chciała, aby ktokolwiek był przy niej, patrzył się na nią.

Alexandra wciąż wydzwaniała, ale Eve odmawiała spotkania się z nią. Wszystkie przesyłki były zostawiane przed drzwiami frontowymi, tak, aby nikt nie mógł zobaczyć jej

twarży. Jedyńą osobą, która widywała Eve, był Keith. W końcu tylko on jej pozostał: stał się jedynym ogniwem łączącym ze światem. Zaczęła odczuwać okropny lęk, że ją porzuci, że zostanie sama wraz ze swoją szpetotą, przerażającą szpetotą.

Keith wstawał codziennie o piątej rano, by zdążyć na czas do szpitala lub kliniki, ale Eve zawsze była przed nim na nogach, by przygotować śniadanie. Każdego dnia gotowała mu obiad, a gdy się spóźniał, ogarniał ją niepokój. „Co będzie, jeśli znalazł sobie inną? Co będzie, jeśli do niej nie wróci?”

Słyszac zgrzyt klucza przekręcane go w zamku podbiegała do drzwi i przytulała się do męża, trzymając go kurczowo. Nigdy nie sugerowała, aby się z nią kochał, z obawy że mógłby odmówić, ale kiedy czasem miał ochotę, odczuwała to tak, jakby wyświadczał jej ogromną przysługę.

- Kochanie - zapytała go raz nieśmiało. - Czy nie ukarałeś mnie już wystarczająco? Czy nie mógłbyś teraz doprowadzić do porządku mojej twarzy?

Podniósł na nią wzrok i odparł z dumą:

- Twojej twarzy nigdy już nie będzie można doprowadzić do porządku.

W miarę upływu czasu Keith robił się coraz bardziej wymagający, coraz bardziej apodyktyczny, aż Eve stała się w końcu niewolnicą, uzależnioną od wszystkich jego kaprysów. Szpetota związała ją z nim mocniej, niż mogłyby to uczynić żelazne łańcuchy.

Alexandra i Peter mieli syna, Roberta, bystre go i ładnego chłopca. Przypominał on Kate Tony'ego, gdy był dzieckiem. Robert miał już prawie osiem lat i był nadzwyczaj rozwinięty, jak na swój wiek. „Bardzo rozwinięty - myślała. - Naprawdę wyjątkowy chłopiec”.

Wszyscy członkowie rodziny otrzymali w tym samym dniu zaproszenia następującej treści:

PANI KATE BLACKWELL MA ZASZCZYT ZAPROSIĆ NA PRZYJĘCIE Z OKAZJI SWOICH DZIEWIĘĆDZIESIĄTYCH URODZIN W DNIU 24 WRZEŚNIA 1982 ROKU O GODZ. 20.00. PRZYJĘCIE ODBĘDZIE SIĘ W CEDAR HILL HOUSE, DARK HARBOR, MAINE. OBOWIĄZUJĄ STROJE WIECZOROWE.

Keith, przeczytawszy zaproszenie, spojrział na Eve i powiedział:

- Jedziemy.
- Och, nie! Nie mogę! Pojedziesz beze mnie. Ja...
- Jedziemy oboje.

Tony Blackwell przebywał właśnie w ogrodzie sanatoryjnym i malował, gdy podszedł do niego jeden ze współpacjentów mówiąc:

- Jakiś list do ciebie, Tony.
- Tony otworzył kopertę i nieokreślony uśmiech rozjaśnił mu twarz.
- To miło - powiedział. - Lubię przyjęcia urodzinowe.

Peter Templeton uważnie przyglądał się zaproszeniu.

- Nie mogę uwierzyć - stwierdził - że nasza sympatia ma już dziewięćdziesiąt lat. Ona jest naprawdę zdumiewająca.

- Tak, to prawda - przyznała Alexandra. I dodała: - Chciałbyś usłyszeć coś bardzo miłego? Robert też otrzymał zaproszenie, adresowane specjalnie do niego.

## Rozdział 37

Ostatni goście już dawno odpłynęli promem lub odlecieli samolotem i cała rodzina zgromadziła się w bibliotece Cedar Hill. Kate patrzyła na wszystkich po kolei i widziała każdego z niezwykłą wyrazistością. Tony, uśmiechająca się, dziwnie uprzejma, wegetująca istota, która próbowała ją kiedyś zabić; syn, po którym tyle sobie obiecywała. Eve, morderczyni, która mogła mieć u stóp cały świat, gdyby nie nosiła w sobie nasienia zła. „Jak na ironię - pomyślała Kate - okrutna kara spotkała ją ze strony tego potulnego, bezbarwnego człowieczka, którego poślubiła”. I Alexandra. Piękna, łagodna i miła, najbardziej gorzkie rozczarowanie ze wszystkich. Swoje własne szczęście przedłożyła nad dobro firmy. Nie interesowała ją Kruger-Brent i wybrała męża, który nie chciał mieć nic wspólnego z firmą. Zdrajcy, każde z nich. Czy tyle lat wyrzeczeń i bólu miałyby pójść na marne? „Nie - myślała dalej Kate. - Nie pozwolę, aby tak to się skończyło. Jeszcze nie wszystko stracone. Stworzyłam dumną dynastię. Szpital w Kapsztadzie został nazwany moim imieniem. Budowałam szkoły, biblioteki i pomagałam ludziom Bandy”.

Zaczynała ją już boleć głowa. Pokój powoli wypełniał się duchami. Zobaczyła Jamiego McGregora i Margaret - wyglądających jakże pięknie; Bandę uśmiechającego się do niej. I drogiego, wspaniałego Davida wyciągającego ramiona. Kate potrząsnęła głową, by dać jasno do zrozumienia, że nie jest jeszcze gotowa. „Już wkrótce - pomyślała. - Już wkrótce”.

W bibliotece znajdował się jeszcze jeden członek rodziny. Spojrzała teraz na swego prawnuka i powiedziała: - Podejdź tu, moje dziecko.

Robert zbliżył się i ujął jej dłoń.

- To było wspaniałe przyjęcie, babciu.

- Dziękuję, Robertcie. Cieszę się, że ci się podobało. Jak sobie radzisz w szkole?

- Same celujące, tak jak mi mówiłaś. Jestem najlepszy w klasie. Kate podniosła wzrok na Petera.

- Kiedy Robert podrośnie, powinieneś go posłać do szkoły w Wharton. To najlepsza...

Peter roześmiał się.

- Na litość boską, moja droga, kochana Kate, czy ty nigdy nie przestaniesz? Robert będzie robił to, czego najbardziej pragnie. Ma duży talent muzyczny i chce zostać muzykiem. Sam pokieruje własnym życiem.

- Masz rację - westchnęła Kate. - Jestem starą kobietą i nie mam prawa się wtrącać.

Jeśli chce zostać muzykiem, to powinien nim zostać. - Zwróciła się do chłopca, a jej oczy roziskrzyły się blaskiem miłości. - Posłuchaj, Robercie, nie chcę niczego obiecywać, ale spróbuję ci pomóc. Znam kogoś, kto jest bardzo bliskim przyjacielem Zubina Mehty...